

**Barbara Neil**

# **Długo i szczęśliwie**

*(Someone Wonderful)*

*Przełożyła Małgorzata Dobrowolska*

# Część I

# 1

Lily Teape, w słomkowym kapeluszu na głowie, klęczała zajęta pieleniem w różanym ogrodzie. Rabaty były zaniedbane, ziemia zbrylona. Po raz kolejny zastanawiała się, ile czasu mogło upłynąć od jego śmierci. Lata, miesiące, tygodnie? Zagubiła poczucie czasu w bezkresnym smutku, gdy cały świat wokół niej, za osypującym się murem ogrodu, za oliwkowym gajem z posągami po kolana w trawie, stanowiła przydymiona, osnuta mgłą, panorama toskańskich wzgórz.

Tu się połączyli: ona, zbieg uciekający od życia, z nim, od którego życie uciekało. Wiedzieli, że umiera, zanim tu przyjechali. Wiedzieli, że nie będą mieli zbyt wiele czasu, aby przeżyć swoją miłość, i zastanawiali się nawet, czy ta świadomość pomogła im zrobić wszystko tak dobrze, tak rzetelnie.

Podnosząc się, z rękoma opartymi na krzyżu odwiecznym gestem ciężarnych kobiet, spojrzała w stronę krępej oliwki, w której cieniu w wiklinowym fotelu siedziała Grace. Jej twarz skrywały włosy, kiedyś rude, teraz mające ów szczególny, właściwy osobom o tej karnacji odcień: nie tyle siwy, ile brudnobiały. Szyjąc w skupieniu, była niemal spokojna, niemal pogodna. Lily podeszła i przykucnęła obok, kładąc dłonie na jej kolanach. Uśmiechnęła się do niej dobra, pomarszczona, niczego nieudająca twarz.

– Wszystko w porządku? – zapytała Lily.

– W porządku – zapewniła Grace, pokazując kawałek blad różowego jedwabiu, nad którym właśnie pracowała. – Patrz, prawie skończyłam. – I ze zdziwieniem: – Kto by pomyślał, że coś takiego potrafię, że mam do tego talent? Całkiem niezłe, prawda?

– To naprawdę piękne. Jesteś artystką.

– Artystka! Też coś! – Drgnienie w kąciu ust, przelotne zmarszczenie czoła, wspomnienie, które zaraz odpłynęło; wszystko to nie uszło uwagi Lily.

– W porządku?

– W porządku.

Klęczała znów przy swoim zajęciu, kiedy z kamiennych, rozwidlonych schodów, prowadzących na piętro zabytkowej willi rozległ się głos gospodyni.

– Signora?

Z chłodnego wnętrza wychyłała niewielka, krępa kobieta, przewiązana w pasie czerwoną, kraciastą ścierką, zamiast fartucha. Jedną rękę oparła na biodrze, drugą spędzała z czarnych włosów muchy, osłaniając równocześnie przedramieniem oczy

od słonecznego blasku. – Signora?

Lily podniosła głowę.

– Anno, zastanawiałam się właśnie... ile to czasu mogło upłynąć?

Kobieta opuściła rękę gestem łagodnego zniecierpliwienia, gdyż pytanie to słyszała od czasu śmierci tak często, jakby w każdej chwili można się było spodziewać, że on wróci. Spojrzała czule na swój zegarek – prezent od syna – który wyświetlał miesiąc, datę i dzień tygodnia. Miał jeszcze wiele innych funkcji, których nie rozumiała i nie potrzebowała, wiodąc życie proste i jednostajne, sprawiało jej więc przyjemność, gdy mogła zrobić z niego użytek. Podniosła rękę do oczu, przytrzymując zegarek kciukiem i palcem wskazującym, przestudiowała uważnie jego tarczę, po czym zaczęła rachować, z zadartą głową, z palcem na ustach.

– Dwa miesiące, trzy tygodnie, pięć dni, signora.

– Tylko tyle? – Lily zadumała się przez chwilę, po czym wróciła do pracy.

– Signora, jeden pan chce z panią rozmawiać.

– Nie, Anno, dziękuję. – Jakby zaproponowano jej herbatę.

Anna pokręciła głową i opuszczając rozgrzane kamienne schody, powróciła w brunatny cień wnętrza domu.

Śmierć nie powinna być czymś nagłym, jeśli spędzało się czas w oczekiwaniu na jej przyście, jeśli choroba udreńczyła go tak bardzo, że zgoda na śmierć, oczekiwanie śmierci, stało się koniecznością. A jednak przyszła nagle. Był tutaj – taki, jakim uczyniła go choroba – a gdy zostawiła go na niewiele ponad pół godziny, umarł w czasie jej nieobecności. Miał zaledwie czterdzieści dwa lata, o siedemnaście lat więcej niż ona.

Leżał wyprostowany, z rękoma wzdłuż ciała, przykryty pledem w szkocką kratę, na jednej z dwóch kanap stojących w pokoju na piętrze. Tam właśnie prowadziły owe kamienne schody. Pokój o niskim sklepieniu ciągnął się przez całą szerokość domu. Kanapy umieszczono przy wielkim, centralnym kominku, na którym płonęły oliwkowe polana o czarnej korze. Pomiędzy nimi stół, zarzucony gazetami i kolorowymi magazynami: wyspa angielskości, ze swoim półmrokiem i blaskiem ognia, od której pokój uciekał w stronę wysokich okien, na przeciwległych krańcach. Wpadało przez nie delikatne, koronkowe światło, biorąc w posiadanie łupkową podłogę.

– Nie jestem gotowa – powiedziała Lily. Klęczała przy nim, z głową na jego piersi, platynowe włosy rozsypane na flanelowej koszuli. Jej jasna uroda miała w sobie odblask wiecznego, płowowłosego dzieciństwa. – Tyle rzeczy zapomniałam

ci powiedzieć, o tylu jeszcze chciałam porozmawiać.

Jego oczy były zamknięte, choć wygląd zdradzał bezsenność. Surowe, głęboko wyrte bruzdy wokół ust, ściągnięte czoło, poorane zmarszczkami, cała twarz przedwcześnie postarzała w uścisku niemocy. Ta twarz zawsze była mizerna, ale teraz, pofałdowana i mroczna, przypominała skaliste wybrzeże, pełne zatok, cypli i pieczar. Był dużym mężczyzną, nim złamała go choroba, przynosząc ze sobą, najdziwaczniejsze niekontrolowane ruchy. W tych ostatnich dniach jego ciało żyło własnym życiem. Opuścił je, zachowując pełną świadomość. Był jak ogromna, średniowieczna twierdza, podnosząca most, zatraskująca okiennice w ogniu bitwy. W najgłębszej głębi jej murów nadal toczyło się życie, ale zgiełk i zamęt już tam nie docierały. Jego głowa, pokryta zmatowiałymi włosami, kiwała się w bezustannym, niemal gniewnym potakiwaniu.

– Wiem, że nie śpisz – powiedziała. – To jeszcze nie teraz, prawda? Nie odchodź jeszcze.

– Przykro mi, Lily, nie ma wyjścia. – Z trudem wydobył rękę spod koca, opierając ją ciężko na jej policzku. – Czas, żebyś dorosła.

– Jestem za stara, żeby dorosnąć. – Czuła konwulsyjne ruchy tej ręki, odwróciła ją i wymruczała, przyciskając usta do naprężonych ścięgien nadgarstka: – Zdrajco, obiecałeś, że mnie nigdy nie opuścisz.

Podniosła głowę, czekając na efekt tych słów. Nagle jego oczy otwały się szeroko, odsłaniając ogromne szare, zmacone tęczęwki, jak dwa okna, przez które z wnętrza domu widać niebo. Potem jedna powieka z wolna opadła. Było to coś w rodzaju mrugnięcia: pojedynczy, celowy ruch pośród tylu innych, chaotycznych i niezbornych.

– To nie jest zabawne – powiedziała, a jego ręka poruszyła się znacząco w jej dłoniach. Cofnęła się, przyglądając się tej ręce, jak gdyby przemówiła, dopóki nie opanowały jej wszystkie te inne, drobne ruchy. Wtedy oparła na niej głowę, jakby chciała unieruchomić ją tym ciężarem.

Potem wstała i wyszła na pół godziny do ogrodu. Kiedy wróciła, nie poruszał się już wcale. Nie było go.

Gdyby taki dialog zdarzył się tylko raz, można by go uznać za rodzaj pożegnania, ale powtarzał się niemal codziennie, rzadko mówili o czymś innym. Był zbyt zmęczony, zbyt zamknięty w cierpieniu, jakie sprawiało mu jego ciało, aby mieć siłę dłużej rozmawiać. Nigdy nie wspomniał o dziecku, choć wiedział o nim, widział, jak zmienia się jej figura. Czasem kładł rękę tam, gdzie ono leżało w jej wnętrzu, przyciągał ją do siebie, przytulał głowę do jej ciała. Nie było nic

więcej do powiedzenia, choć zapewniała go, że tyle jeszcze spraw zostało. W rzeczywistości wszystko już powiedzieli. Rozmawiali o jego śmierci tak często, zamieniając krótkie, pojedyncze zdania, że straciła ona całą swoją grozę i stała się czymś podobnym do nudnej podróży, w którą, wiedzieli oboje, będzie musiał w końcu wyruszyć. Jak odwiedziny u szacownego krewniaka, od których człowiek stara się wymówić, ale wie, że w końcu się tam wybierze, bo tak nakazuje obowiązek.

Anna znów pojawiła się na schodach. Osłaniając, tak jak przedtem, oczy przed słońcem, wypatrzyła w ogrodzie pochyloną sylwetkę, nabrała powietrza, aby zawołać, rozmyśliła się i zeszła na dół. Przecinała suche, wydeptane ścieżki, obrzeżone ułożonymi ukośnie ceglami. Po drodze z nawyku robiła porządki, zbierała obcięte suche gałęzie, pozostawione przez Lily. Wreszcie przykleknęła obok niej.

– Signora – powiedziała łagodnym tonem. – Proszę, niech pani przyjdzie. Nie mogę go odesłać. To ktoś, kogo pani zna.

– Ktoś, kogo znam? – Lily chwyciła Annę za przegub. Ta spojrzała najpierw na jej drżącą rękę, potem w pytające, zelektryzowane oczy. – Mówisz, że go znam? Anno! Znam go? – W każdym słowie większy ładunek nadziei.

Anna położyła swoją szorstką, twardą rękę na jej dłoni i potrząsnęła głową.

– Kochana, to nie on, nie. Pani wie, że to niemożliwe. – Wiedziała, że Lily jest na tym etapie żałoby, kiedy wciąż jeszcze ma się nadzieję. Rozumiała to, bo jej ukochany, ojciec jej syna, był partyzantem podczas drugiej wojny światowej, i został aresztowany, w więzieniu torturowano go i w końcu zabito. Potem nie było w jej życiu nikogo innego. – To ten od signory Grace: Cochrane, Johnny Cochrane.

Lily otrząsnęła się błyskawicznie. Rzuciła twarde spojrzenie w stronę willi, następnie popatrzyła tam, gdzie siedziała Grace, pochłonięta swoją robótką. Widziała kruchą, wrażliwą istotę, którą tak dobrze знаła i którą tak łatwo było złamać. Nie można pozwolić, aby znów została zraniona.

– On nie może się z nią spotkać, Anno. Ja z nim porozmawiam, ale bez względu na wszystko, on nie może się z nią zobaczyć.

Grace Teape, ciotka Lily, piękność i ozdoba towarzystwa, straciła męża w tym samym wypadku, który Lily uczynił sierotą. Mąż Grace i matka Lily – Michael i jego siostra Meriel – zostali w widowiskowy sposób roztrzaskani na kawałki, gdy sportowa łódź motorowa, którą Michael kierował, wywróciła się przy pełnej szybkości podczas wyścigu nieopodal Cowes, u wybrzeży wyspy Wight. Grace mogła być wtedy z nimi, gdyby poprzedniego dnia nie zwichnęła sobie kostki. Lily z nimi nie było. Nikt dokładnie nie wiedział, co się z nią dzieje. Miała sześć lat i na jakiś czas znalazła się poza kręgiem zainteresowania wszystkich, którzy się liczyli. Mówiąc po prostu, nie zostałyby sierotą, gdyby nie fakt, że Meriel była niezamężna i nigdy nie zdradziła, kto jest ojcem jej dziecka. Trudno powiedzieć, co było przyczyną: czy wstydziła się ujawnić swój romans, czy chciała być tajemnicza, czy po prostu nie wiedziała. W swoim czasie była dość bogata, aby pozwolić sobie na każdy z tych wariantów, później popadła w uzależnienie od kokainy, heroiny i mętnego politykierstwa. Przepuściła znaczną część majątku, zanim pełnomocnicy odcięli ją od funduszy.

Gdzieś tam, kiedyś tam, przyszła na świat Lily, z czego rodzina jej matki nie za bardzo zdawała sobie sprawę; Meriel nigdy ich o nic nie prosiła. Tylko ukochany brat, oficer królewskiej kawalerii, zadawał sobie trud, aby co jakiś czas odszukać Meriel i zafundować jej kosztowną kurację. Zawsze jednak wracała potem do mężczyzny, którego kochała: niewydarzonego, trzeciorzędnego terrorysty, który ściągał ją coraz głębiej i głębiej na dno. Właśnie po jednej z takich kuracji Michael i Grace zabrali ją na wyspę Wight, aby zażyła świeżego powietrza i nieco przyjemności. Wprawdzie wyścigi łodzi motorowych, sport bogatych mężczyzn, sprzeciwiały się w jakimś sensie jej przekonaniom, jednak pokusa była zbyt wielka, by się jej oprzeć.

Państwo Teape byli zdruzgotani śmiercią jedyne go syna. Co do jedynej córki, gdyby jej śmierć nie była tak mocno związana z tamtą, uznaliby, że w sumie dobrze się stało. To wielka ulga, że jej brudne życie przestało być ustawicznym zagrożeniem dla ich spokoju. Byli to starzy ludzie, zmęczeni wszystkim, co ich bezpośrednio nie dotyczyło, zamknięci w poczuciu wyższości, społecznych uprzedzeniach i dezaprobacie. Było za późno na jakiegokolwiek zmiany w ich monotonnej codzienności, więc obwarowali się wraz ze swoim smutkiem w ponurym, samotnym domu w Norfolk, dopóki nie stało się jasne, że gdzieś tam jest

mała dziewczynka, którą trzeba odnaleźć. Oczywiście, cały czas o tym wiedzieli, ale gdzieś przecież musi być ojciec, teraz jego kolej... Nie można od nich wymagać... Nie mogą przecież...

Lily została odnaleziona przez prywatnego detektywa, którego wynajęli pełnomocnicy jej matki, w jednej z gnieźdzących się na dziko komun północnego Londynu, sześć miesięcy po wypadku. Była umorusana, niedożywiona, ale grupa opiekowała się nią na swój przypadkowy, niesystematyczny sposób. Nie została bez środków do życia, bo resztki spadku po matce były dobrze zainwestowane, ale jeśli nie liczyć starych państwa Teape, była całkiem sama na świecie.

Państwo Teape ulegli perswazjom. „No cóż – powiedzieli – skoro jedyną alternatywą jest oddanie jej do adopcji, niech na razie zostanie u nas. Co za pech, doprawdy!”.

Miały to być jedynie odwiedziny, tymczasowe rozwiązanie, zanim wymyśli się coś konkretnego, państwo Teape nie podjęli więc żadnych kroków, aby zorganizować Lily życie na dłużej. Nie było sensu umieszczać jej w wiejskiej szkole, aby potem ją stamtąd zabierać – dla dziecka to więcej szkody niż pożytku. Bojąc się uczuciowego zaangażowania, pani Teape traktowała ją jak dorosłego gościa, znajomą znajomych, która przyjechała na tańce i wprosiła się na nocleg. Czasem w nagłym poczuciu obowiązku zajmowała się Lily, przerzucała jej nowe ubrania, energicznie zaplatała jej włosy i szorowała buzię flanelową ściereczką tak mocno, jakby chciała ją całkiem zetrzeć. Dla Lily te ręce były czymś zupełnie innym niż ręce obcych ludzi, którzy przytulali ją podczas sześciu samotnych miesięcy, okrywali w nocy kocem, pozwalali jej uczestniczyć w swojej miłości. Państwo Teape nie mogli, po prostu nie mogli pogodzić się z faktem, że ta dziewczynka o pospolitym głosie i prostackich manierach jest ich wnuczką. Należała do innego gatunku niż oni, no i w końcu, jedyne świadectwo, jakim dysponowali, pochodziło od ludzi z marginesu. Prawnikom to wystarczyło, ale oni wciąż czuli, że ktoś, gdzieś chce ich wykiwać.

Dwa miesiące, które Lily spędziła u państwa Teape, były jak dziura w czasie, wypełniona smutkiem i poczuciem zagubienia. Gdzie podzieli się wszyscy ludzie? Przywykła mieć wokół siebie wciąż zmieniające się, raczej przyjaźnie nastawione towarzystwo. Tęskniła za tym miejscem, gdziekolwiek ono było, i tęskniła za matką.

– Kiedy mama wróci? Gdzie ona jest?

– Twoja mamusia odeszła. Jest teraz z Jezusem. Rozumieszsz?

To „rozumieszsz?” było ulubioną odzywką starej Prudence Teape.



Protekcjonalny pytajnik, brzmiący w jej wydaniu bardziej jak „...umieszsz”, zdawał się z góry wykluczać możliwość jakiegokolwiek zrozumienia u rozmówcy.

– Kto to jest Jezus? Czy ja mogę tam pójść?

Lily rozumiała teraz, dlaczego ci starzy ludzie wciąż na coś czekali, próbując jakoś skrócić sobie czas. Czekali na wyjazd do Jezusa i Lily czuła, że wyglądają niecierpliwie tej chwili. Ona też nie mogła się doczekać.

Do Lily nie dotarło, że państwo Teape są jej dziadkami, że ta nieprzystępna pani o starannej fryzurze i zapadniętych policzkach to matka jej matki. Sądziła, że są po prostu jedną więcej parą przechodniów w jej życiu, co ostatecznie okazało się prawdą. Nie wiedziała, co to takiego krewni.

Spędzała dni w wysokim, nieużywanym pokoju dzieciennym, położonym na najwyższym piętrze domu. Jej samotne szurania i pobrząkiwania nie zakłócały panującej tu atmosfery martwoty: pokój, podobnie jak dziadkowie, zdawał się mieć w przeszłości niewiele do czynienia z dziećmi. Nigdy nie zapalano ognia na kominku. Lily samotnie wdrapywała się na wielkiego, malowanego konia na biegunach. Jego ciężkie poskrzypywanie pogłębiało panującą wokół ciszę. Bawiąc się lalkami i ołowianymi żołnierzami, zastanawiała się, kim są mały chłopiec i dziewczynka, których portrety w pastelowych kolorach ozdabiały z dwóch stron gzyms nad kominkiem. Była ciekawa, czy przyjdą i będą się z nią bawić na krostowatym linoleum, wyglądającym, jakby przeszło epidemię ospy. Kiedy pytała o to babcię, którą polecono jej nazywać Prudence, twarz kobiety przybierała zagadkowo łagodny wyraz, a policzki zaczynały drżeć. Lily patrzyła, z rozchyłonymi ustami, z głową przechyloną na bok, jak łza, rozpląnięta i bezkształtna, toruje sobie drogę z kącika oka. Właściwie trudno było to nazwać łzą; była tak samo zwiędła jak jej właścicielka.

– Dalej, idziemy, idziemy – głos w tej samej tonacji co łza – Henry cię potrzebuje, chce zagrać partyjkę wista przed podwieczorkiem. To daje podstawy brydża, rozumiesz, atut towarzyski dla młodej damy.

Lily trudno było pojąć zasady wista, ale gra sprawiała jej przyjemność, podobnie jak ciepło ognia płonącego w pokoju na dole. Po podwieczorku, o piątej, zostanie wysłana do łóżka. Nie wymagano od niej, żeby od razu zasnęła, ale powinna przebywać w pokoju dzieciennym, sąsiadującym z jej sypialnią, z lodowatą łazienką po przeciwnej stronie korytarza.

W jedno z takich popołudni, przy podwieczorku, Lily zabrała głos, dłubiąc w nosie („Nie rób tego, słyszysz?”) i wysysając masło z gorącego placka („Żuj, nie ssij, ...umieszsz?”).

– Kiedy moja mama... – zaczęła.

– Mamusia.

– ...kiedy moja mamusia już się urządzi u Jezusa, zabierze mnie do siebie.

Chciała w ten sposób jedynie uprzedzić, że nie będzie tu przebywać w nieskończoność. Myśl, że jest jakieś „gdzie indziej”, dawała jej poczucie ważności i była zadowolona, widząc, jak z westchnieniem wymieniają znaczące spojrzenia.

Wtedy Prudence powiedziała:

– Lily, jutro będziemy mieli gości. Twoja ciocia Grace przychodzi na obiad. Bardzo chce się z tobą zobaczyć. To żona twojego biednego wujka Michaela. Pamiętasz go?

– To ten Michael, który dawał mi prezenty, zanim zabrał mamę ze sobą?

– Tak... tak... dobry, kochany człowiek... – Drżenie, miękki ton. – Idź teraz do łóżka, Lily, i zamknij drzwi za sobą.

Zanim drzwi zdążyły się zamknąć, Lily usłyszała słowa Prudence:

– Ona nie jest jedną z nas, mogłabym przysiąc.

Nikt nie przyszedł powiedzieć jej dobranoc, ale tak było zawsze.

Grace była jedną z tych osób, w które wymierzone było ostrze dezaprobaty państwa Teape. Po pierwsze, była starsza niż Michael, teraz mogła mieć nawet trzydzieści pięć lat. Nie wyglądała na to, ale w jej młodzieńczym wyglądzie było podejrzanе wyrafinowanie. No i te jej oczy. „Ty też to zauważyłeś, Henry, nieprawdaż?” – światowy ton, pełen znajomości życia. Ojciec Grace, emigrant, był właścicielem sieci restauracji Steak House. Dlaczego Michael nie wybrał sobie kogoś z bezpiecznych i mile widzianych kręgów wojskowych, ze swojego własnego środowiska, tego nie byli w stanie pojąć.

No i w ciągu dziesięciu lat małżeństwa nie dała mu dzieci. Wokół krążyło mnóstwo plotek na temat przyczyn tego stanu rzeczy.

Ale teraz przyjeżdżała, pełna zainteresowania osobą Lily. Chciała się dowiedzieć, jak sobie radzą, więc przyznali, że wszystko to jest im bardzo nie na rękę. Być może uda jej się jakoś pomóc, powiedziała. Kto wie?

Lily była w pokoju dziecięcym. Śnieg na dworze sprawiał, że nieco rozproszonego, ołowianego światła przedostawało się do nieoświetlonego pokoju. Lalki były usadzone rzędem na wybrzuszonej, kretonowej kanapie, każda miała przed sobą książkę. Lily przemawiała do nich, naśladowując z niezwykłym talentem głos swojej babci:

– Nie umiecie czytać? Nawet zacząć nie umiecie? Nie, tego za wiele. –

Podtykała im wzory liter pod szklane oczy. – To jest „A”, słyszysz, he? To jest „B”, ...umieszysz, he? – Lily znała alfabet, ktoś ją go kiedyś nauczył. Pamiętała twarz, ale nie znała imienia. Pamiętała miejsce, ale nie wiedziała, gdzie to było.

– Lily! – rozległ się gdzieś z daleka głos Prudence.

– Lileej – powiedziała sama do siebie dziewczynka, bez złośliwości, czerpiąc po prostu przyjemność z odruchowego naśladowania, ze spontanicznego odbicia w akustycznym lustrze tego, co odbierało jej ucho. Zwracając się do lalek, dodała już własnym głosem: – I macie dużo przeczytać, zanim wrócę.

Lily opuściła pokój dziecinny, wyszła na klatkę schodową i powoli zbliżyła się do balustrady, chcąc ocenić, jakiego rodzaju gościem jest ciocia Grace. Nie była nieśmiałym dzieckiem, ku przerażeniu swoich dziadków, ale życie nauczyło ją podchodzić do ludzi nieufnie. Zdarzało się jej już w przeszłości dostać nieoczekiwane po uszach. Przekonawszy się, że nasłuchiwanie u szczytu schodów nic nie da, bo drzwi do położonego dwa piętra niżej salonu były zamknięte, jak każde zresztą drzwi w tym pełnym przeciągów domu, dziewczynka zeszła na dół.

Przekręciła niewygodną, ozdobną mosiężną gałkę, za wielką dla jej małej dłoni, i weszła do salonu. Ogarnęła ją fala ciepła, od której z miejsca zaczęło jej ciec z nosa. Płonące węgle napełniały pokój złotym blaskiem, wewnątrz było ciepło, przytulnie, zacisznie. Panująca na zewnątrz zima trzymana była na dystans, topniejąc na szybach, gdy tylko ośmieliła się zbliżyć. Wyprostowani jak dwa flagowe maszty, na których zwisały oklapnięte flagi, dziadkowie stali przy kominku, takim samym obronnym gestem trzymając przed sobą małe szklaneczki. W pokoju unosił się cudowny zapach, którego tam przedtem nie było, ale Grace, ciocie Grace, nigdzie nie było widać. Jeszcze po latach Lily pamiętała uczucie rozczarowania, jakie ją wtedy ogarnęło.

– No więc – powiedziała babcia tonem kontynuacji, choć przed wejściem dziewczynki w pokój panowała cisza – to właśnie ona.

Na stojącej tyłem do Lily kanapie coś się delikatnie poruszyło i ponad oparciem wyłoniła się górna połowa twarzy o jasnej cerze i zielonych oczach, z burzą jasnorudych włosów. Po obu stronach twarzy, na obitym perkalem oparciu kanapy, zobaczyła palce zakończone czerwonymi paznokciami. W ślad za tym poruszeniem ów zapach rodem ze snu uniośł się w rozgrzanym powietrzu, drżąc, wychodząc Lily na spotkanie, zanim wypowiedziane zostało pierwsze słowo. Brwi się uniosły, oczy zmrużyły się w uśmiechu, a niewidoczne usta powiedziały:

– Witaaaaj! Patrzcie no, jaka ślicznotka! Jesteś śliczna, naprawdę! – Cudowne zjawisko znikło, zwracając się z powrotem w stronę stojących przy kominku

gospodarzy, którzy mogli widzieć Lily bez odwracania się. Głos ciągnął dalej: – Nie powiedzieliście mi, że jest taka podobna do Meriel.

– Meriel miała czarne włosy. – W podtekście: Meriel była istotą ludzką.

– Ale jej twarz! Jej twarz! Ta śliczna, mała twarzyczka!

Państwo Teape wyglądali na zakłopotanych, był to stan, w jaki zawsze wprawiał ich czyjś entuzjazm.

Oczy, brwi, burza rudych włosów zwróciły się z powrotem w stronę Lily.

– Chodź. Podejdź tutaj i usiądź obok mnie.

Lily obeszła kanapę dookoła i ujrzała przed sobą smugę tęczowego koloru, coś delikatnego, jakąś eteryczną wibrację, jakby w tym prozaicznym pokoju wylądowała baśniowa postać. Ta piękna kobieta zdawała się nieustannie trzepotać. Nawet gdy siedziała całkiem nieruchomo, cierpliwie wyciągając do Lily ręce w geście powitania, wyczuwało się w niej jakąś nutę ożywienia, jakby nieustanny szum.

Lily nie mogła podejść z miliona powodów: bo miała brudne buty i usmarkany nos, bo nie mówiła „mamusia”, tylko „mama”, bo nie wiedziała, gdzie się wszyscy podziali i kto jest kim, bo lalki nie umiały czytać. Dlatego, że była tym, kim była, po prostu nie mogła się poruszyć, aż wreszcie kobieta, wciąż wyciągając ręce, przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się tak jakoś słodko i smutno.

– Chodź, kochanie, chodź do Grace! – Wtedy Lily podeszła. Podeszła i wyplakała wszystko w tęczowe jedwabie i kaszmiry.

Ramiona objęły ją, broda pieściła jej włosy. Lily nie widziała, ale czuła, jak Grace uwalnia jedną rękę. Spojrzała na tę dłoń, po czym wyciągnęła ją w stronę państwa Teape, mówiąc samymi wargami:

– Ona jest mokra!

Nie przejmując się obecnością Lily, Prudence powiedziała swoim beznamiętnym głosem. – No tak, mokra. Tak jest na okrągło. Ona się nie krępuje, nie ma dość rozumu.

Ręka powróciła jednak na swoje miejsce i objęła Lily, dokładnie tak jak przedtem.

Nawet gdy ma się sześć lat, umie się rozpoznać, że coś wisi w powietrzu. Lily wyczuła to już poprzedniego dnia, kiedy wspomniano o wizycie cioci Grace. Teraz, kiedy fragmenty toczącej się rozmowy docierały do jej świadomości, wiedziała, że coś się wydarzy. Od początku czuła się przypisana do Grace. Wkrótce wyruszą razem do Jezusa. Państwo Teape rozmawiali, jak gdyby Lily tam nie było, i dziewczynka nie odzywała się w ogóle, dopóki Grace znów nie zaczęła mówić o

niej.

– ...i wcale nie wychodzi na dwór. Uroki wsi jej nie interesują.

– Teraz jest śnieg. Jest zimno – powiedziała Grace.

– Ma ciepłe ubrania. Dzieciom zimno nie przeszkadza. Można lepić bałwana.

– Lubisz bałwany, Lily? – Grace zwróciła się, promienna, w stronę dziewczynki.

– Nie znam żadnego.

– Ależ bałwany robi się ze śniegu. To takie ludziki. Chciałabyś spróbować?

Lily przyjrzała się Grace podejrzliwie. Potem podeszła do okna, popatrzyła na białą równinę, na garby pokrytych śniegiem krzewów, na białe nic, białe nigdzie, i zapomniała, że powinna odpowiedzieć.

– Rozumiesz? – usłyszała głos Prudence.

– Lily? – Grace szybko podeszła do niej z tyłu, przykucnęła z szelestem niewidocznego jedwabiu, otoczyła dziewczynkę ramionami. – Nie podoba ci się na dworze?

– Za dużo powietrza.

– Tak, masz rację. Jest go bardzo dużo. – Kojący ton tego potwierdzenia spowitego westchnieniem sugerował, że Lily trafiła w jakąś nutkę wspólnego żalu. To ośmieliło ją, aby zapytać o sprawę, która ją trapiła.

– Gdzie się podziały wszystkie domy?

– Jesteśmy na wsi. Tu nie ma zbyt wielu domów. – Grace spojrzała na państwa Teape, potem znów na Lily, marszcząc czoło. – Czy byłeś już kiedyś na wsi?

Lily nie odpowiedziała. Nie rozumiała.

Uściskawszy lekko dziewczynkę, Grace podeszła do flagowych masztów.

– Czy byłaby szansa na jeszcze jednego drinka? – Miała większy kieliszek niż państwo Teape, a w środku coś innego niż oni.

– Teraz rozumiesz, co miałam na myśli, mówiąc, że jest dziwna – powiedziała Prudence, podczas gdy Henry guzdrał się przy kredensie z kieliszkami i butelkami. Nie przypomina nikogo z nas. Żadnej wiedzy, żadnej ciekawości. Obojętna, ospała.

– Myślę, że widziała rzeczy, o których nam się nawet nie śniło. Jest smutna, nieszczęśliwa i usiłuje sobie z tym na swój sposób poradzić. Tęskni też pewnie za domem.

– Za domem, rzeczywiście. Tęskni do slumsów? Mając tu wszystkie wygody? I skąd u ciebie tyle zrozumienia? Przecież nie masz dzieci.

– Przestań, Prudence, proszę cię. Nie po tym, cośmy wszyscy przeszli.

– W porządku, w porządku. Po prostu miło byłoby mieć wnuki.

– Ale... co w takim razie... – Grace pohamowała rozdrażnienie, odwróciła się plecami do Lily, która przyglądała się Henry'emu, myśląc, jak wspaniale musi smakować taki napój z kredensu, po czym, zniżając głos, powiedziała: – Przecież, na litość boską, macie wnuczkę!

– Przykro mi, ale z każdym dniem jestem o tym mniej przekonana. Mam coraz większą pewność, że musiała tu zajść pomyłka. Instynkt mówi mi, że to nie jest ktoś z nas. A obce dzieci, tak jak obce psy, nigdy mnie nie interesowały.

– Cśśś... – syknęła błagalnie Grace.

– Ona nie słucha. Nigdy nie słucha. Żyje w swoim własnym świecie.

W rozmowie nastąpiła przerwa. Grace wróciła na swoje miejsce na kanapie. Jej wygląd zdradzał dziwne poruszenie i Lily postanowiła ją o coś zapytać:

– Czy znasz Jezusa? Grace podniosła wzrok i tym samym tonem, pełnym zrozumienia, że na świecie jest całe mnóstwo rzeczy do przedyskutowania, powiedziała:

– Nie tak dobrze, jak powinnam. A ty go znasz?

– Nie, tylko Prudence powiedziała, że mama jest u niego, więc pomyślałam, że gdybyś się tam wybierała, to mogłabyś wziąć mnie ze sobą.

– Rozumiem... – I zwracając się do Prudence: – Więc nie wytłumaczyłaś jej?

– Wydawało mi się, że to zrobiłam.

– Jak będziemy lepić bałwana, a myślę, że ci się to spodoba, porozmawiamy o tym, co mamusia porabia u Jezusa.

Podczas obiadu Grace rozmawiała coraz więcej z Lily, a coraz mniej z jej dziadkami, którzy zaczęli w końcu mówić o innych sprawach. Uwaga Grace oderwała się od Lily tylko raz, kiedy Prudence powiedziała do Henry'ego:

– Robią to w szopie. Słyszałam ich.

– Kto? – Grace była szczerze ubawiona.

– Rozmawialiśmy o ogrodniku i jego żonie. Nie sądziliśmy, że słuchasz.

– Więc mówicie, że te leciwe istoty pieprzą się w szopie na narzędzia? To kapitalne!

– A niech cię licho! Oni gotują! Pichcą na turystycznej kuchence, kiedy powinni pracować! Mój Boże, zdaje się, że nic się nie zmieniłaś. Można by się spodziewać, że żałoba wpłynie na ciebie choć trochę.

– Chodź, Lily. Zrobimy bałwana! Zobaczysz, jaka to ładna zabawa.

Grace opatulila Lily w ciepłe ubranie, kazała jej włożyć wysokie botki i wyprowadziła ją na dwór, zabierając marchewkę, parę węgielków i dwie śmietniczki.

Lily stała bez ruchu ze śmietniczką w ręku, obserwując Grace, która kręciła się tu i tam, ubrana w futro koloru przybrudzonego śniegu. Przyglądała się, jak wbija śmietniczkę w śnieg, jak zgarnia go na stertę.

– Dalej, Lily! Rób to samo!

Dziewczynka spróbowała. Uczucie chłodu na rozgrzanej twarzy było przyjemne. Grace zrobiła wyścig, który Lily była w stanie wygrać: która z nich szybciej usypie większą górę śniegu.

W pewnej chwili Grace przewróciła się, Lily wybuchnęła śmiechem, oberwała za to śniegiem i nie przestając się śmiać, zaczęła rzucać śnieżnymi kulami w Grace.

Melodia tego śmiechu, unosząca się w błękitnym, mroźnym powietrzu, przyciągnęła do okien dwie twarze o ziemistej barwie. Starzy ludzie obserwowali przez zapotniałe szyby rozgrywającą się w nagrzanym powietrzu scenę. Widzieli spektakl dzieciństwa odgrywany przed ich oczyma i myśleli: „Tak, to prawda... Tak to kiedyś wyglądało”. Po czym odwrócili się do tej całej zabawy plecami.

Kiedy pryzma śniegu osiągnęła wysokość Lily, Grace powiedziała, nie przerywając pracy:

– Lily, jeśli twoja mama jest u Jezusa, to nie jest to ktoś, do kogo można tak po prostu wpaść. Zresztą nie ma wcale pewności, czy ona w ogóle tam jest. Jedno jest pewne, że znalazła w końcu swoje „długo i szczęśliwie”. Słyszałaś o tym? – Lily pokręciła głową. – To jest coś, czego wszyscy szukamy. Mamusi nie udało się znaleźć tego tutaj, ale jestem pewna, że znalazła to gdzie indziej, więc nie może teraz wrócić. Widzisz, nikt nie może tam pójść, zanim nie spróbuje znaleźć tutaj swojego „długo i szczęśliwie”. Ja wciąż jeszcze szukam. Myślałam, że to znalazłam, kiedy poślubiłam twojego wujka Michaela... – Grace zapatrzyła się w dal, przerzucając machinalnie kulkę śniegu z ręki do ręki. – ...ale, mój Boże, tak się nie stało. – Jej blask nagle przygasł, sylwetka odcinała się teraz płasko od bielszego niż chwilę wcześniej tła.

Lily czuła, że ta cudowna istota za chwilę zblednie zupełnie, zamarznie i złamie się niczym kruche, obciążone śniegiem gałązki rosnących wokoło drzew. Podeszła więc i pociągnęła ją za rękę, wytrącając z niej śniegową kulkę. Grace ocknęła się z odrętwienia i spojrzała na dziewczynkę.

– Lily, czy chcesz szukać razem ze mną swojego „długo i szczęśliwie”? Chcesz ze mną zamieszkać? – Z niezrównaną powagą istot bardzo młodych Lily wolno poruszyła głowę w górę i w dół. – Naprawdę chcesz, Lily? – Ponowne kiwnięcie głową. Grace chwyciła ją na ręce i okręciła wokół siebie. – Lily, kochanie, będzie wspaniale, po prostu wspaniale, wspaniale, wspaniale! – Postawiła ją z powrotem

na ziemi. – Teraz musimy przede wszystkim skończyć naszego bałwana. To będzie najwspanialszy bałwan pod słońcem. Będzie cudowny. Chodź, nie objijamy się.

Zbudowały postać wyższą od Grace, z ubitego śniegu uformowały skrzyżowane na piersiach ramiona, odcisnęły wzdłuż korpusu linię rozdzielającą nogi. Razem utoczyły ze śniegu wielką kulę, którą Grace umieściła ostrożnie na barkach, rękami nadając szyi odpowiedni kształt.

– No, czy on nie jest wspaniały? Czy nie jest cudny? – powtarzała.

Potem podniosła dziewczynkę, która wetknęła marchewkę w miejsce nosa i węgielki zamiast oczu.

– Dalej, Lily! Teraz musimy dokonać formalnej prezentacji.

Trzymając się za ręce, oddaliły się nieco, potem odwróciły się i wolno podeszły do bałwana.

– Witamy – powiedziała Grace, dotykając śniegowego ramienia. – Jestem Grace Teape, a to moja przyjaciółka Lily. Szukamy naszego „długo i szczęśliwie” i potrzebujemy pomocy kogoś tak wspaniałego jak ty. Co ty na to? – Przysunęła ucho do śniegowej twarzy, jakby bałwan miał jej powierzyć jakiś sekret. Potem, wsparta pod boki, odwróciła się na pięcie w stronę Lily. – Zgodził się, Lily. Zgodził się!

Dziewczynka stała bez ruchu. Grace opuściła ręce. Co się stało, Lily?

– Czy mama nie żyje?

– Tak, kochanie, nie żyje – powiedziała Grace. – Wracajmy do domu – dodała po chwili łagodnym tonem. – Robi się chłodno.



### 3

Nastąpiło dzieciństwo. W pamięci Lily zatarło się, czy opuściła dom starych państwa Teape tego samego dnia, czy wkrótce potem. Wiedziała tylko, że od tej pory jej życie opromieniała złocista aura Grace, że była znów wśród domów, pośród odgłosów miasta.

Grace urządziła dla Lily pokój w swoim mieszkaniu, na północ od Regent's Park. Tak w pojęciu Grace miał wyglądać wymarzony pokój, jaki każda mała dziewczynka powinna mieć: wąskie łóżko z baldachimem i falbankami, toaletka z draperiami w tym samym kolorze. Szafa była pełna ubrań, ale Grace co chwila przynosiła coś nowego: sukienkę, żakiet, płaszcz. „Jak ci się podoba, Lily? Całkiem niezłe, prawda?”.

Rytm życia Lily wyznaczały lekcje gry na pianinie, lekcje tańca, ceremoniał wspólnego picia herbaty i wieczornej lektury. Grace wydawała dla Lily przyjęcia i organizowała wyjścia do teatru z jej szkolnymi przyjaciółkami. Czasem w słoneczny dzień zabierała ją na wieś. Lily mogła wtedy zostać do późna na dworze, spacerować razem z innymi w wieczornym chłdzie, o tej porze, którą nazywała „lodowym zmierzchem”, bo wtedy wolno jej było kupić loda za swoje własne pieniądze, aby delektować się nim w czasie przechadzki, przyglądając się obcym tłumom, z ręką bezpiecznie złożoną w dłoni Grace.

Niezwykłe otoczenie, w jakim żyła Lily, budziło zaciekawienie i pewną zawiść szkolnych koleżanek. Zazdrościły jej pięknej pani, wyglądającej bardziej na przyjaciółkę niż na matkę, która odbierała ją codziennie ze szkoły. Było więc wszystko, czego potrzeba, aby dokumentnie zepsuć dziewczynkę, ale tak się nie stało. Lily pozostała wdzięcznym i spokojnym dzieckiem. Nie była nieśmiała, tylko nieco wyciszona, jakby sprawiła to mądrość nabyta w jakimś innym życiu.

Grace urządziła też własne przyjęcia. Zaczynały się one jako stateczne zebrania, a kończyły eksplozją wesołości, która w pewnym momencie ulatniała się przez bramę, gdy wszyscy szli gdzie indziej dać upust szampańskim humorom. Lily była już wtedy w łóżku, pod opieką dobrej, zaufanej kobiety, która przychodziła, ilekroć była potrzebna. Leżała, wsłuchując się w ciszę, która zapadała w mieszkaniu po zatrzaśnięciu drzwi, w wesołe głosy, rozlegające się gdzieś na dole, coraz dalej i dalej.

Lily miała osiem lat, kiedy brat Grace, Oliver Cary, powrócił z dalekiej podróży i zamieszkał piętro niżej.

– Gdzie go nie było, Lily: Chiny, Indie, Afryka, pomyśl tylko: Afryka! A wiesz, co mój braciszek robił w Afryce? To najbardziej zdumiewające ze wszystkiego: spał! Czy to nie dziwne? Coś w rodzaju śpiączki. Ale to do niego podobne, zapaść w sen i przespać kilka miesięcy. Jest taki kochany. Wiem, że go polubisz.

Sposób, w jaki Grace się o nim wyrażała, sugerował, że będzie to dziecko lub przynajmniej ktoś niewielkich rozmiarów. Toteż Lily była zdumiona, kiedy pewnego dnia, po powrocie ze szkoły, przedstawiono jej wielkiego, cichego mężczyznę o powolnych ruchach, którego długie kończyny zdawały się zbyt luźno przytwierdzone do tułowia.

– To jest mój mały braciszek, Lily. Oliver, to jest Lily – powiedziała Grace, pełna miłości i dumna z obojga.

Oliver, stojąc pośrodku swojego wciąż jeszcze pustego mieszkania, wyglądał jak duży znak zapytania: ramiona pochylone, łokcie ugięte, ręce rozłożone w pytającym geście.

– Cześć, Lily. Chcesz piwa? – zagadnął. – Po czym, schylając się, aby dostosować swoje wymiary do wzrostu dziewczynki, zapytał: – Chciałabyś obejrzeć zdjęcia? – W jego głosie, tak jak w głosie Grace, brzmiała nuta zaproszenia, któremu nie można się oprzeć. Zdjęcia rozłożone były na całej podłodze. Widniały na nich czarnoskóre dzieci, przywarte, jak przerażone insekty, do piersi i pleców swoich matek, wojownicy o wrzecionowatych nogach, trzymający w rękach włócznie, tusze zwierzęce, bukłaki na wodę, oraz wszechobecny brud i pył.

W wieku dwudziestu pięciu lat Oliver Cary był już znany ze swojego fotoreporterskiego dorobku, dokumentującego los wędrownych plemion, ludzi dotkniętych głodem i wojną na wszystkich krańcach świata.

Jego przedwcześnie posiwiałe, wijące się włosy tworzyły naturalny rozgardiasz. Gdy się je zaczesano prosto, znów zaczynały się układać po swojemu. Bezpretensjonalny strój był niewymuszoną mieszaniną celowości i przypadku, którą można osiągnąć jedynie pewnym staraniem. Z poznaczoną bruzdami twarzą wyglądał na więcej lat, niż miał w rzeczywistości. Sprawiał wrażenie dużo starszego od Grace. Był opalony i osmagany wiatrem, a jego oczy pod niskim czołem i ciężkimi powiekami miały niepokojący, siwy odcień dali. Lily pomyślała: Afryka. On wróci do Afryki.

Oliver Cary stał się dopełnieniem ich świata, nigdy nie będąc naprawdę jego częścią. Przyjemne było poczucie jego obecności piętro niżej. Rzadko uczestniczył w przyjęciach urządzanych przez Grace, życie towarzyskie nie bardzo go

pociągało. Kiedy Lily podrosła, zaczęła sama wracać ze szkoły. Gdy wchodząc na górę po schodach, mijała jego drzwi, zatrzymywała się zawsze i przez chwilę nasłuchiwała. Lily wydawało się, że mimo tak zwyczajnej powierzchowności jest w nim coś ulotnego, że któregoś dnia zobaczy przypiętą na drzwiach kartkę: „Wyjechałem do Afryki”. Była zbyt powściągliwa, aby zapukać i porozmawiać, choć miała na to ochotę. Zresztą, rzadko bywał w domu.

Grace i Oliver – ona blisko, on dalej – ich przyjaciele, ich rozrywki, rozświetlały jasnym blaskiem szlak dzieciństwa Lily. Wszystko to było bardzo radosne.

Nie wiadomo więc, czemu którejś nocy Lily obudziła się nagle bez powodu, jak gdyby jakiś ruch czy dźwięk wyrwał ją nagle ze snu. Usiadła i w nogach łóżka dostrzegła skuloną sylwetkę; ponad wszelką wątpliwość była to Grace. Lily wyciągnęła rękę nad kołdrą, dotknęła kruchej jak trzcina postaci. Grace schwyciła tę rękę i przycisnęła do mokrej od łez twarzy, całując jej palce i powtarzając: – Lily, Lily, wszystko się jeszcze ułoży, zobaczysz... Któregoś dnia znajdę kogoś wspaniałego i swoje „długo i szczęśliwie”. Naprawdę... przyrzekam. Nie martw się. – I rozszlochała się na dobre.

Innej nocy dziewczynka obudziła się w podobny sam sposób i znów spodziewała się, że zobaczy Grace, ale okazało się, że jest w pokoju sama. Wyszła z łóżka. Zawsze spała twardo i nie przypominała sobie, żeby wcześniej coś takiego się zdarzyło. Na zewnątrz było ciemno i cicho, ale mieszkanie nie spało. Było czujne i groźne, zupełnie inne niż w dzień.

Ruszyła korytarzem, niegdyś tak bezpiecznym, gdzie wszystkie znajome sprzęty – sekretarzyk, na którym leżały klucze Grace, krzesło, na które Lily rzuciła swój płaszcz – były teraz jedynie symbolami dawnego komfortu. Zatrzymała się pod drzwiami sypialni Grace, na drugim końcu korytarza. Słyszała, jak za drzwiami Grace nuci, ale nie, to nie było nucenie, raczej niekontrolowane jęki. Lily bała się otworzyć drzwi. W tym dźwięku było coś takiego, że bała się, iż po drugiej stronie drzwi ujrzy jakąś dziką, porośniętą futrem istotę o płonących oczach. Wtedy pojawił się drugi dźwięk, w dziwnej harmonii z pierwszym, a potem głos Grace: „Ja umrę, umrę...”.

Strach ustąpił miejsca panice i Lily otworzyła drzwi. Pokój rozjaśniało intymne, przytłumione światło. Jej oko przyciągnął jakiś ruch: nogi Grace, białe i bezwładne, zwisały z jednej strony łóżka, palce dosięgały podłogi. Jej ciało znikło. Tam, gdzie powinno być, znajdowało się inne, lśniaco czarne, i to stamtąd dochodził ów głęboki dźwięk: rodził się w gardle, i nie znajdując ujścia, cichł i

zamierał gdzieś wewnątrz. „Nie, nie, proszę” – głos Grace wydobywał się spod masywnej postaci.

Lily chwyciła pantofel na szpilce, ozdobiony przy nosku pękiem różowych strusich piór, i wskoczyła na plecy tego kogoś, czując, jak unoszą się i opadają pod jej gołymi nogami. Zaczęła dźgać w nie obcasem raz za razem, słysząc, jak zmienia się ton dochodzących ją odgłosów. Zobaczyła małe otworki, które obcas zrobił w brunatnej skórze. Z niektórych tryskała krew, plamiąc jej skórę i włosy. Potężne ramię sięgnęło, aby ją zrzucić i nagle znalazła się naprzeciwko tego człowieka. Jej stopy, ślizgając się i odpychając, natrafiły poniżej brzucha na coś jeszcze, to coś wyrastało w miejscu, gdzie nie powinna się znajdować żadna kończyzna. Czarnoskóry mężczyzna odrzucił głowę do tyłu i śmiał się, odsłaniając białe zęby na bardzo różowym tle. Podniósł ją wysoko, aż pod sufit, i z tej zawrotnej wysokości, poprzez różowość i czerń, zobaczyła to coś, czego dotknęła jej stopa, sterczące gładko z ciała jak krótki, mocna gałąź, na końcu bardzo różowa, jeszcze bardziej niż otwarte usta. Niżej, w kłębowisku prześcieradeł i poduszek, ujrzała Grace, z nocną koszulą gdzieś koło szyi.

Lily opadła na podłogę i wybiegła z pokoju, mając w uszach krzyk Grace: „Lily... Lily!”. Wiedziała, że Grace wzywa pomocy, ale sama nie mogła nic zrobić. Szarpnęła łańcuch blokujący drzwi wejściowe i wybiegła w chłód klatki schodowej, do położonego piętro niżej mieszkania Olivera. Nacisnęła dzwonek obiema rękami, całym ciężarem ciała, płacząc i mówiąc do siebie: „Proszę, bądź w domu. Nie wyjeżdżaj jeszcze!”.

Oliver otworzył drzwi. Był ubrany, na nosie miał okulary w ciężkiej oprawie, jego twarz nosiła ślady zmęczenia wielogodzinną pracą.

– Co... – tyle tylko zdążył powiedzieć.

– Czarny człowiek morduje Grace... On ją zabije... Proszę... Proszę... – ciągnęła go Lily.

– O mój Boże! – Wybiegł natychmiast, wyprzedzając ją, popędził na górę, ale w jego głosie, kiedy powiedział „O mój Boże”, było coś dziwnego, jakby ton zmęczenia i rezygnacji.

Gdy dotarli na górę, z pokoju Grace dochodził histeryczny krzyk, a czarny mężczyzna stał w korytarzu, w spodniach i rozpiętej koszuli, wciskając na głowę coś, co wyglądało jak robiony na drutach kapturek na imbryk do herbaty. Na widok Olivera podniósł ręce do góry, dłońmi na zewnątrz, demonstrując swoją przerażoną i zdumioną niewinność.

– Ja nic, ja nic! To pieprzenie... z tą panią... i weszło to dziecko... Ja żadnej

krzywdy, nikomu!

Ku przerażeniu Lily, Oliver powiedział tylko:

– Dobrze, dobrze, widzę, idź już! – i ruszył szybko do pokoju Grace.

Przez chwilę Lily została sama z mordercą, z potworem, którego chwilę wcześniej zaatakowała. On ruszył w kierunku wyjścia, mijając ją, zatrzymał się, spojrzał na nią i całkiem bez złości, tylko z żalem i urazą powiedział:

– Cholerna smarkula! To naprawdę bolało!

Lily podeszła do otwartych drzwi sypialni. Ujrzała plecy Olivera, trzymającego w rękach szlafrok Grace.

– Włóż to, na litość boską, ubierz się! – powtarzał. Jego głos brzmiał gniewnie, zupełnie nie tak, jak powinno się rozmawiać z niedoszłą ofiarą morderstwa. Lily zapragnęła podejść i pocieszyć ją, skoro on nie miał takiego zamiaru. – Przestań płakać, Grace – powiedział.

– Nie mogę. Ona widziała. Widziała!

– To się musiało stać prędzej czy później. Co ty wyrabiasz? Jesteś szalona!

– To silniejsze ode mnie. Nie widzisz, że jestem samotna? Nie rozumiesz?

– Jesteś chora, nie samotna. Czy spotkałaś go kiedykolwiek przedtem?

– Nie... ale był dla mnie taki... taki dobry. Taki cudowny!

Lily ujrzała, jak Oliver chwyta się z rozpaczą za głowę. Odwrócił się, jak gdyby nie mógł tego słuchać, i wtedy ją zobaczył.

– Ojej, Lily! – powiedział, ogromnie zafrasowany. I odwracając się z powrotem do Grace: – Słuchaj, ona tu stała przez cały czas. Nie wiem, co mam z nią zrobić. Nie znam się na małych dziewczynkach.

Ale Grace znów popadła w histerię.

– Ona widziała... widziała, a teraz jeszcze słyszała!

Zbita z tropu i wystraszona, Lily podeszła do Olivera i podniosła na niego oczy.

– Przepraszam. Chciałam tylko pomóc.

Na przekór sytuacji, która wydawała się Lily dramatyczna, Oliver spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Cóż, możliwe, że ci się to udało. – Lily pomyślała, że jest naprawdę dziwny: najpierw zostawia ją samą z mordercą, potem uśmiecha się, kiedy nie trzeba. – Chodź – powiedział. – Spróbuję położyć cię do łóżka.

– A co z Grace?

– Grace na pewno wołałaby, żebyś leżała już bezpiecznie w swoim łóżku. Wróć tu do niej za chwilę.

Rytuał układania Lily do snu wprowadził Olivera w zdumienie.

– Pinokio tutaj, miś tam, przytulanka obok mnie.  
– Nie zostanie miejsca dla ciebie.  
– Zostanie. Zobacz, wchodzę w ten sposób...  
– Wielkie nieba! Nie byłoby z ciebie pożytku na wyprawie. Za dużo z tobą ceregieli.

– Wracasz tam?

– Dokąd?

– Na wyprawę.

– Nie, skądże.

– Nie wyjeżdżaj.

– Chcesz, żebym został?

– Uhum.

– Zobaczmy... Światło zgasić, drzwi zamknąć... No, to pa, pa.

Zanim drzwi się za nim zamknęły, Lily zawołała:

– Nie tak, źle!

Wsunął głowę z powrotem.

– Niemożliwe.

– Nie pocałowałeś mnie.

– To też powinienem zrobić?

– Pokażę ci jak. – Obejmując go za szyję, zasypała go gwałtownie gradem suchych, dziecinnych pocałunków: policzki, czoło, usta, powieki. – Dobra, teraz ty – powiedziała.

– Bardzo to wszystko skomplikowane – mruzczał do siebie Olivier, wychodząc z pokoju.

Lily wychowywała się w tak głębokim poczuciu bezpieczeństwa, że ten nocny incydent wcale go nie zakłócił. Upewnił ją tylko, że dorośli są bardzo dziwni. Był to też ważny krok w kierunku dojrzałości. Zaczęła dostrzegać i uznawać, że Grace ma własne, niezwiązane z nią potrzeby. Nie rozumiała ich wprawdzie, ale pamiętała słowa, które wtedy usłyszała: „Nie widzisz, że jestem samotna?”.

Dobra Grace, jasna Grace, Grace humoru, zwierzeń i czułych pocałunków na dobranoc, była dla Lily wszystkim. Stopniowo dziewczynka stała się jej powiernicą i współniczką w poszukiwaniu wymarzonego „długo i szczęśliwie”, poszukiwaniu, które powoli, lecz nieuchronnie nabierało coraz większego rozpędu.

Minęło wiele miesięcy, zanim Lily znów napotkała tę obcą istotę mieszkającą w ciele Grace: przerażoną, rozhisteryzowaną, mówiącą o samotności. Wyszła z ukrycia, przywołana naturalnym zwrotem w życiu Olivera.

– Czy mogłybyście przyjść do mnie na dół dziś wieczorem, powiedzmy o siódmej? Chciałbym wam kogoś przedstawić.

– Kto to taki?

– Ktoś bliski. Przyjdźcie proszę, to dla mnie ważne.

Oczywiście poszły. Grace przygotowała się z dużą starannością. Wpatrzona w swoje odbicie w lustrze, robiąc grymas przy nakładaniu tuszu do rzęs, zapytała:

– Ach, Lily, kto to może być? Oliver jest taki tajemniczy, taki skryty. Nigdy nie widzimy jego przyjaciół. To będzie naukowiec albo badacz, ktoś poważny, niezwykle i dzielny jak Oliver.

Opuściły wypełnione przedmiotami pokoje Grace, wkraczając w powściągliwy umiar mieszkania Olivera. To, co kilka lat wcześniej wydawało się Lily puste i nagie, było teraz stanem naturalnym, z tą różnicą, że teraz na podłogę rzucony był tu ówdzie wschodni dywanik o wystrzępionych brzegach, a kilka podobnych wisiało na ścianach. I wszędzie fascynujące przedmioty, porozmieszczane jak strażnicy przeszłości Olivera: wielkie siodło z rynsztunkiem, i zwiniętą owczą skórą w jukach, naturalnej wielkości postać wojownika, trzymającego w ręku dzidę, potężna misa żółtobrunatnej barwy, tak wielka, że można by w niej usiąść. Dziwne przedmioty, duże i obce, każdy inny, mający własną indywidualność, nie tworzyły harmonijnej całości. Kwiatów nie było, tylko paprocie i inne zielone rośliny, nasycające otoczenie swoją barwą.

Fotele i dwie kanapy obite skórą dawały przy dotknięciu raczej odczucie chłodu niż ciepła. Ale dzięki Oliverowi mieszkanie miało w sobie ciepło, budziło ciekawość i zapraszało do środka. Jak on, miało swoją indywidualność, zachowywało dystans, a jednak było przystępne.

Kiedy przyszły, był sam.

– Cześć Lily. Chcesz piwa? – Stało się to zwyczajowym powitaniem. Lily nie

mogła się doczekać dnia, kiedy będzie mogła bezkarnie odpowiedzieć twierdząco. Wprawdzie piwo, którego miała okazję spróbować, wydawało jej się obrzydliwe, ale wierzyła, że przyjęcie poczęstunku pogłębi i przypieczętuje ich przyjaźń.

Grace, czujna i podekscytowana, usadowiła się na nieprzyjaznej, skórzanej kanapie, pytając półgłosem:

– Gdzie on jest?

Oliver zmarszczył brwi.

– Kto?

– Twój przyjaciel.

Oliver uśmiechnął się do niej zagadkowo i powiedział:

– Spóźnia się trochę. Pewnie ma spotkanie. Będzie w domu lada chwila.

– W domu?

– Tak, w domu.

– On tu mieszka?

Oliver przykucnął naprzeciw Grace, podając jej drinka, którego dla niej przygotował. Dłonie, złożone czubkami palców, opuścił między kolana. Spojrzał spod oka na siostrę, a jego zagadkowy uśmiech stał się pełen serdeczności.

– Dlaczego zakładasz, że to „on”, Grace?

– No... no, myślałam, że to jakiś naukowiec, twój kolega, ktoś w tym rodzaju.

– Ta osoba jest dziennikarzem. Bardzo zdolnym.

– To „ona”?

– Tak.

– I mieszka tutaj?

Jego uśmiech wyrażał teraz zdziwienie z domieszką zniecierpliwienia.

– Grace, dlaczego jesteś taka zaskoczona? Sprawiasz nawet wrażenie nieco zaszokowanej. Nie ma powodu.

Dłoń Grace zatrzepotała i pobiegła do szyi.

– Zaszokowana? Nie... nie, po prostu myślałam, że spotkam mężczyznę, to wszystko. Spodziewałam się mężczyzny, a okazuje się, że to ktoś, z kim mieszkasz... jakaś kobieta. Jestem po prostu... po prostu...

– To kobieta, którą zamierzam poślubić. – Grace nabrała tchu, podczas gdy Oliver ciągnął dalej: – Sądziłem, że domyślisz się po sposobie, w jaki was zaprosiłem. Nie cieszysz się?

– Jesteś taki młody.

– Mam dwadzieścia osiem lat.

– Naprawdę? Już tyle? – Odwróciła twarz. – To wszystko dzieje się tak szybko.



O wiele za szybko.

Lily podeszła do Grace, wzięła ją za rękę i powiedziała do Olivera:

– Bardzo się cieszymy, prawda Grace?

– Cieszymy się... tak, cieszymy – wykrztusiła Grace, nie patrząc na żadne z nich.

W rzeczywistości Lily wcale się nie cieszyła. To było tak, jakby zastała na drzwiach wiadomość, której się obawiała: „Wyjechałem do Afryki”. Wyruszył w drogę sam, bez nich. Czowała się oszukana, sama nie wiedząc dlaczego. Może sprawił to dziwny nastrój Grace, którego wpływ od tak dawna naznaczał jej życie. Ale sama też rozumiała, że Oliver się oddala, że zmierza dokądś, zostawiając ją z tyłu.

– Nazywa się Melissa Coulson – powiedział Oliver, aby rozładować napięcie.

– Melissa Coulson? – To podziałało. Grace była zaciekawiona. – To ta, która ma swoją rubrykę w „Observerze”? To sławna osoba.

– Zgadza się. Znamy się od jakiegoś czasu. Spotkałem ją w Afryce, kiedy pracowała jako ochotniczka, a ja wędrowałem z plemionami Sahelu. Chciałem zrobić rodzaj fotoreportażu o klęsce głodu, która ich dotknęła. Nikt wówczas o tym nie wiedział, nawet ochotnicze służby, które działały na tamtym terenie. To właśnie mieszkańcy Sahelu byli tematem mojej książki. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam. – Grace była poirytowana.

– Zwróciłem się więc do niej, a ona przyłączyła się do nas i razem towarzyszyliśmy im w dalszej wędrówce. Byli tak zdesperowani, że ciągnęli do miast. Wyobraź sobie: koczownicze, pasterskie plemiona, które głód i rozpacz pchały do miasta. To było straszne. Melissa była wstrząśnięta. Pozostała z nami chyba jakiś miesiąc czy dwa, dopóki nie zapadłem na swoją chorobę.

– Wyjechała, kiedy zachorowałeś?

– To nie tak. Musiała wyjechać i powiedzieć światu o losie tych ludzi, którzy umierali tysiącami. Ja z moją absurdalną śpiączką byłem najmniejszym problemem. Tam patrzy się na życie, chorobę, śmierć z innej perspektywy, Grace. Ale może trzeba tam być, żeby to zrozumieć. W każdym razie Melissa wróciła do Anglii, ale BBC nie dało wiary jej doniesieniom o klęsce głodu. Brak wystarczających dowodów, powiedzieli. Więc pojechała do Ameryki i wystąpiła w telewizji ABC. Przez jakiś czas była tam wielką rewelacją i, rzecz jasna, to wyrobiło jej markę również i tutaj. Jest wspaniałą kobietą, Grace. Cały swój czas i energię poświęca dla dobra innych.

– To wspaniałe! – Po tych peanach każdy komentarz musiał wyglądać na wymuszony.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Oliver podniósł się, spojrzął na Grace. W jego wzroku nie było prośby, lśniła w nim zapowiedź niespodzianki. Na Lily spojrzął mimochodem, jakby była nieliczącym się dodatkiem do Grace.

W drzwiach stanęła młoda, ciemnowłosa kobieta. Jej wrodzona witalność była tak duża, że nawet gdy stała nieruchomo, uśmiechając się, patrząc, obejmując ich wzrokiem, zdawała się wibrować. Nie była umalowana. Miała jasną cerę, czerwone usta, wyraziste, niewymagające podkreślania oczy. Ubrana była w obcisłe dzinsy i długi zakiet. Zsunęła z ramienia torbę, położyła ją na krześle i weszła do pokoju energicznym, męskim krokiem, dziwnie niepasującym do jej delikatnej postaci. Zdecydowanym gestem wyciągnęła rękę do Grace i do Lily.

– Witajcie, jestem Melissa. Strasznie chciałam was poznać, ale człowiek jest tak idiotycznie zaganiany. Prawda, Oliver? – dodała, całując go w policzek. Przytaknął i miał się właśnie odezwać, kiedy Melissa nagle przybrała taką samą pozę jak przed chwilą przy drzwiach, pełną energii: wskazujący palec prawej ręki celował w Olivera, lewej – w Grace i Lily. – Wiem! Powiedział wam, prawda? – Uśmiechnęła się szeroko.

Grace wstała, uwalniając swoją ciepłą dłoń z dłoni Lily.

– Drodzy, moi drodzy! – Przyciągnęła Olivera i Melissę do siebie. – Jestem taka wzruszona, taka szczęśliwa!

Wyraz zaskoczenia i rezerwa znikły bez śladu, Grace promieniała teraz, tak jak tylko ona potrafiła. Znała wszystkie towarzyskie sposoby i sposobiki, zawsze umiała się zachować stosownie do chwili, nigdy nie sprawiła nikomu zawodu. Wysoka, piękna Grace, bywalczyni przyjęć, dusza towarzystwa, objęła Melissę, intelektualistkę, dziennikarkę, kobietę z misją, rzutką i przebojową absolwentkę oksfordzkiego kolegium Somerville. Objęły się, w jednej chwili uznając, akceptując i ignorując to, co druga z nich reprezentuje.

– Czy będzie uroczysty ślub? – zapytała Grace. – Czy Lily może być druhną?

Oliver popatrzył zakłopotany na Melissę, potem na Grace.

– Naprawdę, Grace...

– Nie, nie, oczywiście, co za pomysł. Kto by miał na coś takiego ochotę?

– Pójdziemy wkrótce do urzędu stanu cywilnego. Spokojnie i bez szumu.

– To do ciebie podobne, Oliver. Co, Lily? Prawda, że to cały on?

Chociaż znała go od trzech lat, Lily nie pretendowała do jakiegokolwiek znajomości jego natury, nie była nawet pewna, czy chciałby, żeby to było „podobne do niego”. Nie powiedziała więc nic, tylko uśmiechnęła się, aby nie pozostawić Grace całkiem na lodzie.

Grace ożywiła się, zadawała mnóstwo pytań, podekscytowana, błyskotliwa, brylująca. Oliver i Melissa udzielali uprzejmych, ale coraz bardziej lakonicznych odpowiedzi, coraz bliżej jedno drugiego, szukając swoich dłoni, dotykając się, puszczając i znów upewniając się dotknięciem o swojej obecności, jakby w zachowaniu Grace było jakieś zagrożenie, jakby dostrzegali w niej coś, czego sami chcieliby uniknąć.

Grace stała naprzeciw kominka, na którym wśród paproci widniał fragment marmurowej rzeźby.

– Zakochani – mówiła – czy może być coś piękniejszego? To jest coś, czego wszyscy szukamy, ta pewność, że jest na tym świecie ktoś stworzony właśnie dla ciebie...

Kiedy się odwróciła, żeby postawić pustą szklanekę na gzymsie kominka, Lily zauważyła, że jej ręka drży, i zanim Grace zdążyła znów podjąć wątek (zbierała właśnie myśli, głowa pochylona w skupieniu, ręce splecione jak do modlitwy), Lily powiedziała:

– Robi się późno, Grace, a ja muszę odrobić lekcje.

Grace zachłysnęła się, jak ktoś nagle przebudzony z krótkiego, mocnego snu.

– Mój Boże, rzeczywiście. Jest strasznie późno. Co ja wyrabiam? Przepraszam, bardzo przepraszam.

Oliver wziął futro, które Grace zarzuciła na ramiona, aby zejść piętro niżej, otulił ją nim, pocałował w policzek i powiedział serdecznie:

– No, staruszeko, trzymaj się ciepło. Do bardzo rychłego zobaczenia.

– Staruszeko? – powtórzyła Grace z lekkim zaskoczeniem. – Pewnie dla ciebie nią jestem. Staruszeko. Dobrze!

– Daj spokój, tak się tylko mówi, doskonale o tym wiesz. Wyglądasz dużo młodziej ode mnie.

– Poważnie?

– Oczywiście – powiedział Oliver.

– Naprawdę – dodała Lily. Oboje byli szczerzy w swoich zapewnieniach.

– Czy nie tak? – Oliver zwrócił się do Melissy, która obserwowała całą scenę, siedząc, jakby nie bardzo widziała w niej rolę dla siebie.

– No pewnie. To chyba oczywiste, nie? – Było widać, że naprawdę tak sądzi, ale irytuje ją konieczność potwierdzania czegoś tak banalnego.

Grace wyglądała niepewnie, gdy ruszyła w stronę wyjścia, minęła drzwi i zaczęła wchodzić po schodach. Lily szła za nią i zanim zamknęła drzwi, Oliver dotknął jej ramienia. Obejrzała się. On wskazał głową na oddalającą się postać

Grace.

– W porządku? – szepnął, jak się mówi do kogoś, kto ma zbyt wiele na głowie.

Lily spojrzała na Grace, która właśnie zniknęła za zakrętem. – Uhum – powiedziała i dodała: – Ja się bardzo cieszę, naprawdę.

Uśmiechnął się.

– Wiesz co, jesteś niesamowita!

– No... po prostu się cieszę, to wszystko. – Zabawne, tym razem mówiła szczerze.

Na górze Lily odnalazła Grace po głosie. Nie było jej w salonie ani w kuchni. Poszła prosto do swojej pokoju, a stamtąd do znajdującej za nią łazienki. Lily zatrzymała się w drzwiach sypialni. Widziała Grace opartą na umywalce, jej twarz w jaskrawym świetle otaczających lustro żarówek.

– O mój Boże... mój Boże – mówiła do siebie. Lily podeszła bliżej. Krany były odkręcone. Grace ochlapała twarz wodą, znów spojrzała na swoje odbicie w lustrze. – Nie, to nie ma sensu.

– Dlaczego jesteś taka zmartwiona, Grace?

Odwróciła się do niej, jak gdyby omawiały tę kwestię od dłuższego czasu i Lily okazała się wyjątkowo mało pojętna.

– Nie rozumiesz? Popatrz na mnie, mam czterdziestkę i jestem sama. Każdy w końcu kogoś znajduje, tylko nie ja. Teraz Oliver... Jestem szczęśliwa... naprawdę. – Rzuciła Lily szybkie spojrzenie. – Byłam chyba w porządku, co? To znaczy, oni widzieli, że się cieszę, prawda? Nie zachowywałam się... głupio czy coś w tym rodzaju?

– Skąd, byłaś taka jak zawsze, naprawdę miła, czarująca.

– Ach, Lily, dlaczego ja nie mogę znaleźć kogoś wspaniałego, tak jak Oliver?

Lily zdobyła się na odwagę.

– Czy Michael nie był wspaniały? – zapytała ostrożnie.

Grace pociągnęła nosem, zakręciła krany, spojrzała na swoje ręce ściskające brzeg umywalki.

– Z początku tak. Był bardzo przystojny, szarmancki, młody. Młodszy ode mnie. Ale kariera wojskowa wciągała go coraz bardziej i często zostawiał mnie samą. Nie lubię być sama, wiesz o tym. A teraz jedyna rzecz, którą posiadam, moja jedyna waluta, wygląd, zaczyna się wykruszać. Nie mam nic innego, co by się liczyło na rynku, rozumiesz, Lily? Popatrz na Melisę: ona nie musi nikogo udawać. Jest mądra, ma swoją karierę, poglądy, no i młodość. Ja nie mam wykształcenia i zacynam więdnąć. Na co mogę liczyć? Co mi zostało? Tylko

ramiona mężczyzny, kogoś, kto mnie zrozumie. Jedyne kapitał, jaki miałam, został roztrwoniony i nie zostało mi nic, tylko samotność, rozpaczliwa samotność. Nic już z tego nie rozumiem.

Lily wpatrywała się usilnie w Grace, pragnąc, by usłyszała jej nie wypowiedziane słowa: „Ja jestem z tobą. Zawsze będę z tobą!”.

Myśl musiała dotrzeć do adresata, bo nagle Grace powiedziała zupełnie innym, rześkim tonem, jak gdyby Lily właśnie weszła do pokoju i jej widok zaskoczył ją i uradował:

– Lily... moja droga Lily! Twoje lekcje, mój Boże! A jak z tym skończymy, zaplanujemy sobie przyjęcie, dobrze? Znajdziemy coś, co warto uczcić!

Rok później, kiedy Lily miała dwanaście lat, zdarzyło się coś, co ostatecznie określiło jej status w życiu Grace, odbierając mu wszelką tymczasowość czy przypadkowość. Pryzmat, przez który je widziała, ustawił się wreszcie pod właściwym kątem i Lily ujrzała siebie jako opiekunkę Grace, strażniczkę jej różowych okularów.

Była noc, gorąca, rozgwieżdżona, noc błękitnych cieni, noc, której wspomnienie długo jeszcze nawiedza pamięć fosforyczną poświatą. Mieszkali w małym hoteliku pośród wzgórz niedaleko Marbelli. Co dość niecodzienne, towarzyszyli im Oliver i Melissa. Ale co jeszcze ważniejsze – ważniejsze niż oni dwoje, niż rozgwieżdżone niebo i nocny cień – był z nimi również Jaime. Jaime de Caberro, nowy przyjaciel Grace. Ich trzy pokoje, tworzące ciąg na pierwszym piętrze domu, łączył półkolisty balkon, niczym wydęte usta na jego obliczu. Oliver i Melissa mieli swoje lokum piętro wyżej.

Lily przebierała się do kolacji. Za wysoka na swój wiek, była zgnębiona zaznaczającą się krągłością swojego dojrzewającego ciała. Przez szklane drzwi balkonowe weszła Grace. Szła z rękoma uniesionymi nad karkiem, manipulując przy zapięciu naszyjnika. Otaczał ją wir podniecenia, czerwona jedwabna suknia, sięgająca kolan odsłaniała jej smukłe, opalone łydki i stopy w sandałach na wysokich obcasach, które Lily szczególnie podziwiała. W Grace było tyle innych rzeczy godnych zachwytu, jak choćby gęste, wijące się włosy o barwie topazu czy błękitno-zielone, skośne niczym u kota oczy. Szczytem doskonałości jednak wydawały się Lily piękne stopy, te prozaiczne instrumenty codziennego użytku, które tak rzadko widuje się odsłonięte. Być piękną w intymnych miejscach to było naprawdę coś.

– Lily, moja śliczna. Jesteś śliczna, naprawdę. Ale te spodnie? Nie są trochę przyciasne? Spójrz, a może to? – Ze sterty ubrań wyłowiła sukienkę z cienkiego batystu obrzeżoną angielskim haftem i Lily włożyła ją na siebie. Gdy idzie o strój, Grace miała zawsze rację. Wyciągnęła rękę, chwyciła mały, pozłacany wizerunek świętego Krzysztofa na łańcuszku, który Lily nosiła na szyi, puściła go, jej dłoń na moment zawisła w powietrzu. – No proszę! Jesteś piękna, kochanie. Jestem dumna, jak nie wiem co! Powiedziała to z przejęciem, jakby chciała zawrzeć w tych słowach znacznie więcej.

– Ja też jestem dumna – powiedziała Lily, którą przepełniało podobne,

niewypowiedziane uczucie.

Grace podeszła teraz do lustra, studiując własne odbicie. Napinając lekko policzki, zaczęła:

– Lily, powiedz mi szczerze... – Lily skuliła się wewnątrz. „Powiedz mi szczerze” stało się dla niej największym ciężarem. „Powiedz szczerze, czy mi się tłuszcz nie odkłada na udach? Powiedz szczerze, czy wyglądam na dużo starszą niż Melissa? Jak ci się zdaje, ludzie dalej zastanawiają się, czy jesteś moją córką? Czy mogłybyśmy być siostrami, teraz, kiedy jesteś starsza? Czy rzuca się w oczy, że tak nie jest, powiedz szczerze?”.

Ostatnią pożądaną rzeczą była tu szczerłość, najważniejsze było zdumienie. „Ty i tłuszcz, Grace? Daj spokój!”. To nie było trudne.

„Ty i Melissa mogłybyście być rówieśnicami, naprawdę”. To było trudniejsze, bo Lily wciąż była zbyt młoda, aby dostrzec na czyjejś twarzy subtelny wpływ lat: twarz Grace była twarzą Grace, a twarz Melissy twarzą Melissy. Na pytanie, czy wygląda na córkę Grace, mogła spokojnie odpowiedzieć. „Na pewno nikt nie myśli teraz, że jestem twoją córką. Założę się, że uważają cię za moją starszą siostrę. Starszą i weselszą”. O tym Lily była przekonana.

Lily zebrała się w sobie, mobilizując spontaniczne zdumienie.

– Powiedz mi szczerze, czy uszłabym jako trzydziestolatka?

– Och, spokojnie.

– Ty powiedziałaabyś wszystko, kochanie, żeby mi zrobić przyjemność. – Ale w tej chwili Grace chętnie dawała posłuch komplementom. Odwróciła się od lustra, chwyciła Lily za ramiona, podekscytowana jak małe dziecko, promieniejąca. – Lily?

– Co takiego? – Lily udzielił się nastrój Grace; miało się wydarzyć coś wspaniałego.

– Czy chciałabyś mieszkać w Brazylii? – Z rękoma splecionymi na podołku Grace cofnęła się, aby lepiej widzieć jej reakcję.

Głęboki wdech i uśmiech nastąpiły w tym samym momencie. Lily dotknęła dłoni Grace.

– Czy chcesz powiedzieć, że Jaime poprosił cię o rękę? To cudownie!

– Óóó, nie, nie... – Rzucając spojrzenie w stronę szklanych drzwi, Grace przykucnęła i wyszeptała: – Tylko tobie o tym mówię: Wydaje mi się, że zamierza to zrobić, słowo daję, może jeszcze dzisiaj. Tylko ani słówka nikomu, dobrze? To nasza tajemnica!

– Dobrze, tak się cieszę. Jest taki sympatyczny i dobry, i przystojny, i...

– Wiem, wiem, ale to się jeszcze nie stało, jeszcze nie całkiem.

– Ale stanie się, wyraźnie to czuję tym razem.

– I ja tak myślę. Ubieraj się, kochanie. Zobaczymy się na dole. – Wychodząc, Grace odwróciła się raz jeszcze. – Pamiętaj. To nasz sekret!

Lily zeszła do ogrodu, gdzie Oliver i Melissa siedzieli już przy stole ustawionym pod starym drzewem figowym. Melissa wyciągnęła ręce na powitanie Lily. Jej zaawansowana ciąża rzucała się w oczy i – tak przynajmniej się Lily wydawało – Melissa obnosiła się z tym, jak tylko mogła. Miała wszystko: talent, karierę, męża, a teraz jeszcze dziecko, i wkraczała w swoje pierwsze macierzyństwo z całym kontrolowanym entuzjazmem dojrzałej matki intelektualistki. Nie dla niej nonszalancja wczesnego macierzyństwa. Odżywiała się właściwie, wykonywała odpowiednie ćwiczenia gimnastyczne i oczywiście dziecko miało być bez zarzutu. (Jeśli coś będzie nie tak, to je oddamy, słyszysz, Oliver, oddamy). Miało być bez zarzutu, bo Melissa zrobiła wszystkie testy i nie było co do tego wątpliwości.

Lily widywała już kobiety w ciąży, które chwyciły każdą rękę, jaka się nawinęła, i przykładały do swojego brzucha, mówiąc: „Czujesz? Nie, nie teraz. O, teraz się poruszyło”. Już to wydawało jej się dostatecznie nieprzyzwoite, ale sposób, w jaki Melissa rozsiadła się, pełna i dumna, podczas gdy uwięziony anarchista zmieniał pozycję, był dla niej całkowicie odrażający.

– Lily – Melissa wyciągnęła ręce. – Wyglądasz prześlicznie! Gest zapraszał do symbolicznego pocałunku, ale Lily nie mogła się przemóc, by pochylić się nad wybrzuszeniem, więc tylko cmoknęła w powietrze, na co Melissa uśmiechnęła się porozumiewawczo. To też było irytujące: ten zapaszek wszechwiedzy, świeżo nabytej znajomości natury ludzkiej.

Podskórne prądy przepływające między dwiema kobietami wywołały senny uśmiech na twarzy Olivera.

– Przyjdzie czas, Lily, gdy sama będziesz spodziewać się dziecka, będziesz przeżywać to samo co Melissa teraz i nie będziesz tym wcale zakłopotana.

– Pfuj – to wszystko, co powiedziała, uśmiechając się jednak przy tym, dla podkreślenia, że nie jest to żadna osobista wycieczka.

W powietrzu zawirował znajomy zapach i Lily usłyszała za sobą zbliżające się kroki Grace, doszedł ją szmer jej jedwabnej sukni. Nawet w najbardziej ponury dzień, gdy Grace była opatulona w futro i wełnę, towarzyszyło jej to westchnienie jedwabiu, dyskretny poszept luksusu. Na dźwięk jej głosu Lily poczuła, że wieczór nabiera nowej jakości. Nawet ta prozaiczna ciąża zyskała jakiś bardziej wzniosły



wymiar.

– Drodzy moi, czy kazaliśmy na siebie czekać? Czy to nie cudowny wieczór?

Razem z Grace zjawił się Jaime de Caberro, mężczyzna, który wydawał się zbudowany z jakiegoś cielistego metalu, bo wszystko w nim lśniło: zęby, oczy barwy melasy, czarne, gładkie włosy, łańcuszek ukryty w porastających tors włosach, nawet ciemnobrunatna skóra miała jakiś szczególny połysk.

Był imponująco cichy. Gdy się odzywał, inni milkli, choć wcale nie podnosił głosu.

– Pijemy szampana i tylko szampana. Dziś są moje urodziny.

– Naprawdę? To fantastycznie, Jaime! Ile lat kończysz?

– Trzydzieści trzy, Melisso.

– Mój Boże, myślałam, że masz przynajmniej... – urwała, śmiejąc się nerwowo.

– Wiem, że jestem kidnaperką, Melisso – powiedziała Grace, otaczając go ramionami zaborczym gestem. – Cóż z tego?

– Leely, pięknie dziś wyglądasz.

– Dziękuję, Jaime – Lily przyjęła komplement dość zdawkowo. Przywykła już uznawać uwagę wielbicieli swojej ciotki za normę. Wiedziała, że traktowana jest jako ścieżka do serca Grace i każdy musi przez jakiś czas podążać ostrożnie tym szlakiem. Zachowała więc dystans, myśląc, czego może oczekiwać od niej ktoś, kto ma wkrótce zamiar oświadczyć się Grace. Nie chciała popełnić jakiegoś błędu.

Rozległ się cichy, niewymuszony śmiech Olivera, nieco żywszy Melissy i oczywiście skrzący się, perlisty śmiech Grace. Jaime właściwie się nie przyłączył, ale cóż, wesołość nie leżała w jego naturze. Za każdym razem, gdy Lily i Grace się spotykały, następowało konspiracyjne mrugnięcie, nawet mniej niż zmrużenie oka, raczej ledwie zauważalne uniesienie brwi w stylu „poczekaj tylko, a zobaczysz!”.

Lily piła szampana. Zdarzało się jej pić go już przedtem, ale nigdy z taką przyjemnością. Bo czy to wszystko nie było podniecające? Brazylia, Brazylia i kto wie, co jeszcze? Naprawdę dobrze się bawiła. Wkrótce zdawało się jej, że cicha noc kołysze się i tańczy wokół niej. Pod koniec kolacji rozmowa zesza na wyjście do miasta, może gdzieś na tańce, i Lily wiedziała, że nadeszła chwila, by się wycofać.

– Chciałabym pójść do siebie, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Marzę, żeby dokończyć książkę.

– No cóż, kochanie, jeśli naprawdę wolisz...

– Nie, nie, Leely. Jaime dotknął jej ramienia, gładząc delikatne, jasne włoski

porastające opaloną skórę. – Musisz pojechać z nami, nie możesz zostać tu sama. To byłoby smutne.

– To dla mnie żadna przykrość. Lubię być sama. Nie mam ochoty na tańce ani nic takiego.

– Jesteś pewna, kochanie, naprawdę? – Grace uśmiechnęła się do Lily. Lily odwzajemniła uśmiech. Mogły na sobie polegać. Grace wiedziała, że Lily z nimi nie pojedzie, a Lily wiedziała, że pojechać nie może.

– No, to idę na górę. Dobranoc wszystkim. – Kiedy Lily odwróciła się, aby raz jeszcze powiedzieć „Dobranoc” i „Życzę wspaniałego wieczoru, naprawdę wspaniałego” (to wszystko, co mogła zrobić, nie mówiąc wprost „Powodzenia!”), Grace chwyciła ją za przegub i pociągnęła z powrotem w dół, aby ucałować jej policzek. Potem odwróciła się, wyciągnęła rękę, prezentując Lily całemu towarzystwu, i powiedziała:

– Czy ona nie jest cudna? Czy nie jest wspaniała? Rozległy się głosy uprzejmej aprobaty, a Oliver powiedział:

– Niewątpliwie. Masz szczęście, Grace.

Nie puszczać Lily, Grace drugą ręką otoczyła Jaimego, włączając go w krąg swojej fortuny.

– O, tak, mam szczęście, wiem.

Lily nie czytała długo. Usłyszała na górze głosy Olivera i Melissy, którzy wrócili na chwilę do siebie przed wyjściem do klubu, potem ich śmiech zmieszał się na dole ze śmiechem Grace, wreszcie odgłosy wesołości przeniosły się w stronę szosy, w noc. Wtedy zgasiła światło i usnęła: jutro będzie wspaniałe „długo i szczęśliwie”.

Nie wiedziała, jak długo spała, kiedy zbudził ją hałas. Najpierw myślała, że to jakieś stworzenie dostało się do pokoju i że musi być ranne, sądząc po zduszonych, urywanych dźwiękach, jakie wydawało. Leżała przez jakiś czas, bojąc się opuścić stopy na podłogę. W końcu usiadła i wpatrzyła się uważnie w ciemny kąt pokoju. Przy toalecie jaśniała czerwona plama sukienki. Grace siedziała tam, skulona i dygocząca.

Lily przykucnęła niziutko obok niej, zajrzała w jej twarz, ukrytą w dłoniach, zasłoniętą opadającymi włosami.

– Grace, co się stało, Grace?

Grace wyciągnęła jedną rękę do Lily, drugą nadal zasłaniała twarz. Lily ujęła tę rękę, a ona zacisnęła się na jej dłoni jak dłoń tonącego.

– Lily, to wszystko jest zupełnie nie tak.

– Ale dlaczego? – spytała, nie bardzo wiedząc, o co pyta.

– Bo... bo ja nic dla niego nie znaczę. – Cofnęła rękę, aby ukryć świeży przyływ rozpaczy, jaki wywołały te słowa.

– To nieprawda! On cię kocha, Grace, każdy to widzi. Co się stało, powiedz! Nie podnosząc się, Lily sięgnęła do lampy i w jej świetle zobaczyła, że stopy Grace są bosa i pokaleczone, jej sukienka podarta. – Proszę, powiedz, czy zdarzył się jakiś wypadek?

Grace odrzuciła głowę do tyłu, długa szyja wygięła się w łuk, wargi odsłoniły zęby w upiornym śmiechu. – O tak, był wypadek, był, i ja jestem ofiarą. Jak zawsze, ja jestem ofiarą.

– Proszę...

Grace znów wyciągnęła rękę, aby ratować się przed pójściem pod wodę. Lily uchwyciła ją mocno.

– Byliśmy tam razem, w tym klubie. Myślałam, że w drodze powrotnej on poprosi mnie, wiesz... albo może później, w hotelu. Ale zjawiała się dziewczyna. Nie pytaj mnie, co za jedna. Nie wiem, ale młoda... tak, młoda i ciemnowłosa. Znali się, ona i Jaime. Przyłączyła się do nas, piła z nami szampana. Tańczyli razem i nagle... już ich tam nie było. Wysłałam na dwór, żeby zaczerpnąć powietrza, ale tak naprawdę zobaczyć... rozumiesz, poszukać. Byli tam. Całowali się, jego ręce w jej włosach, na plecach, talii. Tak samo jak ze mną. Tak samo. – Głowa Grace opadła na ręce. – Więc uciekłam stamtąd. Zostawiłam w klubie torebkę i po prostu uciekłam z powrotem tutaj.

– Pieszko? Z Marbelli?

– Jakiś samochód się zatrzymał, podwiózł mnie. Kierowca myślał, że jestem dziwką, i...

– Och, Grace...

Kobieta osunęła się w ramiona Lily, która wciąż jeszcze była dzieckiem, zbyt słabym, by udźwignąć podwójny ciężar ciała i cierpienia. Po krótkiej chwili Lily pomogła jej się podnieść, zaprowadziła ją do pokoju, położyła do łóżka.

Wciąż jeszcze siedziała przy niej, gładząc ją po ręce, powtarzając: „Wszystko będzie dobrze, zobaczysz, pewnie był po prostu pijany”, kiedy do pokoju wszedł Jaime.

Grace uniosła się na łokciach.

– Lily, Lily, mój puder, tam!

Lily podała jej puder i zdążyła jeszcze zobaczyć, wychodząc do swojego pokoju, jak Jaime kręci głową nad załamana, roztrzęsioną kobietą, wklepującą

nieskutecznie puder w swoją spuchniętą twarz.

Lily wróciła na miejsce przy toalecie. Widmo Grace, niemal dotykalne, pochyliło się nad nią: „Powiedz mi szczerze, kochanie...”. Balonik szansy wysunął się z ich palców. Teraz była furia ciskanych w gniewie słów, potem w sąsiednim pokoju zaległa cisza.

Do pokoju wszedł Jaime, za nim wleciały z balkonu ćmy, zwabione zapalonym światłem. Stał, zapalając niewielkie cygaro, słychać było tylko pstrykanie jego zapalniczki, szelest skrzydeł nocnych owadów o szorstką, białoną ścianę i przerywany szloch zza ściany. Jaime nie zbliżył się do niej.

– Leely, to jest robienie hałasu o nic. Rozumiesz mnie? – Lily spojrzała na jego odbicie w lustrze i potrząsnęła głową.

– Chodzi o Grace, o tę całą ucieczkę. Po prostu całowałem się z dziewczyną, nic więcej. To moja stara znajoma. Leely, ja mam przyjaciół, jestem młody, mam czasem ochotę pocałować dziewczynę. Grace nie ma się o co obrażać. Zrobiła straszną scenę. To bez sensu.

Lily w dalszym ciągu obserwowała go w lustrze, widziała, jak pstryka niecierpliwie i bez skutku żółtą, plastikową zapalniczką, jak rzuca ją na łóżko i wyciąga z kieszeni inną. Tym razem udało mu się zapalić cygaro.

– No, Leely, powiedz przynajmniej, że to rozumiesz.

Lily nabrała tchu, spuściła wzrok.

– Problem w tym, widzisz, że ona jest strasznie dumna, a najgorsze... najgorsze, że... teraz chyba nie zgodzi się za ciebie wyjść.

Lily czuła, że Jaime się jej przygląda, więc znów poszukała wzrokiem jego odbicia w lustrze. Był dziwnie nieruchomy, małe cygaro żarzyło się w jego palcach, zatrzymane w pół drogi, nie dosięgnąwszy ust. Lily odwróciła się na stołku, podniosła na niego oczy, znów je opuściła, spojrzała na swoje ręce. Zastanawiała się, czy nie nadużyła zaufania, poruszając w ogóle ten temat, ale musiał się przecież dowiedzieć, musiał zrozumieć, że nie może równocześnie ożenić się z Grace i całować się z dziewczętami. Ta sprawa powinna chyba zostać wyjaśniona.

– Powtórz to jeszcze raz, Leely.

– Boję się, że teraz Grace nie zgodzi się wyjść za ciebie.

Stał bez ruchu w tej samej pozycji, jak ogłuszony. Ogieniek cygara coraz bliżej jego palców, wzdrygnięcie, gdy wstążeczka popiołu upadła na podłogę.

– Posłuchaj. – Nastąpiła długa przerwa, zanim bardzo wolno zaczął mówić dalej: – Teraz rozumiem, skąd ten cały szum o taki drobiazg, coś tak niewinnego.

Nigdy, droga Leely, nigdy nie zamierzałem ożenić się z Grace. Jest piękna i wesoła, ale niepoważna. Bardzo ją lubię. Ale jako żona, Leely... Już samo to, że jest przynajmniej siedem lat starsza ode mnie. Czy naprawdę myślałyście...? Nie mogę w to uwierzyć. Nie, nie, nie, Leely! Grace zawsze sobie znajdzie kogoś młodszego od siebie. Ja to lubię. Miło jest być z kobietą, która... no, z kobietą, nie z dziewczyną. Ale nie na żonę, Leely, nie. Zapomina, ile ma lat. Jest kobietą z dzieckiem, już niemłoda, niestety. – Wyszedł z pokoju, mruczając do siebie: „*No, no, no, nunca*”.

Lily nie od razu poszła do Grace. Po części dlatego, że z jej pokoju nie dochodził żaden dźwięk: było możliwe, choć mało prawdopodobne, że spała. Przede wszystkim jednak czuła, że słowa Jaimego ma wypisane na twarzy, że emanują z jej ciała. Grace je odczyta, gdy tylko na nią spojrzy: „Niepoważna, niemłoda. Ożenić się? Nigdy!”.

Jednak minuty mijały i Lily czuła, że musi tam pójść, choć był w niej niejasny lęk przed głębią rozpaczy, która mogła ogarnąć Grace. Wyszła na balkon i właśnie miała podejść do okna pokoju ciotki, które pozostawiono niedomknięte, jak wargi rozchylone w oczekiwaniu, kiedy jej wzrok przyciągnęło słabe światelko, jego ruch w ciemności i ciszy nocnego ogrodu. Omal nie wzięła go za jakąś ogromną ćmę, choć nie paliło się już żadne światło, które mogłoby przyciągnąć owada. Przez moment wydawało się jej, że znikło. Poruszyła się, i znów tam było, teraz nieco bardziej na lewo. Wyglądało jakoś znajomo. Stojąc z rękoma opartymi na balustradzie, zaczynała się domyślać, co to takiego ten żarzący się punkcik, zakreślający półkole w ciemności. To był Jaime. Stał tam i patrzył w górę, w stronę ich pokoi. Zrobił krok do przodu, jak gdyby przemówił. Chciał, żeby Lily go zobaczyła. „Tak?” – Lily pochyliła się, w jej postawie było pytanie bez słów. Wszystko będzie dobrze, on to przemyślał. Chciała powiedzieć: „Poczekaj, pójde po nią”, popędzić do pokoju, obudzić Grace i zawołać: „Wstawaj szybko, on tu jest, był na dworze i właśnie wraca!”.

Wtedy Jaime de Caberro, młody, wspaniały, urodziwy, nie zniżając się do słów, podniósł rękę, trzymał ją przez chwilę w górze, po czym machnął nią w stronę Lily ruchem zdecydowanej odprawy. Siła tego gestu, jego wymowa, sprawiła, że cofnęła się jak uderzona. Ona, Grace i wszystko, co się z nimi wiązało, było skończone, nie istniało.

Lily wróciła do pokoju i położyła się na łóżku, myśląc o tylu innych „wspaniałych”. Pojawiali się w życiu Grace, a potem tak samo znikali, gasząc świetlane perspektywy, z których Grace zdążyła się jej zwierzyć. Tyle razy piła

poranną kawę, siedząc na łóżku swojej ciotki nazajutrz po jakimś spodziewanym wydarzeniu, które nie nastąpiło. W takich chwilach Lily wydawało się, że niewidzialna płachta melancholii usiłuje omotać Grace, a ona trzyma ją na dystans śmiechem, wzruszeniem ramion, ale gdy przez chwilę pozostaje nieruchoma, zamyślona, płachta spływa niżej, oplatała ją ciaśniej. Jednak bez względu na wszystko Grace nie pozwalała jej opaść, nie pozwalała, by ten smutek zadomowił się na dobre.

Obraz Grace, którą znała: tryskającej życiem, pięknej, wyrafinowanej, pożądanej, stapiał się z innym: kobiety złamanej, płytkiej i żalostnej. „Powiedz mi szczerze, kochanie...”, Lily odwróciła się twarzą do poduszki, aby płakać najciszej, jak się da.

Późną nocą, pogrążona w ciemności i rozpacz, usłyszała krzyk bólu, potem następny, potem głos Olivera w recepcji na dole, podniesiony, nagłący, rozkazujący, wreszcie pospieszne kroki wzdłuż korytarza.

Cholerny dzieciak przychodził na świat.

To był świat, w jakim dorastała Lily. Wszystkie te historie, bolesne i raniące, nadawały jej spojrzeniu nową perspektywę. Ale była jeszcze jedna sprawa. Gdyby ją o to zapytać, popatrzyłaby niewidzącym wzrokiem i powiedziała: „Ach tak, to się rzeczywiście zdarzyło”.

Nie było łatwo zranić uczucia Lily. Tym, w czym się dobrze czuła, była przyjaźń i na tej płaszczyźnie utrzymywała relacje z innymi. Nie przejawiała ciekawości w sprawach seksu. Być może, mieszkając z Grace, miała go pod dostatkiem w podtekście wokół siebie.

Nie chichotała, nie była ciekawska, jak inne dziewczęta w jej wieku. Aż któregoś lata, w siedemnastym roku życia, zakochała się nieporadną, bolesną miłością w pięknym Francuzie, imieniem Philippe, o dwa lata starszym od siebie. Był nieśmiały, poważny, niedoświadczony i wydawał się w pełni odwzajemniać jej miłość.

Grace wynajęła willę na południu Francji, gdzie miały spędzić dwa letnie miesiące w wesołej kompanii podobnych, choć stale zmieniających się osób: hałaśliwych, rozhukanych, nocnych marków, odsypiających w dzień.

Lily uczyła się do matury, nie było z nimi nikogo w jej wieku, żyła więc w innym rytmie niż pozostali. Śniadanie jadła sama na tarasie, gdy cały dom jeszcze spał, obiad w miłym towarzystwie Grace i jej przyjaciół. W przeciwieństwie do nich nie była w stanie przespać popołudniowego żaru, więc szła w tym czasie na plażę. To tam spotkała Philippe'a. Ich wille stały w pewnym oddaleniu, połączone skrawkiem wspólnej, prywatnej plaży. Dzień po dniu spotykali się tam i rozmawiali o maturze, dyplomie, sztuce, miłości i śmierci, gdy tymczasem pod powierzchnią piasku dłoń ukradkiem szukała dłoni, kolano kolana. Od czasu do czasu kapali się, aby ostudzić nieszczęsny żar, po to tylko, by wrócić, znów rozmawiać, znów się dotykać, dopóki ich młodzieńcze filozofowanie nie ustąpiło miejsca odbierającym dech pieszczotom i namiętność nie kazała im wreszcie zamilknąć. W cieniu mimozy usiłowali rozładować jakoś dręczące pragnienie, aż któregoś dnia to się stało, kochali się, nieporadnie, z wahaniem i nieskończoną czułością.

– Teraz – powiedział, delikatnie ocierając piasek, który przywarł do jej gorącej, wilgotnej skóry – nie ma już odwrotu. Będziemy zawsze razem. Poznasz moich rodziców i oni pokochają cię, tak jak ja cię kocham.

Philippe był tam sam z rodzicami: statecznymi, wytwornymi ludźmi z arystokratyczno-intelektualnymi ambicjami. Co wieczór zasiadali we troje na tarasie willi do obiadu przy świecach, godnie i z namaszczeniem, podczas gdy w sąsiednim domu światła płonęły, powietrze pulsowało muzyką i odgłosami zabawy. Później o pierwszym brzasku znów budziły ich odgłosy hucznego powrotu Grace i jej przyjaciół z nocnego klubu. Lily rzadko znajdowała się w tej gromadzie.

Kilka dni po tym, jak Lily i Philippe zostali kochankami, Grace powiedziała przy obiedzie, przeciągając się na swoim krześle:

– Wiecie, dokąd się dzisiaj wybieram? Do domu naprzeciw, zaprosić ich na obiad. Wsunęła ręce we włosy, uniosła je do góry, aby za chwilę pozwolić im opaść w uroczym nieładzie. – Tyle czasu i wciąż jesteśmy tylko sąsiadami, nic więcej. Słyszałam od kogoś, że on jest wicehrabią, więc ona jest oczywiście wicehrabiną. Wygląda na to, że mają wspaniałą posiadłość w Alzacji i drugą w Medoc, do tego winnicę, no i ten dom nad morzem. W dodatku, Lily, mają dziewiętnastoletniego syna. Wiedziałaś o tym? Widziałaś go?

Lily zaczerwieniła się beznadziejnie i wyjąkała:

– Tak... tak sędzę. Tak, w pewnym sensie... – ale było już za późno. Powietrze, względnie chłodne pod pasiastą markizą, zdążyło się już wypełnić wszelkiego typu „Ajaj!”, „No, no!” i „Oho!”. Oliverowie, którzy wpadli tutaj na dwa dni, nie byli aż tak rubaszni, ale Melissa poklepała ją konfidencjonalnie po ramieniu, mówiąc: „Dobrze Lily, dobrze”, a Oliver uśmiechnął się do niej serdecznie, przechylając głowę na bok.

Lily nie odezwała się ani słowem, nawet do Grace. Czowała się okropnie obnażona, jak ślimak wyjęty z muszli, otoczony ze wszystkich stron suchym, palącym powietrzem.

Hamując rozradowanie, Grace ujęła ją za rękę.

– Kochanie, czy on jest... wspaniały? – zapytała, pochylona w jej stronę.

To było nie do zniesienia. Niezgrabnie, potykając się i powstrzymując łzy, Lily wybiegła stamtąd prosto do swojego pokoju. Chwilę później Grace zastukała paznokciem do drzwi i weszła do środka. Lily leżała wyciągnięta na łóżku, z twarzą w poduszkach. Grace usiadła obok.

– Wybacz kochanie, tak mi przykro! Byłam taka gruboskórna, bez serca. Widzisz, człowiek tak wiele zapomina. Już tak dawno, pierwszy raz kochałam. A ty to przeżywasz teraz. – Poglądziła wysrebrzone na słońcu włosy Lily. – Wszystko, zrobię wszystko, żebyś tylko była szczęśliwa. Żeby nie spotkała cię krzywda. Czy powinnam pójść ich zaprosić? Jak myślisz? Czy to dobry pomysł?



Powiedz!

Lily podniosła się, rozcierając łzy.

– Przepraszam, jestem strasznie głupia.

– Nie, nie. To ja jestem głupia, wiesz o tym równie dobrze. Zamiast za dużo myśleć, za wiele dociekać, wolę się pośmiać i wypić małego drinka. Taka jestem i wiem o tym, tak mi łatwiej. Wybacz, jeśli czasem czegoś nie rozumiem.

– Przestań, Grace, proszę cię. Jesteś wspaniała. Kocham cię.

– Dobrze, dobrze. No to jak, mam ich zaprosić?

– Chyba tak. Sama nie wiem.

Nieuchwytna wątpliwość nękała Lily, zbyt niejasna, żeby się z nią uporać. Widziała, że i Grace ma wątpliwości, uznała więc, że najlepiej zostawić to jej.

Wieczorem Grace wybrała się do willi naprzeciw. Lily i reszta towarzystwa oczekiwali jej z niecierpliwością, dość dziwną jak na zwykły, sąsiedzki krok.

Mimo wszystko Grace ubrała się szczególnie starannie, wzięła też małą torebkę dla podkreślenia oficjalnego charakteru wizyty. Nie czekali długo. Wkrótce usłyszeli stukot wysokich obcasów o kafelki holu, potem salonu, i Grace weszła na taras, gdzie siedzieli, sącząc drinki i starając się prowadzić normalną rozmowę ze względu na Lily.

Grace padła na wyplatane krzesło, odrzuciła torebkę, i siedziała tak, patrząc w przestrzeń, z rękoma sztywno złożonymi na kolanach, zagryzając policzki ze złości.

– No i co? – zapytała Melissa po chwili.

– Oliver, poproszę drinka – powiedziała Grace, nie zmieniając postawy.

– No, dalej, Grace – zachęcił Oliver, pochylony nad tacą, czując za plecami jej namacalną furię. – Co powiedziała?

– Powiedziała: „Nie, dziękuję, *Madame, merci, mais non*”. Bardzo uprzejmie, bardzo. Tylko że... ci cholerni Francuzi, znasz ich. Coś w tej przeklętej uprzejmości sugerowało, że uważają mnie za kogoś gorszego od siebie. – Zewsząd rozległy się okrzyki niedowierzania, różne „Nie mów”, „Daj spokój” i tak dalej. – Wiem, co mówię. Zrozumielibyście, gdybyście tam byli. Była absolutnie zimna, absolutnie kategoryczna. Żadnej wymówki, wyjaśnienia, nic. A to jej spojrzenie! Boże!

Pośród starań, by załagodzić gniew i urazę Grace, zapomniano zupełnie o Lily i nim nastąpiła pora wyjścia do klubu, Grace odzyskała dobry humor lub przynajmniej udawała.

– Lily, może poszłabyś z nami, kochanie, co?

– Nie, dziękuję. Marzę, żeby dokończyć książkę.

Godzinę później Lily wyszła w miękką czerń nocy, kierując się w stronę plaży. Usiadła nad wodą i trwała tak, ściskając i przesypując w dłoniach letni piasek. Wątpliwość stała teraz przed nią niczym daleki okręt we mgle. Mogłaby zbliżyć się do niego, gdyby chciała, ale czuła niejasno, że wymaga to odwagi. Cofała się przed tym, mówiąc sobie, że Grace jest wrażliwą osobą, i zależnie od nastroju, mogła uznać za afront najbardziej niewinne słowa. Ze swoich licznych podróży знаła też nieźle Francuzów: wyniosłych, pogardliwych, tak wobec innych, jak wobec siebie nawzajem. Żadne zastrzeżenia do Grace nie mogły wchodzić w rachubę, prócz tego, że była (tu Lily się uśmiechnęła) no, trochę głośna w porównaniu z ich tymczasowymi sąsiadami, których spokój, nieco wymuszony, sprawiał wrażenie jakiejś obowiązkowej, skrupulatnie przestrzeganej reguły. W każdym razie Philippe chciał, żeby ich poznała, wicehrabiego i wicehrabinę, czyż nie tak? Spotkają się i wszystko się ułoży. Poznają Grace i będą nią oczarowani, tak jak wszyscy, jak prawie wszyscy. Jej myśl zataczała coraz ciaśniejsze kręgi wokół tej mrocznej, zacumowanej w oddali wątpliwości.

Ręka, ciepła i droga, dotknęła jej ramienia. Wiedziała, że to Philippe. Dziwne, nie była wcale zaskoczona.

– Nie mogę spać – powiedziała.

– Myślisz?

– Tak.

– O nas?

– Tak, i o naszych bliskich. Byłeś tam wtedy?

– Kiedy?

– Kiedy Grace do was przyszła.

– Twoja ciotka? Była u nas?

– Chciała zaprosić was wszystkich na obiad. Twoja matka odmówiła.

– To możliwe. Moja matka jest zawsze bardzo... – dumny ze swojej angielszczyzny i zirytowany, że nie od razu znalazł odpowiednie słowo – ...na miejscu.

Lily nie wspomniała, że Grace odebrała to jako afront. Wiedziała teraz, że to zwykłe nieporozumienie. Nie wpada się do wicehrabiny furtką od ogrodu, mówiąc: „Proszę wpaść do nas coś przekąsić”.

– Lily, czy przyszłabyś do nas na obiad jutro wieczorem? Powiedziałem rodzicom o tobie i prosiłem ich o to spotkanie. Mówiłem, że to dla mnie bardzo ważne. Nigdy przedtem ich o nic takiego nie prosiłem.

Lily zostawiła piasek, jej dłonie zawisły niezdecydowanie w powietrzu.

– Co powiedzieli?

– Są ciekawi.

– Czy wiedzą, że mieszkam w sąsiednim domu? Że jestem... Lily Teape?

Roześmiał się.

– A powinni? Czy jesteś sławna?

– Nie, ale czy wiedzą, że jestem wychowanicą Grace?

– Powiedziałem tylko, że jesteś sierotą i że cię kocham.

Zabrzmiało to głupio i Lily zrobiło się przykro, bo go kochała i nie chciała myśleć, że jest niemądry.

– Ty ich znasz i wiesz najlepiej, co powiedzieć.

– Zaufaj mi, Lily.

– Ufam ci. – Znów zaczęła ugniatać dłońmi piasek.

– Jasnoróżowa jedwabna, koniecznie, z twoimi włosami i opalenizną. Prawda?

– Chyba tak, dobrze. – Sukienka, którą miała na sobie, opadła na podłogę i dziewczyna sięgnęła po inną, przygotowaną przez Grace.

Były w sypialni Lily, na pół godziny przed ustaloną porą wizyty.

– Wciąż nie bardzo rozumiem... – Poczucie dwuznaczności nie opuszczało Grace od rana, kiedy to Lily powiedziała jej z całą ostrożnością, że została zaproszona do sąsiadów na obiad. Zanim zdążyła dokończyć, Lily wpadła jej w słowo.

– Grace, to są cisi, nieśmiali ludzie, to wszystko. W końcu to Philippe mnie zaprosił, nie oni, więc pewnie czuli się w obowiązku mnie przyjąć. Tak samo jak ty byś przyjęła każdego, kogo ja bym przyprowadziła.

– No, może niezupełnie każdego.

– Więc rozumiesz?

– Tak, myślę że tak.

Podeszła do Lily, lustrując ją uważnie.

– Włosy upięte?

– Nie, nie!

– Dobrze, w porządku... Trzeba było wysłać bilecik. To był głupi pomysł, tak po prostu pójść. Francuzi są tacy czuli na punkcie konwenansów, prawda? W tym rzecz, tak, tak... No, proszę, jesteś piękna!

Lily wyszła wreszcie z domu i poszła spacerkiem, nie przez plażę, tylko ulicą, przez wysoką bramę i podjazd, do pobliskiej willi o ścianach barwy zblakłego różu.

Pokojówka, ubrana w czarną sukienkę i biały, nakrochmalony fartuszek, otworzyła jej drzwi i wprowadziła do dużego salonu. Był jakiś sztywny,

umeblowany połączanymi meblami w stylu Ludwika XVI, których okute brązem nogi wciskały się w wielki dywan z Aubusson o delikatnych barwach. Pięcioro szklanych drzwi prowadziło na rozległy taras, gdzie widać było stół nakryty do obiadu na cztery osoby.

Lily została sama. Zegar dziobał otaczającą ciszę, łącząc się z szumem morza w oddali, gdzie dzień dobiegał końca. Bojąc się usiąść na którejś z filigranowych, nieprzytulnych kozetek krytych jaskrawożółtym jedwabiem, zagłębiła się w studiowaniu małego olejnego obrazu – pola, żywopłoty, wiejska droga – dopóki nie poczuła, że ktoś się jej uważnie przygląda. W drzwiach stała wysoka, szczupła kobieta, o czarnych włosach zebranych w koczek, z jedną ręką złożoną w drugiej niewymuszonym gestem. Miała około czterdziestu pięciu lat i nie starała się uchodzić za młodszą, była piękna, wyniosła, cicha i smutna. Cały wyraz jej nieruchomej, wąskiej twarzy skupiał się w migdałowych oczach. Jej kobiecość była tak zupełna, tak skończona, że człowiek mimo woli zaczynał się zastanawiać nad jej autentycznością, pytając, jakim cudem jest taka, jaka jest. Czy możliwe, by ktoś na pozór tak bezbłędny, tak harmonijny, mógł kiedykolwiek stanowić spłot sprzecznych uczuć, jakim Lily czuła się w tej chwili i jakim zawsze była Grace?

– Jesteś...? – Kobieta wciąż stała nieruchomo. Jej głos, który się znało, zanim przemówiła, tak doskonale harmonizował z wyglądem, był głęboki i czysty.

– Jestem Lily... – Wicehrabina skinęła lekko głową, jak gdyby sugerując, że to wystarczy, ale dziewczyna dodała: – ...Teape.

Głowa zatrzymała się, uniesiona, przez krótką, znaczącą chwilę, oczy ześliznęły się nieco w lewo, by po chwili namysłu znów spocząć na Lily. Kobieta podeszła do ściany i pociągnęła za haftowaną szarfę.

– Napijesz się sherry? – Pokojówka zjawiła się niemal natychmiast.

– Nie, dziękuję.

– *Merci*, Louise – powiedziała wicehrabina, odwrócona tyłem do dziewczyny, która znikła równie szybko, jak się pojawiła. Lily żałowała teraz, że nie przyjęła poczęstunku.

– Mój mąż rozmawia z naszym synem. Zahaz – pierwszy ślad akcentu – do nas dołączą.

– Patrzałam na tego Corota. Jest przepiękny.

– Lubisz malarstwo?

– Tak. Bardziej podziwiać niż tworzyć, ale po maturze chcę iść na studia, na kurs podstawowy. Najbardziej interesuje mnie tkanina.

Wicehrabina przysiadła na brzegu krytej jedwabiem kozetki, w swobodnej,

doskonale wyważonej pozie.

Lily usiłowała zrobić to samo, ale jakoś miała zbyt wiele kończyn.

– Philippe też studiuje.

– Tak, wiem. Rozmawialiśmy o tym i...

– Phacuje baħdzo dużo.

– Wiem o tym.

– Powinien. To słuszne.

– Tak. – Lily spojrzała na swój podołek. Dobrnęła do tego momentu z takim trudem, że nie miała żadnego pomysłu na dalszą rozmowę, a wyglądało na to, że wicehrabina nie zamierza powiedzieć nic więcej.

Na szczęście w holu dały się słyszeć męskie głosy: starszy, głębszy, perorujący nieprzerwanie po francusku, i czysty ton młodzieńca odpowiadającego monosylabami.

Wicehrabia wszedł energicznie do pokoju. Był wysoki, nieskazitelny w swoim jasnopopielatym garniturze, jak gdyby się wybierał do biura. Miał zupełnie siwe włosy i nijakie, przystojne rysy podstarzałego modela: wystudiowana, krucha męskość, doskonała i bezpłciowa.

Przeciął pokój i skłonił się, ujmując rękę Lily. Chociaż wiedziała, że kurtuazja jest częścią jego natury, pochlebiło jej to i pomogło odzyskać pewność siebie. Miała nadzieję, że Philippe usiądzie obok niej, ale on skierował się do fotela o żłobionych nóżkach, przyrodniego brata kozetki. Sprawiał wrażenie zakłopotanego, gdy Lily uśmiechnęła się do niego.

– Lubimy jeść z naszą rodziną obiad wcześniej. Czy to nie będzie problem, Lily? – zapytał.

Pytanie miało dla Lily dwojaką wymowę. Po pierwsze, poczuła się jak ktoś, po kim spodziewano się kłopotów, jakby na wpół oczekiwano, że odpowie: „Nie, to nie do przyjęcia!”. Po drugie, uświadomiła sobie, że jest tu po to, by jeść, i że należy się z tym uporać jak najszybciej.

– Ależ skąd! Pora nie ma dla mnie znaczenia, naprawdę.

– *Bon.* – Małe słówko, niczym odbita piłeczka, zniweczyło jej gorliwe wykrzykniki. – Jak ci się podoba twoja willa?

– Jest piękna! – A więc wiedzieli. Wiedzieli, że mieszka w sąsiednim domu. To dobrze.

– Należy do mojego brata. Zawraca sobie głowę wynajmowaniem. Nie mogę zrozumieć dlaczego.

– Ach, to musi być bardzo... – Urwała, nie mogąc wyobrazić sobie jakiegis

konkretnej niedogodności. W końcu willa była dostatecznie oddalona.

Spojrzała znów na chłopca, teraz bardziej onieśmielona. Nie uśmiechnął się, tylko zmarszczył czoło, i wiedziała, że jest urażony, że ktoś zrobił coś, co go zraniło.

Gdzieś na obrzeżach coś się poruszało: niewidoczni ludzie na tarasie, szczęśliwe zjawy obdarzone jakimś zadaniem, podczas gdy tych czworo tkwiło pośród wykwintu w nieznośnym bezruchu.

W drzwiach stanęła pokojówka, z rękoma nieśmiało złożonymi na fartuszk. Obrzuciła pokój szybkim spojrzeniem, jej wzrok zatrzymał się na plecach wicehrabiny.

– *Madame, est servie* – powiedziała dziecinnym głosem.

– *Merci, Louise.*

Zajęli miejsca przy stole, Lily zwrócona plecami do morza. Czuła, że powinna się odezwać, powiedzieć coś sensownego, z czego mogłaby się wywiązać się rozmowa.

– Jestem jedynaczką, tak samo jak Philippe. Rozmawialiśmy o tym i doszliśmy do wniosku, że obojgu nam to odpowiada.

Z początku wydawało się, że uwaga Lily pozostała bez odpowiedzi. Wreszcie wicehrabina powiedziała, nie podnosząc oczu znad białej, porcelanowej filiżanki chłodzonego bulionu:

– Może mu to odpowiadać, ale być jedynakiem to dla mojego syna duża odpowiedź.

Lily uśmiechnęła się tylko w swoją filiżankę, ale Philippe powiedział:

– Odpowiedzialność, maman. – Wicehrabina podniosła wzrok na syna w niemym pytaniu. – Nie mówi się odpowiedź, tylko odpowiedzialność – powtórzył.

Jej twarz przybrała wyraz będący dziwnym połączeniem dumy, wdzięczności i rozdrażnienia.

– Mój syn mówi nadzwyczaj dobrze po angielsku, nieprawdaż?

– O, tak. Znakomicie. – Po tych słowach znów zaległa cisza, ale tym razem Lily zostawiła inicjatywę gospodarzom.

W końcu wicehrabia odezwał się, wśród pobrzękiwania sztućców:

– Nasz syn mówi, że jesteś sierotą?

– Tak, w pewnym sensie. Ale Grace była dla mnie matką, nie czuję się osierocona.

– Twój ojciec był...?

– Tak, był.

Irytowało ją ukryte pytanie, którego najpierw miała się domyślić, a potem nie odpowiedzieć. Bądź co bądź człowiek nie chodzi i nie trąbi wszędzie: „ojciec nieznany”. Nie miała żadnych oporów, by o tym mówić, ale nie akurat teraz, wobec tych ludzi, zarówno ze względu na nich, jak i na siebie. Zauważyła, że wicehrabia i jego żona spoglądają na siebie porozumiewawczo.

Wtedy usłyszała muzykę. Z początku myślała, że dochodzi z salonu, że służąca została dyskretnie poinstruowana, by złagodzić niezręczną sytuację. Ale rodzaj muzyki – zrozumiała to od razu – wykluczał taką możliwość. Tania, głośna, nachalna... Ze wzrastającą rozpaczą uświadomiła sobie, że to Grace i jej goście zaczęli nocne życie.

– Czy to zawsze tak głośno słychać? – spytała.

– Na ogół – powiedział wicehrabia.

– Bardzo mi przykro. Powiem o tym, jak wrócę.

– Myślę, że zdążyliśmy się już przyzwyczaić, prawda? – Spojrzał na żonę i syna, unosząc brwi, dumny ze swojej udawanej tolerancji. – Dźwięk bardzo się niesie po wodzie, nie zawsze się o tym pamięta. – Jego ton stał się nagle niemal przyjazny, bo zobaczył, że Lily jest bliska płaczu.

Philippe odprowadził ją do domu bez słowa.

– Dlaczego tak źle to wyszło? – spytała.

Trzymali się za ręce, chłopiec uściśnął w odpowiedzi jej dłoń gestem zdawkowej pociechy.

– To nie twoja wina. Nic na to nie mogłaś poradzić.

– Wejdiesz do środka? Przywitasz się z Grace?

– Nie – odpowiedział dobitnie.

– Proszę cię, porozmawiajmy! Przyjdź później na plażę!

W jego spojrzeniu, niespodziewanie szczerym, dostrzegła tęsknotę. Tak patrzył na nią kiedyś, przed laty... tego popołudnia.

– Przyjdę. – Ruszył biegiem w kierunku swojej furtki.

Lily odczekała w swoim pokoju, aż wszyscy wyjadą do klubu. Będą myśleli, że jeszcze nie wróciła z wizyty. Za wcześnie, aby zdać sprawę ze szczegółów, na które czekali. Willa znów była cicha po kakofonii ich odjazdu, która do Lily docierała nie jak z holu na dole czy żwirowego podjazdu przed domem, ale jakby wciąż jeszcze siedziała na tarasie sąsiedniej willi, słysząc to samo co oni, cierpiąc odrobinę więcej.

Mijając sadzawkę i mur z nieociosanych kamieni, poszła piaszczystą ścieżką, prowadzącą przez zagajnik mimozy na plażę. Philippe już tam był, siedział oparty

plecami o drzewo, z twarzą ukrytą w dłoniach. Ukłękła obok niego bez słowa. Nie dotknął jej, jak zrobiłby to w tym innym świecie, w którym kochali się i rozmawiali ze sobą.

– Powiedz mi, Philippe – odezwała się wreszcie.

Podniósł się i odszedł parę kroków dalej. Zaczął mówić, odwrócony do niej plecami, łamiąc i wyginając gałązkę mimozy. Przypomniała się jej pokojówka.

– Powiedziałem im o tobie, o mojej miłości. O tym, że chciałem... chciałem...

Podeszła i stanęła tak, by widzieć jego twarz. Z powodu wzniesienia stała niżej, unosząc głowę. Odwrócił się. A więc to było coś, w czym oczy i ręce nie miały brać udziału – same słowa, bez dotyku, który złagodziłby ich ciężar.

Nie próbowała znów spojrzeć mu w twarz, pozwoliła, by przemawiał do piaszczystej ścieżki, do splatanych korzeni drzew.

– Powiedziałem im to wszystko, a oni z początku nie komentowali. Przed twoim przyjściem ojciec wziął mnie na bok, żeby mi wytłumaczyć, dlaczego ty i ja razem... dlaczego to niemożliwe. Powiedzieli mi o twojej ciotce... że jest, no, kawiarnianą damą...

– Dziwką? prostytutką? To masz na myśli? – wybuchnęła Lily.

– Nie, nie, posłuchaj. Nie prostytutką, po prostu jest niepoważna.

To samo słowo, którego tak niedawno użył Jaime de Caberro. Rozumiała sens, jaki nadawali mu Europejczycy. Nie chodziło im o bez troskę czy lekkomyślność, to słowo określało jakość, istotę całej osobowości.

Lily zaczęła dygotać.

– Tu nie o Grace chodzi, tylko o mnie!

– Tak, ale to twoja ciotka, twoje środowisko. Poza tym moi rodzice mówią, że wcale nie jesteś sierotą, tylko... Znał doskonale angielski termin, ale ze względu na nią, chcąc go osłabić, posłużył się francuszczyzną – ...*une batarde*.

– I co z tego!?! – wrzasnęła, opierając się o drzewo, opleciona swoimi własnymi ramionami, skoro nie znalazły się żadne inne.

– I co z tego, do cholery!?!

Mówił dalej, z niewzruszonym spokojem, nie odwracając się.

– Tu chodzi o krew. W rodzinie te sprawy znaczą więcej niż pożądanie, niż piękno, niż... miłość. To sprawa krwi. Przykro mi.

– Jak mogłeś tak się zmienić? Byłeś kimś innym jeszcze dziś po południu!

– Musiałem, poza tym wtedy faktycznie nie wiedziałem wszystkiego. Dla mnie też nie jest to łatwe. – Odwrócił się w końcu i zobaczył ją, opartą o drzewo, kołyszącą się w swoich własnych objęciach. Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia,



nie z miłością czy żalem, tylko z litością. Potem ruszył przed siebie. Nieświadoma, że odszedł, Lily odwróciła się, by coś powiedzieć, i zobaczyła go na tle morza, poprzez fiolet, czerń i srebro, coraz mniej wyraźnie, nie dlatego, że szedł tak szybko, ale z powodu łez.

Wyszła na piasek i krzyknęła:

– Pieprzę cię, ty... ty... żabojadzie! – Nie było to nadzwyczajne, ale najlepsze, na co mogła się w tym momencie zdobyć. Bryza kołująca od morza pochwyciła jej słowa i cisnęła z powrotem w jej stronę, pomiędzy drzewa zagajnika.

Osunęła się na ziemię, dając upust łzom. Twarde korzenie uwierały ją i gniotły, ale tak było lepiej. Potem przyszło wyczerpanie, środek znieczulający ból. Opłakiwała swoje pochodzenie, swoje życie, płakała nad Grace. Gardziła tamtymi za ich pogardę dla Grace, i sobą, że w ogóle się tym przejmuje. To był ów statek, już nie odległa wątpliwość, ale okręt niedoli. Zakotwiczony w samym centrum jej świadomości nie zostawiał miejsca na nic innego. Przeplakała dalekie, drzące, pojedyncze uderzenie zegara, potem dwa, potrójne uderzenie przespała i obudziła się z piekącymi, ciężkimi powiekami o czwartej.

Od strony willi słychać było nawoływania. Nie wiedziała, co ze sobą począć, co powiedzieć. Usłyszała ciężkie stapania w zagajniku. Ktoś nadchodził, rozglądał się, wołał. To był Oliver. Nie poruszyła się. Nie znajdzie jej. Wykapie się, wśliznie do domu, prześpi się trochę i pojawi rano. „Co? Ci nudni Francuzi? Nie da się z nimi wytrzymać, a chłopak to dureń”.

– Lily? – Oliver ukląkł obok niej, delikatnie potrząsając ją za ramię. Myślał, że śpi. Podniosła głowę i od razu wszystko wiedział. Nie powiedział nic, tylko usiadł obok, tak by mogła oprzeć głowę na jego kolanach. – Powiedz mi, Lily. Powiedz.

Była zdumiona, że może jeszcze płakać, ból był znów świeży po odpoczynku.

– Ona... Grace nie jest kawiarnianą damą! Oni tak mówią... i mówią, że ja jestem bękartem. On tak powiedział i to prawda, ale to przecież nie wszystko, czym jestem, prawda?... Prawda?... I dlatego, i z powodu Grace nie możemy, nigdy nie będziemy mogli...

– Już dobrze Lily, rozumiem, nie musisz mówić nic więcej. Przerwał, gładząc ją po włosach. – Mój Boże, zacząłem coś podejrzewać już wtedy, kiedy Grace od nich wróciła. Mogłem się wtedy domyślić.

– Czy oni mają rację?

– Wiesz, że nie mają. Ale takich jak oni jest wielu, nie tylko we Francji. Wszędzie.

– Ty i Melissa jesteście inni niż Grace, prawda? Ona nie jest intelektualistką, a

wy tak, w pewnym sensie. I nie myślicie, że Grace jest po prostu... kawiarnianą damą?

– Kochamy ją. Ona by wszystko oddała innym, serca nie wyłączając. Jest jak dziecko, ale wiesz przecież, jak się o ciebie troszczyła przez cały czas i jak ty się nią opiekujesz.

– Co ja jej powiem? Jak opowiem o tym, co się stało?

– Oj, Lily – odwrócił jej głowę twarzą do siebie. – Tego nie muszę ci mówić. Widziałem, jak umiesz osłaniać Grace przed brutalnymi faktami... od kiedy? Od Hiszpanii, pamiętasz? Tej nocy, kiedy urodziło się nasze dziecko. Potrafisz robić to lepiej niż ktokolwiek inny na świecie.

– Jestem zmęczona. Mam dosyć Francji. Mam dosyć lata. Nie chcę mieć siedemnastu lat!

– To już nigdy więcej nie będzie tak boleć, Lily. Przyszekam ci to.

## **Część II**

Przez witrażowe szyby frontowych drzwi docierało światło ulicznej latarni, której zwielokrotnione odbicie połyskiwało w mosiężnych okuciach windy. Lily była zmęczona. W ciągu jednego dnia pokonała trasę do Walii północnej i z powrotem. Zamykając bramę, oparła się o nią całym ciężarem, by nie wpuścić wiatru do środka. Dopiero wtedy otworzyła harmonijkowe drzwi wymyślnej, zainstalowanej w klatce schodowej windy.

Od wakacji we Francji upłynęło sześć lat. Oliver Cary miał rację: ból już nigdy potem nie był tak dotkliwy. Lily do tego nie dopuściła. Była wysoką, spokojną, myślącą dziewczyną, którą zdumiałby podziw, jaki wzbudzała w swoim otoczeniu. Zdawała sobie natomiast sprawę, że jej sposób bycia musi sugerować siłę czy równowagę wewnętrzną, bo ludzie zwracali się jej ze spraw, o których wolałyby nie wiedzieć. Nie znosiła życia towarzyskiego, nikt nie był w stanie wmówić jej, że to coś więcej niż mydlenie oczu, pretekst do fizycznego kontaktu. Po studiach z dziedziny mody i projektowania odzieży zaczynała wyrabiać sobie markę swoimi unikalnymi rekonstrukcjami dawnej garderoby i oryginalnymi projektami, wykonanymi ze starych materii. Choć tworzyła ekscentryczne kostiumy, sama nigdy nie nosiła nowych ubrań, wolała dotyk używanych rzeczy z nieznanymi miejsc. Ubrań, które były tam, gdzie ona nie dotarła.

Eklektyczny smak konesera pomagał jej wynajdywać takie okazy, jak wiktoriański mundur numerowego, liberię lokaja z czasów króla Edwarda czy suknie Paula Poiret. Dokonywała zakupów w sklepach ze starzyzną, na targach i wyprzedazach w całym kraju, inne rzeczy potrafiła wyszperać, prowadząc pogawędki w pubach. W pogaduszkach z nieznanymi znajdowała spokój i szczególną przyjemność. W domu jakiejś sędziwej osoby zdarzało jej się zdobyć mundur wojskowy dziadka („Widział wszystkie bitwy wojny burskiej, tak, tak!”) lub czepek i suknię matki z czasów, gdy miała „dwadzieścia parę lat, jeszcze w starej rezydencji...”.

Lily szarpnęła ciężkie drzwi windy, przystanąła, uniosła głowę. Coś skłoniło ją, by wejść pieszo po szerokich, marmurowych stopniach. Nie zapaliła światła. I tak by zgasło, zanim doszłaby do następnego piętra. Zdejmując rękawiczki, odwijając szalik, spojrzała w górę, aby zbadać wzrokiem przestrzeń pomiędzy windą a serpentyną mahoniowej balustrady, zanim zaczęła wchodzić na górę. Wielki dom oddychał spokojnie w ciemności.

– Psst?! – pytanie poszybowało w górę i rozplynęło się. Spuściła głowę i zamknęła oczy dla lepszej koncentracji, ale nic nie zakłóciło ciszy, która potem zapadła. Zaczęła wspinać się po schodach. Na każdym piętrze przystawała i spoglądała w górę. Jej postać odcinała się na jaśniejszym tle nocy, zagląającej przez wysokie okna. – Psst? – znów ta sama, wyczekująca postawa. Odpowiedzi nie było.

Dotarła do drzwi swojego mieszkania. Po latach wciąż doskonale pamiętała tę najzwyczajszą pod słońcem czynność: klucz w zamku, obrót, otwarcie drzwi. Dlaczego właśnie to? Być może, gdy czyjeś życie się rozpada, pozwala to uchwycić konkretny moment, zwrotny punkt. I chronić bezpieczną pamięć wszystkich wcześniejszych, szczęśliwych chwil.

Jednak była jakaś subtelna różnica, ten powrót był inny niż wszystkie dotychczas. Kiedy otworzyła drzwi, miała absolutną pewność, że coś opuściło w tym momencie mieszkanie, przesunęło się obok niej i znikło. Poczowała nikły ruch powietrza, jak wtedy gdy wypuszcza się na wolność uwięzionego ptaka. Ale to nie był ptak. Coś niewidzialnego wyfrunęło z zamkniętej przestrzeni domu, który wciąż dzieliła z Grace. Normalnie Lily zawołałaby: „Grace, to ja! Wszystko w porządku?”, ale wiedziała, że ciotka ma właśnie randkę.

W wieku pięćdziesięciu dwóch lat Grace wciąż była piękną kobietą. Utraciła trochę ze swojego zapału, ale w końcu na drodze do upragnionego „długo i szczęśliwie” było tak wiele upokorzeń. Grace wciąż kontynuowała poszukiwania, „od nadziei do nadziei”, coraz słabszej, a jej wielbiciele byli w coraz podlejszym gatunku. Kiedy Lily poznawała kolejnego, Grace przychodziła do niej, usiłując zarazić ją swoim entuzjazmem. „No, Lily, co o tym myślisz? Prawda, że jest przemiły? I taki dobry? Naprawdę myślę, że tym razem... tym razem...”.

Lily nie poruszała sprawy nieuniknionej różnicy wieku, nie wspominała ukradkowego poklepywania jej po pośladkach, wygarniania zawartości pudełka z cygarami czy podejrzanego kręcenia biodrami. Mówiła ostrożnie: „Hmm... Wygląda na to, że masz rację. Ale, widzisz, ten jego nos nie daje mi spokoju”. „Nos?”. „Tak. Czy mogłabyś budzić się co rano, przez resztę życia, mając taki nos obok siebie?”. Poduszka dla zamortyzowania zawodu była w ten sposób przygotowana i już wkrótce Grace opadała na nią z wdzięcznością. „Kochanie, miałaś zupełną słuszność. On jest bez serca, po prostu potwór. A nos to wszystko zdradzał!”.

Ale dzisiaj było inaczej. Grace miała się z kimś spotkać po raz szósty w ciągu niecałych dwóch tygodni. Ten ktoś, nawet Lily musiała to przyznać, różnił się

korzystnie od pozostałych: wdowiec, dorosłe dzieci, mniej więcej w wieku, człowiek sukcesu, prawdziwy mężczyzna i dżentelmen. Trudno było dociec, co Grace w nim widzi. Były powody do optymizmu. Lily nie miała tym razem pobudki, by wypunktować nos, stopy, śmiech. Nie był to ktoś, kto wyzwał w człowieku nieżyczliwość.

Wszystkie światła w mieszkaniu były zapalone. Nie było w tym nic niezwykłego i Lily zostawiłaby je tak do powrotu ciotki, późno w nocy. Jednak gdy minęła otwarte drzwi salonu, poczuła jakieś napięcie w atmosferze tego miejsca o przyblakłej świetności, które wciąż wypełniały meble z nigdy niewidzianego przez nią wiejskiego domu, sprzedanego niemal natychmiast po śmierci wuja. Nie była to atmosfera wytchnienia, właściwa pomieszczeniom naprawdę pustym.

Lily weszła i zobaczyła Grace. Leżała na kanapie, zrzuciwszy buty, niby zrelaksowana, a jednak spięta i jakby wyczekująca. Do popielatej sukienki z jedwabnej dzianiny przyciskała torebkę, futro rzucone było na pobliskie krzesło. Jej wciąż gęste włosy o barwie topazu były starannie ułożone, tu i ówdzie spryskane lakierem, piękne oczy leciutko podmalowane, ale w całej jej postaci była jakaś zmęczona kruchość, jakby została artystycznie wymodelowana z używanej bibułki.

– Grace, myślałam, że wychodzisz z Davidem.

Grace wzdrygnęła się, odwróciła twarz, by przywołać uśmiech, nim zwróciła ją z powrotem w stronę Lily. Sięgnęła po papierosy, drżącą ręką włożyła jednego do ust. Zaabsorbowana czynnością przypalania, i czymś jeszcze oprócz tego, powiedziała:

– Nie przyszedł.

– Dlaczego? Nie zadzwonił, żeby się wytłumaczyć?

Grace odrzuciła w tył głowę, potrząsnęła nią, zaciągając się głęboko.

– Zadzwonił, a jakże. Wprawdzie dopiero godzinę temu, kiedy ja tu czekałam, niczym nagroda pocieszenia, na kanapie.

– Musiał mieć naprawdę ważny powód.

– O tak, miał. Przemyślał wszystko, tak powiedział, i zamierza się ustatkować. Powiedziałam, że ja również. „Wiem o tym – on na to – i dlatego nie możemy się więcej widywać. Nie jesteśmy stworzeni do trwałego związku”. To jego słowa, zabawne, co? Mężczyźni zawsze wyrażają się dziwacznie, kiedy chcą się od czegoś wymigać. Powiedział jeszcze: „W naszym wieku nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu”. – Zakrywszy twarz, powtarzała roztrzęsiona: – Strata czasu... strata czasu... rozumiesz?

Lily usiadła, otaczając Grace ramieniem.

– Tak mi przykro! – Cała sztuka polegała na tym, by wykazać, że w sumie dobrze się stało, ale tym razem Lily wcale nie była o tym przekonana. Żałowała, że nie wytknęła mu wcześniej przynajmniej jego sflaczałej szyi. Teraz byłoby jak znalazł, mogłyby się z tego śmiać.

Ze spuszczoną głową Grace przetrząsała zawartość swojej torebki. Nie był to dobry znak. Od czasu zajścia w Marbelli Grace trzymała wobec Lily swoją rozpacz w karchach, nie dopuszczając do skrajnych sytuacji, starając się dzielić z nią tylko dobre chwile. Jednak Lily wiedziała, że przeszukiwanie torebki to klasyczny wybieg.

Grace wydobłała w końcu chusteczkę, która do tego czasu przestała być potrzebna.

– Jak ci się podoba moja suknia? To Jean Muir – powiedziała, poklepując delikatnie twarz.

– Bardzo. Wyglądasz pięknie. Jak zawsze.

– Dziękuję, skarbie. – Z pewnym znużeniem przyjęła komplement, potrząsnęła głową, wróciła znów do torebki, zajrzała głębiej do jej wnętrza: – Czy udało ci się załatwić moją receptę?

– Tak. Zrobili mi to dopiero w Llandudno. – Lily podała jej białą torebkę.

– Llandudno, coś takiego. Jesteś kochana. Dzięki. Jak ci poszło? Znalazłaś dużo pięknych rzeczy? Coś się dla mnie nada?

– Całkiem możliwe.

– Świetnie. – Nie prosiła, żeby pokazać jej ubrania. Jej uwaga była gdzie indziej, niebezpiecznie daleko. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, kochanie, chciałabym teraz dać nura.

– Do łóżka?

Grace przy barku, na pół odwrócona, z uniesioną butelką w dłoni.

– W pewnym sensie, rozumiesz.

Lily wskazała receptę.

– Grace, nie bierz tego za dużo z alkoholem, dobrze? Wiesz, co się dzieje.

– Dam sobie radę, kochanie, nie martw się o mnie.

Delikatna pajęczyna różnych tabu, kompromisów, porozumień bez słów utrzymywała ich wspólne życie w harmonii. Jedno z niepisanych praw brzmiało: nigdy, ale to nigdy nie wchodzić do sypialni Grace, kiedy powiedziała dobranoc.

' – Grace, poczekaj chwilę! Porozmawiajmy...

Za późno. Lily usłyszała trzask zamykanych drzwi sypialni. W drodze do

swojego pokoju rzuciła okiem w stronę drzwi i nagle zmroziło ją przekonanie, że to, co ją musnęło dotykiem, kiedy wchodziła do mieszkania, to były poły fraka nadziei. Uznała Grace za straconą i odeszła.

Pograżony w ciemności pokój Lily pełen był starych ubrań, dziwacznych guzików z macicy perłowej połyskujących w mroku, dusz poruszających się niespokojnie w ubraniach, których nie chciały opuścić. Położyła się tam, jak stała, odpędzając sen, nasłuchując sygnałów powrotu Grace do równowagi: szumu wody w wannie, włączenia telewizora. Żaden dźwięk do niej nie dochodził.

Istniało niebezpieczeństwo, że Grace zamknie się w jeszcze bardziej odległym pokoju, zbudowanym z dżinu i walium, szukając, wciąż szukając tego wspaniałego kogoś, kto tak się ociągał, że ucieknie, aby już nigdy nie powrócić, opuścić na zawsze tych, którzy ją kochali. A było ich wielu. Choć jej własne życie odmierzały niedole źle ulokowanych uczuć, Grace wlewała magiczny eliksir miłości w życie innych, tak jak to było z Lily.

Kiedy Lily była dorastającą dziewczyną, Grace kupiła duży dom w Fulham, zmodernizowała go, urządziła i umeblowała w swoim własnym, skończenie wykwintnym, klasycznym angielskim stylu, przeznaczając go dla dzieci, które były same na świecie, nie więcej niż ośmiorga jednocześnie. Były to dzieci, których rodzice nagle zginęli lub których jedyny rodzic zmarł, dzieci, które stały się obiektem niewytłumaczonej nienawiści po przyjsciu na świat rodzeństwa lub po ponownym ożenku któregoś z rodziców.

W wielu przypadkach miały wszystko, co trzeba, z wyjątkiem miejsca, gdzie ktoś by je kochał i troszczył się o nie. Grace nazwała ten dom Ogródkiem. „Bo to w ogrodzie powiedziałaś, że zgadzasz się ze mną zamieszkać i zmieniłaś moje życie”. Dom prowadziło starannie wybrane małżeństwo. Przyjaciółka Grace, Angela, zajmowała się administracją, a Grace osobiście finansowała przedsięwzięcie – jej duże, prywatne dotacje zazwyczaj były „balsamem dla sumienia”. To dzięki Grace Ogródek napelniała atmosfera niezwykłości. Gdy przyjeżdżała, zaczynała się zabawa. Każda okazja była dobra, by świętować: Boże Narodzenie, Chanuka, urodziny. Jeśli data urodzenia była nieznana, Grace sama ją ustalała. „Jaka jest twoja ulubiona liczba?”. „Trzy”. „Ulubiona pora roku?”. „Wiosna”. „W takim razie to będzie trzeciego maja”. Dzień urodzin skrojony na miarę. Zabierała je do kina, do teatru, na niezliczone wycieczki, pojedynczo lub w grupie, w zależności od tego, co kto wołał. Uczestniczyła w każdym szkolnym wydarzeniu. W ogóle traktowała te dzieci jak własne. Nawet najbardziej skrzywdzone, zamknięte w sobie i dotknięte znieczulicą musiały ją prędzej czy



później pokochać.

Dopływy zasilające jezioro miłości Grace były niewyczerpane i niewielu zdawało sobie sprawę z groźnych, tajemnych prądów pod jego powierzchnią, szarpających ją, wciągających na głębsze, zimniejsze wody. Lily widziała ją, przynajmniej dwukrotnie, posiniaczoną na twarzy i kto wie gdzie jeszcze („Drobna stłuczka, kochanie, nie ma się czym przejmować”), wycofującą się, jak zawsze w takich chwilach, do swojego pokoju. Domyślała się prawdy, choć przypuszczalnie nie zdawała sobie sprawy z jej rozmiarów.

Lily położyła się na podłodze przed zamkniętymi drzwiami sypialni Grace. Dywan był tak gruby, że tylko w ten sposób mogła stwierdzić, czy światło się pali. Jeśli nie, to Grace śpi, by obudzić się nazajutrz, zjeść obiad z którymś z przyjaciół, odwiedzić Ogródek, obejrzeć jakiś prywatny pokaz. Wszystko mogło się ostatecznie ułożyć.

Ale światło przesączało się przez warstwę dywanu, w miejscu gdzie Lily przycisnęła go palcami do podłogi. Po chwili namysłu i nasłuchiwania Lily weszła do środka.

Sypialnia Grace, tak jak i reszta mieszkania, nie zmieniła się, odkąd Lily sięgała pamięcią. Pokój oświetlały dwie nocne lampy, fikuśne sprzęty z kokardami z różowego jedwabiu. Wielkie łóżko, zarzucone poduszkami, nie było tej nocy używane, chociaż brzoskwiniowa, jedwabna kołdra miała nieco sfatygowany wygląd. Kwiecisty perkal baldachimu zwieszał się półkoliście z obu stron łóżka, z tego samego materiału wykonano drapowane zasłony na wysokie okna. Drzwi do łazienki na drugim końcu pokoju były otwarte. Dziesiątki fotografii w ramach wisiały wokół lub stały, gdzie popadło, na stolikach, w sąsiedztwie korków od szampana powiązanych różową wstążeczką, pojedynczych zasuszonych róż i programów teatralnych. Fotografie przedstawiały Grace w chwilach radości: roześmiana Grace z Oliverem i Melissą, przy stoliku w nocnym klubie – brzeg był nierówny w miejscu, gdzie czyjś wizerunek został wydarty; Grace i młody, ciemnowłosy mężczyzna, trzymający się za ręce przed Koloseum, trochę nudnych, oficjalnych ujęć z jej ślubu: pompa i biel, most skrzyżowanych szabel, utworzony przez młodych, uśmiechniętych oficerów.

Lily nie od razu dostrzegła prawdziwą Grace, tak nikła była wobec wielkich rozmiarów pokoju i natłoku wypełniającej go martwej natury. Kiedy w końcu ją odnalazła, stojącą przed wielkim lustrem, boso, w krótkiej sukience z cekinami, uchwyconą w intymnym akcie kontemplacji, bokiem do lustra, z ręką na biodrze, z lewą stopą zwróconą palcami do wewnątrz, próbującą dostrzec przez ramię to, co

inni mogą zobaczyć od tyłu, Lily uderzyło, jak malutka się jej wydała, jak strasznie drobna.

Więc to była ta nieszczęsna, nocna Grace, ogołocona pośród szczątków swoich marzeń, mizerne, podpite chuchro, szukające w lustrze potwierdzenia komplementu, który usłyszała dziś rano, a może to było wczoraj, może nigdy? Czy zmyśliła to, jak wszystkie te pieczołowicie rozpisane na role sceny („...i bądź ze mną zawsze, droga Grace, zawsze, zawsze... zawsze”), sceny, które nigdy się w rzeczywistości nie zdarzyły? Rzeczywistość była tak daleka od ideału. Z pewnością wiedziała, że jej widok w tym stanie musiałby pozostawić niezatarte wrażenie, skoro tak starannie go ukrywała.

Grace odwróciła się gwałtownie, bez tchu, w stronę Lily, przyciskając ręce do piersi, jak gdyby była naga. Miała trudności z zachowaniem równowagi, potknęła się, oparła ręką o lustro, zaczęła wyniośle, zacinając się:

– Li... Lily, mo... moja droga, nie powinnaś, dla... dlaczego... – Przerwała, i wysuwając buntowniczo podbródek, pozwoliła jej patrzeć, dopóki nie stało się to nie do zniesienia. Opuściła głowę. – Szkoda, że tu weszłaś.

– Martwiłam się o ciebie.

– Nie chcę, żebyś się nade mną litowała. Robiłam wszystko, żebyś nie zobaczyła mnie znowu w tym stanie. Kiedyś, gdy byłaś zupełnie mała, weszłaś i zobaczyłaś coś, czego nie powinnaś widzieć. Potem w Hiszpanii: Jaime sukinsyn de Caberro. Wtedy powiedziałam sobie, nigdy więcej takich rzeczy przy Lily. Ona w żadnym wypadku nie może wiedzieć.

Chociaż Grace trzymała swoją rozpacz na wodzy, Lily cały czas zdawała sobie sprawę, że ta inna kobieta jest z nimi, że wślizguje się niepostrzeżenie niczym nocny lokator. Aby ją znaleźć, wystarczyło po prostu otworzyć drzwi do sanktuarium Grace, wtargnąć tu w chwili niepowodzenia czy rozczarowania kolejnym związkiem. Teraz, gdy to się stało, trudno było znaleźć słowa, które ukoją, załagodzą, i kiedy w końcu wykrztusiła pytanie, zabrzmiało mizernie, zupełnie nie tak, jak chciała:

– Więc z tobą wszystko w porządku?

Grace rzuciła szybkie spojrzenie w lustro, w obawie że wychowanica mogła dostrzec jakąś skazę, której nie powinna zauważyć, odwróciła się z powrotem, przyklepując włosy, na wpół świadoma faktycznego sensu pytania Lily, na wpół pogrążona w kontemplacji własnego odbicia.

– W porządku? Chyba tak, nie sądzisz? Jak ci się podoba moja sukienka? To Ossie Clark. – Wyglądała żałośnie, chuda, z odsłoniętymi, cienkimi jak u kurczaka

nogami, ale aprobujące kiwnięcie głową zostało przyjęte. – Miałam ją na sobie na pierwszym przyjęciu, na które poszłam po śmierci Michaela. Nie przytyłam od tamtego czasu ani grama. Och, ja wtedy to było to! Robili wokół mnie tyle szumu. Widzisz, wtedy byłam piękną, młodą wdową, tym atrakcyjniejszą, że nie zubożałam. Otaczała mnie atmosfera dostatniej tragedii. – Nieobecny wzrok zatrzymał się przez chwilę z upodobaniem na wspomnieniach, po czym Grace, wciąż ze szklistymi oczyma, uniosła rękę do podbródka. – A teraz? Popatrz na mnie!

– „Teraz” się nie liczy. Jesteś zmęczona, smutna. Jak się trochę prześpisz...

– Uciekać w sen? Nie chcę... Kiedyś próbowałam, ale przekonałam się, że w południe jest wciąż tak samo. Po dobrym obiedzie można przetrwać do trzeciej, czwartej... Wtedy gdy zimne Frascati się ulatnia, przypominasz sobie, że nie ma na świecie mężczyzny, który należałby tylko do ciebie; jest wciąż tak samo.

Grace usadowiła się ostrożnie na małym krzeselku przy toalecie: dłonie oparte na kolanach, ramiona opuszczone, głowa przechylona na bok, czoło zmarszczone, bosa stopy skierowane palcami do siebie.

– Myślałam, że szybko wyjdę za mąż po śmierci Michaela, że zaznam trochę tej bliskości, więzi, która ominęła nasze małżeństwo. W końcu wciąż byłam młodą kobietą. Każdego ranka budziłam się i myślałam, że on zjawi się lada dzień, ten jedyny. Cieszyłam się z każdej nocy, bo przybliżała ten dzień, tak jakbyśmy naprawdę byli umówieni na randkę. Potem zaczęłam mieć dosyć czekania, tak jak kobieta ma dosyć zaniedbującego ją kochanka. Co on robi tak długo? Zaczęłam podejrzewać, że termin naszej randki przyszedł i minął, że on się nie zjawił, poszedł sobie, ożenił się z kimś innym i być może ma już dzieci. Inni wokół mnie żenili się, często któryś raz z kolei. On przypuszczalnie był jednym z nich. A ja... Jak na ironię wszyscy wokół mówili: „Tobie to dobrze Grace, masz tylu mężczyzn”. I nie w tym rzecz, że nie uważano mnie za ładną. Wielu malarzy chciało mnie malować. A jeśli chodzi o tych, którzy się we mnie kochali, to, no, muszę mieć gdzieś przynajmniej sześć egzemplarzy tego... tego „Proroka”, ...wiesz, tego Gibela Khana.

– Khalila Gibrana\* – powiedziała cicho Lily, uśmiechając się w swój podolek.

– Co?

– Nic.

– Tak, masz rację: nic. – Co miało być odpowiedzią, okazało się podsumowaniem. – I jestem chora ze wstydu, kiedy pomyślę, jak żyję. – Grace podniosła oburącz szklanke, zakręciła nią, jednym ruchem wlała zawartość do gardła, znów napelniła, zakolysała.

– Dzisiaj, po tej historii z Davidem czuję się pusta w środku jak nigdy dotąd, jakby wszystkie możliwości zostały wyczerpane. Nie chodzi o to, że mam złamane serce. Nie byłam w nim zakochana. Kalkulowałam, jak tyłu ludzi, młodych i starych czyni w małżeństwie, przecież często jest to zwykła kalkulacja. Dobrze mi tak, bo naprawdę był dla mnie facetem z „rezerwowej listy”. Zawsze miałam w odwodzie kilku starych safandulów, których mogłabym złowić w ostateczności, gdyby wszystko inne zawiodło. No cóż, poczułam się przyciśnięta do muru, poczułam, że wszystko inne zawiodło, i patrz – stary safandula zostawia mnie na lodzie. Nie zasługuję na nic lepszego. Ale mam dosyć swojego wolnego stanu, tego „Czy ktoś może podwieźć Grace?” po każdym przyjęciu. – Uniosła głowę, podumała przez chwilę, po czym rzuciła w stronę ściany, jakby tam znajdowało się audytorium, a pośród niego winowajca: – Myślę, że ktoś mu powiedział.

– O czym?

– O tym, jakie życie prowadzę, dokąd chodzę, co robię. Kto spośród moich znajomych mógłby trafić do tego cuchnącego zaułka, tego doku, tego baru? W takich miejscach zaspokajam moje pragnienie. Ktoś szwendający się tam mógł mnie zobaczyć i powiedzieć mu. Myślę, że lekarz nazwałby to nimfomanią. Ładna nimfa, co? Wszystko zaczęło się od najzwyklejszej

\* Khalil Gibran, urodzony w roku 1883 w Libanie, zmarły w 1931 w Nowym Jorku – pisarz, malarz, filozof i poeta (przyp. tłum.).

tęsknoty: do męskich ramion, które by mnie otoczyły – nie do kogoś, kto zjawia się raz i więcej nie dzwoni, ale mężczyzny, który zostanie na dłużej, na zawsze. Dziś jest to niedobra tęsknota. Stałam się jedną z tych kobiet, które krążą, wykradając cudze niemowlęta, gdyż straciły własne dzieci lub nie mogą ich mieć. To pragnienie doprowadza je do szaleństwa. Moje pragnienie doprowadza mnie do szaleństwa. Krążę, kradnąc miłość lub coś miłego, co może ująć za miłość. Ale nie zawsze tak jest. Tylko od czasu do czasu. Wtedy gdy normalne sposoby: „Jak się masz?”, „Obiad, kawa?”, „Może byś?”, „Może bym?”, „U mnie czy u ciebie?”, wydają się cholernie powolne, za wolne. I mój Boże, ja kocham młodych mężczyzn! W wieku, w jakim byłby on, gdybym wtedy wyszła za mąż za właściwego człowieka. Moje gusta nie dojrzały wraz z ciałem – powiedziała, stulając dłoń i gładząc sugestywnie powietrze.

– Kocham ich zapach, ich dotyk, ich siłę i wytrzymałość. To, jak drżą, gdy są podnieceni. Chora, żałosna, wstydliva prawda. Nie osądzaj mnie, Lily, błagam cię. – Jej głos był względnie spokojny, ale łzy płynęły z jej oczu, gdy kręciła głowę w lewo i w prawo w nieustannym proteście.

To nie było zaskoczenie. Stopniowo, w miarę upływu lat, Lily rozumiała coraz więcej. Przypomniały jej się obrazki, którymi bawiła się jako dziecko. Błyszcząca karteczka była pusta, dopóki nie pociągnęło się jej pędzelkiem umoczone w wodzie. Wtedy zaczynała prześwitywać wydrukowana na niej scenka, coraz wyraźniejsza w miarę wysychania. Zawsze przed ostatnim pociągnięciem potrafiła odgadnąć, co zobaczy.

Szczerłość Grace zdawała się dowodzić, że coś się w jej życiu kończy. Jej specjalnością było zawsze „na niby”. „Na niby” niosło ją wciąż i wciąż od nowa przez młyn życiowych kryzysów; Grace podnosiła głowę, znów promienna, znów pewna, że tym razem nie będzie drogi w dół, nie będzie pójścia pod wodę.

Kiedy obie zdołały trochę ochłonąć, Lily powiedziała bardzo ostrożnie:

– Niebezpiecznie jest żyć w ten sposób, nawet jeśli to nie trwa stale.

– Wiem, kochanie. Muszę z tym skończyć, zanim to wykończy mnie. Skończę z tym, naprawdę... – przerwała, po czym roześmiała się cynicznie. – Słuchaj moich obietnic! Nie są warte więcej niż obietnice pijaka czy narkomana. Ale dokąd, u licha, mam pójść na odwykówkę? Mój kac to będzie życie, upływający czas, dzień po dniu. – Odwróciła gwałtownie twarz w stronę Lily: – Czy wiesz, co to jest namiętność? Tęsknota? Pożądanie? Nie sądzę. Ktoś młody, świeży nie miewa pragnień tej natury. To przychodzi z wiekiem, doświadczeniem, rozczarowaniem, a odchodzi dopiero, gdy nie ma już żadnej nadziei. Porzuciłaś swoje serce na plaży we Francji i nigdy nie zadałaś sobie trudu, żeby je podnieść. Droga Lily, taka młoda, tak dojrzała! Nie dla ciebie wzloty, upadki, uniesienia?

Lily odsunęła wspomnienie, nie podjęła tematu.

– Chodź, Grace. Pomogę ci się położyć. Porozmawiamy w dzień, kiedy świat zawsze wydaje się lepszy – powiedziała, wątpiac tym razem, czy świat rzeczywiście wyda się Grace inny. Mniejsza o alkohol, o rozczarowanie. Poza tym wszystkim rozwierała się głęboka szczelina, na której dnie spoczęło tyje wartościowych rzeczy: optymizm, wola, wiara w upragnione „długo i szczęśliwie”.

Grace pozwoliła sobą kierować: Lily rozpięła jej sukienkę, położyła ją do łóżka i właśnie miała naciągnąć przykrycie, spodziewając się, że lada chwila Grace zamknie oczy i zapadnie w natychmiastowy, ciężki, pijacki sen, kiedy ta oswobodziła się gwałtownym ruchem, chwyciła Lily za nadgarstki, windując w górę swój nieznaczny ciężar, dysząc błagalnie, gorączkowo z twarzą przy jej twarzy:

– Znajdź kogoś, Lily, znajdź kogoś, zanim będzie za późno, tak jak jest za późno dla mnie!

Lily ułożyła ją z powrotem na poduszkach.

– Wszystko będzie dobrze, dam sobie radę... Teraz cśś, cśś... – Sięgnęła ręką, żeby wyłączyć światło.

– Nie, nie. Jeszcze nie teraz. Sama zgaszę, kiedy poczuję, że nadchodzi sen. Dziękuję ci, skarbie, dziękuję.

Zamiast wrócić do swojego pokoju, Lily wyszła z mieszkania, zamykając bezszelestnie drzwi za sobą. W mroku półpiętra przechyliła się ponad balustradą, z rękoma opartymi na biodrach.

– Psst?

– Psst! – przyszła odpowiedź i Lily zeszła na dół.

W ciemności, na ostatnim stopniu kondygnacji, tyłem do niej siedział czarnowłosy chłopiec. Jego głowa była odwrócona, usta nieco otwarte, ucho zwrócone w jej kierunku. Miał na sobie szlafrok, pasiastą piżamę i domowe pantofle.

– Cześć, Lily, siadaj. – Poklepał miejsce na stopniu obok siebie. Jego półprzymknięte oczy wciąż skierowane były na ścianę.

Sadowiąc się obok niego, Lily zmierzwiła mu czuprynę, on wyciągnął rękę i ujął jej przegub. Gdy już siedziała, z rękoma splecionymi i opuszczonymi między kolana, chłopiec odwrócił głowę, nieco mechanicznie, trochę za daleko, tak że jego oczy skierowane były teraz na tył jej głowy. Był niewidomy. Chwilę siedzieli w przyjacielskim milczeniu, po czym chłopiec zapytał:

– Jak minął dzień? W porządku?

– Pół na pół. A u ciebie?

– Urwałem się ze szkoły. Powiedziałem, że znowu mam ten ból głowy. Poszedłem nad kanał łowić ryby.

– Sebastian, naprawdę, nie rób tego więcej. – Lily odprawiła rytualne upomnienia, po czym zapytała: – Złapałeś coś?

– To co zawsze: plastikową torbę, mocno zawiązaną, z czymś lepkiem w środku. Pewnie stara prezerwatywa i rozlatujące się tenisówki. Wiesz, jakie jest moje największe marzenie?

Lily przyciągnęła go bliżej do siebie, moszcząc jego głowę w zgięciu swojego ramienia.

– Powiedz mi, powiedz!

– Wyprawa na pstrągi do Szkocji. Choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię.

– Wiem. – Jej uśmiech był wyczuwalny uchem. W ciągu ostatnich lat

wielokrotnie słyszała o tym projekcie, zawsze obwieszczanym ze świeżym entuzjazmem, w stylu „poczekaj tylko, a zobaczysz”. Dokładnie odkąd dostał od niej wędkę na siódme urodziny. Poszedł prosto na biały kamienny most w Hyde Parku i złowił starą kraciatą koszulę. Każdy, kto znał Sebastiana, słyszał o tym wydarzeniu, było to niewątpliwie najbardziej ekscytujące przeżycie, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Przez wiele dni opisywał je potem każdemu, kto chciał słuchać: „branie”, szarpnięcie, zwijanie linki, wyjawiając wreszcie, aby nie musieli dłużej hamować rozbawienia, które wyczuwał wokół siebie: „...i to była koszula, co najmniej taaaka wielka”, z przesadą godną prawdziwego wędkarza: z rozłożonymi rękami, z zadartą głową, uśmiechając się promiennie do sufitu.

– Co byś powiedział na małą obietnicę? Tego lata zabiorę cię na pstrągi do Szkocji, to będzie twój urodzinowy prezent.

– Czadowo, Lily! Mówisz poważnie? – Odwrócił się, chwytając ją oburącz za ramię, jego kolana zwrócone były teraz w jej stronę.

– Jasne, że poważnie.

– Co się dzieje? – zapytał, puszczając jej ramię i przybierając tę samą pozycję co ona: ręce splecione, opuszczone między kolana.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Coś cię gnębi. Słyszę to.

– Widzieliście go, Sherlock dla ubogich!

– Ale mam rację.

– Chyba tak. To Grace. Jest dziś w strasznym dołku. Nie sądzę, żebyś znał jej ostatniego przyjaciela, Davida, ale w każdym razie to skończone. Wielka szkoda, no i Grace przyjęła to gorzej niż wszystko inne do tej pory.

– Biedna Grace. Gdybym był starszym panem, to bym się z nią ożenił. Uważam, że jest naprawdę równa i fajna.

– Kłopot w tym, Sebastianie, że gdybyś był starszym panem, ona by za ciebie nie wyszła.

– Dziwne – skwitował. Zdawał się zezować w stronę czubka swojego nosa, jakby ważył na nim to pokrętne rozumowanie. – Tak czy inaczej nie rozumiem, czemu tak sobie zawraca głowę. Mama mówi, że na szukanie męża można stracić więcej cennych godzin roboczych niż na cokolwiek innego. Czy byłaś ostatnio w Ogródku?

– Nie. Od zabawy w Boże Narodzenie.

– Obiecuj mi, że nie powiesz Grace, ale nie znoszę tego miejsca. Jest przynębiające. – Lily zaczęła protestować, ale przerwał jej: – Nie, nie, słuchaj.

Wiem, że ona pięknie to wszystko urządziła i ludzie są tam naprawdę mili, że to jest jak normalna rodzina i w ogóle, tylko że tak naprawdę to wcale tak nie jest i te dzieci wiedzą, że nie mają nikogo własnego na świecie. A jak mają, to jest niemal jeszcze gorzej, bo to znaczy, że temu komuś na nich nie zależy. Widzisz, tych parę razy, kiedy tam byłem, czułem, że nie mogę zachowywać się zwyczajnie, rozrabiać, wygrywać gier i tak dalej, bo oni są tak bardzo pokrzywdzeni przez los. Więc przynajmniej można dać im wygrać w remika. To nie przypomina normalnego życia.

– Zdaje się, że mamy szczęście, ty i ja.

– Aha – westchnął, sięgając znów po jej przegub, jak po talizman.

– Sebastian?

– Co?

– Jutro zaczynam szukać. Naprawdę już czas najwyższy. Muszę znaleźć jakieś miejsce do pracy. W domu jest za ciasno.

– Tak, ale nie odchodź. Nie odejdiesz, prawda?

Lily wzięła go za rękę i zaczęła zginać jego krótkie, szorstkie palce, zamykając je wokół swojej dłoni. Rozumiała, co to znaczy „nie odchodź”. To było coś, czego sama się zawsze bała: że ci, których kocha, odejdą.

– Nie, nie odejdę. To będzie tylko pracownia. Dalej będę mieszkać tutaj.

– W takim razie w porządku. Posłuchaj, to tata.

Lily zamknęła oczy, żeby się lepiej skoncentrować. – Gdzie? Przed domem?

– Uhum. Wkłada klucz do zamka.

Na dole, cztery piętra pod nimi, dał się słyszeć odgłos zamykanej bramy, anemiczne światło rozjaśniło schody, metalowe drzwi otworzyły się i zamknęły. Zgrzytając i dygocząc, winda ruszyła, aby zatrzymać się piętro niżej. Nie dochodziła na najwyższe piętro.

– Lepiej już pójść. Ale ty powinieneś chyba być w łóżku – wyszeptała Lily.

Sebastian nie odpowiedział, jego ucho łowiło jakieś dźwięki w dole, dłonie ciasno obejmowały kolana.

U wylotu schodów pojawiła się wysoka sylwetka Olivera Cary. Jego głowa była spuszczone, ruchy zdradzały wyczerpanie i rozkojarzenie. Po kilku krokach przystanął i spojrzał w górę, gdzie wyczuł w mroku dwie postacie, większą i mniejszą.

– O Jezu – wzdrygnął się – aleście mnie przestraszyli. Co tu, u licha, robicie o tej porze? Musi być jedenasta! – Nigdy nie nosił zegarka.

– Przepraszam – powiedziała Lily. – Masz rację, nie zdawałam sobie sprawy, że



jest tak późno.

– Nie jesteś zły? – spytał Sebastian.

– Nie, staruszkę – Oliver uszczyptał go pieszczotliwie w policzek. – Ale będziesz zmęczony w szkole. Chodź!

– Niech Lily mnie opatuli, tato, proszę!

– Dobrze, dobrze, ale pospiesz się. – Oliver minął ich, zanim zdążyli się podnieść, wołając od progu: – Melissa? Melissa?

Sebastian i Lily weszli za nim, trzymając się za ręce. W głębi mieszkania gadała maszyna do pisania. Wchodząc do pokoju Sebastiana, zobaczyli Olivera stojącego bokiem w oświetlonych drzwiach, z rękami w kieszeniach, jakby chciał sprzęgnąć razem pokój i otaczający świat, pozostając na uboczu jednego i drugiego.

– Gdzie jest Sebastian? – usłyszała jego pytanie. Maszyna do pisania ucichła. – Nie, tam go nie ma. Siedział na schodach... Nie, nie sam. Z Lily. Z kimże by innym?

Tak, z kimże by innym? Kto przyszedł, pokonując nieśmiałość, do szpitala w Marbelli, żeby zobaczyć dziecko, którego narodziny sprawiły rodzicom tyle bólu, spojrzeć w jego oczy, niewidzące niczego? Kto uczył się od pielęgniarki, która przyszła na miesiąc i została przez sześć, jak je przewijać i karmić? I kiedy pielęgniarka odeszła, a Melissa nadal pogrążona była w ciężkiej depresji poporodowej, kto biegł ze szkoły do domu, aby ją zmienić, wtykać grzechotki w jego drobne, zaciśnięte piąstki, kąpać go i układać do snu? Przepelniona dumą, Lily pchała wózek po parku w niezliczone popołudnia, podczas gdy jej cichy podopieczny spał z otwartymi oczyma i nie mogła się doczekać, kiedy się obudzi i będą mogli się bawić. Jeśli nie kolidowało to z jej szkołą, zabierała go na zajęcia środowiskowe dla dzieci z normalnym wzrokiem i zostawała tam razem z nim. Później odprowadzała go do szkoły i z powrotem, dopóki nie zdecydowano, że potrafi to już robić samodzielnie. Rzeczywiście potrafił i bardzo chciał; jego samodzielność wprawiała w zakłopotanie. Kiedy przewrócił się i złamał nogę, to Lily wynosiła go, z nogą w gipsie, na słońce, czytała mu, łowiła z nim ryby i opowiadała mu historyjki.

– Gotowe – powiedział cicho Sebastian. Lily podeszła do jego łóżka. – Zrób prześcieradła po swojemu, Lily, dobrze? Wiesz, bardzo mocno naciągnięte i gładkie.

– Siedź jutro w szkole, dobrze? Te wycieczki źle się skończą. W końcu cię nakryją.

– Ty im nie powiesz! – stwierdził z przekonaniem.

– Kładź się, zmoro. Niech ci się przyśnią ryby. Do zobaczenia.

W drzwiach sypialni pojawili się Oliver i Melissa. Oliver zatrzymał się w progu, ale Melissa wkroczyła do środka.

– Lily, jesteś nieodpowiedzialna, naprawdę. On ma szkołę, wiesz o tym. Czemu robisz takie rzeczy? Idź teraz i na przyszłość myśl trochę.

Kiedy Lily mijala Olivera, jego wzrok prosił o wyrozumiałość dla żony. Wszyscy wiedzieli, że była drażliwa, kiedy zakłócano jej pracę. Lily mrugnęła do niej przepaszająco.

– Hej, Lily – zawołała Melissa, już bardziej przyjaznym tonem, zanim drzwi zdążyły się zamknąć – nie zapomnij, jutro wieczorem, dyżur przy dziecku!

– Tylko nie przy dziecku, wypraszam sobie, przy chłopaku, jeśli już! – rozległ się wściekły głos Sebastiana.

– Dyżur przy chłopaku, będę pamiętać. Dobranoc.

Na górze położyła się raz jeszcze pod drzwiami sypialni ciotki. Światło było zgaszone. Grace spała.

Rano Lily przyrządziła kawę i zaniósła do sypialni Grace. Wspólne rozpoczynanie dnia stało już się tradycją. Tym razem Lily nastawiona była na więcej niż lekkie tchnienie zachęty, jakiego oczekiwano od niej do tej pory: „Rano jest aerobik, Grace. Pomyśl o swoich udach”. Postanowiła zmienić plany, odłożyć na później poszukiwanie pokoju i zostać z Grace, dopóki się nie pozbiera, hołubić ją, doradzać i podsuwać pomysły, tak jak Grace postępowała z nią, ile razy zachodziła potrzeba. Jednak wchodząc do pokoju, usłyszała:

– Witaj, kochanie! Ależ dziś szaro i ponuro na dworze. Czy tu nie jest ciepło i przytulnie, co? Chodź, siadaj, porozmawiamy o dzisiejszym dniu. Grace poklepała miejsce obok siebie na szerokim łożu, zarzuconym stosem listów i zaproszeń. – Jem dzisiaj obiad z Angelą. Przyszłabyś? Obawiam się, że będziemy cały czas mówić o Ogródku, ale w każdym razie zapraszam.

– No, to zależy od... – Lily zawahała się przed bardziej szczegółowym pytaniem. Ta swada Grace – czy to tylko pozór? Jeśli tak, to czy ma prawo uchylć zasłony pod jakimś pretekstem?

Pozorując zaabsorbowanie ranną pocztą, Grace powiedziała:

– Jeśli chodzi o wczorajszą noc... – przerwała – ...ogromnie mi przykro. Zgroza, że widziałas mnie w tym stanie. Ale proszę cię, kochanie, na przyszłość nie wchodź, kiedy już powiedziałam dobranoc. Człowiek musi mieć jakiś azyl, jakieś zacisze, gdzie może być, kim chce, sam ze sobą, bez wyjaśnień.

– Wcześniej się to nie zdarzało, prawda? Ale wczoraj byłaś inna niż zwykle. Bałam się o ciebie.

Grace położyła swoją dłoń na dłoni Lily. Więc jednak udało jej się uchylć nieco tej zasłony, bo cień bólu osiadł na twarzy Grace.

– Zapomnij o tym, Lily, proszę cię – szepnęła, i dodała, jakby chcąc odrzucić za siebie te nocne godziny, niczym kiepski dowcip, który nie wyszedł: – To była inna Grace, głupia Grace. Nie można zawracać sobie głowy tą kwękającą, rozczulającą się nad sobą starszą panią, prawda?

Przechylając na bok głowę, uśmiechnęła się prosząco, błagając spojrzeniem, by wyrzuciła z pamięci wszelkie wspomnienia innej Grace niż ta, którą chciała pokazywać światu: pełna życia i optymizmu.

Dla niezbyt wnikliwego obserwatora Grace wciąż mogła ujść za

czterdziestolatkę. Lily uderzyło, że myła się i robiła delikatny makijaż przed ich rytualną, poranną kawą. Tylko dla niej, chociaż wiedziała, że ona kocha ją bez względu na wszystko.

Czubkami długich, lakierowanych na czerwono paznokci Grace rozłożyła zaproszenia na jedwabnej kołdrze. W okularach balansujących na czubku nosa przypominała wróżkę, szukającą w kartach swojej własnej przeszłości.

– Czego szukasz?

– Rozrywki, skarbie, rozrywki. Zmarszczyła czoło na widok jednej z kart i odsunęła ją na bok. – Każdy dzień musi mieć swoją małą przyjemność, prawda? Szukam dzisiejszej. Spójrz, co ty na to? Podniosła wymyślną kartę, przedstawiającą wielki, kolorowy półmisek, a na nim bezładną stertę stortuowanego, rdzewiejącego metalu. – To wygląda wystarczająco komicznie: „Johnny Cochrane, «Śmietnik liryczny». Zapraszam”. – Ustawiła kartę żartobliwie pod kilkoma różnymi kątami, potem powachlowała się nią, udając omdlenie. – Jak można nazywać to sztuką? To z galerii Dennisa, więc pewnie Cochrane to jego kolejny, mały kumpel od zadka. Nie pojmuje, jak ten człowiek zarabia pieniądze.

Lily wzięła do ręki kartę, zaproszenie na prywatny pokaz, między szóstą a dziewiątą wieczorem. Nim ją odłożyła, uwagę jej przykuły drzwiczki od pralki wycelowane w resztę rdzewiejącego metalu.

Grace przeglądała inne karty, ale palce jej lewej ręki wciąż bezwiednie sunęły w kierunku tego jednego zaproszenia. Podniosła je raz jeszcze, zagryzając usta, ubawiona.

– Wybierzmy się Lily, co? Po prostu dla śmiechu. „Śmietnik liryczny”, nie mogę, co za głupota, to mi się podoba! Rzuciła się ze śmiechem na stertę poduszek, z rozłożonymi rękami, z kartą w dłoni. Proszę cię, chodź ze mną. Z tobą zawsze jest lepsza zabawa.

– Dla śmiechu? No dobrze. „Śmietnik liryczny”. Paradne.

Lily była więc wolna i mogła wyruszyć na poszukiwanie swojego pokoju: czegoś niedrogiego, w spokojnym otoczeniu, niezbyt daleko od domu. Próby znalezienia czegoś w Paddington okazały się beznadziejne i nim nadeszło popołudnie, dotarła do Ladbroke Grove.

Czasy świetności domów tej niegdyś eleganckiej dzielnicy dawno minęły. Wiele z nich przeżywało obecnie swój renesans, ale inne były w opłakanym stanie, niektóre sprawiałyby wręcz wrażenie opuszczonych, gdyby nie doniczka z kwiatkiem w jednym oknie, na wpół opróżniona butelka mleka na innym; zasłony tu zaciągnięte, tam odsunięte – wszechobecne znaki chaotycznej egzystencji.

Na jednym z takich domów Lily zobaczyła wywieszkę za przybrudzonym szkłem, zawieszoną na ogrodowej furtce od wewnątrz, z jednym odręcznie skreślonym słowem: „Wynajmę”. Część domów przy tej ulicy została odrestaurowana i sprzedana, przypuszczalnie za setki tysięcy, ale ten nadal otaczała charakterystyczna aura upadku.

Dom był wolno stojący, wielki i przepastny, otoczony zarośniętym ogrodem, pogrążony w swojej własnej, mrocznej tajemnicy. Lily otworzyła furtkę, minęła ścieżkę, schodki kryte brudną, oszkloną arkadą i nacisnęła dzwonek, który nie wydał żadnego dźwięku. Chciała zadzwonić jeszcze raz, kiedy drzwi, przytrzymywane łańcuchem, uchyliły się na kilka cali. Ukazała się środkowa część kobiecej twarzy.

– Słucham?

– Widziałam wywieszkę. Czy pokój jest nadal wolny?

Drzwi zamknęły się, by po chwili otworzyć się ponownie, tym razem bez łańcucha. Wnętrze domu było w opłakanym stanie, choć z widocznymi śladami dawno minionej świetności: spękane sztukaterie na suficie, połamany żyrandol, martwy i zlekceważony, na ścianach ciemniejsze ślady w miejscach, gdzie przez długi czas wisiały zdjęte później obrazy. Wielkie pokoje zostały najwyraźniej podzielone na mieszkania, tanio i nieekonomicznie, gdyż wrażenie ogromu pozostało. Na schodach nie było dywanu, ale kuta balustrada i mahoniowa poręcz wciąż były piękne.

Kobieta miała duży, solidnie usztywniony biust, zmysłowe biodra i brzuch obciągnięte ciasno dopasowaną sukienką. Mogła być po pięćdziesiątce, miała nachalnie rozjaśnione włosy, spiętrzone za pomocą grzebieni ponad śmiałą, otwartą, mocno umalowaną twarzą.

– To na pierwszym piętrze. Windy nie ma, ale takiej młodej osobie nie będzie to przeszkadzać. – Bagaż?

– Nie przy sobie.

– Więc nie chce pani pokoju od zaraz?

– Od zaraz, jeśli będzie mi odpowiadał.

– Nie można wprowadzić się bez bagażu. Taki regulamin.

– Pokój nie jest mi właściwie potrzebny na mieszkanie, tylko do pracy w ciągu dnia.

Kobieta zniżyła wzrok, przyglądając się Lily uważnie. Unosząc w uśmiechu jedną połowę wydatnych ust, zapytała:

– Chyba nie prostytutka, co?

– Mój Boże, nie. Jestem projektantką, projektantką odzieży, i potrzebuję pracowni, to wszystko. W naszym mieszkaniu jest za ciasno.

– Rozumiem. – Jej ton sugerował, że widzi dużo więcej, niż mówi. Była w niej wulgarna znajomość życia i Lily stała przed nią zakłopotana, zafascynowana, czując, że jest prześwietlana na wylot. – To chodźmy na górę. Pokażę pani. Chwyciła z tablicy dwa klucze na kółku, podzwaniając nimi, kiedy wchodziły po schodach. – Gość, który go zajmował, ulotnił się w zeszłym tygodniu. Trzy miesiące zaległego czynszu. Szubrawiec. Takie rzeczy się zdarzają, widzi pani. Człowiek jest ostrożny; ktoś jest na oko taki miły. Gadanie, dużo gadania. Nagle trach! Szubrawiec znika, zostawiając pokój bardziej pusty niż przedtem... i mnie – filozoficzna rezygnacja w głosie. – Moje nazwisko Gregor. Dla lokatorów jestem Gili.

Drzwi do mieszkania szubrawca na pierwszym piętrze były szeroko otwarte, ukazując wysoki, odrapany pokój z trzema parami oszklonych drzwi balkonowych i wytartym dywanem sznurkowym, który postradał swój kolor wraz z wiekiem.

Lily weszła i stanęła pośrodku, blade światło słoneczne sączyło się przez szyby do jej stóp. Były tam licho, malowana na biało szafa i komoda, na suficie kolejne sztukaterie i centralna rozетка, z której nie zwieszała się żadna lampa. Zasłony były ciemnobrązowe – ciężka, sięgająca podłogi tkanina, ciągnąca się przez całą szerokość ściany. Możliwe, że były tu już w czasach edwardiańskiej świetności domu i dzięki nim pokój zawsze będzie wyglądał pięknie, mimo całej tandety i lichych kinkietów na ścianach.

Lily uniosła jedną z zasłon i pokazała pani Gregor.

– To jest wełniany aksamit. Ogromna rzadkość. Dziś już się czegoś takiego nie produkuje.

– Tak, moja droga. – Pani Gregor stała w drzwiach z założonymi rękami, nieporuszona, po gospodarsku, przyglądając się Lily bez skrępowania w anonimowości pustego mieszkania. – Podoba się pani?

– To piękny pokój.

– Cieszę się. To jeden z moich ulubionych.

– Czy jest łazienka, kuchnia?

Pani Gregor obojętnym ruchem otworzyła drzwi, ukazując wnękę przerobioną na żalospną namiastkę kuchni. Inne drzwi prowadziły do małego pokoiku, gdzie znajdowała się krótka, pokryta płamami wanna na krzywych nóżkach i jej nieszczęśliwe rodzeństwo: ubikacja wraz z umywalką.

– Ile?

Pani Gregor znów założyła ręce, pochylając głowę, aby zgłębić ten nowy aspekt. Spuściła na chwilę wzrok, dokonując oceny, po czym uniosła oczy i brwi.

– Siedemdziesiąt pięć.

– Tygodniowo! – wykrzyknęła Lily.

– Toż to taniocha – powiedziała dobrotliwie, uśmiechając się nad rezultatem swojego, dokonanego w ciągu dziesięciu minut rozpoznania. – Nie przywykło się do tego, co?

– Do czego?

– Do tego – powiedziała bez jednego gestu. Nie chodziło jej ani o pokój, ani o otaczającą ją mizериę, ale po prostu o uniwersalne „to”.

I Lily wiedziała, że to prawda. Pokręciła głową.

– Nie. Ale przywyknę.

– Wie pani co: siedemdziesiąt za tydzień, gotówką, płatne z góry.

Mieszkanie szubrawca przeszło w ręce Lily i pani Gregor stała się dla niej Gili.

Kiedy w drodze powrotnej jechała jedną z wąskich przecznic Baker Street, jakaś kobieta, osłaniająca się czerwoną parasolką przed zacinającym deszczem, weszła prosto pod jej samochód. Lily zahamowała gwałtownie, kobieta opuściła parasolkę, uświadamiając sobie z nagłą zgrozą, jak bliska była przejechania. Twarz, którą Lily zobaczyła, z otwartymi ustami, z oczyma zacisniętymi z przerażenia, była twarzą Grace. Kobieta podniosła parasolkę i pobięła przed siebie. Lily krzyknęła za nią:

– Grace, zaczekaj! Nie uciekaj!

W domu poszła do Grace i zapytała, chociaż znała odpowiedź:

– Czy byłaś jakiś czas temu na Chiltern Street, z czerwoną parasolką?

– Oczywiście, że nie, i wiesz, że nie znoszę parasolek. Mordercze przyrządy.

– Więc jesteś pewna?

Obojętna reakcja Grace ustąpiła miejsca zaciekawieniu.

– Dlaczego się tak dopytujesz, kochanie? Czego właściwie chcesz się dowiedzieć?

– Nie wiem. To musiał być szok, omal nie przejechać kogoś, a kiedy ten ktoś się odwrócił, zobaczyć twarz osoby, którą kochasz najbardziej na świecie... idiotyczne.

– To ta ostatnia noc, prawda, to wszystko przez to? Posłuchaj mnie, Lily: musisz myśleć o sobie, o swoim życiu, bo ja... ja dam sobie radę... w końcu, rozumiesz. – Znow to spojrzenie, a w nim natarczywa prośba: „Spójrz na mnie, widzisz, śmieję się, śmieję!”.

Galeria Dennisa Little'a była już pełna ludzi, kiedy dotarły tam wieczorem. Nie sposób było przyjrzeć się któremukolwiek z barbarzyńskich, porzewiałych eksponatów z dostatecznej odległości, ale nawet bez przyglądania się Lily od razu wyczuła, że nie były to zabawne okazy, choć wydawały się takie na zaproszeniu. Z bliska wyczuwało się w nich jakąś namacalną wrogość. Gdy wyciągnęła rękę, by dotknąć chropowatej powierzchni jednego z nich, do czego zdawały się prowokować, wyzywać, na jej skórze pozostała rdzawa plama.

Tłok był wszędzie, ale na drugim końcu sali panował największy ścisk, szczególne poruszenie ożywiało kłębiący się tam tłumek. Stamtąd promieniowała energia, której nie było przy drzwiach. Z innych tego typu zgromadzeń Lily wiedziała, co to znaczy: tam był artysta. Ludzie przepychali się bliżej, skupiali się wokół niego, aby chłonąć sukces, gwiazdny pył.

Lily wkrótce zgubiła Grace, którą przechwycili znajomi, i była zadowolona, bo Grace znów błyszczała. Gawędziła, śmiała się, puszczała oczka, robiła urocze grymasy, wiedząc, że oświetlenie jest dla niej korzystne. Miała szczególny sposób wsuwania palców w gęstą grzywę swoich włosów, by unieść je ponad głowę. Sprawiało to całkowicie złudne wrażenie czarującej nonszalancji.

Znamienne, że od razu uniósł ją prąd ludzi, którzy posuwali się z pozornym brakiem wysiłku w stronę artysty, choć sama ona naprawdę nie czyniła żadnych starań w tym kierunku. Dennis Little krzyknął ponad głowami innych: „Tutaj, Grace, kochanie!”. Gestem dała mu do zrozumienia, że nie jest w stanie przedrzeć się przez taki tłum, spryciara, wobec tego on podszedł do niej, a jego obecność utorowała drogę.

Dennis Little był wysokim mężczyzną, dobrze po pięćdziesiątce, starannie tuszującym swój szósty krzyżyk. Jego siwizna była tego rodzaju, że mogła uchodzić za blond. Miał cienką skórę i schludną powierzchowność zdeklarowanego wegetarianina, umiarkowaną, kwarcową opaleniznę. Perłowe szarości i róże podkreślały jego naturalny koloryt. Nie był typem homoseksualisty, który określa się jako zniewieściały.

Objął ją, okraszając jej policzek solennym pocałunkiem.

– Chodź ze mną i poznaj Johnny'ego. Po prostu musisz. Będiesz nim zachwycona. I co powiesz? Czysty geniusz, prawda?

– Geniusz, Dennisie, geniusz. Jak to mądrze, że go wynalazłeś.

Ostatnią rzeczą, jaką Lily zobaczyła, było mrugnięcie, które Grace posłała jej przez ramię. Jak zawsze instynktownie wiedziała, gdzie Lily się w danym momencie znajduje. Grace była na fali – Lily nie musiała pozostawać tu zbyt



długo.

Pogadała trochę o niczym z tymi, których znała, podczas gdy ich oczy przetrząsały tłum poza nią w poszukiwaniu jakiegoś luminarza. Nagle przypomniała sobie „dyżur przy chłopaku” i ruszyła w stronę wyjścia. Przy drzwiach zobaczyła eksponat, który widziała wcześniej na zaproszeniu i który wyglądał tam tak zabawnie, z drzwiczkami od pralki, niczym okiem pod biegłym stopionym, metalowym mięsem.

Cały ten tłum zniekształcony odbijał się w wypukłym szkłe, pomniejszony i jakby jeszcze głębszy niż w rzeczywistości. Barwny, migotliwy widoczek zachęcał, aby schwycić go w palce i bawić się nim, gdy tymczasem poza nim trwała głęboka, przyczajona czerń, jak gigantycznie powiększona źrenica stworzenia, które zamieszkuje przepastne ciemności. To było ohydne.

Kiedy Lily dotarła do mieszkania Oliverów, w pierwszej chwili wydało się jej, że przyszła za późno i że Sebastian gdzieś poszedł, aby nie spędzać wieczoru w samotności. Potem usłyszała jego miarowe kroki i głos wołający:

– Dobra, Lily, idę!

Zawsze miał w sobie tę pewność, że wszystko odbędzie się zgodnie z planem. Lily się spóźniła, ale gdy dzwonek zabrzączał, był tak przekonany, że to będzie ona, że otworzył drzwi jednym ruchem na oścież, obdarzając ją swoim uśmiechem, z głową jak zwykle lekko cofniętą do tyłu.

– Nie możesz tak robić, naprawdę! – powiedziała.

– Jak?

– Musisz otwierać drzwi przy zamkniętym łańcuchu. Mogłam być kimkolwiek. To niebezpieczne.

– W żadnym wypadku nie mogłaś być kimkolwiek, Lily, nie ty.

– Wpuść mnie, pochlebco. Zrobię coś do jedzenia.

Kiedy przyrządzała kolację, stał blisko niej, w milczeniu, w wyczekującej postawie. Co chwila dotykał ręką zegarka. Lily sądziła, że chce ją uraczyć opowieścią o jakimś wędkarskim wyczynie, ale nie może się na to zdobyć, bo wie, co ona myśli o jego ucieczkach ze szkoły.

W końcu dotknął jej ręki.

– Czy moglibyśmy zjeść przed telewizorem?

Uwielbiał telewizję, siedział zawsze tak blisko, że jego usta niemal dotykały ekranu. Mówił, że lubi czuć ładunki elektryczne na twarzy, i nie miało sensu prosić go, żeby się odsunął. Lily nie musiała mówić: „Zepsujesz sobie oczy”.

– Jak chcesz.

Krążył po małej kuchni i Lily czuła, że za chwilę nastąpi wyznanie.

– Wcale cię to nie rusza? – zapytał w końcu.

– Co takiego?

– Zapomniałaś!

– O Boże! – Lily nie darowałaby sobie, gdyby mimo woli sprawiła mu przykrość. Zawsze pamiętała o jego urodzinach, świętach, szkolnych dniach otwartych drzwi, przedstawieniach, i nie miała pojęcia, w czym go dzisiaj zawiodła. – O czym? No, o czym? Powiedz!

– Dziś „Czas na pytania”. Mama jest w telewizji.

Lily trzasnęła patelnią, zła na siebie. Jak mogła zapomnieć? Ale to był dzień Melissy, nie Sebastiana, więc nie przejęła się aż tak bardzo. Zabrali swoje talerze i nie zapalając światła, usadowili się przed telewizorem tak jak zawsze. Lily wyciągnęła się na podłodze niczym żywy szeszlong, zginając jedną nogę, aby Sebastian mógł się oprzeć o jej udo, a ona mogła w ten sposób zyskać chociaż niewielki dystans od ekranu.

Od dzieciństwa kontakt fizyczny miał dla Sebastiana zasadnicze znaczenie. Nie wystarczał mu zwykły, sporadyczny dotyk, upewniający, że rozmowa ma swoje głębsze dno. Potrzebował dużo więcej. Nawet gdy siedział tak jak w tej chwili, oparty o jej nogę, z jedną ręką wyciągniętą wzdłuż jej ciała, niczym wzdłuż oparcia sofy, jego ręka bezwiednie szukała jej dłoni. Całkowicie pochłonięty telewizją, z zadartą głową, z otwartymi ustami, podążając z jakimś niepojętym instynktem za ruchem światła, bawił się jej palcami, zginał je, naciskał paznokcie. Znał jej ręce lepiej niż najczulszy, najtkliwszy kochanek.

Melissa stała się znaną postacią. Mówiono o niej „Charytatywna Melissa”. Miała ogromne sukcesy w mobilizowaniu społecznej świadomości i finansów. Była skuteczna, elokwentna i reprezentacyjna, każdy zabiegał o jej poparcie dla swojej sprawy. Nie był to bynajmniej jej pierwszy występ w telewizji czy w radio, ale Sebastian zawsze okazywał to samo podniecenie, dumę i żywe zainteresowanie.

Co chwila pochylał się do przodu, by sprawdzić, czy to właściwy kanał, znów dotykał zegarka i Lily zastanawiała się, dlaczego Oliver nie jest tu razem z nimi, aby wspólnie oglądać program.

Wreszcie się zaczęło: czteroosobowy zespół plus przewodniczący za półkolistym stołem, gotowi stawić czoło pytaniom publiczności. Kiedy przedstawiono Melisę, Sebastian uśmiechnął się, dotykając palcem ekranu.

– Tam jest, tam! – Akurat nie była to prawda, bo kamera omyłkowo zatrzymała się na twarzy parlamentarzystki. – Ma na sobie tę niebieską sukienkę w kwiaty,

prawda?

– Tak, wygląda fantastycznie.

– Wiem – powiedział.

Dzięki takim określeniom znał całą jej garderobę na pamięć. „A ta, jak ta wygląda, mamó?”, pytał, przyciskając twarz do tkaniny, gniotąc ją, rozprostowując, gładząc. „Och, żółta w pasy”, mówiła Melissa, wyjmując mu łagodnie, lecz stanowczo, ubranie z rąk. Albo: „niebieska w kwiaty”, albo „czarnozielona”. Lily zastanawiała się, po co mu były, oparte na kolorach opisy, ale wydawało się, że zadowolają i rozpoznając ubrania dotykiem, używał określeń swojej matki: „Masz na sobie tę czarnozieloną. Bardzo ją lubię”.

Kiedy program dobiegał końca, usłyszeli odgłos zamykanej bramy. Chwilę później, nie odwracając się, Sebastian wskazał na ekran.

– Zobacz, tato. To mama. Jest fantastyczna.

Oliver uśmiechnął się, spoglądając na Lily.

– Wiem, Seb. Widziałem początek u siebie w studio. Jest piękna i błyskotliwa.

– Piękna i błyskotliwa – powtórzył Sebastian cicho sam do siebie, jakby dodawał pozycję do swojego abstrakcyjnego pakietu identyfikacyjnego.

Nawet w widmowym świetle telewizora dało się zauważyć, że Oliver jest wyczerpany. Stał, jakby nie mogąc się zdecydować, gdzie usiąść w swoim własnym domu. Potem spojrział w stronę ekranu, gdzie Melissa właśnie coś mówiła, i zmarszczył czoło, niczym na widok znajomej twarzy w obcym tłumie, której nie potrafił umiejscowić. Jego wielka, sękata postać zdawała się nieprzystosowana do konwencjonalnych pomieszczeń, chociaż gdy mówił i poruszał się, był w nim spokój, harmonizujący z wyglądem. Była też nowa nuta: zmęczenie, ale innego rodzaju niż zwykle wyczerpanie pracą. Lily nie śledziła programu, tylko obserwowała syna i męża, oglądających w telewizji matkę i żonę.

Zaproponowała, że zrobi coś do jedzenia.

– Nie, Lily, nie możesz mnie obsługiwać. Sam sobie wezmę. Wiem, czego mi trzeba.

Po wyłączeniu telewizora Sebastian i Lily siedzieli nadal w tej samej pozycji. Kiedy Oliver szedł korytarzem, widzące ucho Sebastiana podążało w ślad za nim. Znakiem koncentracji u osoby z normalnym wzrokiem jest zazwyczaj zmarszczenie czoła, ale Sebastian marszczył się nawykowo. Koncentrację zdradzało u niego zagryzienie warg, które wciągał w charakterystyczny sposób do wewnątrz, tak jak w tej chwili.

– Co jest ze stopą taty? – zapytał szeptem, odwracając się do Lily. – Co on tam

ma?

Lily roześmiała się i zapytała, również szeptem:

– O co ci chodzi? Że w coś wdepnął?

– Poważnie. Powłóczy jedną nogą. Idź i zobacz.

Poszła więc, bo wymigiwanie się nie byłoby fair wobec Sebastiana. Głupio się czuła, stojąc w drzwiach kuchni, gdy Oliver kroił chleb przy drugim końcu stołu. Stóp nie było widać, a trudno, żeby się schylała i zaglądała pod stół.

– Może jednak mogłabym w czymś pomóc?

– Nie, naprawdę dziękuję. Nie musisz tu siedzieć, jeśli nie masz ochoty. Seb i ja pogadamy sobie, zanim Melissa wróci. To naprawdę przyjemność być z nim sam na sam, wiesz: mężczyzna z mężczyzną. Jest świetnym rozmówcą. Widzę, że przez cały czas się od niego uczę.

– Tak, to prawda. Ma to po matce. Była dzisiaj świetna, prawda? I wyglądała fantastycznie. – Rzecz jasna wyraziła tylko opinię, którą wszyscy troje podzielali, ale tym razem coś w jego twarzy przykuło jej uwagę. Uśmiechnął się, spoglądając na bochenek chleba, kiwając przechyloną na bok głową.

– Tak, Lily, jest wspaniałą kobietą. – Znow ten sam uśmiech, połączony z wyrazem zakłopotania, jak gdyby rozmawiali o kimś kochanym i straconym.

– A więc jesteśmy zgodni, prawda? – Sposób, w jaki to powiedział, wzbudził w niej poczucie winy. Najwyraźniej wyczuł w jej stwierdzeniu jakiś głębszy cel, jakąś dociekliwość, której nie chciał zaspokoić. Jego uśmiech ją rozgrzeszył. – Hej, dziękuję, że przyszedł i w ogóle za wszystko.

– Nie ma o czym mówić. Lubię to. Rodzina i tak dalej.

– Tak, oczywiście, jasne. – Gdzieś w tych trzech słowach ukryty był przedmiot jej dociekań.

Podeszła do zlewu, nalała sobie szklanek wody. Sącząc ją, spojrzała w dół na jego stopy, po czym wróciła i, wciąż szeptem, zdała sprawozdanie Sebastianowi:

– Wszystko normalnie. Te same stare buty.

– Chodzi jakoś cudacznie, mówię ci, Lily.

Kiedy Lily weszła następnego ranka do Grace, ta już trzymała w ręku słuchawkę, odrobinę mocniej umalowana niż zwykle, z twarzą w nedorzecznym obramowaniu piór, którymi była obszyta jej podomka. Rozjaśniła się, przewróciła w niemym zachwycie oczyma na widok kawy, machnęła zapraszająco ręką w stronę łóżka, nie tracąc ani słowa z rozmowy, która dotyczyła planowanego przyjęcia.

Lily usiadła i zaczęła kartkować codzienną pocztę Grace: pokazy mody, obiady dobroczynne, pokazy kapeluszy, kolejny ślub, jeszcze jeden prywatny pokaz. Z uczuciem dziwnego zaskoczenia natrafiła na kartę Johnny'ego Cochrane'a: ten straszny eksponat znów się tu pojawił niczym ponowiona groźba.

Grace skończyła rozmowę i przyglądała się jej, odsuwając się nieco, jak zawsze, kiedy naprawdę interesowała ją reakcja Lily. Dziewczyna odłożyła kartę na bok. Tak czy inaczej nie powinno jej tutaj być. To wczorajsza wystawa.

Grace sięgnęła po zaproszenie, które Lily odsunęła, i postukała w nie paznokciem. – Niesss... samowite.

– Bzdura.

– Naprawdę, Lily – powiedziała nadspodziewanie stanowczo.

– Mnie się nie podoba.

– To nie ma się podobać. Jest agresywne. Okrutne. Mówi o czasach, w których żyjemy.

– Grace, proszę cię! Lily się roześmiała. – Grace nigdy nie była bardziej rozbijająca, niż kiedy przemyślała cudze sformułowania jako własne, tak jakby Lily mogła się nie zorientować. Oczywiście, musiała mieć jakieś własne spostrzeżenia, ale to nie był jej sposób wyrażania się i bardzo wyraźnie trącił podróbką wczorajszych konwersacji. Prawdziwa Grace przebijała przez te pozory. Dmuchiwała na swoje pióra i twarz jej rozkwitła, płatek za płatkiem, olśniewającym uśmiechem. Po chwili, znów poważna, chwyciła Lily za rękę. Jej zmiany nastroju i wyglądu były jak prześwietlone słońcem liście, rzucające migotliwy cień na sierpniowy trawnik.

– Muszę ci coś powiedzieć, Lily. On jest wspaniały. – Lily odwróciła głowę. – Nie rób tego, Lily! Nie odwracaj się. Ciesz się!

Wykrzesawszy z siebie oczekiwane zainteresowanie, Lily odwróciła się i spojrzała w twarz Grace. Zmarszczki między uniesionymi brwiami nadawały jej

blagalny wyraz, jakby chciała za wszelką cenę zarazić Lily swoim entuzjazmem.

– Naprawdę? – zapytała Lily. To wystarczyło.

– O tak, kochanie. Posłuchaj tylko... – i potoczyła się opowieść. Słowa, które Lily słyszała przedtem tyle razy, Grace powtarzała teraz z całą siłą młodzieńczego natchnienia.

W momencie gdy poruszenie własnych spraw nie wydawało się zbyt niedelikatne, Lily powiedziała:

– Znalazłam wczoraj miejsce na pracownię.

Grace cofnęła się, zaskoczona.

– Ale tylko do pracy? Nie na mieszkanie? Lily, nie na mieszkanie, prawda?

– Nie na mieszkanie, nie martw się, ale jutro zacznę przenosić tam swoje rzeczy. Będę mogła brać więcej zamówień, powiększyć swoją kolekcję. To podniecające, Grace!

– Tak? – zapytała z powątpiewaniem w głosie. – O tak, z pewnością! – dodała w przypływie nagłej gorliwości. – Ale będziesz jutro na przyjęciu i przygotujesz kwiaty? Proszę! On będzie.

– Naprawdę? Tak szybko? Jasne, że będę.

– Potem przyjdę i obejrzę twoją piękną pracownię. Naprawdę nie mogę się doczekać.

Przewożąc swój dobytek, Lily pokonała kilkakrotnie trasę do mieszkania szubrawca i z powrotem, za każdym kursem czując, że jej życiowa przestrzeń się rozszerza, a upodobanie do tego miejsca wzrasta. Zniknęło gdzieś widmo Grace, z którym trzeba by się borykać, a rzeczywista Grace była pochłonięta przygotowaniami do jutrzejszego dnia. Gdy ów dzień wreszcie nadszedł, dom pograżył się od rana w kompletnym chaosie. Przesunąć, wysprzątać i poprzestawiać wszystko, co się da, było nieodłącznym elementem crescendo, typowego dla Grace przed przyjęciem.

Lily spędziła jakiś czas, układając kwiaty, i miała właśnie wyjść, bo wyczuła, że zawadza sprzątającym, kiedy idąc po swój płaszcz, natknęła się na Grace.

– Nie idź, kochanie, proszę cię! – Grace wyglądała na przerażoną.

– Dlaczego?

– Gdyby ktoś zadzwonił pod moją nieobecność, że nie może przyjść, rozumiesz, chciałabym usłyszeć to od ciebie, nie od kogoś innego.

– Zostanę, oczywiście. Ależ więcej wiary, Grace, więcej wiary!

– Czy kiedykolwiek powiedziałam ci coś takiego? Więcej wiary? – zamyśliła się Grace.

– Nie. W każdym razie nie przypominam sobie.

– Powinnam była. To jest dobre – powiedziała i już jej nie było.

Na szczęście Grace podporządkowała swój dzień ścisłej dyscyplinie, trzymając się schematu, który sama ustaliła na czas poprzedzający wydawanie przyjęcia: rano masaż, potem fryzjer, manikiur, pedikiur, w południe bez obiadu, po południu długi odpoczynek i wreszcie o szóstej dżin i panika. W tym momencie dochodziła do wniosku, że fryzura jest zła, lakier do paznokci nie taki jak trzeba i że nie ma co na siebie włożyć.

Kucharz, lokaj i pokojówka byli starymi przyjaciółmi, od tak dawna przychodzili pomagać przy tego rodzaju okazjach. Teraz Lily też potrzebowała ich pomocy. „Co też, pani Teape, wygląda pani wspaniale”. „Podoba mi się pani sukienia, pani Grace, jest bardzo ładna”.

– Naprawdę jesteś czarująca, Grace!

– Serio? Naprawdę? Poważnie? Powiedz mi szczerze, kochanie. Sukienka nie za młoda dla mnie, jak sądzisz?

W ten sposób pomogli jej przetrwać do ósmej. Siedziała już w salonie, nieruchomo, poklepując szyję, jakby chciała uspokoić jakieś małe, niesforne stworzonko, które się tam zagnieździło, kiedy nagle zerwała się i chwyciła Lily za przegub w świeżym przyływie desperacji. – Chodź, Lily, chodź! Zapomniałam o czymś.

Przeszły do sypialni. Grace zamknęła drzwi, opierając się o nie, jakby się bała, że Lily opuści pokój zbyt szybko.

– Lily? – nie surowo, ale z naleganiem.

– O co chodzi, Grace?

Jej przerażony wzrok obiegł pokój, zatrzymał się na podłodze, po czym powrócił do Lily. Grace zwilżyła wargi.

– Mam czterdziestkę Lily, dobrze? Proszę, czterdziestkę!

Lily ukryła pod uśmiechem nagłe ściśnięcie gardła i z trudem wykrztusiła:

– Czterdziestkę? Nie, skądże. – Grace wstrzymała oddech, podnosząc zaciśniętą kurczowo dłoń do ust. – Masz trzydzieści dziewięć.

– Jesteś kochana, Lily! Taka jestem szczęśliwa! – Grace rzuciła się jej na szyję i rozpłakała się.

Do kogo masz się zwrócić, gdy twój opiekun i obrońca zmienia się w twoich ramionach w małe dziecko?

Wróciły do salonu i usiadły, jak tyle razy przedtem, w pełnym napięcia oczekiwaniu, spodziewając się nie tylko miłego wieczoru w gronie przyjaciół, ale

mając świadomość, że ten wieczór może stać się preludium do upragnionego „na zawsze”. Wobec ogromu oczekiwań Grace żadne słowa nie wydawały się odpowiednio oprócz:

– Drinka?

– Uhum, kochanie, proszę. Czy mówiłam ci, że Larry też będzie?

– Dwa razy.

– Nie gniewasz się? Angela po prostu wmusiła go we mnie. W kółko powtarzała: „Ale kto tam będzie do towarzystwa dla Lily?”. Ona ma nadzieję, że między wami coś się nawiąże, ale ja nie sądzę, żeby to był właśnie ten, prawda?

– To nie dziewczyny go interesują, jeśli o to chodzi, ale nie mam nic przeciwko niemu. Właśnie przerabiam dla niego jedwabny surdut.

Wreszcie zadzwieczał dzwonek. Kiedy pokojówka poszła otworzyć, Grace szybko zbliżyła się do Lily i biorąc ją za rękę, zajrzała jej w oczy.

– W porządku, Lily? Wszystko dobrze? – Szukając ulgi dla własnej bolesnej niepewności, pragnęła rozproszyć wyimaginowane obawy dziewczyny.

– Fantastycznie – powiedziała Lily z przekonaniem, ustawiając się zdecydowanie na pozycji obserwatora.

Angela weszła pierwsza, przed swoim synem Larrym i Dennisem Little. Miała mocno przycięte czarne włosy, kanciastą twarz o nieco wystającym podbródku i nieładnie wykrojone usta. Jednak jakimś magicznym sposobem, mimo tych wszystkich mankamentów, było w niej szczególne, nieforemne piękno, które wzrastało z upływem lat. Niedawno się rozwiodła, co ożywiło jej przyjaźń z Grace, która w końcu była starym wygą, gdy idzie o życie w pojedynkę. Grace miała być teraz jej przewodniczką.

Grace odciągnęła Angelę na bok i zaczęła szeptać coś do niej z przejęciem. „Powiedz mi szczerze...” – dobiegło uszu Lily.

– Piękny Paul Poiret. Mam rację? – zwrócił się Dennis do Lily.

– Zgadza się, brawo! – Lily była zadowolona. Mówił o sukni, którą miała na sobie: oryginalnej, długiej tunice z zielonego jedwabiu sprzed siedemdziesięciu lat.

– No i co sądzisz o wystawie? Byłaś tam potem, żeby obejrzeć bez tłoku?

– Nie. Zobaczyłam dosyć, żeby uznać, że mi to nie odpowiada.

– Szkoda. Wiesz, on jest bardzo utalentowany.

– Dla mnie to jest ponure i złowrogie.

– W sztuce jest na to miejsce.

– Może, ale nie da się z tym żyć, to znaczy z jego sztuką.

– Jego nie uznasz za ponuraka.



– Nie?

– Nie przesądzaj z góry. Sama zobaczysz. – Był zadowolony z siebie.

Larry kręcił się tu i tam, przyjmując różne pozy, czekając, aż ktoś go zagadnie, ale w sumie kontentował się rolą wizerunku, cokolwiek wytartego, uboższej wersji Oscara Wilde'a, co podkreślał przedziałek pośrodku jego czarnych, przylizanych włosów.

– Miło cię widzieć, Larry. Niestety, twój surdut jeszcze niegotowy.

– Nie ma problemu, Lily – lekceważące machnięcie białej, miękkiej dłoni. – Są inne sprawy w życiu.

Oliver Cary wszedł z wahaniem, garbiąc się i szurając nogami. Był sam. Już wcześniej uprzedził, że Melissa się spóźni się z powodu spotkania. Większe towarzystwo zawsze wprowadzało tego dużego mężczyznę w widoczne onieśmienie. Niezorientowanym jego zachowanie mogło wydawać się opryskliwe, ale Dennis Little znał go zbyt dobrze.

– Czy wiesz, mój drogi, co ci przyniosłem? Pewną znakomitą książkę o plemionach Sahelu, a to dlatego, że a) dotąd nie mam na niej twojego autografu, b) wiem, że Johnny będzie nią zachwycony.

Jego entuzjazm wywołał na twarzy Olivera znajomy, leniwy uśmiech i obaj mężczyźni pograżyli się w rozmowie.

Oczy Lily spoczywały na Grace, kiedy zabrzmiał dzwonek, niemal ginący w gwarze, słyszalny tylko dla tych, którzy, tak jak Grace i Lily, na niego czekali. Lily spodziewała się tej bez troski, która zawsze ogarniała Grace, kiedy przyjęcie było w toku, tego przypływu fantazji w stylu: „Co u licha, bawmy się!”. Oliver siedział obok siostry, wciąż rozmawiając z Dennisem, kiedy ku jego zaskoczeniu Grace wciągnęła go nagle w jakąś bezsensowną i zwariowaną paplaninę.

W drzwiach stał Johnny Cochrane. Była to jedna z tych krótkich chwil, kiedy prądy przepływające między ludźmi zmieniają swój bieg, przegrupowują się i łączą w nowe układy. Stał z rękoma uniesionymi na wysokość bioder w geście prezentacji: czarna koszulka gimnastyczna, modne, luźne spodnie, zebrane w kostce, i szmaragdowo-różowe bejsbolowe buty. Był średniego wzrostu, zwartej budowy, jego mięśnie rozsadzały ubranie – niemal karykatura męskiego seksapilu w stylu maszyny parowej. Miał czarne, kręcone włosy, opadające w niechlujnych strąkach na czoło, brwi, które układały się w wyraz łagodnego pobłażania, usta mięsiste i kapryśne. „Tak – pomyślała Lily. – Dokładnie taki”.

Goście rozstąpili się instynktownie, odsłaniając Grace, która wciąż stała w głębi pokoju, mając w tej chwili wyraźny kłopot z tym małym stworzonkiem w swoim

przełyku. Nie powiedziała ani słowa i wyglądało na to, że drży.

Unosząc wyżej ręce, rozczapierzając palce, skręcając nieco tors i wysuwając ramię dla lepszego efektu, Johnny zmierzył Grace wzrokiem od stóp do głów i zadeklamował:

– Światło tamtej nocy. Światło dzisiejszej nocy. Olll... śniewające. – Miał głęboki głos i dobrą artykulację, choć jego „t” było chrapliwe, prawie niesłyszalne, prawdopodobnie na potrzeby artystycznego wizerunku. „Olll... śniewające” również nie uszło uwagi Lily. W myślach usłyszała, wznosząc z rozpaczą oczy do nieba, jak Grace mówi „Niesss... samowite”, postukując palcem w leżące na kołdrze zaproszenie. „Jak szybko – pomyślała – Grace umie podchwycić sposób bycia tych, których podziwia”.

Porzucając podniosły ton, Johnny Cochrane nieomal podbiegł do Grace, mówiąc naturalnym głosem:

– Gracie, tak się cieszę – i Lily usłyszała ją, jak mruczy, niemal bez tchu, rozkosznie omdlewająca w jego ramionach:

– Johno, ach Johno!

Grace wystarczyło pół godziny, aby obcy człowiek stał się dla niej kimś, kogo nazywała spieszczonym imieniem, i *vice versa*. Nie zawsze do tego dochodziło, ale jeśli już, była to na ogół pierwsza zapowiedź kłopotów. Goście odwrócili się dyskretnie, pozostawiając witającą się parę sobie samym, gdyż otaczała ich już aura intymności.

Ledwie jednak zdążyli podjąć, cokolwiek niezręcznie, wątki przerwanych rozmów, kiedy Johnny Cochrane zawołał:

– Mój przyjaciel, gdzie jest mój przyjaciel?!

– Och, Johno, chyba nie przyprowadziłeś nikogo ze sobą? – Grace była przerażona.

– Oczywiście, że tak. Hej! – krzyknął w stronę drzwi.

Wszyscy spojrzeli w tym kierunku, gdzie po chwili ukazał się nie kto inny, tylko Sebastian, z zadartą głową, z nieśmiałym uśmiechem na ustach.

– Seb! – wykrzyknął Oliver.

– Tato? – Sebastian wyciągnął rękę w stronę, skąd dochodził głos ojca, i kuśtykając trochę niepewnie na skutek zdenerwowania i bliskości ludzkiej gromady, ruszył w jego kierunku.

– Co ty tu robisz? Dlaczego przyszedłeś?

– Ja go zaprosiłem – wyjaśnił Johnny. – Słuchaj, Gracie. Powiedziałaś „ostatnie mieszkanie”, tak? Poszedłem tam i ten mały gość otworzył drzwi na całą szerokość,

bardzo gościnnie.

– Myślałem, że to mama wraca.

– Mówiłam ci dopiero co o łańcuchu – przypomniała Lily.

– Miałam na myśli apartament na samej górze – tłumaczyła się Grace.

– Gracie! – powiedział Johnny Cochrane z politowaniem, jakby jej wyjaśnienie było w oczywisty sposób niewystarczające.

– To jest mój syn. – Oliver próbował ustalić fakty. – Nie bardzo rozumiem, po co go pan tutaj przyprowadził. Po co przyszedłeś, Seb?

Sebastian miał szelmowską minę. Najwyraźniej uważał całą sprawę za świetny kawał. Johnny Cochrane pospieszył mu z pomocą.

– To proste. Wszedłem tam przez pomyłkę, prawda? Ten bąbel otwiera drzwi, mówi, że mam pójść piętro wyżej, że tam jest jego tata. „To może i ty byś się wybrał?“, pytam. Chyba uznał, że to niezły pomysł.

– Ale w domu było mu całkiem dobrze. Siedział, oglądał telewizję i czekał na matkę! – Oliver zaczynał być zły.

– Oglądał telewizję? Ten mały skurczybyk jest ślepy!

Przez chwilę panowało niekłamanie przerażenie na myśl o tym, co może teraz nastąpić: furia Olivera, zranione uczucia Sebastiana, dalsze nietakty Cochrane'a, proszona kolacja Grace na równi pochyłej... kiedy nagle przyszło wybawienie, bo Sebastian wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem, trzęsąc się i lejąc łzy w absolutnym ubawieniu. Cochrane podszedł i otoczył go ramieniem.

– Mój mały przyjaciel, prawda? Sztama od pierwszej chwili, co, staruszku?

Sebastian wciąż się śmiał i kiwał potakująco głową.

Johnny Cochrane wyciągnął rękę do Olivera, podchwytyjąc jego, szczerzy, otwarty ton.

– Moje nazwisko Cochrane, Johnny Cochrane.

Oliver uścisnął podaną dłoń.

Przyjęcie zaczęło się rozkręcać na dobre, gdyż emocje ostatnich kilku minut zbliżyły ludzi do siebie, kiedy pojawiła się Melissa, wołając:

– Oliver, Oliver! – Jej wzrok przeszukiwał tłum, dopóki nie napotkał Olivera, za którego plecami, niewidoczny dla niej, siedział Sebastian. – Byłam na dole, drzwi są otwarte na oścież, a Sebastiana nie ma! Nie ma go tam, Oliver! – krzyknęła na pograniczu hysterii. Sebastian przesunął się tak, żeby Melissa mogła go zobaczyć.

Johnny Cochrane podszedł do niej, ujął ją za rękę i powiedział całkiem u niego nowym, pokornym i miękkim głosem:

– Strasznie mi przykro. To moja wina. Gdyby mi w głowie powstało, że przysporzę pani lub komukolwiek innemu tyle zmartwienia, nigdy bym tego nie zrobił. Chciałbym wyjaśnić... – co uczynił, przy wydatnej pomocy pozostałych gości.

Teraz Melissa się usprawiedliwiała, zakłopotana, podbita. Po chwili poszła się przebrać, zabierając Sebastiana ze sobą, i wróciła sama, jaśniejąc jakimś szczególnym blaskiem.

Kiedy Johnny Cochrane zobaczył stół w jadalni, udekorowany tu i ówdzie kwiatami w sposób, który Lily doprowadziła do perfekcji, cofnął się z wrażenia i zapytał:

– Kto... kto to zrobił?

– To Lily! Lily! – zawołała Grace, absolutnie uszczęśliwiona.

– To jest... – usilnie szukał właściwego słowa – ...majstersztyk.

Lily pomyślała w duchu: „To głupie, w jaki sposób zjednuje się ludzką sympatię”.

Przy kolacji wszystkie rozmowy skupiły się wokół Johnny'ego Cochrane'a.

– Wiedząc, że mam cię poznać, wpadłem do galerii – powiedział Larry – żeby zobaczyć twoje rzeczy. Byłem zafascynowany. Zbulwersowany i zafascynowany.

– Świetnie, doskonale. To właśnie to, o co mi chodzi: emocje. A ty, Larry, co robisz? Masz, widzisz, jakąś natchnioną twarz. Malarz, idę o zakład. W każdym razie na pewno artysta.

– Powieściopisarz, jeśli chodzi o ścisłość – powiedział Larry, kręcąc w palcach pasmo włosów.

Jedzenie zaczęło się nagle cieszyć większym zainteresowaniem niż dotychczas. Przez sześć ostatnich lat wszyscy słyszeli o powieści Larry'ego. Co gorsza, czytali fragmenty. A tu Cochrane mówi:

– Założę się, że jest świetna. Te rzeczy się czuje. To widać w twarzy. Pewnego dnia wszyscy będziemy mówić: „Pamiętacie ten wieczór u Gracie, kiedy był z nami Lany?”. Talent, widzisz, przebija. Choćby taki pocziwy Den...

– Dennis... – mruknął Little w swój kieliszek.

– ...wchodzi do garażu, widzi moją robotę, bachtrach, podpisane! Gdyby był wydawcą, z tobą byłoby tak samo, prawda, Den?

Ponieważ Dennis wydawcą nie był, mógł spokojnie odpowiedzieć:

– Z pewnością.

– Do której szkoły plastycznej chodziłeś? – zapytała Lily.

– Ee... Świętego Marcina, przy Charing Cross.

– To tam gdzie ja. W którym roku?

– Coś ci powiem, młoda damo. Gdybyś tam była razem ze mną, tobym o tym wiedział.

– Czy pańska rodzina to artyści, malarze, rzeźbiarze? – Melissa pochylała się do przodu, rozmowna, ożywiona.

Johnny spojrział w milczeniu na Dennisa, który leciutko skinął głową, wobec czego Cochrane zapytał:

– Powiedzieć im Den, tak? Powiedzieć, jak było?

– Dlaczego nie, jeśli tylko jesteś w stanie.

– Czy jestem w stanie? Jezu drogi, to zawsze jestem w stanie. Więc skoro pytasz, Melisso. Rodzina? Nie mam żadnej. Nieślubny, rozumiesz? Pewnie mama spojrzała na mnie i powiedziała: „Nie chcę tego małego gówniarza”, i oddała mnie do domu dziecka. Próbowali z adopcją. Nie wyszło. Nie będę wyjaśniał dlaczego, nie chcę psuć tego pięknego wieczoru. Powiem tylko, że życie obchodzi się brutalnie z samotnymi dziećmi. Wiem, jaką robotę robią Gracie i Angela, i Melissa też i... no – sięgając niezgrabnie po swoją szklankę – ...dziękuję. Jeśli nie za siebie, to za innych, bo zaczynałem tak samo jak oni.

– Ale Johnny... – Usatysfakcjonowana pochwałą, Melissa dalej drażyła temat.

– Nie, kochana, naprawdę, na dzisiaj wystarczy. Nie pogniewasz się?

– Skądże znowu, przepraszam cię... Wybacz mi.

Aby uczynić zadość zainteresowaniu jego pracą, Johnny Cochrane wystosował ogólne zaproszenie do swojej pracowni.

– Ale – dodał, biorąc Grace za rękę – najpierw ona musi ją zobaczyć. Prywatny pokaz dla Gracie, co, laleczko?

Wrócili do salonu, gdzie zaprezentowana została książka Olivera. Cochrane nawet jej nie dotknął. Stał z rękami w kieszeniach, przyglądając się jej z należnym szacunkiem, kiedy spoczywała w dłoniach Dennisa.

– Ja ją znam, mój drogi. Mam własny egzemplarz. Od lat jestem entuzjastą prac Olivera Caiy.

– A więc widziałeś te fantastyczne zdjęcia mieszkańców Sahelu? Wiesz, że żył wśród nich? – Dennis otworzył książkę w miejscu, w którym założył ją wcześniej palcem, ale Cochrane wciąż nie wykazywał chęci, by wziąć ją do ręki.

Nie patrząc, wykonał ręką gest w kierunku książki.

– Mówię ci, że ją znam. Świetna, naprawdę świetna. Słuchaj, mam tę książkę, od kiedy została wydana. – Tak więc książka została odłożona na bok. Angela podeszła do niej i po cichu przewracała kartki, a inni podjęli rozmowę.

– Masz ochotę potańczyć, Gracie? Jak tamtego wieczoru? – zapytał Cochrane.

– Chodźmy wszyscy! – Grace wstała, unosząc ręce ruchem dyrygenta wobec spodziewanej, entuzjastycznej reakcji.

– To jest myśl – powiedziała Melissa.

– Przecież nie cierpisz tańczyć – przypomniał Oliver łagodnie.

– Och, raz na jakiś czas. Chodźmy, Oliver.

– Nie ma mowy. Beze mnie.

– To chyba i ja nie pójdę.

– Szkoda. Ale jak małżeństwo, to małżeństwo, prawda, Gracie? – powiedział Cochrane.

– Ja też się nie przyłączę – oświadczył Dennis Little. – I bez tego jest dość późno.

Angela wyglądała na rozczarowaną, ale też spasowała.

– Lily? – zapytała Grace z wyrazem twarzy, który Lily tak dobrze знаła.

– Nie, nie dzisiaj, dziękuję. Marzę, żeby dokończyć książkę.

– W takim razie i ja odpadam – oznajmił Larry z widoczną ulgą.

– Więc zostaliśmy tylko my, Gracie. Chodź, prze hulamy noc.

Wyszli wszyscy razem, odgłosy podziękowań i pożegnań wypełniły klatkę schodową. Lily zamknęła drzwi.

Obsługa przyjęcia też opuściła mieszkanie i Lily została sama. W salonie nadal leżała książka Olivera, wciąż niepodpisana, zapomniana przez Dennisa Little'a. Usiadła z książką na kolanach, aby raz jeszcze ją otworzyć, zobaczyć dobrze znane twarze, niczym twarze starych przyjaciół. A więc Johnny Cochrane też ją znał. Nie powinno jej to dziwić. Czy był taki jak inni? Ci wszyscy, którzy złamali serce Grace? Tak. Był młody, przystojny, kipiał energią, było w nim wszystko to, co zwykle pociągało Grace. A jednak myśl o nim wywołała uśmiech na twarzy Lily.

Tańczą pewnie teraz w gorącym, gwarnym mroku klubu, sami w obcym tłumie, blisko siebie, tworząc nie tak znów dziwną parę – teraz, gdy zapalnik młodości Grace znów został uruchomiony. Czy jesteś samotna, Lily? Tak, jest samotna, ale tej ceny płacić nie chce. Tego bólu, który z pewnością będzie musiała, prędzej czy później, koić u Grace.

Zadzwieczał dzwonek, w słuchawce odezwał się głos Dennisa. Lily nacisnęła guzik, żeby go wpuścić.

– Zostawiłem tu książkę, prawda? – powiedział nieśmiało.

Lily ucieszyła się z jego obecności, chciała w tej chwili odsunąć porę snu, porę rannego przebudzenia, odsunąć jutrzejszy dzień, może w ogóle całą przyszłość.

– Czy to miłość? – odezwał się Dennis z drugiego końca pokoju, kiedy Lily nalewała drinka dla niego i dla siebie.

– Chyba tak, Dennis, jeśli to się tak nazywa.

– To się tak nazywa, z pewnością. Dziwię się tylko. Myślałem, że Grace gustuje w agresywnych, męskich typach, a on, widzisz, jest zupełnie inny. To dobry chłopiec, wrażliwy, kochający. Dostał mocno w kość, miał naprawdę ciężkie życie. Dzisiaj mówił bardzo powściągliwie. Powinnaś go usłyszeć, kiedy się rozkręci. Był bity, zaznał przemocy. Którejś nocy trochę sobie popił, wtedy wszystko mi opowiedział. Ledwie mogłem powstrzymać łzy. Ach, Lily, co ludzie robią z dziećmi? Chciałbym dowiedzieć się od niego więcej, choćby jak to wyszło na jaw, zapytać o szczegóły, rozumiesz. Ale to niemożliwe. Po prostu niemożliwe. Zawsze, za każdym razem, robi unik, zmienia temat, tak samo jak dzisiaj. Biedaczysko! Trudno mu się dziwić.

– Bardzo go lubisz? – Lily próbowała wyrazić to, o co nie mogła zapytać wprost.

– Polubiłem go, tak – przechylił szklanekę, wypijając drinka jednym haustem, aby ukryć swój wyraz twarzy.

– Przykro mi. To musi bardzo boleć.

Podszedł, usiadł obok niej, wziął ją za rękę, nie mówiąc ani słowa.

Rano Lily nie zaniosiła kawy do pokoju Grace; wyrobiła sobie w tych sprawach instynktowne wyczucie. Tak jak się spodziewała, gdy stała przy kuchennym oknie, z ręką na czajniku, czekając, aż woda się zagotuje, w korytarzu dał się słyszeć ruch, drzwi do mieszkania otwarły się i zamknęły. W minutę lub dwie później zobaczyła przez okno, jak na dole Johnny Cochrane wbija ręce w rękawy skórzanej kurtki, i przecinając na ukos cichą ulicę, idzie w stronę potężnego motocykla. Zatrzymał się, stojąc tyłem do budynku, przeciągając się z odrzuconą w tył głową. Kiedy się odwrócił, Lily zauważyła, że usta ma otwarte. Wyglądał, jakby pił deszcz, chłonał ostre, ożywcze powietrze. Potem wstrząsnął się, jakby się czegoś pozbywał. Po tych czynnościach skierował uwagę na motocykl. Jego kurtka zaczynała lśnić od deszczu.

Z jakiegoś schowka wyjął szmatę, żeby wytrzeć siedzenie. Dotknął maszyny tu i tam, pochylił się, by sprawdzić coś przy silniku, jak jeździec poklepujący konia, zanim go dosiądzie. Potem przerzucił nad siodelkiem nogę, i nie patrząc w górę, napełnił poranną ciszę rykiem tysiąca centymetrów sześciennych.

Lily czuła, że w sąsiednim oknie śledziły go jeszcze jedno oczy, pełne niepokoju i niepewności.

A więc, pomyślała, zaczęło się.

Okres, który nastąpił teraz w życiu Grace, upływał pod znakiem ogromnego napięcia. Lily używała telefonu najmniej, jak się dało. Gdy zadzwonił, każde podniesienie przez nią słuchawki przyprawiało Grace o rozpacz, starała się więc trzymać w ogóle jak najdalej od domu. Tak miało być, dopóki pomiędzy Grace i jej nowym przyjacielem nie ustalili się jakiś schemat porozumienia. W tym czasie Lily na nic się jej nie mogła przydać. Nic, co by powiedziała, nie mogło podnieść Grace na duchu, jeżeli on nie dzwonił. Lily mogła jej pomóc się pozbierać jedynie wtedy, gdyby się kompletnie załamała.

Pod koniec następnego tygodnia Lily pojechała do Kornwalii, gdzie w dużym domu w okolicy Truro miała się odbyć wyprzedaż. Sprawa była dość głośna; bogata wdowa po jednym z parów zmarła w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat. Zanim wyszła za mąż, była tancerką w Paryżu, potem wiodła ze swoim mężem bajkowe życie. Możliwości dotyczące garderoby zapowiadały się zbyt interesująco, by je zlekceważyć, chociaż wybierali się tam wszyscy ludzie z branży.

W tym czasie ich ścieżki przecięły się tylko raz i Grace wydawała się wtedy tak szczęśliwa i odprężona, że Lily odważyła się zapytać:

– Jak idzie?

– Co konkretnie, kochanie? – Grace chciała, żeby Lily wymówiła jego imię.

– No, jak tam Johnny. Johnny Cochrane.

– Ach, Johnno. – Grace spróbowała bez przekonania udąć obojętność, po czym rozpostarła ramiona w powietrzu, zaplotła je wokół siebie i wirując w swoich własnych objęciach, zawołała: – Cudownie, cudownie, cudownie! Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa.

– To świetnie. To jest... no, tak jak mówisz, cudownie.

Grace dotknęła jej twarzy, jak gdyby chciała dotknąć niewyrażonego, lecz wyczuwalnego sceptycyzmu.

– Droga Lily, taka młoda, tak dojrzała! Nie dla ciebie wzloty, upadki, uniesienia?

Lily zapomniała uprzedzić, że spędzi jedną noc w Kornwalii. Uświadomiła to sobie dopiero późnym wieczorem w hotelu. Nie chciała dzwonić i rozczarować Grace, gdyby czekała na telefon od kogoś innego. Gdy nazajutrz wróciła do domu, Grace przywitała ją słowami: – Lily, kochanie, tak się o ciebie martwiliśmy – kładąc wyraźny nacisk na „my”. Druga połowa „nas” przycupnęła, uśmiechnięta, na jedwabnej kanapie, na której nie dalej jak dziesięć dni temu spoczywała Grace, samotna i zgnębiona. Johnny Cochrane się wprowadził.



Nigdy dotąd się to nie zdarzyło, bo rozumiało się samo przez się, że wymarzony „wspaniały ktoś” będzie miał jakieś „wspaniałe gdzieś”, dokąd się razem udadzą, że Grace zostanie przeniesiona w nowe i lepsze życie.

– W porządku, kochanie? Cieszysz się, prawda? Byliśmy pewni, że się ucieszysz!

– Och, nie wiem, co powiedzieć. To takie niespodziewane i...

– Fantastyczne – pomogła Grace, z rozjaśnionymi oczyma.

– Fantastyczne. – Kiedy nadarzył się pierwszy stosowny moment, poszła do swojego pokoju, aby spokojnie pomyśleć. Nie zdążyła jednak, bo zaraz ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Nim odpowiedziała, wszedł Johnny Cochrane.

– Można? – zapytał.

– Jasne. Przepraszam za ten bałagan. To wszystko te nowe rzeczy. Jutro wiozę to do pracowni.

Rozejrzał się, gdzie by tu usiąść, i mając do wyboru podłogę lub miejsce obok Lily na łóżku, wybrał podłogę. Wyciągnął przybory do skręcania papierosa, kładąc przed sobą zapalki, bibułki i puszkę tytoniu, po czym zawahał się.

– To nie przeszkadza? Chodzi mi o te wszystkie rzeczy.

– Nie. Mogę jednego?

– Pewnie. – Wydawał się zadowolony, że może jej coś dać, i to sprawiło jej przyjemność. – Co to takiego? Chwycił edwardiańską liberię królewskiego lokaja i zaczął przyglądać się guzikom. – Tutaj, popatrz. Lwy, prawda? Ich głowy znalazły się blisko siebie, kiedy razem oglądali ubrania. Nie odsuwając się i nie patrząc na nią, Johnny powiedział:

– Ja ją kocham, Lily.

– To dobrze.

– Naprawdę.

– Czy mogę zapytać... ile masz lat?

– Trzydzieści trzy. – Uśmiechnął się ze zrozumieniem. Wiedział, o czym Lily teraz myśli, a jej żadna sensowna uwaga nie przychodziła do głowy. Nie pokazała po sobie zaskoczenia, ale w duchu liczyła przynajmniej na trzydzieści osiem. W jego wyglądzie było pewne znużenie, jakaś twardość w rysach, która by to usprawiedliwiała. – Uważasz, że jestem dla niej za młody, prawda?

– Nie, skądże! – Przeklinała swoją niezdolność do kłamstwa. – Ona ma tylko...  
– Zaraz, ile lat powinna mieć Grace?

– Moja mała Gracie ma pięćdziesiątkę, jak ma dobry dzień. Znam kobiety, Lily, znam ich twarze, a poza tym Gracie nieszczęśliwie sobie radzi w rachunkach. Jak

dotąd raz miała trzydzieści dziewięć lat, innym razem czterdzieści trzy, kiedy próbowała podać mi swój rok urodzenia, wyszło pięćdziesiąt siedem, zanim zdążyła to sobie przeliczyć. Małeńka dama. Kocham ją.

– W takim razie w porządku.

– Nie masz nic przeciwko temu?

Nie lubiła takich rozmów z wielbicielami Grace. Od czasu Jaimego de Caberro obawiała się tego, co może usłyszeć. Za nic nie chciała zbliżyć się do kogoś, kto mógłby zranić Grace. Ale oto był tutaj, mieszkał w ich domu.

– Nie, cieszę się. Chcę, żeby była szczęśliwa. Ona jest bardzo... – Lily przerwała, obawiając się zdradzić jakąś cechę, którą Grace wolałaby ukryć. Nie sposób było przewidzieć, jakie wrażenie chciała wywołać.

– Jaka jest, Lily?

– Wrażliwa.

– Wiem to od chwili, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem. Nie martw się.

Grace zastukała paznokciem w drzwi.

– Hej, wy tam. Nie przeszkadzam?

Johnny Cochrane wstał, ujmując jej dłonie w swoje.

– Wiesz, Gracie, chyba Lily nie ma tak za bardzo nic przeciwko mnie.

Grace podeszła i uściskała ją.

– Kochana Lily. – Podniosła rękę do oczu, w których pojawiły się punkciki łez.

– Chusteczka, Johnno? – powiedziała.

Po dłuższej operacji Johnny wydobył wielką, brudną, absolutnie odrażającą chustkę i podał ją Grace bez słowa wyjaśnienia. Jej powieki zatrzepotały na ten widok. Z wahaniem, tak nieznacznym, że tylko obejmująca ją Lily zdołała to zauważyć, przyłożyła ją do swoich nieskazitelnych policzków i zwróciła z wdzięcznością.

– Dziękuję, Johnno.

Lily stała pośród matek, nianiek i służących u podnóża schodów, przed szkołą Sebastiana. Była to niewielka szkoła o wysokim poziomie nauczania, dla dzieci z normalnym wzrokiem, mieszcząca się w wyniosłym, wiktoriańskim budynku z czerwonej cegły. Lily знаła niektóre z otaczających ją twarze, bo czekała tak już wiele razy, aby odebrać Sebastiana i spędzić razem z nim resztę popołudnia. Każdy z oczekujących był na swój sposób dumny z własnego dziecka, które za chwilę, gdy rozlegnie się dzwonek, popędzi w dół schodów.

O wpół do czwartej chłopcy zaczęli napływać jak z odkręconego kurka: najpierw bezładna grupa najmłodszych, komicznych w swoich za wielkich mundurkach, za nimi starsi, wreszcie seniorzy – klasa Sebastiana – poobijani, z odrapanymi kolanami, w rozchełstanych koszulach i przekrzywionych krawatach.

Jak zawsze rozległy się cmoknięcia zdumienia i współczucia, kiedy Sebastian ruszył po schodach z okrzykiem: „Lily, Lily!”, nie zachowując należytej ostrożności. Jego głowa poruszała się jak radar, pewny, że wykryje jej obecność.

– Co chcesz dziś robić? – zapytała, gdy znaleźli się poza budynkiem szkoły.

– Wiem dokładnie. – Zawsze wiedział.

– No?

– Chcę pojechać do pracowni taty. – I nim zdążyła zaprotestować: – Poważnie, Lily, nie byliśmy tam od wieków. Na pewno się ucieszy. Chcę się dowiedzieć, nad czym teraz pracuje. Proszę!

Dawniej bywali tam często i Oliver zabierał ich potem na herbatę, jeśli tylko zdołał się wyrwać, ale zawsze było to wcześniej uzgadniane.

– Zadzwoń z najbliższego automatu.

– Na litość boską, Lily, miej trochę fantazji. Zróbmy im wszystkim niespodziankę, co? Ucieszą się, kiedy się tam zjawimy, zobaczysz.

Nie widziała przeszkód, poza jakąś ogólną rezerwą, ale powiedziała sobie, że to w końcu nie jej sprawa: ona tylko przywozi syna do ojca. („Droga Lily, taka młoda, tak dojrzała! Nie dla ciebie wzloty, upadki, uniesienia?“). Półgłos, półszepot, kontrolowanie wszelkich impulsów – nagle poczuła się tym wszystkim zmęczona.

– Świetnie – powiedziała. – Weźmiemy taksówkę.

W samochodzie Sebastian odnalazł jej rękę.

– Czy to prawda, Lily?

– Co?

– Że Johnny się wprowadził?

– Tak. Skąd wiesz?

– Słyszałem, jak Grace rozmawiała z mamą. Jest bardzo szczęśliwa, prawda? Ja też się cieszę, bo naprawdę bardzo ją lubię. Słyszałaś, jak Johnny powiedział, że jesteśmy przyjaciółmi? Nazwał mnie swoim „nowym przyjacielem”. Czy ty też się cieszysz? Nie sądzisz, że jest fajny?

– Chyba tak, chociaż sama jestem tym zdziwiona. Kiedy zobaczyłam jego prace, byłam pewna, że będzie odpychający. Te rzeczy są okropne, jakby ziały nienawiścią.

– Och, znakomicie. Chciałbym to poczuć, wiedzieć, jakie to jest. Niezwykłe, załóżę się. On taki jest, prawda? Wokół niego zawsze coś się dzieje.

– Niewątpliwie. I tak jak powiedziałaś, Grace jest dzięki niemu szczęśliwa... w tej chwili.

Lily chętnie porozmawiałaby dłużej na ten temat – chciała rozeznaczyć się w swoich uczuciach, wypowiedzieć je na głos, bo wciąż czegoś jej brakowało, miała jakieś złe przeczucia. Ale Sebastian nie był właściwą osobą, zresztą jego uwagę przyciągało już coś innego.

– Musimy być prawie na miejscu – powiedział. – Mogę zapłacić taksówkarzowi? Proszę! Daj mi swoją portmonetkę.

Studio Olivera Cary zostało urządzone na drugim i trzecim piętrze magazynu przy Ridinghouse Street. Składało się z dwóch części. Na dole była recepcja i dział reklamy. Tam pracowała sekretarka, stylistka, asystenci. Egzystencja kilkunastu osób zależała od jego zleceń. Wyżej Oliver miał mniejszą pracownię, gdzie zajmował się tym, co nazywał swoją „własną pracą”. Były to dzieła abstrakcyjne i martwe natury: domowa swojskość ukazana w niezwyklej sposób, osobliwe surrealistyczne akty, kilka portretów sławnych ludzi. Tam na górze, sam lub z jakimś wybranym asystentem, tworzył prace, które nie miały wartości handlowej – były po prostu piękne same w sobie.

Kiedy weszli do środka, Esther siedziała przy biurku oddzielającym recepcję od reszty studia. Była tęgą kobietą o przyczernionej fryzurze w stylu Kleopatry, mającą zamiłowanie do obszernych koszul i spódnic w hawajskie wzory. Do pracy i z powrotem jeździła na wielkim, trzykołowym rowerze. Oliver powiedział kiedyś Lily, że jej mąż jest homoseksualistą i że studio stanowi całe jej życie. Był to zbytek skromności, bo wszyscy wiedzieli, że Oliver jest dla niej wszystkim. Parasol ochronny, jaki nad nim rozpiniała, był niezawodny i każdy, kto był w jakiś

sposób związany ze studiem, czuł przed nią respekt. Jednym z zadań, z których Esther wywiązywała się najlepiej, było trzymanie na dystans modelek, które licznie odwiedzały studio ze swoimi teczkami, czy nieumówionych fotografów, rozpaczliwie poszukujących pracy i w większości bezużytecznych. Ale można było na niej polegać, że wyłowi rzadką twarz, surową piękność, i wyśle szczęśliwą dziewczynę na spotkanie ze sławnym człowiekiem.

– Cześć, Lily, witaj, Sebastianie. Gdzieście się podziewali przez tyle czasu? Nie widziałam was od wieków.

Sebastian szturchnął Lily.

– Mówiłem ci, że się ucieszę.

Z całkowitą pewnością siebie powędrował w głąb studia, odpowiadając na pozdrowienia, które sypały się ze wszystkich stron.

Wysoko na rusztowaniu widać było parę nóg w dżinsach i aparat fotograficzny, przygotowany do ujęcia z lotu ptaka.

– Cześć, Sebastianie – dobiegł stamtąd głos. – Słuchaj, robimy tu pokój do starego, nudnego katalogu. Gdybyś usiadł na tym krześle, dokładnie naprzeciw ciebie... – Sebastian wyciągnął rękę pytającym gestem – bardziej w prawo... jeszcze... dobrze, to mógłbym ustawić na ciebie obiektyw, zanim modelka wyjdzie z garderoby. Jeżeli kiedykolwiek wyjdzie! – łyknął fotograf przez ramię w kierunku pomieszczenia.

Sebastian z zadowoloną miną ruszył po omacku w kierunku podium.

– Zdejmij buty – zawołały niebieskie dżinsy.

– Przepraszam – powiedział Sebastian, niezbity z tropu, i usadowił się na podłodze, aby pozbyć się swoich ciężkich, sznurowanych butów na skórzanej podeszwie.

Był to dziwny wyłom w gustach Sebastiana, który na ogół przywiązywał dużą wagę do stroju, do odpowiedniego kroju, idealnie dobranego rozmiaru kołnierzyka, który zawsze musiał mieć dżinsy według najnowszego fasonu, lecz uparczywie nosił niezgrabne, ciężkie, sznurowane, uczniowskie buty o twardych podeszwach. Co sezon szli z Lily do sklepu i co sezon wybierał to samo. Lily podawała mu modniejsze fasony, które wyginał w różne strony, po czym oddawał jej bez słowa.

Kiedy Sebastian, zdezorientowany kakofonią różnych dźwięków, ale szczęśliwy, w poczuciu ważności swojej roli siedział, obracając głowę w różne strony, aby wchłonąć jak najwięcej, w drzwiach garderoby pojawiła się modelka.

Lily była szczególnie wrażliwa na zjawiskowy urok, wewnętrzny blask, jaki miała w sobie ucharakteryzowana, gotowa do pracy modelka. Nie musiała to być

skończona piękność o doskonałych rysach, ale zawsze towarzyszyło jej olśniewające, zapierające dech poczucie, że oto fantazja staje się rzeczywistością.

Mimo to ekipa w studio zdawała się ledwie ją zauważać, gdy tak stała spokojnie na skraju podium, w butach podklejonych taśmą dla zabezpieczenia dekoracji przed zabrudzeniem.

Kiedy podeszła do krzesła, na którym powinna usiąść, jej równowagę zakłóciły sprzeczne emocje. Pierwszą, oczywistą reakcją była irytacja, że ktoś znalazł się tam, gdzie ona powinna być, ale niemal jednocześnie dostrzegła, że to tylko chłopiec, w dodatku niewidomy. W tym samym momencie zapłonęła potężna bateria świateł i zamknęła tych dwoje w obrębie podium, pogrążając resztę pomieszczenia w głębokim, ruchliwym mroku.

Stała tak przez chwilę, patrząc na Sebastiana, który także zwrócony był twarzą w jej stronę. W otaczającej ich przestrzeni musiało znajdować się około ośmiu osób i wibrująca cisza dowodziła, że prawie wszystkie oczy śledzą tę konfrontację, chociaż nikt się nie odzywał.

Modelka, którą światła odcięły od wszystkiego poza podium, uniosła rękę, osłaniając oczy i wytyczając wzrok, w nadziei na pomoc otaczających ją, niewidzialnych istot.

– Chciałam powiedzieć... – zająknęła się – ...tutaj ktoś... ktoś... – Ruszyła w kierunku siedzącego na krześle Sebastiana, ale po chwili zrezygnowała, jakby zwątpiła w jakiegokolwiek trwałe istnienie, w istnienie czegokolwiek poza swoim pełnym wdziękiu zakłopotaniem.

Było to okrutne, acz niezamierzone. Incydent wynikł przypadkiem, ale teraz Piękno musiało wyjść z tej próby obronną ręką, przebijając się, jak to zawsze czyni, przez grubiaństwo i wrogość, które z samej swojej natury prowokuje. Jeszcze przez chwilę stała, wykręcając dłonie, po czym odwróciła się zdecydowanie i przykucnęła obok Sebastiana, dotykając go swoją pięknie wymanikiowaną dłonią. Chłopiec gwałtownym ruchem zwrócił głowę w jej kierunku.

– Jestem modelką – powiedziała miękko. – Mówią, że powinnam tu usiąść do zdjęcia, ale jeśli masz ochotę, to możesz sobie siedzieć. Mnie to nie przeszkadza, jeśli oni nie mają nic przeciwko temu.

– Nie, nie! Jestem tu tylko po to, żeby ustawili obiektyw. Proszę siadać. – Wstał, a ona wzięła go za rękę i odprowadziła wolniutko na skraj podium, pilnując jego kroków, które stawiał z chwiejnym wahaniem, aby nie sprawić jej przykrości.

Studio powróciło do życia i Lily poczuła, że zawadza.

– Gdzie jest Oliver?

– Pracuje na górze. Ostatnio bez przerwy – powiedziała Esther utyskującym tonem. – Ale wy możecie do niego iść.

Pokonali szerokie betonowe schody, otwierając drzwi do pracowni ze znacznie większym szacunkiem niż drzwi do pomieszczenia na dole. W końcu był to prywatny świat Olivera, gdzie wyobraźnia stawała się dotykalna, była utrwalana na zdjęciu, aby znów stać się czymś nieuchwytnym. Tu zawsze panował idealny ład, inaczej niż na dole, wszystko stało dokładnie tak, jak powinno, i dotknięcie lub poruszenie czegokolwiek byłoby błędem. Miejsce było nieskazitelnie czyste, bez jednego pyłku. Wszystko to niezbyt kojarzyło się z powierzchownością Olivera, ale pomieszczenie odzwierciedlało jego wnętrze.

Ale tego dnia nie było tam śladu po dawnej nieskazitelnej czystości. Wszędzie królował bałagan i kurz.

– Dawno nie sprzątane – powiedział Sebastian, pociągając nosem.

W powietrzu wisiała wyczuwalna woń stęchlizny. W wielkim pokoju o wysokim sklepieniu, podzielonym sprzętami i parawanami na mniejsze części, było szaro, światło sączyło się przez zasłonięte w dwóch trzecich roletą okno.

Lily już miała zawrócić do wyjścia, kiedy zobaczyła na krześle marynarkę Olivera. Trzymając się za ręce, ruszyli w milczeniu przez pracownię. Sebastian ścisnął dłoń Lily, a ona zastanawiała się, patrząc na niego, dlaczego jest taki spięty, dlaczego ona sama jest tak podenerwowana.

Z garderoby na końcu pokoju sączyła się uwodzicielska poświata, pochodząca od lampek umieszczonych wokół lustra. Stamtąd dochodziły przytłumione, skoncentrowane dźwięki. Podeszli i stanęli w drzwiach. Przed umieszczonym nad stołem lustrem nie było nikogo, ale na podłodze leżało wielkie ciało Olivera, nagie od pasa w dół, z głową u stóp Lily. Wszystko, co było widać z leżącej pod nim dziewczyny, to zmierzwiona, jasna czupryna i obejmujące go chude ramiona i nogi.

– Tato? – zawołał Sebastian. Zagryzł wargi w swój charakterystyczny sposób. – Tato, dobrze się czujesz? – Obracał głowę i ramiona, usiłując ustalić, dlaczego dźwięki, które wydaje jego ojciec, dochodziły z podłogi. Lily pociągnęła go z powrotem, ale on uchwycił się futryny.

– Lily... O Chryste, Seb...

– Nie – sprostowała dziewczyna, swobodnym i bynajmniej nie urażonym tonem, nieświadoma obecności Lily i Sebastiana. – Na imię mi Kaye. Kaye! – Spojrzała w górę i wtedy ich zobaczyła. – O Boże!

Lily oderwała rękę Sebastiana od futryny i zaczęła go ciągnąć go za sobą.

- Lily, nie! Chcę się zobaczyć z tatą.
- Jest teraz bardzo zajęty! – krzyknęła.

Opór Sebastiana zelżał. Miał ogromny szacunek dla pracy rodziców, nigdy się im nie narzucał, nigdy ich nie absorbował.

- Ale czy on się dobrze czuje, Lily? Co to były za dziwne dźwięki?

– Lepiej niż kiedykolwiek. – Lily szła, najszybciej jak się dało przez zapuszczoną pracownię. Nawet w tym pośpiechu uderzyły ją zmiany, jakie zaszły w tym miejscu. Wyglądało to tak, jakby od miesiący nic się tutaj nie działo.

– Gdyby miał problemy, nie zostawiłabym go przecież, prawda? Po prostu był okropnie, naprawdę okropnie zajęty.

- Czy ustawiał modelkę?

– Tak, właśnie. Akurat ustawiał modelkę, naprawdę dobrze. Nie można mu było przeszkadzać.

Gdy znaleźli się na chodniku, Sebastian zapytał z pewnym wahaniem, jakby obawiał się, że jego ciągłe obawy ją rozgniewają:

- Czy... czy jego stopa jest w porządku?

Lily się roześmiała.

- Jego stopa ma się doskonale. Chodź, kupimy sobie po hamburgerze.



Lily unikała mieszkania Carych przez kilka dni, w obawie że spotka Olivera, który będzie próbował coś wyjaśniać. Nie chciała słyszeć wymówek, jakimi ludzie usprawiedliwiają swoją niewierność, z ust Olivera, którego małżeństwo bardzo szanowała. W piątek zaproponowała, że nazajutrz pójdą z Sebastianem na ryby.

Sobotni poranek spędziła zamknięta w swoim pokoju, słysząc, jak Grace i Johnny się budzą: ich rozmowę, ich cichy śmiech. Nie przynosiła już Grace porannej kawy do łóżka.

W pewnym momencie Grace zastukała do drzwi.

– Jak tam, kochanie, w porządku? Obudziłaś się już? Wszystko w porządku?

– Tak, świetnie, dzięki.

– Na pewno? – Lily wiedziała, że aby tego dowieść, musi otworzyć drzwi. – Ojej, jeszcze nieubrana? Wszystko dobrze? Zadowolona?

– Znakomicie.

Grace wyglądała pięknie, bardziej wyciszona, niż Lily ją kiedykolwiek widziała. Znikło całe roztargnienie i niepokój. Widząc ją w tak świetnej formie, Lily poczuła większą sympatię do Johnny'ego Cochrane'a.

– Co będziesz dzisiaj robić? Bo my jedziemy na wieś, Johno i ja, odwiedzić jego przyjaciół.

Johnny wychylił się zza futryny. Lily przycisnęła do siebie swoją obszerną, edwardiańską nocną koszulę.

– Ślicznie wyglądasz. Prawda, Grace?

– Ona zawsze ślicznie wygląda, Johno.

– Jedź z nami – powiedział. – Co, Gracie? Całą trójką. Miło będzie, nie?

– Cudownie. Jedź z nami, Lily. – Mówiła poważnie.

– Nie mogę, naprawdę. Po południu idę z Sebastianem na ryby.

Zanim frontowe drzwi zamknęły się za nimi, Grace zawołała:

– Przy okazji, kochanie, później przyjdą malarze, dobrze? – Ale nie czekała na odpowiedź.

Jedyny dom, jaki Lily kiedykolwiek знаła, zmieniał się na jej oczach; znajome meble znikwały, pojawiały się nowe sprzęty ze stali i skóry. Zniknęły jedwabne, bladoliliowe zasłony, przetarte na załamaniach, spłowiałe od słońca z upływem lat, okrągłe stoliki i wykończone długimi frędzlami, sięgające ziemi obrusy, porcelana, którą Grace kolekcjonowała. Malarze zjawili się ze swoimi długimi drabinami i

białymi prześcieradłami i w ciągu kilku dni odmienili ich przytulny dom, gdzie w kątach chowały się wspomnienia, rozsiane wokół w nieoczekiwanych miejscach: Lily odsuwała firankę, brała do ręki książkę, odwracała poduszkę, siadała na krześle i nagle przeszłość odsłaniała się, użyczając tej spokojnej chwili jakiejś radosnej substancji.

Życie, które wiodła z Grace, zniknęło pod świeżą farbą, mieszkanie stawało się jasnopopielate, ulizane, wykończone lśniącą, czarną stolarką. Bez fotografii, pamiątek, bez śladów przeszłości.

Lily czuła się tu teraz samotna. Chciała stąd odejść.

Jakiś czas potem siedzieli z Sebastianem w pobliżu wydeptanej ścieżki flisackiej przy Regent's Canal, niedaleko zoo, opatuleni przed lodowatą mgłą, popijając zupę z termosu.

Lily czuła się w takich chwilach bardzo bliska Sebastianowi, może bardziej niż kiedykolwiek, gdy siedziała tak, niemal beczynnym, wypatrując ruchu na wodzie, jakby wkroczyła w beczasowość jego świata.

Pośpiech był chłopcu obcy, nie pchały go naprzód zmieniające się godziny i światła dnia. Pozwalał, by świat wprawiał go w ruch, ale pozostawiony sam sobie zapadał w milczące, refleksyjne trwanie, niezakłócone przez światło i dźwięk.

Mgła odgrodziła i wytłumiła wszelkie dźwięki wokół nich, odcieleśniając kroki za ich plecami, unosząc w górę nieliczne odgłosy z położonego na drugim brzegu zoo. Pomruk, wyolbrzymiony w znieruchomiałym powietrzu, zdawał się rykiem niezidentyfikowanej bestii, łudzaco bliskiej, wolnej i groźnej, zaczajonej gdzieś w górze do skoku.

Słyszeć było tylko plusk wody wokół szałwika Sebastiana, jej gęsty niczym syrop chlupot o kamienne nabrzeża kanału. Mogli znaleźć na swoje wędkowanie jakieś łaskawsze miejsce, ale przywykli już do tego – było blisko domu i płotka lub okoń trafiały się na tym odcinku wystarczająco często, aby podtrzymać ich nadzieję. Złowienie prawdziwej ryby przestało zresztą być najważniejszą sprawą. Treścią tych godzin był spokój i zaduma, których nic prawie nie miało szansy zakłócić.

Lily wsunęła coś do kieszeni Sebastiana.

– Co to takiego? – zapytał.

– Taśma z tej mojej irlandzkiej płyty, o którą prosiłeś, pamiętasz?

– Świetnie! Dzięki.

– Słuchaj, Sebastian, na samym początku nagrałam adres i numer telefonu do mojej pracowni. Przeprowadzam się tam, wiesz? Tak będzie lepiej – teraz, kiedy

sprawy Grace tak się ułożyły.

– A co z dyżurami przy chłopaku, z naszymi wieczorami i odrabianiem lekcji? Och Lily, proszę!

– Nic się nie zmieni nagle, z dnia na dzień. Dla ciebie wszystko zostanie po staremu. Nie martw się, będę przy tobie, kiedy tylko zechcesz. I pomyśl: będziesz mógł przyjść i spędzić ze mną weekend, jeśli będziesz miał ochotę.

– Hmm... – Perspektywy zaczynały wyglądać interesująco. – Czujesz się tam teraz obco?

– Nie chcę przeszkadzać, to wszystko.

– Znam to uczucie – powiedział. Zastanowiło ją, skąd miałby je znać. Otoczyła go ramieniem, a on pochylił nieco głowę w odpowiedzi.

Gdy tak siedzieli, niczym posążek przyjaźni spowity cichą, wędrującą mgłą, odnalazł ich Oliver.

– Hej, wy! Tak myślałem, że gdzieś tutaj będziecie. Mogę się przysiąc?

Rozsunęli się, wpuszczając go między siebie.

– Zupy?

– Nie, dziękuję. – Uniósł kanciastą dłoń odmownym gestem. – Jak idzie, Seb? Miałeś szczęście?

– Trudno powiedzieć – odparł Sebastian. Nigdy wprost nie mówił „nie”.

Oliver rzucił Lily spojrzenie ponad kołnierzem swojego znoszonego, skórzanego płaszcza, potem popatrzył niepewnie w dal, na białą mgłę i płaską niczym deska tafelę czarnej wody.

– Nie mogę tak cały czas siedzieć. Robię się sztywny. Przejdę się trochę tam i z powrotem.

– Dobrze, tato.

– Pójdiesz ze mną, Lily... – zawiesił głos – czy nie?

„Czy nie?” – o to właśnie chodziło. Jesteśmy przyjaciółmi czy nie? Gardzisz mną czy nie? Mogę się wytłumaczyć czy nie?

Lily podniosła się, by mu towarzyszyć, dotykając jednocześnie pleców Sebastiana.

– Uważaj na siebie, dobrze? To nie potrwa długo.

– Dam sobie radę. – Lily zauważyła, jak łowi uchem dźwięk ich kroków, niewątpliwie chcąc wychwycić owo podejrzane powłóczenie nogą.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Gdy oddalili się trochę od Sebastiana, Oliver zapytał:

– Bardzo jesteś rozczarowana? – Spojrzał jej w twarz, by się upewnić, czy wie,

o czym mowa. Wiedziała.

– Chyba tak. Ale to nie moja...

– Nie, Lily. To jest twoja sprawa. Należysz do rodziny. Masz prawo oczekiwać mojej lojalności tak samo jak Sebastian. W końcu to ty pomogłaś mi... pomogłaś nam go wychować. To, co widziałaś, to nie był pierwszy raz. Nie mogę udawać, że tak jest.

Lily spojrzała za siebie, ale mgła zasłoniła Sebastiana przed ich wzrokiem. Było tak, jakby szli przez niekończący się, pozbawiony mebli pokój, mijając tylko niewyraźne zarysy kształtów. To przypomniało Lily, jaki wygląd zaczyna przybierać ich mieszkanie. Ich głosy brzmiały tajemniczo, konspiracyjnie.

– Właściwie nie sądziłam, że to pierwszy raz.

– Nie myśl, że tak było zawsze. To naprawdę nie w moim stylu. Ale widzisz, ostatnio prawie nie rozmawiam, a kiedy człowiek nie rozmawia z tymi, których kocha, jest robi się samotny. Mam na myśli prawdziwą rozmowę – podzielenie się lękiem, niepewnością, wszystkim.

– Więc przeżywasz lęki? Niepewność?

– Uhum.

– Dlaczego nie powiesz o tym Melissie? Myślę, że ona jest najodpowiedniejszą osobą. W końcu problemy innych ludzi to jej dziedzina, prawda?

– Tak, to jej dziedzina. Ale problem w tym, Lily, że jestem chory i nie chcę jej o tym w tej chwili mówić. Jeszcze nie teraz. Chyba że nie będzie innego wyjścia, a do tego być może nie dojdzie.

Lily zatrzymała się, a on pospieszył naprzód, wielki i przygarbiony w swoim płaszczu, z twarzą ściągniętą chłodem. Lily pomyślała o jego stopie i przypomniała sobie Sebastiana. Musieli odejść daleko od niego.

– Lepiej wróćmy z powrotem. Co to jest, noga czy stopa?

Oliver zatrzymał się.

– Skąd...?

– To Sebastian wciąż powtarza, że dziwnie chodzisz. Ja niczego nie zauważyłam, ale on się naprawdę niepokoi.

Oliver odszedł na skraj ścieżki, z opuszczoną głową, z twarzą ukrytą w dłoniach. Lily zostawiła go samego na parę chwil, potem podeszła i stanęła obok. Udając, że patrzy na płynącego łabędzia, bielszego niż białe tło, dostrzegła na jego twarzy łzy. Zgarnął je, roztarł dłonią, skinał głową.

– Jezu, kocham tego chłopca.

– A więc ma rację.

– Tak, tak... Sztywność, coś ze ścięgnami, zawroty głowy. Coś, coś... nie wiem co.

– Byłeś u lekarza?

– Tak. Wkrótce idę do specjalisty.

– Czy ten bałagan w twojej pracowni ma coś wspólnego z tą sprawą? Nigdy jeszcze nie widziałam jej w takim stanie.

– To jest moja kryjówka. Tam zostawiają mnie w spokoju. Jest dosyć pracy, żeby studio na dole mogło działać przez jakiś czas. Mam nadzieję, że zdołam ukryć tę sprawę, dopóki nie dojdę do ładu sam ze sobą. Jest wiele zdjęć, które mogą robić beze mnie, jeśli ja będę wykonywał projekty.

– Proszę cię, powiedz Melissie.

– Nie, Lily. Jest teraz na szczycie fali. Pracowała na to ciężko. Nie zepsuję jej tego.

– Czy dasz mi znać, jak się zobaczysz z tym facetem, ze specjalistą?

Zarzucił jej swoją ciężką rękę na szyję, przyciągając ją na chwilę do siebie. Jego nastrój wrócił już do normy.

– Jeżeli to będzie jakaś krwawa i naprawdę interesująca historia, mogę ci opowiedzieć. Jeśli po prostu jaja mają mi odlecieć, zachowam to dla siebie.

– Hm, nie wydaje mi się, żeby to w tym był problem.

Roześmiali się oboje, przypieczętowując jego przeprosiny, jej przebaczenie, ich dalszą, nienadwątloną przyjaźń. Śmiali się jeszcze, gdy usłyszeli krzyk, a po nim następny, głośniejszy.

– Pomocy, pomocy, tato! Szybko, Lily, pomóż!

Strach, mdłości podchodzące do gardła pozbawiły ją tchu w czasie biegu. Na wpół uduszona dopadła Sebastiana, Oliver o kilka kroków za nią.

Sebastian natęzał wszystkie siły, próbując wyciągnąć wędkę z wody. Za każdym razem, gdy jego ręce unosiły się na wysokość ramion, coś ciemnego i żywego trzepotało się na końcu linki. Żywe, po raz pierwszy żywe.

– Mam coś! Tam coś jest!

– Dobrze, ciągnij! – krzyknęła Lily, marząc, by chwycić wędzisko. – Nie pozwól mu uciec! Uważaj, wyrywa się!

– Jasne, że nie pozwolę, tylko... tylko że... – Nie miał dość siły, aby podnieść wędkę wyżej. – Ucieknie mi. Czuję to.

– W porządku, Seb, masz go. Tak, dobrze. – Oliver stał za Sebastianem, obejmując kolanami jego ramiona, trzymając małe ręce chłopca w swoich wielkich dłoniach. Wspólnie wyciągnęli wędkę z wody. Ryba, która była na końcu linki,

musiała ważyć sześć czy siedem funtów, barwą przypominała wielką, matową złotą rybkę. – To karp, Seb. Złapałeś karpia. Cholernie dużego karpia.

Ryba wylądowała z głuchym pacnięciem pod samymi nogami Lily. Odkoczywszy gwałtownie, dziewczyna utkwiała wzrok w miotającej się zdobyczy.

– Gdzie, gdzie? – Sebastian przeszukiwał ścieżkę po omacku. – Chcę jej dotknąć! – Chwycił rybę, ale wysliznęła mu się z rąk.

Byli zupełnie do tego nieprzygotowani.

– Gdzie masz siatkę? – zawołał Oliver.

– Ostatnio jej nie zabieraliśmy.

Dziwny, zduszony głos dotarł, niczym zza kulis, na scenę, której granice wciąż wyznaczała mgła:

– Musicie mieć do tego podrywkę.

– Co? – zapytali w pustkę, rozglądając się wokół za bezcielesnym głosem. – Kto to powiedział?

– To ja. Potrzebna wam siatka-podrywka. – Podczas gdy ryba wciąż rzucała się i łapała powietrze, ich oczom ukazał się nieco zawiany człowiek mikroskopijnej postury w drelichowym kombinezonie i kurtce, zbliżający się do nich chwiejnym krokiem. Miał kręcone, siwe włosy i okrągłe okulary. – Nie macie siatki? No to nici z poważnego wędkowania.

– A pan ma? – zapytał Oliver.

– Nieee. Sam nie łowię. To jest karp. Zna tajemnicę nieśmiertelności, tak, tak.

Ponad głową Sebastiana Oliver i Lily wymienili uśmiechy, kwitując bezcelowość tej konwersacji. Głowa Sebastiana była mocno cofnięta do tyłu, usta otwarte, ucho zwrócone w kierunku głosu, ale teraz i on przestał zwracać na niego uwagę.

– Co chcesz z nim zrobić, Seb? Zjemy go? Oliver pochylił się, przytrzymując mocno rybę na kolanach Sebastiana. – Nie miałbym nic przeciwko porcji nieśmiertelności.

Sebastian przesunął palcami po rybie.

– Jest cała oblepiona piaskiem i żwirem, biedactwo. Umiera. Chcę wrzucić ją z powrotem. Zdejmij haczyk, tato. Niech sobie płynie.

Kupili rybę i frytki, żeby uczcić sukces, i zabrali to wszystko do domu.

Zastali tam Melisę, choć spodziewali się, że będzie gdzie indziej.

– Myślałem, że lada chwila występujesz w Radio 4 – powiedział Oliver.

– Masz rację.

– To dlaczego jesteś tutaj?

– To jest nagranie, Oliver, a moje popołudniowe spotkanie zostało skrócone, no i jestem. Coś nie tak?

– Skądże, po prostu zdziwiłem się, kiedy cię zobaczyłem, to wszystko. Dobrze, że jesteś. Cieszę się. Możemy być wszyscy razem. – Nie dodał: „choć raz”, ale spojrzała na niego tak, jakby to powiedział.

Usiedli przy kuchennym stole. Lily rzadko widywała Melissę w domu. Jej godziny pracy były bardzo nieregularne.

Odkryła, że żywa Melissa wydaje jej się znacznie mniej rzeczywista niż ta cięta, błyskotliwa kobieta sukcesu, której uśmiech i stroje o żywych barwach znała z telewizji.

„Właściwie wcale cię nie znam” – myślała, patrząc na tę mniejszą, bledszą wersję w swetrze i džinsach, siedzącą w niedbalej pozie przy kuchennym stole, z pasmami pięknych, czarnych włosów, wysuwających się tu i ówdzie z niedbalej fryzury. Lily doszła do wniosku, że to jest cena telewizyjnej sławy, która czyni rzeczywistość tak bardzo drugorzędną.

Chociaż Lily łączyło z Melissą jedenaście lat życia Sebastiana, nie mówiąc o Oliverze, Grace i wszystkich tych krzyżujących się rodzinnych więzach, rozmowa z nią wydawała jej się teraz trudniejsza niż kiedykolwiek. Zdawało się jej, że powinna poruszać wyłącznie tematy, z których Melissa była znana publicznie, jak akcje charytatywne, grupy nacisku, wspólne dobro.

Mimo wszystko cieszyła się, że może być z nimi trojgiem. Dawniej takie sytuacje zdarzały się często. Po prostu siedzieli i „byli razem”, jak to określał Oliver.

– ...i była śmieszna pani, mamó, która powiedziała, że powinniśmy mieć siatkę-podrywkę.

– To nie była pani, Seb, tylko mężczyzna, karzeł.

– To znaczy miniaturowy człowiek, tak?

– Nie, to jest liliput – zaczęła wywód Melissa w swoim rzeczowym stylu. – To duża różnica. Liliput jest proporcjonalny, medycznie wszystko jest z nim w porządku, natomiast karzeł wygląda dziwnie, bo jego kości pozostały tych samych rozmiarów co w wieku, powiedzmy, siedmiu czy ośmiu lat, natomiast otaczające je mięśnie i tkanki rosły nadal, aż do dojrzałości. Dziś nie widuje się ich tak wielu, a będzie się widzieć jeszcze mniej, bo istnieją leki, które powodują wzrost kości. – Cała Melissa. Musi zrobić prawdziwy wykład.

– I jak tam z Johnnym Cochrane'em, Lily? – Melissassa paznokieć, studiując twarz dziewczyny spod oka.

– Bardzo się cieszę, naprawdę – odpowiedziała Lily na nie zadane pytanie. – Widziałas Grace w ciągu ostatnich kilku dni? Wygląda tak pięknie, jest taka spokojna. Nie można dyskutować ze szczęściem.

– Dobrze powiedziane. – Melissa sięgnęła po rękę Olivera, który wyglądał na zaskoczonego i ucieszonego, gdy oddawał uścisk, kładąc swoją rękę na jej dłoni.

Lily poczuła niewytłumaczalne osamotnienie, które trwało zaledwie sekundę i zaraz znikło.

– Scrabble? – rzuciła do Sebastiana. – Do trzech razy sztuka? Zakład, że wygram. – Tak, to uczucie znikło i Lily nie wracała do niego w myślach, nie próbowała zrozumieć nastroju, jaki wywołał u niej widok ich splecionych dłoni.

Scrabble był najnowszym prezentem Lily dla Sebastiana i oboje stali się nałogowcami. Lily zawiązywała sobie oczy, tak jak wtedy, kiedy uczyła się brajla od nauczycielki Sebastiana, przychodzącej do domu kilka razy w tygodniu. Było to dawno, w czasach gdy Lily wyobrażała sobie, że Sebastian jest jej własnym synem, że jest matką kogoś tak kochanego jak on. Na kilka godzin tygodniowo Lily wkraczała w świat niewidomych, świat przenikliwych bodźców, gdzie zwykle dźwięki nabierały dzięki całkowitej izolacji jakiegoś szczególnego charakteru. Przyłączała się do Sebastiana i jego nauczycielki: łagodnej, siwej kobiety, także niewidomej, o głosie subtelnym i wyrazistym jak dźwięk dalekiego dzwonu w wieczornej ciszy. Ani Oliver, ani Melissa nie mieli czasu się uczyć, nie było też takiej potrzeby, ale Lily sprawiał przyjemność łączący ich wspólny wysiłek, przedzieranie się razem przez podręczniki, wspólna irytacja i złość przy niepowodzeniach. Sebastian zawsze był lepszy w brajlu niż ona i scrabble był dla niej dobrym ćwiczeniem.

Wrócili do salonu, który zawsze wydawał się jej raczej pusty i surowy z jego polerowanymi deskami, nielicznymi dywanikami, białymi ścianami i dziwnymi przedmiotami. Melissa nie wprowadziła w nim żadnych zmian, ale teraz był on dla Lily bardziej swojski niż jakiegokolwiek inne miejsce. Wydawał się wręcz zagracony w porównaniu z tym, w co przeobraził się ich własny dom.

– Nie, nie, tylko wy dwoje – powiedziała Melissa, kiedy zobaczyła, że Sebastian rozkłada planszę dla czworga.

– Mamo, proszę! Tam są też napisy. Będiesz widzieć litery, zobacz...

Pociągnął ją w stronę planszy.

– No dobrze, ale nie za długo. Wiesz, że nie jestem dobra w grach. Ty też, Oliver?

– Oczywiście.



Melissa zniecierpliwiała się bardzo szybko. Zaczęła zerkać na zegarek. Oliver przyglądał się jej ukradkiem, czekając, kiedy się podniesie. I rzeczywiście.

– Chyba lepiej już...

– Tylko nie mów, że gdzieś wychodzisz! – niemal krzyknął Oliver. Ton jego głosu wprowadził ją w zdumienie.

– No, w takim razie za chwilę. Widzisz, mam spotkanie.

– Co za spotkanie możesz mieć w sobotę wieczorem? Kiedy, u diabła, mamy być rodziną?

– To jest grupa kobiet. Obiecałam, że tam będę.

– A co z ich rodzinami? Czy one nie chcą być ze swoimi mężami i dziećmi?

– To są lesbijki, jeśli o to chodzi. Nie każdy żyje w rodzinie. My mamy szczęście. Odkąd media zrobiły wokół mnie ten cały szum, każdy chce mnie mieć po swojej stronie. Na to pracowałam, Oliver, o to walczyłam, żeby mój głos był słyszany. Ludzie oczekują mojego wsparcia, potrzebują mnie.

– My ciebie potrzebujemy – powiedział Oliver.

Sebastian i Lily nie odzywali się ani słowem. Zdawali sobie sprawę, że spór między Oliverem i Melissą toczy się o coś więcej niż o jej obecność.

Melissa odłożyła wyjście na jakiś czas i grali dalej, zdeprymowani jej brakiem entuzjazmu. Kiedy byli w połowie drugiej rundy, rozległo się głośne, natarczywe walenie do drzwi.

– Nie, naprawdę... – Melissa udawała zirytowaną, chociaż to zakłócenie było jej na rękę. Pospieszyła do drzwi, otwierając je na oścież z zaczepnym „Tak?”. Jej agresywny ton opadł niemal natychmiast, przybierając nutę zakłopotania. – Ach, to ty. Przepraszam, wejdz.

Johnny Cochrane wkroczył do salonu przed Melissą, unosząc wysoko ręce.

– Hej, hej, hej! – wyskandował na powitanie, po jednym „hej” dla każdego. – Słuchajcie, ludzie: Gracie i ja pomyśleliśmy sobie, że moglibyście wpaść do mojej pracowni i rzucić na nią okiem. Choćby zaraz. – Wyciągnął ręce gwałtownym gestem. – Choćby w tej chwili. – Jak gdyby chwila obecna zdarzyła się po raz pierwszy w historii ludzkości i nie wolno było jej zmarnować.

– O tak, proszę! – podniósł się Sebastian.

– Zuch chłopak! Mój mały kolega. A ty? Ty? Ty? – zwrócił się do pozostałych osób.

Melissa się podniosła. Jedną rękę wsunęła we włosy, druga spoczywała luźno oparta na biodrze. Z niezwykłym u niej brakiem zdecydowania zaczęła:

– No, właściwie to nie wiem. Nie sądzę...

– Melissa musi się spotkać z pewnymi lesbijkami, ale ja chętnie pojedę – powiedział Oliver.

– No, skoro Melissa ma spotkanie z lesbijkami... – zaczął Johnny odrobinę frywolnym tonem. – Słuchaj, wiem, że robisz bardzo ważną robotę. Widziałem cię, wiesz, na ekranie i chyba się nie pogniewasz, jeśli powiem, że jesteś fantastyczna. Tylko jak mężczyzna ma się skupić na tych, no, poważnych sprawach, kiedy ty jesteś taka ładna? – Johnny złagodził osobisty ton komplementu, zwracając się o poparcie do Olivera. – Prawda, Oliver, co?

– Jak najbardziej.

– Ale czy nie mogłabyś spławić dzisiaj tych lesbijek i wpaść zamiast tego do mojej pracowni, moja droga? Spodoba ci się, zobaczysz. Pokażę ci moją lampę łukową. A jak będziesz naprawdę miła, to jeszcze mój palnik acetylenowo-tlenowy. No, to jest propozycja, której żadna dziewczyna się nie oprze.

Nikt nie wyrażał się nigdy lekceważąco o pracy Melissy i Lily spodziewała się, że będzie co najmniej dotknięta, ale ona wciąż wydawała się niezdecydowana, wręcz ubawiona.

– Hm, będę musiała zadzwonić. Zobaczą, co one na to.

Oliver przyglądał się jej, gdy rozmawiała przez telefon, i kiedy oznajmiła lekkim tonem, że jest wolna, jego spojrzenie przybrało, nie pierwszy raz, ów daleki, nieuchwytny wyraz znużenia.

– A ty, Lily, wpadniesz? – rzucił Johnny w jej stronę od niechcienia.

Mgła ustąpiła, choć wilgoć nadal wisiała w nocnym powietrzu, a niskie niebo zasnuwane było chmurami. Ulica w Westbourne Grove, złożona z tandetnych, dwupiętrowych budynków, była zupełnie pusta. Większość domów została przerobiona na sklepy: zapuszczony komis z artykułami elektrycznymi, restauracja z daniami na wynos, agencja bukmacherska. Na uboczu stał duży, sfatygowany, drewniany garaż z umieszczonym nad nim dziwacznym szyldem, z którego oblażyła farba: „A.E. Gange. Naprawy po wypadkach”. Była to pracownia Johnny'ego Cochrane'a.

Stali na wyboistym chodniku, kręcąc się w miejscu, przestępując z nogi na nogę, gdy tymczasem Johnny miotał rytualne przekleństwa na masywną kłódkę przy bramie. Grace została w samochodzie: musiała wiedzieć z doświadczenia, że operacja otwierania bramy jest czasochłonna. Po chwili drzwi zgrzytnęły chrapliwie i Cochrane zniknął we wnętrzu. Wkrótce blade światło przebiło się przez panujące tam ciemności i Johnny zawołał:

– Dalej, chodźcie, nie guzdrajcie się!

Melissa weszła pierwsza, za nią Oliver, prowadząc za rękę Sebastiana. Lily wróciła, żeby zawołać Grace, która wciąż jeszcze siedziała w samochodzie, opatulona w futro, w smudze ciepłego, pomarańczowego światła. Poklepywała delikatnie twarz, spoglądając w lusterko umieszczone na rozkładanej klapce: obraz luksusu na wyludnionej ulicy. – Chodź, Grace! – zawołała Lily na tyle głośno, żeby można ją było dosłyszeć przez zamknięte okno. Grace rozejrzała się, w pierwszej chwili przestraszona, ale na widok Lily rozjaśniła się natychmiast. Jej uśmiech był coraz mniej wyraźny za zasłoną oddechu, który materializował się na szybie.

Lily stąpnęła prosto w tęczową kałużę oleju, rozlanego pod samymi drzwiami. Niski budynek był zapchany pod sufit metalowym złomem, piętrzącym się w chwiejnych stertach: wystawały z nich koła od przekładni, szczerząc bezużyteczne zęby, ostrza starej krajalnicy do wędlin, drzwi od wagonu kolejowego, grzejnik elektryczny z połamanymi żeberkami, z wijącymi się, wyprutymi spiralami. Były tam wiadra i talerze do grilla, silniki samochodowe, kaloryfery, stare kuchenki i lodówki w nieoczekiwanych pozycjach. Podłogę tu i ówdzie przykrywał piasek, co miało neutralizować wszechobecny olej. Na środku była wolna przestrzeń: stanowisko robocze, gdzie właśnie powstawało jakieś nowe dzieło. W czterech rogach metalowej kratownicy długości sześciu stóp stały słupy od rusztowania, po trzy w każdym rogu, połączone w całość łańcuchem od roweru.

Oliver podszedł bliżej, obszedł konstrukcję wokół, przykucnął, by przyjrzeć jej się z bliska, dotykając powierzchni końcami złączonych palców. Studiował ją z całą uwagą należną dziełu sztuki, podczas gdy Sebastian wodził palcem tam i z powrotem wzdłuż ruchliwego łańcucha od roweru.

Rozległ się chrzęst piasku i Grace weszła do środka, wkraczając w krąg anemicznego światła, wyprostowana, czujna, maskująca śmiechem i okrzykami zachwyty swoją odrazę do wszechobecnego brudu. Była jak niepewna ćma, zaplątana tu przypadkiem i zgubiona.

– I co na to powiecie, Oliver, Lily? Ta atmosfera tutaj. Podniecające, nieprawdaz? Czy on nie jest utalentowany? Wiesz, co to jest, Melisso? Zgadłaś już? – spytała, kładąc rękę na jednym ze słupów. – Czy już im powiedziałaś, Johno?

Johnny Cochrane stał nieco z tyłu, obserwując scenę ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Grace zachęciła go gestem, by zabrał głos, i wtedy zauważyła na swojej ręce smar.

– Ojej! – Spojrzała na zabrudzoną dłoń, po czym wyciągnęła ją, poprzez mrok, w jego kierunku. – Chusteczka, Johno?

On wy dostał brudną szmatę, taką samą jak ta, którą Lily widziała w podobnych okolicznościach, i podał Grace, która wzięła ją bez najmniejszych oporów. Patrząc spod oka, upewniła się, czy wszyscy widzą, jak wyciera w nią starannie rękę.

– Dziękuję, Johnno. Powiedz im, co to takiego, kochanie.

Johnny przełknął ślinę.

– No więc to jest łóżko, prawda?

– Zgadza się – powiedział Oliver – z baldachimem.

– I jeszcze powiedz im... – naciskała Grace – ...wiesz o czym, Johnno.

Johnny podszedł do Grace, podniósł ją i posadził, przy akompaniamencie chrzęstu, zgrzytu i jęku zardzewiałego metalu, na metalowej kratownicy łóżka.

– To jest prezent dla Gracie ode mnie. Robię łóżko, na którym ona będzie spać. Jasne? – Nikt się nie roześmiał; wszyscy czekali, bo Grace czekała, z pełną napięcia twarzą zwróconą w jego stronę. – No więc to jest mój prezent ślubny dla Gracie. Chcemy się pobrać. Niedługo. Prawda, laleczko?

Grace nadal wpatrywała się w niego w ciszy, która zapadła, potem powiodła wzrokiem po innych twarzach, z błyszczącymi oczyma, unosząc rękę do szyi. Cochrane stał z rękami na biodrach, w zaczepnej pozie, jakby zamierzał stawić czoło spodziewanemu oburzeniu.

– Chyba powinniśmy im wszyscy pogratulować – powiedział Sebastian. – Czy będziecie dalej mieszkać tam gdzie dotychczas? Będę mógł tu jeszcze przyjść? Tu jest świetnie. I fantastycznie pachnie.

– Coś ci, powiem, staruszk. Jesteś wspaniałym dzieciakiem i zapraszam cię, kiedy tylko zechcesz. Zawsze będziesz w moim życiu mile widzianym gościem, jasne?

– Jasne – powiedział Sebastian, przysuwając się bliżej i biorąc Johnny'ego Cochrane'a za rękę. To dało innym trochę czasu, teraz więc wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Aplauz i zdumienie w głosach. Pośród ogólnej wrzawy Grace wyciągnęła rękę w stronę Lily.

– W porządku, kochanie?

Lily podeszła do niej.

– Tak, Grace, w porządku. Będziesz bardzo szczęśliwa. Wiem o tym. – Nie wiedziała, naprawdę nie wiedziała.

– Będę, kochanie. Na pewno. Wszyscy będziemy szczęśliwi.

Lily cofnęła się poza krąg światła, jej twarz, pogrążona w mroku, stała się niewidoczna dla innych. Oparła się o stół, na którym w niechlujnym rozgardiaszu pośród narzędzi leżało więcej szmat podobnych do tej, którą Cochrane nosił w

kieszeni. Lily patrzyła, nie widząc, jej ręka zacisnęła się machinalnie na metalowej rurce.

– Hej, to jest moja lampa łukowa. – Johnny Cochrane podszedł do niej, podczas gdy inni otoczyli Grace. – Daj, pokażę ci. – Wyjął urządzenie z jej rąk, podając jej w zamian wielką, ciężką, zabudowaną z trzech stron maskę, z szybką na wysokości oczu. – Trzymaj to przy twarzy – powiedział, z lampą w pogotowiu, z palcem na wyłączniku. Kiedy Lily obiema rękami podniosła maskę do twarzy, Johnny pstryknął wyłącznikiem i z rury wytrysnął fioletowo-biały strumień światła. Odsunął lampę na pewną odległość – blask i dźwięk odizolowały ich od otoczenia. Przysunął głowę do ukrytej za maską twarzy Lily. – To służy do spawania, wiesz?

– Ta maska jest bardzo ciężka. Ty ją nosisz?

– Noszę, jasne. Muszę mieć wolne ręce, nie? No więc, co o tym myślisz, Lii?

– Lily.

– Przepraszam, Lily. Co o tym myślisz?

– O pracowni?

– Nie.

– O ślubie?

– Tak.

– Sama nie wiem. Szybki jesteś.

– Taki jestem. Szybki chłopak, nie guzdam się. Wiem, czego chcę, i to jest Gracie. Jest teraz moją dziewczyną. Będę ją chronił. Nie będzie więcej budzić się rano sama, bo ja będę przy niej. A kiedy się trochę zmęczy, jak to się czasem zdarza, choć ona udaje, że nie, ja będę przy niej, będę jej dalej mówił, że jest ładna, że jest fajną babką. Bo ona to lubi, bo tego potrzebuje. Będę mówił to wszystko, żeby nie miała tego strachu w oczach. Znasz to spojrzenie? Na pewno. Będę przy niej, rozumiesz? Cały czas. Dając jej to, czego potrzebuje.

Czy naprawdę był aż tak bystry, umiał ją poznać tak szybko? To wszystko, do czego Lily dochodziła latami, on zdawał się rozumieć bez trudu. A więc tak działa miłość, miłość mężczyzny. Lily była przy Grace tylko w zastępstwie, robiąc co mogła, najlepiej, jak umiała. Teraz on zrobi wszystko tak, jak trzeba.

– To jak, Lily, w porządku?

– Jesteś taki sam jak ona. Też cały czas pyta: „W porządku?”.

– No tak. Widzisz, nie jesteś zbyt rozmowna. Nie wydaje mi się, żebym cię znał. Odwrócił lampę, aż granica blasku i żaru dosięgła maski, rażąc przez szkło, osłaniające jej oczy. – No więc, Lily? Czy będziemy, no... przyjaciółmi?

– Będziemy, zwłaszcza jeśli Grace będzie szczęśliwa. Trochę czasu, to

wszystko, czego potrzebuję. Nie jestem szybka w przyjaźni.

– Nie tak jak Gracie, co?

– Nie. Nie tak jak Grace.

– W porządku, dziewczyno. To uczciwie postawiona sprawa.

Wyłączył lampę, przywracając ich otoczeniu. Ze światła blasku i ogłuszającego hałasu powrócili w nagość tego nędznego garażu, w świat zwykłych głosów zwykłych ludzi – nieświadomych, że tych dwoje odbyło rozmowę na osobności.

– Musimy to uczcić! – wołała, klepiąc się po udach, Melissa, która stała na szczycie wielkiej, poszczerbionej beczki na ryby. Jej oddech skraplał się, tworząc obłoczki pary w chłodnym powietrzu.

A więc w końcu nadeszło wymarzone przez Grace „długo i szczęśliwie”. Całkiem inne, niż sobie to z Lily wyobrażały, niż wyobrażał sobie ktokolwiek, kto zastanawiał się nad przyszłością tej kobiety.

Trwająca dwadzieścia lat wspólna droga Lily i Grace dobiegła końca. Droga, którą wytyczały wakacje w miejscach, gdzie wypoczywało eleganckie towarzystwo, obiady, gdzie to towarzystwo jadało, szampan dla małej Lily, która czuwała, czuwała, czuwała, żeby ktoś znowu nie skrzywdził Grace. Robiły to, co powinny, bywały tam, gdzie powinny, bo to właśnie tam miał się znaleźć, tam się znalazł ów wspaniały ktoś, na którego Grace czekała. I oto na jaki próg ją przyprowadził: po śmiechach, planach, nadziejach, wiecznie umykających, wiecznie powracających, wilgotny, zatechły garaż z ohydą, żelazną konstrukcją jako jej ślubnym łóżem.

Grace i Johnny byli teraz tak zapatrzeni w siebie, tak bardzo razem, tak bardzo „my”, że Lily zaczęła odczuwać skrępowanie w ich obecności. Nie chciała komunikować swojej decyzji o przeprowadzce obojgu naraz. Wolała najpierw porozmawiać z Grace – upewnić się wzajemnie, że żadna z nich nie żywi urazy, że dla Lily w tym momencie pożegnanie się, rozpoczęcie życia na własną rękę to naturalna kolej rzeczy. Zdarzały się rzadkie chwile, kiedy Johnny'ego nie było w domu. „Grace?” – próbowała zacząć rozmowę, tonem nieśmiałej prośby. Grace odwracała się natychmiast, z gotowością, promienna i ożywiona: „Tak, kochanie?”. I Lily czuła, że nie jest w stanie tego powiedzieć, że powstrzymuje ją jakiś niejasny lęk. Czy odejście nie było egoizmem? Może powinna zostać jeszcze trochę, upewnić się, że sprawy mają się tak, jak na to wygląda? „E, nic takiego, może poczekać”, i Grace przechodziła nad tym do porządku, unoszona falą rozdygotanego szczęścia.

Jednak dla Lily było jasne, że jej odejście staje się faktem, mimo braku słów. Mówił o nim nowy wystrój mieszkania, zmiany pojawiające się w nim każdego dnia, brak przedmiotów, które знаła przez całe życie, tempo, w jakim to wszystko wokół niej się działo.

Pewnego popołudnia, kiedy sądziła, że jest sama w domu i wzięła się za ostateczne porządki, zjawiała się u niej Grace. Pamiątki zapomnianej przeszłości były porzucane wszędzie naokoło, powyciągane z szuflad i szaf, i Lily natknęła się na sukienkę, którą miała na sobie tamtej nocy w Marbelli. Sukienka, której nigdy potem nie nosiła, którą ukryła przed wzrokiem Grace i swoim własnym, leżała teraz przed nią, owinięta w poźółkłą z biegiem lat bibułę.

Dało się słyszeć dyskretne pukanie do drzwi i w ślad za nim nieśmiało, z wahaniem, pojawiła się głowa Grace.

– Można?

Nie było wątpliwości, czym Lily się zajmuje, i Grace nie protestowała. Wyglądało to tak, jakby przyszła pomóc. Nie przedwcześnie, czy nachalnie, ale dokładnie wtedy, kiedy Lily była gotowa, kiedy sytuacja do tego dojrzała.

– A więc przeprowadzasz się do swojej pracowni? – zapytała z wahaniem, jakby to pytanie było impertynencją.

– Tak. Jest wielka i naprawdę piękna, a raczej będzie, kiedy skończę ją urządzać.

– Marzę, żeby ją zobaczyć, ale posłuchaj, Lily, tutaj zawsze będziesz miała swój pokój, dobrze? My go nie potrzebujemy, niczego w nim nie ruszymy. Zamkniemy drzwi i kiedy przyjdiesz, wszystko zawsze będzie dokładnie tak, jak zostawiłaś, jak w domu.

– Wspaniale, dziękuję. Ty wiesz, że możesz przyjść do mnie, kiedy zechcesz, tylko naprawdę wolałabym najpierw wszystko bajecznie urządzić. Bardzo chcę, żebyś poznała moje mieszkanko. Ale musisz przyznać, że ostatnio byłaś trochę zajęta.

A więc rozmawiały tak jak dawniej, tylko we dwie.

– Tak, tak. Czy to nie jest... no... – skrzywiła się, że wciąż powtarza to samo, niczym papuga: – ...cudowne?

– Znalazłaś właściwe słowo.

Grace usiadła na łóżku, przeglądając rozłożone tam rzeczy, rozpoznając je z melancholijną zadumą, po czym składała je i umieszczała w rozwartych paszczach walizek, z pożegnalnym dotknięciem, jakby wybierała fragmenty przeszłości, aby opatrzeć je swoim błogosławieństwem.

Lily zbyt późno wyciągnęła rękę, by przykryć sukienkę z Marbelli. Grace podniosła ją do twarzy, otarła o nią policzek.

– Ach Lily, ta straszna noc.

Grace zawsze pamiętała, co Lily miała na sobie, i Lily o tym wiedziała.

– Dobra – powiedziała Lily – spakujmy to. Albo wiesz co, lepiej wyrzucmy. Z tym wszystkim przecież koniec, raz na zawsze. Znalazłaś Johnny'ego, znalazłaś szczęście, więc zróbmy ten gest i wyrzucmy to.

Grace nie poruszyła się, siedziała nadal z sukienką przyciśniętą do twarzy.

– Nie, nie możemy tego zrobić, bo to wspomnienie ciebie w tej sukience jest dla mnie jedyną osłodą tamtej strasznej nocy. Daj mi ją na przechowanie, dobrze? A kiedy moje szczęście będzie już czymś bez początku, kiedy będzie się wydawało, że Johno kochał mnie zawsze, wyjmę ją i przypomnę sobie to wszystko, a on będzie się zastanawiał, czemu go nagle pocałowałam. – Położyła sukienkę na kolanach, opuściła głowę. – Mam nadzieję, że robię słusznie?

– O co chodzi?

– Pozwalając ci odejść w ten sposób.

– No i masz ci los, tego się właśnie obawiałam: twoich przypuszczeń, że wyprowadzam się z jakichś wydumanych powodów albo że mnie w jakiś sposób do tego zmusiłaś. Tak nie jest, Grace. Ja chcę się wyprowadzić, to jest właściwy krok. Czas na to najwyższy, naprawdę, i nie mogę się już doczekać. Wszystko



będzie dalej tak samo, choć trochę inaczej.

– Chcę odtąd zawsze robić wszystko tak, jak trzeba. Człowiek popełnił w życiu tyle błędów... Gdybyś była wciąż mała, nie pozwoliłabym ci odejść, wiesz o tym. Ale naprawdę mam czasami uczucie, że jesteś starsza ode mnie. To głupie, prawda, ale jesteś taka... taka dorosła, jak ktoś bardzo stary, kto widział już to wszystko w swoim życiu wiele razy. – A jednocześnie taka słodka, Lily, taka słodka... – powiew śmiechu, rozpraszający wątpliwości, przywracający otuchę. – I martwię się, żebyś nie była sama... zbyt długo. Tak dobrze jest kogoś mieć. Zacznij żyć, skarbie, co? Pozwól sobie na trochę przyjemności. Przynies swoje serce z powrotem z plaży.

– Będzie dobrze.

– Lily?

– Co takiego, Grace?

– Powiedz mi szczerze – Lily odwróciła głowę, ale Grace zmusiła ją wzrokiem, by znów na nią nie spojrzała. – On mnie kocha, prawda?

Gdybyż to chodziło o twarz, o figurę! („Ty i tłuszcz, Grace? Daj spokój!”). Nigdy dotąd nie proszono jej o potwierdzenie czyjegoś uczucia.

– Oczywiście... – zaczęła, wstydząc się, że przychodzi jej to z takim wysiłkiem. Po czym dodała z większą energią: – Słuchaj, Grace, przecież on ci to mówi, prawda?

– Pewnie, ale oni... mężczyźni często tak mówią, prawda?

– Musisz mu bardziej ufać, jeśli masz zamiar za niego wyjść.

– On nie wie, ile mam naprawdę lat.

Chwilowa ulga. Lily zdobyła się na uśmiech.

– Pewnie się domyślił i kocha cię mimo to.

– I chyba uważa mnie za trochę bogatszą, niż jestem.

Uczucie ulgi znikło.

– Dlaczego miałby tak uważać? – Grace tylko wzruszyła ramionami ze zgaszonym uśmiechem. – Chyba nie wprowadziłaś go w błąd?

– Cóż, jestem dość bogata w rozumieniu wielu ludzi, poza tym sprzedałam trochę rzeczy, które mu się nie podobały, na przykład francuską komodę, pamiętasz? I biblioteczkę Hepplewhite'a.

Tak, Lily pamiętała.

– Zastanawiałam się, gdzie się podziały. – Jej dom, jej przeszłość, już nie był jej domem.

– Ty go lubisz, kochanie, prawda?

– Tak, ale wiesz, jaka jestem: potrzebuję czasu. Nie mogę zaprzyjaźnić się z nim od pierwszego wejrzenia, tak jak ty się w nim zakochałaś. Decydującą sprawą pomiędzy mną a Johnnym jesteś ty. I skoro dzięki niemu jesteś szczęśliwa, to ja go za to lubię, i myślę, że z czasem zacznę go lubić także za wszystko inne.

Obie zdawały sobie sprawę, że Johnny został przedstawiony jako fakt dokonany. Lily nie miała tym razem okazji do zgłoszenia swoich zwykłych zastrzeżeń. Teraz było za późno, by oświadczyć, że jego sztuka jest nieautentyczna, a jego „wysokooktanowa” seksualność krępująca i niesmaczna. Lily zaledwie była w stanie przyznać to przed samą sobą, tak bardzo chciała widzieć wybór Grace w jak najlepszym świetle.

W tym momencie pojawił się Johnny Cochrane we własnej osobie: uchylił drzwi i stał przez kilka chwil oparty o futrynę, jakby wiedział, co się odbywa w tym pokoju. Nie odezwał się, zaznaczył jedynie – uprzejmie, lecz zdecydowanie – swoją obecność. Potem podszedł i otoczył Grace ramieniem. Ona przytrzymała końce jego palców, cały czas patrząc na Lily.

– Johnno, Lily wyprowadza się do swojej pracowni, ale powiedziałam jej, że ten pokój będzie zawsze na nią czekał, tak jak go zostawi.

Johnny przyjrzał się Lily uważnie.

– Więc wyprowadzasz się? – Czy usłyszała nie wypowiedziane „nareszcie”?

– Tak.

– Cóż, to naprawdę... naprawdę... – miał zwyczaj zawieszać głos, aby poszukać właściwego słowa. Lily czekała na „fantastycznie”, „świetnie”, „wspaniale” – ...naprawdę smutne.

Grace i Johnny poszli do siebie, ona zabrała ze sobą sukienkę z Marbelli, i Lily stała teraz pośród niedokończonego pakowania, mniej zdecydowana niż dotąd, wciąż słysząc te nieoczekiwane słowa: „naprawdę smutne”. Poczula pustkę, jej pewność siebie przygasła. Pragnęła po prostu odrobiny towarzystwa ich dwojga, nim ostatecznie zamknie ten rozdział swojego życia.

Poszła w stronę sypialni Grace. Pokój nie był zamknięty, Lily usłyszała głosy, otworzyła szerzej drzwi. Johnny obejmował Grace, która zaciskała w dłoni, oprócz sukienki z Marbelli, tę samą brudną chustkę do nosa.

Johnny spojrział na Lily.

– O co chodzi? – zapytał tonem, który bynajmniej nie był „naprawdę smutny”.

– Przepraszam... Ja...

– Ach Lily, kochanie... – Grace ukryła twarz na ramieniu Cochrane'a. Widać było, że płakała.

– Co się stało, Grace? – zapytała Lily.

– Wszystko w porządku, Lii. Możesz iść. Panuję nad sytuacją. To nie twoja sprawa.

– Johnno, przestań. O co chodzi, kochanie?

– Po prostu przyszło mi nagle do głowy, że miło byłoby zrobić coś wspólnie. Nie wiem co, po prostu coś.

Grace uniosła głowę i spojrzała na Johnny'ego.

– Przykro mi, ale wychodzimy – odpowiedział za nich oboje, a Grace zapytała:

– W porządku, Lily?

– Tak... Oczywiście. Tak czy inaczej muszę dokończyć... – Grace wyswobodziła się z jego objęć i spojrzała zdumiona na Lily – ...pakowanie.

W mieszkaniu szubrawca, w rzeczywistym odosobnieniu, a nie takim, które jest skutkiem czyjejś chwilowej nieobecności, uczucie pustki zelżało, ustępując miejsca złym przeczuciom. Czy wyprowadziła się zbyt prędko? Czy powinna była obserwować sytuację trochę dłużej, w przewidywaniu katastrofy, która mogła nigdy nie nastąpić? Czy miała prawo być tutaj, delektując się po cichu swoim stanem posiadania – kolekcją ubrań i dodatków – kiedy rozpakowywała jeden kufer za drugim? Wydawało jej się zdumiewające, że przez tak długi czas potrafiła zmieścić swoją egzystencję w jednym pokoju.

Wzdłuż ścian pracowni biegł pałąk do zawieszania obrazów. Korzystając z tego Lily powiesiła na różnych wysokościach mundury, fraki, smokingi, żakiet z kolekcji cyrkowej Elsy Schiaparelli, cenny rarytas – suknię Chanel z czarnego szyfonu i koronki, przepięknie plisowany model Fortuny z jasnozielonego jedwabiu. Odmierzając czas kolejnymi „głuchymi” telefonami do Grace, spędziła wiele godzin na rozwieszaniu tych i podobnych kreacji – wszystkie na płask, tu odsłonięte, tam zachodzące na siebie, aż uzyskała atmosferę zaludnionego pokoju, jak gdyby odbywało się tu pełne bezgłośniejszej wesołości przyjęcie. Ubrania okrywały też dziwne sylwetki trzech starych manekinów krawieckich o zapadniętych klatkach piersiowych, których obecność wzmacniała efekt. Lily ustawiła swój stół do prasowania i obie maszyny do szycia: jedną zabytkową, czarną, z kunsztownym, złotym grawerunkiem, drugą elektroniczną. Dokupiła meble, aby uzupełnić ubogie wyposażenie pokoju. Te zajęcia pochłaniały ją przez kilka dni, podczas gdy jej świadomość wciąż mimo woli wędrowała pomiędzy przeszłością a wypadkami ostatnich dni, obracając w myślach te same, na wpół uświadomione odczucia. I cóż z tego, że Grace płakała? Czy łzom nie było u niej zawsze po drodze ze szczęściem? Z pewnością. „Wszystko w porządku, Lii, możesz iść. Panuję nad

sytuacją".

Wreszcie któregoś popołudnia Lily usiadła i rozejrzała się po pokoju. Był tak kompletnie urządzone, jak to tylko możliwe. W kącie niskie, szerokie łóżko zasłane ciemnym, wzorzystym perkalą z Paisley; dwa fotele o konchowatych oparciach, kryte wystrzępionym, niebieskim brokatem – zbyt pięknym, aby go ukrywać – ustawione wygodnie naprzeciw siebie, pomiędzy nimi mały, okrągły stolik, manekiny, stoły robocze, sekretarzyk. Całość przeładowana, manieryczna i piękna, po prostu piękna.

Podeszła do stojącego przy łóżku telefonu i podniosła słuchawkę.

– Halo... to ja. Tak... Skończyłam urządzić pracownię, więc może wpadłabyś ją obejrzeć, oczywiście razem z Johnnym... Dziś wieczorem nie mam nic specjalnego do roboty... Ach tak, rozumiem. Jutro? Ależ skąd, Grace, nie ma sprawy... nie, nie przejmuj się. Masz mój numer?... Dobrze. Więc wszystko w porządku, tak? Świetnie. To na razie.

Spojrzała na swoje spoczywające na kolanach ręce, uniosła głowę. W wiszącym na ścianie, częściowo przesłoniętym ubraniami lustrze ujrzała swoje odbicie, okrojone tu przez mankiet, tam przez brzeg sukienki. Czy nie siedziała kiedyś przed laty tak jak teraz, w pokoju o bielonych ścianach, w gorącą, letnią noc? Czy nie podniosła głowy, aby poza swoim odbiciem zobaczyć inne? I co to takiego wtedy powiedziała? „Ona jest strasznie dumna, a najgorsze, że teraz chyba nie zgodzi się za ciebie wyjść...”. Potem cisza i ten głos: „Powtórz to jeszcze raz, Leely”. A potem wstyd. Teraz to wszystko skończone, to i cała reszta. Wszystko skończone.

Lily wybrała się do Muzeum Wiktorii i Alberta z jednym ze swoich nabytków z owego jednodniowego wypadu do Llandudno. Była to długa, galowa sukienka z ręcznie tkanego jedwabiu. Nacisnęła dzwonek na końcu galerii na pierwszym piętrze. Po krótkim oczekiwaniu lakierowane drzwi otwarły się i została wpuszczona do działu tkaniny, gdzie każdy mógł przynosić rzeczy do identyfikacji i wyceny. Lily była tu dobrze znana, często przynosiła coś interesującego. Powitała ją jej przyjaciółka Lea: dojrzała, krągła, niezbyt schludna niewiasta o nieprzebranej miłości i dogłębnej znajomości starej, zabytkowej garderoby.

– Co tam Lily, coś ładnego? Gdzie to znalazłaś?

– W Llandudno. – Lily ostrożnie odwinęła zabytkową suknię, rozkładając ją na mahoniowym stole, zajmującym całą długość sali. Przypominające tunel pomieszczenie miało półkolistą sklepienie, pod ścianami ciągnęły się rzędy wąskich, głębokich szuflad, w których każda sztuka garderoby mogła być płasko

rozłożona. Okien nie było, nie było czym oddychać.

– Boże święty... – wyszeptała Lea. – Czy ty wiesz, co znalazłaś?

– Nie. Co takiego?

– Chodź i zobacz. – Przeszły przez długi pokój, zatrzymując się przy jednej z szuflad. Lea otworzyła ją i ostrożnie wyjęła suknię z identycznego materiału, jak ta, którą przyniosła Lily, ale bardzo zniszczoną. Układając je obok siebie na stole, powiedziała: – Ten jedwab pochodzi z pracowni Anny Marii Garthwaite. Widzisz ten motyw? Poglądziła po mistrzowsku utkany wzór: delikatne kwiaty wdzięcznie rozrzucone na ażurowym tle. – Takie naturalne, jak żywe. To bardzo cenny egzemplarz i w doskonałym stanie, o wiele lepszym niż nasz. Oceniam to na tysiąc siedemset czterdziesty – czterdziesty piąty rok, nie wcześniej, bo ten styl wskazuje na wyraźny zwrot w jej pracach od ciężkich, barokowych materii w kierunku tej pięknej, naturalnej linii. Czy wiesz, że była niezamężna? Żyła w Spitalfields wśród hugenockich mistrzów tkackich. Niezwykłe w tamtych czasach i nic nadzwyczajnego dzisiaj, prawda? Samotna kobieta, w pojedynkę realizująca swoją karierę, swoje życie... Lily? Dobrze się czujesz?

Lily ścisnęła rękoma skronie, usiłując opanować zawrót głowy.

– Chyba przejdę się po korytarzu, łyknię świeżego powietrza.

– Oczywiście. Wszystko przez te emocje. To przecież okropnie ekscytujące. Dasz sobie radę?

– Tak. Zostań tutaj. Za chwilę przyjdę do siebie. – Zostawiła szczęśliwą Leę sam na sam z suknią i wyszła na chłodny korytarz. Z zamkniętymi oczyma przycisnęła czoło do zimnej szyby. Kiedy wirowanie ustało, spojrzała w dół, na wewnętrzny dziedziniec potężnej budowli.

Pośród kręcących się tu i tam ludzi, skulonych przed deszczem, który zaczynał właśnie padać z perłowo-czarnego nieba, stała kobieta. Deszcz nasilał się, ludzie przyspieszali kroku, a ona wciąż stała, nieporuszona, na środku, bez żadnej osłony przed deszczem. Przycisnęła kurczowo ręce do ust, rozglądając się w panice wokół siebie. To była Grace. Choćby Lily ruszyła teraz biegiem przez galerie, przez kondygnacje schodów – nim dotarłaby na dziedziniec, Grace już by tam z pewnością nie było, znikłaby gdzieś we wnętrzu muzeum. Stała więc bez ruchu, zahipnotyzowana, patrząc, jak mokre pasma rudych włosów przylepiają się do twarzy Grace, a ona obraca się wciąż w lewo i w prawo, najwyraźniej w cichej hysterii, dopóki z drzwi prowadzących do muzeum nie wybiegła mała dziewczynka, ubrana w niebieską pelerynę z kapturem, doskonale chroniącą przed deszczem. Dziecko podeszło z tyłu i dotknęło pleców kobiety. Ta odwróciła się gwałtownie,

przykucnęła, chwyciła dziewczynkę w objęcia i trwała tak, ściskając ją w ramionach, obojętna na deszcz.

– Nie sędzę, żebyś chciała to przekazać jako darowiznę?

Lily podniosła wolno oczy na Leę, uśmiechającą się tym lekko drwiącym uśmiechem, który pojawiał się u niej zawsze, kiedy podejmowała próbę wbrew rozsądkowi.

– Nie – Lily zmarszczyła czoło. – Nie, raczej nie... – powiedziała wymijająco.

– Wiesz, moglibyśmy to również kupić. Strasznie jesteś blada, Lily. Co się dzieje? Co wypatrzyłaś w tym oknie? Czy to deszcz? Zaczęło padać?

– Czy widzisz tam kobietę z dzieckiem albo samą kobietę? Bez płaszcza, bez żadnej osłony przed deszczem?

Lea skrupulatnie przeczesła wzrokiem dziedziniec: daleki, szary i nieciekawym, kiedy tu można było delektować się suknią Anny Marii Garthwaite.

– Jeżeli tam była, to już jej nie ma.

– Tak, nie ma jej. I dziecka też. Zatrzymaj na razie suknię, Leo. Wrócę tu po nią.

Po powrocie zadzwoniła do Grace. Zgłosiła się automatyczna sekretarka i Lily spodziewała się usłyszeć Grace, wygłaszającą, sztywnym i nienaturalnym głosem komunikat, który zawsze wywoływał uśmiech na jej twarzy: „Tu mówi Grace, ale nie ma mnie teraz w domu. Mimo to proszę coś powiedzieć, dobrze?”. Ale tym razem głos nie należał do Grace. „Mówi Johnny Cochrane. Informacje dla Grace albo dla mnie można zostawić po sygnale. Dziękuję”. Lily nie odezwała się. Wybrała inny numer.

– Larry? To ja. Twój smoking będzie na jutro gotowy do przymiarki. Pod moim nowym adresem, pamiętaj. Koło piątej? To do zobaczenia. – Znów podniosła słuchawkę. – Elizabeth? Tu Lily. Jutro skończę twoją suknię ślubną. Czy mogłabyś wpaść i odebrać ją w czwartek rano? Nie wymaga przymiarki. Masz mój adres? To świetnie. Cześć.

Przeszła się po pokoju, oceniając krytycznym spojrzeniem jego wygląd, poprawiając tu fałdę, tam pióro, puściła z płyty suit wiolonczelowe Bacha, zrobiła sobie kanapkę. Nagle przypomniała sobie, że jutro środa, dzień, kiedy odbiera Sebastiana ze szkoły. Razem wrócą tutaj, zjedzą podwieczorek, odrobnią lekcje, potem... ojej, nie ma telewizora. Nie pomyślała o tym. To nic, jeden dzień nie ma znaczenia. Przed weekendem sobie jakiś zorganizuje.

Rano harmider w jej głowie uspokoił się zupełnie, Lily była pełna energii. Zrobiła zakupy, wybierając to, co Sebastian najbardziej lubił na podwieczorek,

przede wszystkim czekoladowe eklery. Przed wyjściem po niego wróciła jeszcze, żeby nakryć do stołu.

Wciąż było bardzo wczesnie, więc drogę do szkoły pokonała pieszo, wyobrażając sobie, jak Sebastian zareaguje na jej nowe mieszkanie. Jako pierwszy gość był idealną osobą, zawsze wszystkiego ciekaw, zawsze entuzjastycznie nastawiony.

Stała przed szkołą, ciesząc się swoim widokiem, obserwując różne powitania, w miarę jak coraz to nowi chłopcy schodzili ze schodów, pierwsi jak zwykle najmłodszy. W końcu pojawiła się klasa Sebastiana. Znała tam wszystkie twarze i niektóre imiona. Dzisiaj nie było go wśród prowadzących, jak to się zazwyczaj zdarzało.

Ostatnia matka z synem opuściła szkołę.

– Do widzenia! – zawołała do Lily. – Coś Sebastian się dzisiaj guzdrze, prawda?

– Na to wygląda. Do widzenia.

Żona dyrektora skończyła nadzorować wyjście chłopców i podeszła do frontowych drzwi. Zwolniła mosiężny rygiel przytrzymujący skrzydło bramy i już miała ją zamknąć, kiedy dostrzegła Lily.

– O co chodzi, panno Teape?

– Dzień dobry pani. Sebastiana jeszcze nie ma.

– Mój Boże, Sebastian poszedł już dawno do domu z jednym z tych swoich bólów głowy. Nikt pani nie zawiadomił? To szkoda, tak mi przykro.

– Nic nie szkodzi, musiało zajść jakieś nieporozumienie. – Lily stłumiła złość, która ją w pierwszej chwili ogarnęła. – Znajdę go w domu.

Potem pojawił się strach, tak nieodłącznie związany z Sebastianem. Kiedy chłopiec złamał nogę, lęk ustąpił na jakiś czas, bo najgorsze już się stało, ale z czasem znów się zakradł – w każdej chwili mógł się przecież zdarzyć nowy wypadek. Ten ból głowy musiał być oczywiście wymyślony. Ale to się nigdy przedtem nie zdarzyło, nie w środę, w jej dniu. Na ulicy złapała taksówkę.

Lily nie była przygotowana na to uczucie wyobcowania, które ogarnęło ją, kiedy otworzyła bramę i zaczęła wchodzić po tak dobrze znanych schodach, po raz pierwszy jako osoba z zewnątrz. Upłynął zaledwie tydzień od jej wyprowadzki.

Dzwonek pozostał bez odpowiedzi. Nawet kiedy stało się jasne, że nikt jej nie otworzy, Lily dzwoniła nadal, jak ktoś, kto nie bardzo wie, co innego mógłby zrobić. W końcu przypomniała sobie, że ma własny klucz, i weszła do środka.

– Sebastian?

W kuchni dał się słyszeć jakiś ruch. Lily podeszła do drzwi i zobaczyła sprzątaczkę w obcisłych narciarskich spodniach i głęboko wyciętej sportowej koszulce, zajętą szorowaniem kuchenki. Jej bujne włosy barwy mosiądzu były związane z tyłu kawałkiem czerwonego szyfonu.

– A to pani, dzień dobry – powiedziała, ledwie podnosząc wzrok znad roboty.

– Dzień dobry. Dlaczego nie otworzyła pani, kiedy dzwoniłam?

– Sto razy mówiłam Oliverowi i Melissie, że nie będę otwierać drzwi. Podpisy, informacje do przekazania i tak dalej, człowiek zaraz siedzi w tym po uszy. Ja jestem tutaj po to, żeby sprzątać, i to właśnie robię.

– Sebastiana chyba nie ma, prawda?

– Był, ale wyszedł jakiś czas temu.

– Dokąd?

– Poszedł z tym panem Cochrane'em od pani Teape. Mówił coś o jego pracowni.

– Żadnej wiadomości? Nic?

– Mnie nic nie przekazywał.

– Więc czuł się dobrze, żadnego bólu głowy ani nic takiego?

– Żywy jak iskra, jak zawsze. Dokazywał z tym Johnnym Cochrane'em, aż miło było patrzeć. Kochany chłopiec, prawda?

– Tak, słodki – powiedziała Lily takim tonem, że sprzątaczką przerwała pracę i przyjrzała się jej uważnie.

Radosny nastrój oczekiwania ulotnił się całkowicie. Lily poszła na górę. „Grace!” – zawołała, kiedy znalazła się w mieszkaniu, chociaż wiedziała, że nikogo nie ma.

Ostatnią rzeczą tutaj, która wciąż niosła z sobą powiew dawnego życia, był do niedawna zapach wełnianych dywanów i świeżych kwiatów. Teraz i to znikło, unicestwione przez czarną, gumową wykładzinę, która pojawiła się w przedpokoju, wydzielając swoje własne, przemysłowe wyziewy.

Otworzywszy z wahaniem drzwi do swojego pokoju, Lily stwierdziła, że istotnie nic się tu się nie zmieniło, tak jak jej to obiecali. Usiadła na łóżku i rozejrzała się wokoło. Miejsce wyglądało teraz na opuszczone i Lily uświadomiła sobie, że zabrała ze sobą wszystko, co należało do mieszkającej tu tak niedawno kobiety, pozostawiając jedynie pokój małej dziewczynki, którą była kiedyś: tu zabawki, tam książeczki, a w szafie na ubrania, pomiędzy szkolnymi sukienkami i plisowanymi spódniczkami, sukienka z Marbelli, umieszczona z powrotem na swoim miejscu, jak wszystko inne, co należało do przeszłości.



Nie zaglądając do innych pokoi, wyszła z mieszkania, wsiadła do metra i tam, pomimo hałasu i ścisku, mimo przepychanek i uprzejmych „przepraszam” znów ogarnęła ją ta sama, dojmująca pustka.

Kiedy Lily dotarła do domu, Larry siedział beczynnie w fotelu z wyciągniętymi, skrzyżowanymi nogami. W rękę trzymał czekoladowego eklera. Pociągając cygaro, studiował jej skonsternowany wyraz twarzy.

– Twoja gospodyni mnie wpuściła. Rozumiem, że te ciastka są dla mnie?

– Czemu nie? Prawdę mówiąc, zapomniałam, że masz przyjść. Cieszę się, że zaczekałeś.

– Teraz i ja się cieszę. Zawsze to przyjemność na ciebie popatrzeć, Lily. Chociaż dzisiaj wyglądasz na trochę przybitą.

– Nieważne.

– Nie mów mi, że ktoś w końcu zdobył twoje serce.

– Nic z tych rzeczy. Po prostu jestem w dołku, to wszystko. Chodź, zrobimy tę przymiarkę.

– A więc niezależność, nareszcie – powiedział, przechadzając się przed wielkim, stojącym lustrem. W rękę trzymał laskę z rączką z kości słoniowej. – Czy wychodzisz czasem z domu? – zapytał Lily, która podeszła z tyłu ze szpilkami. Bawisz się? Robisz użytek ze swojej wolności?

– W mojej wolności nie ma nic nowego. Odnoszę wrażenie, że mam ją od dawna.

– Tak, ale teraz nie ma Grace, która by się o ciebie troszczyła, martwiła, kiedy wrócisz do domu, i tak dalej.

Nie było sensu go oświecać, więc powiedziała tylko:

– Moje życie będzie wyglądać bardzo podobnie jak do tej pory. To mi odpowiada. – Przykucnęła, żeby podłożyć dół.

– Takie życie to bezsens. Zapraszają cię, a ty odmawiasz. Czy masz w ogóle jakichś bliskich przyjaciół oprócz Sebastiana?

– Mnóstwo. Choćby ciebie – powiedziała, chcąc zbić go nieco z tropu.

– Gdybyż to była prawda, Lily. Ja jestem twoim przyjacielem, wiesz o tym. Ale co z tobą? Ty niczego od siebie nie dajesz. Pomyśl o wszystkich moich smakowitych zwierzeniach. A co ja wiem o tobie?... („Widzisz, nie jesteś zbyt rozmowna. Nie wydaje mi się, żebym ciebie znał”).

– Czy potrafisz kochać, Lily? Chciałbym to wiedzieć. Czy w twoich żyłach płynie krew, czy stalowa rzeka krawieckich szpilek? Skończysz jako samotnik, kiedy cała reszta świata trzyma się parami za ręce... („I martwię się, żebyś nie była

sama"). ...Jesteś młoda, piękna, ciesz się tym. Przestań marnować czas. („Zacznij żyć, skarbie, co? Pozwól sobie na trochę przyjemności. Przynies swoje serce z powrotem z plaży”).

– Możesz to zdjąć.

– Co? – Spojrzał na nią, przykucniętą na piętach u jego stóp.

– Smoking, oczywiście. Jeśli zaczekasz, to go zaraz wykończę.

– Czy w ogóle mnie słuchałaś?

– Tak. A przy okazji: co sądzisz o Johnnym?

– Podoba mi się. Uśmiełem się przy nim. Jest autentyczny.

– Podlizywał ci się.

– Ach, więc o to chodzi.

– O co?

– Jesteś zazdrosna, tak? – Obserwował przez chwilę, jak odwraca głowę zdecydowanym ruchem, po czym schylił się i uniósł jej twarz ku sobie. – Co to, Lily, łyzy? Przepraszam. Nie chciałem cię urazić. Co się z tobą dzieje? Zupełnie cię dziś nie poznaję.

– Nie jestem zazdrosna. Umiem się bawić. Potrafię kochać. Po prostu życie towarzyskie nie jest moją mocną stroną. Nie odpowiada mi to.

– Cóż, powoli się nauczysz. Chodźmy gdzieś dzisiaj razem wieczorem, zabawisz się trochę.

(„Gdybyś była wciąż mała, nie pozwoliłabym ci odejść”).

– Dobrze, pójdę. – Choć dalej było w nim coś nieuchwytnego, odpychającego, co sprawiało, że do tej pory nie dała się namówić na wspólne wyjście.

Larry rozglądał się po pokoju, kiedy Lily wykańczała dół smokingu.

– Chyba od razu się w niego ubiorę. Idealny do tego wszystkiego, prawda? – Wskazał ruchem dłoni swoją koszulę z miękkim kołnierzem, różową satynową kamizelkę, rurkowane spodnie i lakierki.

– Idealny – potwierdziła bez namysłu, nie podnosząc oczu.

– A ty mogłabyś włożyć to. – Uniósł wiszącą na ścianie sukienkę Fortuny z zielonego jedwabiu.

– To trochę przesada jak na szybką kolację, kino czy coś w tym rodzaju.

– Kino czy szybka kolacja to nie mój styl, Lily, powinnaś to wiedzieć. Zabieram cię, żebyś poznała paru interesujących ludzi – ludzi, którzy docenią, że masz na sobie coś oryginalnego. Więc skończ szybko ten smoking i ubieraj się. („Ubieraj się, kochanie. Zobaczymy się na dole”).

Do obcisłej, sięgającej ziemi sukni Fortuny Lily dodała stosowny, teatralny

makijaż: posępną, czarnooką, czerwonoustą maskę. Uzyskany efekt sprawił jej satysfakcję. Wyglądała niczym widmo, zabłąkane tu z jakiegoś weneckiego pałacu. Larry też dotknął tu i ówdzie swojego makijażu: oczy, usta, odrobina białego pudru.

Okryta peleryną z jedwabnego aksamitu koloru nocnego nieba Lily schodziła za Larrym po schodach. W holu zaczęła ich Gili.

– Boże drogi! Co wyście z siebie zrobili?

– Zabieram pannę Teape do miasta, moja dobra kobieto, żeby się trochę zabawiła – powiedział Larry. – Żeby mogła być sobą. Co według mnie znaczy: być młodą i piękną. Jak mówi piosenka: „*Keep young and beautiful if you want to be loved*”\* – zaśpiewał nieczystym falsetem.

Gili, ze skrzyżowanymi ramionami, w pierwszej chwili przyjrzała się Larry'emu spod oka, oceniając go raczej sceptycznie, ale kiedy zanucił ten refren, odwróciła się, spojrziała w dal i powiedziała:

– Tak, coś w tym jest. – Rzuciła okiem na Lily, spodziewając się ujrzeć twarz ożywioną perspektywą dobrej zabawy, ale

\* *Zachowaj młodość i urodę, jeśli chcesz być kochaną* – refren piosenki z lat trzydziestych, wykpiwającej upiększające zabiegi i praktyki (przyp. tłum.).

pod maską makijażu zobaczyła tylko ukryte napięcie i niepewność. To nie było w porządku i Gili zrobiło się jej żal. – Hej! – zawołała. – Słuchaj, co ci powiem. Wyglądasz naprawdę pięknie, a on ma rację: powinnaś się bawić, mieć trochę przyjemności, kiedy jesteś młoda. Wyglądacie jak para upiorów, jeśli chcesz wiedzieć, bardzo atrakcyjnych upiorów. Idźcie, spotkajcie się z innymi upiorami i bawcie się dobrze. Bóg widzi, że wszystkim nam by się to przydało.

To ambiwalentne błogosławieństwo dodało Lily nieco otuchy. Poczwała, że być młodą i bawić się, jeśli to miało być dzisiaj jej celem, to może mimo wszystko nie taka zła rzecz.

Wysiedli przed budynkiem o kamiennej fasadzie, przy końcu kiepsko oświetlonej ślepej uliczki. Drewniane, nabijane ćwiekami drzwi z wysokim, kamiennym gankiem wychodzącym prosto na wąski chodnik, bez trawnika czy ogródka, nadawały temu miejscu wyraz nieoczekiwanej dominacji nad otoczeniem.

Czerń okien, podzielonych kolumnkami na mniejsze segmenty, była tak absolutna, że bardziej niż pustkę sugerowała coś przeciwnego: jakieś ukryte, tajemnicze życie, jakąś potężną zaporę przed światłem dnia, światłem księżyca, ludzkim wzrokiem.

Larry podniósł masywną kołatkę, opuszczając ją tylko raz, po czym stanął

tyłem do drzwi, patrząc w milczeniu na Lily z pewnym siebie wyrazem twarzy. Po chwili, wystarczająco długiej, by uznać, że gospodarzy nie ma w domu, drzwi otwarły się i zostali wpuszczeni do środka. Lily nie odwróciła się, żeby popatrzeć, kto im otworzył, bo natychmiast wziął ją w posiadanie świat bez daty. Na zewnątrz nie było już nocy, nie było Anglii – dom zawieszony był w jakiejś umownej, istniejącej poza czasem przestrzeni i godzinie, odcięty od świata, ciepły i samowystarczalny niczym łono.

Wewnątrz była nieoczekiwana przestrzeń i rozmach, olbrzymie pokoje ciągnęły się jeden za drugim, schodek w górę, dwa schodki w dół, bez wyraźnego architektonicznego rytmu. Larry poprowadził ją korytarzem o ścianach pełnych ciemnych obrazów w srebrnych ramach. Otworzył jakieś drzwi, a kiedy zamknął je za nimi, zapadła ciemność. Przez chwilę szamotali się z wełnianą tkaniną, zawieszoną po drugiej stronie. Szturchali i odpychali miękką materię, przez którą przesączały się odgłosy stłumionej wesołości. Ponieważ nikt ich oficjalnie nie wprowadził, incydent miał efekt towarzyskiej kabiny dekompresyjnej, bo kiedy w końcu, z klekotem drewnianych kółek, Larry zdołał odsunąć zasłonę na bok, Lily poczuła się dostrojona do pograżonego w półmroku pokoju.

Częściowo oświetlały go osadzone na drewnianych stojakach gotyckie lampy z pergaminowymi abażurami, częściowo ogień buzujący na wielkim, węglowym kominku. Stały tu masywne meble i olbrzymie, kruche kompozycje z suszonych kwiatów, które czas uwolnił od nazwy i pory roku, sterczące sztywno z wielkich, mosiężnych urn. Jeżeli były tam jakieś okna, to niewidoczne za okrywającymi ściany gobelinami.

Ponad kominkiem, górując nad niemal całą przeciwległą ścianą, widniało malowidło naturalnej wielkości, na którym młody mężczyzna szedł polem barwy umbry za parą koni zaprzęzonych do pług. Werniks, pokrywający ten orszak uprzęży, stalowych okuć i rozwianych grzyw, był tak pociemniały, że cała scena pograżała się w nienaturalnej poświacie, przypominającej zachód słońca po katastrofie atomowej.

Trudno ocenić, ilu ludzi znajdowało się w pokoju, bo udzielali się towarzysko w różnym stopniu, ale tym, co uderzało, był wyraźnie ściszony, przytłumiony ton ich głosów. Stroje były w najróżniejszym stylu, jednak wszystkie na tyle oryginalne, że kreacje Larry'ego i Lily nie wydawały niczym szczególnym. Stali w grupach lub pojedynczo, jedni pili, inni rozmawiali, ktoś śpiewał przed audytorium złożonym z dwóch osób, dziewczyna w czarnym trykocie ćwiczyła „koci chód”, nieobserwowana przez nikogo.

Nad całym zgromadzeniem unosiła się aura odwiecznego ruchu, jak gdyby nie było tu początku – lub był kiedyś, w odległej przeszłości – i nie miało być zakończenia, jedynie niekończąca się improwizacja. Mimo to ogień na kominku był podtrzymywany, talerze z delikatesami znajdowały się pod ręką, tace czystych szklanek, butelki wina i wódki, wszystko to podporządkowane było niewidzialnej choreografii, rządzącej całą imprezą.

Nikt nie zareagował na ich wejście. Larry podał Lily szklankę wina, drugą wziął sobie. Wmieszali się w tłum, gdzie wszyscy wydawali się znać Larry'ego i traktowali go, jak gdyby był tu przez cały czas. Wobec Lily nie byli ani zbyt chłodni, ani zbyt serdeczni. Ten wystylizowany tłum po prostu przyjmował jej obecność do wiadomości.

Stała tak mniej więcej przez pół godziny, robiąc różne błahe uwagi, przysłuchując się innym, chłonąc wzrokiem ekscentryczne otoczenie, stopniowo się w nim asymilując. Machinalnie pokręciła antyczny globus, stojący na podłodze. Kiedy natrafiła na Afrykę, przypomniała sobie wiadomość, której nigdy nie zobaczyła: „Wyjechałem do Afryki”. Oliver nie wspominał więcej o swojej chorobie, zatem nie mogło to być nic poważnego. W tym momencie pojawił się pierwszy znak, że rzeczywistość zaczyna się rozpadać. Kiedy zdjęła rękę z tego starego świata, Afryka pozostała na niej, topniejąc pomiędzy palcami. Rozejrzała się szybko wokół siebie, czy jeszcze ktoś widzi, jak wielki kontynent skapuje z jej dłoni. W tym momencie zaczął się powolny ruch i chwilę później poczuła, że najzupełniej dosłownie wychodzi z siebie.

Lily ujrzała, jak jej jasnozielona postać rozmawia z dwojgiem nieznanym: mężczyzną o mozartowskiej aparycji i dziewczyną z różowymi włosami. Zobaczyła, jak pociąga łyk ze szklanki i jak gestykułuje, demonstrując jakiś szczegół swojej sukni. Jej świadomość wciąż pozostawała na zewnątrz ciała i ponowne złączenie ich w całość wymagało manewru, którego nie była w stanie wykonać. Było to przerażające, ale mechanizm strachu w tej chwili u niej nie funkcjonował. Co najbardziej zdumiewające – bo wszystko, czego w tej chwili pragnęła, to wyjść – jej ciało przez cały czas przemieszczało się pomiędzy ludźmi, wygłaszając jej własnym głosem rzeczy, których nie spodziewała się powiedzieć. Jeżeli świadomość może marszczyć brwi, jej świadomość robiła to teraz, gdyż Lily widziała siebie taką, jaką widzieli ją inni. Jakaż była spokojna i pewna siebie, jaka chłodna i nieprzystępna. W końcu udało jej się znaleźć sposób, by wejść z powrotem w swoje ciało, ale nie potrafiła pozostać w nim na dłużej. W chwili gdy stanowiła jedną całość, chwyciła Larry'ego za ramię.

– Pomóż mi, Larry. Coś ze mną nie tak. Źle się czuję. Chcę wyjść. – Jego twarz zamajaczyła bardzo blisko i to coś, nieuchwytnie i odpychające, nie było już teraz nieuchwytnie: był szczurem o ostrych zębach, łapczywym i drapieżnym.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział. – Po prostu wyluzuj się, nie walcz z tym, pociągnij następny łyk. – Zwracając się do kogoś innego, powiedział na tym samym oddechu: – To jest Lily Teape, którą obiecałem przyprowadzić.

W polu widzenia pojawiła się wysoka, czarnowłosa kobieta o surowej urodzie kamei. Miała na sobie obcisłe spodnie z fioletowej satyny i pod czarną, szyfonową bluzą była naga. Uśmiechając się, wyciągnęła smukłą rękę i dotknęła twarzy Lily.

– Pijesz wino, to dobrze. Będziesz się cudownie czuła, zobaczysz.

Swoją oddzieloną jaźnią Lily ujrzała, jak robi coś, czego właśnie instynktownie zrobić nie chciała: pociąga następny łyk ze szklanki. Kobieta chwyciła jej rękę i położyła ją na swojej piersi, pod czarnym szyfonem. Mobilizując to, co pozostało jej z przytomności umysłu, Lily wyrwała rękę i uczyniła wysiłek, żeby połączyć w całość ciało i umysł.

W chwili sukcesu uświadomiła sobie, że nie pamięta, kiedy tu przyjechała, i nie może przypomnieć sobie momentu, kiedy nie знаła tych twarzy, które nabrały jakiejś groteskowej swojskości. W przypiływie szaleństwa zaczęła szarpać gobeliny okrywające ściany w poszukiwaniu wyjścia. Skądś napłynęły chłodne, rzeczowe głosy: „Ona chyba chce wyjść”. „Czy już się jej to wcześniej zdarzało, Larry?”. „Nie wygląda to dobrze”. „Niech ją ktoś stąd zabierze”.

Znalazła się sama, chłostana przez zimny wiatr i deszcz, na nieprzyjaznej ulicy pośród czarnej krepy nocy. Momentu wyjścia nie było. Potem gorące wnętrze samochodu, a wokół oślepiająca feeria świateł. Znów brak świadomości momentu przyjazdu, tylko kolejny obraz: leży na swoim łóżku, zna tę narzutę z Paisley, zaciska na niej dłoń z uczuciem ulgi. Leżała tak przez jakiś czas, obserwując niesamowitą i zachwycającą scenę: jej kolekcja ubrań zeszła ze ściany i ożyła. Ubrania wirowały, przeginały się, wykonywały dworskie ukłony, a od czasu do czasu pochylały się nad nią z czułą troską. Żakiet Schiaparelli fikał koziołki i tańczył z manekinem. Lily zaczęła się śmiać. Śmiała się tak i śmiała aż do chwili, kiedy nagle, bez ostrzeżenia, opuściła ją przytomność umysłu.

Po przebudzeniu Lily nie otworzyła oczu, choć opuściła pogmatwany świat snów, które wciąż wędrowały przez jej obolałą głowę. Wciągnęła w płuca powietrze, sztywne od stęchłego zapachu wczorajszej hulanki. Nie wszystkie ułamki zdarzeń, napływające do jej świadomości, były rodem ze snu: te najwyrazistsze, najokropniejsze, sceny zdarzyły się naprawdę, wiedziała o tym. Gdyby otworzyła teraz oczy, ktoś z nocnych nieznanym mógłby wciąż jeszcze kulić się nieprzytomny na podłodze. Leżała więc, zastanawiając się, co tak podzwania, cicho i niezbyt melodyjnie, dopóki ciekawość nie kazała jej uchylić powiek.

W głowie miała nieprzytomny zamęt. Z szeroko otwartymi oczyma, nie unosząc głowy, nie wykonując żadnego ruchu, patrzyła na pokój, któremu poświęciła tyle czasu i starań. Wszystko było przewrócone do góry nogami, jeden fotel leżał na boku, drugi, zajmował rzucony w poprzek manekin, teraz rozebrany. Na stołach krawieckich stopy szklanek i butelek, potłuczonych i powywracanych. Jedna zasłona leżała na podłodze. Światło zalewające pokój było przez to nadszpiewanie jaskrawe.

Ale było coś jeszcze, oprócz bałaganu i zaduchu – pokój sprawiał teraz wrażenie pustki i wyludnienia. I nie bez powodu: ściany były nagie, porozwieszane na nich ubrania znikły. Nie było liberii lokaja, zakietu Schiaparelli, zostały tylko szkielety druczianych wieszaków, podzwania jacy eh, każdy na inną nutę, w powiewie rannego powietrza wpadającego przez otwarte okno.

Lily usiadła na łóżku. Było jej niedobrze, pasmo bólu przebiegało od szyi aż do żołądka. Kiedy podniosła się chwiejnie na nogi, odkryła, że wciąż ma na sobie zieloną, jedwabną suknię Fortuny, wymiętą i poplamioną. Jej dobytek leżał wokoło, powywlekany i porozrzucany niczym rumowisko. Na czworakach zaczęła szukać ubrań, których skompletowanie zajęło jej sześć lat. W końcu rozplakała się, z głową opartą na poplamionym, poznaczonym papierosami stole do prasowania. Wypłakiwała swoją bezsilność i nieutulony żal, dopóki nie poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia.

– Lily? Lily, kochanie? – W głosie brzmiała niepewność, czy to rzeczywiście ona. To była Grace: czujna, zatroskana i świeża, jakby była nieodłączną częścią tej porannej godziny. Lily nie zmieniła pozycji: skulona, z głową ukrytą w zgięciu



łokcia. Ostrożnie odsuwając jej włosy, aby zobaczyć chociaż kawałek jej twarzy, Grace zapytała: – Co się stało, kochanie? Ten cały bałagan. I ty?

– Popatrz, co zrobili z mojego domu, Grace.

– Kto?

– Nie wiem.

Od strony drzwi dobiegł głos Gili:

– Przegoniłam stąd zeszłej nocy około tuzina. Usłyszałam harmider, więc przyszedłam na górę. Myślałam, że urządza przyjęcie, ale jak zobaczyłam, że leży nieprzytomna na łóżku, zrobiłam z tym porządek. Luksusowe towarzystwo. Ale paskudne, wie pani, nieprzyjemne. Wszyscy wystrojeni, a zaśmiewali się do rozpuku. Rzuciłam okiem na Lily, czy wszystko z nią w porządku. Nie chciałam, żeby się zachłysnęła czy coś takiego. Wyglądała normalnie, więc ją zostawiłam.

Z głową wciąż opartą na stole, Lily odwróciła twarz w jej stronę i zapytała:

– Czy mieli na sobie moje rzeczy? – Ale Gili nie знаła jej kolekcji. – Był ktoś w żakiecie z motywem cyrkowym na guzikach?

Na chwilę zapadła cisza, ciężka od wymienianych spojrzeń. Wreszcie Gili powiedziała wyrozumiale:

– Nie widziałam guzików, skarbie.

– A jasnoróżowy żakiet?

– Był. I dziewczyna w męskim mundurze, w takim staromodnym. I różne takie.

Lily zaczęła dygotać, więc Grace razem z Gili zaprowadziły ją z powrotem do łóżka, po czym Gili wyszła z pokoju. Johnny Cochrane stał w drzwiach z rękami w kieszeniach, patrząc dyskretnie na swoje buty.

– Co się stało, że przyszliście? – zapytała Lily, niezadowolona z ich obecności.

– Było nam przykro, że nie mogliśmy wpaść wczoraj wieczorem ani poprzedniego dnia. Robiłaś wrażenie przybitej i martwiliśmy się o ciebie. Pani Gregor wpuściła nas do środka. Co to byli za ludzie? Musiałaś ich znać.

Lily opowiedziała o Larrym, o tym, jak przyjechali w jakieś miejsce i jak potem dziwnie się czuła.

– Pijana? Byłaś pijana? – chciała jej pomóc Grace.

– Nie, prawie nic nie piłam. Szklanek wina, nawet mniej.

Kiedy opisała swoje rozdwojenie, zachowując dla siebie scenę z topniejącą Afryką, Johnny wydawał się poruszony.

– Dokąd ten alfons cię zabrał, Lii?

– Znasz tę ślepą uliczkę niedaleko King's Road?

– A, więc byłaś u Mony. Tak myślałem – rzucił. – Dali ci kwas, na to wygląda.

– Kwas? – Grace objęła Lily, chroniąc ją przed wymową tego słowa. – Narkotyki? O to ci chodzi? To nie Lily. Ona nie bierze narkotyków, Johnno.

– Nie, laleczko. Dostała w winie, nawet nie wiedziała. Dla kawału. Chore towarzystwo.

– Skąd ich znasz?

– Cóż, poobracasz się trochę w artystycznym świecie Londynu i prędzej czy później trafisz do Mony. Banda pozerów, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– I ukradli kolekcję Lily?

– Nie, nie ukradli. Niby pożyczyci, taki psikus, założę się. Usiadł na brzegu łóżka, wziął Lily za rękę. – Słuchaj, dostanę te rzeczy z powrotem. Może mi to zająć dzień lub dwa, ale wytropię ich przez tę starą lesbijkę, Monę. Daj mi listę tego, co zginęło, i znikam.

– Wszystko. Dosłownie wszystko – powiedziała Lily, na której jego propozycja nie zrobiła większego wrażenia. Nie wierzyła, że Johnny coś wskóra. Wszystko to był popis dla Grace.

– Co konkretnie? Ten strój lokaja, jak mu tam, z małymi lwami. Podobał mi się, pamiętam.

Grace sporządziła listę przy chaotycznej pomocy Lily i wręczyła kartkę Johnny'emu, który przestudiował ją i uściślił kilka szczegółów. Nie podnosząc wzroku, uściśnił rękę Lily.

– W porządku, Lii, będę leciał.

– Lily – powiedziała stanowczo, odwrócona do ściany.

Nie wypuścił jej ręki, ale gdy odwróciła się w końcu, jej wzrok napotkał jego pytające, urażone spojrzenie. Wyraz jej twarzy zmienił się nieznacznie, łagodząc nieco twardy ton głosu. Miała ochotę dać mu nauczkę bez słów za wczorajszy wypad z Sebastianem, ale jego widok ją rozbroił.

– Jestem Lily, nie Lii – powiedziała ze spuszczonym wzrokiem, oddając mu słaby uścisk, niemal zawstydzona teraz swoim uporem.

Uśmiechnął się i puścił do niej oczko.

– Jasne, że Lily. Masz rację, dziewczyno. Słuchaj Lily, zajrzyj dziś po południu, tak koło czwartej, do mojej pracowni. Zobaczymy, czy uda mi się coś znaleźć. – Podeszedł do Grace, która przyglądała się im uśmiechnięta, pochylona do przodu, z rękami opartymi na kolanach, wymownie, acz milcząco zagrzewając ich do przyjaźni. – A z tobą, piękna pani – powiedział, dotykając jej włosów, jak gdyby igrał z doskonałością – z tobą zobaczymy się wieczorem.

– Czy mu się uda? – zapytała Lily, gdy wyszedł.

– O tak, poradzi sobie. Na pewno.

– To miło, że zawraca sobie głowę.

– Ależ on to robi bardzo chętnie, naprawdę. To w jego stylu.

– Na pewno. To wspaniałe, Grace.

– Co takiego?

– Że go znalazłaś. – Lily pragnęła wyrwać się z izolacji, w jakiej zamknęła się dobrowolnie w ciągu ostatniego tygodnia. Chciała być razem z nimi w ich szczęściu. Do diabła z Lily sceptyczką.

– Dzięki, Lily! – Grace pochyliła się konfidencjonalnie. – Nigdy nie zgadniesz.

– Zagryzła dolną wargę, rozradowana, i Lily zaśmiała się autentycznym, choć słabym śmiechem.

– Dalej, Grace. Co takiego?

– On wie, ile mam lat.

– Niemożliwe.

– Tak. Nie mam pojęcia skąd. Ale dał mi do zrozumienia, że wie i że wszystko jest w porządku.

Teraz Lily śmiała się już głośno i Grace odsunęła się nieco, patrząc na nią z satysfakcją.

– No widzisz, kochanie, wiedziałam, że potrafię poprawić ci humor. – Dobrze – ciągnęła, zmieniając całkowicie nastrój i wyraz twarzy: – Po co to wszystko? Dlaczego Larry? Całkiem słusznie unikałaś zadawania się z nim do tej pory. Biedna Angela, nawet ona przyznaje, że to kawał nicponia. Nie rozumiem cię, Lily.

– Próbowałam być młoda. Wyjść z domu. Bawić się jak inni. – Gdyby przyznała, że dała się wywieść w pole, Grace poczuwałaby się do winy.

– A narkotyki? Czy wszystko ma się znowu powtórzyć? Czy tak, Lily? Widziałam, jak twoja matka stacza się coraz niżej, jak jej umysł się rozpada, skóra i włosy niszczej. Od rana do wieczora jadła tylko lody. Tak się kiedyś przyjaźniłyśmy. Tyle radosnych chwil przeżyłyśmy razem! To przez nią poznałam Michaela. Kochałam ją, chociaż prawie to uniemożliwiała. Usiłowaliśmy pomóc jej zwalczyć nałóg. Kiedyś znalazłam ją koło ubikacji. Przedawkowała. Bóg jeden wie, jak długo tam leżała. Zabrałam ją, zawiozłam do szpitala. Wyglądało na to, że doszła do siebie. Wysłaliśmy ją na nieprawdopodobnie drogą kurację. Tydzień po wyjściu ze szpitala była z powrotem na narkotykach. One zmieniły jej osobowość – stała się przebiegłą, nieuczciwa, okradała Michaela i mnie. – Grace mówiła w stronę okna, nieba, ulicy. Teraz odwróciła się gwałtownie, w jej głosie brzmiała gorycz. – Czy tak samo ma być teraz z tobą? Czy będę wyciągać cię z cuchnących

latryn, wyciągać tylko po to, żebyś miała do mnie pretensje? A ludzie powiedzą: „Czego się można było spodziewać po wychowaniu Grace Teape?”. I być może będą mieli rację.

Uniesiona na łóżku, Lily wpatrywała się w Grace. Nigdy dotąd nie musiała się usprawiedliwiać. Nigdy nie zdarzyło się jej zranić Grace. Tak wiele chciała wyrazić, ale słowa nie przychodziły, aż wreszcie powiedziała:

– Byłam w dołku, przygnębiona. Wybacz mi.

– Nie... nie, nie „wybacz” – mamrotała Grace. – Nie w tym rzecz, kochanie...

– Jeden błąd i już mnie potępiasz? Jeden raz, Grace. Czy to sprawiedliwe?

– Jeszcze nie rozumiesz? Tu jeden raz wystarczy! – niemal wykrzyczała Grace w odpowiedzi.

– Nie jestem narkomanką i nie będę. Popełniłam błąd. Więcej tego nie zrobię, przyrzekam.

– Czy ja nie narobiłam dosyć błędów za nas obie? Czy nie możesz się uczyć na moich? I swojej matki? Nie, w życiu tak nie jest, prawda? Mam wezwać lekarza, kochanie, upewnić się, że wszystko w porządku?

– Nie trzeba, jestem tylko zmęczona i trochę rozbita. – Położyła się z powrotem na łóżku i zamknęła oczy.

Lily odpoczywała, a Grace zaparzyła kawę i zaczęła przywracać pokój do porządku. Krzątała się, ustawiając meble, zbierając szklanki, kiedy pojawiła się Elizabeth. Mała Elizabeth, wdzięczna i świeża jak przebiśnieg, zaledwie osiemnastoletnia i już wkraczająca w małżeńską krotoczwilę. To dla niej Lily wynalazła wiktoriańską suknię ślubną w rustykalnym stylu.

– Co się tu stało? – zapytała swoim melodyjnym, lekko sepleniącym głosem, wciąż jeszcze niemal dziecko.

Na myśl, że i ta suknia musiała zniknąć wraz z całą resztą, Lily, której nerwy były kompletnie rozstrojone, odwróciła się do ściany i zaczęła szlochać. Ale Grace powiedziała jasnym głosem:

– To nic takiego. Lily urządziła parapetówkę i jest trochę zmęczona.

– Przyszłam po moją suknię.

– Ach, tę śliczną muślinową, oczywiście. Zaraz, zaraz zobaczymy... – powiedziała Grace, jak gdyby znajdowały się w butik i wszystko było na podorędziu.

– Nie ma jej, Elizabeth. Ukradli ją, razem ze wszystkim.

– Co takiego? – Elizabeth była przerażona.

– Nie słuchaj jej – powiedziała Grace. – To suknia ślubna, więc musi gdzieś

tutaj być. Rozejrzyjmy się.

Elizabeth usiadła ze spuszczoneymi oczyma, niejasno pojmując, co się stało.

– Co ja teraz zrobię? Nie ma czasu, żeby postarać się o inną suknię. – Zlustrowała pokój, z Lily leżącą na łóżku, plecami do niej. Więc to była Lily Teape? Niewykapana, skacowana, z włosami w strąkach, w tym łachmanie? Miała zamiar zwierzyć się jej w pewnej sprawie, podbudować się nieco – to był drobiazg, nic istotnego, ale przyjemnie byłoby zwrócić się z tym do Lily, bo była taka dojrzała, miała w sobie tyle mądrości życiowej. Można było rozmawiać z nią o rzeczach, o które człowiek by nie zapytał własnej matki. Kto by pomyślał, że tak to będzie wyglądać, kiedy rozpocznie życie na własną rękę.

W trakcie poszukiwań Grace przywróciła pokój do ładu i nie okazało się to aż takie trudne. Nic oprócz szklanek i butelek nie było zniszczone. Kiedy zasłona została z powrotem zawieszona, sprzęty ustawione na swoich miejscach, a pokój wywietrzony, wszystko wróciło mniej więcej do poprzedniego stanu, oczywiście z wyjątkiem kolekcji, która zniknęła – pięknych kreacji, cichych towarzyszy Lily.

– A więc – powiedziała Elizabeth – nie ma sukni ślubnej.

– Chwileczkę, chwileczkę. Musi gdzieś być, jestem tego pewna – powiedziała Grace. – Pewnie jest gdzieś schowana, żeby się nie zakurzyła. Jeśli tak, to jest szansa, że ją znajdziemy. – W nagłym przeczuciu podeszła do białolakierowanej szafy w kącie pokoju. Otworzyła drzwi i... niczym duch przyłapany na zabawie w chowanego, ukazał się nieprzejrzysty muślin sukni ślubnej z wszystkimi kwiatami i falbankami.

– Popatrz, Elizabeth – zaśpiewała Grace w stronę drobnego dziewczęcia, które usiłowało opanować przygnębienie.

Elizabeth uniosła bladą twarzyczkę i zobaczyła suknię.

– A więc jest tutaj. Była tu przez cały czas. Wiedziałam, że ona by mnie nie zawiodła.

– Oczywiście, że nie. Nie Lily. Nigdy w życiu – powiedziała Grace.

Mimo to Elizabeth, przepełniona wdzięcznością, opuściła z pośpiechem mieszkanie.

Grace w dalszym ciągu składała jedwabne szale, dobierała parami rękawiczki, poprawiała meble, aż w końcu nic więcej nie pozostało do zrobienia. Wtedy wyjęła z torebki gazetę i usiadła, aby ją przerzucić, kierując od czasu do czasu znacznie uważniejsze spojrzenie na Lily. Upłynął jakiś czas i Grace zapytała w końcu:

– Jak się czujesz?

– Lepiej, dziękuję.

– Chciałabyś wstać?

– Tak.

– Słuchaj. Przeczytałam tutaj, że dzisiaj jest wyprzedaż odzieży filmowej i teatralnej w domu aukcyjnym Christie's, w South Kensington. Pokaz rano, wyprzedaż o trzeciej po południu. Mogłybyśmy to sobie obejrzeć, a potem zjeść obiad w jakimś sympatycznym miejscu.

– Niezła myśl, ale przede wszystkim wybieram się do Mony. Chcę zobaczyć, czy da się odzyskać moje rzeczy.

– Przecież tym się zajmuje John.

– Wiem, ale ja też bym chciała. Nie mogę zdać się tylko na niego. On nie zna wszystkich rzeczy i w końcu nie może zdawać sobie sprawy, ile to dla mnie znaczy. Chcę zobaczyć Monę w świetle dziennym. Już ja sobie z nią porozmawiam.

– Nie rób tego, Lily. Po prostu pozwól mu spróbować. Widziałaś, jak się ucieszył, że może coś dla ciebie zrobić. To dla niego okazja, żeby zyskać twój, czy ja wiem... szacunek? Nie wiem dokładnie, ale daj mu tę szansę, dobrze? Jeśli nic z tego nie wyjdzie, wybierzemy się razem do tej okropnej baby. Co ty na to?

– Zgoda, ale przysięgam Bogu, że jeżeli dziś po południu nie dostanę swoich rzeczy z powrotem, zawiadamiam policję. Wtedy Larry będzie biedny.

– Czujesz się lepiej, prawda? Brawo! Widzisz, to jest to, co człowiek powinien robić. Życie rzuca cię na deski, a tu się znów podnosisz. Proste, prawda?

Lily brała w łazience kąpiel, kiedy usłyszała okrzyk Grace. Otwierając drzwi kopniakiem, z ręcznikiem w ręku, ujrzała ciotkę wpatrującą się z zachwytem w rozłożoną gazetę.

– Patrz, patrz, to my! John i ja na przyjęciu wczoraj wieczorem. – Odsunęła się trochę, żeby Lily mogła zajrzeć jej przez ramię. Na stronie towarzyskiej widniała fotografia Johnny'ego Cochrane'a. Stał pośród tłumu, z oczyma oślepienymi fleszem, z szeroko rozłożonymi rękami, ale uśmiechnięty, jakby był w zmwowie z fotoreporterem.

– Widzę, a gdzie ty jesteś?

– Tutaj, patrz. To moja ręka. Widzisz, on trzyma mnie za rękę, a tu na końcu jest moje ramię. – Zadowolona ze stopnia ekspozycji Grace przeczytała na głos: „Johnny Cochrane, młody brytyjski rzeźbiarz, którego wystawę «Śmietnik liryczny» można obejrzeć w galerii Dennisa Little'a, ze swoją narzeczoną, panną Grace Teape". Panna. Urocze, prawda? Może i lepiej, że nie widać mojej twarzy. Ale, Lily, czy to nie cudowne? Teraz wszyscy wiedzą, dosłownie wszyscy!

Lily wypatrzyła na aukcji kunsztowny gorset z 1907 roku i zaznaczyła go w swoim katalogu, aby później wziąć udział w licytacji, ale tym, co ją najbardziej podbudowało, był damski kostium w paski o poszerzonych ramionach. W drodze do restauracji żywotność Lily zaczęła powracać.

– Ten kostium to Gilbert Adrian, Grace. Pomyśl tylko, co to może znaczyć.

– Tak, wyobrażam sobie. O Boże – powiedziała Grace z natychmiastowym entuzjazmem, po czym urwała, w nadziei że coś ją oświeci. To jednak nie nastąpiło, więc zapytała nieśmiało: – Co to może znaczyć?

– Był projektantem w MGM przez dwadzieścia lat, tworzył przede wszystkim dla Joan Crawford. Więc niewykluczone nawet, że ona nosiła ten kostium.

Przy obiedzie we włoskiej restauracji, wśród pogaduszek i brzęku szkła, Grace cały czas mówiła „my”. Już nie ona myślała to czy tamto, nie ona coś tam robiła: my myśleliśmy, my zrobiliśmy. Lily starała się dostosować do niewypowiedzianej sugestii, że każda wzmianka o Grace Teape w liczbie pojedynczej może zachwiać jej szczęściem.

W strategicznym momencie, kiedy podane zostało główne danie, patrząc w talerz i obracając go nieco, jakby jego prawidłowe ustawienie było integralną częścią tego, co zamierzała powiedzieć, Grace zaczęła:

– Lily? – tonem, który dziewczyna tak dobrze знаła.

– Słucham cię – upewniła ją Lily, stwierdzając ze zdumieniem, że nie obawia się kolejnego: „Powiedz mi szczerze...”. Instynktownie czuła, że w tym krótkim czasie drzwi zdążyły się zamknąć również i za tym.

– Lily, myślimy o przeprowadzce za granicę. Konkretnie do Włoch.

Lily oniemiała, czekając na jakiś dalszy ciąg, ale Grace milczała, patrząc w bok, więc dziewczyna zapytała w końcu:

– Chcecie sprzedać tu wszystko? Tak po prostu?

– Nie. Zatrzymamy mieszkanie, na wszelki wypadek. – Bawiła się podstawką kieliszka, wciąż nie patrząc na Lily. – Chcieliśmy pojechać zaraz po ślubie, spędzić tam miesiąc miodowy. Ale jeśli znajdziemy dom, który by nam odpowiadał, to rozumiesz, nasz miesiąc miodowy może trwać przez resztę życia.

Grace uśmiechnęła się do siebie pod wpływem jakiegoś niedawnego wspomnienia. Nie ulegało wątpliwości, że ostatnie sformułowanie bynajmniej nie pochodziło od niej.

– Czy naprawdę tego chcesz, Grace? Pytam, czy ty chcesz? – Lily przybrała stanowczy ton, usiłując odnaleźć kobietę, którą znała, w tej karuzeli zmian. Gdyby usłyszała przynajmniej: „Wiem, co robię i chcę tego”, to by jej wystarczyło. Ale

Grace powiedziała tylko:

– Tak, przedyskutowaliśmy to... – jej oczy przesunęły się po Lily, zatrzymując się na wystarczająco długi moment, aby upewnić ją, że nie pozwoli się wytrącić z „my” – ...i tego właśnie chcemy.

– Co z Ogródkiem?

– Tak, wiem. – Nuta żalu w głosie, potem błysk niepewności, kiedy uświadomiła sobie, że została przyłapana na liczbie pojedynczej. – Ale będziemy tu regularnie przyjeżdżać, a finansowo zabezpieczyłam Ogródek dawno temu. Angela prowadzi całą administrację i przepada za tym. Będziemy odwiedzać Ogródek, Johno i ja, i czuwać nad wszystkim, zabierać dzieci na wycieczki i... możemy nawet zabrać je na stałe do Włoch, dlaczego nie? Wszystko się znakomicie ułoży. Tobie też się tam spodoba, zobaczysz. Przecież zawsze kochałaś Włochy.

– Tak, to prawda. W takim razie... – na przekór ogarniającym ją wątpliwościom i rozterkom Lily uniosła szklanekę – ...powodzenia. – Cóż więcej mogła powiedzieć?

Pokonawszy tę rafę, Grace uznała, że może bezpiecznie popatrzeć Lily w oczy.

– Dziękuję, kochanie i nawzajem – powiedziała, również unosząc szklanekę.

Nie do pomyślenia, wręcz niemożliwe, ale zabrzmiało to zupełnie jak pożegnanie.

Skończyły obiad, omawiając szczegóły mającego się odbyć za kilka tygodni wesela. Grace wymogła na Lily zapewnienie, że coś takiego jak ostatnia noc więcej się nie powtórzy, po czym rozstały się, wymieniając obopólne zapewnienia, że wkrótce do siebie zadzwonią.

Lily z powodzeniem wzięła udział w licytacji gorsetu, kostiumu Gilberta Adriana i beli żakardowego jedwabiu sprzed pięćdziesięciu lat. Przeplaciła, ale taką miała fantazję. Nabytki wpłynęły kojąco na stan jej ducha, a w drodze do pracowni Johnny'ego Cochrane'a odebrała z Muzeum Wiktorii i Alberta suknię Anny Marii Garthwaite. Jej życie zaludniało się coraz bardziej tym rodzajem towarzystwa, które miało na nią szczególnie dobroczynny wpływ.



Dźwięki bębna przenikały przez ściany garażu, w którym mieściła się pracownia Johnny'ego Cochrane'a, i rozchodziły się po ulicy: szybki, kunsztowny rytm jednego bębna kłócił się z innym, wybijanym niewprawną ręką.

Lily pchnęła drzwi. Powoli dostrajając wzrok do mrocznego pomieszczenia, dostrzegła na drugim końcu garażu Johnny'ego Cochrane'a, siedzącego na stołku i ściskającego między kolanami parę bongosów. Był pochylony, z głową na bok, jego łokcie unosiły się i opadały, ucho łowiło pełny zakres dźwięków, jaki wydobywały jego szybkie dłonie. Naprzeciw niego siedział Sebastian, też z bębenkami, ale wyprostowany, z głową odrzuconą do tyłu. To on wydawał nierytmiczne dźwięki, zakłócające wprawną grę Cochrane'a. Obaj byli pochłonięci, skoncentrowani, od czasu do czasu Cochrane pokrzykiwał: „Dobrze, chłopie, świetnie, szybciej, szybciej!”, na co Sebastian reagował posłusznie, uśmiechając się szeroko otwartymi ustami.

Lily przyglądała się im, stojąc tuż przy drzwiach. Gdy wreszcie skończyli i ocierali z satysfakcją czoła, w powietrzu, wciąż jeszcze wibrującym od hałasu, rozległy się pojedyncze oklaski Lily.

– Kto tam?! – krzyknął Cochrane w mrok.

– To ja.

– Lily! – wykrzyknął Sebastian, wstając, przy czym upuścił bębenki na ziemię.

– Hej, ostrożnie! – Cochrane chwycił je, otrzepując delikatnie z kurzu.

Lily ruszyła w ich stronę.

– Cześć, Lily – powiedział Sebastian, niepewnym, pytającym tonem, kiedy znalazła się blisko niego.

– Cześć – tylko tyle powiedziała, ale to wystarczyło. Sebastian zaczął przestępować z nogi na nogę, wkładać i wyjmować ręce z kieszeni, jego głowa kiwała się nieznacznie, słowem, były to wszystkie typowe dla niego objawy przykrości i Lily nie chciała, żeby tak to wyszło. Nie tutaj, nie przy Johnnym. Innym razem natrze mu uszu za wczorajsze. – Fantastyczna gra. Słuchałam przez dłuższy czas.

– Aha, dzieciak czuje tempo. – Cochrane mrugnął do niej, z konspiracyjnym, pobłażliwym uśmiechem, gdyż oboje dobrze wiedzieli, że poczucie rytmu nie należy do atutów Sebastiana.

– I gdzie się nauczyłeś tak grać? Brzmi to profesjonalnie – powiedziała Lily.

– Tu i ówdzie. Wszędzie po trochu.

– Mam nadzieję, że nie urwałeś się znowu ze szkoły, Sebastianie.

– Nie. Wszystko jest w porządku. – Był już odprężony. – Johnny po mnie przyszedł i mama o tym wie. Naprawdę. Johnny uczy mnie spawać.

– Chyba oszalałeś! – warknęła Lily w stronę Cochrane'a.

– Niece, niee – łagodził Johnny, rozkładając ręce. – Pilnuję go przecież, prawda? To całkiem bezpieczne, co, Seb? – dodał, kiwając głową w stronę Lily, upewniając ją, że naprawdę nic mu nie grozi.

– To, że jestem niewidomy, nie znaczy jeszcze, że nie mogę robić takich rzeczy jak spawanie. Nie ma sprawy.

Zirytowała ją ta nietypowa dla niego uwaga, ale zachowała to dla siebie do czasu, kiedy będą sami. Stojąc nieco na uboczu, Lily obserwowała zaciętą twarz Sebastiana, zwróconą w jej stronę z wyrazem ponurego buntu.

Johnny Cochrane, zatknąwszy kciuki za pasek od dżinsów, przenosił wzrok z Sebastiana na Lily i z powrotem, obserwując tę konfrontację z zainteresowaniem podglądacza, aż wreszcie, jakby znudzony, powiedział:

– Mam tu coś dla ciebie. – Poszperał w kącie, pomiędzy rurami, piecykami, powyginanymi kołami i wy dobył stamtąd ponad tuzin plastikowych toreb. W środku, brudne, ale nieuszkodzone, były upchane: żakiet Schiaparelli, liberia lokaja i niemal wszystkie pozostałe okazy z jej kolekcji.

Lily stała, przejęta wdzięcznością i wstydem. Jej gesty wyrażały podziękowanie, ale zamiast tego powiedziała:

– Tak mi przykro, naprawdę.

– Dlaczego, u Boga Ojca?

– Bo w gruncie rzeczy nie wierzyłam, że je odzyskasz. Mówiąc szczerze, nie sądziłam nawet, że w ogóle będziesz próbował.

– Nie ufało się Johnny'emu, co?

– Cóż... – to wszystko, co powiedziała, pozwalając, by wzruszenie ramion dopowiedziało resztę. – Słuchaj, chcesz to? – zapytała, wyciągając w jego stronę liberię lokaja. – Mówiłeś, że ci się podobała, pamiętam, a ja chciałabym dać ci jakiś prezent.

– Nie wygłupiaj się, dziewczyno, to jest twoje. A może by tak szklaneczkę herbaty?

Manewrując torebkami herbaty i kubkami z poobijanymi uszkami, Lily usiłowała rozeznaczyć się w swoich uczuciach wobec Johnny'ego Cochrane'a. Czuła do niego sympatię, bo zadał sobie ten cały trud, i to w dodatku z powodzeniem,

ale... ale co z tego? Gardziła sobą, że jej sympatia wypływa z takich pobudek. Poprzez te myśli przesączyła się świadomość, że Sebastian po cichu skrycie molestuje o coś Johnny'ego, który dopasowywał właśnie pokryte rdzą elementy dekoracyjne do łoża, wciąż zajmującego w garażu centralne miejsce.

Stał na kratownicy stanowiącej ramę łóżka, trzymając nad głową koło od wyścigowego roweru, z którego zwisały cienkie metalowe łańcuszki.

– Gdyby tak dało się umocować to w centrum, widzisz, a potem rozciągnąć łańcuchy we wszystkich kierunkach, niczym rozbłysk metalowego słońca... doskonale... – Mówił bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

– ...ale przecież sam mówiłeś. A ja powiedziałem, że przyjdziemy... – Sebastian wyciągał ręce nad łóżkiem, ciągnąc Cochrane'a za kostki.

– Co ty wyrabiasz, mały gnojku! O co chodzi?

– Sam jesteś gnojek. Powiedziałeś, że pojedziemy do pracowni taty. Chcę, żebyś ją zobaczył.

Lily odwróciła się, żeby się lepiej przyjrzeć. Jej uwagę zwróciły swoje docinki – znak wspólnie spędzonego, dłuższego czasu.

Cochrane rzucił koło od roweru.

– Dobra, dobra, niech będzie. – Lii, zostaw tę herbatę, jedziemy do pracowni jego taty. Chcesz się załapać?

Przetykając urazę z powodu tego „załapać”, Lily pojechała z nimi.

W taksówce Sebastian usiadł na rozkładanym bocznym siedzeniu, sortując i przekładając z ręki do ręki pieniądze, które Johnny mu dał, żeby zapłacił kierowcy. Lily siedziała za nim, Cochrane obok niej, w niedbałej pozie, przyglądając się Sebastianowi.

– No tak. To co twój tata robi w tej swojej pracowni? Malarz, tak?

– Nie, fotografik – rzucił Sebastian nieuważnie, z pochyloną głową, skoncentrowany na pieniądzach.

Ale Lily odwróciła się gwałtownie, przyglądając się Cochrane'owi z błyskiem niedowierzania w oczach.

– Przecież wiesz, że jest fotografikiem!

Cochrane rzucił jej przelotne spojrzenie, jak gdyby była kimś obcym.

– Zgadza się – powiedział. To tak na próbę – po czym odwrócił wzrok, wyjątkowo pochłonięty obserwacją ruchu ulicznego.

Lily nalegała, żeby zgłosić wizytę w recepcji, zanim pójda na górę.

– Tak – powiedziała Esther. – Mówił mi, że Sebastian ma przyjść. Jest u siebie.

Zapuszczony wygląd pracowni znikł bez śladu. Z głośników grzmiała muzyka

operowa, zagłuszając wszelkie odgłosy ich wejścia. W jaskrawo oświetlonym kręgu otoczonym mrokiem stał Oliver Cary, zgięty w pasie, z lewą ręką sztywno założoną za plecy, jak gdyby składał ukłon. Jego prawa ręka z drobiazgową precyzją chirurga umieszczała maleńki ceramiczny klocek, nie większy niż centymetr sześcienny, na modelu drapacza chmur wykonanym z dziesiątków takich samych klocków. Na stojącym przed nim stole znajdowały się też inne budynki: wyższe, niższe, szersze. Była to makieta Manhattanu: cudowna, miniaturowa, nieskazitelna wizja. Emaliowane cegielki skrzyły się w powodzi jasnego światła. Oliver cofnął się o parę kroków, aby obejrzeć całość przez obiektyw ustawionego tam aparatu fotograficznego.

– Co on robi? – wyszeptał Sebastian do Johnny'ego Cochrane'a, chociaż szept był zupełnie zbędny z powodu głośnej muzyki. To właśnie ona była dla Sebastiana sygnałem, że praca jest w toku. Oliver zawsze słuchał Verdiego, kiedy pracował.

Johnny Cochrane odpowiedział, również szeptem:

– Ma na swoim stole taki fantastyczny mały Nowy Jork.

Kiedy Oliver zdjął tylną ściankę aparatu i poszedł z nią w stronę lodówki, w której przechowywał filmy, zauważył ich troje, stojących w niemym podziwieniu.

– Hej, dawno tu jesteście!?! – zawołał. Ściszył muzykę, wyłączył parasolowe punkty świetlne, pozostawiając bardziej równomierne oświetlenie. – Cześć, Seb, czekałem na ciebie. – Oliver schylił się, żeby go uściskać, na co Sebastian pozwolił przez chwilę, po czym się wyswobodził.

– Tato, Johnny jest tutaj.

– Wiem. Bardzo dobrze. Cieszę się, że jesteście, chociaż nie wiem, co tu może być ciekawego do oglądania. Cześć, Lily. Chcesz piwa?

– Ja się napiję – powiedział Johnny Cochrane.

– Och, tak... oczywiście – zawahał się, zdumiony, że ich rytualne powitanie ma jakąś rzeczywistą treść. Poszedł z powrotem do lodówki, wyjął z niej puszkę i rzucił w stronę Cochrane'a, który schwycił ją, wskazując na zbudowany z klocków Manhattan.

– Niesamowite. Do czego to ma służyć?

– Ee... papierosy – mruknął, wykonując niezbyt przekonujący gest, jak gdyby zapomniał, jakie jest przeznaczenie tego zdjęcia. – Ale to nie to samo, co być rzeźbiarzem, prawda? To, co tu widać, nie jest dokładnie obrazem, który chcę uzyskać... sam nie wiem. Szukam czegoś, co jest poza tym i co zostanie uchwycone, mam nadzieję, jedynie na zdjęciu. Trudno to wytłumaczyć.

Sebastian podszedł bliżej, dotykając palcami filigranowych budowli, tak

chwiejnych, że człowiek obdarzony normalnym wzrokiem bałby się zapewne nawet podejść do nich zbyt blisko, ale Oliver obserwował go, wiedząc, że pod jego palcami żaden klocek nie spadnie ani nie zmieni położenia.

– To jest piękne i gładziutkie, tato. Musiało ci to zająć mnóstwo czasu.

– Tak. Jakieś trzy dni.

– Słuchaj, mam nadzieję, że nie przeszkadzamy – powiedział Johnny, ale Sebastian odpowiedział za ojca:

– Nie, wszystko jest w porządku, prawda, tato? Tata się nas spodziewał. Sam to powiedział. Jak byliśmy tu ostatnio, ustawiał właśnie modelkę i musieliśmy sobie pójść.

– Naprawdę? Szczęściarz z niego.

Oliver spojrzał surowo na Lily, która zdecydowanie pokręciła głową. Nie, oczywiście że nic nie powiedziała Sebastianowi. Ta wymiana również nie uszła uwagi Johnny'ego Cochrane'a, który obserwował ich z leniwym zaciekawieniem, tak jak przedtem przyglądał się Lily i Sebastianowi w garażu.

Oliver zlekceważył to, mówiąc:

– To są materiały do książki, nad którą ostatnio pracowałem. Mówiłeś, zdaje się, że masz moją ostatnią rzecz – dodał powściągliwie.

– Oczywiście. – Cochrane wziął od niego plik czarnobiałych fotografii, ukazujących wąwozy i wzniesienia niezidentyfikowanego ciała, ciągnącego się niczym krajobraz od brzegu do brzegu fotografii, bez warg, palców czy sutek, bliskie, bardzo bliskie i abstrakcyjne, takie, jakie potrafi dostrzec tylko oko kochanka.

Przerzucając odbitki, obracając je w różne strony, by łatwiej zgadnąć, Cochrane zatrzymał się przy jednej, odsunął ją od siebie, znów przybliżył. Podszedł do Olivera, szturchnął go i powiedział:

– Tutaj wiem, co to jest... najpierw zniżając głos, później podnosząc, z udawanym zgorszeniem wodewilowego rubachy. – To jest, to jest...

– Nie, to nie to – powiedział szybko Oliver, śmiejąc się i otaczając ramieniem Cochrane'a, który stał obok niego, niższy o kilka cali. – Naprawdę, nic z tych rzeczy. Ale o to właśnie chodzi. Żeby ludzie myśleli, że to coś innego, niż jest w rzeczywistości. Banalne, prymitywne i nic nowego, ale książka to pieniądze.

– Fann... tascyczne – Cochrane kręcił z podziwem głową.

– Dobra, Seb. Zadowolony, że Johnny zobaczył pracownię? Naprawdę, wydaje mi się, że nie ma tu nic więcej do oglądania. Jeżeli chcesz, możemy teraz wrócić do domu.

– Dobrze, wracajmy. Idziesz z nami, Johnny?

– Jasne. Z powrotem do mojej Gracie. Wychodzimy dzisiaj wieczorem.

– Dobrze,, w takim razie ja idę w swoją stronę – powiedziała Lily. Oliver, nagle poruszony, podszedł do niej, zostawiając Sebastiana i Johnny'ego.

– To znaczy, że nie idziesz z nami? Dlaczego?

– No, chyba że... – nie chciała powiedzieć: „...chyba że Sebastian mnie potrzebuje”. Nie chciała, żeby tak to wyszło.

– Słuchajcie – zwrócił się Oliver do Johnny'ego i Sebastiana. – Moglibyście pojechać przodem? Muszę porozmawiać o czymś z Lily.

– Ale tato, przecież powiedziałaś – marudził nadąsany Sebastian.

– Wiem, ale to tylko minutka, Seb, proszę cię. To nie potrwa długo, możecie poczekać na dole, jeśli nie chcesz jechać beze mnie. Proszę.

– Seb, do jasnej Anielki! „Powiedziałaś, to, powiedziałaś tamto”. Co to, jesteśmy bandą cholernych marionetek czy jak? Jedziesz ze mną, staruszk, rozumiesz? Jest coś, co chciałbym ci kupić po drodze.

Ze słowami „Obiecujesz, że to nie potrwa długo?” Sebastian wyszedł z pracowni w towarzystwie Johnny'ego Cochrane'a. Kiedy Oliver przyglądał się, jak schodzą ze schodów, Lily wróciła do małego Manhattanu, zapaliła z powrotem światła, aby zobaczyć go w pełnym blasku, i stała tak, podziwiając.

Usłyszała odgłos kroków Olivera na betonowej posadzce, ale nie widziała go, bo stał poza granicą światła. Powiedziała w stronę, gdzie się go spodziewała:

– To nie mogły być tylko trzy dni.

– Nie – odpowiedział bezcielesny głos – ponad dwa tygodnie.

– Co za papierosy?

– Nie chodzi o papierosy.

– Miałam wrażenie, że powiedziałaś to jakoś dziwnie. W takim razie, po co? – Nie było odpowiedzi. Popatrzyła w stronę, skąd dochodził jego głos. – Tajemnica? – zapytała lekkim tonem mimo zaintrygowania.

Oliver wszedł w krąg światła, jego oczy utkwione były w niej z zimną, wyrachowaną złością. Lily stała z ręką opartą na stole. Cofnęła ją teraz, ręka opadła wzdłuż ciała. On podszedł bliżej, wpatrując się w nią nieruchomym wzrokiem. W jego oczach wyczytała, że chce, aby się o czymś dowiedziała.

Lewą rękę wciąż miała założoną za plecy, tak jak wtedy, kiedy tu przyszli. Gdy uniósł prawą rękę, Lily nie cofnęła się przed ciosem, który wydawał się nieunikniony. Nie dlatego, że się nie bała – po prostu nie mogła się poruszyć. Wszystko, co była w stanie zrobić, to patrzeć w jego oczy, w których gniew

mieszał się z frustracją. Ręka opadła, minęła ją, kierując się w stronę stołu, i zmiotła budynki na podłogę. Oparty o blat, ze zwieszoną głową, stracił kilka pozostałych klocków i odszedł.

Wstrząśnięta Lily uniosła ręce do twarzy, już po raz drugi tego dnia. Odtworzyła w myślach poprzednie zajście. Było zupełnie inne, odegrane przez obcych ludzi, ale pozostawiło w niej dokładnie to samo uczucie co teraz. Jechała metrem. Incydent był najzwyczajszym przejawem konfliktów rasowych. Biały mężczyzna wymusił na czarnym, idącym przejściem pomiędzy siedzeniami, aby bez żadnego powodu poszedł tą, a nie inną drogą. Widziała, jak mierzyli się wzrokiem, na ich twarzach wypisana była konfrontacja. Wrogość unosiła się w powietrzu, chociaż przemoc fizyczna trzymana była na wodzy. Lily wysiadła na następnej stacji, nie tam, gdzie zamierzała, tylko po to, żeby się stamtąd wydostać, i poczuła się beznadziejnie zagubiona. Ta migawka z całkiem innego świata ukazała chwilę obecną we właściwym świetle i uspokoiła ją. Czyn Olivera nie był aktem przemocy czy nienawiści, ale rozpaczliwego błagania.

Opuściła ręce i wyszła spod dekoracji. Za wysokim parawanem Oliver leżał wyciągnięty na starym leżaku z mahoni i bambusa. Leżak ustawiony był pod oknem, przesłoniętym, z wyjątkiem trzech cali, zaciemniającą roletą. Przez szczelinę wlewał się do środka liliowy zmierzch, obrysowując kontury jego twarzy i ciała. Prawa noga wciąż była oparta na podłodze, jakby była za ciężka, aby dźwignąć ją i umieścić obok drugiej, a prawa ręka spoczywała sztywno ułożona na piersi.

Lily uklękła przy leżaku. Olivier miał zamknięte oczy.

– Przepraszam – powiedział cichym głosem, z twarzą zwróconą prosto przed siebie. – Poznałaś ostatnio kilka dość paskudnych stron mojej natury, prawda?

Ponieważ tak było w istocie, niełatwo było na to odpowiedzieć.

– Ale dlaczego? – zapytała, nie mogąc zdobyć się na brutalność, jakiej wymagała odpowiedź twierdząca. – Dlaczego prosiłeś, żebym została, a potem zrobiłeś coś takiego? To naprawdę przykre. Czuję się tak, jakbyś chciał mi odpłacić za jakąś krzywdę, którą ci wyrządziłam.

Sięgnął po jej rękę. W jego ciepłym, mocnym uścisku było drżenie.

– Nie zrobiłaś mi nic złego, Lily, ale w jakiś dziwny sposób masz rację. Chyba rzeczywiście chciałem cię zranić, i to tylko dlatego, że ci się zwierzyłem.

– Ty i ta modelka w garderobie? O to chodzi?

– Nie, nie o tę bzdurę. Chodzi o chorobę.

– Czy warto zawracać sobie tym głowę? Przecież czujesz się lepiej, prawda?

Znowu pracujesz, no i obiecałeś, że mi powiesz, gdyby się okazało, że to coś poważnego.

Dopiero teraz odwrócił się i spojrzał na nią. Wzmacniając uścisk, powiódł wzrokiem w stronę ich złączonych dłoni, jakby chcąc zwrócić na nie jej uwagę. Spojrzała, zmarszczyła czoło, poczuła wyraźne i stałe drżenie.

– Czemu drżysz? Coś cię aż tak zdenerwowało?

– Nie, Lily. Ja nad tym nie panuję. Pamiętasz, jak mówiłem o wizycie u specjalisty? No więc byłem tam. W moim ciele coś się odbywa, jakaś rewolta. Mówią, że jestem bardzo chory.

Przyciągnęła jego rękę do siebie, oparła mocno czoło na jego dłoni i poczuła, jak pod tym naciskiem drżenie ustaje. Uśmiechnęła się do niego natychmiast, pełna nadziei, po tym co osiągnęła, ale przekonała się, że nawet tego nie zauważył. Udało jej się powstrzymać zaledwie na chwilę zewnętrzny objaw, który powrócił, zanim jej uśmiech zdążył zgasnąć. Na usta cisnął jej się nawał pytań, pogmatwanych na skutek emocji.

– Ćśś... ćśś... – powiedział Oliver. – Wysłuchaj mnie, proszę cię. To wszystko, czego pragnę. Tak bardzo chcę o tym mówić. Nic nikomu nie powiedziałem od czasu, gdy byłem u specjalisty dwa tygodnie temu, i czuję się naprawdę zagubiony. I przestraszony, jeśli mam być szczery. Dzisiaj, jak tylko tu przysłaś, postanowiłem, że o tym porozmawiamy. Wydaje mi się, że bezwiednie czekałem na to spotkanie. Czy mnie rozumiesz? Dawniej pojawiałaś się w naszym mieszkaniu o tej czy innej porze i bawiłaś się z Sebastianem niemal każdego dnia. Teraz sytuacja się zmieniła: ty się wyprowadziłaś, a on spędza tak wiele czasu z Johnnym. Więc kiedy powiedziałaś przed chwilą, że wracasz do siebie, miałem to idiotyczne poczucie, że zostałem zdradzony. Jedyne osoba, która wie, że jestem chory, nie zamierza mnie wysłuchać. Głupie, niesprawiedliwe, okrutne. Wybacz mi. Robię sporo rzeczy, które naprawdę nie są w moim stylu. Najzabawniejsze, że od czasu wizyty u tego gościa, u specjalisty, od kiedy zrobiłem te testy, czuję się gorzej, a nie lepiej. Dwa tygodnie temu się nie trząsałem. Jest tak, jakby moje ciało zachowywało się zgodnie z tym, jakby dostosowywało się do tego, czego według lekarzy powinienem się spodziewać. Teraz żałuję, że w ogóle tam poszedłem.

– Powiedz mi... – zaczęła Lily, bardzo, bardzo ostrożnie – ...o Manhattanie. Po co go zbudowałaś, jeśli nie ma to związku z pracą? Co to ma wspólnego z chorobą?

– Chciałem udowodnić, że potrafię. Klocki były robione na zamówienie w jakimś innym celu i przyjechały akurat po mojej pierwszej wizycie, kiedy lekarze dali mi do zrozumienia, że to coś poważnego. Powiedzieli, że to zaatakowało



prawą stroną ciała, więc zbudowałem to, posługując się wyłącznie prawą ręką. Lewą trzymałem cały czas za plecami i w czasie pracy nawet nie usiadłem. Coś w rodzaju sprawdzianu. Bunt. Musiałem też stworzyć wrażenie, że tu na górze toczy się jakaś praca, zwłaszcza odkąd Seb zaczął mówić o przyprowadzeniu Johnny'ego. Mówi, że Johnny błagał, żeby go tu przyprowadzić.

Uśmiechając się w duchu nad sposobami, jakimi Sebastian dopinał swego, Lily położyła głowę na kolanach Olivera. Być może siedzieli tak już wiele razy, nie wydawało się to niczym nowym ani dziwnym. Faktycznie zdarzyło się to wcześniej tylko raz i żadne z nich tego nie pamiętało.

– Czy to ma nazwę? – zapytała.

– Jakiś łaciński dziwoląg. Zrobili mnóstwo testów... naprawdę zdumiewające, co potrafią ustalić. Wygląda na to, że sprawa ma początek w Afryce – w czymś, co mi się przytrafiło ponad piętnaście lat temu.

– Muszą być na to leki, Oliver, prawda?

– Tak, już zacząłem. Źle się po nich czuję.

– Przyzwyczaisz się. Ustalisz właściwą dawkę.

– Tak. – Jakby mu na tym nie zależało.

– Mówisz, że nikomu nie powiedziałeś. Czy to znaczy, że nawet Melissie?

– Nawet jej.

– Dlaczego? Teraz, kiedy wiesz, że to takie poważne, musisz jej o tym powiedzieć. Tu już nie chodzi o „zawracanie głowy”. Pomyśl, co będzie czuła, kiedy się dowie, że cały czas to przed nią ukrywałeś. Przecież chciałyby ci pomóc, być dla ciebie oparciem. To naprawdę nie jest w porządku wobec niej.

– Ach, Lily... – nieomal się roześmiał, smutnym, bezgłośnym śmiechem.

– Co w tym śmiesznego? – spytała zaskoczona. – Tak właśnie będzie się czuła, wiem o tym. Ze mną byłoby tak samo.

– Tak, z tobą by tak było. Coś ci powiem: ta biedna mała modelka, z którą mnie przyłapałaś, to jeszcze nie jest prawdziwa niewierność. Ale powiedzieć tobie i nie powiedzieć Melissie to jest naprawdę coś. To największa zdrada.

Na te słowa przeniknął ją chłód i zaczęła się od niego powoli odsuwać, ale on nie chciał, żeby się poruszyła. Położył rękę na jej głowie, przyciskając ją do swoich kolan z łagodnym naleganiem. Została więc, a on wciąż mówił, nie mając pojęcia, co przed chwilą zrobił – o tym, że zamknął ją w bezpodstawnym poczuciu winy. I jeszcze coś się z nią działo: w miejsce chłodu pojawiło się pragnienie, pociąg do tego mężczyzny, który należał do rodziny od czasu, gdy miała osiem lat. Była tu, obok niego, z głową na jego piersi, z jedną ręką wyciągniętą wzdłuż jego uda, z

dłonią w jego dłoni. Kiedy przyjmowała tę pozycję, nie było w tym nic złego, nie miało znaczenia, gdzie znajduje się jej głowa, a gdzie ręka. To była normalna rzecz: przejaw troski, kiedy same słowa nie wystarczają. Teraz była zażenowana, wyczuwając pod twarzą, poprzez ubranie, geografie jego ciała, ogarnął ją wstyd, że obejmuje jego udo.

A on mówił bez przerwy.

– To nie wszystko, o czym chciałem ci opowiedzieć. Jest jeszcze coś, jakieś odczucie, dziwniejsze nawet niż moje objawy. Musisz mnie wysłuchać, bo czuję się tak, jakby coś nadciągało, a jednocześnie... to tak trudno wyrazić... Jest tak, jakbym miał dokądś pójść, coś zrobić, coś bardzo ważnego, ale nie pamiętam co. Mój umysł pracuje nad tym przez cały czas. Bez chwili przerwy. Co to może być, Lily? Czy tak to wygląda, kiedy się jest chorym, poważnie chorym? Czy potrafisz mi pomóc to zrozumieć? Czy będę musiał żyć w tej niepewności przez cały czas?

Słyszała jego słowa, rozumiała jego potrzebę, i gdyby nie ta dzika, irracjonalna zmiana w jej uczuciach, mogłaby mu odpowiedzieć. Ale podejmować rozmowę teraz, gdy on był pogrążony w oceanie swojej choroby, byłoby zbyt niebezpieczne, nie do przyjęcia.

To oczywiste, że nie wiedział, co się z nią działo, co sprawiły jego słowa. Czowała, że nawet w tej chwili, gdyby się podniosła, mogłaby wyciągnąć się obok niego, gdyby wstała, mogłaby nachylić się i dotknąć ustami jego ust, oczu, włosów.

– Oliver?

– Tak? – powiedział z oczekiwaniem, jak gdyby wierzył, że ona zna już odpowiedzi na jego pytania.

– Ta rozmowa powinna być z Melissą, nie ze mną. Zrozum to, proszę cię.

Najwyraźniej zrezygnował, nacisk jego rąk zelżał.

– Tak... tak, oczywiście – wyszeptał – masz rację. Muszę porozmawiać z Melissą.

– Czy będzie teraz w domu?

– Powiedziała, że będzie, ale wiesz, jak ją czasem potrafią dopaść.

– Gdybym przyszła i została z Sebastianem, czy byłoby ci łatwiej powiedzieć jej o tym dziś wieczorem? Mógłbyś zabrać ją gdzieś, tak jak zawsze robicie, kiedy macie poważną rozmowę.

– To mogłoby ułatwić sprawę. Dom jest jej biurem, telefon nigdy nie przestaje dzwonić. Trudno zająć całą jej uwagę. Jeśli mi się uda, zabiorę ją w jakieś spokojne miejsce.

– W takim razie chodźmy, dobrze? Powiedziałeś Sebowi, że to nie potrwa

długo.

Odsunęła się i patrzyła teraz, jak wstaje, zaszokowana jego sztywnością, jego powolnymi ruchami. Czyżby jego ciało naprawdę – tak jak powiedział – zachowywało się zgodnie z tym, co dyktowała wiedza o chorobie? Czy też dostrzegała teraz różne drobne nawyki, które miał zawsze, a które teraz uznała za objawy?

– Oliver? – powiedziała.

– Tak?

– Wszystko będzie dobrze. Będzie dobrze.

– Tak.

Ledwie Oliver przekręcił klucz w drzwiach, rozległ się okrzyk:

– Jahuuu!... Prędko... Są tutaj...

Johnny Cochrane otworzył drzwi tak szybko, że Oliver nie zdążył wyjąć klucza z zamka. W głębi przedpokoju Sebastian wołał w stronę salonu:

– Już są, mamó! Gotowa?

Kiedy Johnny popychał Lily i Olivera przed sobą korytarzem, usłyszeli – jeden po drugim – dwa strzały i wchodząc do salonu, ujrzeli Melissę z dwiema pieniącymi się butelkami szampana w wyciągniętych rękach.

Chociaż miała na sobie wyjściowy, szyty na miarę kostium, jej czarne włosy opadały z niesfornym wdziękiem, a twarz jaśniała podnieceniem. Grace stała obok, uśmiechnięta, jej ręce uniesione były w geście powitania, ale czekała, aż Melissa ogłosi swoją nowinę.

– Zgadnijcie, zgadnijcie! No, zgadujcie – zaśpiewała Melissa.

Przemiana Olivera była błyskawiczna. Chwiejny, ogarnięty lękiem mężczyzna z ostatnich dwóch godzin znikł bez śladu. Wszedł w odpowiedni nastrój i utracił całą sztywność, chodził tam i z powrotem po pokoju, zacierając ręce z mieszaniną satysfakcji i zakłopotania.

– Zostałaś... niech no pomyślę, zostałaś... wytypowana na kandydata SDP? – rzucił dziarsko.

– Nnnie! – uśmiechnęła się Melissa, przechylając głowę w lewo zdecydowanym ruchem i czekając na następną próbę.

Zmiana, która w nim zaszła, była niewytłumaczalna i Lily nieco to zbulwersowało. Czyżby to wszystko było grą? Rzeczywiste objawy nie mogą zniknąć w taki sposób.

– Zostałaś kobietą roku? – spróbował raz jeszcze Oliver.

– Nie! – Głowa powędrowała z powrotem w prawo, twarz promieniała

entuzjazmem.

– Och, muszę zgadnąć, muszę. Zastanówmy się. Pomóż mi, Lily. Seb, podrzuć jakąś wskazówkę.

– Wskazówkę, tak, wskazówkę... – zastanawiał się Sebastian.

– Telewizor? – podsunął mu Cochrane.

– Kapitalnie! Telewizor, tato, tak, telewizor. – Sebastian podszedł do odbiornika niezwykłym krokiem, podnosząc wysoko stopy i stawiając je z namaszczeniem, niczym kaczka chodząca po murze. Lily pomyślała, że to także jest częścią wskazówki.

– Nie wytrzymam – poddał się Oliver. – Powiedz mi.

– Talkshow – Melissa kiwała energicznie głową, uprzedzając ewentualne niedowierzanie. – Mój własny talkshow, raz w tygodniu. W telewizji Yorkshire. To prawda.

– Więc dokonałaś tego, kochanie. Nadzwyczajna kobieta. – Oliver otoczył ją swoimi wielkimi, silnymi ramionami, a ona była taka śliczna, zgrabna, mała i bezpieczna w jego objęciach.

Kiedy rozlewano szampana, Grace i Johnny przysunęli się do siebie, a Sebastian podszedł do Lily, nadal stąpając w ten swój szczególny sposób.

– I co na to powiesz?

– To wspaniale, Sebastian. Jestem nią zachwycona, naprawdę.

– Ja nie o tym. O butach. – Podskoczył na jednej nodze, podnosząc drugą, żeby mogła zobaczyć. Miał na sobie fioletowe bejsbolowe buty, takie same jak Johnny Cochrane. Ten sam typ, ten sam styl, który mu tyle razy proponowała, a on zawsze odmawiał.

– Szykowne. Takie same jak Johnny'ego.

– Wiem. Kupił mi je w drodze do domu.

– Rozpuszczony bachor – powiedziała i zmierzwiła jego włosy.

– Wiem – powiedział znowu, niezmiernie zadowolony, i oddalił się tym swoim kaczym chodem, wracając do rodziców.

Melissa opowiadała właśnie, jaki rodzaj widowiska pragnie stworzyć.

– Więc znajdą się u mnie ludzie, którzy rzeczywiście coś robią, nie jakieś nadęte osobistości, przemijające gwiazdy filmowe. Artyści będą mogli opowiedzieć o swojej pracy, przybliżyć ją ludziom. Będą działacze charytatywni z dobrymi pomysłami, ludzie, którzy na ogół nie mają łatwego dostępu do mediów. Cała sprawa będzie raczej inspirować niż bawić. Ale bawić też, mam nadzieję.

– To ja się chyba nadam? – Wszyscy spojrzeli z lekkim zaskoczeniem w stronę

Johnny'ego Cochrane'a, który stał z rękami na biodrach, demonstracyjnie oferując swoją kandydaturę.

– Cóż... no... tak – wyjąkała Melissa, ale stopniowo zapaliła się do pomysłu. – Właściwie dlaczego nie? Jesteś dokładnie w typie, bo twoja praca to przecież utylizacja metalowego złomu. Zamieniasz śmieci w sztukę, wiele by można o tym powiedzieć. Tak samo ty, Grace, razem z Angellą, mogłybyście opowiedzieć o Ogródku.

– Och, nie wiem. Nie chcemy wokół tego zbyt wiele szumu, rozumiesz, ale w każdym razie... – uniosła swój kieliszek – wypijmy wszyscy za zdrowie Melissy, za jej sukces i całą dobrą robotę, którą robi dla tak wielu. – Po czym dodała: – A teraz, Johno, mój drogi, musimy już iść, będziemy okropnie spóźnieni.

Johnny Cochrane podszedł do Melissy i położył jej rękę na ramieniu ze swoją niepodrabialną szczerością, tym wymowniejszą, że u jej źródeł była wylewna chłopcęość. Patrzył jej uważnie w oczy, dopóki jego powaga nie udzieliła się jej i nie oddała mu spojrzenia.

– Dobra robota, Melisso – powiedział cicho, ale z naciskiem. – Dobra robota. – Roześmiała się, protestując, zakłopotana, po czym spuściła wzrok pod jego spojrzeniem.

Gdy tylko Sebastian usłyszał, jak drzwi zamykają się za Grace i Johnnym, pochylił się i rozsznurował buty, po czym usiadł, zdjął je i przytulił do siebie.

– Noś je, kochanie, dlaczego nie? Są fantastyczne – powiedziała Melissa.

– Nie... nie chcę ich zabrudzić.

– Co, tu w mieszkaniu? – zdziwił Oliver. – Zresztą buty Johnny'ego są brudne. To należy do wizerunku.

– No, jeszcze nie teraz. Chcę je oszczędzać.

Odszukał po omacku torbę, w której przyniósł do domu swoje stare, sznurowane buty na skórzanej podeszwie, wyciągnął je i włożył na nogi.

– Pomożesz mi przy lekcjach, Lily?

Oliver i Melissa zasiedli, aby omówić jej kontrakt telewizyjny, i Lily zostawiła ich, zastanawiając się, w jaki sposób Oliver zdoła skierować rozmowę na siebie, jeżeli w ogóle mu się to uda.

Wróciła do salonu jakiś czas potem, kiedy Sebastian szykował się do spania. Gdyby coś zostało powiedziane, zorientowałyby się od razu. Intuicja kazała jej zapukać w uchylone drzwi i nie zawiodła jej, bo kiedy weszła, Oliver i Melissa siedzieli w jeszcze cieplej, świeżo rozdzielonej, potarganej bliskości.

– Przepraszam – zaczęła, ale Melissa odpowiedziała rażno:

– Nic nie szkodzi Lily, wejdz. – Wiedziała więc, że rozmowy jeszcze nie było.

– Rumienisz się, Lily? Zdarzało ci się już przyłapać nas na pocałunku. Chodź, siadaj.

Ale ona nie mogła, po prostu nie mogła. Teraz wszystko wyglądało inaczej.

– Nie, naprawdę dziękuję. Chciałam tylko powiedzieć, że Sebastian jest w łóżku, ale jeśli macie ochotę gdzieś się wybrać, uczcić to, jak należy, to ja chętnie zostanę.

– Nie zamierzamy wychodzić, prawda, Oliver? Zresztą spodziewam się telefonu.

– Myślałem, że miło byłoby gdzieś pójść...

– Nie, nie, zostańmy. Trzeba dokończyć szampana, a w kuchni jest mnóstwo jedzenia. Możesz spokojnie iść, Lily. I dziękuję ci.

Lily bała się popatrzeć na Olivera. W trwającym sekundę spojrzeniu Melissa mogła wyczytać znowę. Ze swojego samotnego posterunku w twierdzy zwierzeń powiedziała do Melissy:

– Nie masz mi za co dziękować, wiesz, że to lubię. Ale skoro jesteście zdecydowani, to już pójdę i po drodze pożegnaj się z Sebastianem.

– Nie dasz się namówić na kolację?

– Nie, dziękuję – powiedziała Lily stanowczo, ryzykując spojrzenie na Olivera, aby dać mu do zrozumienia, czego od niego oczekuje. Teraz będzie mu trudniej powiedzieć Melissie o swojej chorobie, ale wciąż może próbować zrobić to tutaj, w ich własnym salonie, gdzie telefon może zadzwonić w każdej chwili, tak jak dzwoni właśnie teraz i Melissa już przy nim jest, ze swoją zwykłą gotowością.

Oliver podszedł do Lily. W tym chwilowym sam na sam powiedział cicho:

– Lily, wyglądasz na strasznie zmęczoną. Nigdy nie widziałem cię w takim stanie.

– Jestem zmęczona.

– Lily? – W jego wzroku było pytanie i prośba o wybaczenie. – Lily, co ja takiego zrobiłem?

– Po prostu powiedz jej, to wszystko. Proszę cię, powiedz jej dzisiaj wieczorem.

Lily poszła do pokoju Sebastiana. Leżał na łóżku z rękami założonymi za głowę. Jedyne światło dochodziło z korytarza. Przy nim, na poduszce, leżały jego bejsbolowe buty. Posunął się, robiąc jej miejsce.

– O czym myślisz? – zapytała, siadając przy nim.

– Założę się, że uważa mnie za mięczaka.

– Kto?

– Johnny.

– Dlaczego, u licha, miałby tak uważać?

– Bo jestem niewidomy.

– Boże, Sebastian, chyba naprawdę się na ciebie wkurzę. – Sądząc z tonu jej głosu, to już nastąpiło. – Co cię naszło z tym całym „bo jestem niewidomy”? Już raz to dziś powiedziałaś, po południu, w pracowni. To właśnie mięczak tak gada. A jeśli już o tym mowa: co to się stało wczoraj, kiedy miałam cię odebrać ze szkoły? Tak sobie po prostu poszedłeś? Żadnej wiadomości, żadnej notatki, nic?

Sebastian odszukał jej rękę, zaczął się bawić jej palcami.

– Przepraszam cię, naprawdę. Jeśli chodzi o ścisłość, to Johnny obiecał zostawić wiadomość, ale myślę, że zwyczajnie zapomniał. A wiesz, jaki on jest: wszystko szybko, na gorąco. On nie czeka, rozumiesz? Więc pomyślałem, że jak się będę guzdrał, to pójdzie beze mnie.

– Ty też zachowałeś się jak mięczak, jakby się kto pytał.

– Cóż, ja cię nie pytam. Po prostu nie rozumiesz.

Zmieniła temat, bo dostrzegła w przyćmionym świetle, że jego twarz znów przybiera ów zacięty wyraz.

– Świetne buty.

Dotknął ich, upewniając się, że są pod ręką.

– Wiem.

– Powiedz mi, dlaczego nie chcesz ich nosić? Tylko nie mów mi, że się pobrudzą, mnie nie masz co bujać.

– Nie, to nie to. Obiecujesz, że nie powiesz Johnny'emu?

– Obiecuję.

– To dlatego, że jak w nich chodzę, nie słyszę, gdzie jestem, i trudniej mi wyczuć, po czym idę. Te gumowe podeszwy wszystko tłumią. Nie powiesz mu, co? Byłoby mu przykro.

– To dlatego nigdy nie pozwoliłeś mi takich kupić?

– Tak. Myślałem, że wiesz.

– Nie, nie wiedziałam. Może byśmy tak wybrali się w ten weekend na ryby?

– Nie, dzięki. Pomagam Johnny'emu skończyć łóżko dla Grace. Chce, żeby było gotowe przed ślubem, a w następnym tygodniu zaczynają się ferie i Johnny powiedział, że mogę spędzać wszystkie dni w jego pracowni, jeśli tylko on tam będzie. Ty też możesz przyjść, jeśli masz ochotę.

– Nie, nie sądzę. Dziękuję. Dobra, w takim razie dobranoc, zmore. – Ucałowała go.

– Dobranoc, paskudo. Przygarnął ją, po czym odwrócił się, wyciągając jedną rękę spod kołdry, żeby dotknąć butów.

Z Regent's Park do Notting Hill jest kawał drogi. Lily pokonała ten dystans pieszo, obladowana w równym stopniu świeżymi nabytkami i ubraniami odzyskanymi przez Johnny'ego. Krok za krokiem oddalała się od świata swoich bliskich: od Grace, od Sebastiana. Chociaż Melissy i Olivera nie uważała za „swoich” w tym samym sensie, ich jedność stanowiła zawsze jeden z bastionów trwałości. Teraz to się zmieniło. Stała się w ich małżeństwie intruzem, winowajcą, podpatrującym ich cieniem.

Było coś nie na miejscu, nawet chorego, w jej nieobliczalnym uczuciu, skoro wszystko, czego Oliver szukał to pomoc i pociecha. To, co czuła, nie mogło zrodzić się z litości, bo litość nie była jej cechą, chociaż praktyczne współczucie – tak.

Czuła, że każdy krok zwiększa dystans pomiędzy nią a śpiącym Sebastianem, czuła, że oddala się od Grace, zaabsorbowanej swoim „długo i szczęśliwie” i mówiącej „my”, a także od nich, od Olivera i Melissy, od jej sukcesu i jego podejmowanych na oślep prób szczerości.

Oni nigdy się nie domyśla, co się z nią dzieje, i to umrze. Po prostu umrze, czyż nie tak? Ignorowane, niepodsycane, takie rzeczy umierają.

Oliver powie Melissie następnego dnia i wszystko będzie znów po staremu. A może ona, Lily, straciła swoje miejsce pomiędzy nimi? Jeśli tak, to kto zajął jej krzesło w rodzinnej zabawie w komórki do wynajęcia? Może Johnny Cochrane ze swoim: „Wszystko w porządku, Lii, panuję nad sytuacją” i „Chcesz się załapać”? Może nikt, może zostało po prostu zlikwidowane? Przez Olivera i jego „największą zdradę”. Lub, co bliższe prawdy, ona sama zrzekła się go przez tę bezwstydną zmianę uczuć wobec niego. Być może nie kogo innego, tylko siebie powinna winić za tę banicję na dalekie rubieże.

Nocny Londyn lubi samotnych, tak jak ulice wszystkich wielkich miast. Jest jakieś ukojenie w wyszczerbionych chodnikach, w biurowcach, czekających niewzruszenie następnego dnia, w zaułkach, dyszących śmiechem, przewrotnością, witalnością i występkiem. Każdy stan ducha można rozmydlić, zagubić pośród tych ulic, wypłukać w większym bezsensie całości. To pomieszczenia doprowadzają człowieka do szaleństwa, zamykając niepokój i poczucie zagrożenia w czterech ścianach. Ale nie mogła wędrować w nieskończoność, musiała w końcu dotrzeć do celu i dotarła, a kiedy weszła do pracowni, nie było aż tak źle. Sprzęty były ułożone ręką Grace, tak jak je rano pozostawiła.



W pokoju panował chłód, bo okno nadal było otwarte na całą szerokość. Powietrze, tym razem nocne, wpadało z zawrotem do środka. Lily powiesiła na drucianych wieszakach swojego Gilberta Adriana, żakiet Schiaparelli i liberię lokaja. Pozostałe, nieobciążone, nadal podzwaniały o ściany. Zamknęła okno, aby je uspokoić, zasunęła zasłony, odcięła wszystko, co na zewnątrz. Położyła się do łóżka, kładąc obok siebie belę starego, czarnego, żakardowego jedwabiu. Przebiegła palcami po jego zróżnicowanej powierzchni w poszukiwaniu natchnienia. Jutro zrobi z niego jakąś piękną rzecz. Będzie pracować. Nie będzie myśleć. Chociaż gdzieś tam był Oliver – w nowym świetle, w innej perspektywie, ze swoim wielkim, niedomagającym ciałem, atakującym jej zmysły – nie miało to w tej chwili znaczenia. Była sama w mieszkaniu szubrawca: nie było nikogo, kto mógłby zobaczyć, kto mógłby się dowiedzieć, co dzieje się w jej głowie.

Gdzieś w środku nocy Lily postanowiła, że nie będzie na razie zapuszczać nożyc w zakardowy jedwab, tylko wyjedzie na kilka dni na północ poszperać po targowiskach i wyprzedazach. Przed wyjazdem napisała list do Larry'ego, grożąc mu w zdecydowanym tonie podjęciem kroków prawnych, jeżeli nie postara się odnaleźć kilku wciąż brakujących rzeczy z jej kolekcji. Jako jej stary przyjaciel i syn Angeli mógł się całkiem słusznie spodziewać, że nigdy mu czegoś takiego nie zrobi. Miał jednak sporo do ukrycia, gdy idzie o narkotyki, i Lily pokładała spore nadzieje w jego obawach.

Gdy się z tym uporała, zadzwoniła do Grace, u której zgłosiła się automatyczna sekretarka. Lily zostawiła nazwę wioski w Yorkshire, gdzie zamierzała pojechać na chybił trafił, ale ani słowa o tym, jak długo zamierza się tam zatrzymać.

Podczas drogi usiłowała skierować myśli na pracę. Czas rozszerzyć działalność, może zatrudnić więcej szwaczek, otworzyć sklep, co zawsze było jej celem. Pomimo starań wszystko to było mniej ważne i rzeczywiste niż postać tkwiąca za kulisami jej świadomości. Żałowała, że nie zadała pewnych pytań – choćby, jak długo taki stan może trwać. Czy da się to wyleczyć, czy tylko złagodzić? Czy choroba może sama ustąpić, tak jak się pojawiła? Do tej pory musiał już powiedzieć o wszystkim Melissie i to ona zada teraz te pytania, weźmie sprawy w swoje ręce, jej praktyczne podejście uśmierzy jego strach i zatrze wszelkie wspomnienie tej chwili, która raz na zawsze położyła kres trwającej ponad piętnaście lat zażyłości Olivera i Lily.

Kiedy dotarła do North Yorkshire, zatrzymała się, żeby kupić lokalną i regionalną gazetę, zanim ruszyła dalej w kierunku wybranej przez siebie wioski. Jednak tuż przed nią napotkała pub, stojący w nagiej pustce w najwyższym punkcie Swale Dale, i zatrzymała się tam na lunch. Wkrótce pogrążyła się w intymnej anonimowości barowych pogawędek z miejscowymi ludźmi, ustalając przede wszystkim, gdzie szukać sklepów z antykami i starzyzną. Następnie, wypytyując rozmówców o ich sprawy, dowiedziała się, kto pracuje w kopalni, we młynie, na barce, kto prowadzi wypasy na wzgórzach. Kiedy okazało się, że na piętrze są wolne pokoje, postanowiła nie jechać dalej.

Przez resztę dnia i cały dzień następny wędrowała po gąbczastych, uginających się pod stopą wrzosowiskach, odpoczywała pod murami z nieociosanego kamienia, przechodziła pomiędzy stadami owiec, które falowały wokół niej niczym spłowiła

piana, naruszając swoim beczeniem otaczającą ciszę.

Wiosna wahała się jeszcze w tej części Anglii – jej rozgrzewające, wonne tchnienie pojawiało się w chwilach, gdy wiatr ucichał, tylko po to, by znów umknąć, pozostawiając jedynie złoty, miodowy blask.

Wysiłek fizyczny postawił Lily na nogi i tej pierwszej nocy spała twardym snem bez marzeń. Pod koniec drugiego dnia jej wędrująca świadomość również powróciła w stare tory. Kiedy weszła tego wieczora do pubu, uśmiechając się bezwiednie, z włosami w nieładzie, znajomy z wczorajszego dnia przywołał ją kiwnięciem do siebie. Był to chudy jak szczapa, przygięty latami mężczyzna, okryty szorstkim tweedem. Jego przenikliwe, lśniące oczka i nos w kształcie dzioba tkwiły pomiędzy niechlujną, spłaszczoną czapką a wystającą dolną szczęką. Najwyraźniej nieusuwalna fajka wciśnięta była w wąską linię ust, zaznaczonych jedynie przez skupisko wąsatych zmarszczek.

– No, dziewczyno – powiedział – Teraz wyglądasz pani jak zuch. Chodź pani tutaj. Piwa? – Bezwiedny uśmiech Lily zgasł. On musiał to zauważyć, bo dodał zafrasowany: – Nie musi, jak nie chce.

– Nie, nie, napiję się, dzięki. – Pochyliła się razem z nim nad barem. – Proszę opowiedzieć mi więcej o swoim dziadku. Był ładowaczem węgla na barkach, prawda?

– Aha, prawda... – I zabrał się do opowiadania, gdyż osiągnął wiek, w którym przeszłość ma wyrazistość poranka.

Później dołączyli do niego jeszcze dwaj rówieśnicy, dorzucając swoje własne wspomnienia chłopięcych eskapad, każdy na swój własny sposób folgując najdzikszym fantazjom, które z czasem i częstym powtarzaniem zyskały walor uświęconej prawdy. Poklepywali się nawzajem po plecach, mówiąc: „A pamiętasz, wtedy... wtedy...”, bez dalszego ciągu. I pamiętali. Ich myśli łączyły się i ścierały w ogromie dawno minionego czasu i wszyscy trzej zginali się wpół, niczym sfatygowane akordeony, dopóki śmiech nie znalazł sobie wreszcie ujścia.

Młode towarzystwo w zapełniającym się pubie przyglądało się im sceptycznie, pokpiwając dobrodusznie: weterani musieli dawać Lily niezły wycisk. Ona również się śmiała, z głową na wysokim oparciu siedziska z ciemnego dębu. Tak, to było zadowolenie.

W miarę jak lokal się zapełniał, coraz więcej ludzi gromadziło się wokół nich, trzymając w ręku swoje szklanki. Tłum popychał ich od czasu do czasu na stolik, przy którym siedziała Lily ze swoimi trzema kompanami. Rumiany mężczyzna w średnim wieku odwrócił się, kiwnął przepraszająco głową, w tym samym

momencie dostrzegając nieznajomą, trzech miejscowych i nagromadzone przed nimi butelki po piwie. Mrugnął do Lily, a ona, odnosząc to do napitku, pogawędki i swoich rozgadanych przyjaciół, również puściła do niego oczko. Ktoś jej wcześniej wspomniał, że to miejscowy lekarz.

Zaklekotały otwierane drzwi, wpuszczając kolejnego gościa, tym razem kobietę, w czarnym, nieprzemakalnym płaszczu przeciwdeszczowym. Ledwie można było ją dostrzec poprzez tłum, ale Lily oceniła, że musi być tu obca, bo rozmowy przycichły, kiedy torowała sobie drogę w kierunku baru. Lily także ruszyła w tę stronę, aby zamówić drugi talerz frytek. Trzej weterani najwyraźniej nie potrzebowali innego pożywienia prócz piwa.

– George, jeszcze frytek, proszę! – zawołała do właściciela, wyciągając rękę z talerzem ponad głowami ludzi siedzących na wysokich stołkach przy kontuarze. W palcach trzymała pięcioletni banknot, aby przyciągnąć jego uwagę. – Już idę – powiedział George, ale Lily nadal tkwiła w tej niewygodnej pozycji, czekając, aż talerz zostanie napełniony. Jednak zamiast tego poczuła na swojej innej ręce, kobietą, drobną, delikatną i niecierpliwą. Spoza masywnych ciał Lily dostrzegła, że ręka wystaje z mankietu czarnego płaszcza przeciwdeszczowego. W pierwszej chwili myślała, że ktoś chce wyrwać jej banknot spomiędzy palców, kiedy ponad ogólną wrzawą usłyszała wołanie:

– Lily? – Tutaj, Lily!

Zaczęła się przepychać, aż dotarła do baru. Wówczas wyciągnęła szyję w lewo, skąd wysuwała się ręka. Spoza łokci, ramion i baterii szklanek wychylała się twarz Melissy, tak swojska, że niemal abstrakcyjna w tym niezwykłym otoczeniu.

Zajęło jej minutę lub dwie, nim precyzyjnie się między ludźmi i odnalazła ją: bladą, zmęczoną, nadal nie obsłużoną, zgrzaną w nieprzemakalnym płaszczu. Melissa chwyciła Lily za rękę.

– Dzięki Bogu, że cię znalazłam. Nie spodziewałam się, że tu będziesz. Weszłam tylko, żeby się rozpytać. Chciałam cię szukać w Reeth. Grace powiedziała, że tam masz się zatrzymać.

– Co się stało, mów! Coś z Sebastianem? Czy z Grace? A może... – imię Olivera nie mogło jej przejść przez gardło.

– Nie, nikomu nic się nie stało. Nie chodzi o nic takiego, naprawdę.

– Ale jak chciałaś mnie znaleźć w Reeth? Sama nie wiedziałam, gdzie będę.

– Michelin... – Melissa uniosła czerwoną książeczkę, niemal zakłopotana własną bezbłędną logiką. Nie ma tu tego zbyt wiele. Pytałabym wszędzie po kolei.

Gdy przerażenie nieco opadło, w jego miejsce pojawiła się skrywana złość.

– Dlaczego nie spróbowałaś po prostu zadzwonić? Po co jechać taki kawał?

– Zadzwonić nie mogłam. Musiałam... muszę pilnie z tobą porozmawiać. Ale nie tutaj, proszę, w jakimś spokojniejszym miejscu. Gdzie się w końcu zatrzymałaś?

– Na górze. Zaczekaj w holu, zaraz do ciebie przyjdę.

Niepokój i udręka, które sen i piesza wędrówka uśmierzyły w ciągu ostatnich dwóch dni, znów się na nią zwały. Z żalem porzucając swoją wesołą kompanię dla pełnej napięcia powagi, którą Melissa miała wypisaną na twarzy, Lily rzuciła lekko w stronę starych akordeonów – znów zgiętych wół, rechoczących niewątpliwie nad jakimś kolejnym chłopięcym wyczynem:

– Hej, chłopaki, muszę już iść. Do zobaczenia, może jutro.

Trzy ręce uniosły się w zdumionym geście pożegnania.

Wzruszyli do siebie ramionami i ciągnęli dalej przerwane wspominki.

– Tędy – powiedziała Lily, idąc naprzód wąskim, stęchłym korytarzem o ścianach tabaczkowej barwy. Zaczęła wchodzić na górę po zdezelowanych schodach. Melissa szła za nią posłuszenie, z tak niezwykłą u niej pokorą, że Lily zatrzymała się w pół drogi, przyglądając się stojącej o jeden schodek niżej Melissie, która uniosła głowę, napotykając jej spojrzenie, i Lily mogła zobaczyć ją „z opuszczoną przyłbicą”. Ciemne oczy, zwykle tak pełne życia, ciekawości, dociekliwie, teraz były przygaszone, odbijała się w nich niepewność i coś jeszcze, coś trudnego do określenia. Ładnie wykrojone, ruchliwe, czerwone usta były ściągnięte niemal w jeden punkt, włosy wiły się pod wpływem wilgoci.

Lily odwróciła się i szła dalej, aż znalazła się w górnym korytarzu, identycznym jak ten na dole, i otworzyła jedno z czworga znajdujących się tam drzwi. W środku stały dwa pojedyncze, niezwykle wysokie drewniane łóżka, każde wyładowane po wierzch kwiecistymi, pikowanymi kołdrami. Pomimo dywanu w pomarańczowe i złote arabeski oraz ciemnozielonych zasłon, (nie grubszych niż chusteczka do nosa), pokój stanowił w jakiś sposób kontynuację panującego za drzwiami brązu. Oprócz łóżek, komody i umywalki w narożniku nie było tu innych mebli. Jeden obraz, przedstawiający niezbyt wiernie otaczające wzgórze, był zawieszony równo pośrodku między dwoma łózkami.

Melissa weszła, usiadła na brzegu łóżka, nie oglądając się nawet za nieobecny krzesłem. Wyswobodziła się z płaszcza, który osunął się, odsłaniając dzinsy i sweter – ulubiony strój domowy Melissy. Sięgając do swojej wielkiej, przypominające worek skórzanej torby, wyjęła stamtąd butelkę koniaku. Ten wysiłek zdawał się całkowicie wyczerpać jej siły, bo siedziała tak, wpatrując się w

leżącą na jej kolanach butelkę. Lily wzięła z umywalki dwa kubki, otworzyła koniak i naląła.

– Więc? – powiedziała, podając kubek Melissie, nieco zaszokowana zniecierpliwieniem, które zabrzmiało, wbrew intencji, w jej głosie. Melissa była w oczywisty sposób przybita. Naturalną rzeczą byłoby objąć ją teraz, ale nie wiadomo dlaczego, Lily nie była w stanie tego zrobić, mogła jedynie zacząć tę rozmowę innym tonem. – Co się stało, Melisso? Powiedz mi. – I dodała, natychmiast tego żałując: – Skoro już tu przyjechałaś taki kawał drogi.

– Jesteś zła, prawda? To jest najście, tak przyjechać bez niczego, bez telefonu. – Nie oczekiwała odpowiedzi, stwierdzała po prostu fakt, ale zaraz potem dodała, i tym razem było to rzeczywiste pytanie: – Ojej, a może ty jesteś tutaj z przyjacielem? Nie pomyślałam o tym, w ogóle nie przyszło mi to do głowy!

Złość Lily wzbierała coraz bardziej.

– Przyjechałam tu, żeby być sama.

– Nie żeby polować, jak zwykle, po okolicy?

– To również.

Melissa ponownie sięgnęła do torby, wyjęła z niej paczkę papierosów, wytrząsnęła jednego i znów zaczęła w niej grzebać po omacku, tym razem w poszukiwaniu zapalniczki. Wszystko to trwało jakiś czas i Lily stała obok, zdeorientowana.

– Chodzi o Olivera – powiedziała Melissa, wreszcie usadowiona, z papierosem w ręku, z oczyma utkwionymi w kubku, nie całkiem sięgając stopami podłogi.

Panika eksplodowała w piersi Lily. Rzuciła się do Melissy, ściskając ją za ramię.

– Nie żyje? To niemożliwe, żeby umarł!

Melissa spojrzała na nią, zdumiona. W jej wzroku błysnęła na moment właściwa jej, żywiołowa, przenikliwa inteligencja.

– Skąd ten pomysł? Dlaczego miałyby umrzeć? – zapytała opanowanym głosem.

Ta słowa dowodziły, że żył. Człowiek nie bawi się w szermierki słowne, przynosząc wiadomość o śmierci – nie wówczas, gdy rozmówca uwolnił go od jego zadania, domyślając się prawdy. Lily wycofała się w stronę okna. Na dole ludzie opuszczali pub, kuląc się przed deszczem. Stojąca na dziedzińcu samotna lampa oświetlała napływające postacie, wydobywając z ciemności ich głowy i ramiona. Odgłosy kroków na żwirze, wesołe pożegnania, trzaskanie drzwi samochodów, zapalanie silników, wszystko to odcinało się wyrazistym echem w nocnym powietrzu.

– Lily? – odezwała się Melissa, aby przywołać z powrotem jej najwyraźniej nieobecna uwagę, a Lily zdawało się, że głos zabrzmiał zdumiewająco blisko, niemal we wnętrzu jej głowy. Odwróciła się i ujrzała, jak Melissa zakrywa oczy dłonią. Pragnienie rozmowy, waga tego, co miała za chwilę powiedzieć, musiały odsunąć na bok wszelkie podejrzenia i pochylając głowę, bez wprawy, bez pozy, Melissa zaczęła płakać. – Jest chory, Lily, jest bardzo chory.

Lily przygotowała się do odegrania żalosnego spektaklu niewiedzy, zadania kilku pytań, na które знаła odpowiedź, zanim będzie mogła postawić to najważniejsze. Więc podeszła do niej, objęła ją tym spóźnionym gestem i Melissa, ta chłodna, błyskotliwa, niezależna, pewna siebie osoba, skłoniła głowę i rozplakała się na dobre na jej ramieniu.

Emocje szybko opadły i Melissa postawiła im ostatecznie tamę, mówiąc:

– Dobrze, dość tego, wystarczy. To nie w moim stylu, sama wiesz. – Wróciła znów do torby, tym razem po chusteczkę, którą po otarciu twarzy dalej miętoszyła w dłoniach. – Słuchaj, opowiem ci wszystko po kolei – powiedziała.

Lily została ostatecznie zwolniona z zadawania pytań.

– W piątek po twoim wyjściu przegadaliśmy mnóstwo czasu o moim programie, przestudiowaliśmy kontrakt i w końcu byłam tak zmęczona, że położyłam się do łóżka. Oliver powiedział, że przyjdzie za chwilę. Kiedy obudziłam się jakiś czas potem, nie było go w łóżku. Poznałam po zmiętych kocach, że musiał się na chwilę położyć. Poczekalam trochę, po czym wstałam, żeby go poszukać. Usłyszałam, jak chodzi tam i z powrotem po salonie, jeszcze zanim otworzyłam drzwi. Musiałam zajrzeć po cichu do środka, chociaż nie miałam takiego zamiaru, i wtedy go zobaczyłam. Zatrzymał się właśnie i stał nago na środku pokoju, tyłem do mnie. Zauważyłam, że jego ręce nieznacznie drżą. To było ledwie zauważalne, ale był to w tym momencie jedyny ruch w całym pokoju i do tego jakiś dziwny. Czy wiesz, co sobie pomyślałam? – Odwróciła się i spojrzała na Lily, siedzącą obok niej na łóżku, jak gdyby chciała sprawdzić, czy jest gotowa na tę wiadomość. Doszła do wniosku, że nie, bo powiedziała: – Nie, nie mogę. – Spuściła wzrok, ale zmieniła zdanie. – Dobrze, powiem ci. Pomyślałam, że się onanizuje. Że stoi tam i to właśnie robi. Tak to wyglądało. Krzyknęłam na niego, musiałam być oburzona, i to był dla niego straszny szok. Kiedy chciał się odwrócić, przewrócił się. To też było dziwne, naprawdę, i pomyślałam, że jest pijany. A więc leżał tam nagi na podłodze, a ja stałam nad nim. Nie wiem, co mnie naszło, ale naprawdę myślałam, że on to właśnie robi, nie miałam cienia wątpliwości. I to na środku naszego salonu. Widzisz, jego ręce były

opuszczone i podskakiwały, wydawało się to oczywiste. „Proszę cię, zostaw mnie w spokoju”, powiedział, leżąc tak u moich stóp, a ja na to: „Co ty u diabła robisz?” czy coś w tym rodzaju. A on, Boże, przebac mi, zaczął płakać. Nie dosłownie. Nie potrafię tego opisać, ale tak było i ja o tym wiedziałam, i nawet to mnie nie zastanowiło. – Tama postawiona emocjom zaczęła trzeszczeć, ale Melissa powstrzymała to, odrzucając głowę do tyłu, mrugając w stronę sufitu, biorąc głęboki wdech. – A więc... byliśmy tam: on nagi na podłodze, a ja nad nim, kubek w kubek jak jakaś cholerna połoźna, przyjmująca chłopca. „Jestem chory, Melisso” – powiedział. – „Jestem chory i boję się”. „Tak – powiedziałam – z pewnością jesteś chory, skoro to robisz na środku naszego salonu”. Boże drogi, można by się niemal uśmieć.

Lily zdjęła rękę z pleców Melissy i zacisnęła ją na jej dłoni, ze spuszczoną głową, ze stężoną twarzą. Melissa nakryła jej dłoń drugą ręką – pocieszany był teraz tym, który pocieszał – ale ciągnęła dalej z brutalną szczerością.

– „Co robię?”, zapytał z podłogi, na której leżał u moich stóp niczym wielkie niemowlę. „Onanizujesz się – powiedziałam – widziałam cię”. Wtedy zaszła w nim jakaś zmiana. Ustał ten dziwny płacz, który nie był płaczem, a on był... ach... wściekły, ale jednocześnie straszliwie opanowany i spokojny. Gdybym go dobrze nie znała, mogłabym sądzić, że mnie uderzy. I wiesz co, Lily? Widziałam już wcześniej ten wyraz na jego twarzy, w ciągu tych ostatnich tygodni. I inne rzeczy też, te fizyczne, ale zwyczajnie nie zarejestrowałam tego na żadnym wyższym poziomie. Praca tak nas pochłania, że często jesteśmy zbyt zmęczeni, by rozmawiać, naprawdę rozmawiać. Wtedy wstał i podniósł się, bardzo, bardzo powoli. Wciąż myślałam, że jest pijany, bo to wszystko przychodziło mu z takim trudem. Stał teraz naprzeciwko mnie i ku mojemu przerażeniu dalej to robił, wykonywał ten ruch. Ale teraz widziałam, że w ogóle nie dotyka swojego ciała. Jego ręka po prostu podskakiwała.

Myślałam, że się wygłupia. „Przestań”, powiedziałam. „Nie mogę – odpowiedział bardzo spokojnie. – Nie mogę przestać, Melisso”. – Lily? – Dziewczyna wciąż była skulona i patrzyła w inną stronę. – Lily? – powtórzyła Melissa. – Sztywne kiwnięcie głową w odpowiedzi. – Lily, on jest bardzo chory.

Odtworzenie tej ohydnej sceny w jakimś stopniu przywróciło Melissie równowagę. Przez podzielenie się tym z inną osobą sprawa została w jakiś sposób rozcieńczona. Być może, gdyby opowiedziała to dwudziestu ludziom całe wspomnienie zostałoby zredukowane do błahostki.

Lily musiała oderwać swoją wyobraźnię od tego pokoju, który tak dobrze znała,



z jego zielonymi roślinami, podłogą z politurowanych desek i afrykańskimi skarbami Olivera. Musiała zostawić go, gdy tak stał nago, dygocząc, przed Melissą. Przyszedł czas na pytanie. Melissa czekała, aż Lily je zada, aby móc kontynuować swoją opowieść.

– I co wtedy zrobiłaś? – Jej głos się załamał. Nie było to najlepsze pytanie. Chciała zapytać o co innego: „Czy go przytuliłaś? Czy wzięłaś w dłonie jego trzęsące się ręce i przyciągnęłaś je do siebie? Czy potem uniosłaś swoje ręce, aby dosięgnąć jego ramion, bo przecież jesteś taka maleńka w porównaniu z nim? Czy położyłaś głowę na jego nagiej piersi i poczułaś jego ciepło na swojej twarzy? Czy słyszałaś głębokie dudnienie jego serca? Czy po wyjściu z łóżka byłaś rozebrana, tak jak on? Czy przycisnęłaś mocno swoje ciało do niego? Czy zawstydzenie kazało ci się osunąć na kolana, i otoczyć ramionami jego długie, masywne uda, czy teraz ty znalazłaś się niżej, tak jak on był przed chwilą niżej? I tam, na kolanach, z ustami w ciepłe jego pachwiny, czy zrobiłaś wszystko tak, jak trzeba – czy równowaga dumy została przywrócona? Czy kochaliście się? Co zrobiłaś?”.

– Przyniosłam mu jego szlafrok.

– I co? – Bo wciąż coś zostało niedopowiedziane, jakiś ból był z nimi nadal w tym pokoju.

– Rozmawialiśmy przez resztę nocy. Podał mi wszystkie informacje, którymi w tej chwili dysponuje. Nie ma tego zbyt wiele. To jedna z tych rzeczy o nieznanym przebiegu. Bierze już leki. Widzisz, byłaś wtedy zbyt mała, żeby pamiętać, ale kiedy był w Afryce, zachorował bardzo poważnie na zapalenie mózgu. To było coś o nazwie *Encephalitis lethargica*. Był nieprzytomny przez bardzo długi czas. Specjalista mówi, że to może powracać, ale w innej postaci. Kiedy ma skok adrenaliny, objawy mogą na pozór chwilowo ustąpić – na czas kiedy jest podniecony. Lekarze mówią też, że... – wciąż fakty, fakty, fakty. Melissa zapalała się coraz bardziej, mówiła coraz więcej, podekscytowana, aż Lily nie mogła tego dłużej znieść i przebiła się przez potok tych szczegółów i terminologii.

– Melisso?

(...ale jeśli odstawi kawę i herbatę, alkohol, papierosy, czerwone mięso, wszystkie produkty nabiałowe i niektóre inne – sprawdziłam to w sobotę w bibliotece, wtedy zdecydowanie będzie...)

– Melisso?

– Co?

– Gdzie on teraz jest?

– W domu – spojrzenie na zegarek – w łóżku, jak sędzę.

Nareszcie to zasadnicze, oczywiste pytanie:

– Co ty tutaj robisz? Po co przyjechałaś?

Zaległa długa cisza, po czym Melissa wydała mimowolne „Ach...”, jak gdyby coś ją ugodziło, i znów podjęła pracę nad „tama”: wzięła głęboki oddech, wyjęła następnego papierosa, zapaliła go, ukryła twarz w dłoniach. Kolejne „Ach...” było przez jakiś czas wszystkim, na co mogła się zdobyć, nie tracąc panowania nad sobą.

Melissa wstała z łóżka i zaczęła chodzić po pokoju ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Ustawiając wyciągnięte dłonie naprzeciw twarzy, jak gdyby centrowała wydruk, zaczęła:

– Kiedy mi o tym powiedział... – ale zrezygnowała z tego wstępu. Odczekała chwilę i spróbowała znowu, tym razem wyciągając jedną rękę przed siebie: – Problem polega na tym... – Wydając urywany jęk, dała temu spokój, oparła się o ścianę, ukryła twarz w zgięciu łokcia i rozsłochała się.

Lily podeszła do niej, odwróciła ją, objęła, na co Melissa pozwoliła z bezpretensjonalną prostotą. Po chwili odsunęła się nieco od Lily, przytrzymując ją za ręce, spojrzała jej w twarz, unosząc głowę, i zaczęła mówić, zaciskając kurczowo palce na jej rękach:

– Więc kiedy mi powiedział, a ja przyniosłam mu ten szlafrok, usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać. Potem on wyciągnął rękę w moją stronę, dotykając mnie nieśmiało... Ach, nie wiem, co czułam przez tę sekundę, jaką trwało to dotknięcie, ale było nieśmiało, bojaźliwe, jakby zawstydzone. Widzisz, ja od początku wiedziałam, że on czegoś takiego pragnie. Widziałam, że tęskni do fizycznego ukojenia. Ale ja nie mogę tego zrobić, Lily... – W jej szeroko otwartych oczach widniał szok, wywołany tym wyznaniem. – Nie potrafię się zmusić, żeby go dotknąć ani znieść jego dotyku. Bo oprócz tego wszystkiego, co w tym dotknięciu czułam, wyczuwałam też drzenie, czułam chorobę. Zrobiło mi się niedobrze, myślałam, że zwymiotuję. Odskokczyłam od niego. „Przestań! – krzyknęłam. – Nie dotykaj mnie”. Powiedziałam to, zanim zdołałam się powstrzymać. Ja nad tym nie panuję, Lily. To we mnie tkwi głęboko, bardzo głęboko. A on powiedział: „Melisso, proszę”. Tylko tyle. Z godnością, nie błagalnie. Ale on mnie zna, wie, jak ze mną jest. Przez te wszystkie lata wiedział, jak wpływa na mnie bliski, fizyczny kontakt z niesprawnością. To jest coś, nad czym nie potrafię zapanować. Potem udawaliśmy, że on nie miał fizycznego pragnienia, a ja nie okazałam się niezdolna, by je zaspokoić. Przez ostatnie półtora dnia krążyliśmy wokół siebie, udając i zachowując się uprzejmie. Zobaczyłam, jak bierze tabletkę. „W porządku?”,

zapytałam. „Tak, świetnie”, odpowiedział. A potem pochwyciłam jego spojrzenie, gdy patrzył na mnie, a on przyłapał mnie, jak patrzę na niego, i było w tym wszystko, co nie zostało wypowiedziane.

Jej słowa padały z rozpędem i pasją, spokojny, mocny głos Lily stanowił z nimi dziwny kontrast.

– Melisso, to się już stało. On jest chory. Ty o tym wiesz. Jesteście razem. Musisz stawić temu czoło, czyż nie tak? Przecież to nie ty, tylko on musi sprostać najcięższej próbie.

– Więc nie rozumiesz, tak? – Melissa odsunęła się i wycelowała w nią palec, groźnie, oskarżycielsko, na pograniczu hysterii. – Właśnie ty! Byłam pewna, że ty jedna zrozumiesz. Tylko dlatego tu przyjechałam. Kiedyś rozumiałaś. Kiedyś pomogłaś.

– O czym ty mówisz?

– O Sebastianie, do cholery. Wtedy mi pomogłaś, w ciągu tych zapomnianych przez Boga miesięcy, a nawet lat. Wszystko, czego zawsze pragnęłam, to zdrowe, normalne dziecko. Nie musiało być mądre ani ładne. A co Bóg mi dał? Małe, ślepe stworzenie.

– Przestań!

– A mówiłam Oliverowi na długo przedtem, zanim Sebastian się urodził: „Jeśli coś będzie nie tak, nie urodzę go. Usunę ciężę”. Testy śródowodniowe wykazały, że wszystko jest w porządku. O tak, w porządku. Ale nawet wtedy, na wszelki wypadek, kazałam mu przysiąc, że jeśli mimo wszystko dziecko nie będzie normalne, nie zatrzymamy go. Oddamy do adopcji. I co się stało? Co się stało?! – wciąż wyciągając palec, trzęsąc głową, krzyczała: – Urodziłam cholerną ślepotę! Boże drogi! „A więc stało się. Jest upośledzony – powiedziałam. – Nie zatrzymam go”. Ale zdaniem Olivera był w porządku, normalny, tylko po prostu niewidomy. Upośledzenie wzroku się nie liczy. Zmusił mnie, żebym go zatrzymała.

– Ale przecież ty go kochasz. Kochasz go!

Oskarżycielski palec opadł, Melissa zamknęła oczy.

– O tak, kocham go. Uwielbiam go, Lily, ale nie mogę go znieść. To szuranie, wpadanie na przedmioty...

– Rzadko kiedy.

– Tak, ale jednak. I ten nienormalny wyraz jego twarzy, te rozdziawione usta...

– Nie mogę tego słuchać.

– Tak, bo to, co ci o sobie wyznaję, jest groteskowe. Gdyby oni wiedzieli, ci wszyscy, którzy kojarzą moje imię z troską o upośledzonych tego świata, pomyśl

tylko, na jaką komediantkę bym wyszła. Wiem, że w gruncie rzeczy usiłuję stawić czoło w skali ogólnej temu, z czym nie mogę sobie poradzić osobiście. Nie myśl, że jestem z tego dumna. Gdybym pracowała w ten sposób do końca świata, nigdy nie wynagrodzi to faktu, że nie wzięłam Sebastiana na ręce przez cały rok od jego urodzenia, ani tego, że nie wzięłam Olivera w ramiona tamtej czwartkowej nocy. Jesteś jedyną osobą na świecie, z którą mogłam o tym porozmawiać. Myślałam, że czułaś, co się ze mną dzieje, rozumiałaś to i dlatego wzięłaś na siebie tak wiele.

– „Wzięłam to na siebie”, jak to określasz, bo po pierwsze, byłam ciekawa Sebastiana, jak każda dwunastoletnia dziewczynka byłaby ciekawa niemowlęcia, a po drugie, bardzo szybko go pokochałam. Wszystko, co kiedykolwiek dla niego zrobiłam, zrobiłam z tego powodu i pomaganie tobie nie miało tu nic do rzeczy.

– Dobrze, więc zrób to jeszcze raz, Lily – wyszeptała z uniesieniem. – Proszę! – Tym razem zrób to dla Olivera.

Lily chwyciła poręcz łóżka, w którego nogach stała, jakby chciała się od czegoś powstrzymać. Podczas gdy ręce ścisnęły poręcz, jej twarz pochyliła się nad Melissą. Głos Lily był na pozór chłodny, opanowany, ale w słowach dźwięczał sygnał alarmowy.

– Posłuchaj mnie, dobrze? Gdyby wtedy, przed laty, w mojej dziewczęcej głowie powstała myśl, że pomagam ci uniknąć konfrontacji z twoimi uczuciami do Sebastiana czy w ogóle zajmowania się nim, nie sądzę, żebym zrobiła to, co zrobiłam. A to, o co teraz prosisz, co to właściwie jest? Co to jest, powiedz! „Podaj dalej” paczkę z twoim mężem jako niespodzianką w środku?

– Proszę...

– Czego konkretnie ode mnie oczekujesz? Pieluszki, jeśli nie będzie panował nad wydalaniem, tak jak Sebastian, gdy był niemowlęciem? Karmienie butelką?

– Nie chcesz zrozumieć...

– Nocniczki i wycieranie pupy? Czy mimo wszystko nie jest dorosłym człowiekiem, wrażliwym, dumnym mężczyzną? Czy może chodzi ci o to, żebym go zamiast ciebie przytulała? Może nawet wzięła do łóżka?

– Jesteś obrzydliwa.

– Obrzydliwa? Och, przepraszam. Moje obowiązki nie będą dotyczyć seksu, tak? Będzie się musiał po prostu nauczyć obchodzić bez tego. Dobrze mu tak, za to, że ma to coś, jakkolwiek to zwał. Czy naprawdę to przemyślałaś, Melisso? Czy on wie, że tu jesteś?

– Oczywiście, że nie. Tak czy inaczej musiałam przyjechać do Leeds na mój program telewizyjny.

– Program, naturalnie. Cóż, odmawiam twojej prośbie, więc co teraz zrobisz? Będziesz nagabywać innych do skutku, aż znajdziesz kogoś, kto powie „tak”, czymkolwiek byłoby to, o co prosisz? Czy Oliver będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia? Czy ma być pozbawiony całej godności?

– Dlaczego taka jesteś, Lily? Nie rozumiem, co ci zrobiłam. Myślałam, że łączy nas przyjaźń. Wyznałam ci rzeczy, o których wie tylko Oliver, których się wstydzę, przyznaję to, a ty mnie atakujesz. Czy twoja słodycz jest tylko dla Sebastiana i dla Grace? Nic dla Olivera, nic dla mnie?

– Prosisz o zbyt wiele, a tak naprawdę nie prosisz o nic, bo tego, o co prosisz, nikt nie jest w stanie zrobić. Chcesz, żebym ukryła jego chorobę, ukryła brzydotę, zażenowanie, i pozostawiła ci mężczyznę takiego, jakim był. Cóż, nie potrafię, a gdybym nawet potrafiła, nie ja powinnam to zrobić. Wracaj i zmierz się z tym, Melisso.

Przez cały czas Melissa stała, chwiejąc się, cofając, zataczając, broniąc się z wyciągniętymi rękami przed słowami Lily. Teraz skuliła się na brzegu łóżka, ze zwieszoną głową, z dłońmi złożonymi między kolanami.

Lily nie usiadła – nadal stała nieruchomo, zmobilizowana, obwarowana przeciw jakiegokolwiek podjętej na nowo, udoskonalonej próbie.

– Nie myślałam, że tak to wyjdzie – powiedziała Melissa. – Nie przyjechałam tu, żeby prosić o to, o co wydaje się, że proszę. Chciałam po prostu z kimś porozmawiać. Nie mam zbyt wielu bliskich przyjaciół.

– Jest Oliver. Jest Sebastian, Grace.

– Oliver nie chce na razie mówić Grace, nie chce zakłócać jej szczęścia. A ja nie chcę, żeby Sebastian się dowiedział. Widzisz, te objawy są wizualne. On ich nie zobaczy. Nie ma sposobu, żeby się dowiedział.

– Nie byłabym taka pewna.

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek zrobiła z siebie taką idiotkę.

Lily ogarnął przyptyw czułości.

– Teraz też nie zrobiłaś. Przepraszam, jeśli sprawiłam ci przykrość. To jest koszmarna historia i myślę, że każdy z nas będzie reagował w inny sposób.

– Tobie nigdy się to nie zdarza, prawda?

– Co takiego?

– Zrobić z siebie idiotkę?

Ze wszystkich spraw, które mogłyby poruszyć, ta wydawała się najmniej istotna, ale dla Melissy miało to jakieś niepojęte znaczenie i Lily pomyślała o Larrym, o Monie, o swojej kolekcji i o niespodziewanym, absurdalnym pożądaniu

wobec męża tej kobiety, które zaprowadziło ją w to odległe miejsce.

– Często, bardzo często – powiedziała z uczuciem.

– Masz rację: nie przemyślałam tego, o co prosiłam. Między nami wszystko zostanie po staremu, prawda? Zachodź do nas, spędzaj czas z Sebastianem i z nami, kiedy będziemy w domu. Jeśli to się zmieni, to będzie moja wina.

– Co porabiał Sebastian od czasu, kiedy Oliver ci powiedział? W jaki sposób zdołaliście ukryć przed nim napięcie?

– Niemal przez cały czas był z Johnnym w jego pracowni. Myślę, że Grace też tam była. Sebastian i Johnny są w tej chwili zupełnie zwariowani jeden na punkcie drugiego. Sebastian ma ferie, więc spędzą nad tym łóżkiem cały najbliższy tydzień. Dzięki Bogu za Johnny'ego. – Lily chciała przytaknąć, ale spóźniła się, bo Melissa już mówiła dalej: – Czy mogę zostać, Lily? Jestem zbyt zmęczona, żeby dziś jechać.

– Oczywiście, że możesz.

– A rano będziemy udawać, że nie zachowałam się tak idiotycznie, i wszystko będzie nadal tak jak do tej pory.

Lily się roześmiała.

– Wiesz co? Mówisz zupełnie jak Grace. To jest dokładnie to, co ona by powiedziała.

Melissa rzekła ze smutnym uśmiechem:

– Grace jest na swój sposób mądrą kobietą. Ale widzisz, różnica polega na tym, że Grace by tak powiedziała i rzeczywiście by w to wierzyła, a wierząc, sprawiła, że stałoby się to prawdą. Natomiast gdy ja to mówię, obie wiemy, ty i ja, że to tylko słowa. Nie mam tej wyobraźni, która sprawia, że coś staje się rzeczywistością. Mam tylko intelekt, a on nie jest wart złamanego grosza.

Melissa zwinęła się na łóżku i nim Lily zdążyła ją przykryć dodatkową kołdrą, już spała.

Był świt, gdy karuzela wyrzutów sumienia, wątpliwości, pewności i niepewności zaczęła nareszcie zwalniać. Lily słyszała krowy ciągnące na pastwisko z odgłosem przypominającym sapanie lokomotywy, potem woźniców, z grzechotem toczących do piwnicy metalowe beczułki piwa, wreszcie zapadła w sen. Kiedy się obudziła, Melissy nie było.

Poprawiłoby jej samopoczucie, gdyby choć przez chwilę mogła udawać, że ta wizyta w ogóle się nie zdarzyła, ale uniemożliwiał to stęchły zapach papierosów, kubki do zębów, butelka po koniaku oraz zmięta kołdra i poduszka na sąsiednim łóżku. Na komodzie leżał skrawek papieru, na nim skreślone były słowa: „Dziękuję ci, Lily. Melissa”. Za co właściwie, nie mogła pojąć, bo jedyną rzeczą, która pozostała na rumowisku jej nocnych wspomnień, było jej własne okrucieństwo, ale jakakolwiek uzasadniona przyczyna tego okrucieństwa się ulotniła.

Jej pobyt był nieudany. Poszła na ostatni spacer, ale przekonała się, że spokój ducha wciąż znajduje się za następnym wzgórzem. Zrezygnowała i wróciła do Londynu.

Kilka dni później, kiedy koncepcja zakardowej kreacji była już mocno zaawansowana i krój rozpoczęty, Lily przerwała pracę. Zastanawiało ją, że choć na pozór odzyskała spokój, wciąż nie opuszcza jej poczucie lęku. Ilekroć telefon zadzwonił, rzucała się, by go odebrać, ale żaden z najrozmaitszych głosów nie był w stanie rozproszyć jej niepokoju. Nawet otwierając pocztę, czuła stłumione poruszenie. Od Larry'ego otrzymała kopertę zawierającą czek na sporą sumę i miała nadzieję, że cały ten bezsens skończy się wreszcie, ale tak się nie stało. Wciąż trwała w podświadomym stanie pogotowia. A więc można oszukiwać się przez tak długi czas. Bo przecież wiedziała. Wiedziała doskonale i ucieszyła się, kiedy Grace zadzwoniła z propozycją, aby wybrała się z nią odebrać suknię ślubną. Dopiero po wielokrotnych zapewnieniach, że to nie za wielkie nudziarstwo i że na pewno nie jest zbyt zajęta, Lily udało się ją przekonać, że sprawi jej to prawdziwą przyjemność.

Kiedy spotkały się w kawiarni, Grace wciąż otaczała aura spokojnego szczęścia, ale na to nakładał się pośpiech, zaaferowanie we wszystkim, co robiła, jak gdyby była sitkiem, przez które czas przeciekał, i starała się z gorączkową aktywnością pozatykać wszystkie dziury.

– Po co ten pośpiech, Grace? Wyluzuj się.

– Ależ kochanie, zrozum. Tyle jeszcze trzeba zrobić, kupić, dopilnować. A zostało tylko dziesięć dni. Pomyśl tylko: za dziesięć dni Johnno i ja będziemy mężem i żoną. Pij kawę i chodźmy obejrzyć moją suknię. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Ale kiedy znalazły się w sklepie i Grace przywdziała na siebie coś sztywnego, satynowego i turkusowego, ogarnęły ją wątpliwości.

– To w ogóle nie jest to, Lily. To nie jest... no... nie jest w stylu Johnno. Co mnie podkuśilo, żeby wybrać satynę i turkus?

Z początku Lily wraz z projektantem, wysokim Flamandem w nienagannym garniturze, o miękkim głosie i smukłych dłoniach, któremu asystował piękny młodzieniec, usiłowali obrócić wszystko w żart.

– Masz rację, ale to przecież nie Johnno ma w tym wystąpić.

Ale Grace nie było do śmiechu.

– On ma jakiś obraz mojej osoby, rozumiesz? Zawsze tak się dzieje, kiedy mężczyzna kocha kobietę, prawda? A ja nie chcę wychylać się poza ten wizerunek nawet na moment, a już zwłaszcza w dniu naszego ślubu. Ta suknia... przepraszam cię, Wim, ale ona postarza.

Pozostawiły więc Wima, który z galanterią zachował dla siebie swoje rozczarowanie i swój rachunek („Ależ drobiazg, pani Teape, będą inne okazje, inne suknie”), i ruszyły wzdłuż Bond Street w kierunku Knightsbridge, robiąc po drodze wypadki do okolicznych sklepów.

Nic nie wydawało się odpowiednie, nic nie było „w stylu Johnno”. W przypływie desperacji Lily zaproponowała, żeby to Johnno asystował Grace zamiast niej przy zakupie.

– Ależ Lily, to ma być niespodzianka, nie rozumiesz?

Kiedy wydawało się, że cała energia i wszystkie pomysły się wyczerpały, w całkiem niespodziewanym miejscu natknęły się na niezbyt okazale wyglądający sklep z galanterią skórzaną. Tam znalazły spódnice i żakiet z najcieńszego, najdelikatniejszego liliowego zamszu. Kostium, ku wielkiej uldze Lily, nie tylko okazał się „w stylu Johnno”, ale był również bardzo w stylu Grace.

– Bardzo jesteś zajęta wieczorem, kochanie? Może wróciłybyśmy razem? Jem dzisiaj kolację z Oliverem i Melissą. Tak miło byłoby spotkać się w starym gronie.

A więc mogła go zobaczyć, i to bez trudu. Wystarczyło powiedzieć „tak” i pójść do nich na kolację, jak to się często zdarzało w przeszłości. Pomiedzy Oliverem i Melissą wszystko musiało się do tej pory ułożyć, ale w niej samej wciąż nic nie było poukładane.



– Nie, nie tym razem, dziękuję. Jak on się czuje?

– Kto?

– Oliver?

– Oliver? Świetnie, a co? Właściwie rzadko go ostatnio widuję, ale wiesz, że on zawsze jest taki sam.

– Tak, wiem.

Ustały, że przyjęcie weselne odbędzie w ich ulubionej włoskiej restauracji, że Lily zajmie się organizacją i że oprócz Olivera, Melissy i Sebastiana jedynymi gośćmi będą Angela i Dennis Little. Dość szybko się okazało, że Grace, przy całym swoim zabieganiu, poczyniła bardzo niewiele praktycznych przygotowań.

– A może zdałabyś to wszystko na mnie? Nie tylko restaurację, ale całą resztę.

– Ale jaką resztę, kochanie? Lecimy do Włoch zaraz po obiedzie. Johno załatwił rezerwację na samolot i hotel we Florencji. Myślisz, że coś jeszcze zostało?

– Tak, kilka spraw, ale zostaw to mnie.

– Dobrze, tylko pamiętaj: Johno i ja chcemy, żeby to było jak najprostsze. Żadnego widowiska. Żadnych głupich ogłoszeń ani nic takiego.

– Możesz na mnie polegać.

Jak bardzo Grace się zmieniła, jakie dojrzałe było jej podejście. Gdzie się podziało to całe: „I świat się dowie, że znów jestem kochana, ja im o tym powiem, ja im to pokażę...”. Być może zrozumiała, że to nie wymaga żadnych oświadczeń, że wystarczy na nią spojrzeć, aby zobaczyć kobietę, która jest kochana.

Pożegnały się, ale nim oddaliły na dwa metry, Grace zawołała:

– Ojej... zaczekaj! – Lily zawróciła. – Johno mówi, że nie możemy spędzić ostatniego dnia i nocy razem, bo to przynosi pecha. Więc on zostanie w mieszkaniu, a ja mam sobie wybrać jakieś wspaniałe miejsce. Zarezerwowałam pokój w Berkeley. Czy zgodzisz się mi towarzyszyć, Lily? Nie chcę być sama, a nie wyobrażam sobie, czyja obecność sprawiłaby mi większą przyjemność.

– Oczywiście, że tak. Z wielką chęcią.

– W takim razie do zobaczenia w przyszły piątek, około szóstej, tak?

– Nie mogę się doczekać. Babskie przyjęcie na dwie osoby.

Lily oddała się przygotowaniom do weselnego przyjęcia:

zarezerwowała część restauracji – nieco na uboczu, ale nie na tyle, aby przyjemność zjedzenia obiadu w lokalu miała na tym ucierpieć, zaplanowała jadłospis, zamówiła kwiaty do urzędu i do restauracji i dwa samochody z szoferami, aby przewieźć gości z jednego miejsca w drugie. Zamówiła też

niewielki tort weselny.

Przez dziesięć dni usiłowała stawić czoło nurtującym ją niepokojom: chciała zobaczyć się z Oliverem albo z nim porozmawiać, przekonać się, w jakim jest stanie ducha, ale nie ufała swoim pobudkom. Czyje dobro miała na względzie? Jego? Bez żartów. Swoje własne? Ich obojga? Rozważyła wszystkie możliwe powody, aby odwiedzić go w pracowni lub chociażby zadzwonić, i w końcu zmusiła się, żeby nie robić ani jednego, ani drugiego. Zaczeka, aż się spotkają w urzędzie stanu cywilnego i potem na obiedzie, i oceni, jakie porozumienie ukształtowało się pomiędzy nim a Melissą. Zobaczy, że Melissa daje sobie radę, że w jego oczach nie ma już paniki, i nie będzie żadnej wymówki, aby spotykać się z nim sam na sam.

Lily oczekiwała jednak, że Grace będzie dzwonić od czasu do czasu w chwilach drobnych kryzysów i zmartwień, ale nic takiego się nie zdarzyło. Kiedy przyjechała do hotelu w wieczór poprzedzający ślub, zastała Grace mile podekscytowaną, ale zupełnie spokojną.

– A więc jesteś, moja droga. – Grace stała tyłem do okna, za którym zapadał wieczór. Przejrzysta zasłona zacierała widok, podwójne szyby czyniły to samo z przetaczającym się bez końca londyńskim ruchem ulicznym. Powiew perfum przytępniał anonimowy zapach dywanu i świeżej farby. Ślubny kostium wisiał na drzwiach szafy, nocna koszula leżała na łóżku.

– I ty też jesteś – powiedziała Lily. – To jest nareszcie to, prawda? Tak się cieszę, Grace! Wiem, że wszystko będzie dokładnie tak, jak sobie wymarzyłaś. To dla ciebie – podała jej pakuneczek, obwiązany srebrnymi i złotymi sznurkami. Każdy był zakończony gwiazdką.

– To jest zbyt piękne, żeby to otwierać. Robisz dzieło sztuki z każdej drobnej sprawy. Zawsze tak było... – Ostatnim słowom towarzyszyło westchnienie.

Ostrożnie rozwinęła paczuszkę i wyjęła małe mosiężne pudełeczko. Jej oczy spoczęły pytająco na Lily, w kącikach czaił się uśmiech. Otworzyła. Odezwał się chrapliwy dźwięk miniaturowej pozytywki. Skupiona, z głową przechyloną na bok, odrobinę drżącym głosem, Grace zaśpiewała do wtóru: „Jak pięknie wyglądasz tej nocy”.

– Dziękuję ci, kochanie, bardzo dziękuję. Nawet nie pytam, gdzie to znalazłaś. To musiały być jakieś czary. Podejź tutaj. – Położyła Lily ręce na ramionach, potem zdjęła jedną, żeby dotknąć jej policzka. – Tak długo byłaś dla mnie wszystkim. Za to też ci dziękuję. I za to, że pozwoliłaś, bym cię wychowała. Mam nadzieję, że zrobiłam to dobrze. – W samą porę, nim łzy stały się nieuniknione,

Grace rozłożyła ręce i zawołała: – A teraz, moja droga, należy nam się trochę przyjemności. Powiem ci, co mi przyszło do głowy: obsługa na miejscu, co ty na to? Wyśmienita kolacja tu, w pokoju.

Lily strząsnęła buty i rzuciła się na jedno z łóżek.

– Fantastycznie. Miałam nadzieję, że to właśnie zaproponujesz. – Była to jedna z ich wspólnych słabości: kolacja z prywatną obsługą w takim hotelu jak ten.

– I zgadnij, co jeszcze? Przywiozłam nasze albumy ze zdjęciami. Wszystko, od czasu, kiedy miałaś sześć lat. Spędzimy wieczór na wspominkach. To jest to, co powinno się robić w przeddzień ślubu, prawda?

– Dokładnie to.

Chichotały przez kilka godzin, rzucając od czasu do czasu: „A to pamiętasz?”. „A tego starszego pana? Spodobałaś mu się i chodził za tobą po całej Nicei, dopóki nie dałam mu do zrozumienia, żeby sobie poszedł. Polski hrabia, zdaje się?”. Nawet zdjęcie Jaimego de Caberro, które jakimś cudem uniknęło całopalenia jego wizerunku sprzed jedenastu lat, nie zmąciło spokoju Grace.

– Popatrz na niego. Przystojny, owszem, ale jaki próżny i głupi. Co też ja w nim widziałam... – Odwrócona karta z grubej tektury zakryła podobiznę i Grace pograżyła się w studiowaniu kolejnych zapomnianych twarzy, ukazanych z tym przelotnym, niepełnym wyrazem, jaki bywa uchwycony w błysku flesza.

Po kolacji, kiedy wózek przykryty białym obrusem został odsunięty na bok, Grace spojrzała na Lily. Z wahaniem, niepewna jej reakcji, zaczęła:

– ...Lily, jest coś, o czym zapomniałam ci powiedzieć. Wiem o tym od paru tygodni, ale po prostu wyleciało mi to z głowy. Dostyc mi głupio z tego powodu. Adwokaci napisali do mnie, informując, że stara Prudence Teape nie żyje. Ale widzisz, po prostu nie potrafiłam się tym przejąć. Była okropnie stara, ale pisałam do niej co roku, posyłając jej twoje fotografie i opowiadając, co porabiasz. Przez te wszystkie lata ani razu mi nie odpisali. Teraz stary Henry Teape sprzedał dom i przeniósł się do mieszkania ze specjalną opieką, takiego dla starszych osób. Nie jesteś zmartwiona, co?

– Cóż, nawet nie pamiętam ich twarzy. Ale pamiętam, co czułam, kiedy tam byłam. Żadnych szczegółów, tylko szarość, chłód, ciszę. Zwłaszcza ciszę. I pamiętam ciebie, wtedy na kanapie, jak mnie przytuliłaś.

– Lily?

– Tak?

– Co to jest?

– O czym mówisz?

– Za każdym razem, kiedy przestajemy rozmawiać, twoja twarz się zmienia. Widzę przygnębienie, jakiego nigdy jeszcze u ciebie nie widziałam. Dlaczego?

– To nic takiego, naprawdę – powiedziała, odwracając się, by ukryć ten zmieniony wyraz twarzy.

Grace wyciągnęła rękę i położyła na dłoni Lily.

– Tak kochanie, rozumiem. „Nic” jest zawsze najgorsze, prawda?

Urząd stanu cywilnego to ponure miejsce i wszelkie wysiłki, aby je ożywić, umierają z błogosławieństwem biurokracji. Kwiaty, które Lily przygotowała i przywiozła poprzedniego dnia, zostały ustawione byle jak wzdłuż ściany, pod napisem: „Nie rzucać konfetti wewnątrz ani na zewnątrz budynku”.

Oliver, Melissa i Sebastian już tam byli. Oliver podszedł z wyciągniętymi rękami do siostry.

– Witaj Grace, radosny dzień, co? – Ponad jej ramieniem powiedział: – Cześć, Lily, chcesz... – nie dokończył i Lily próbowała przyjąć to połowiczne powitanie, nie patrząc mu w oczy.

„Nie spojrzę. Nie zobaczę jego twarzy i nie pozwolę mu zobaczyć mojej, żeby mnie nie zdradziła, tak jak ostatniej nocy przed Grace”. Lily podeszła i stanęła obok Sebastiana, niezgrabnego w swoich bejsbolowych butach.

– Wyglądasz cudownie, Grace – powiedziała Melissa. – I jaki piękny strój. Pomagałaś go wybrać, Lily? – Jej oczy spoczęły na Lily z bezchmurną szczerością. Pub w Yorkshire nie istniał.

Dennis Little i Angela uczestniczyli w rytualnym zamieszaniu wokół Grace, która przyjmowała to wszystko z czymś w rodzaju ubawienia. Przynajmniej raz nie wymagała podtrzymywania na duchu, ale wszyscy pozostali siedzieli jak na szpilkach, zastanawiając się, czy inni podzielają ich własne obawy. Bo w końcu gdzie był on, Johnny Cochrane?

To Grace podziwiała kwiaty, śmiała się, wymieniała pozdrowienia z inną grupą, który miała wejść zaraz po nich i zgromadziła się wcześniej na swoje piętnaście minut cywilnych zaślubin.

Mosiężna klamka poruszyła się, naciśnięta od wewnątrz i wszyscy instynktownie spojrzeli w stronę otwierających się drzwi. Wyszła bardzo młoda para. Jego chuda szyja wystawała z pierścienia zbyt obszernego, dostojnego kołnierza. Był przyszczaty, ona również. On wyglądał na siedemnaście lat – ona na jeszcze mniej. Posuwali się nieśmiało naprzód, odprowadzani milczącymi spojrzeniami. On trzymał ją za rękę, ciągnąc delikatnie za sobą, tak jak – nie ulegało wątpliwości – zamierzał prowadzić ją przez życie. Zanim zniknęli w

drzwiach na drugim końcu poczekalni, Grace zawołała:

– Wszystkiego dobrego! – co wyzwoliło ogólną życzliwość i wszyscy inni też się przyłączyli.

Karnacja młodego mężczyzny przybrała ten sam kolor co jego pryszczki. Było to z pewnością największe *Te Deum*, o jakim kiedykolwiek marzył.

– Bardzo dziękuję. To bardzo miło... naprawdę bardzo miło... i wzajemnie, wszystkiego dobrego...

– Pan Cochrane, pani Teape. – Męska postać, która ukazała się w drzwiach, stwarzała niepokojące wrażenie zupełnie pustego garnituru. – Jest piętnaście po jedenastej – powiedział garnitur.

Grace wychyliła się ze swojego krzesła, wyciągając rękę, jakby wskazywała niezauważone wolne miejsce w zatłoczonym autobusie.

– Czy zechcieliby państwo...? – zwróciła się do następnego orszaku.

– Co? To my pierwsi? Dzięki, kotku – powiedział podstarzały bikiniarz, z rulonem tłustych włosów nad łysiejącym czołem, w sportowej marynarce, w butach na gumowych podszewkach, przypominających łodzie podwodne. – Chodź, Daisy. Trzeba brać, jak dają. – Poprowadził ostrożnie przed sobą, jakby była porcelanową figurką, swoją masywną oblubienicę, całą w bieli, jeszcze obfitszą na skutek zaawansowanej ciąży. Orszak sześciu osób zniknął za drzwiami.

Angela podeszła do okna. Melissa poprawiła Sebastianowi krawat, Dennis Little uniósł brwi, spoglądając na Olivera, Lily usiadła obok Grace. Pomyślała, czy nie wziąć jej za rękę, ale się rozmyśliła. Minuty ciągnęły się w nieskończoność, aż w końcu Grace powiedziała spokojnym głosem:

– Czy moglibyście z tym skończyć?

– Z czym? – wymruczeli, ukrywając zmieszanie.

– Z tym całym strachem, że on nie przyjdzie. Wiem, że tak myślicie, ale przyjdzie, zobaczycie. – Nic w tonie jej głosu nie sugerowało, że upiera się przy niepodobieństwie. Naprawdę wierzyła w to, co mówiła.

Nikt się więcej nie odezwał, echo słów Grace rozproszyło się w martwym oczekiwaniu.

Wreszcie usłyszeli ruch i trzask drzwi wejściowych, ciężkie kroki, stukot, okrzyki. Johnny Cochrane był pośród nich. Przez starannie wystudiowany moment stał z uniesionymi rękami, demonstrując swoją osobę w oczekiwaniu hołdów, które mu się niewątpliwie należały. Miał na sobie doskonale skrojony garnitur, białą jedwabną koszulę, luksusowy jedwabny krawat w dyskretny wzorek i bejsbolowe buty.

– Cześć, cześć, cześć – powiedział, kiedy ucichły okrzyki podziwu. – Więc tu jest moja Grace. Moja pani. Moja żona. Daj mi, dziewczyno, całusa.

Kiedy pan i pani Cochrane weszli do restauracji, rozległ się aplauz tych przyjaciół, którzy wiedzieli, że to właśnie Ten Dzień, znali program i zarezerwowali wcześniej stoliki, żeby zobaczyć... no, po prostu zobaczyć. Kelnerzy prowadzili orszak przez restaurację z beztroską swobodą i nawet nieznajomi przyglądali im się, gdy ich mijali, promieniejąc radością. Jaki przystojny młody człowiek. I ta pani obok niego – piękna, interesująca. Chyba nie jego żona? Naprawdę? A to dopiero!

Johnny Cochrane nalegał, żeby Grace zajęła miejsce po jego prawej stronie, a Sebastian po lewej. Lily usiadła pomiędzy Sebastianem i Dennisem Little. Miejsce Olivera wypadło naprzeciw niej, pomiędzy Grace i Angelą. Kiedy uroczystość zaczęła się rozkręcać i inni podeszli, aby złożyć życzenia nowożeńcom, Lily pozwoliła sobie spojrzeć na Olivera. Chociaż w urzędzie nie przyjrzała mu się dokładnie, czuła, że był pełen energii, bez jakiegokolwiek widocznego niedomagania. Teraz zauważyła, że jest zmęczony. Kiedy nikt nie absorbował jego uwagi, pograżał się w myślach – nie wyłączał się całkiem, ale nastawiał ucha, jak gdyby naglił go jakiś daleki głos. Gdy ktoś się do niego zwracał, mobilizował się szybko i przekonująco.

– Lily? Do ciebie mówię, Lily. – To ona została przyłapana na niewadze. Dennis Little coś do niej mówił. – Byłaś o mile stąd. Czy twoja znajoma cię znalazła?

– Jaka znajoma?

– Mówię „znajoma”, a nie wiem nawet, czy ją w ogóle znasz. Jakaś dziewczyna była w mojej galerii i pytała o ciebie.

– Dlaczego w twojej galerii?

– Pojęcia nie mam. Zabiedzone stworzenie, wyglądała fatalnie. Szukała cię. Byłem trochę zdziwiony, ale dałem jej twój adres. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem.

– Tak... Zastanawiam się, kto to mógł być... – Miała właśnie zapytać o dalsze szczegóły, kiedy Grace zerwała się z piskiem, potrącając stół i otrzepując swoją zamszową spódnicę zalaną czerwonym winem. Oliver był na wpół uniesiony. Najwyraźniej próbował postawić z powrotem butelkę przewróconą gwałtownym, nieskoordynowanym ruchem ręki. Ilekroć mu się to udawało, przewracał ją znowu mimowolnym zamachem w przeciwnym kierunku.

– Oliver! Co ty robisz, Oliver? – powtarzała Grace.

– Tato, tato! Dobrze się czujesz?

Dennis Little wyciągnął rękę, wyjął butelkę z rąk Olivera i gestem przywołał kelnera, żeby posprzątał. Jego oczy były przez cały czas utkwione w przyjacielu. Z nagłym olśnieniem patrzył, jak Oliver przewraca i podnosi butelkę, której już nie trzyma w dłoniach.

– Ty baranie! – wybuchnęła Melissa. – Zobacz, co zrobiłeś ze spódnicą Grace. Jest zniszczona... Jest...

– Przestań, Melisso – powiedziała łagodnie Angela. To przecież niechcący. Biedny Oliver.

Kiedy Melissa zorientowała się, że wszyscy na nią patrzą, spuściła głowę.

– O Boże – powiedziała – przepraszam... ale ja nie mogę tego znieść... po prostu nie mogę – i wybiegła z pośpiechem.

Grace odwróciła się i spojrzała na Olivera. W jej wzroku zaświtało to samo odkrycie, którego przed chwilą dokonał Dennis.

– Oliver, mój drogi? – powiedziała, kładąc rękę na jego ramieniu.

Uwolniony z pułapki ruchu, Oliver potrząsnął głową.

– Naprawdę strasznie mi przykro, Grace. Zniszczyłem twoją piękną spódnicę. Melissa ma rację, baran ze mnie.

– To głupstwo, drobiazg – powiedziała wolno Grace – ale ty... – Wiedziała, że nie może mówić dalej. Ani czas, ani miejsce nie było odpowiednie.

Lily siedziała przez cały czas bez ruchu, patrząc na Olivera i Melissę. Podjęła decyzję i gdy miała to już za sobą, poczuła się znacznie silniejsza i spokojniejsza niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dni. Gdy tak siedziała, zostawiając innym ponowne puszczenie w ruch maszyny ceremonii – mała, szorstka dłoń dotknęła jej kolana, szukając ręki. Lily podniosła ją, uścisnęła, spojrzała w prawo. Wargi Sebastiana były mocno zagryzione, cofnięta do tyłu głowa kiwała się niemal niezauważalnym ruchem.

– Wszystko w porządku, kochanie – powiedziała. – Nie bój się. – Ale Sebastian nie puścił jej ręki.

Oliver, podobnie jak Grace, miał w sobie coś z aktora, bo przywrócenie wesołego nastroju było jego stuprocentową zasługą. Obrócił w żart problem ręki, składając wszystko na karb naciągniętego mięśnia, i zachowywał się ze swoją zwykłą swobodą. Melissa wróciła i przyłączyła do akcji „naciągnięty mięsień”, mówiąc:

– Biedny Oliver, strasznie mu to dało w kość.

Rzecz jasna wszystkim zależało na przywróceniu dobrego nastroju i każdy

robił, co mógł, żeby nastąpiło to jak najszybciej. Jedli, pili, śmiali się. Mała ręka wysunęła się z dłoni Lily. Obiad zakończył się sukcesem i kiedy podano małe tort weselny, wszyscy byli oczarowani.

Odchylając się z krzesłem do tyłu, z rękoma wyciągniętymi wzdłuż krzesła Grace z prawej strony, a Sebastiana z lewej, Johnny Cochrane powiedział ściszym głosem do Lily:

– No cóż, Lii? Oto jestem. Członek rodziny, przyrodni wujek, co? Nie spodziewałaś się tego, co? W jego głosie było rozdrażnienie.

– Oczywiście, że się spodziewałam. Nie wygłupiaj się – powiedziała. Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. – Zresztą jest właśnie tak, jak powiedziałaś, i bardzo się cieszę razem z wami.

– Mnie nie masz co bujać, dziewczyno. Wiem, co siedzi w twojej głowie, rozumiesz? Mam ten talent, widzę ludzi, czuję ich. Ten poczciwy Olly...

– Olly? Jak możesz...

– Przepraszam, nie spadaj z krzesła... Oliver... jest chory jak kot.

– Nie teraz, proszę. – Wskazała oczyma siedzącego pomiędzy nimi, pochylonego do przodu Sebastiana.

– Dobrze, dobrze... – Wciąż kiwając się na krześle, studiował siedzące przy stole towarzystwo. Na jego twarzy był ten sam leniwy tupet, który już wcześniej u niego widywała. Naprawdę wyglądało to tak, jakby widział ich na przestrzał i przyglądał się z zaciekawieniem słabościom i zranieniom, które usiłowali ukryć. Każdy, po kim prześlizgiwały się jego oczy, stawał się, nie wiedząc o tym, płytki i powierzchowny. Lily była pochłonięta obserwacją jego twarzy, bez żadnej konkretnej myśli, z niejasnym uczuciem, tym samym, które już ją w związku z nim nawiedzało. Ale zaledwie zdążyło musnąć jej świadomość, on odwrócił się, uśmiechnął, mrugnął, dowcipny, uroczy, oddalając wszelkie wątpliwości. Któryś już raz pozostała z poczuciem winy, że bierze pod lupę cudze szczęście.

Kiedy przyszedł czas odjazdu na lotnisko, Johnny Cochrane zawołał: – Jedźcie z nami, ludzie, ilu was jest.

Wszyscy odmówili, z wyjątkiem Sebastiana.

– Och pozwól mi, proszę. Tak bardzo chcę cię odprowadzić, Johnny.

Tak więc Lily i Sebastian pojechali samochodem razem z Grace i Johnnym Cochrane'em. Do odprawy pozostało niewiele czasu. Grace wzięła Lily za rękę.

– Cóż, kochanie, my już się pożegnałyśmy, prawda? I albo my tu wrócimy, jeśli nie znajdziemy tego, czego szukamy, albo ty przyjedziesz nas odwiedzić. Bo przyjedziesz, prawda?



– Jak w banku.

– Sprawdź mieszkanie, moja droga. Zobacz, czy Johnny nie zostawił czegoś na chodzie. Przynies albumy, chyba że chcesz je zatrzymać.

– Zajdę tam od razu, razem z Sebastianem. Możesz być spokojna. Chodź, Sebastian, chyba już pójdziemy.

Sebastian stał obok Johnny'ego, trzymając go za rękę. Johnny poklepał go lekko po plecach.

– Cześć, mały skurczybyku. Uważaj na siebie, co? – Kiedy Grace zegnała się z Sebastianem, Johnny podszedł do Lily. – A więc do zobaczenia, Lii. Dziękuję za piękny ślub, za obiad, samochody i za wszystko... – Pocałował ją w policzek. Zdarzyło się to po raz pierwszy.

Nie odwracając się więcej, Johnny Cochrane pociągnął Grace za rękę w stronę wyjścia. Ona, nie mogąc zwolnić kroku, odwracała się niezręcznie i posyłała im wolną ręką całusy. – Chodźmy – powiedziała Lily, gdy zniknęli. – Sebastian wciąż machał ręką.

– Czy on macha, Lily? Czy macha?

– Nie, kochanie. Już ich nie ma. Odjechali.

W czasie gdy Lily zbierała albumy i regulowała rachunek w hotelu, Sebastian kręcił się po holu, badając otoczenie, jak zawsze niespiesznie i metodycznie. Kiedy wróciła, zastała go naprzeciw kominka. Siedział przykucnięty, rozkoszując się ciepłem ognia na twarzy.

– Uwielbiam zapach ognia, Lily, naprawdę. Każdy jest inny, jak się nad tym zastanowić. To znaczy, żaden nie pachnie tak samo. Wyobraź sobie, mieć coś takiego w hotelu. Zupełnie jak w prawdziwym domu, co? Jejku, tu jest świetnie!

– To może chciałbyś zostać tutaj na podwieczorek? Czekoladowe eklery?

– Och, super.

Przyglądając się, jak Sebastian wcina swoje ulubione smakołyki, Lily zauważyła na jego przegubie wielki plaster, ledwie widoczny spod mankietu.

– Co to takiego? – Dotknęła plastra, wyciągając rękę.

Sebastian poczerwieniał.

– Pośliznąłem się.

– Jakbyś się pośliznął, nie skaleczyłbyś się w tym miejscu. Dalej, czemu nie chcesz powiedzieć?

– Będziesz zła.

– Zobaczymy.

– Spawałem razem z Johnnym. Sparzyłem się. – Czekoladowy ekler w pół drogi między talerzem i ustami, głowa odrobinę odwrócona, aby złowić uchem jej reakcję.

Już go nie ma, Bogu dzięki, już pojechał. Myśl uformowała się, zanim to sobie uświadomiła, i Lily była sobą cokolwiek zbulwersowana.

– Wiem, co sobie myślisz – powiedział Sebastian.

– Nie, nie wiesz – rzuciła tak lekko, jak potrafiła.

– Lily?

– Słuchaj, to w końcu nie moja sprawa.

– Nie, ja nie o tym. Co się dzieje z tatą?

– Cóż, właściwie to nie wiem. Dlaczego pytasz?

– Więc ty też będziesz mnie okłamywać. Mama już to robi. Boże, mam po dziurki w nosie ludzi, którzy ukrywają przede mną różne sprawy. Te, o których i tak wiem. Johnny taki nie jest. On traktuje mnie jak mężczyznę.

– Lepiej zapytaj tatę. Próbowalesz?

– Nie, bo nie byłem pewien, czy on wie. Widzisz, czasami ktoś jest chory i wszyscy o tym wiedzą oprócz tej osoby, prawda? Ale przy obiedzie zorientowałem się, że wie, bo też kłamał. Kiedy mówił, że naciągnął mięsień.

– Więc go zapytaj, co? To najlepsze wyjście.

– Zrobię to dziś wieczorem.

Było już prawie ciemno, kiedy Lily zostawiła Sebastiana pod drzwiami jego mieszkania.

– To na razie – powiedziała, kiedy usłyszała głos Melissy. – Muszę już iść. Wpadnij niedługo zobaczyć moją pracownię, dobrze?

Kiwnął głową z entuzjazmem, ale w całej jego postawie była widoczna determinacja. Nim drzwi się za nim zamknęły, już wołał:

– Czy tata jest w domu?

Lily pokonała ostatnią kondygnację, dzielącą ją od mieszkania Grace. Zabawne, ale drzwi wejściowe wyglądały jakoś inaczej. Chociaż nic się w nich nie zmieniło, nie były nawet malowane, teraz jednak miały w sobie coś antypatycznego.

Balansując opartymi na kolanie albumami, włożyła klucz do zamka i omal się nie przewróciła, kiedy drzwi się otworzyły. Przekłęte miejsce: wszędzie guma, szarość i czern. Jak Grace mogła to znieść? Uśmiechnęła się na tę myśl, bo wiedziała doskonale, że Grace zniosłaby prawie wszystko w pogoni za szczęściem.

Kiedy włączyła światło, jej uśmiech zgasł. Wciąż było tu coś dziwnego – do tego stopnia, że wetknęła albumy między drzwi, aby pozostały otwarte.

– Halo! – zawołała. Gorąco podeszło jej do gardła. – Jest tu kto?

Ruszyła niepewnie korytarzem w stronę sypialni Grace. Gumowa wykładzina tłumiła odgłos jej kroków. Drzwi były uchylone. Pchnęła je nogą, otwierając na całą szerokość. W środku stało łóżko: słupy od rusztowania, koło od roweru, umieszczone teraz na swoim miejscu, i setki drobnych łańcuszków udrapowanych w srebrny baldachim, który pobrzękiwał w przeciągu. Obok leżało trochę ubrań Johnny'ego. Nie było nic, co należało do Grace. Tylko w jednym kącie łazienki widniały ślady jej istnienia: słoiczki, butelki perfum, tubki kremu, para pończoch zwisających z wieszaka od ręczników – wszystko to jakieś nieśmiałe, jakby przepraszające.

Z większą energią Lily zbadała resztę mieszkania, odkrywając jeszcze kilka upiornych konstrukcji Johnny'ego Cochrane'a. Były to eksponaty z zamkniętej teraz wystawy, które nie zostały sprzedane. I nic dziwnego, co nie znaczy, że te nieliczne, które udało się sprzedać, były choć trochę bardziej do przyjęcia. Lily sprawdziła krany, kuchenkę, wtyczki. Wszystko było zabezpieczone, przygotowane

na długą nieobecność, jeżeli tego właśnie należało się spodziewać.

Miała ochotę posiedzieć chwilę w swoim pokoju, zostawiła go więc na koniec swojego obchodu. Kiedy sięgnęła do klamki, znów ogarnęło ją poczucie czyjejś obecności, tam, w środku, obejrzała się nawet, czy drzwi wejściowe wciąż są otwarte. Teraz już z całkowitą pewnością, że nie jest sama, że osoba znajdująca się w tym pokoju nasłuchuje jej kroków po mieszkaniu, czekając, aż wejdzie, pchnęła gwałtownie drzwi. Na skutek impetu drzwi odbiły się i zamknęły z powrotem, ukazując wewnątrz jedynie na moment. To wystarczyło, żeby dostrzec nienaturalnie wysoką postać stojącą na środku pokoju. Wyrzucone do przodu, długie ramię było wymierzone prosto w nią.

Lily stała, ogarnięta popłochem, niezdolna do ucieczki.

– Kim jesteś? – wyszeptała w szparę niemal zamkniętych drzwi, kiedy wreszcie zdołała przemówić. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu. – Czego chcesz? – Nieruchoma obecność była tak namacalna, że można by ją kroić nożem. – Na litość boską, odezwij się.

Żadnej odpowiedzi. Więc spojrzenie, rzut oka do środka. Powoli, bardzo powoli, Lily otworzyła drzwi swojej sypialni. Wewnątrz, na samym środku, stała potężna, metaliczna postać, połyskująca smugami światła zapożyczonego z ulicznych okien.

Lily pstryknęła wyłącznikiem i oto w pełnym blasku ukazał się kolejny groteskowy twór Johnny'ego, znacznie okropniejszy od poprzednich, bo tym razem nie było wątpliwości, że to miała być ona, Lily. Stała w zdecydowanej pozie, wysoka na osiem stóp – jej nogi, pospawane z kluczy francuskich, przywodziły na myśl anatomiczne intymności kaleki. Jako tułów posłużył wgnieciony, ocynkowany kubek na śmieci, głowę tworzyło jeszcze jedno koło od roweru: lśniąca, srebrzysta, z głęboko osadzonymi oczyma z rozlatujących się puszek po farbie. Długie włosy wykonane były z cienkich, metalowych łańcuszków, takich samych jak te przy łóżku, z grzywką przyciętą tak samo jak jej własna. Ręce z rur kanalizacyjnych spajały w łokciach nity, stare klucze imitowały palce, szufelki – stopy.

To nie było zabawne i nie miało być. Ustawił to celowo, wiedząc, że ona może tu przyjść. To była jego deklaracja.

Johnny Cochrane, dlaczego się mnie boisz, u diabła?

Obeszła konstrukcję dookoła, dotykając jej, poznając ją, opanowując swoje przerażenie i szok. Jak umiejętnie sprawił, że była to ona. Długie, srebrne włosy i grzywka były oczywiste, ale istniało coś jeszcze w postawie, jakieś wyrachowanie

– coś, co rozpoznała u siebie tamtej upiornej nocy u Mony, kiedy jej świadomość stała z boku i obserwowała ciało. Wszystko inne w pokoju pozostało bez zmian, tak jak Grace jej obiecała. O tej rzeczy z całą pewnością nie wiedziała.

Lily opuściła mieszkanie, przekręcając dwukrotnie klucz w zamku. Zrobiła to z satysfakcją, jak gdyby zamykała w klatce to coś, aby nie mogło pójść za nią. Nie zeszła od razu na dół, tylko usiadła na schodach, tak jak siadywała niegdyś z Sebastianem – osiem tygodni wcześniej, zanim nastąpiło „długo i szczęśliwie”.

W mieszkaniu Oliverów słychać było ruch, głosy. Byli tam wszyscy troje, byli rodziną. Wystarczyło zastukać do drzwi i powiedzieć: „Cześć, to ja. Mogę wejść? Pobyć z wami?”. Mogła opowiedzieć im o tej figurze, zabrać ich na górę i pokazać im ją, a oni by się uśmiechali, degradując monstrum do jego właściwej roli – przedmiotu kpin. Tak, uśmiechali się i wszystko byłoby znów po staremu. Czy to możliwe, żeby Sebastian pomagał to zbudować? Czy nad tym właśnie pracowali z Johnnym, kiedy się oparzył? Czy zdawał sobie sprawę, co to miało być?

Stała pod drzwiami, z ręką na dzwonku. Odgłosy maszyny do pisania, telefonu, telewizora; głos Melissy tuż po drugiej stronie drzwi. „Sebastian... Och, przepraszam, kochanie, nie wiedziałam, że rozmawiasz z tatą... nie przeszkadzajcie sobie”.

Decyzja, która podczas obiadu napełniła ją spokojem i poczuciem siły, została odwołana. Lily zeszła na dół, wyszła na zewnątrz, oddaliła się.

Z powodu zardzewiałego zamka pokonanie furtki do ogrodu pani Gregor było dużą sztuką. Zawiasy miały się nie lepiej, więc operacji towarzyszył hałas, jednak pani Gregor utrzymywała ten stan rzeczy, aby móc słyszeć, kiedy furtka się otwiera. Miała nieograniczoną liczbę sposobów, aby ustalić, kto się kręci w pobliżu.

Liście i pnącza dzikiego, zarośniętego ogrodu zakradały się w ciemności na ścieżkę. Jeżeli ktoś ich szybko nie poprzycina, wkrótce ze ścieżki nic nie zostanie. Przez szklane szyby podwójnych drzwi ganku docierała wystarczająca ilość światła, aby odnaleźć drogę, a szeleszczące, pomrukujące listowie nie zachęcało do ociągania się. Lily potknęła się na jakimś wzniesieniu ścieżki i zakłęła, pochylając się, aby roztrzeć stopę. Kiedy się wyprostowała, spostrzegła ze zdumieniem, że na ścieżce stoi młoda kobieta, częściowo ukryta za krzakiem rododendrona, ale najwyraźniej pragnąca, by ją zauważono. Nie było w niej nic groźnego, przeciwnie, jej niepewność z miejsca wywołała w świadomości Lily obraz pończoch i innych drobiazgów pozostawionych przez Grace w jej łazience.

– Dobry wieczór – powiedziała Lily.

– Dobry wieczór – odpowiedziała bezbarwnym głosem młoda kobieta. Jej młody wiek ujawniał się jedynie w zachowaniu – rysy twarzy były ledwie widoczne, jasna plama krótkich, postrzępionych włosów pozwalała się zorientować, jakiego jest wzrostu.

– Pani w sprawie pokoju? – Obok kobiety stała duża walizka.

– Nie. Szukam kogoś. Czekam.

– Ach tak, rozumiem. Pani Gregor na pewno pozwoli pani zaczekać w środku.

– Czy to pani?

– Kto?

– Panna Teape?

– Tak, to ja. Przepraszam, jak się pani nazywa?

W tym momencie Lily uświadomiła sobie, że młoda kobieta nie jest sama – coś było ukryte w krzakach poza nimi, dochodziły stamtąd jakieś dźwięki, odbywał się tam jakiś ruch. Lily pomyślała, że to pies czy coś w tym rodzaju, w każdym razie nic nieprzyjemnego.

– Carol.

– Czy to może pani jest tą osobą, która pytała o mnie w galerii Dennisa Little'a?

– Tak.

Lily poczuła na sobie spojrzenie młodej kobiety.

– Cóż, hmm... – zaczęła, ale w tym momencie w krzakach nastąpiło większe ożywienie, rozległo się sapnięcie. – Czy pani jest sama?

– Nie... nie, właściwie nie. – Jakby mimo wszystko pozostawało pole dla wątpliwości.

– Czy tam jest pies?

– Nie. – Jej odpowiedzi były machinalne.

– Czy mogę zobaczyć, co pani tam ma? – Lily bezwiednie przybrała przymilny ton, jakiego używa się wobec krnąbrnego dziecka.

Carol bez słowa wyciągnęła zza krzaków podwójny wózek. Spało w nim dwoje dzieci: mniej więcej trzyletnia dziewczynka i ciemnowłosego chłopiec, który mógł mieć osiemnaście miesięcy. Nieuważnie ciągnięty wózek podskakiwał na ścieżce, mimo to lekko ubrane maluchy spały, ich główki kiwały się bezwładnie.

– Mój Boże. To pani dzieci?

– Tak.

– Nie zimno im?

Carol spojrzała na dzieci spod oka, nie odwracając głowy. Wydawała się znudzona pytaniem, jeżeli znudzenie jest czymś rozpoznawalnym w stanie takiego

otępienia.

– Czy to pani jest panną Teape, która wychodzi za Johna Cooka?

– Nie. W ogóle nie znam żadnego Johna Cooka.

– No to za Johnny'ego Cochrane'a – poprawiła się Carol z chichotem, zażenowana wymawianiem tego nazwiska.

Dennis Little miał rację: była zabiedzona, jej dzieci też.

– Nie. Ta osoba to moja ciotka, pani Teape, Grace Teape. Pobrali się z Johnnym Cochrane'em wczoraj. Wyjechali do Włoch. A o co chodzi?

– Długo tam zostaną? To coś jak miesiąc miodowy?

– Chcą tam zamieszkać na stałe, szukają domu.

– Włochy, tak?

– Czy to ktoś z pani przyjaciół?

Zapadła cisza. Dziewczyna wciąż nie okazywała żywszych uczuć, ale teraz oprócz apatii pojawiło się coś jeszcze. Kapitulacja?

– Nie, właściwie to nie – powiedziała. – Tylko że jestem jego żoną, a to są jego dzieci.

## **Część III**



„Przechodź, przechodź cierpienie, dalej, tędy proszę, jesteś zagrożeniem dla spokoju ducha innych". Grace nigdy by tak nie powiedziała, nawet gdyby stawką było jej własne szczęście.

„Tak, dobrze, teraz do góry... jeszcze jeden... Uwaga, hop". Tak właśnie by zrobiła. Nie odprawia się dzieci od drzwi po nocy. „Teraz ostrożnie... już blisko".

Mizeria Carol była rzeczywista, nie udawana. Abnegację zrozpaczonych byłaby może w stanie odegrać, ale nie chorą twarz, zgaszony wzrok, obojętność na swój fizyczny stan. „Troszkę wyżej... nie, jeszcze, jeszcze". Zamiast tego tam, w ogrodzie Lily przykucnęła, aby lepiej przyjrzeć się dzieciom, i w zmysłowych rysach śpiącego chłopczyka dostrzegła rysy Johnny'ego Cochrane'a.

– Trzeba odwrócić bokiem, tak... właśnie... właśnie, już prawie jesteśmy. Teraz uwaga, żeby nie zahaczyły nogami o futrynę.

Wprowadzały wózek z jego śpiącymi pasażerami do mieszkania Lily. Hol i schody nie przysporzyły problemów, ale jej własne drzwi okazały się z jakiegoś powodu trudniejsze do pokonania. Pani Gregor pojawiła się, z założonymi rękami, kontemplując ze swoim zwykłym, niewzruszonym spokojnym ten pochód życia, przeciągający przez jej dom.

– No nie, coś podobnego. Co jeszcze? – To wszystko, co powiedziała, ku uldze Lily.

– Dlaczego szuka pani mojej ciotki i tego... Johna Cooka? – zapytała Lily, gdy jeszcze były na dole. Dziewczyna zawahała się, spojrzała gdzieś w bok, zastanawiając się, czy warto tracić energię na odpowiedź. Nie zwracając się bezpośrednio do Lily, ale gdzieś w noc, powiedziała:

– Myślałam, że może jest dobra... zobaczy dzieci i zrozumie... powie mu, żeby coś zrobił... sama nie wiem.... – Ostatnie słowa powiedziała przez ramię, skręcając w stronę furtki.

Ujawniając, kim jest, kto jest ojcem jej dzieci, zagrała swoją ostatnią kartą i okazało się, że zrobiła podejście do niewłaściwej osoby, nie do tej panny Teape – więc teraz odwróciła się, żeby odejść.

Lily patrzyła, jak ciągnie po ścieżce swoją zniszczoną, pękatą walizę i wózek, i знаła prawdę: Carol będzie nocować, gdzie się trafi.

– Gdzie się pani zatrzymała? – Słowa padły, nie było odwrotu, bo nie było to rzeczywiste pytanie. Lily знаła odpowiedź i jej konsekwencje, do których miała ją

zaprowadzić jej własna natura.

– A, tu i tam, różnie. – Było to powiedziane bez żadnej intencji, bez przerywania powolnych zmagania z furtką. Carol nie liczyła na to, że zostanie zaproszona do środka.

– To znaczy nigdzie.

– Tego nie powiedziałam, prawda?

„Nie, skądże”, powinna teraz powiedzieć Lily, chwytając ją za słowo, wykorzystując dumę biednych i złamanych, ale zamiast tego powiedziała:

– Może wstąpi pani na chwilę.

Carol nie powiedziała tak ani nie, ledwie zarejestrowała ten fakt. Ulga, zdumienie czy wdzięczność przekraczały jej możliwości. Kiedy znalazły się w mieszkaniu, stanęła na środku pokoju, patrząc w podłogę, z rękami w kieszeniach wypłowiałego, nieprzemakalnego płaszcza, spod którego wystawał brzeg spódnicy. Zniszczone, pomarańczowe pończochy były zachłapane błotem, stopy tkwiły w starych tenisówkach, za dużych o kilka numerów. Krzywo przycięte włosy zwisały w nierównych kosmykach: od połowy bezlitośnie rozjaśnione, do połowy ciemnobrązowe.

– Może by tak położyć je do łóżka? – Lily wskazała gestem maluchy.

– Czemu nie? – Carol wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów i pudełko zapalek. Jej ręce drżały, gdy przypalała papierosa.

Chłopiec zaczął się rozkosznie przeciągać i pacnął przy tym siostrę w twarz. Natychmiast uderzyła w płacz, wyczulona nawet podczas snu na świeży ból. Chłopiec obserwował ją przez chwilę z sennym zaciekawieniem, po czym starannie ułożył buzię w ten sam wyraz i odwracając się w stronę matki, dołączył własne zawodzenie w innej tonacji.

Carol nie podeszła do nich, ale patrzyła nieporuszona, wreszcie po kilku minutach powiedziała twardo:

– Cicho tam! – i odwróciła się, jak gdyby te słowa mogły je unicestwić i wołała tego nie oglądać. Dzieci płakały dalej.

Lily zaciągnęła zasłony, włączyła grzejniki, zapaliła lampy, w nadziei że ignorując dzieci, skłoni ich matkę, żeby się nimi zajęła. Ale kiedy skończyła, Carol nadal stała w tym samym miejscu, a dzieci wciąż płakały.

– Kiedy ostatni raz coś jedliście?

Carol wzruszyła ramionami.

– Jakies frytki rano, zdaje się.

– Proszę posłuchać: coś trzeba z nimi zrobić. Wyjąć je z wózka, położyć do

łóżka, w każdym razie ten harmider musi się skończyć. Inaczej będą skargi i będziecie musieli sobie pójść. Ja przygotuję coś do jedzenia.

To podziałało. Carol podeszła najpierw do chłopca i wzięła go na ręce, mówiąc:

– No, co się dzieje, co? O co ten płacz? – Z synkiem na rękach przykucnęła obok dziewczynki, utulając ją najlepiej, jak się dało: – Już dobrze, skarbie, dobrze, nie płacz. Pani zrobi wam coś do jedzenia. To miło, prawda?

Zmiana w tonie i zachowaniu dziewczyny sprawiła, że Lily obejrzała się znad kuchenki, przerywając rozbijanie jajek. Uświadomiła sobie, że obojętność Carol była jej ostatnią obroną. Zamknąć oczy na głód dzieci, kiedy nie miała ich czym nakarmić, na to, że marzną, kiedy nie mogła ich ogrzać, to był jedyny sposób przetrwania. Kiedy było do zaoferowania coś konkretnego, mogła sobie pozwolić, by wraz z tym dać im miłość. Teraz posadziła je na łóżku i po chwili maluchy zaczęły pełzać tu i tam.

– Jak się nazywają?

– Chłopiec Damian, a dziewczynka Chloe.

– Ładne imiona.

– Tak – powiedziała Carol, dodając sarkastycznym tonem: – Johnny Cochrane... Jasny gwint... – Znów zachichotała, tak jak wtedy w ogrodzie. Był to dziwny dźwięk, suchy i pusty, wesołość nie towarzyszyła mu ani przedtem, ani potem. Wyglądało to tak, jak gdyby zaczerpnęła ze swojej racji śmiechu i na resztę życia pozostała jej jedna porcja mniej. – Lily podała jej kubek kawy. Carol spojrzała na niego ze zdumieniem, które pokryła szybkim „Dzięki”.

– Tutaj jest na razie trochę chleba dla dzieci. Reszta będzie gotowa za chwilę.

Odwracając boczek na patelni, Lily słyszała za sobą:

– Masz skarbie, no masz. Chlebek z masłem, dobre, co?

Będą musieli zostać tutaj na noc. Co potem? O Boże, co potem? Dać jej jakieś pieniądze, pozwolić, żeby błąkała się dalej nie wiadomo gdzie? Zadzwoić do Grace: „Halo, dobrze się bawisz? Nigdy byś nie zgadła...”.

Przez zamyślenie przesaczył się do jej świadomości głos Carol.

– Słyszysz mnie pani? Ona ma umlaut.

Lily odwróciła się z łopatką w dłoni. Carol siedziała na brzegu łóżka, ściskając córeczkę za udo.

– Tak mi przykro... – zaczęła Lily wymijająco. – Biedactwo... Gdzie to ma? – zapytała ostrożnie. – Na nodze?

– Nie... nie. – Irytacja wprowadziła Carol w większe ożywienie niż dotychczas. – Ma umlaut nad „e”. Wie pani, te małe kropczki na górze.

– Ach rozumiem, w imieniu. To świetnie. – Lily odwróciła się z powrotem, ubawiona, wciąż trzymając łopatkę.

– Kiedy się urodziła... pomyślałam, że Chloe będzie w sam raz. To ładne imię, Chloe. Ale potem pomyślałam sobie, że gdyby miała umlaut, tak jak widziałam na wystawie, w książce dla dzieci, to wszyscy będą się zastanawiać. W szkole i w ogóle, wie pani. Ktoś zobaczy jej imię razem z innymi, zauważy ten umlaut i powie: „Patrzcie no, to jest Chloe pisane z umlautem”. I zapamięta ją. Bo nie każdy ma coś takiego, prawda?

– Na pewno nie.

– A człowiek musi coś mieć, Bóg widzi. – Carol przerwała.

Lily odwróciła się i zobaczyła, jak wyciera nos rękawem.

Podawała jej talerz z jajkami na boczku i grzankami.

– To dla pani. Proszę jeść, a ja pomogę dzieciom, jeżeli mi pozwolą.

– Och, pozwolą. Pozwolą, nie ma obawy.

Carol podeszła do stołu, niosąc talerz uważnie w obu rękach. Usiadła i przyglądała mu się przez chwilę, zanim uniosła nóż i widelec, obracając je w palcach. Zaczęła jeść bez pośpiechu, statecznie, z namaszczeniem. Ani razu nie podniosła głowy, przerywała jedynie od czasu do czasu, aby odsunąć grzanki na brzeg talerza – zachowując najlepsze na koniec.

Lily pokroiła jedzenie na małe kawałki i zaczęła wkładać je dzieciom na przemian łyżeczką do ust. Ledwie zapełniła jedną buzię, druga już była otwarta, niczym ptaszki w gnieździe. Podczas tej rytmicznej czynności udało jej się spojrzeć ukradkiem na Carol.

W jej ściągniętych, niegdyś ładnych rysach odbijało się koczowanie w zaułkach wśród brudnych kubłów na śmieci, noce na dworcowych ławkach, spelunki, w których gnieździli się bezdomni. Nie było potrzeby pytać, czy kradła, by jeść, czy walczyła w obronie własnej i dzieci, wędrując tak, odarta z nadziei, pogodzona z beznadzieją. Wszystko to miała wypisane na twarzy, ale poza tym strzaskanym lustrem nędzy Lily dostrzegła coś znajomego, tak uderzająco, że powiedziała pod wpływem impulsu:

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że panią znam, że gdzieś już panią widziałam.

– Aha – powiedziała Carol, bez większego zainteresowania, ale jej ton sugerował, że nie było to dla niej zaskoczeniem.

W miarę jak jadła, jej twarz pochylała się coraz niżej i kiedy już miała zacząć wylizywać talerz, Lily powiedziała:

– Jest jeszcze dużo, jeśli ma pani ochotę.

– Tak – westchnęła Carol, tym razem z prawdziwym entuzjazmem.

– Ile pani ma lat?

– Dwadzieścia trzy.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Johnny'ego... Johna?

– Parę lat temu.

– Dlaczego czekała pani aż do tej pory, żeby go odszukać?

– Próbowałam, a jakże. Nie udało się, aż któregoś dnia zobaczyłam to zdjęcie w gazecie. Jeździliśmy w kółko metrem po Circle Line. Podniosłam tę gazetę, żeby mieć coś do oglądania. Był tam, ubrany w smoking, z całym eleganckim towarzystwem. Szczęśliwy. „Młody brytyjski rzeźbiarz”, tak i był podpis. „Rzeźbiarz – pomyślałam sobie – też coś, ale w każdym razie to on”.

– Co pani robi, kiedy go pani znajdzie?

Carol po raz pierwszy uniosła twarz znad drugiego talerza, rzucając Lily spojrzenie pełne szyderstwa i współczucia, jakim się patrzy na skończonego idiotę.

– Pani jest bogata? – zapytała i rozejrzała się po pokoju, szukając potwierdzenia dla wyrobionej już wcześniej opinii.

– Co to znaczy bogata?

– A więc jest pani bogata. To jest odpowiedź bogatych ludzi – zakpiła Carol, ale zaraz dodała: – To miło, że nas pani przyjęła, dała nam jeść i w ogóle. Pani jest dobra. Czy pani ciotka też jest taka dobra jak pani?

Lily zignorowała pytanie.

– Czy Damian urodził się, zanim wasze małżeństwo się rozpadło?

– Nie. Nawet nie wiedziałam, że jestem w ciąży. Ale widzi pani, to się właściwie nie rozpadło. John nic nie powiedział – po prostu któregoś dnia wyszedł i więcej nie wrócił. Ale wiedziałam, że miał po dziurki w nosie biedy. On zawsze miał wielkie idee. Ale mimo wszystko kochał Chloe. Zawsze myślałam, że mogłby zostawić mnie, ale nie małą Chloe.

– Nie ma powodu przymierać głodem, spać na dworze. Są ludzie, którzy pani pomogą, opieka społeczna, organizacje dobroczynne. Nakarmią panią i dzieci, dadzą nocleg. Nawet pomogą się urządzać.

Carol pokiwała głową z ciężkim sarkazmem:

– O tak... Cuu... downie, cuu... downie. – Manierizm Cochrane'a, słyszany z tych ust, przejął Lily dreszczem. – Władze, tak? O to chodzi? Co pani myśli, do cholery, że się na to połaszczę? Pozwolę tej hołocie położyć rękę na moich dzieciach? Nigdy ich nie oddam. Żeby chowały się w domu dziecka, tak jak ja?

– I Johnny też, prawda? .

– Kto? John? Niech pani nie będzie śmieszna.

– Być może to nie ten człowiek, o którego pani chodzi.

Z westchnieniem rezygnacji Carol podeszła do walizki, odpięła ją, odnalazła po omacku oprawioną w ramki fotografię i podała ją Lily: młoda para na stopniach kościoła. Długa, biała suknia, welon, bukiet – to Carol; cylinder, garnitur, uśmiech.

– Tak... tak, to on.

– Jasne, że on, do cholery... – Carol poszturchała w paczce papierosów, ale bez skutku, co ją dobiło. Rzuciła pustą paczkę na stół i znów podniosła rękaw do nosa, tym razem, by ukryć wyraz twarzy i ton głosu. – Nie w tym rzecz, że ich nie kocham, tych małych skurczybyków, ale po prostu już dłużej nie mogę. Ciągać ich po ulicach przez cały dzień, zmarzniętych, głodnych, znudzonych, zmęczonych, spać z nimi, gdzie popadnie. A on tu w smokingu dobrze się bawi. Pomyślałam, że gdyby je zobaczył, to by go ruszyło. Kogo by nie ruszyło? Mniejsza o mnie, ja dam sobie radę, ale nie mam już nic, co mogłabym im dać. – Carol podeszła i kucnęła przy łóżku. – Prześpijcie się trochę, co? Naciągnęła perkalową narzutę, lokując Damiana od ściany, a Chloe z brzegu. – Tak, dobrze, ciepłe łóżko, wygodne. Ssij paluszek, ssij. – Były wzruszająco posłuszne i kiedy ich głowy spoczywały już na poduszkach, Carol zaczęła śpiewać kołysankę:

*W pudełku z ciasteczkami nie dostaniesz się do nieba, Nie dostaniesz się do nieba, Pan Bóg mówi, że brudasków w niebie nie potrzeba.*

*W butelce z perfumami nie dostaniesz się do nieba, Nie dostaniesz się do nieba, Pan Bóg mówi, że fircyków w niebie nie potrzeba.*

*W butelce spirytusu nie dostaniesz się do nieba, Nie dostaniesz się do nieba...*

Przerwała, pocałowała jedno, potem drugie.

– Wszystko będzie dobrze, skarby, mama was kocha, tak. – Podniosła się, postąpiła chwilę, patrząc, jak oczy im się kleją, z każdą chwilą bardziej.

– Ma pani jakieś fajki? – zapytała, patrząc na dzieci, odwrócona plecami do Lily.

– Nie, niestety.

– To ja skoczę i kupię.

– Ja pójdę. Pani nie może ich zostawić, jeszcze się obudzą. Przestraszą się, jak pani nie będzie.

– Nie ma obawy, nie obudzą się. Nie teraz, kiedy ich małe brzuszki są pełne. Chciałabym się trochę przejść, nie za długo. Automat jest tu gdzieś blisko?

– Nie chcę zostać sama z dziećmi.

– Da sobie pani radę. Robiła to pani już wcześniej. To widać.

– Nie o to chodzi. Nie może pani odejść. Ja pójdę po papierosy.

– I zostawiłabym tak moje rzeczy? Walizkę i tę resztę? Muszę wrócić. Mały spacer, to wszystko, tylko po fajki.

Lily poczuła, że jej obawy są bezpodstawne. Carol wróci. W końcu widziała jej twarz, kiedy skończyła śpiewać kołysankę. Nigdy nie zostawiłaby swoich dzieci.

Carol przyglądała się Lily, czytając w jej myślach. Nalegała jeszcze raz.

– Proszę mi pozwolić. Tylko mały spacer po fajki, dobrze?

– Przy końcu ulicy po lewej. Przyjmuje pięćdziesiątki. Ma pani drobne?

– Chyba nie. – Carol nie zadała sobie nawet trudu, żeby przeszukać kieszenie, a torebki najwyraźniej nie miała.

– Proszę... – Lily wyjęła ze swojej torebki kilka pięćdziesięciocentowych monet. – I proszę wracać szybko. Boję się, że się obudzą.

– Uhum... – Carol odwróciła się w drzwiach. – To pa. – Uniosła nieco rękę, ni to gestem pożegnania, ni to pozdrowienia.

Na ten widok Lily podbiegła do balustrady i zawołała:

– Tylko nie za długo, dobrze?

– Dobrze... – Bezbarwna twarz, której znajomy wygląd nie dawał jej spokoju, odwróciła się w jej stronę w półmroku klatki schodowej. – Zaraz będę.

Lily wróciła do pokoju i podeszła prosto do okna. Widziała, jak Carol pojawia się na ścieżce, podchodzi do furtki, mija ją, skręca w lewo i znika. Zebrała talerze, postąpiła chwilę przy Damianie i Chloe, głęboko uspionych, pochrapujących przez sen. Jej zegarek wskazywał piętnaście po dziesiątej. Uprzątnęła naczynia, pozmywała, wciąż zaskoczona brakiem zaskoczenia, zaszokowana, że nie odczuwa szoku. Usiadła w fotelu, z twarzą w dłoniach, zdumiona, że nawet z dwojgiem dzieci śpiących w jej pokoju może się czuć tak zupełnie samotna. Za piętnaście jedenasta – Carol powinna być z powrotem lada minuta. O jedenastej Lily otworzyła drzwi, zbiegła po schodach na ulicę, pchana czymś, co nie było żadną uświadomioną myślą ani decyzją.

W pobliżu nie było nikogo.

– Carol! – zawołała, stojąc na środku szerokiej ulicy. Jej wzrok penetrował sąsiednie ogrody. „Wiem, że gdzieś tu jesteś – myślała. – Wiem, że twoje cholerne oczy mnie widzą”. – Carol!

Nie zawołała po raz trzeci.

Lily siedziała w swoim głębokim fotelu, godziny nocy mijały. Jeszcze tylko raz wyszła na ulicę. Stojąc tak jak przedtem, starała się wyczuć, czy oczy Carol wciąż ją śledzą, ale nic do niej nie dotarło. Najwyraźniej odeszła już, nieszczęśliwa w swojej samotnej wolności. Jej „mały spacer” może trwać przez resztę życia.

Podeszła do łóżka, aby lepiej ułożyć dzieci, gdy Damian – nieświadoma, niewinna kopia Cochrane'a – znalazł się zbyt blisko siostry, przewracając się niespokojnie podczas snu. Jasne włosy i skóra Chloe miały w sobie jakąś mistyczną świetlistość i Lily ujrzała siebie samą. Może leżała tak wiele lat temu, kiedy jej życie nie obchodziło nikogo prócz otumanionej narkotykami matki, a nawet i to nie było pewne. Pewnie sypiała wtedy głęboko i bez marzeń, jak teraz Chloe. Jej pełne udręki noce były częścią życia innych ludzi i zapewne obudziła się któregoś dnia, by stwierdzić, że została sama, tak jak Chloe obudzi się jutro.

O świcie Lily urządziła sobie legowisko na podłodze i chociaż jakiś rodzaj snu ją nawiedził, nie było to zapadnięcie w objęcia nieświadomości. Jej myśl, ślepa niczym kret, dociekała, drażyła przeszłość poprzez warstwy zdarzeń, aż odnalazła jakąś tęczę, jakąś kanapę, głos, dotyk – coś i zarazem nic. Nim się na dobre rozbudziła, jej myśl już była na nogach, szukając sposobu, który pozwoliłaby przedłużyć krótkie szczęście Grace przeżywane na kredyt. Gdy otworzyła oczy, przekonała się, że sytuacja wygląda jeszcze bardziej upiornie w świetle dnia. Wymęczona, w ubraniu, powoli wracała do świadomości, coraz bardziej niespokojna, i kiedy się odwróciła, zrozumiała przyczynę. Chloe siedziała na brzegu łóżka, obejmując ramieniem Damiana, i oboje wpatrywali się w nią bez ruchu, nie rozumiejąc. Na ten widok Lily zamknęła oczy, ale wciąż czuła na sobie podwójne spojrzenie. Kiedy nie mogła już tego dłużej znieść, podniosła się i powiedziała głosem, który miał być neutralny i bezosobowy:

– Dzień dobry, witajcie.

Umyła się, nastawiła czajnik, podczas gdy ich oczy podążały za nią nieprzerwanie. Instynkt powiedział im, że zostały same, że Lily przejęła nad nimi kontrolę do czasu, gdy zostaną przekazane komuś innemu. Dała im pozostały chleb, trochę mleka i wróciła na fotel, aby przemyśleć sprawę. Ale szło jej to opornie, bo każde spojrzenie na Chloe było jak rzut oka w szklaną kulę przeszłości, na której dnie była ona sama – opuszczona, poniżona, bezbronna, walcząca ze wszystkich sił o odwagę. Do tego momentu Lily nie miała żadnych konkretnych



wspomnień z okresu, kiedy jej matka umarła i zabrali ją obcy ludzie, i uznała, że nie było to aż tak straszne, skoro nic nie pozostało w jej pamięci. Ale było to po prostu zbyt okropne, żeby przylgnąć do tego wspomnieniem i z tym żyć, a najgorsze ze wszystkiego było właśnie to, czego oni doświadczyli w tej chwili: poczucie, że zostali podrzuceni jakiejś wrogo nastawionej osobie, zdezorientowani i przerażeni jej zimną, hamowaną niechęcią. Lily to była dla nich Prudence Teape, zarządzająca nimi bez czułości. Wszystko, co musi zrobić, to podnieść słuchawkę telefonu i policja je zabierze. Nie musi nic mówić o Johnnym Cochrane, może odsunąć ostateczną batalię, która nieuchronnie nastąpi. Jeszcze przed obiadem dołączyłyby do grupy innych dzieci, takich samych jak one: porzuconych, maltretowanych lub niechcianych. Proste.

Damian nie bardzo radził sobie z chlebem i Chloe próbowała mu pomóc. Lily obserwowała ich wysiłki przez jakąś minutę, po czym pomogła obojgu zjeść. Po posiłku Damian zsunął się z łóżka, aby bliżej zbadać brzeg sukni Anny Marii Garthwaite, wyeksponowanej teraz na jednym z krawieckich manekinów. Podczas tej czynności brud zaczął się sączyć z jego pieluszki.

Chloe spojrzała na Lily.

– Gdzie jest mama? („Odeszła, jest teraz z Jezusem... Rozumiesz... ? Słyszysz...?”). Ty mała zawalidrogo, ty kłodo u nogi, przeszkodo na drodze do spokoju... Wszystko to było – niewypowiedziane, rzecz jasna, ale wyczuwane i pamiętane – dopóki nie zjawiała się Grace ze swoimi marzeniami i nie zarzuciła na to zasłony. Kanapa, tęcza, głos. Gdzie była jej myśl podczas płytkiego snu ostatniej nocy?).

– Jest niedaleko, Chloe. Musi... musi trochę odpocząć. – „Zostawiła was, zostawiła – mogła powiedzieć równie dobrze, bo Chloe to wiedziała, było to wypisane na jej umorusanej buzi. Lily uklękła, obejmując jej nogi, dodając otuchy gestem, bo słowa nie wystarczały. Chloe wyciągnęła rękę, dotykając śladów łez na jej policzku. Przywołując na usta niezbyt krzepiący uśmiech, Lily powiedziała: – Tak... tak, wiem. Niemądra jestem, prawda? – myśląc, że właśnie coś w tym rodzaju mogła powiedzieć Grace. Wiedziała, że widok płaczącej dorosłej osoby był dla dziecka niepokojący, chociaż ciekawy, nie mogła się jednak powstrzymać, więc odwróciła twarz. Cokolwiek zrobi, będzie to zdradą – albo wobec Grace, albo wobec Chloe, dalekiego obrazu jej samej. Może to nie potrwa długo, zanim Carol wróci, może tylko dzień lub dwa. Niech cię diabli, wracaj. Wracaj do swoich dzieci.

W tej chwili zadzwonił dzwonek. Nie było takiego luksusu, jak bezpośredni

dzwonek do któregokolwiek z mieszkań, więc najczęściej to pani Gregor otwierała drzwi. Teraz właśnie szła to zrobić, w holu na parterze słychać było jej ciężkie kroki. Lily spojrzała na zegarek: wpół do ósmej. O tej porze mogła to być tylko Carol. Któżby inny, na litość boską? Kroki na schodach. Wiadomo było, że musi wrócić.

Chloe nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje; odgłosy tego dziwnego miejsca nic jej nie mówiły. Przyłączyła się do Damiana – nie żeby się bawić, tylko żeby być blisko – z oczyma utkwionymi w Lily, kiedy sądziła, że ta na nią nie patrzy.

Nie otwieraj. Czekaj, aż zastuka. Odgłos zmęczonych, szurających kroków, coraz bliżej i bliżej, cichnący pod drzwiami. I wreszcie, wreszcie: stukanie do drzwi.

– Dzięki Bogu – powiedziała Lily i przechodząc obok dzieci, dotknięciem zostawiła na każdej główce przyrzeczenie, że wszystko będzie dobrze.

W tym szczególnym momencie, na chwilę przed powitaniem oczekiwanej osoby, kiedy nawet najbardziej autentyczne uczucie przybiera postać jakiejś ceremonialnej pozy, Lily przygotowała powitalną reprimendę za wszystko, na co Carol naraziła ją w ciągu tych dziewięciu godzin, po czym otworzyła drzwi.

Przed nią stał Oliver, patrząc w podłogę. Uniósł nieco głowę, nie na tyle, żeby spojrzeć na Lily, ale jedynie, by pozyskać jej uwagę dla przemowy, którą przygotował. Znekana, wymizerowana twarz – on również musiał mieć bezsenną noc.

– Wiem, że jest bardzo wcześnie, i przepraszam, jeżeli cię obudziłem, ale jest coś, o czym muszę ci powiedzieć, coś ważnego. Czy moglibyśmy porozmawiać? Wpuścisz mnie? – Podniósł głowę i mając za sobą kłopotliwy wstęp, przyjrzał się jej bliżej. – Co się dzieje, Lily? Wyglądasz strasznie. Płakałaś? Dlaczego?

Podszedł i wziął ją za rękę. Wyrwała mu je, i uniosła w górę, bezradna, gdy idzie o wszelkie wyjaśnienia.

– Potrzebuję cię, Oliver. Jestem kompletnie zagubiona i potrzebuję cię – powiedziała z zamkniętymi oczami, kręcąc głową, jakby chciała zaprzeczyć własnym słowom, zanim zostały wypowiedziane.

On ściągnął jej rękę z powrotem na dół, zamknął je w swoich dłoniach i przycisnął do piersi.

– Wspaniale. Powiedziałaś właśnie to, co chciałem usłyszeć. Chodźmy.

Lily nie poruszyła się, więc Oliver otworzył drzwi, które się tymczasem zamknęły, i wprowadził ją do środka. Gdy rozglądał się dokoła z uznaniem, ona

stała nadal, z pustką w oczach. Chloe i Damian znów znaleźli się przy łóżku, bok przy boku, niczym sówki w swoim czujnym bezruchu.

– Tu jest fantastycznie, Lily. Tyle rzeczy do oglądania, że trudno to wszystko ogarnąć. To jest... – Wtedy zobaczył dzieci. Jego uważne, szare oczy rzuciły Lily szybkie, pytające spojrzenie, zanim podszedł do nich i przysiadł na piętach, z dłońmi złączonymi między kolanami. – Witam! Patrzcie no... – Delikatnie uszczyptał jedno i drugie w policzek, pogłodził ich główki, wstał i wskazując je przez ramię, zapytał cicho: – Kto to jest, u licha?

Głos Lily był nieobecny. Wciąż patrząc w przestrzeń, powiedziała:

– To były jej słowa, dokładnie. Pierwsze, jakie usłyszałam z jej ust: „Witam! Patrzcie no...”. Serdecznie, bardzo serdecznie. Ja nie byłam dla nich serdeczna. Czyń ludziom dobro, jeśli chcesz, żeby inni czynili dobro tobie. Ja tego nie zrobiłam. Grace postąpiła właśnie tak i to ona była tęczą, o której śniłam ostatniej nocy. To był sweter, który miała na sobie. Teraz nagle widzę cały pokój, tak jak wtedy wyglądał. I ją... i tych dwoje. Widzisz, oni zrobili, co mogli, państwo Teape. Nie można ich winić. Ale wtedy zjawiała się ona i dała mi wszystko, czego pragnęła dla siebie samej. Tak wiele miłości...

– Wiem, Lily, wiem, ale posłuchaj mnie. Hej! – odsunął włosy, które opadły jej na oczy, próbując przywołać ją do rzeczywistości. – Czyje to dzieci? Co one tu robią?

– Fałszywe pozory, co? Nic nie jest tym, na co wygląda. A tutaj, w mieszkaniu szubrawca, znajdziesz wszystkie odpowiedzi i wszystkie kłamstwa, bo ja jestem tym neutralnym gruntem, gdzie każdy przywozi swój wstyd, rozczarowanie, zwariowane marzenia. Zostawiają to wszystko na parkingu „U Lily”. Ale nie mogę stąd odejść, zrozum, bo ciągnę za sobą balast cudzych sekretów i ktoś niepowołany mógłby usłyszeć to, czego nie powinien. Nie mogę pojechać do Grace, bo teraz znam prawdę. Jestem pełnomocnikiem jej szczęścia i mogę je wydzielać dzień po dniu. Nie mogę spotkać się z Melissą, bo... – Przerwała, milczała przez jakiś czas, wreszcie zmarszczyła czoło. – Przepraszam cię, Oliver. Nie bardzo wiem, co mówiłam. Nie spałam dzisiaj zbyt dobrze. O co pytałeś?

Oliver zignorował te wyjaśnienia i zadumał się nad jej wcześniejszymi słowami. Z trudem otrząsnął się z tych myśli i powiedział już innym tonem, jakby to, o co pytał, było prawie nieistotne:

– Chciałbym się dowiedzieć, czyje to dzieci.

– Johnny'ego Cochrane'a – powiedziała suchym, niemal znudzonym głosem.

– A więc był już przedtem żonaty, to mnie nie dziwi. Ale co one tutaj robią?

– Nadal jest żonaty. Jego żona ma dwadzieścia trzy lata, jest w nędzy i ulotniła się. Zostawiła je tutaj i nie wiem, gdzie teraz jest.

Wciskając ręce w kieszenie, odrzucając głowę do tyłu, Oliver wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze dopiero, gdy znalazł się po drugiej stronie pokoju, twarzą do okna.

– Wiedziałem – powiedział, nie odwracając się. – Ty też, prawda? – Nie mógł zobaczyć jej potakującego gestu, ale ciągnął dalej: – Oczywiście, że wiedziałaś. – Wszyscy wiedzieliśmy, prawda? Po prostu nie chcieliśmy grzebać zbyt głęboko w marzeniach Grace, w obawie że znajdziemy tam robaka.

Milczeli przez dłuższy czas. Damian zsunął się z łóżka i powrócił do manekina. Chloe podążyła za nim i rozpoczęli wokół niego zabawę w chowanego. Damian zanosił się śmiechem, ale Chloe z jednakową uwagą obserwowała Olivera i Lily i zabawiała swojego braciszka.

– Muszę go wykąpać – powiedziała Lily.

– Co? – Oliver otrząsnął się z zamyślenia, jakby przywróciła go do przytomności jakaś szalona propozycja.

– Powiedziałam, że muszę go wykąpać. Ją zresztą też.

– Lily, nie możesz się angażować.

– Kąpiel to jeszcze nie jest angażowanie się. To sprawa praktyczna. Czujesz ten zapach, mam nadzieję?

– Owszem, ale w twoim przypadku kąpiel oznacza angażowanie się.

Nie bardzo mogła temu zaprzeczyć, zabrała jednak oboje ze sobą do łazienki.

– Czy wiesz o niej cokolwiek? – zawołał Oliver, kiedy rozbierała dzieci.

– Nazywa się Carol Cook. To jest jego prawdziwe nazwisko: Cook. Nic więcej nie wiem. Ale zostawiła tu walizkę. Mógłbyś zajrzeć do środka, czy są tam jakieś czyste ubrania?

Lily wsadziła maluchy do wanny. Piana i ciepła woda sprawiły, że nawet Chloe porzuciła swoją żalną dojrzałość, chlapała się i chichotała. Klęcząc z brodą nad brzegiem wanny, z twarzą wilgotną od pary, Lily zapomniała, kim są te dzieci. Przypomniała sobie Sebastiana, kiedy był w tym samym wieku i siedział w wannie z taką samą przyjemnością.

– Lily – powiedział Oliver ostrzegawczo.

– Dobrze, dobrze – rzuciła w stronę drzwi, w których stał. – Akurat myślałam o Sebastianie. Co tam masz?

Pod lewą pachą trzymał dużą, skórzaną teczkę, rozdzielając dwie strony wskazującym palcem prawej ręki.

– Znalazłem to na dnie walizki. Czy to przypadkiem nie ona?

Przytrzymał teczkę naprzeciw niej, tak aby mogła zobaczyć powiększoną fotografię dziewczyny, szeroko uśmiechniętej, przymykającej jedno oko.

– Tak, to ona. Mój Boże. – Lily wytarła ręce w ręcznik i wzięła teczkę. – Ale to już nie jest ona. Boże, gdybyś widział, jak się zmieniła.

– Poznajesz ją?

– To jest modelka. Wyglądała mi znajomo, nawet jej to powiedziałam.

– Była „mleczną dziewczyną”, Lily. Pamiętasz? Jej twarz była wszędzie: na plakatach, w reklamach telewizyjnych, w czasopiśmie. Uosobienie zdrowego, niewinnego seksapilu. To musiało być jakieś pięć lat temu, potem nie udało się znaleźć nikogo, kto by jej do pięć dorastał. Nie rozumiem, jak może być teraz bez grosza. Musiała zbić niezłą fortunę.

W tezcze były okładki czasopiśm ze zdjęciem Carol Cook i tuziny innych zdjęć, reklamujących modę i kosmetyki.

– Czy pracowała też dla ciebie?

– Nie, ja rzadko zatrudniam modelki, a jeśli już, to modelki pozujące artystom. Ale wiem, kto jest w branży. Przychodzą do mnie, pokazują swoje zdjęcia.

– Tak... to prawda. – Jednocześnie pomyśleli o tym samym. Oliver machnął ręką, oddalając wspomnienie.

– Masz – rzucił na podłogę naręczne ubrań. To wszystko, co znalazłem. – Lepiej niech będą gotowe.

Lily przerzuciła kosztowne dziecinne ubranka, wszystkie za małe i przeważnie zniszczone, ale znalazła dosyć, aby przynajmniej ciepło je okryć. Kiedy brała Chloe na kolana, żeby ją wytrzeć, nagle dotarł do niej sens ostatnich słów Olivera. Z dziewczynką na ręku podeszła do drzwi łazienki.

– Oliver, co miałeś na myśli? „Przygotuj je” do czego? – Oliver pochylał swoją wielką postać nad telefonem, ze słuchawką przy uchu. – Tylko nie policja, Oliver. Jeszcze nie teraz. Proszę. Musimy dać Carol więcej czasu. Wiem, że ona wróci. Nie widziałeś jej, ona je kocha. – Spojrzał na nią bez słowa, więc ciągnęła dalej: – Nie zmuszaj mnie, żebym je oddała. Nie mogę. Mnie to nie spotkało. Nie oddali mnie do domu dziecka. Mogli, ale nie oddali. Ty też nie pozwoliłeś oddać Sebastiana, kiedy Melissa... – Wyprostowała się, uświadamiając sobie, co chciała powiedzieć.

Oliver odsunął słuchawkę od ucha i bawił się nią. Po raz pierwszy tego dnia Lily zauważyła drżenie jego prawej ręki, potem jakiś dźwięk w słuchawce sprawił, że znów podniósł ją do ucha.

– Proszę, Oliver – powiedziała Lily, ale on odwrócił twarz.

– Angela? – powiedział do słuchawki. – Dzień dobry, tu Oliver... Tak. Lily i ja potrzebujemy twojej pomocy. Tak, to pilne. Wiesz, gdzie ona mieszka? Możesz zaraz przyjechać? Dziękuję.

Jego zgaszona twarz była teraz nieudolną maską witalności, choć wszystkie rysy układały się prawidłowo. Opierając się mocno na prawej ręce, aby uspokoić jej drżenie, zapytał:

– Czy mógłbym się na chwilę położyć?

Zrobił to, nie czekając na odpowiedź. Lily obserwowała, jak wyciąga się na łóżku, spogląda na zegarek, z wyraźną ulgą stwierdzając, która godzina, po czym wydobywa z kieszeni jakieś pigułki i zażywa je. Trzymając Chloe na biodrze, Lily przyniosła mu wody. Uniósł się nieco, aby wziąć szklanekę z jej rąk.

Zaciskając swoją drżącą dłoń na jej dłoni, próbując ogarnąć niespokojnym spojrzaniem ich częściowo wspólne, częściowo ząbające się losy, powiedział:

– Zdawało mi się, że właśnie usłyszałem echo jednego z twoich sekretów. – Wypuszczając jej rękę, położył się z powrotem na łóżku. Lily wróciła do łazienki, żeby dokończyć ubieranie dzieci.

Kiedy przyjechała Angela, Oliver przeszedł jedną z tych korzystnych transformacji: od sztywności i apatii do ożywienia, które wciąż były tak niepojęte dla Lily. Angela nigdy nie domyśliłaby się z jego zachowania, że dosłownie kilka sekund przed jej przyjazdem leżał wyciągnięty, na pozór pogrążony w śpiączce.

Angela – kanciasta, długonoga, szykowna i pachnąca, usadowiła się wygodnie, rozglądając się wokół siebie z niemym podziwem. Wraz z całą resztą dostrzegła również Damiana i Chloe, ale nie zadawała żadnych pytań. Miała na sobie oryginalny kostium Coco Chanel z 1930 roku, który Lily kiedyś dla niej wynalazła, i na dobrą sprawę sama wyglądała jak Coco Chanel, ze swoją czarną, bardzo krótko przyciętą fryzurą okalającą wyraziste rysy.

Angela umiała czekać. Pozwalała, by rozmówca przedstawił fakty w wybranym przez siebie momencie. W gruncie rzeczy od chwili, gdy powiedziała „Dzień dobry”, aż do oświadczenia, że są to dzieci Johnny'ego Cochrane'a, jedyne słowa, jakie wypowiedziała, brzmiały: „Dziękuję kochanie, bardzo chętnie”, kiedy Lily zaproponowała jej kawę. Gdy oni mówili, jej oczy przesunęły się szybko, jak gdyby oglądała malowany słowami fresk, który Oliver i Lily przed nią rozwijali.

Kiedy skończyli, nadal siedziała wyprostowana, z jedną ręką złożoną w drugiej. Potem sięgnęła do bordowej, skórzanej torby, którą niemal zawsze nosiła z sobą. Stawiając ją na kolanach, pstryknęła złotymi zatrzaskami z miną lekarza

sięgającego po stetoskop. Jedną po drugiej wyciągnęła stamtąd tuzin małych, nakręcanych zabaweczek, przykucnęła, aby postawić je na podłodze, i zaczęła nakręcać: małe, chodzące ludziki, niedźwiadek fikający kozły, wirujący cylinder, tańczący klaun. Wciąż bez słowa i bez uśmiechu kiwnęła palcem na Chloe i Damiana, którzy wraz z jej wejściem powrócili do stanu czujnego bezruchu.

Po upływie długich trzech minut fascynacja okazała się zbyt silna i dzieci ruszyły przez pokój, ogromny z ich niskiego pułapu. Minęły nieznanym stopy Olivera, przeszły obok Lily, manekinów krawieckich i znalazły się przy Angeli i zabawkach. Gdy ów małeńki świat tykającego ruchu pochłonął całkowicie ich uwagę, Angela poprawiła się w fotelu i wreszcie przemówiła, od czasu do czasu pochylając się, bez odrywania uwagi, aby nakręcić zwalniającą zabawkę, co zdawała się wyczuwać, nie patrząc.

– Rozumiem, że myślicie o umieszczeniu ich w Ogródku?

– W rzeczy samej – powiedział Oliver. – Ale czy nie masz na ten temat nic do powiedzenia, Angelo? Nie jesteś zaskoczona, przerażona? Nie wiem, cokolwiek...

– Jaki dzisiaj dzień? – zapytała Angela.

Oliver i Lily musieli się zastanowić.

– Niedziela – powiedziała Lily.

Angela westchnęła głęboko.

– To zaledwie wczoraj się pobrali... nawet gdzieś tak o tej porze. Spodziewałam się, że topór spadnie, kiedy on się nie pojawi. Ale przyszedł. Przyznacie, że wszyscy byliśmy zaskoczeni. Wtedy wiedziałam już, że to tylko kwestia czasu. Nie mogłam sobie darować mojego braku zaufania, ale nie ufałam mu ani trochę. – Oliver i Lily nie musieli wyrażać swoich odczuć, bo Angela dodała za nich: – Oczywiście, że nie ufaliśmy.

– Co sądzisz o tym, żeby zabrać je do Ogródka? Przynajmniej dopóki... dopóki... – zaczął Oliver.

– Zdajesz sobie sprawę, że to wszystko działa tylko i wyłącznie dzięki pieniądзом Grace. Pośrednio będziemy w ten sposób pogłębiać nieuczciwość Cochrane'a wobec niej.

– Wobec tego zabieramy je na policję – zdecydował Oliver.

– Nie – powiedziała Lily z tłumioną pasją. Dwoje pozostałych spojrzało na nią, unosząc brwi. – Grace by tego nie zrobiła.

– Zgoda, ona nigdy by tak nie zrobiła – odezwała się Angela po dłuższej chwili.

– Ale kto wie, może w tej chwili Grace wie już o tych dzieciach. Nie jest wykluczone, że on jej powiedział, a ona to zaakceptowała.

– I powiedział jej też, że nadal jest żonaty, tak sądzisz? – zapytał Oliver. – Angelo, czy nie wmówiliśmy już sobie wystarczająco dużo?

– Masz rację. Wobec tego niech to na razie będzie Ogródek. Zobaczymy, co dalej. Dajmy ich matce trochę czasu na powrót. Sądzisz, że to możliwe, Lily?

– Wiem, że ona wróci.

– Więc niech tak będzie. Na razie. Gdyby Grace nie była za granicą, coś takiego nie wchodziłoby w grę, a niezależnie od tego jesteśmy rygorystycznie kontrolowani przez władze. To nie może trwać zbyt długo. – Nagle porzuciła oficjalny ton i opadła na oparcie fotela. – Biedna, kochana Grace. Niech ma swój miesiąc miodowy.

– Ich matka nazywa się Carol Longman – powiedział Oliver, kiedy Angela wyciągała już rękę, aby pozbierać nakręcone zabawki. – Znam kobietę, która była jej agentką. Jutro z nią porozmawiam, zobaczę, czy uda się odszukać jej rodzinę.

– Wychowała się w domu dziecka – powiedziała Lily chłodno. W jej słowach było oskarżenie, adresowane nie do Carol czy do nich, ale do całego świata.

Angela przygotowała dzieci do wyjścia, wciąż nie zwracając się bezpośrednio do nich, bez zbędnych czułości, ale z uniwersalną życzliwością, na którą reagowały z pełnym zadowoleniem, nawet ochoczo. Lily sięgnęła po swój płaszcz.

– Nie – powiedziała Angela stanowczo. – Ty nie jedziesz. – I kiedy zobaczyła, że Lily za chwilę uściska dzieci, wyciągnęła rękę zdecydowanym gestem. – Pora jechać. Spodziewam się, że zechcesz powiedzieć o wszystkim Melissie, Oliver. Ale poza tym powinniśmy, moim zdaniem, zachować całą sprawę dla siebie, dopóki we właściwym czasie sami nie powiemy o tym Grace.

– Nie będę mówił nawet Melissie. Bez tego ma dosyć na głowie. Więc na razie wiemy tylko my troje. Tak?

– Tak.

Pomogli ulokować się Angeli w samochodzie, z Chloe i Damianem na tylnym siedzeniu, z walizką w bagażniku. Już miała odjechać, kiedy nagle odwróciła się do Lily, przechylając się ponad sąsiednim fotelem.

– Wczoraj zapomniałam przekazać ci pozdrowienia od Larry'ego. Wyjechał w piątek.

– Wyjechał, dokąd?

– Nie wiesz? Do Kolumbii. To wszystko, co wiem, a do piątku nie wiedziałam nawet i tego, ale sądziłam, że ty będziesz zorientowana, że ci się zwierzył. Czasami żałuję, że nie mam córki, i odrobinę zazdroszczę Grace. Pa, kochanie, na razie. Bądź spokojna o maluchy.



W drodze na górę Oliver powiedział:

– A więc sprawy zaczynają wyglądać nieco lepiej.

– O czym ty mówisz?

– O wyjeździe Larry'ego. Przynajmniej tego sekretu nie musiałaś strzec.

– Aha. Cóż, nie powiem, żeby mi było przykro.

Po powrocie do mieszkania Lily poczuła raczej pustkę niż ulgę.

– Oliver, właściwie z czym przyszedłeś? I dlaczego tak wcześniej?

– Aha... otóż właśnie. – Na wstępie Oliver powiedział, że chce „porozmawiać”.

Ale to nie był ton kogoś, kto chce porozmawiać, raczej kogoś, kto ma obwieścić niespodziankę.

– Wczoraj wieczorem Seb przyparł mnie do muru w sprawie mojej choroby. Ma żal, i całkiem słuszny, że próbowałem to przed nim ukryć. Powiedziałem mu wszystko, co wiem, także i to, że perspektywy nie są zbyt różowe. Zaobserwował tak wiele i tak dawno. Wstyd mi naprawdę, że wcześniej nie porozmawiałem z nim szczerze. Widzisz, on ma w sobie jakąś mądrość. Ciekawe, że niektórzy ludzie to mają, niezależnie od wieku. – Oliver zadumał się przez chwilę, po czym ciągnął dalej: – Tak czy inaczej postanowiliśmy, że jedziemy na wakacje na ryby. Nie mogę pracować, dopóki nie dojdę z sobą trochę do ładu, nie oswoję się z działaniem leków. Teraz każdego dnia budzę się w gorszym stanie, jeśli w ogóle mam tyle szczęścia, żeby się obudzić, bo na ogół nie jestem w stanie zasnąć. Więc wynająłem pracownię staremu przyjacielowi, a on wypożyczył mi swój mały domek w Szkocji. Zawsze planowałem, że któregoś dnia wybiorę się tam z Sebastianem. Cóż, ten dzień nadszedł. Jutro wyjeżdżamy.

– Bardzo się cieszę. Sama przyrzekłam mu coś w tym rodzaju.

– Wiem o tym i chciałbym, żebyś pojechała z nami. Powiedz, że się zgadzasz.

– Ale ja nie mogę. Nie w tej chwili, nie jutro.

– Dlaczego?

– Ze względu na Carol. Muszę czekać, aż wróci. Muszę zaprowadzić ją do Ogródka. Zresztą sam powiedziałeś, że chcesz jutro porozmawiać z jej dawną agentką.

– Zrobię to rano. Chcemy złapać sypialny o jedenastej wieczór. Zostaw wiadomość u pani Gregor, na wypadek gdyby Carol się zjawiała. Musisz mieć to za sobą, Lily. To nie jest twoja sprawa ani moja. Odpowiedź pojawi się sama we właściwym czasie. Dzieci są bezpieczne, zrobiliśmy dla nich, co było możliwe. Niech Grace ma swój miesiąc miodowy, jak powiedziała Angela. Zobaczymy, czy jest z nim szczęśliwa. Do tego czasu niech wszystko zostanie tak, jak jest.

- Naprawdę chcesz, żebym pojechała z wami do Szkocji?
- Obaj tego chcemy.
- A co z Melissą?
- Ona nie może pojechać.
- Tak, ale...

Spojrzał na nią, zmarszczył czoło, wstał i zaczął chodzić sztywnym krokiem po pokoju, zmagając się z jakimś psychicznym balastem. – Ona... – Zwiesił ramiona, przeszukując kieszenie w poszukiwaniu argumentów. – Więc, tak jak powiedziałem Angeli, Melissa ma cholernie dużo na głowie. Kieruje tą akcją „Cierpienie dzieci”, a teraz ma jeszcze program, no i w dalszym ciągu jest jej stały felieton, mnóstwo artykułów. Chcą nawet, żeby napisała książkę na któryś z tych tematów, i jak ją znam, to obiecała to zrobić. Jest supermenem w spódnicy. W pewnym sensie będzie to dla niej ulga, że wyjechaliśmy i dobrze się bawimy. Kiedy pomyśli, że jesteśmy sami w domu, jest jej przykro i...

Rozgrzewał się, mówił coraz szybciej i gotów był ciągnąć tak dalej, wyjaśniając, uściślając, argumentując; zwrócony plecami do Lily, przemawiał do manekina ubranego w suknię Anny Marii Garthwaite, jak gdyby z tamtej strony spodziewał się większego zrozumienia.

- Pojadę z przyjemnością – powiedziała Lily.

Usiadł z powrotem naprzeciwko niej, pochylony, opierając ręce na kolanach.

– Pojedziesz? Naprawdę? – Tak szczerze, z takim ożywieniem, że odwróciła twarz. Czy wiedział, co się z nią dzieje? O jej poczuciu winy, o tym, że krępowałby się uściskać go tak jak dawniej? Czy domyślał się, że spędzenie z nim dziesięciu dni będzie dla niej grzeszną przyjemnością? Spoglądając znów na niego, dostrzegła, że wciąż czeka, nachylony, na jej odpowiedź. Już nie tak otwarty, nie tak rozjaśniony, ale stanowczy. Jego głowa kiwała się nieznacznie. Objaw choroby? Czy odpowiedź na jej myśli?

- Tak – powiedziała. – Chętnie z wami pojadę, naprawdę.

Tutaj jesteś, Lily. Chodź i zobacz, jest bomba.

Ledwie Lily znalazła się w pociągu, już Sebastian ciągnął ją korytarzem do jej przedziału.

– My jesteśmy obok. Ja śpię na górze. Nie będziesz się bała zostać sama?

– Coś ty. Uważaj, żebyś nie zleciał.

Zignorował tę uwagę.

– Czekaj, czekaj, gdzieś tu jest pojemnik, który można wyciągnąć i nasiusiać do środka. A jak się go zamknie, to się opróżnia. Gdzieś tutaj... – szukając po omacku w kącie – nie mogę się doczekać, żeby wypróbować nasz. Śmierdzi okropnie, jak się go otworzy, ale zabawa świetna. – Nie uważasz, że to fantastyczne? Ja tak.

– Nie wątpię – powiedziała Lily, rzucając torbę na swoje łóżko. Teraz pokaż mi, gdzie wy jesteście.

Sebastian wszedł pierwszy. Lily wsunęła za nim głowę do wąskiego przedziału sypialnego, zapchanego wędkami i otwartymi walizkami. Oliver leżał wyciągnięty na dolnym łóżku.

– Cześć, Lily, chcesz piwa? Rzeczywiście miał jedno przy sobie i Lily usiadła obok niego, popijając, gdy tymczasem Sebastian zwiślał głową w dół z górnego łóżka.

– Tato, Lily, słyszycie? Zatraskują drzwi. To znaczy, że zaraz jedziemy, naprawdę odjeżdżamy.

Kiedy pociąg już ruszył, Sebastianowi było pilno jak nigdy dotąd, aby znaleźć się jak najszybciej w łóżku. Przedtem otworzył i zamknął ze dwanaście razy podręczny pisuar, wyjął z plastikowego pojemnika dywanik pod nogi, stanął na nim i przetaił zapasową ściereczką buty, swoje stare trzewiki na grubej podeszwie, po czym położył się szczęśliwy, pstrykając przez jakiś czas wyłącznikami, nim zasnął.

Kiedy Lily wspięła się na drabinkę, aby ucałować go na dobranoc, wyszeptał:

– Widzisz, Lily, marzenia się spełniają. To jest moje marzenie, które się spełnia. Czy ty też masz jakieś marzenie?

– Mam, właśnie to. Wakacyjna wyprawa na ryby, o której tyle razy rozmawialiśmy.

– Nie, to jest twój udział w moim marzeniu. Lepiej mieć swoje własne, chociaż ja też chciałbym mieć w nim swój udział.

– Cóż, mogłabym mieć. Popracuję nad tym.

– Wtedy to się spełni, obiecuję. Dobranoc, paskudo.

– Dobranoc, zmore.

Oliver wgramolił się po drabince, aby go ucałować, zawadzając po drodze o różne rzeczy.

– Nie nadaję się do takich wymiarów. Dobranoc, staruszk.

Usiedli na dolnym łóżku, dopijając piwo w migającym świetle: ciemno, jasno, ciemno, jasno... To Sebastian wciąż bawił się na górze swoimi wyłącznikami. Nic robili żadnych uwag. Nie przeszkadzało im to. Kiedy pozostawali na dłużej w ciemności, ich wzrok kierował się ku oknu, ku nieregularnym rozbłyskom i plamom jaskrawego blasku. Lily znów wspięła się po omacku na drabinę. Po bezwładnym ułożeniu rąk i nóg zorientowała się, że Sebastian zasnął. Stacyjny neon, obok którego przemknęli, rzucił prostokątny snop światła i Lily zobaczyła, że chłopiec rzeczywiście śpi, z zatrważającym wyrazem swoich otwartych oczu.

Zeszła na dół i usiadła obok Olivera, obserwując migający w oknie fotoplastykon.

– Ustaliłeś coś? To znaczy, na temat Carol? – zapytała po krótkim wahaniu.

Nawet gdyby Sebastian nie spał, nie miał szans ich usłyszeć.

Oliver oderwał się od okna, ale jakoś niezdecydowanie, oglądając się kilkakrotnie, jak gdyby obawiał się naruszyć jakąś regułę, której powinien przestrzegać. W końcu, utkwivszy wzrok w podłodze i zaciskając mocno lewą rękę na prawej, aby stłumić uporczywe dygotanie, powiedział:

– To jest takie żałosne i smutne, cała ta historia zmarnowanego życia. Jeżeli opowiem ci teraz, czy moglibyśmy nie wracać do tej sprawy w czasie naszych wakacji? Bo prędzej czy później będziemy musieli się z nią zmierzyć po powrocie.

– Zgoda, obiecuję. Mów. – Ale uwagę Olivera znów pochłonęło coś, co znajdowało się za oknem. Dotknęła jego ramienia. – No więc? Tak z grubsza? – przynagliła, spoglądając jednocześnie, czy faktycznie jest tam coś szczególnego.

– Tak, oczywiście. – Znów spojrzenie w podłogę. – Carol zjawiła się któregoś dnia w agencji, to było kilka lat temu, i powiedziała, że chce zostać modelką. Powinni jej w zasadzie odmówić, bo była o wiele za niska, ledwie metr sześćdziesiąt czy coś koło tego, a większość dziewczyn to dzisiaj gigantki – metr osiemdziesiąt jest normą. Ale jej skóra, włosy i twarz były niezaprzeczalnie tak wspaniałe, że postanowili ją zaangażować i zobaczyć, jak wypadnie na zdjęciach próbnych. Wyglądało na to, że nie ma nic: ani domu, ani pieniędzy. Wychowała się, jak wiesz, w domu dziecka. Próbowano oddać ją do adopcji, ale miała pecha, zdaje się, że była bita, więc już nigdy potem nie trafiła do żadnej rodziny.

– Ale to właśnie Johnny Cochrane opowiadał coś takiego o sobie.

– Zgadza się. Zdaje się, że zabrał jej coś więcej niż tylko pieniądze. Także jej przeszłość i wiarę w siebie. Kiedy zaczynała, była niezwykle pewna siebie, zawadiacka, otwarta, sympatyczna. W agencji ją wręcz pokochali, traktowali jak swoje dziecko, ale to małe stworzenie nie miało zbyt wiele rozumu. Niemal natychmiast ustrzeliła kontrakt mleczny jako jedna spośród trzystu dziewcząt, i stała się w tym świecie małą znakomitością. Zarobiła masę pieniędzy, kupiła mieszkanie, poznała Johnny'ego. W agencji już go znali. Żerował, zdaje się, na innych modelkach i ostrzegano przed nim Carol, ale mimo to wyszła za niego. Mówią, że dosłownie natychmiast zaczęła się staczać po równi pochyłej. Trudno to pojąć, naprawdę. Widzisz, wyglądało to tak: miała karierę, pieniądze, mężczyznę, ale jej pewność siebie zaczęła się ulatniać i doszło do tego, że nie potrafiła stanąć oko w oko z obiektywem. W karierze modelki nic się nie osiągnie bez pewności siebie, bez jakiegoś wręcz wygórowanego poczucia własnej wartości. Największa uroda nic nie pomoże, jeżeli wewnętrzne światło gaśnie, to jest niestety koniec. I właśnie to jej się przytrafiło. Potem zaszła w ciążę, przez cały czas wydając pieniądze szerokim gestem. Zaraz po ślubie Johnny namówił ją, żeby zerwała z agencją. Powiedział, że sam będzie jej menedżerem. Próbowwała znaleźć jakąś pracę po pierwszym dziecku, ale nic z tego nie wyszło. Potem słuch o niej zaginął na długo, aż któregoś dnia przywędrowała do agencji, „na ostatnich nogach” z kolejnym dzieckiem. Błagała ich o pracę – odzież ciążowa, cokolwiek, proponowała swoją małą córeczkę jako dziecięcą modelkę. Dali jej pieniądze z litości i sympatii, ale praca nie wchodziła w grę. Jej skóra wyglądała okropnie, i ona cała była przeciwieństwem zdrowego, pełnego życia i seksu stworzenia sprzed niespełna dwóch lat. Starali się mieć ją na oku, pomagać jej, ale kiedy sprawy zaczęły wyglądać gorzej, po prostu się rozplynęła, miała swoją dumę. I wiesz co? Wygląda na to, że nasz Johnny pochodzi z całkiem szacownej rodziny z klasy średniej – prywatna szkoła i tak dalej. I starsi rodzice, którzy wszystko poświęcili dla niego. Tak to wygląda.

– Ale... Oliver?

Za późno. Jego oczy znów powędrowały do okna i w miarę jak upływały minuty, Lily miała rosnące poczucie, że w jakiś niewytłumaczalny sposób staje się coraz bardziej nieobecny.

Zastanawiała się, czy nie zostawić go i nie pójść odpocząć, kiedy odnalazł jej rękę obejmującą puszkę piwa. Delikatnie podważając jej palce, złączył jej dłoń ze swoją. Wciąż wpatrując się w okno, podniósł jej rękę do ust, odwrócił ją i złożył

czoło na jej dłoni.

Podniósł głowę, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko położył lewą rękę, tę zdrową, na jej szyi, nachylił się i pocałował ją w usta, jak gdyby kończąc długą rozmowę w jedyny możliwy sposób. Odsunął się, lecz jej głowa pozostała w zgięciu jego ramienia i Olivier przyglądał się jej twarzy w wędrującym świetle nocy. Przesunął kciukiem po jej wargach, ścierając ślad wilgoci, który na nich pozostał, i nagle znów spojrzał w stronę okna. Lily oswobodziła palce, a on, chociaż zareagował lekkim uściskiem, jednak pozwolił na to, całując tę wysuwającą się dłoń bez odrywania uwagi od tego czegoś gdzieś tam daleko, poza granicą nocy.

Przesuwane drzwi szcęknęły gwałtownie przy otwieraniu, co przywołało Olivera do rzeczywistości.

– Lily? – powiedział takim tonem, jakby oczekiwał jakiegoś oświadczenia czy rozgrzeszenia.

– Jestem... – zaczęła.

– Tak? Tak?

– Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa.

– Ja też, Lily. Jego twarz nie była już maską silącą się na żywotność. W tej jednej chwili był wolny od wszelkiej deformacji, bólu, cierpienia i Lily zamknęła drzwi, żeby nie widzieć, jak to wszystko powraca.

W ciągu nocy pociąg zatrzymał się i Lily ocknęła się, słysząc odgłosy stacji, prawdopodobnie Crewe. Kiedy znów ruszył, szarpnięcie omal nie wyrzuciło jej z łóżka, leżała więc niespokojna, czy Sebastian nie wypadł ze swojego. Kiedy pociąg znów toczył się rytmicznie dalej, postanowiła się rozejrzeć. Sąsiedni przedział nie był zamknięty od środka i Lily otworzyła drzwi tak cicho, jak się dało. Sebastian spał, bezpieczny, ale Olivera nie było w przedziale, a jego łóżko nie było tej nocy używane.

Zataczając się z jednej strony korytarza na drugą, dotarła do toalety, ale była pusta. Przez harmonijkowe złącze zobaczyła Olivera siedzącego na rozkładanym krzeselku w sąsiednim wagonie, w huku i przejmującym zimnie otwartego okna. Jego ramiona były rozpięte między ścianą a oknem, głowa nienaturalnie odrzucona do tyłu, w postawie, którą przyjmował Sebastian, kiedy się koncentrował. Po raz pierwszy Lily zauważyła pewne podobieństwo między ojcem a synem. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że jego oczy są rozszerzone i nieruchome, patrzące w dal, ale w nic konkretnego, po prostu w przestrzeń.

Ujmując w dłonie jego zimną twarz, zawołała, przekrzykując dochodzący z

okna hałas:

– Oliver, to ja! Obudź się! – Żadnej odpowiedzi. Oderwała jego rękę od framugi okna, aby je zamknąć, i natychmiast zrobiło się trochę przytulniej. – Oliver? – zapytała, rozcierając jego rękę, aby przywrócić krążenie – co ty tam takiego widzisz? – Ręka zaczęła się powoli rozluźniać.

– Przepraszam, co takiego? O co chodzi? – Marzyciel, przyłapany przez nauczyciela w czasie lekcji. Już uwolniony, był znów sobą.

– Dłaczego ciągle patrzysz w okno?

– Nie wiem... Ruch? Szybkość? – Zaczął odwracać głowę w tamtą stronę, ale Lily przytrzymała ją, kładąc rękę na jego policzku. – Ale jest jeszcze coś, Lily, mówiłem ci, coś bardzo ważnego... Gdybym mógł to zapamiętać albo zobaczyć.

– Nie teraz. Spróbuj się trochę przespać. Potrafisz?

– Chyba tak.

Szedł przed nią korytarzem, wydawało jej się, że kuśtyka, ale może było to spowodowane ruchem pociągu.

Kiedy już leżał na swoim łóżku i Lily naciągnęła koc, Oliver chwycił ją za przegub.

– Widzisz, jak to w tej chwili wygląda. Tak jakbym się „zaciął”. Nie chcę, żeby Sebastian o tym wiedział. To musi być dosyć przerażające. Czy tak, Lily? Czy to jest straszne?

– Tak.

– Nie bój się. Proszę cię. Widzisz, ja się nie boję.

A więc i ona nie będzie się bać. Nie może, skoro on ją o to prosi.

– Dobrze. Jestem z tobą i nie boję się.

Podeszła do okna. Jej wzrok błędził przez chwilę w bezkresie nocy w poszukiwaniu tej ważnej rzeczy, po czym zaciągnęła na to wszystko roletę.

Rankiem wysiedli z pociągu i wynajęli samochód. Lily prowadziła, Oliver wskazywał drogę. Po dwóch godzinach poprosił ją, żeby się zatrzymała. Znajdowali się daleko od wszelkich skupisk ludzkiego życia, pod zbiegającym niebem, na stromej, wąskiej drodze, wijącej się poprzez surowe garby zielonkawych i żółtobrunatnych wzgórz. W dole, po lewej stronie, niczym wielki opał rzucony na tkaninę, widniało jezioro.

– W porządku, to tutaj. Widzisz drogę? – Oliver wskazał kierunek.

Lily podążyła wzrokiem za jego ręką, aby stwierdzić, że nie była to żadna droga, tylko nieco szerszy pas wolnej przestrzeni, na który wrzosiły się zakraść, gdy nikt nie widział.

– Jesteś pewien? – zapytała, kiedy wysiedli, żeby rozprostować nogi.

Sebastian przez cały czas powtarzał:

– Boże, jak tu cicho, jak tu przyjemnie, podoba mi się tutaj – wystawiając z rozkoszą twarz na leniwą bryzę.

Oczy Olivera przeszukiwały teren ze spokojną pewnością.

– Tam – powiedział, otaczając Lily ramieniem, aby ją naprowadzić. – Seb, to tam. – Sebastian podszedł do ojca, który objął również i jego. – Jesteśmy na wzgórzu, Seb, pośród wielu innych o podobnych zboczach i barwach. U podnóża naszej góry, u naszych stóp, jest jezioro.

– Jakie duże? Takie? Takie? – pytał, rozkładając ręce coraz szerzej, jakby chciał zmieścić w nich jego obwód.

– Potrzebowalibyśmy całego dnia albo dnia i nocy, żeby je obejść. – Sebastian kiwnął głową z satysfakcją. – A po drugiej stronie, na nagiej plaży, stoi jedna samotna chatka.

– Co? Ktoś tam stoi na golasa? O kurczę! Gdzie? Pokaż mi, w którą stronę.

– Na pustej plaży, nie na golasa, ciółku, stoi kamienny domek z łupkowym dachem, niewiele większy niż jeden pokój, i tam właśnie będziemy mieszkać. Musimy się tam przeprawić łodzią, którą w tej chwili zauważyłem. Patrz, Lily, widzisz?

Sebastian też spojrział, nastawiając ucha.

– Widzisz, Lily? Widzisz?

– Tak, i dzięki Bogu ma silniczek.

Załadowali łódź, częstując się nawzajem przyjaznymi obelgami, głównie z inicjatywy Sebastiana. Płaskie echo ich głosów i śmiechu trzymało się ich, nie chciało nieść się dalej w łagodnym, miękkim powietrzu Szkocji. Kiedy usadowili się w łodzi, Oliver wstał, żeby pociągnąć za linkę. Szarpnął raz, słabo i zupełnie bez efektu. Opadł na poprzeczną ławeczkę, wprawiając łódź w gwałtowne kołysanie.

– Psiakrew! – warknął, opierając głowę na rękach.

– Tato? Tato? – Sebastian, który nie cierpiał wszelkich napięć, błyskawicznie reagował na zły humor ojca.

– W porządku, Seb. Nie jestem zły, tylko wykończony. Lily, chcesz spróbować?

Kolebali się przez jakiś czas, dopóki nie udało im się zamienić miejscami. Lily pociągnęła i skrzywiła się z powodu nieudanej próby, odwracając się w stronę Olivera. Za piątym pociągnięciem silnik zadziałał i mała łódka ze swoim



ładunkiem przecięła lustro wody.

Chatka otoczona była płotem z żerdzi, tu i ówdzie rozchwianych, niczym zepsute zęby w starej twarzy. Po obu stronach ciemnoniebieskich drzwi, z których łuszczyła się farba, znajdowały się zaskakująco obszerne, melancholijne okna. Drzwi chlubiły się okazałą kołatką, niezwykłą na tym wielkim odludziu – niczym ozdobne zaproszenie na obiad wręczone człowiekowi przymierającemu głodem.

Pozwolili Sebastianowi odnaleźć furtkę w płocie, wejść przez nią i odszukać drzwi wejściowe. Uderzył mocno kołatką, ciesząc się jej ciężarem.

– Seb, tam nikogo nie ma. Mówiłem ci, że będziemy tutaj sami.

– Wiem, ale to świetna zabawa. – Wobec tego wszyscy po kolei spróbowali.

Ściany pokoju pokrywała okładzina z desek, zabejcowanych na kolor melasy, z których złotymi kroplami sączyła się żywica. Na podłodze leżało stare, brązowe linoleum i wełniane chodniczki rozmieszczone w strategicznych punktach. Był tam czarny, żelazny kominek, dwa poczciwe, sfatygowane fotele naprzeciw niego i torf na podpałkę zgrabnie ułożony nieopodal. Oprócz tego był jeszcze stół, krzesła o wyplatanych siedzeniach, kuchenka z niebieską butlą gazową pod spodem i porcelanowy zlew z mosiężnym kranem, z którego kapała woda. Zamiast zbadać wśród entuzjastycznych okrzyków pozostały teren, cała trójka złączyła się w spontanicznym uścisku. Wciskając głowę pomiędzy nich, Sebastian powiedział:

– Nareszcie tutaj jesteśmy. Jesteśmy tu wszyscy razem.

Kołysząc się, objęci, zaczęli skandować:

– Jesteśmy tutaj, jesteśmy tutaj, jesteśmy tutaj nareszcie... – i w tej jednej, ponadczasowej chwili nikt, ale to dosłownie nikt oprócz nich nie istniał.

Dwie pary drzwi po drugiej stronie głównego pomieszczenia prowadziły do dwóch sypialni, skromnych dodatków do całości budynku. W sumie znajdowały się w nich cztery łóżka, z których tylko jedno było dostatecznie solidne, aby zapewnić Oliverowi minimum wygody.

Oliver położył się na nim, gdy tylko je zobaczył. Stojąc w drzwiach, Lily obserwowała Sebastiana, który rozwinał śpiwory i przykrył jednym z nich ojca.

– Wszystko w porządku, tato? – zapytał, dotykając jego twarzy, gładząc go po włosach.

– W porządku, Seb. Po prostu mały odpoczynek, nie takie prawdziwe spanie.

– Jasne. – Sebastian rozpakował swoje rzeczy i ułożył je przy łóżku, stojącym naprzeciwko. – Będę tuż obok ciebie, tato, niczym się nie kłopotcz.

– To dobrze, mój drogi, bardzo dobrze.

Unosząc rękę nad głowę, Oliver sprawdził swój zegarek i sięgnął po pigułki.

Lily przyniosła szklanę wody, podeszła do drzwi i szepnęła:

– Sebastian... masz. – Chłopiec podeszedł do niej, a ona włożyła mu szklanę do ręki. – To dla taty, zażywa teraz swoje pigułki.

Kiwając zdecydowanie głową na znak zrozumienia, poniósł szklanę z namaszczeniem, pochylony nieco do tyłu, końcami palców lewej ręki wyczuwając drogę w nieznanym otoczeniu.

– Tato? Tato? – Gdy podeszedł bliżej, oczy Olivera były zamknięte. Wyglądał szaro, bezsilnie, z każdą chwilą bardziej sztywny. Sebastian usiadł przy jego ramieniu. – Przyniosłem ci trochę wody.

Oliver uniósł się na łokciu, wypił, włożył z powrotem szklanę w dłoń Sebastiana i przyciągnął głowę chłopca do swojej piersi.

– Kocham cię, Seb. – Jego oczy powędrowały w stronę stojącej w drzwiach Lily. Przyglądał się jej przez chwilę, wciąż, niemal z pasją, przyciskając głowę Sebastiana, po czym powiedział: – Ciebie też kocham, Lily. Ciebie też.

Lily odskoczyła od drzwi i oparła się o ścianę dużego pokoju, nie mogąc udźwignąć tego, co usłyszała. Sebastian wyczuje to szaleństwo, jeżeli już nie wyczuł. Dla Olivera powiedzieć, że ją kocha, nic nie znaczyło. Tak było kiedyś (choć nigdy tego nie zrobił), ale teraz? Kiedy ją pocałował? Kiedy sprawy między nimi stały tak, jak na to wyglądało? Czy był szalony?

Kiedy usłyszała, że Sebastian idzie w jej stronę, zajęła się skrzętnie pudłami z żywnością, które przywieźli ze sobą. On zamknął starannie za sobą drzwi sypialni, przeszedł przez pokój i bez słowa wyszedł na dwór.

Obserwowała go, jak podchodzi do furki, jak idzie plażą nad sam brzeg jeziora i stoi tam, zupełnie jak gdyby podziwiał widok. Zostawiła go tak przez chwilę, po czym poszła za nim.

Stali jedno obok drugiego, nie odwracając się do siebie, w milczeniu. Lily wepchnęła ręce w kieszenie, wcisnęła koniec stopy w nadbrzeżne kamyki, patrząc, jak woda rozmywa ślad, i wreszcie jej wzrok ześliznął się na twarz Sebastiana. Chłopiec płakał. Chciała otoczyć go ramieniem, ale jaki to miało sens, skoro to ona była przyczyną jego cierpienia? Zastanawiała się, czy nie zaproponować, że wyjedzie, powiedzmy, następnego dnia, kiedy coś w wyrazie jego twarzy kazało jej zaczekać.

Jego wargi były zagryzione, głowa odrzucona do tyłu i Lily uderzyło to odwrotne odbicie: ostatniej nocy zobaczyła syna w ojcu, dzisiaj dostrzegła ojca w synu. Do tego wszystkiego powieki niemal zakrywały jego oczy, a z niewielkiej szczeliny ciekły łzy i wrażenie, że widzi, było wręcz niesamowite. Lily spojrzała w

tę stronę, gdzie powinna przebiegać linia jego wzroku, zmarszczyła czoło, sięgając wzrokiem ponad wodą i wzgórzami, na które chmury rzucały swoje cienie. Tak jak ostatniej nocy, kiedy patrzyła w okno pociągu, poczuła, że z tamtej strony również coś na nią spogląda.

– Co widzisz, Sebastian? Ja widzę wodę, wzgórze, niebo. Co ty widzisz?

Czymkolwiek było to, na co patrzył, Sebastian zamknął to pod powiekami i powiedział:

– On umiera Lily, prawda?

– Nie bądź... – przerwała, zawstydzona swoim powierzchownym, nieautentycznym tonem. Ale też nigdy, ani przez chwilę tak nie myślała, nawet wtedy w Yorkshire, kiedy przyjechała Melissa i Lily zawołała: „Nie żyje!”. – Nie wiem. Nie bardzo rozumiem, na czym polega jego choroba. Dlaczego tak mówisz? I jak możesz?

– Czuję w jego ciele, kiedy go obejmuję, że odchodzi. Nie że jest słaby, ale że odchodzi. Ty tego nie czujesz? I skoro nie umiemy sobie tego powiedzieć, to w jaki sposób możemy mu pomóc? Jeżeli będzie nam się wydawać, że robi coś brutalnego lub odpychającego? On nic na to nie może poradzić.

– Tak czy inaczej, Sebastian, tego nie można akceptować czy przywoływać. Musimy z tym walczyć razem z nim, wiesz o tym.

– Tobie musi być trudniej, bo go widzisz. Czy jego wygląd bardzo się zmienił? Czy wygląda inaczej?

– Czasami tak. Teraz właściwie bardzo często.

– Mama też to widzi. Nie znosi tego.

– Skąd wiesz?

– Czuję jej skrepowanie. Jak wtedy na przyjęciu weselnym. Myślę, że wstydzi się za niego, tak jak on sam się wstydził dzisiaj w łódce. Ona tak naprawdę nie lubi się troszczyć, opiekować. Rozumiesz? Chce, żeby jej bliscy byli silni. Tak samo jak kiedy ja na coś wpadnę albo się skaleczę. Uważa chyba, że jestem za dobry, żeby być niewidomym, a tata jest za dobry, żeby chorować. Wiem, że on chce, żeby ona go objęła. Tak jakby wchodzi jej w drogę, a ona się odsuwa. Słyszę, jak mówi: „Nie, Oliver... Nie teraz”, szczególnym, ściszone głosem, starając się nie okazywać złości. Jest gorzej, kiedy jesteśmy razem w małym pomieszczeniu, na przykład w kuchni. Kiedy on chce być blisko niej, a ona się odsuwa, robi się taki tłok, jakby nas tam było sześcioro. Zresztą on teraz już tego nie robi. Siada, a ona podchodzi do niego i opowiada o różnych ciekawych sprawach, a on jej odpowiada. Oboje się starają, jak ludzie na przyjęciu. To dla niej bardzo trudne.

Rozumiesz to, prawda? Bo nie ma jak okazać, że się przejmuję, że jej zależy. A zależy jej. My to potrafimy, więc nam jest łatwiej. Biedna mama. Często płacze. Słyszę ją.

Lily nie przerywała ciszy, która między nimi zapadła. Wiedziała, dlaczego Sebastian właśnie teraz mówi o matce. Chciał na swój sposób dać jej coś do zrozumienia. Jak mogła do tego dopuścić: że on ją ostrzegał, jej drogi przyjaciel, jedenastoletni starzec, spowity w mądrość niewidomego, szukający po omacku drogi w świecie kłamstw innych ludzi.

– Lily?

– Uhum. – Poprzestała na tym aprobującym chrząknięciu, jemu zostawiając inicjatywę. To mu się należało, ostatecznie to ona ponosiła winę.

– Cieszę się, że do ciebie też powiedział: „Kocham cię”.

Spojrzała na niego. Jego zapatrzenie w dal znikło, był znów sobą, chłopcem, rumienił się nawet.

– Wiem o takich sprawach i chciałem powiedzieć, że się cieszę. Dobrze, że jesteś, bo sam nie byłbym w stanie mu pomóc. Rozumiesz?

– Sebastian, to naprawdę nie jest „taka sprawa”. To nie...

– Słuchaj.

– No?

– Masz może jakieś eklery w tych pudłach z prowiantem?

Tego wieczoru i później każdego dnia wypływali we troje łodzią na ryby. Sebastian i Oliver siadali z wędkami na rufie, plecami do siebie, Lily wyciągała się na dziobie – czytając, dopóki światło pozwalało, potem patrząc w niebo, w pogłębiający się z każdą chwilą fiolet zmierzchu. Cisza na wodzie, cisza w powietrzu, z rzadka zakłócana przez gromadne, melancholijne wołanie dzikich gęsi w locie, częściej przez świst i warkot zarzucanych wędek.

Pierwszy złapał rybę Sebastian. Był to wielki pstrąg. Oliver pokazał mu, jak wyjąć hak i zabić rybę jednym mocnym uderzeniem o dno łodzi. Gdy była martwa, Sebastian podniósł ją, przysunął do nosa, do policzka, pochylił nad nią twarz, jak gdyby usilnie starał się coś zobaczyć. Lily przyglądała mu się, ciekawa, co zrobi z następną. Złapał ją i zabił, a potem nie robił już z tego sprawy – upewniał się tylko, że ryba jest martwa.

Kiedy wyciągali łódź na brzeg, było już ciemno. Przyrządzali ryby przy świetle lampy naftowej i po pięciu dniach jedzenia tego, co sami złowili, smak i dreszcz tej przyjemności odrobinę się przesycił. Grywali w scrabble, Oliver czytał na głos „Władcę pierścieni”, ale kiedy Lily wracała później myślą do tych dni, nie

przypominała sobie, żeby wiele rozmawiali. Jak gdyby z upływem godzin spokój, który Sebastian zawsze miał w sobie, zaczął udzielać się Oliverowi i Lily. Nie trzeba było zbyt wielu słów, za to bliskość była ważna. U ludzi z normalnym wzrokiem powiedziane z uśmiechem „Cześć” może przekazać bardzo wiele, ale Sebastianowi niezbędny był również kontakt. Dla niego dotyk był uśmiechem i tak zaczęło być również dla Olivera i Lily. Coraz częściej Oliver podchodził do niej, aby być blisko, czasami przyciągał ją do siebie, jak gdyby chciał uzupełnić swoją zanikającą energię. Sebastian często wiedział, kiedy się obejmowali, i przyłączał się do nich, wciskając się pomiędzy nich – jego oczywista radość niweczyła wszelkie zakłopotanie. Raz, gdy Oliver podszedł do Lily i zamknął jej ręce w swoich, przyciskając je płasko do siebie, Sebastian odnalazł aparat fotograficzny, który zawsze znajdował się gdzieś w pobliżu, niczym dodatek do ciała Olivera. „Hej?” – zawołał na kilka różnych tonów, co znaczyło, że chce ustalić, gdzie dokładnie są. „Tutaj” – powiedzieli równocześnie, odwracając głowy i Sebastian, śmiejąc się, pstryknął, trzymając przekrzywiony aparat gdzieś w okolicy ust.

Lily zaczęła rozeznawać się w cyklach choroby Olivera. Do południa przejawiał niemal szaleńczą aktywność. Rozmawiał, brodził z Sebastianem przy brzegu, puszczał kaczki po mrocznej tafli jeziora, robił nawet plany na przyszłość. „Sebastian, kiedy poczuję się lepiej, zabiorę cię do Afryki”. I opowiadał mu o tym kontynencie. Albo: „Chcę zrobić serię zdjęć tych wzgórz, Lily. Czy widzisz, jak bardzo przypominają one ludzkie kształty? Mają całą tajemniczość powierzchni jędrnego ciała”. Albo: „Są jak głowy olbrzymich, płowych i rudych dzieci, zbitych w gromadkę, naradzających się nad jakimś sekretem”. Ale jego ożywienie potrafiło się ulotnić w ciągu minuty, a wraz z nim nadzieje i plany. Stawał się nieobecny i Lily odprowadzała go do łóżka, na którym leżał, zapadając w odrętwienie. Furia i panika, wyzierające początkowo z jego oczu, ustępowały miejsca abstrakcyjnemu zdumieniu, tak sugestywnemu, że coś popychało Lily, by raz jeszcze zapytać: „Co ty takiego widzisz?”. Ale w tym momencie najczęściej nie był już w stanie mówić.

Dla Lily było jasne, że jego stan pogarszał się niemal z dnia na dzień, więc było niepojęte, że ich szczęście wydawało się tak zupełne, ale tak było naprawdę. („Czy pamiętasz, Sebastian, jak upuściłam książkę do wody i omal sama za nią nie wpadłam?”. „Aha, aha, albo wtedy, jak zmusiliśmy tatę, żeby sam wypatroszył swoją rybę lub zapłacił karę, i w końcu kazaliśmy mu zaśpiewać piosenkę?”. „Czy to nie było fantastyczne?”. „Fantastyczne”, brzmiało powtarzane rok za rokiem).

W nocy Oliver wydawał się nie sypiać w ogóle. Lily leżała w łóżku, nasłuchując jego kroków, czasami wychodzących na zewnątrz, nawet gdy padało.

Bała się pójść do niego w takich chwilach, chociaż Sebastian usankcjonował „takie sprawy”, zresztą nie była pewna, czy rzeczywiście wiedział wtedy, co mówi. To w czasie tych nocnych, samotnych godzin, w przeddzień wyjazdu, Oliver przyszedł do jej pokoju.

Chodził, chodził i dźwięki, które do niej docierały, brzmiały tak, jakby mówił sam do siebie. Lily siedziała na brzegu łóżka, stopy opuściła na podłogę, nakazując sobie pozostać tam, gdzie jest, kiedy drzwi się otworzyły – najpierw tylko odrobinę, jakby chciał się upewnić, że śpi. Kiedy przekonał się, że tak nie jest, wszedł, zamykając drzwi za sobą. Był całkowicie ubrany i wilgotny od nocnego powietrza. Lampa, którą trzymał w ręku, rozlewała wokół niego bursztynowe światło, które zabarwiło również jej białą piżamę, gdy się zbliżył. Postawił lampę na podłodze, położył jej ręce na ramionach i ukląkł. Pochyliła się, zamykając go w swoich objęciach, jej włosy okryły ich oboje. Kończyny Olivera dygotały pod wpływem mimowolnego napięcia ścięgien, przez co jego dłonie zaciskały się niemal do bólu, ale ona nie zwracała na to uwagi. Wciąż od nowa usiłowała uśmierzyć ten okropny dygot własnym dotykiem, ale wiedziała już teraz, że to niemożliwe. On odpiął guziki jej piżamy i poczuła, jak przez jej pierś wędrują jego suche wargi i wilgotne ciepło oddechu. Położyła dłonie na jego głowie, przyciągając go jeszcze mocniej, i wówczas powróciły do niej słowa Sebastiana: „Czuję, że odchodzi. Nie że jest słaby, ale że odchodzi”. Teraz zrozumiała, o czym mówił. Przyciskała Olivera do siebie, starając się wlać w niego życie, i usłyszała swój głos, stłumiony bliskością ich ciał:

– Nie odchodź. Proszę cię, nie odchodź.

Być może każdego innego mężczyznę zmroziłoby dźwięczące w tych słowach poczucie posiadania. Być może każda inna kobieta bałaby się takie słowa wypowiedzieć. Ale Oliver wiedział, że Lily mówi o tym, co dzieje się z jego ciałem, które woła do każdej wrażliwej ręki: „Daj mi więcej życia”.

– Próbuję nie odchodzić, Lily. Walczę bardzo ciężko. Pomóż mi.

– Pomogę ci, ale... – Kładąc dłoń na jego twarzy zmusiła go, żeby oderwał się od jej piersi i spojrzał na nią. Niemal z gniewem powiedziała: – Ale musisz mi przyrzec, że wygrasz tę walkę. Przyrzeknij mi, że nie odejdziesz. Że mnie nie zostawisz... powiedz to – domagała się, ściskając teraz jego głowę równie mocno, jak on ściskał ją.

– Przyrzekam, przyrzekam. – Oparli się o siebie, wyczerpani, bezsilni, udając, że nie słyszą, jak daremne są ich słowa.

Pozostali tak, bez ruchu, bez słów, aż wreszcie Oliver powiedział:

– Jutro wracamy... – Chyba kiwnęła głową, nie była w stanie mówić. – Czy będę mógł przyjść do ciebie? Po powrocie? I będziemy mogli... być razem?

– Tak.

Podniósł się, wziął lampę, rozprostował ramiona. Jego wielki, fragmentaryczny cień powtarzał te same ruchy na podłodze i na ścianie.

– Zobacz – powiedział silny, dumny, rozpromieniony. – Nie ma drgawek. Przywróciłaś mi sprawność. To znaczy, że moja adrenalina się podnosi. Lepiej pójdę, nim podniesie się za bardzo. Sebastian niedługo się obudzi.

Pociąg wtoczył się na dworzec w Londynie o nieprawdopodobnie porannej godzinie. Zapewne gdzie indziej była to piękna, ale nie tutaj, wśród ścisku, zgiełku i nade wszystko, wobec perspektywy rozstania. Nim wsiedli do osobnych taksówek, Lily zdążyła chwycić Sebastiana za ramię.

– Więc to było to? Spełnione marzenie? Nie jesteś rozczarowany?

– Och, więcej niż marzenie, bo w marzeniach nie było taty. Przyjdiesz niedługo obejrzyć zdjęcia?

– Na pewno. Albo ty przyjdiesz mi je pokazać.

Zaniosła im walizki do taksówki i powiedziała do Olivera, który siedział skulony na tylnym siedzeniu, za wielki na tę małą przestrzeń.

– Cóż, wobec tego do widzenia.

„Wobec tego do widzenia”, jak gdyby przedyskutowali alternatywne możliwości i ustalili, że ma to być pożegnanie. Żałowała, że dodała „wobec tego”, że nie powiedziała po prostu: „To na razie” albo jeszcze lepiej „Przyjdź do mnie prędko”.

– Wobec tego, do widzenia – powtórzył Oliver i odwrócił wzrok. Czy naśladował jej ton? Czy chciał powiedzieć: „Do widzenia, bo przecież wiemy, że to niemożliwe: my dwoje razem”? Czy nie wiedziała o tym przez cały czas? Czy nie wiedziała?

Lily po zarwanej nocy była głodna i rozbita. Jeśli chodzi o nią, ten dzień się skończył. A jednak pozostało ziarenko nadziei. „Czy będę mógł przyjść do ciebie... po powrocie... i będziemy mogli być razem?”. Czy przyjdzie? Czy mu się uda?

I najważniejsze, czy powinien? Postanowiła, że odeśpi to wszystko, obudzi się w bardziej poukładanej rzeczywistości i wróci do pracy nad zakardową kreacją. Pierwszą i ostatnią część planu udało jej się zrealizować całkiem dobrze. Jeśli chodzi o część środkową, wieczorem pojawiła się pani Gregor. Wsparła swoje kształty, opięte czarną, lśniącą materią o brzeg krawieckiego stołu i zaczęła, z założonymi rękami, z głową przechyloną na bok.

– Była tutaj ta twoja znajoma – przyglądała się czemuś w okolicy swojej stopy czy buta. Powiedziałam jej, gdzie są te dzieciaki.

– Więc jednak po nie wróciła. Wiedziała, że wróci.

– No, w końcu to ja do niej poszłam. Wiesz, kręciła się tu za rogiem przez jakiś dzień czy coś koło tego, obserwując mieszkanie. Zapamiętałam jej twarz tamtej



nocy, kiedy zobaczyłam was obie z wózkiem na schodach. Ponieważ miałam jej dać adres, po prostu poszłam i to zrobiłam. Musiałam za nią wołać, bo uciekła, kiedy tylko się zbliżyłam. Kiedy zrozumiała, co mówię, zwolniła i popatrzyła na mnie. Wydaje mi się, że mnie słyszała, ale nie powiedziała nic, nawet marnego dziękuję czy kiwnięcia głową.

– Kiedy to było?

– Trzy, cztery dni temu. – Pani Gregor była nadąsana, wyraźnie rozczarowana tym, że odgrywa jedną z głównych ról w dramacie, o którym wie tak niewiele.

– Pani Gregor, ona miała po prostu trochę pecha w życiu, nic więcej. Nie popełniła żadnej zbrodni.

– Tak? I musiała dowiadywać się ode mnie, gdzie są jej dzieci? To wszystko wygląda bardzo podejrzanie. Co nie znaczy, że ja tu kogoś osądzam, pamiętaj – zastrzegła się, unosząc rękę gestem ucinającym spodziewane wyjaśnienia. – Nigdy nikogo nie sądzę. Chyba zdążyłaś się zorientować. Ale w mojej sytuacji nie można pewnych rzeczy nie widzieć, a to, co tu widzę, nikogo nie powinno obchodzić. – Załatwiwszy to, co miała załatwić, Gili zabrała się i wyszła z pokoju.

Lily zadzwoniła do Angeli.

– Witaj, Lily. No, jak tam było...? Tak się cieszę. A biedny Oliver? Spotkałam któregoś dnia Melissę i powiedziała mi o jego chorobie. To jakaś dziwna sprawa, ale to silny mężczyzna i wyjdzie z tego.

– Na pewno. Pani Gregor dała Carol wasz adres. Czy pojawiła się u ciebie?

– Nie, ale kręci się w pobliżu.

– Nie rozumiem.

– Zauważyłam ją, kiedy obserwowała dom. Niestety, musiała mnie już wcześniej widzieć – wie, że jestem stąd, i nie pozwala mi się zbliżyć. Najwyraźniej chciałaby zobaczyć dzieci, lecz w tej chwili to niemożliwe. Pozwalamy im pobawić się trochę codziennie w ogrodzie, ale na razie to wszystko. Widzisz, oboje mieli zainfekowane płuca, wszy, egzemę i co tylko chcesz.

– Może gdybym ja przyszła...

– Ostatni raz ci powtarzam, Lily, nie angażuj się w to. Wzięłam tę sprawę na siebie. Robię, co mogę, a Carol jest tutaj i przygląda się. To jest początek. Są jakieś wieści od Grace?

– Kartka pocztowa, ale znasz jej pismo. Odcyfrowałam „cudownie”, „bajecznie” i „Johno”.

– U mnie to samo. Wygląda na to, że wszystko w porządku. To na razie, Lily, zadzwoń niedługo. Nie mogę się doczekać wiadomości od Grace. Wciąż coś mi

mówi, że on jest w stanie ją uszczęśliwić. Mój Boże, jak kurczowo człowiek się trzyma swoich nadziei.

– To prawda. – Szczególny nacisk, jaki Lily położyła na te słowa, uszedł uwagi Angeli.

Lily obracała w rękach pocztówkę – nie dachy Sieny czy Florencji, których mogłaby się spodziewać, ale pylista droga, przecinająca pole słoneczników w pełnym rozkwicie. Napis na odwrocie brzmiał po prostu: „Girasoli, luglio”. Pismo Grace było jeszcze bardziej niedbałe niż zazwyczaj i Lily ustawiała kartkę pod wszystkimi możliwymi kątami, w złudnej nadziei, że uda jej się odczytać z niej stan ducha Grace.

Dni mijały i choć Lily pracowała nad uśmierceniem nadziei, że Oliver do niej przyjdzie, każdy dzwonek do drzwi, każdy telefon czy kroki na schodach w pobliżu jej mieszkania sprawiały, że znów w bólach odradzała się pewność, że tym razem... tym razem na pewno. Nie było ani jednej godziny, w której byłaby wolna od tego stanu niepewności, od ciągłego oczekiwania na jego rychłe pojawienie się, bo wiedziała, że nawet noc nie przynosi mu teraz nic prócz bolesnego czuwania i rozmyślań. Czy myślał o niej podczas tych godzin? Czy było możliwe, że Melissa się zmieniła?

Środy z Sebastianem zostały czasowo odwołane z powodu letniego semestru i popołudniowych zajęć na pływalni. Nie ulegało wątpliwości, że Sebastian mniej jej teraz potrzebował, miał różne wspólne sprawy z kolegami i wiele innych zajęć. Dorastał po prostu. Wiedziała, że to nastąpi.

To, z czym Lily próbowała nauczyć się żyć – że pomiędzy nią a Oliverem nic więcej się nie wydarzy – okazało się nagle ponad jej siły. Zwrot dokonał się w jednej chwili, po dwóch tygodniach starań i programowego koncentrowania się na pracy. Któregoś ranka schowała krawieckie nożyce i bez żadnego konkretnego planu pojechała do pracowni Olivera.

Oliver wynajął przyjacielowi większe pomieszczenie na dole, ale zostawił sobie pracownię na piętrze. Lily ominęła siedzącą w recepcji Esther – jej pełna, umalowana twarz mignęła w oszklonych wahadłowych drzwiach – i poszła po betonowych schodach na górę.

Wnętrze znów było mroczne i zakurzone. Od razu zorientowała się, że go tu nie ma. Podeszła do okna, uniosła roletę, wpuszczając kilka cali dziennego światła – dosyć, żeby oświetlić to miejsce, gdzie Oliver był najbardziej sobą. Wyciągnęła się na stojącym za parawanem leżaku z mahoniu i bambusa, na którym leżał tego wieczoru, kiedy, z głową na jego kolanach, przeżyła zwrot, narodziny swojego

uczucia. Na podłodze wciąż leżały ceramiczne klocki, które wtedy postrącał. Zmienił się od tego czasu, czuł się gorzej, był słabszy, bardziej zamknięty w sobie. Wtedy chciał wyrazić swój bunt przeciwko temu, co się z nim działo, ale kiedy widziała go ostatnio, te uczucia albo opuściły go, albo je ukrywał. Teraz usiłował przezwyciężyć swoje niepojęte oderwanie od rzeczywistości.

Z dołu dochodziły różne dźwięki: warkot rozwijanej beli papieru z nową dekoracją, zawieszoną wysoko pod sufitem, dzwonek telefonu, piski, śmiech. Tak samo było tu wtedy, kiedy on kierował całością: wszystko pulsowało życiem, twórczą energią.

Usłyszała stłumiony stukot i syk – drzwi do pracowni Olivera otworzyły się i zamknęły na swoich ciśnieniowych zawiasach. Ktoś szedł w jej kierunku. Nie rozpoznała kroków. Czy była to Esther, która usłyszała tu ruch, tak jak Lily słyszała ruch na dole? Lily pozostała ukryta za parawanem. Ktokolwiek to był, zbliżał się, ale powoli, jak gdyby rozglądając się po drodze.

Zza parawanu wyłonił się Oliver, ze zwieszoną głową, ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Ona wyprostowała się, on podniósł wzrok.

– Lily – powiedział dziwnie niepewnym głosem – jak cudownie.

Nadal siedziała nieruchomo, bez słowa, przyglądając się mu, gdy tak szedł, jak gdyby brnął przez wodę. Kiedy był tuż przy niej, uśmiechnął się, a ona powiedziała z gniewem na ten uśmiech:

– Dlaczego do mnie nie przyszedłeś? Zapytałeś. Powiedziałam „tak”. Czekałam, tęskniłam i byłam tak strasznie samotna. Dlaczego mi to zrobiłeś? Czyżby sytuacja w domu się poprawiła? – Potrząsnął głową. – Tak sądziłam. Więc dlaczego?

– Ze względu na ciebie. Nie mam nic, co mógłbym ci dać. To hańba wykorzystywać twoją litość. Inaczej to wyglądało, kiedy byliśmy z daleka od świata, w Szkocji. Czuję się wtedy tak bliski tobie. Ale gdy rzeczywistość dopadła mnie tego ranka, kiedy przyjechaliśmy do Londynu... wiedziałem od razu, że nie mogę.

– Kto tu się nad kim lituje i co z litością dla mnie? Czy nie rozumiesz, że...

– Jest jeszcze jedna sprawa. Chociaż wymieniam to na drugim miejscu, z pewnością ma nie mniejsze znaczenie.

– Co takiego? – Lily poczuła lęk. Z poprzednim argumentem była się w stanie rozprawić.

– Moja próżność. Chcę się z tobą kochać, wiesz o tym. Szczerze mówiąc, pragnąłem tego od... och, Bóg jeden wie od jak dawna, choć po raz pierwszy

naprawdę zdałem sobie z tego sprawę tutaj, kiedy siedziałem tam, gdzie ty teraz siedzisz. Ale pomimo pożądanego – a przez te leki staję się absurdalnie pobudliwy, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, wygląda na to, że mam być pozbawiony godności w każdej dziedzinie – nie wiem, czy jestem jeszcze do tego zdolny, a już na pewno nie potrafię dać żadnej satysfakcji. – Chciała mu przerwać, ale jej nie pozwolił. – Tak, tak. Wiem, chcesz powiedzieć, że ci na tym nie zależy. Znam ten tekst, ale facetowi zależy, rozumiesz? Mnie zależy, jak cholera. Nie chcę robić z siebie idioty. Nie z tobą.

– To wszystko jest w twoim wydaniu strasznie niskie. Chyba chodzi o coś więcej.

– Oczywiście, że tak. Jeśli człowiek chce się z czymś rozprawić, najłatwiej to najpierw zdeprecjonować.

– A więc deprecjonujesz mnie. Gdyby nie twoja choroba, jestem przekonana, że do niczego by między nami nie doszło, ale stało się, a ty teraz odwracasz się ode mnie z powodu choroby. Wygląda, że tak czy inaczej nie ma tu miejsca dla mnie.

– Zbyt wiele miejsca, Lily. Godziny rozmyślenia o tobie: o tym, jak mówisz, o twoim dotyku, o tej szczególnej jakości twojego towarzystwa. I oto jesteś i siedzisz dokładnie w tym miejscu, gdzie modłę się, aby cię znaleźć, za każdym razem, kiedy tu wchodzę.

– Gdybym nie przyszła, czy ty przyszedłbyś do mnie?

– Myślę, że chyba nie.

– Cóż, ale przyszłam. – Chciała się podnieść. Wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.

– Jest jeszcze jedna sprawa, myśl, która nie daje mi spokoju. Czy ta makabryczna choroba zwalnia człowieka z zasad, usprawiedliwia niewierność? Czy upoważnia mnie do tego, żeby wykorzystywać twoje współczucie, jeżeli nie lubisz słowa litość? To zbyt łatwe wyzbyć się honoru w takiej sytuacji.

Lily mogłaby wysunąć nowe argumenty, rozproszyc jego wątpliwości, ułagodzić poczucie honoru, ale wiedziała, że jeśli robi się to za kogoś, prędzej czy później przyjdzie za to zapłacić. Zresztą tak czy inaczej wiedziała już, że były to pytania ogłoszone, a nie zadane, że tak samo jak ona przyszła do jego pracowni, on zrobi to, co nieuniknione, co stać się musi.

Po chwili powiedziała:

– Proszę cię, Oliver, przychodź do mnie, kiedy będziesz samotny. Nie potrafię wymyślić nic mądrego, żeby cię przekonać, tylko to, że jestem nieszczęśliwa, tak bardzo jak jeszcze nigdy w życiu. Nie dlatego, że martwię się o ciebie, ale dlatego,

że ciebie przy mnie nie ma. Poza tym jestem zazdrosna o to, co cię absorbuje, czymkolwiek to jest, o to, co pochłania twoją uwagę, kiedy twoja świadomość się wyłącza. Daj i mnie trochę swojego czasu, nie oddawaj wszystkiego chorobie, nie pozwól, żeby cię zagarnęła.

Podniosła się, stanęła naprzeciw niego. On ujął jej głowę w swoje wielkie, kanciaste dłonie i pochylając się lekko, przesunął ustami po jej twarzy, mrucząc:

– A więc jesteś gotowa wkroczyć w ten horror razem ze mną? Być tam, kiedy będę się staczał? Nie masz pojęcia, co ofiarujesz, ze swoją szaloną, absurdalną odwagą. Gdybym był więcej wart, powiedziałbym ci teraz, żebyś sobie poszła.

Oliver nigdy nie zapowiadał swojego przyjscia, ale jego wizyty wkrótce stały się nieodłączną częścią każdego dnia lub nocy. Lily dała mu klucz, aby mieć czasem przyjemność zastania go w domu po powrocie, i rzeczywiście tak się zdarzało. Nigdy nie wychodziła na długo, gdyż jej życie i świadomość stopiły się z jego życiem. Mógł pojawić się o trzeciej w nocy lub po południu: różnica przestała mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie, żył coraz bardziej w swoim własnym wymiarze czasu.

Stopniowo odkryła, bez zadawania pytań, jak układają się jego sprawy domowe: że to Oliver dotrzymuje towarzystwa Sebastianowi, kiedy chłopiec nie jest w szkole, że oni dwaj stali się sobie bliżsi niż kiedykolwiek, że Melissa wynajęła na stałe gosposię-pielegniarkę, która gotuje, prowadzi samochód, w ogóle dogląda wszystkiego podczas jej częstych nieobecności. Nie było już bezpiecznie zostawiać Olivera samego w domu, jedynie z Sebastianem do pomocy. Dowiedziała się też, że Melissa i Oliver śpią teraz w osobnych pokojach. „Tak naprawdę jest lepiej – tłumaczył – w nocy jestem okropnie nudny”. Lily było wstyd, że ta wiadomość podziałała na nią tak kojąco.

Uzgodnili, że będą otwarcie stawiać czoło jego chorobie, omawiając każdy z symptomów: kiwanie głową, kuśtykanie, brak panowania nad głosem. Jeśli te tiki i drgawki sprawiały, że zachowywał się absurdalnie, co się czasami zdarzało i było okrutne, wykpiwali je, niczym demony nawiedzające jego ciało. Traktowali je jak wroga. Wszystkie chwytły dozwolone. Nie boimy się ciebie. Odejdź, skąd przyszedłeś. Wracaj do piekła.

Kiedy Lily widziała, że Oliver za chwilę się wyłączy, mówiła: „Hej, hej, nie ma mowy. Dokąd to się wybierasz? Nie pójdziesz sobie ode mnie, rozumiesz?”. Czasami to skutkowało i zostawał, z wyrazem zawstydzenia, z domieszką żalu za tym, od czego go oderwała.

Odkryli, że powinien wystrzegać się rytmicznych ruchów i dźwięków. Któregoś

dnia jego uwagę przykuła stopka maszyny do szycia, która bucząc, sunęła wzdłuż szwu. Siedział obok Lily i miło jej było, że przygląda się jej pracy. Przypadkiem uniosła wzrok i zobaczyła, że jego uwaga zmieniła się w zastygłą nieobecność.

Coraz częściej mylił się przy zażywaniu leków, przedawkowywał, zaniżał dawkę i Lily opracowała tabelę z godziną, dniem tygodnia i datą. W odpowiednich rubrykach należało wykreślić sześć racji dziennie, które wkrótce urosły do dwunastu. Dwa razy zdarzyło się jej go zostawić: raz, gdy wyszła po zakupy, drugi raz, kiedy po prostu odwróciła się na drugi bok, leżąc w łóżku obok niego, żeby się trochę zdrzemnąć. W obu przypadkach znalazła go w fantastycznej pozie, trwającego nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym gdzieś hen, w dal. „Dokąd ty odchodzisz, co widzisz?” – pytała, gdy powracał do normalnego stanu z takiego urlopu od rzeczywistości. „Odwiedzam jakieś miejsca, Lily, widzę różne rzeczy” – odpowiadał z powagą. I raz, zatrważająco: „To tajemnica”. Tym razem pomyślała: „Przegrywam”.

Wszystko to było przeplatane okresami przytomności, kiedy wszelkie objawy zniknęły tak całkowicie, że Lily przypominała sobie, jak kiedyś wątpiła w jego chorobę i wierzyła, że któregoś dnia to wszystko z pewnością minie. Czasami z szalonym optymizmem myślała, że ten czas właśnie nadszedł. Na przykład gdy zjawiał się pod jej drzwiami, wyglądając dokładnie tak jak mężczyzna, którego poznała wiele lat wcześniej. „Mały braciszek” Grace, który wrócił z Afryki i okazał się wielkim, szpakowatym, siwookim mężczyzną o leniwych ruchach, z jakąś ujarzmioną, wewnętrzną siłą, obserwującym otoczenie z nieśmiałym, łagodnym rozbawieniem. Jak bardzo bała się wtedy tej kartki: „Wyjechałem do Afryki”, której nigdy nie zobaczyła na drzwiach:

„Gdzie byłeś? Co robiłeś?” – pytała, kiedy zjawiał się, wyglądając właśnie tak. „Pływałem w basenie z ciepłą wodą w szpitalu. Terapia, rozumiesz” – mogła brzmieć odpowiedź i Lily pamiętała, że to dobre samopoczucie było najczęściej złudzeniem lub w najlepszym wypadku czymś przelotnym.

Prawdziwy Oliver, wyciągający ręce ponad chorym intruzem do kogoś, kto, jak się wydawało, mógł go uratować, i ten ktoś, przygarniający go, by ratować, ratować ze wszystkich swoich sił, to była tylko część ich przymierza. Równie mocne było ich wzajemne pożądanie i radość ze spędzonego wspólnie czasu, z rozmów i długich, sycących godzin miłości. Był człowiekiem, który posiadał rzadki dar intensyfikacji, dzięki czemu chwila obecna stawała się bardziej rzeczywista, więcej warta niż ta należąca do przeszłości lub mająca dopiero nadejść. Nigdy przedtem smak życia nie był tak mocny.

Dzielili w ten sposób życie prawie od miesiąca, kiedy Oliver przyszedł któregoś dnia o niecodziennej, wieczornej porze, gdy Sebastian był zazwyczaj w domu. Lily usłyszała chrobot klucza w zamku, zobaczyła go i rozpromieniła się, bo był w znakomitej formie. Podszedł do niej z uniesionymi rękami.

– Cześć, kochanie! – zawołał, obejmując ją, kołysząc w swoich ramionach, po czym zamachał w powietrzu niewielką paczuszką: – Chcesz zobaczyć, co tu mam?

– Czy Sebastian nie powinien być teraz w domu? Nie jest sam, mam nadzieję?

– Oczywiście, że nie. Wyszedł z kolegą i nie będzie go do dziewiątej, więc muszę przedtem wrócić, bo Melissa wyjeżdża lada chwila do Yorkshire. Chcesz wreszcie zobaczyć czy nie? To zdjęcia z naszych wakacji. Zostawiłem je w pracowni do wywołania i zapomniałem o nich. Esther przyniosła je dzisiaj, kiedy byłem u neurologa. Miło z jej strony. Ostatnio jest trochę zła, bo nie pozwalał jej tak się we wszystko wtrącać jak dawniej. Moje fotki są niezłe, ale najlepsze są zdjęcia Sebastiana.

A więc znów miała to wszystko przed oczami. Ich miejsce, ich Szkocja, ich wspólnie przeżyty czas, zamknięty w prostokątach zachwyty. Wśród innych szczególne ujęcia Sebastiana: nogi od krzeseł, buty, wnętrze łodzi z leżącą na dnie rybą – przekrzywione, nieostre. Leżeli na łóżku, podając sobie zdjęcia tam i z powrotem. „I popatrz...”, „A tutaj...”, „A to...”, „Tak, no właśnie, o tak”.

– Pojedziemy znowu, prawda, Oliver? Niedługo? – Nie odpowiedział, więc odwróciła głowę, która spoczywała na jego ramieniu i spojrzała mu w twarz. Patrzył w sufit. – Oliver? Przestań, Oliver, nie!

– W porządku, nic mi nie jest.

– To dlaczego nie odpowiadasz? Pojedziemy znowu, prawda? Z Sebastianem?

– Lily, w szpitalu mówią, że powinienem się tam przenieść na stałe. Całodzienna opieka przestaje wystarczać. Wiesz, że ze mną jest gorzej, staruszek, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

Przełożyła nogę nad jego nogą, uniosła się nieco, pochylona nad nim, tak że jej twarz znalazła się nad jego twarzą.

– My przecież patrzymy prawdzie w oczy i wcale nie jest gorzej. Pomyśl o wszystkich tych chwilach, choćby takich jak teraz. W tej chwili jesteś super... – Jej głos zadrżał, widok się rozmazał.

– Nie płacz, kochanie. – Zanurzając rękę w jej włosach przysunął jej twarz jeszcze bliżej do swojej. – Musimy się przygotować, bo do tego sprawy zmierzają.

Zanim zdążyła przypuścić świeży atak na jego argumenty, zadzwonił telefon. Sięgnęła, żeby go odebrać, przytrzymując Olivera wzrokiem, uprzedzając, że tak

tej sprawy nie zostawi.

– Tak – powiedziała w słuchawkę zniecierpliwionym głosem. Nagle odsunęła się od niego i opadła na plecy, zachłystując się ze zdumienia. – Grace? Wierzyć mi się nie chce. Nareszcie! Mam ochotę cię zamordować, tak długo to trwało. Trzy mizerne kartki. Czy dotarły do ciebie jakieś listy? Co u ciebie? Gdzie jesteś?

Oliver uniósł się na łokciu, aby móc ją lepiej widzieć, i kiedy spojrzała na niego z uniesionymi brwiami, pokręcił głową, pokazując palcem, że go tu nie ma. Lily kiwnęła głową, nie przerywając rozmowy.

– ...A więc już coś znaleźliście... – powtarzała, ile się dało, w granicach rozsądku, aby nie wystawiać na zbyt ciężką próbę jego zachłannej ciekawości. – Zabytkowa willa?... Nazywa się La Pieta... Piękna? No, musiała być, prawda?... Ach, więc możecie ją tylko wynająć. Ale dwa lata to akurat w sam raz, prawda? Więc nie musicie kupować mebli, to miło... Tak, spodziewam się, że Johnny nie jest zachwycony, skoro to stary dom, ale mimo wszystko...

– Jak ona się czuje? – zapytał Oliver samym ruchem warg.

– A ty jak się masz, Grace? Szczęśliwa...? Grace...? – Lily wzruszeniem ramion dała Oliverowi znak, że nie rozumie, co się dzieje, po czym wróciła do telefonu. – O, Johnny. Przed chwilą rozmawiałam z Grace. Co się stało? – Oboje przybrali bardziej czujne, wyprostowane pozy. Lily zaczęła ostrym tonem: – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym sama ją o to zapytać... – Oliver dotknął jej ramienia, zobaczyła jego wysuniętą rękę, z wyprostowaną i nieco uniesioną dłonią. Gest mówił: „Spokojnie”. – Przepraszam... Po prostu jej głos trochę mnie zaniepokoił. Co u was? Dobrze się bawicie? To świetnie. Dobra nowina o tej willi... – Lily zasłoniła mikrofon, mówiąc szeptem do Olivera: „Przed chwilą rozmawiał z Melissą, złapał ją jeszcze, zanim wyszła”. – Odsłoniła słuchawkę i mówiła dalej: – W czasie wiosennych ferii Sebastiana? To niecały tydzień. Zgodziła się? Rozumiem, we trójkę. Naprawdę? – Znowu szepnęła: „Macie spędzić z nimi część ferii, wyjechać w piątek, wrócić w poniedziałek. Melissa powiedziała, że to świetnie, że odmiana dobrze ci zrobi”. Oliver przewrócił oczami, zasłonił twarz. Lily wróciła do rozmowy z Johnnym. – Jasne, że chciałabym przyjechać, ale skoro mówisz, że to bez różnicy, czy mogłabym porozmawiać o tym z Grace? Proszę cię... Dzięki. Na razie. – Położyła się z powrotem na łóżku, wsłuchana w to, co działo się po drugiej stronie słuchawki. – Grace? – powiedziała w końcu. – Cześć, co się tam dzieje? Chyba nie płaczesz? Śmiejesz się, rozumiem. Musi być coś z połączeniem... Tak, z przyjemnością, naprawdę. Nie mogę się doczekać, żeby cię znów zobaczyć. Chcesz, żebyśmy przyjechali wszyscy razem? I Dennis, i



Angela? Ojej! Czy aby jest dosyć miejsca? Coś podobnego. Naprawdę musisz już iść? Jest tyle rzeczy, o które chciałabym cię zapytać. Dobrze, w porządku. Też za tobą tęsknię. Pa.

Oliver patrzył, jak kołysze martwą słuchawką, jak gdyby ta wciąż mogła ujawnić jakieś nowiny na temat Grace.

– Więc? – zapytał.

Lily westchnęła i postawiła telefon z powrotem obok łóżka. – Wyglądało na to, że jest... cóż... dosyć podminowana.

– O rety.

– Naprawdę.

Leżeli na łóżku, trzymając się za ręce. Lily błędziła wzrokiem po zaciekach na suficie, oczy Olivera były zamknięte. W końcu Lily powiedziała:

– Dasz sobie radę? Z podróżą? Pobytem?

– Muszę, ze względu na Grace. Muszę sam zobaczyć, co się tam dzieje, a ona powinna zobaczyć, co dzieje się ze mną. Uczciwość wymaga, żeby wiedziała.

– To znaczy, że bylibyśmy tam wszyscy razem: ty, ja, Melissa, Sebastian. Mogę odmówić. Mogę pojechać później.

– Czy będzie ci bardzo trudno udawać?

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić. I jestem pewna, że oni się domyśla, po tym, jak na ciebie patrzę, jak cię dotykam. Oczywiście, przedtem też to robiłam, dotykałam cię i w ogóle. Ale jak to robiłam, zanim poznałam i pokochałam twoje ciało tak jak teraz?

Uścisnął jej rękę.

– Jedź z nami, jeżeli jesteś w stanie to wytrzymać. Proszę cię. Kto mi pomoże, jeśli... no wiesz, zdarzy mi się to, co się zdarza? Kto zrozumie i nie wpadnie w popłoch?

– Sebastian.

– Lily, wiesz, że on sobie sam nie poradzi. To nie fair wobec niego.

– Oczywiście, wiem. Pojadę, nie martw się. Ale co z tymi dziećmi? Wciąż są w Ogródku. Carol na dobrą sprawę się nie pojawiła. Co zrobimy z prawdą, którą znamy?

– Mnie o to pytasz? Ty, strażnik sekretów? Co innego można zrobić z prawdą, jak tylko wydzielać ją po troszeczku, życzliwie, delikatnie i jedynie wtedy, gdy to naprawdę konieczne? Wymyślimy coś na poczekaniu, Lily. – Nagle poczuła w jego ręce chłód, rosnące napięcie. – Muszę wracać, kochanie, pomóż mi dostać się do domu.

Dopiero kiedy odwiozła go pod dom i wracała do siebie, przypomniała sobie rozmowę o przeprowadzce do szpitala. Wspomnienie wróciło z taką siłą, że zatrzymała samochód. Chciała zawrócić, dyskutować, wygłaszać tyrady przeciw nieuniknionemu. Ale nie, musi mu tego oszczędzić. Włączyła silnik.

Nie pozostało nic innego, jak pojechać do Włoch, spojrzeć na szczęście Grace okiem osoby dobrze poinformowanej. Ona też włoży maskę, dla dobra ich wszystkich, maskę dawnej Lily, którą już nigdy nie będzie: otoczonej przez tych, którzy ją kochają, hołubią, którzy jej ufają.

Grupa, która przyleciała porannym samolotem z Londynu i zanurzyła się w czerwcowy żar Pizy, musiała wyglądać niecodziennie. Lily, w kremowym, jedwabnym kostiumie Diora z lat czterdziestych, szła u boku Olivera, posuwającego się chwiejnie o dwóch laskach. Sebastian szedł z drugiej strony, niosąc swoją białą laskę niczym muszkiet na ramieniu, postukując nią tylko wtedy, kiedy musiał. Jego głowa była zadarta, usta otwarte, wystawiał twarz na ciepłe, nieznanne powietrze, drepcząc kaczym krokiem w swoich bejsbolowych butach. („Wiem, że mieli nie wyjeżdżać na lotnisko, ale gdyby jednak przyjechali, gdyby on przyjechał, musi zobaczyć, że nadal je noszę”). Melissa paradowała przed tą trójką w obcisłych, jasnych spodniach, prowadząc ożywioną rozmowę z Angellą, z typowo brytyjskim brakiem zaufania do pogody, wciąż opatuloną tak samo jak pod burym niebem, które zostawili za sobą. Na samym końcu, smutny i wymięty, szedł Dennis Little, w łopoczącej na wietrze, brudnobiałej, płóciennej panamie w kolonialnym stylu, z rattanową walizką w ręku. Cały jego wygląd był jakiś niedzisiejszy: niczym balon tydzień po zabawie, można go ponownie nadmuchać, ale mało prawdopodobne, żeby to wytrzymał. Jego przygnębienie było tak oczywiste, że Lily kilkakrotnie zapytała: „W porządku, Dennis?”, „O tak, znakomicie”.

Na lotnisku wynajęli dwie taksówki. Wtedy nadeszła pierwsza próba, pierwsza fałszywa poza.

– Ja pojedę z Dennisem i Angellą.

– Lily! – rozległo się pełne oburzenia unisono Sebastiana i Melissy. – O co chodzi? – zachęcała Melissa. – Dalej, jest mnóstwo miejsca. – Miły, sympatyczny ton. Trudno to było znieść.

Kiedy spotkali się na lotnisku w Londynie, Melissa potrząsnęła Lily za ramiona.

– Witaj, nieznajoma. Miło cię spotkać po tak długim czasie. Naprawdę miło – podkreśliła, jakby chcąc dać jej coś szczególnego do zrozumienia. Był to prawie uścisk, który u Melissy nie wchodził w grę.

Oczywiście było to całkiem naturalne, że pojechała z nimi, ale postarała się tak pokierować sprawą, żeby usiąść z przodu, obok kierowcy.

Po niespełna dwóch godzinach kierowca zwolnił i wskazał coś za oknem: – *Guarda laggiii, qelle e la Pieta.*

Po drugiej stronie doliny ukazała się willa, zawieszona na stoku wzgórza, samotna, jak ze snu, zasnutą migotliwym oparem, cała w blaknących dostojnie miodach i ochrach, strzeżona przez cyprysy, otoczona niższymi od niej, wiekowymi budynkami gospodarczymi.

Melissa spoglądała przed siebie pomiędzy przednimi siedzeniami samochodu. Jej ręka od niechcienia spoczęła na dłoni Lily:

- Mój Boże, jakie to piękne. Co, Lily?
- Cała Grace, prawda?
- Brawo, Grace.

Teraz, ze względu na Sebastiana, nastąpiła seria opisowych wykrzykników. Lily odwróciła się z wysiłkiem, chcąc dosięgnąć jego kolana i dotknięciem przekazać mu swój entuzjazm. Wtedy ujrzała, że Oliver siedzi w kącie wyprostowany i że jego stan jest kiepski.

– Melisso, patrz.

Melissa spojrzała.

– O Boże, Oliver! Nie teraz, mój drogi, proszę cię, zaraz będziemy na miejscu. Hej, Oliver! O Boże, Lily. Co robić? Mamy się zatrzymać?

– W tej chwili to nic nie da. Czy zażył lekarstwo?

– Nie wiem. Oliver? Wziąłeś pigułki? – głośno, dobitnie, niczym do kogoś, kto nie rozumie języka. Ale on był już nieobecny.

– Sprawdź w tabeli – powiedziała Lily. Jeśli zażył, powinno być wykreślone.

– Tabela, tabela? Ach, ta kartka, jasne. – Melissa sięgnęła mu ostrożnie za marynarkę, wyciągając szybkim ruchem kartkę, jak gdyby wyrywała kawał mięsa z paszczy lwa. – Popatrzmy.

Lily delikatnie odwróciła ją w rękę Melissy we właściwą stronę.

– O Boże – powiedziała znowu Melissa. – Ależ jestem głupia.

– Bez paniki, Melisso. Chcesz, żebym ja sprawdziła?

– Mogłabyś? Dziękuję ci.

– A więc – Lily studiowała schemat, trzymając go w wyciągniętej ręce. – Nie. Wygląda na to, że zapomniał zażyć ostatnią dawkę. Nie można podać mu tego tu w samochodzie. Musimy poczekać, aż będzie go można położyć na plecach.

– Co powie Grace? Biedna Grace. Nie ma o niczym pojęcia. Powinnam ją była uprzedzić. Wiem, że powinnam.

Lily zrobiła to, co zamierzała zrobić na początku – wyciągnęła rękę w stronę Sebastiana, aby dodać mu otuchy.

– Wszystko w porządku, nie martw się. To już naprawdę blisko.

Nie odezwał się. Jego twarz obracała się tam i z powrotem, penetrując wnętrze samochodu. Melissa otoczyła go ramieniem.

– Tatuś przyjdzie do siebie lada chwila, kochanie.

Dwa samochody wspinały się po zniszczonej, krętej drodze, zwalniając, gdy mijali zabudowania w pobliżu willi. Wokół biegały wychudzone psy, dzieci machały do nich rękami. W polu widzenia nie było nikogo dorosłego, niewątpliwie przespali bijący z nieba, popołudniowy żar.

Wysokie, kunsztowne, statecznie rdzewiejące ogrodzenie z bramą pośrodku odgradzało zarośnięty dziedziniec willi *La Pieta*.

Wszyscy prócz Olivera wysiedli z samochodów. Jeden z kierowców, który chyba znał to miejsce, podszedł do ogrodzenia z lewej strony i pociągnął za metalowy pręt. W głębi budynku zakaszła dzwonek. Natychmiast rozległy się kroki – podzwaniający kamień towarzyszył im zaświatowym echem. Kroki zbliżały się, dało się słyszeć odsuwanie rygli po tamtej stronie podwójnych, frontowych drzwi.

Patrzyli, jak jedno ich skrzydło się otwiera, uśmiechnięci, spodziewając się ujrzeć Grace w tej idealnej oprawie.

W drzwiach ukazała się niska, krępa, czarnowłosa kobieta w perkalowym fartuchu, w mokasynach na gołych nogach. Jej ruchy były kanciaste, głowa spuszczone, prawą rękę unosiła powitalnym gestem.

– *Ciao*, Benedetto – powiedziała szorstkim głosem.

– *Ciao*, Anna. *Come va?* – zawołał kierowca.

Nie odpowiadając na pozdrowienie, szła zamaszystym krokiem przez dziedziniec, zamiatając powietrze rękami. Otworzyła zamek i kierowcy pomogli jej odciągnąć skrzydła bramy, żłobiące piaszczyste koleiny. Pomędzy tą trójką wywiązała się ożywiona wymiana zdań. Lily, Melissa, Angela i Dennis stali nieopodal, odsunięci na boczny tor, ubawieni sytuacją. Sebastian wrócił do samochodu, otworzył drzwi i stanął obok ojca w opiekuńczej postawie.

Kiedy pojawiła się Grace, nie patrzyli w kierunku drzwi, więc najpierw usłyszeli jej głos.

– Moi drodzy, kochani, a więc jesteście! Jesteście tu wszyscy. To cudownie! – Szła przez dziedziniec, podtrzymując rondo skromnego, słomkowego kapelusza, przybranego staromodnymi, jedwabnymi kwiatami o nasyconych barwach. Jej twarz kryła się w cieniu kapelusza, biała sukienka płynęła, lśniąc w słonecznym blasku. Z każdym krokiem Grace szła szybciej, potykając się nieco w sandałach na wysokich obcasach. – Lily, moje drogie dziewczę. Chodź tutaj. – I Lily znalazła się

pod wielkim kapeluszem, szczęśliwa, przejęta i zaszokowana. Szokujące było wrażenie bezcielesności postaci, którą obejmowała. Grace odsunęła się, żeby na nią popatrzeć, i Lily zobaczyła jej twarz: znękaną, pełną napięcia, ale uśmiechniętą i lekko opaloną. Grace zwróciła się do innych, dając Lily czas na uporządkowanie wrażeń, ale witając się z nimi, nadal trzymała ją za rękę. – Angelo, moja droga. Znakomicie wyglądasz, skarbie. Dennis, kochany. Tak miło z twojej strony, że przyjechałeś, chociaż jesteś taki zajęty. Ale czy nie jesteś teraz zadowolony, że nalegałam? – Gestem ręki ogarnęła wille, wzgórze, wszystko. – Melisso, masz tyle spraw na głowie. Słyszę o tobie nawet tutaj i czytam w angielskich gazetach. Witaj, Sebastianie! – zawołała. – Już do ciebie idę, kochanie. Nie uwierzysz: mamy tu strumień, a w nim ryby, które tylko czekają, żeby je ktoś złowił. – Zanim podeszła do Sebastiana, ujęła Annę serdecznie za ramię, demonstrując, jak bardzo ją ceni: – Słuchajcie wszyscy, to jest Anna i jest wspaniała. Prawda, Anno? – Kobieta odwróciła twarz ze wstydliwym uśmiechem. – Anno, to jest Lily, moja Lily, o której ci tyle opowiadałam. – Anna wytarła rękę, zanim ją podała. – A to Melissa i Angela, i Dennis, a tam dalej Sebastian i... – Grace urwała. W tym momencie Anna wycofała się, by zająć się pilniejszymi sprawami, takimi jak walizki. Ręce Grace opadły bezwładnie. Zadzierając głowę, aby ogarnąć szerszy widok, niż pozwalało rondo kapelusza, zapytała z przerażeniem: – Ale co z Oliverem, gdzie jest Oliver? Czy to jego tam widzę? W samochodzie? – Jej głos brzmiał nienaturalnie. Szczególna rzecz, jak duch potrafi wyczuć coś wcześniej niż zmysły.

– Grace, jest pewna sprawa... – Melissa szła już w kierunku samochodu, mówiąc po drodze: – Oliver miał ostatnio problemy ze zdrowiem. Nie mówiliśmy ci o tym, bo sobie tego nie życzył. Nie chciał zepsuć ci miodowego miesiąca. Teraz widzę, że powinnam cię była uprzedzić, ale... – Przykucnęła przy otwartych drzwiach samochodu. Sebastian odsunął się, jak zawsze, gdy wiedział, że nie może w niczym pomóc. – Ma coś w rodzaju, no... właściwie ataków, tak jak właśnie w tej chwili. Nie powinnaś się niepokoić. Postaraj się zachować spokój.

Z ręką przyciśniętą do piersi Grace powoli okrążyła samochód, pochylając się, aby zajrzeć do środka. Melissa przerzuciła nogi Olivera na drugą stronę, chwyciła go za rękę, aby wywindować go do pionu. Grace też się wyprostowała, mając teraz przed sobą w całej okazałości upiorny widok wielkiej, sparaliżowanej postaci brata, który sunął chwiejnie noga za nogą, odwracając głowę, jak gdyby oderwano go siłą od jakiejś bajecznej wizji.

Kierowcy okazali zwykle w takich sytuacjach współczucie osób postronnych, zakłopotani i niepewni, czego się od nich oczekuje, ale Dennis i Angela byli

wstrząśnięci i głośno dali temu wyraz. Tak, uprzedzono ich, że jest chory, jego wygląd ich przeraził, kiedy zobaczyli go na lotnisku, ale to? Ten pokręcony pomylenieć? Melissa wcale ich na to nie przygotowała.

Oliver wykonał nagle spazmatyczny ruch, chwytając szyję Melissy jak w kleszcze.

– Przestań, Oliver. Udusisz mnie, to boli. Pomocy! – Zataczali się rozpaczliwie, szczepieni ze sobą.

Lily była odwrócona tyłem, udając, że podziwia widok, naprawdę po to, żeby nie patrzeć na niego, gdy się pojawi. Ale kiedy usłyszała krzyk Melissy, podeszła prosto do nich, brutalnie oderwała rękę Olivera od jej szyi i przerzuciła jego ciężar na swoje ramię.

– On nic na to nie może poradzić – wysapała w trakcie tych zmagania. – W tej chwili nie ma kontroli... trzeba to zrobić za niego.

Oplatając swoją nogę wokół jego nogi zaczęła ją popychać do przodu.

Wszyscy wpatrywali się w tę scenę jak zahipnotyzowani, aż wreszcie Anna ruszyła zdecydowanie naprzód. Sięgała mu najwyżej do piersi. Zarzuciła sobie jego bezwładne ramię na plecy, przytrzymała je ręką, i razem z Lily pohołowała go naprzód, powtarzając: *Allora. Andiamo*, tonem osoby, która zna się na sprawach praktycznych.

Dennis i Angela uspakajali Grace, która wciąż stała nieruchomo, niezdolna wymówić słowo. Kiedy Lily wchodziła w przepastny cień willi, usłyszała, jak Dennis mówi:

– Może byśmy weszli do środka, wtedy Melissa wszystko nam wytłumaczy. Dobrze, Melisso? Cała sprawa jest tak niepojęta.

– Oczywiście. Gdybym wcześniej pomyślała przez sekundę... Tak mi przykro, Grace.

Za frontowymi drzwiami znajdowało się coś, co spełniało rolę wewnętrznego dziedzińca, z kamienną posadzką i parą identycznych drzwi po drugiej stronie. Z sufitu zwieszał się masywny kandelabr z kutego żelaza, z grubymi, poźółkłymi świecami w szklanych lichtarzach. Po obu stronach wznosiły się szerokie schody z marmurową balustradą, prowadzące na pierwsze piętro.

Lily wraz z Anną wciąż zachęcały Olivera, żeby posuwał się naprzód. Lily mówiła do niego przez cały czas – na tyle normalnym głosem, na ile pozwalał jej wysiłek.

– Spodoba ci się tu, zobaczysz... Popatrz w górę, widzisz lampę? I świece... pewnie jest trochę jak w kościele, kiedy są zapalone... Teraz schody, powoli... tak,

dobrze. Widzisz ten marmur? Prawie różowy, niewiarygodne.

Początkowo Anna rzucała na Lily niepewne spojrzenia spoza chwiejącego się ciała Olivera. Wreszcie uznała, że rozmowa w lekkim tonie to najlepsze wyjście, i przyłączyła się:

– Tak, tak..., bardzo ładne, bardzo... Należało do kościoła, wiele, wiele lata. Różni kardynałi tu mieszkali. ... *E la verita*.

– Słyszysz, Oliver? Ciekawe, prawda?

Weszły na górę, skręciły w prawo, minęły krótką galerię wychodzącą na zamknięty dziedziniec. Pozostali goście właśnie wchodzili do domu. Anna wyciągnęła rękę i otworzyła ciężkie drzwi.

– *Arrivato* – wysapała.

Po przejściu przez ciemny korytarz dotarły do sypialni, gdzie na środku, w półmroku zasłoniętych żaluzji, wznosiło się szerokie łóżo z baldachimem.

Wyczerpane, niemal rzuciły Olivera na łóżko i Lily natychmiast odwróciła go na plecy. Przyciskając kolanem jedną rękę, podczas gdy Anna przytrzymywała drugą, wyjęła, odliczyła i zaaplikowała pigułki, wciskając mu je głęboko do gardła i wlewając po trochu wodę z przechylonej karafki.

Kiedy się z tym uporała, osunęła się na niego.

– Wiem, że mnie nie słyszysz, kochany. Proszę cię, nie daj się. Walcz, najdroższy. Walcz dla siebie, dla mnie.

Jego ręce opadły na jej plecy. Z potworną siłą przycisnął ją do swojego ciała, do którego najchętniej by weszła, gdyby mogła, pozostając w jakimś głębokim zakamarku, aby tam nie dawać spokoju, przywoływać do życia. Może sama nigdy by się nie podniosła, gdyby inna ręka nie dotknęła jej pleców, nie wiadomo po jak długim czasie – może upłynęło zaledwie kilka minut. Była to ręka Anny. Lily podniosła wzrok.

– Śpi – powiedziała Anna pełnym szacunku tonem, wskazując na Olivera. Na to wyglądało, ale nigdy nie można było mieć pewności. – Idziemy, tak? – Anna zachęcała ją, żeby wstała.

– Tak. – Lily przejechała rękawem po twarzy, aby w miarę możliwości usunąć ślady zdradliwych emocji, po czym zawahała się, niepewna, co ta kobieta może sobie w tej chwili myśleć. – On jest... On jest wspaniałym człowiekiem – powiedziała tonem wyjaśnienia, usprawiedliwienia i po prostu dlatego, że chciała o nim mówić.

– Taak, tak – westchnęła Anna. Chociaż patrzyła na Olivera, wydawała się widzieć też kogoś innego.



– Dziękuję za pomoc.

Anna machnęła niecierpliwie swoją ciemną, sękatą dłonią, na znak, że nie ma o czym mówić.

– Idziemy. Piękna herbata gotowa. Signora Grace urządziła.

Po drugiej stronie korytarza znajdował się długi pokój, ciągnący się przez całą szerokość willi, utrzymany w brunatnej tonacji. Ogień płonący na kominku zdawał się tu całkiem na miejscu, dzięki oddaleniowi wykwintnych okien umieszczonych na przeciwległych krańcach – tak daleko, że widok ocieźalonego lata poza nimi robił wrażenie zwykłego hologramu. Przy kominku ustawione były dwie głębokie kanapy z masywną, połączaną konsolką za każdą z nich i stolikiem do kawy pośrodku. Lily wiedziała, że meble nie należały do Grace, ale wszystko nosiło ślad jej ręki. Tutaj usadowiło się całe towarzystwo.

– O Lily – przerwała rozmowę Melissa. – Jak on się czuje?

– Odpoczywa.

– Próbowałam właśnie wytłumaczyć...

– I zrobiłaś to, Melisso – powiedział Dennis z wdzięcznością, ale zdecydowanie, najwyraźniej zaspokojony, gdy idzie o szczegóły. – Bardzo przejrzyście. Dziękujemy ci. Z pewnością wszystkim nam będzie teraz łatwiej zrozumieć i pomóc. Prawda, Angelo?

– Tak, tak. Z pewnością. – Jednak w jej głosie brzmiało powątpiewanie.

Melissa posunęła się, żeby zrobić Lily miejsce na kanapie.

– Muszę ci powiedzieć, Grace, że Lily jest niesamowita. – Lily wpadła w lekki popłoch. – Czy wiesz, że pojechała z Sebastianem i Oliverem do Szkocji? Na wakacje, na ryby. Ja nie mogłam pojechać z nimi, a oni nie mogli jechać sami. Jestem jej bardzo wdzięczna.

– Jednej rzeczy nie rozumiem... – powiedziała, czerwieniąc się, Angela. – Czy on jest... czy będzie... Chciałam zapytać: czy to jest śmiertelne?

– Nie, nie. – Ton Melissy wciąż był spokojny, wywód przejrzysty. – W tym rzecz, rozumiesz. Nie ma powodu, żeby nie mógł żyć w ten sposób całe lata. I właśnie dlatego – po raz pierwszy spuściła oczy – uzgodniliśmy z Oliverem i Sebastianem, że po tym wszystkim – wskazała gestem pokój, wciąż nie podnosząc wzroku – po tych kilku dniach spędzonych tutaj przeniesie się do ośrodka stałej opieki. – Teraz rzuciła każdemu z nich krótkie, krzepiące spojrzenie. – Będą z nim inni w podobnym stanie. Są nawet osoby, które przeżyły epidemię zapalenia opon mózgowych w latach dwudziestych. – Mówiła chłodno, ale było to wybacalne. Takie informacje posiadała, przekazywała je precyzyjnie. Przez chwilę

wsluchiwała się w ciszę, którą wywołały jej słowa, po czym dodała: – Przykro mi, Lily. Nie wiedziałaś o tym, prawda?

Nie, nie wiedziała. Była w tej samej sytuacji co wszyscy, wybita jednym ciosem ze swojej ignorancji. Jej głowa zwróciła się mimowolnie w stronę drzwi. Tam, na drugim końcu korytarza, za kolejnymi drzwiami leżał on. Czy wiedział? Czy podjął decyzję i nie powiedział jej o tym? Kiedy? Wczoraj? Wcześniej? Czy było to już ustalone przed tygodniem, kiedy po raz pierwszy wspomniał jej o tej sprawie? Wreszcie, czyj to był pomysł? Jego, Melissy czy lekarzy? Sebastian zapoznawał się z pokojem, nie biorąc udziału w rozmowie. Zachowywał uprzejmą powściągliwość, gdy rozdział, który niewątpliwie znał aż nadto dobrze, był ponownie odczytywany. Nawet on nie przyszedł do niej, nie uprzedził jej – i to po wszystkim, co wspólnie przeżyli w Szkocji.

Nieoczekiwanie Angela zadała pytanie, o którym myślała Lily, i mówiąc, patrzyła prosto na nią:

– Kiedy zapadła ta decyzja? O ośrodku?

– Dopiero ubiegłej nocy. Rozmawialiśmy o tym, ale naprawdę dopiero wczoraj.

Lily zamknęła oczy, wypuszczając poduszkę, którą ścisnęła kurczowo. Boże, proszę, niech na mnie nie patrz.

Otworzyła oczy. Angela patrzyła.

– To jest upiorne, naprawdę upiorne – powiedziała Melissa półgłosem, zupełnie innym tonem. – Tak trudno o tym mówić, tak trudno zrobić wszystko, co się powinno. Bardzo mi na tym zależy i bardzo się staram, naprawdę – dodała ze ściśniętym gardłem, na bezdechu.

– Mamo? – nagły, niespokojny głos w drugim końcu pokoju.

– Wszystko w porządku, kochanie. Nic mi nie jest, naprawdę.

Grace siedziała, obracając w palcach koronkową chusteczkę i błędząc wzrokiem po łupkowej podłodze, jak gdyby słowa Melissy były tam rozsypane i powinna je pozbierać. Nie odrywając się od swoich myśli, machnęła chusteczką, wskazując kierunek.

– Jeżeli ktoś miałby ochotę, tam jest podwieczorek.

Wszyscy wstali, z wyjątkiem Lily. Ona podeszła do Grace, która podniosła na nią skonsternowany wzrok.

– Nie mogę w to uwierzyć, Lily. Tak trudno to pojąć. Afryka. To wszystko zaczęło się w Afryce, tam dostał śpiączki. Ale to było piętnaście lat temu, Lily. Nie wypytywałam go wtedy, człowiek jakoś nie dopytuje się w takiej sytuacji. Najważniejsze było, że wrócił. Wrócił i był zdrowy. Do dzisiaj.

– Grace, on czasami, nawet dość często, zachowuje się tak jak dawniej. Być może niedługo wstanie, zobaczysz. Chodź, Anna mówi, że urządziłaś piękną herbatę.

Grace uśmiechnęła się słabo.

– Tak, tak. Jej angielski jest uroczy, prawda?

Pod oknem stał stół nakryty białym obrusem, a na nim wszelkiego rodzaju łąkocie: mrożone, kandyzowane, z kremem, malutkie grzanki o pikantnym smaku. Na srebrnej podstawce stał srebrny czajnik, pod którym palił się płomień.

– Spróbujcie tego – Grace wyciągnęła w ich stronę tacę kasztanów w cukrze i z nieśmiałą determinacją postanawiając wprowadzić nieco luzu, powiedziała: – *Capezolli di Venere*. Cycuszki Wenery. Ulubiony przysmak Salieriego. Pamiętacie ten film?\* – Spróbowali posłusznie i pochwalili. – Widzicie? – mówiła dalej Grace, wskazując uchylone okno wychodzące na kamienne stopnie, które skręcały w lewo, prosto do ogrodu. – Spójrzcie dalej, na to wzgórze naprzeciw. Jeżeli przyjrzyście się uważnie, zobaczycie ścieżkę biegnącą dokładnie przez środek. Zrobił ją pewien kardynał, wiele wieków temu. Zdaje się, że był potwornie zazdrosny o jakiegoś swojego rywala i w końcu nasłał na niego zbirów. Później opanowały go wielkie wyrzuty sumienia i kazał wyciąć tę ścieżkę. Na znak pokuty wobec Boga codziennie przez resztę życia wchodził nią na szczyt wzgórza i z powrotem na kolanach.

– Uhum.

– Mój Boże.

– Coś podobnego.

– Sroga pokuta.

Sebastian nie powiedział nic.

\* Chodzi o „Amadeusza” Miloša Formana, 1984 (przyp. tłum.)

– Jeżeli macie ochotę – ciągnęła Grace – zaprowadzę was tam po podwieczorku. Kto chce, to na kolanach, ale nie ma obowiązku.

Śmiech. Akceptacja. Cisza.

Rzecz jasna wszyscy głowili się nad tym od chwili przyjazdu, choć w sumie wszystko wyglądało nieźle, przynajmniej na zewnątrz – no, może trochę dziwnie – ale nikt nie chciał pierwszy zadać pytania. Nikt oprócz Sebastiana.

– Grace?

– Tak, kochanie, o co chodzi?

– Gdzie jest Johnny?

W Sienie, kochanie, tak myślę – powiedziała Grace, nagle zaabsorbowana nitką, która przyczepiła się jej do ramienia, wiązaniem szarfy, fryzurą. – Johnno lubi jeździć do Sieny.

– Czy prędko wróci? – nie dawał za wygraną Sebastian.

– Na pewno. Lada minuta, i będzie zachwycony, że jego stary przyjaciel dalej nosi swoje bejsbolowe buty.

Weszli na wzgórze, odpoczęli, wykapali się i przebrali do kolacji, po czym zgromadzili się znowu w tym samym pokoju. Johnny Cochrane nadal się nie pojawił i entuzjazm Grace był coraz bardziej kruchy.

– W tym pokoju robimy wszystko z wyjątkiem spania – wyjaśniła Grace w odpowiedzi na zachwyty Angeli. – Odpoczywamy, jemy podwieczorek i śniadanie przy oknie wychodzącym na ogród, a obiad tam, z widokiem na dziedziniec. Coś w rodzaju kawalerki w rezydencji. Tak jest przytulniej, wygodniej we dwie osoby.

Stół do kolacji był nakryty w loggii. Blask świec ożywiał srebra, kryształy i kwiaty na adamaszkowym obrusie, rzeźbiąc ich kształty w ciemności nocy. Iluzoryczna scena, gotowa przemienić ich wszystkich w widma.

Melissa weszła do pokoju razem z Oliverem. Jeśli nie liczyć Johnny'ego Cochrane'a, byli ostatnimi, którzy się pojawili. On był, tak jak to Lily zapowiedziała, dawnym Oliverem, ale tylko do pewnego stopnia, jakby jego całe jestestwo zostało wyciągnięte na zewnątrz, przetrzepane i włożone na powrót, niczym brudna bielizna w koszu.

Uściskali się z Grace bez słów. W tym uścisku zostały zawarte i zarazem przyjęte wszystkie konieczne wyjaśnienia, bo kiedy się rozdzielili, atmosfera stała się lżejsza i nie było mowy o jego stanie.

Ponieważ Sebastian utorował im wcześniej drogę, łatwiej było skierować teraz rozmowę na Johnny'ego Cochrane'a.

– Czy Johnny w ogóle pracuje? – zapytał Dennis.

– Pracuje? – w pierwszej chwili Grace była zdezorientowana. – Ach, czy pracuje? Taka jestem nieprzytomna. Nie, jeszcze nie. Kiedy się trochę zadamowi, niżej na tym wzgórzu jest budynek, który nadaje się na pracownię.

– Myślałem, że może to właśnie zatrzymuje go w Sienie, że tam ma pracownię.

– Nie – Grace była zamyślona – nie, to nie pracownia. Nie martw się, Dennisie, niedługo będzie miał mnóstwo nowych eksponatów do twojej galerii.

– Och... Och, to świetnie. – Ale nie wydawał się szczególnie uradowany tą perspektywą.

Grace przeszła przez pokój w stronę loggii, przechyliła się przez poręcz i patrzyła w kierunku Sieny. Za pasmem ciemności widać było nanizane na nitkę autostrady światła samochodów.

Ze względu na nią wszyscy starali się utrzymać dobry nastrój, ale o wpół do dziesiątej Grace powiedziała:

– Chyba zaczniemy. Biedny Johnno, musiał gdzieś utknąć. Siena jest obłądnie zatłoczona o tej porze roku.

Grace usiadła i położyła rękę na oparciu sąsiedniego krzesła, stojącego u szczytu stołu. – To zostawimy dla Johnno – powiedziała. – Melisso, usiądź z drugiej strony, potem Dennis, Lily obok niego. Nie przeszkadza wam, że siedzicie tyłem do okna? Nie? To doskonale. Patrzyła, jak zajmowali miejsca stosownie do jej poleceń, zamyślona, z palcem na ustach. Idealne rozmieszczenie gości było dla niej nieodłącznym elementem całej przyjemności. – Oliver, tu przy mnie, mój drogi, potem Angela, dalej Sebastian. Tędy, kochanie... – Podniosła się, żeby zaprowadzić chłopca na jego miejsce. Drugi koniec stołu pozostał wolny.

Anna podała dwa półmiski makaronu i wino, po czym usiedli, zanurzając się w tym szczególnym, odrębnym świetle loggii, należącej i zarazem nienależącej pokoju – światłocien odmieniał ich twarze, nadając im inny wyraz, niż zamierzali przybrać.

Nie minęło wiele czasu i Sebastian powiedział:

– Samochód, słyszycie? Grace, jak sądzisz, czy to może być Johnny?

– Z pewnością, kochanie. Ach, to dobrze. – Grace przechyliła się przez poręcz, machając ręką w kierunku świateł samochodu, który zatrzymał się z piskiem opon. Trzasnęły zamykane drzwi.

– Witaj, dziewczyno. Znów w domu – dobiegł ich z dołu głos Johnny'ego.

– Johnno, gdzie ty się podziewałeś, kochanie? Tak się martwiłam. Wszyscy już są. Są i nie mogą się ciebie doczekać. – Usłyszeli odgłos jego kroków przecinających dziedziniec, a zaraz potem następny samochód. – Kto to taki, Johnno? Kto to może być?

Jedyną odpowiedzią było trzaśnięcie frontowych drzwi. Grace stała nadal w tym samym miejscu, inni również podeszli – dość szybko, by zobaczyć młodego mężczyznę i kobietę, wydostających się z samochodu. On niósł ogromnych rozmiarów przenośny magnetofon, z którego na cały regulator rozlegała się rockowa muzyka.

– Cześć, cześć. A więc jestem, panie i panowie. Człowiek, na którego wszyscy czekacie.

Odwrócili się i zobaczyli Johnny'ego Cochrane'a, stojącego w pewnej odległości, z uniesionymi rękami, z uśmiechem prezentującego zgromadzonym swoją osobę – nic nowego, z wyjątkiem stylu: biały garnitur o włoskim kroju, rozpięta, miękka, jedwabna koszula, mokasyny od Gucciego, przewidywalna opalenizna, sporo złota.

Nie mogąc się powstrzymać, Lily uniosła sceptycznie kącik ust i przeciwną brew na widok hamowanego rozbawienia Olivera i Angeli.

– Witaj, Johnny. Miło cię zobaczyć. – Sebastian zachował swoje przywitanie na koniec, kiedy wszyscy inni już to zrobili.

– Cześć, łebku – to było wszystko, co usłyszał, plus lekkie klepięcie po głowie, ale wyglądało na to, że gotów jest się tym zadowolić.

Johnny Cochrane usiadł u szczytu stołu.

– No chodź, Gracie, wcinaj.

Grace nie usiadła.

– Co to za ludzie, Johnno?

Przeszli przez dziedziniec, weszli do środka.

Drzwi się otworzyły i Anna wprowadziła parę z samochodu. Mężczyzna miał niemal czarną skórę, bezmyślną twarz o nierównych zębach i obwisłych wargach, był kościsty i tanio, krzykliwie ubrany. Kobieta miała skórę oliwkowej barwy, była pełna, jędrna i miała wszelkie znamiona młodej, świeżej prostytutki. Tak szybko, jak pozwoliła jej krótka, opięta spódniczka podreptała w stronę Johnny'ego i kładąc mu rękę na czole, przyciągnęła jego głowę do swojego imponującego, soczystego, dobrze wyeksponowanego gorsu. – *Joany. Carissimo Joany.*

– Och, zabierz moją głowę ze swojego biustu, dziewczyno – powiedział, uwalniając się szorstko. – Sam tupet i rozpusta, te włoskie dziewczyny. – *Oi, Anno,* jeszcze dwa nakrycia. Moi drodzy, to jest Gina, a to Franco. Brat i siostra. – Gestem pokazał im miejsca. Dziewczyna usiadła obok Sebastiana, a Franco obok Lily, skąd rozpoczęli głośną rozmowę poprzez stół po włosku.

– Nie mówią ani słowa po angielsku, więc nie krępujcie się, ludziska.

– Ale ty nie mówisz po włosku, Johnno, i kto to w ogóle jest? Jak mogłeś? Właśnie dzisiaj, akurat tego wieczoru? – Grace stała nad nim, rozgniewana.

Spojrzał w górę i miłym głosem, w którym dał się jednak słyszeć ostrzegawczy ton, powiedział:

– Siadaj, Gracie, wiesz, że nie lubię scen. – Grace usiadła. – No więc? Jak się

wam podoba nasz mały domek?

Próbowali zachowywać się naturalnie, nie zwracając na to wszystko uwagi dla dobra sprawy, ale Grace nie odezwała się ani słowem, a jej porcja pozostała nietknięta.

– Dalej, Gracie, zjadaj. Nie chcę mieć kościstej żony, jasne?

– Nie mogę.

– Lepiej zacznij, staruszko. Żaden mężczyzna nie chce mieć worka kości za żonę. Co, Oliver? – Jego głos wciąż był przyjazny, ale zawierał (czy może tylko Lily tak się wydawało?) ukrytą groźbę.

– Grace zawsze była szczupła i niewiele jadła – głos Olivera był lodowaty. Być może on również usłyszał ten inny ton w głosie Cochrane'a.

– Cóż, na naukę nigdy nie jest za późno. – Cochrane otoczył Grace ramieniem, nabrał pełny widelec makaronu i podetkał jej pod usta, mówiąc przymilnym tonem:

– Dalej, dziewczyno, jedz, zjedz dla Johnno.

Wszyscy obserwowali, Włosi piszcząc ze śmiechu, to, co najwyraźniej było karmieniem na siłę kobiety w średnim wieku. Była to obrzydliwa scena i Lily, dusząc się od zapachu potu i czosnku, który dochodził z jej lewej strony, powiedziała ponad głowami Dennisa i Melissy:

– Nie powinienes zmuszać jej do jedzenia, jeśli nie chce. Daj jej spokój.

– Hej tam, wolnego, dobrze? – Johnny odłożył widelec i uśmiechając się, wyciągnął palec w stronę Lily. – Chyba nie chcesz wchodzić pomiędzy męża i żonę, co? Pilnuj swojego nosa, dobrze ci radzę.

Dennis i Angela wydawali się z lekka ubawieni lub przynajmniej taki wyraz twarzy postanowili przybrać, ale w końcu czy było to aż takie straszne? Czy to paskudne, nawet oburzające zachowanie nie było czymś, czego można się było spodziewać po Johnnym Cochrane? Czy nie patrzyliby na to wszystko innym okiem – Oliver, Lily, Angela – gdyby nie wiedzieli tego, co wiedzieli? Grace była rozstrojona, ale nie tak znów przesadnie. Można było przypuszczać, że takie rzeczy zdarzały się już wcześniej i wiedziała, jak sobie z tym radzić.

Melissa powiedziała nawet pobłażliwym tonem:

– Jesteś nieznośnym chłopcem, Johnny. Widzę, że musisz się nauczyć paru rzeczy na temat małżeństwa.

– Jeśli chodzi o niektóre sprawy, być może tak, ale jestem nieznośnym chłopcem, masz rację. – Przysunął się do niej blisko. Melissa odwróciła twarz, śmiejąc się, rumieniąc, protestując:

– Naprawdę, Johnny!

Lily obserwowała Olivera: żadnego skurczu, drżenia, jedynie to, co było skutkiem hamowanej wściekłości. W tym świetle, w tej chwili, wyglądał tak, jak go zapamiętała sprzed piętnastu lat. Zmiana, jaka w nim zaszła od popołudnia, była tak wyraźna, że Angela powiedziała:

– Wiesz co, Oliver, wyglądasz naprawdę znakomicie.

Zostało to uznane za hasło do zmiany tematu.

– To prawda, kochanie! – wykrzyknęła Melissa.

Dennis uniósł szklanę.

– A więc wypijmy za szczęśliwy pobyt. – Nikt tego nie podchwycił, bo ich uwaga skupiła się na Oliverze. Dennis nie nalegał. – Dobra, nie to nie. – Uśmiechając się pod nosem, odstawił szklanę z powrotem.

Oliver odsunął się od stołu, pochylając się na bok w swoim krześle. Jedna ręka spoczywała na oparciu, druga obok talerza, nogi wyciągnął przed siebie. Był chłodny, opanowany, zmrużone oczy wbił w Johnny'ego.

– Lily – zaczął tak oratorskim tonem, że zelektryzował wszystkich, oprócz dwojga Włochów, którzy nadal trajkotali między sobą. Oliver gwałtownym ruchem odwrócił swój potężny tors, walnął dłonią w stół i ryknął: – *Smettetela voi due idioti! Voglio parlare.* – Rodzeństwo zastygło w milczeniu.

– Nie wiedziałam, że on mówi po włosku – sapnęła Angela w swój dekolt, nieomal nadąsana, jakby odkryła sekret, stanowiący dla niej osobisty afront.

– Lily – ciągnął Oliver – skoro mowa o tym, czego oczekuje mąż, może byłoby interesujące, gdybyś opowiedziała mężowi Grace o młodej kobiecie, którą spotkałaś w dniu jego ślubu.

„Wymyślmy coś na poczekaniu”, tak powiedział. Wspaniale. Tylko że to on wymyślił, nie ona. Ona nie była przygotowana, nie miała pojęcia, jak wiele powinna ujawnić. Oliver odgadł jej zakłopotanie i pospieszył z pomocą:

– Nie wszystko, Lily, wystarczy trochę. To niezła historia.

Wszyscy oprócz Angeli nadal mieli nadzieję na ucieczkę od niewygodnego tematu, do której hasłem stała się uwaga o doskonałym wyglądzie Olivera, i kładli jego dziwne zachowanie na karb choroby. Lily wciąż nie wiedziała, jak zacząć. Melissa wychyliła się zza pleców Dennisa.

. – Jaka młoda kobieta, Lily?

– Chyba nie ta, która przyszła cię szukać do mojej galerii? To było w przeddzień ślubu – powiedział Dennis.

– Ta sama.

– Ach, to dobrze. Więc jednak cię znalazła, biedne stworzenie.



– Znalazła. Tak jak powiedział Oliver, było to w dniu ślubu Johnny'ego i Grace. Kiedy wróciłam do domu, było już ciemno. Spotkałam ją na ścieżce. Była zmarznięta, głodna, w znoszonych butach, w rozlatującym się płaszczu nieprzemakalnym... – Spoglądając przenikliwie na Cochrane'a, Oliver skinął głową w stronę Lily, dając mu do zrozumienia, że to na nią, nie na niego, powinien skierować swoją uwagę. Cochrane pochylił się do przodu, końce palców oparł na brzegu stołu. – Nigdy przedtem jej nie spotkałam. Szukała kogoś, kto nazywał się prawie tak samo jak ja. Pomyliła się po prostu.

– Ale w galerii zdecydowanie pytała o... – Tym razem to Dennis zamilkł na pierwsze poruszenie się Olivera.

– Być może nie zaprosiłabym jej do mieszkania, gdyby nie to, że była z dwojgiem małych dzieci, trzyletnią dziewczynką i chłopcem, który mógł mieć osiemnaście miesięcy. Nie miała dokąd pójść. Nie miała pieniędzy. Pomyślałam, że mogę ich przynajmniej nakarmić.

– Jasne – mruknęła Melissa.

Johnny Cochrane słuchał w skupieniu, pochłonięty. Sięgając powolnym ruchem do kieszeni, wyjął z niej papierosa i złotą zapalniczkę. Zapalił, zaciągnął się, wypuścił dym. Nie chciał zakłócić w ten sposób opowieści czy okazać znudzenia, jedynie odprężyć się, delektując się ciekawą historią. Znów skupił uwagę na Lily, z głową przechyloną na bok, uprzejmy, sympatyczny, zaciekawiony, i delikatnie zdjął strzępek tytoniu z końca języka.

– Kiedy przygotowywałam coś do jedzenia, ona opowiadała o sobie. Powiedziała mi, że nazywa się Carol. Carol Cook. – Lily przerwała, odwracając się w stronę Johnny'ego. Żadnego drgnienia czy grymasu. – Dzieci nazywają się Chloe i Damian. – Uśmiech zaciekawienia nie przygasł ani na chwilę. Johnny poruszył się, ale tylko po to, aby zaciągnąć się papierosem i otoczyć ramieniem Grace, wypuszczając dym ponad jej głową i przyciskając usta do jej włosów (wszystko to sprawiało jej przyjemność i dyskretnie na to reagowała), bynajmniej nie po to, żeby zepsuć opowieść Lily. – Powiedziała mi, że Chloe pisze się przez umlaut nad „e”. Przywiązywała do tego dużą wagę. Miała nadzieję, że dzięki temu jej mała dziewczynka zostanie w jakiś sposób zauważona. „Chloe pisane przez umlaut”, powtarzała.

– Jakie to urocze – powiedziała Grace, ale jej głos był smutny. Splotła palce z Johnnym, aby rozproszyć ten smutek.

– Carol to „mleczna dziewczyna” sprzed paru lat. Czy ktoś z was pamięta tę modelkę? Była naprawdę sławna. Jej twarz była wszędzie.

– Ja pamiętam – powiedziała Melissa.

– Ja też. Więc to ona była tym nędznym stworzeniem w mojej galerii? To tragiczne. Co się stało, Lily?

– Nie została do rana, nie chciała. Odeszła i nie wiem, gdzie teraz jest. – Lily zastanawiała się, czy Oliver zaakceptuje pozostawienie sprawy w tym punkcie. Spojrzała na niego i dostrzegła w jego twarzy sygnał aprobaty, który tylko ona potrafiła odczytać.

Zaczęła się dyskusja o biedzie i jej naturze. Lily, Oliver i Angela nie brali w niej udziału, nie mogąc się doczekać rozmowy na osobności – w nadziei że któreś z nich zauważyło jakiś demaskujący sygnał, choćby najmniejszy ślad poruszenia.

Sebastian nie był w stanie skupić się na opowieści Lily, bo w tym czasie prowadził niezwykłą, samotną wojnę. Giną, która siedziała po jego prawej stronie, otrząsnęła się z szoku, jaki przeżyła, kiedy kazano jej się zamknąć, i zaczęła się nudzić. Przez jakiś czas zabawiali się z bratem, strojąc do siebie miny, zezując, wystawiając języki. Szybko im to zbrzydło, ale nie podjęli rozmowy. Franco znalazł sobie zajęcie, próbując zawiesić na brodzie łyżkę, na którą przedtem chuchał. W ten sposób Giną pozostała całkiem na lodzie – aż do chwili, kiedy przyjrzała się bliżej Sebastianowi.

Kiedy zasiadła do stołu zaraz po przyjściu, była zbyt zaabsorbowana jedzeniem, winem i rozmową z bratem, aby dostrzec cokolwiek poza tym. Teraz Sebastian zaczął ją intrygować. Siedział zupełnie wyprostowany, patrząc przed siebie w noc. Jedząc czy sięgając po szklanekę odwrócił się na chwilę w stronę Giny – i nagle ujrzała jego oczy. Machnęła ręką do brata, żeby zwrócić jego uwagę na to dziwne, ale był zbyt zajęty swoją łyżką. Zaczęła przebierać palcami przed oczyma chłopca. Jej twarz znalazła się nieprzyzwoicie blisko, oscylując niczym głowa węża, ciekawa i podekscytowana.

Sebastian wyczuł jakiś ruch, a ponieważ nigdy przedtem nie spotkał się z takim zachowaniem, nie był na nie przygotowany. Wyciągnął rękę w stronę, gdzie coś się poruszało przed jego oczami. Nie znalazł niczego. Po chwili powtórzyło się to samo, i znowu nic. Poczował słabe uderzenie w policzek i coś upadło mu na kolana. Jego palce odnalazły i rozpoznały małą kulkę z chleba. Teraz dla odmiany coś działo się tuż nad jego głową, jak gdyby spacerowały tam muchy. Machnął ręką w tym kierunku. Nagle uświadomił sobie, że naprzeciwko jego twarzy jest inna twarz, że ktoś gapi się w jego niewidzące oczy z nachalną dociekliwością. Odpowiedział tym samym, demaskując to coś, co – nie miał wątpliwości – było okazem tępego kretyna. Przysunął swoją twarz do tamtej, podążając za nią w miarę, jak się

odsuwała, aż wreszcie usłyszał idiotyczny kwik. Po zakończonej batalii Sebastian odwrócił się i, sam o tym nie wiedząc, przyjął dokładnie taką samą pozycję, jak jego ojciec, siedzący o jedno miejsce dalej.

Pisk Giny sprawił, że Johnny przypomniał sobie o obecności Włochów.

– Jeszcze tu jesteście? *Oi*, Gina, Franco... – Franco, któremu właśnie udało się zawiesić łyżkę na brodzie, upuścił ją z brzękiem na stół. Wciąż obejmując Grace ramieniem, Cochrane powiedział: – Czy mają sobie pójść, kochanie?

– Tak, Johno, proszę.

– Dobrze, Gracie, jak sobie życzysz. Hej, wy, zjeżdżajcie – machnął ręką w kierunku wyjścia. Udali, że nie rozumieją. – Oliver, ty umiesz się dogadać z makaroniarzami. Powiedz, żeby sobie poszli. Dostali swoją kolację.

– Ty ich przyprowadziłeś, ty każ im wyjść – powiedział Oliver.

– Dobra, w porządku, nie gorączkuj się – powiedział kordialnie. Podniósł się, wziął Ginę bezceremonialnie pod pachy i zaczął popychać ją w stronę drzwi. – Zjeżdżać, gnojki. Kapujesz, dziewczyno?

– *Joany, carissimo Joany*. – Zaczęła ocierać się o niego całym ciałem, jej ręce kleiły się do niego.

Oderwał ją od siebie.

– Spadaj... O Boże... Gracie, pomóż, bo mnie tu gotowa zgwałcić. O rety, zjeżdżaj! – Franco, myśląc, że rozpoczęła się zabawa, włączył swój magnetofon na cały regulator. – Oz, Pinokio, możesz to na początek wyłączyć i odpieprzyć się. Chryste, Oliver, pomóż!

Wszyscy się śmiali, nawet Oliver, aż w końcu Anna pospieszyła na ratunek i pomogła Cochrane'owi pozbyć się dwojga nieoczekiwanych gości, którzy protestowali namiętnie i wymownie.

Grace pełniła honory przy otwartych drzwiach.

– Do widzenia, do widzenia. Mam nadzieję, że dobrze się państwo bawili. Było nam bardzo miło. Jeszcze raz do widzenia. – Zamknęła drzwi za całą czwórka.

Otworzyły się znowu niemal natychmiast. Stał w nich Johnny, wciąż trzymając Franca w połowicznym nelsonie.

– Jestem za minutkę, kochanie. Daj mi całusa. – Grace pocałowała go.

Krzyki oddaliły się, po czym znowu rozległy się na dziedzińcu.

– Sami widzicie, jak to jest – powiedziała Grace, wznosząc dłonie gestem osoby oznajmiającej oczywistość. – Jest beznadziejnie poczciwy. Nie potrafi powiedzieć „nie”. Oni są biedni, głodni. Zawstydzają go, że mają tak mało, kiedy my mamy tak wiele. Tak jak ty, Lily, kiedy wzięłaś do siebie tę dziewczynę z dziećmi. On

zrobiłby to samo.

Kiedy Johnny wrócił, Grace, Melissa i Dennis rozmawiali o akcji Melissy „Cierpienie dzieci”. Podszedł do nich, a po chwili przyłączył się też Sebastian.

– Widzisz, Johnny? – zapytał, podnosząc jedną nogę.

– Co?

– Bejsbolowe buty.

– Aha, faktycznie – skwitował jak gdyby chodziło po prostu o typ obuwia.

– Ale to są te, które mi kupiłeś. Dbałem o nie.

– To dobrze, synku. Zuch chłopak.

Cochrane był bardziej zainteresowany włączeniem się do rozmowy.

– Jak tam twój program, Melisso? Kiedy mnie pokażesz?

– Cóż, Johnny, mieszkasz sobie we Włoszech i obawiam się, że mój budżet nie pozwoli mi sprowadzić tutaj ekipy. Jak pech to pech.

Sebastian ustawił się przy Johnnym, najwyraźniej niezrażony, czekając na kolejną okazję, aby zaskarbić jego uwagę.

– Lily, chciałbym się przejść. Mogłabyś mi pomóc? – zawołał Oliver, stając w oszklonych drzwiach.

Kiedy szła w jego stronę, niosąc jego laski, zauważyła, że ledwie nad sobą panuje.

– Czy mogę się przyłączyć? – zapytała Angela, podchodząc do nich.

Światło z okien rozlewało się na schody, kładło się na podjeździe i – coraz bledsze – sięgało granic trawnika. Poza jego kręgiem znaleźli krzesła i drewniany stół, okryty rozłożystym baldachimem splecionych lipowych gałęzi. Zejście na niżej położony taras zabezpieczone było jeszcze jedną kamienną balustradą. Angela podeszła i usiadła na niej, zwrócona plecami do czarnego nocnego nieba, na którym nie widać było nawet jednej gwiazdy. Patrzyła, jak Lily pomaga Oliverowi usiąść na krzesle, jak ustawia w pobliżu jego laski.

– A więc, co o tym sądzicie? – zapytała. Była poza zasięgiem ich wzroku, ale jej głos brzmiał zadziwiająco blisko w otulającej wszystko wilgoci.

– Do diabła, to wszystko stało się za szybko – mruknął Oliver. – Za szybko. Straciłem panowanie nad sobą przez tego gnojka; po prostu nie mogłem znieść tego, jak sobie poczyna z Grace. Małe gówno. Mógłbym go zabić, ale tylko go ostrzegłem. Psiakrew!

– To teraz i tak bez znaczenia – powiedziała Lily. – Słuchajcie, przyglądałam mu się przez cały czas. Widziałam każdy najdrobniejszy ruch. To nie jest mąż Carol. Gdyby nim był...

– Przecież widzieliśmy zdjęcie. – Głos Angeli wciąż brzmiał jak coś, co słyszeli we własnych głowach... – te ślubne fotki. To jest on, nie ma wątpliwości. A Grace? Szczęśliwa, jak sądzisz?

– Do mnie mówisz? – zapytała Lily, grając na zwłokę. Siedziała w ciemności, po drugiej stronie stołu.

– Tak, do ciebie. – To był głos Olivera, natarczywy, obnażający jej tchórzostwo. Dał się słyszeć szelest jej sukienki, kiedy zakładała nogę na nogę, obmyślając wyważoną wypowiedź. – Mów szczerze.

– Więc dobrze – powiedziała oślepiona przez noc, gorąco, zapach lip – z tego, co widzę, jest strasznie nieszczęśliwa.

– Zgadza się, te pozory są żalosalne i ręce znów jej drżały tak jak kiedyś. Pije czy coś w tym rodzaju – dokończył za nią Oliver.

Angela skinęła głową.

– Niestety, wygląda na to, że Grace znajduje się w stanie, w jakim widziałam ją tyle razy w przeszłości, po kolana w marzeniach, w których gotowa jest utonąć. – Poruszyła się nagle, jej buty zgrzytnęły o kamień. – Patrzcie – szepnęła. – Johnny właśnie wyszedł. Rozgląda się.

Johnny Cochrane nie mógł słyszeć ich głosów ze szczytu schodów, ale musiał wyczuć jakąś nutę ożywienia tam, gdzie się znajdowali, bo ruszył w tę stronę bez wahania i zatrzymał się koło stołu.

Widzieli jego ciemną sylwetkę. Johny wysunął papierosa z miękkiej paczki. Wyciągnął zapalniczkę na długość ramienia, oświetlając nią nieruchome, czujne postacie Lily i Olivera, potem przybliżył ją do ust i zapalił papierosa. Jego twarz ukazała się na chwilę w złotym blasku, potem zasnuł ją dym, wreszcie znikła. Oślepieni blaskiem, słyszeli tylko jego głos.

– A więc... – zaczął. Przerwał, zaciągnął się, odrzucił głowę do tyłu, wypuścił dym – to jest... hmm... Chloe pisane przez umlaut, co? Niezła historyjka, Lii.

– To nie jest historyjka.

– Nie? No cóż, tego gatunku jest wszędzie pełno.

– Jakiego gatunku?

– Błąkających się ofiar.

– A czyje to ofiary? Kto je do tego doprowadził? W tym wypadku mąż, ojciec jej dzieci. Wykorzystał jej młodość, wiarę w siebie, pieniądze, potem zniknął i nawet się z nią nie rozwiódł. Co teraz robi, jak sądzisz? Zdobywa nowe tereny? Rujnuje kolejne życie?

– Możliwe, Lii, że próbuje pozbierać czyjeś życie do kupy. Nie przyszło ci to

do głowy? Weź naszą Gracie. Jak ci się widzi?

– Jest w okropnym stanie. Wychudzona, znerwicowana...

– Tak, tak, no a właściwie dlaczego? Ma dom, męża, który daje jej wszystko, czego pragnie. Powiem ci, dlaczego: bo twoja ciotunia ma problemy z sobą. Tak było, kiedy ją poznałem, i tak jest w dalszym ciągu. Bierze coraz to inne pigułki przepisane przez lekarzy, do tego łyknie sobie przy ludziach, łyknie, kiedy nikt nie widzi. Ta dama jest na granicy rozstroju.

– Jeśli jest na granicy rozstroju, to ty ją do tego doprowadziłeś.

– Mylisz się, dziewczyno. Gracie myślała, że kiedy za mnie wyjdzie, zegar nie tylko się zatrzyma, ale się cofnie i wszystkie te małe zmarszczki, worki i fałdki znikną. Tak się nie stało, i do cholery to nie moja wina, że jest stara i coraz starsza, i...

Rozległ się odgłos przypominający wymioty i Cochrane połknął dalsze słowa, a jego sylwetka zgięła się powolnym ruchem we dwoje i osunęła do tyłu.

Wyprowadziwszy cios, Oliver włókł go teraz w stronę stołu, ich sylwetki były splątane w półmroku, bo jedyne światło docierało od strony z willi. Trudno się było zorientować, co się dzieje, ale kilka sekund później Cochrane znalazł się przy stole, klęcząc, zdaje się, z głową przyciśniętą do blatu, najwyraźniej trzymany w tej pozycji za włosy w twardym uścisku Olivera.

Głos Olivera był dziwnie beznamiętny, niespieszny, jak gdyby prowadził zwyczajną rozmowę.

– Czekałem na ślad zaciekawienia z twojej strony, na chociaż jedno słowo na temat nocnego gościa Lily i dzieci, ślad troski o Carol, której życie doprowadziłeś do ruiny...

– Puść mnie... pieprzony... – słowa rozpląnęły się w jęk bólu, kiedy jego policzek został wciśnięty w stół.

– Czekałem, kiedy zapytasz: „Chloe, czy urosła? Czy mówi? A Damian?”.

– Damian. Nigdy nie słyszałem o żadnym cholernym Damianie. To cała Carol, żeby wybrać mu imię alfonsa. Ale on nawet nie jest mój...

Ręka Olivera opadła, ich sylwetki rozdzielily się. Oliver był znów pojedynczym człowiekiem. Lily i Angela wciąż stały, odkąd zerwały się parę minut wcześniej, gdy rozpoczęła się bijatyka. Zapadła cisza, wszyscy czworo byli pod wrażeniem nieoczekiwanych słów.

– Johno, Oliver? – od strony willi dobiegł śpiewny, pytający głos Grace. – Gdzie jesteście? – Angela, Lily?

Cochrane podniósł się, otrzepał ubranie.

– Tutaj, Gracie... kochanie! – zawołał, ostatnie słowo dodając ze względu na nich, nie dla Grace. – Cóż Olly, staruszkę, więc chcesz jej powiedzieć, tak? A wiesz równie dobrze jak ja, co z tego wyniknie, wiesz, co ona wtedy zrobi... Skończy ze sobą i tyle. Możesz dać jej prawdę, owszem, ale co dalej? Cholerne nic. Pomyśl o tym.

Patrzyli, jak idzie w stronę Grace, która stała u szczytu schodów.

– Johno... twoje ubranie... twoja twarz... – powiedziała, kiedy podszedł bliżej.

– Drobiazg, kochanie, pośliznąłem się, to wszystko. Za dużo starego *vino rosso*. Wiesz co, laleczko, chodźmy spać. Co ty na to?

– Tak, tak, ale... – żałośnie rozdarta między pragnieniem i powinnościami towarzyskimi – ...co z resztą? Lily? Oliver? Angela? – zawołała w ich stronę. – Jak tam, w porządku?

– Wszystko w porządku, Grace – odpowiedziała Lily. – Dobranoc.

Tej nocy ściany mówiły. Natrętne głosy, zamknięte w kamieniu i zaprawie pod gładko wykończonym, różowym tynkiem, kokietowały, protestowały, nalegały, błagały i Lily słyszała je przez sen.

Leżała w wysokim, wąskim łóżku, tuż nad nią było okno, równie wąskie i wysokie, perkalowa zasłona wpuszczała do środka noc. Ściany napierały na nią z każdej strony. Na lewo od niej spali Oliver i Melissa, po raz pierwszy od dłuższego czasu zmuszeni dzielić sypialnię (Spali? Spali? A może nie?). Na prawo byli Grace i Johnny Cochrane. Cała czwórka wciskała się w płytki sen, który wyrwał Lily świadomość. Kiedy ocknęła się nagle, podczas tej zabawy w ciuciubabkę pomiędzy snem i rzeczywistością, natrętne głosy ucichły od razu, ale Lily widziała palce, wycelowane w różne strony, uniesione, zastygłe w geście pouczenia, oczy prześlizgiwały się po niej – wszystko czekało, aż położy się z powrotem, by podjąć rozmowę, gdy tylko to zrobiła.

„Gdzie jest Johnny?”, „W Sienie, tak myślę...”, „Radzę ci, pilnuj swojego nosa”, „Wyglądasz znakomicie”, „Dalej, Gracie, proszę cię...”, „Dlaczego właśnie teraz, Johnno?”, „Proszę cię...”, „Dobrze” (Nie mów, że nie jest dobrze, zrób to dla mnie. Weźmy się za ręce i udawajmy razem) „Dobrze, dobrze, dobrze”.

Lily obudziła się późno i stwierdziła, że inni rozpoczęli dzień bez niej. Anna sprzątała po śniadaniu. Przerwała, aby przynieść jej świeżą kawę i gorące grzanki.

– Gdzie są wszyscy, Anno?

– Signore Cochrane, on zabrał panią Melisę i Sebastiano do Sieny. Szalony człowiek. Tam teraz okropnie, okropnie. *Molti, molti turisti oggi. La verita.*

– A inni?

– Myślę może ogród? Kto wie? – była najwyraźniej znużona lokalizowaniem brakujących osób.

Po śniadaniu Lily zeszła po kamiennych stopniach i powędrowała trawiastą, wysadzaną cyprysami drogą, która ciągnęła się daleko, aż na pokutne wzgórze. Rozgarniając z trudem gęste gałęzie drzew, ujrzała poza szpalerem balustradę, na której ostatniej nocy siedziała Angela. Dzisiaj też tam była, wyciągnięta na tarasie poniżej, w kostiumie kąpielowym. Wokół niej porozrzucane były najróżniejsze akcesoria kultu słońca: butelka olejku, tubka kremu, osłona na nos, ręcznik, szal, książka, szkicownik i ołówek, gazeta, okulary słoneczne, zwykłe okulary, narzutka... w tym momencie Lily przerwała wyliczanie. Angela, z twarzą zakrytą



kapeluszem, miała jakieś kłopoty z muchą, która najwyraźniej usiadła jej na stopie, potem na brzuchu, na ramieniu, po to tylko, aby po krótkim wytchnieniu wylądować wreszcie na kolanie. Obserwowanie tego wszystkiego było zbyt męczące.

Nieco dalej, po drugiej stronie drogi, w prześwicie pomiędzy drzewami Lily ujrzała kamienną altankę, stojącą w odległości kilkunastu metrów, z półkolistą ławeczką w środku. Siedzieli tam Oliver i Grace. Grace, zwrócona w jego stronę, nachylona, wyciągała rękę w stronę jego ramienia.

Zapewnienie? Potwierdzenie? Nisko opuszczona głowa Olivera poruszyła się raz i drugi zdecydowanym, potakującym «  
ruchem.

Nie zauważyli jej, gdy ich mijała, spowita w bladą, lawendową zawiesinę słonecznego blasku, w której życie spowalniało swój bieg.

Przystanąła, ciekawa, jak daleko odeszła od willi, i w pewnej odległości za sobą ujrzała jasny, rozmyty zarys postaci Dennisa Little'a, który zbliżał się do niej coraz bardziej.

– Witaj, Lily. – W nieruchomym powietrzu jego głos zabrzmiał bliżej, niż można by się spodziewać.

– Witaj – odpowiedziała, gdy nadszedł. Otarł czoło chustką wyciągniętą z kieszeni spodni, po czym uniósł twarz w stronę otaczającej ich panoramy, ruchem stanowiącym wymowny odpowiednik słownego zachwyty. Ruszyli dalej razem w milczeniu i Lily pomyślała, jak miła bywała jej czasami jego pełna prostoty, nienarzucająca się obecność.

Ale wtedy Dennis zapytał:

– Co się tutaj dzieje, Lily? – Spojrzała na niego. Jego głowa była spuszczone, patrzył pod nogi, na spłowieła trawę. – Atmosfera jest po prostu nie do zniesienia. Nawet pomijając sytuację Olivera i fakt, że Grace nie wydaje się tak szczęśliwa, jakbyśmy sobie tego życzyli, wciąż mam wrażenie... nie wiem, ale czuję się, jakbym występował w jednej sztuce, a nauczył się roli do innej. Więc?

Lily przestała rozdzielać w palcach zieloną łodyżkę i założyła włosy za uszy, odsłaniając profil. Wyjaśnienia były nieuniknione, ale dała mu do zrozumienia, że pomogłoby jej bardziej konkretne naprowadzenie.

– Czy ma to coś wspólnego z dziewczyną, która przyszła do mojej galerii... jakżeż ona się nazywała...?

– Carol Cook.

– Tak, właśnie. To ciebie szukała, prawda?

- Nie, Grace.
- Kim ona jest?
- Żoną Johnny'ego.

Dennis przystanął. Lily przeszła jeszcze kilka kroków i odwróciła się. Zdążyła zobaczyć, jak jednym gwałtownym ruchem głowy otrząsa z siebie zdumienie, niczym coś niestosownego.

- A dzieci?

Lily wyjaśniła sytuację, mówiąc na zakończenie:

– Johnny wie, że my wiemy, i niemal zabronił nam poinformować Grace. Twierdzi, że ona się zabije.

- A ty co o tym sądzisz?

– Kiedyś już przeżywałam takie obawy i myślę, że Oliver również. To dosyć, aby powstrzymać nas od pospiesznego ujawniania prawdy. Będzie musiała się dowiedzieć. Pytanie tylko kiedy. Więc myślę sobie: po co psuć tę odrobinę, która jeszcze została: może jeszcze ta chwila, jeszcze tamta, następna. Miałam do ciebie żal, że ich ze sobą zapoznałeś, ale to nie ma sensu.

- Dziękuję.

– Ale mogłeś się domyślić, że on jest w jej typie.

– Ale ona nie jest w jego typie, Lily. Miałem uzasadnione powody, aby się tego nie spodziewać.

Nacisk, z jakim to powiedział, zachęcał do wyciągnięcia wniosków.

- A więc, jednak byliście parą, ty i Johnny?

Dennis skinął głową i, aby nie pozostawić wątpliwości, dodał:

– Tak. – Lily nie spodziewała się, że powie cokolwiek więcej. To były prywatne sprawy, które niewiele powinny obchodzić osobę postronną, ale Dennis ciągnął dalej.

– Zadurzyłem się w nim jak głupek, tak samo jak Grace. Dał mi coś, co trudno określić. Może był to ten sam zawrót głowy co kiedyś, który coraz bardziej słabnie z biegiem lat. Było tak, jakby zwrócił mi całe naręcze minionych lat, a wraz z nimi dał swoją witalność i entuzjazm. To, co dzięki niemu czułem, miało źródło gdzieś w głębi mojej własnej istoty. Potem się połapałem. Widziałem, co się święci. Na przyjęciu u Grace zobaczyłem, jak przesuwając swój celownik, zobaczyłem go w akcji i zrozumiałem.

- Co zrozumiałeś?

– Że on poluje na słabych. Wiedziałem, że nie jest prawdziwym gejem, chociaż nie byłem pierwszym mężczyzną w jego życiu, tego jestem pewien. Nie ma dla

niego znaczenia, z kim się zadaje, jak długo przynosi mu to korzyść. Na początku zwyczajnie tego nie widziałem i byłem na tyle głupi, aby myśleć... – Dennis raz jeszcze uniósł wzrok, spoglądając na wzgórze pokutne, ale w jego twarzy nie było już zachwyty. – Na przyjęciu u Grace zacząłem rozumieć. Stawką, o którą warto było zagrać, byłaś oczywiście ty. Ale nie, ciebie się bał. Pamiętasz, jak zapytałaś go, kiedy był w szkole Świętego Marcina? Nigdy tam nie był. Jesteś zbyt silna, zbyt prostolinijna. Tymi, których się uczeplił, byli Sebastian i Grace.

– Sebastian nie jest słaby.

– Nie każdy by się tego domyślił. Siedziałem przy stole i zdaje się, że po raz pierwszy w życiu doznałem olśnienia. Widziałem, jak przebiera, jak sortuje. Namierzył Larry'ego, trzymał się z daleka od Olivera, nawet nie dotknął jego książki, pamiętasz?

– Nie dotknął, bo, jak twierdził, ma ją od chwili publikacji, ale zaledwie kilka dni później pytał, co Oliver robi w swojej pracowni, czy jest malarzem.

– To dla niego typowe. Johnny jest tylko drobnym spekulantem. Ten, kto chce, łatwo go zdemaskuje. Właśnie dlatego żeruje na tych, a nie na innych, obracając walutą wstydlivych spraw, drobnych grzeszków, dwuznacznych pragnień. Dla ludzi określonego pokroju, takich jak Grace i ja, oczywista naiwność jego kłamstw czyni go na swój sposób atrakcyjnym, niczym małe dziecko. Niech ci się nie zdaje, że Grace nie dostrzegąła jego niekonsekwencji. Jest słaba, ale nie jest głupia. Jeszcze zanim spotkał Grace, pożyczyłem mu sporą sumę; próbowałem nadać temu pozory interesu, kupując jego rzeźby. Miałaś rację, kiedy powiedziałaś, że jego sztuka jest nieautentyczna. Wiedziałem o tym, ale te rzeczy były wystarczająco dobre, abym mógł liczyć na wpływy ze sprzedaży, które pokryłyby koszty mojego zadurzenia.

– I sprzedałaś je?

– Cóż, nie udało mi się. W przeddzień ślubu wynajął furgonetkę, pojechał do galerii, kiedy wiedział, że mnie tam nie będzie, i zabrał wszystko co do sztuki. Wszystko, co kupiłem i za co zapłaciłem.

– Ktoś musiał go zauważyć. Próbować go zatrzymać.

– Skołował głupią dziewczynę pochlebstwami. Według jej relacji był tak pewny siebie, że nie miała wątpliwości, że jestem poinformowany. To dlatego nie chciałem tutaj przyjeżdżać, ale Grace nalegała, a ja spodziewałem się chyba, że będzie próbował się wytłumaczyć. Oczywiście, jak tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że nie ma takiego zamiaru. To nie w jego stylu. On po prostu przenosi się na inny teren. Chciałem też zobaczyć, czy Grace jest szczęśliwa.

– I zobaczyłeś.

– Uhum.

– To jest kradzież, prawda? Nie pociągniesz go do odpowiedzialności?

– Chyba nie i on o tym wie. Nie zrobię tego ze względu na Grace, a poza tym...

– przerwał i wzruszył ramionami, sugerując coś nieuniknionego, po czym spuścił oczy, żeby nie widzieć jej pogardy. Poszli dalej.

– Wiem, gdzie są te rzeczy. Wszystko jest w mieszkaniu Grace w Londynie. Możesz to odzyskać.

Spojrzał na nią i odwrócił wzrok.

– Mogę, Lily. Mogę. – Jego ton był wieloznaczny, choć brzmiało w nim lekkie rozbawienie jej praktycznym podejściem, brakiem wyczulenia na bardziej subtelną tkankę życia. Otoczył ją ramieniem i zawrócili w stronę willi.

A więc tak to wygląda? Ktoś robi z ciebie idiotę, wykorzystuje cię i odchodzi. Żadnego zadośćuczynienia?

– Dennis, nie chcesz dać mu nauczki? Wyrównać rachunków? Zaśmiał się szczególnym śmiechem.

– Oj Lily, nie rozumiesz? Człowiek po prostu czegoś takiego nie robi. Zwyczajnie nie robi.

Johnny, Melissa i Sebastian mieli wrócić na obiad, ale się nie pojawili. Wobec tego Grace zasiadła z pozostałą czwórką pod splątanymi gałęziami lip. Teraz każde z nich znało prawdę, która prędzej czy później musiała wyjść na jaw. Widzieli zmęczoną, skonsternowaną twarz Grace („Mozarella, Lily, w oliwie, z czarnymi oliwkami?”), obserwowali jej wysiłki, by im dogodzić („Jeszcze trochę wina, Dennis?”), widzieli zmarszczenie czoła, nerwowy skurcz, gdy sądziła, że nikt nie patrzy („Angelo, ryżu, sałatki?”), patrzyli, jak podaje półmiski, jak sili się na uśmiech, osamotniona w swojej niewiedzy.

Oliver, Lily, Dennis i Angela rozmawiali między sobą półgłosem, chcąc uszanować widoczne wyczerpanie Grace.

– Grace i ja przegadaliśmy dzisiaj cały ranek, więcej niż przez ostatnie lata – powiedział Oliver. – Chyba aż od dzieciństwa. To było fantastyczne. A co ty robiłaś, Lily?

Dennis odpowiedział za nią.

– Przeszliśmy się w stronę tego wzgórza, bardzo przyjemny spacer. A ty dobrze się bawiłaś, Angelo? Uważaj, bo jeszcze trochę i się spieczesz.

– Wiem, wiem, strasznie jestem głupia...

Nagle Grace włączyła się do rozmowy i jakby przeczuwała właściwy, trzymany

w zanadru temat, zaczęła:

– Widzicie, Johnno nie może sobie znaleźć miejsca... – urwała, jej ręce spoczywały na kolanach, oczy wpatrywały się w nich, jak gdyby poszukując wskazówki, gdzie tkwi przyczyna takiego stanu rzeczy.

– Naprawdę, kochanie? – zapytała Angela tonem terapeuty, niebezpiecznie mylącym przez swoją pozorną naiwność, która może sprowokować eksplozję wszystkiego, co zamierzało się ukryć.

– O tak. Nie widzicie tego? Byłam przekonana, że musieliście to zauważyć. – Zamachała usprawiedliwiająco rękami. – Nawet ostatniej nocy, kiedy już wszyscy poszli spać... no nie, nie pokłóciliśmy się. Ale nagle jak grom z jasnego nieba on mówi mi, że chciałby wyjechać, podróżować: Indie, potem Chiny i kto wie, co jeszcze. Błagał mnie i prosił całymi godzinami. Powiedziałam, że nie rozumiem, o co mu chodzi. Mamy to, czego szukaliśmy, powiedziałam, naszą La Pieta, nasze „długo i szczęśliwie”... – tu nastąpił nerwowy wybuch śmiechu i Grace skurczyła się w sobie, całe jej chwilowe ożywienie się ulotniło.

Angela pochyliła się nad stołem i przytrzymała rękę Grace, która właśnie miała unieść szklankę.

– Grace, jeżeli z Johnnym się nie układa, to żaden wstyd z tym skończyć. To byłaby słuszna, odważna decyzja. Życie naprawdę się na tym nie kończy, tylko poczekaj...

– Nie układa się? Nie układa? – Grace gwałtownie się ożywiła – Mój Boże, czyżbyście tak to odebrali? Ależ jestem głupia. Nie, nie, Johnno i ja jesteśmy... och, tak bardzo zakochani. Naprawdę jesteśmy – powtórzyła, wpatrując się w otaczającą ją twarz.

Oliver ujrzał, że Lily przenosi wzrok z Grace na niego, i uśmiechnął się smutno, dając jej do zrozumienia, że jest to dokładnie ta wersja, którą Grace częstowała go przez cały ranek.

– Grace – zaczęła Angela – miałam nadzieję, że dziś po południu porozmawiamy na temat Ogródka. Jest parę spraw, którym powinnaś poświęcić trochę uwagi, i mam dla ciebie listy od całej szóstki. Przesyłają ci też prezenty, drobiazgi, które same zrobiły: obrazki, kolejne stojaki na ołówki z papieru toaletowego i tym podobne.

– Och, przepadam za takimi stojakami. Tego nam tu właśnie brakuje, nie mamy ani jednego. I listy. Umieram z ciekawości. Tęsknię za dziećmi. Jestem zdecydowana ściągnąć je tu wszystkie na lato... to znaczy, jeśli jeszcze... jeśli jeszcze tu będziemy... O Boże, czy nie możemy nigdzie zagrać miejsca?

– Grace, powiemy im? – zapytał Oliver, poruszając się niespokojnie. „Wkrótce pójdzie do swojego pokoju”, pomyślała Lily. Kolejne godziny rozłąki. Co było bardziej bolesne: widzieć go, ale nie móc mówić do niego ani dotykać go, tak jak ostatnio, czy nie widzieć go wcale, gdy cierpiał, a ona mogłaby być z nim w jego fizycznej udreće, która stała się jej własną?

Grace pozbierała się już i kiedy dotarły do niej słowa Olivera, znów się rozjaśniła.

– Tak, oczywiście. – Podeszła z tyłu i stanęła za jego krzesłem, obejmując go. – Oliver powiedział mi dziś rano, że chciałby zostać trochę dłużej. Czy to nie cudownie?

– Cóż, wracam tylko po to, żeby się przenieść do zakładu. Nie mam nic przeciwko temu, żeby to opóźnić, jak długo się da.

Czyżby się tłumaczył? Czy w ogóle patrzył na nią? A więc wygląda na to, że im dwojgu nie pozostało nic oprócz zerwania.

– Chyba się trochę położę – powiedziała Lily, wstając. Starła się patrzeć obojętnie na obecnych, jej spojrzenie utraciło cały wyraz. – Pewnie za dużo słońca.

Doszła do schodów, kiedy Oliver ją zawołał. Odwróciła się i ujrzała, jak rozglądała się gwałtownie za swoimi laskami.

– Pomóż mi, Lily – powiedział. Zaczęła iść z powrotem.

Grace wciąż go obejmowała.

– Wszystko w porządku, jestem tutaj. – Pomogę ci... – Przerwała, cofając się nieco, jej ręce wciąż otaczały brata opiekuńczym gestem. Przenosiła wzrok z Lily na Olivera, marszcząc nieznacznie czoło, jak gdyby próbowała ustalić źródło ledwie dosłyszalnej melodii. Lily czekała. Grace opuściła ręce, mówiąc: – Oczywiście, że Lily ci pomoże... oczywiście.

Grace obserwowała dwie postacie, kroczące w kierunku willi: pochylone, wsparte o siebie, złączone, po czym odwróciła się w stronę Dennisa i Angeli. Patrzyli na nią i było jasne, że czekają, aż zauważy to, co oni zrozumieli już jakiś czas temu.

Pod drzwiami swojego pokoju Oliver powiedział:

– Mam tylko dwa rodzaje broni, których mogę użyć przeciwko Cochrane'owi. Jednym z nich jest prawda, a tego się wszyscy obawiamy. Drugim jest moja obecność sama w sobie. Zabawię tu trochę, przyjrę się dokładnie, jak on z nią postępuje. Jestem potrzebny, Lily. Jest coś, co naprawdę mogę zrobić. – Wszedł do swojego pokoju.

Osamotniona na jakiś czas, położyła się do łóżka, wolna od perspektywy

dalszych zwierzeń. Nic tutaj nie będzie do niej mówić: przysadziste krzesło z ciemnego drewna, rzeźbiona szafa na ubranie z podwójnymi drzwiami, szarobłękitna, łupkowa podłoga, ściany... no właśnie, ściany zachowują spokój tego popołudnia. Spojrzała na małe drzwi po lewej stronie.

Musiały prowadzić do sąsiedniego pokoju, w którym Oliver był w tej chwili sam. Mogła tam wejść, wziąć go w ramiona, ryzykując dostanie się w imadło jego nienaturalnej siły. I załało ją pragnienie, aby to zrobić. Ale nie. Jego rodzina, jego bliscy – Melissa i Sebastian – mogli wrócić lada minuta. Nie miała prawa. Żadnego prawa.

Johnny, Melissa i Sebastian wrócili do domu obładowani maskami, ozdobnymi paskami, pocztówkami, lalkami w strojach ludowych, flagami i innym pamiątkowym chlaniem. Zastali Grace na podłodze, przy małym stoliku naprzeciw kominka, oczarowaną, pochłoniętą listami od dzieci z Ogródka. Śmiała się, ubawiona ich treścią, i głośno czytała fragmenty Angeli, Dennisowi i Lily.

– Ależ głupota nas ogarnęła – rzuciła Melissa wesoło, stając w drzwiach. Tamci dwaj deptali jej po piętach, wnosząc atmosferę upału, kurzu i tłumy. – Wyrzuciliśmy pieniądze na pizzę, wino i różne bzdury i było fantastycznie.

– Naprawdę – potwierdził Johnny.

– Czadowo – powiedział Sebastian, ale w jego głosie brzmiała taka pustka, że Lily odwróciła się gwałtownie na krześle, żeby mu się przyjrzeć. Jego umorusana twarz miała maskę uśmiechu, która pozostawała tam zbyt długo, przyklejona, usiłując pokryć to, co Lily rozpoznała jako długotrwały lęk. Teraz wprawdzie ustąpił, ale jego cień pozostał i Lily pomyślała: „Znam cię zbyt dobrze”.

– Puścić ci wodę do wanny, Sebastian? – zapytała, a on podszedł do niej, objął ją za szyję swoją kochaną, szorstką łapką i poczuła, że przyniosło mu to ulgę.

– Tak, Lily, proszę – powiedział prawie szeptem.

– Cieszę się, że mieliście udany dzień. My chyba też, prawda? – Grace trzymała list i kopertę w uniesionych rękach. Ale moja główna atrakcja jest teraz. Johno, dostałam listy od wszystkich dzieci. Zapieczętowane, pełne ich małych tajemnic, pomysłów i planów. Mój Boże, takie są słodkie i zabawne. Właśnie czytałam list Imogeny. Jej matka jest nieprzytomnie bogatą alkoholiczką i ma straszne napady agresji. Ojciec się nie pokazuje. Nieszczęsna kobieta błagała nas, żeby zabrać Imogenę, prawda, Angelo?

– Tak. Byłaby w stanie zabić swoją córkę, ale kocha ją bardziej niż cokolwiek na świecie. Trudno o bardziej lojalne i kochane dziecko.

– To prawda. Posłuchaj, co pisze: *Byłam z mamą w zoo i u Madam tu są* – przeliterowała Grace. Wciąż klęcząc na podłodze, odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem, bębniąc z zachwyty dłońmi o podłogę. – Chodzi jej o Madame Tussaud, rozumiesz. Kapitalne. Słuchaj dalej, zaraz... – przesuwając palcem wzdłuż tekstu. – Więc dalej pisze: *Życie w Ogródku toczy się wesoło. Lubię Chloe, ale ona nie mówi zbyt wiele...* – przerwała i odwróciła się do Angeli: – Chloe? Kto to jest Chloe? Nie mamy nikogo takiego.



– Poczekaj. – Angela niemal wyrwała jej list z ręki. – Zobaczmy. Najwyraźniej ma na myśli kogoś ze szkoły.

– Nic o tym nie pisze – upierała Grace.

Johnny Cochrane stał przy konsolce z drinkami, odwrócony plecami do reszty towarzystwa. Nad nim wisiało wielkie lustro. Warstwa srebra utleniła się z upływem lat i wśród odbitych postaci pojawiały się upiory. Lily ujrzała go tam, jak stoi sparaliżowany, z butelką w ręku, z uniesioną szklanką, i patrzy na nią. Czyżby widział w tej chwili w lustrze jedną z owych upiornych, nawiedzających je postaci, być może ten okropny twór własnego wyrobu, pozostawiony w jej pokoju, który miał wyglądać jak ona i który mierzył teraz w niego swoim oskarżycielskim palcem?

Jego czarne włosy wiły się nad czołem, opalona skóra lśniła dobrobytem, pełne usta układały się w ironiczny owal, ale w tej chwili się nie uśmiechał. „Tak, widzę, to – pomyślała Lily. – Jesteś przystojny i w potrzasku”. Odwrócił się od lustra i spojrzał jej w twarz, jego szczękę przebiegł nieznaczny skurcz, w oczach była niczym niezmacona nienawiść.

– Grace, ona ma zaledwie siedem lat – mówiła Angela. To jest piękny list. *Madam tu są*. Bezcenne. – Wzrokiem przyzywała na pomoc Lily.

– Coś takiego – powiedziała Lily. – Ja nie pisałam listów w wieku siedmiu lat. A więc wycieczka się udała, Melisso? Jak tam Siena?

– Właśnie, jak tam Siena? – zawtórował Dennis Little.

– Po prostu bajeczna. Chciałabym, żeby Oliver ją zobaczył. Czy w tej chwili odpoczywa?

– Ach, Melisso. – Grace się podniosła. Zmieniając przedmiot zainteresowania, złożyła listy i schowała je do teczki w marmurkowy wzorek. – Oliver wyszedł z taką miłą propozycją. Mam nadzieję, że się zgodzisz.

– Co takiego?

– Chciałby zostać tutaj trochę dłużej.

– To niemożliwe, Grace. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jest chory. Nie możesz opiekować się nim sama. Mieliśmy już w domu okropne przejścia. Jest strasznie silny i zdarza mu się całkowicie tracić kontrolę...

– Wiem – przerwała łagodnie Grace, odsuwając dalsze opisy. – Oliver wszystko mi wyjaśnił. Ale widzisz, jest tutaj Carlo, syn Anny. Mieszka z nią razem u stóp wzgórza. Będzie nam pomagał we wszystkich takich sytuacjach. Proszę cię, Melisso.

– Cóż, Grace, ja nie mogę zostać. Wyrwanie tych dwóch dni to była mordercza

walka, no i Sebastian musi wracać do szkoły.

– Myślę, że to jest superpomysł... – Wszyscy odwrócili się w stronę Sebastiana.

– W końcu tata może chyba robić to, na co ma ochotę, prawda?

Johnny Cochrane wyszedł z pokoju.

Łazienka była ogromna i ciemna, z kamienną podłogą, z pojedynczym, umieszczonym wysoko zakratowanym okienkiem. Wanna o wysokich ścianach z grubego marmuru stała na centralnym postumencie, na który wchodziło się po dwóch stopniach. Z obu kranów tryskała woda, wzbudzając gromkie echo, które przetaczało się po tym okazałym, choć surowym pomieszczeniu. Trzymając Sebastiana za rękę, Lily podprowadziła go do jedyne go krzesła, tak wysokiego, że jego stopy ledwie sięgały podłogi. Chłopiec korzystał już z przedtem z łazienki, znał ją i fakt, że musiała go w ten sposób prowadzić, świadczył o kompletnym upadku ducha. Sebastian siedział na krześle bez ruchu.

– Rozwiązać ci buty?

Kiwnął głową bez słowa, jego usta były zaciśnięte, siłą powstrzymywał płacz. Lily przyklękła, rozsznurowała jego bejsbolowe buty (które utraciły swoją nieskazitelność) i podniosła się, trzymając oba w jednej ręce. W tym momencie Sebastian przypadł do niej, opierając głowę na jej brzuchu, obejmując ją z łkaniem, które ginęło w huku wody. Przytuliła jego głowę, czując jej ciepło w swoim uścisku.

– Co się stało, kochanie? – zapytała. – Co takiego się stało? – Jego nieutulony żal nie ustępował przez jakiś czas. Gdy wreszcie zelżał, Sebastian namacał jej haftowaną bluzkę z cienkiego batystu, podniósł ją do twarzy i wydmuchał w nią nos, wycierając brud zmieszany ze łzami. – Już lepiej?

– Tak – wymamrotał, manipulując przy guzikach. – Wciąż był apatyczny i pozwolił, żeby zrobiła to za niego.

Wprawdzie zdarzały się rzadkie sytuacje, kiedy pozwalał jej pomóc sobie przy rozbieraniu, ale osiągnął wiek, kiedy nie chciał być widziany nago. „Nie patrzysz, prawda?” – upewniał się czasami. „Nie, składam twoje ubrania” – odpowiadała i rzeczywiście tak było.

Lily zakręciła krany i jedynym dźwiękiem, jaki pozostał, był zwielokrotniony odgłos kapania oraz chłupot, wywołany ostrożnymi ruchami wchodzącego do wanny Sebastiana. Rozsiadła się na stopniach, z głową opartą na dłoniach, podczas gdy on się kąpał, skryty przed jej wzrokiem w czeluści wanny.

– Więc, co cię tak przestraszyło?

– Skąd wiesz, że się bałem? – Jego głos docierał do niej z piwnicznym

pogłosem.

– Widziałam twoją twarz, kiedy wszedłeś.

– Mój Boże, wszystko po mnie widać.

– Wcale nie. Po prostu cię znam, to wszystko. Co się stało?

Już myślała, że nie odpowie, tak długo to trwało, aż wreszcie się odezwał:

– Nigdy jeszcze nie czułem się tak bardzo ślepy.

– Nie rozumiem.

Westchnął, zabierając się do tłumaczenia.

– Oni szli tak szybko, mama i Johnny, a naokoło były miliony, dosłownie miliony ludzi. Wszyscy cisnęli się i przepychali. To było tak, jakby się szło tunelami. Prawie cały czas brakowało mi miejsca i powietrza. Próbowałem trzymać się ich za ręce, ale ciągle nas rozdzielano. Myślę, że tak musi wyglądać w czasie rozruchów, tylko że tutaj głosy były wesołe. Nie mogłem się połapać, czy już się zgubiłem, czy nie. Nie wiedziałem, czy mnie widzą, ale byłem pewien, że nie. Teraz myślę, że widzieli, tylko mi tego nie mówili. Siadaliśmy w różnych miejscach i prawie natychmiast, właśnie kiedy zaczynałem się przyzwyczajać, oni chcieli iść dalej, obejrzeć coś innego. Byłem prawdziwą kulą u nogi. Musiałem być. Ale cały czas myślałem, że gdybym się zgubił, to wszystko, co wiem, to La Pieta – ani nazwy wioski, ani nic, nawet numeru telefonu, no i nie znam ani słowa po włosku. Przez cały dzień byłem w stanie myśleć tylko o tym, co będzie, jak się zgubię.

Lily wyprostowała się i oparła o wannę, pod zamkniętymi powiekami trwał wyrazisty obraz. Nie było tu nic do powiedzenia.

Wyciągnęła mosiężny korek, z odpływu rozległ się gigantyczny bulgot.

– Chodźmy jutro na ryby, co?

– Och, byczo, Lily, jasne. Bomba. – Wyskoczył z wanny, pobiegł na drugi koniec łazienki, przejechał ręką po wieszaku na ręczniki, ściągnął jeden i owijając się nim, uniósł triumfalnie zaciśniętą pięść, wołając: – Ta... raaaa.

Lily pozostała z ręcznikiem przewieszonym przez ręce.

Przed kolacją, nie widząc nikogo w pobliżu, Lily nalała sobie drinka i podeszła do kamiennej balustrady. Odchodzący dzień kurczył się z ociąganiem ponad wzgórzami, flirtował z nieskończonością. Za położonym niżej tarasem widniały resztki niegdyś eleganckiego ogrodu: kwadratowe, zachwaszczone poletko, poprzecinane zdewastowanymi ścieżkami, w obramowaniu ceglanego muru. Można by nad tym popracować. Grace mogła być tutaj szczęśliwa, jeśli tylko on jej na to pozwoli. A gdyby tak pozostawić prawdę nieujawnioną, odszukać Carol,

przenieść dzieci gdzie indziej? „Umówmy się?”.

Lily zdała sobie sprawę, że ktoś nadchodzi z tyłu, i miała nadzieję, że to Grace. Właściwie nie udało im się dotąd naprawdę porozmawiać. Jakaś ręka sięgnęła i położyła przed nią na kamiennej balustradzie fotografię. Nie przyglądając się zdjęciu, Lily odwróciła się i zobaczyła Melissę.

– Cześć.

Melissa nie uśmiechnęła się i Lily zrozumiała, że chce, aby popatrzyła na zdjęcie. Mimo nieostrego, przekrzywionego obrazu wyraźnie było na niej widać Olivera i ją. On przyciskał do siebie jej ręce, jego nogi obejmowały jej udo. Głowy znajdowały się poza kadrem, ale z całej postawy było widać, że jej głowa spoczywa na jego piersi. To było zdjęcie zrobione przez Sebastiana i nie trzeba było nic więcej dodawać.

– Od jak dawna to masz? – Lily podniosła fotografię do oczu.

– Od kiedy Esther przyszła do nas z fotografiami. Właśnie dlatego to zrobiła. Zobaczyła tę jedną, oczywiście, i chciała, żebym o tym wiedziała. Nie powiedziała nic, po prostu położyła je na samym wierzchu.

– Dlaczego...

– Właściwie co? Co dlaczego?

– Nic mi nie powiedziałaś.

– Nie widziałam się z tobą. Nie pojawiałaś się od tamtego czasu.

– I tak cię zazwyczaj nie ma.

– Tak, wiem. W pierwszej chwili gotowa byłabym cię zabić. Wyglądało na to, że doskonale wykorzystałaś okazję. Potem którejś nocy on wyszedł z sypialni i zaczął tę swoją przerażającą wędrówkę, a ja nie mogłam się zdobyć, żeby do niego pójść. Leżałam, modląc się o jakąś ulgę dla niego i dla mnie. Błagałam Boga o litość nad nami obojgiem. Potem usłyszałam, jak rozmawia przez telefon. Na pewno wzywał taksówkę, bo przyjechała zaraz potem. Pojechał do ciebie, prawda? Zabrał swoje piekło do ciebie. Miałam swoją ulgę. I jej cenę. Od wczorajszego poranka na lotnisku usiłowałam dać ci do zrozumienia, że wiem. Boże, czasami potrafisz być tępa. Proszę cię, Lily... – Dotknęła jej ramienia. Lily odwróciła się do niej. Melissa cofnęła rękę, spoglądając na nią ze zmarszczoną brwią, jak gdyby z własnej inicjatywy dopuściła się występku. – Pomóż mi to powiedzieć.

– Nie wiem, co próbujesz powiedzieć. Żałuję tego, co zrobiłam. Wiem, że źle postąpiłam, że nie ma na to usprawiedliwienia. Ale to było silniejsze ode mnie...

– Chodzi mi o to... o to... A więc dobrze, posłuchaj. Nie znaczy, że mi się to podoba albo że tego chcę. Ale usiłuję ci powiedzieć, gdybyś tylko zechciała

zrozumieć, że zdaję sobie sprawę, że muszę to zaakceptować. Zrzekłam się wszelkiego prawa do sprzeciwu... O Jezu... – Odwróciła się tyłem, wyciągając rękę, jak gdyby ważyła wypowiedzane słowa na otwartej dłoni. – Chociaż raz staram się być wrażliwa. Zrobić to, co powinnam. Wiem, że mi tego brakuje. Mówiłam ci o tym w Yorkshire. Więc jeśli on cię kocha... jeśli cię potrzebuje... to niech tak będzie. Ostatecznie coś ci jestem winna. Więc pozwól mi zrobić to tak, jak trzeba... proszę. – Ostatnie słowa były stłumione na skutek emocji. Pobieгла, przecinając cyprysową aleję, w lewo, w stronę oliwnego zagajnika.

Głosy w ścianach powróciły, kiedy wszyscy byli już w łózkach i powinni spać, ale Lily czuwała i żadne sensne marzenia nie zacierały źródła, nie wypaczały sensu: Johnny i Grace się kłócili. On na przemian to złościł się, to perswadował, ona to ustępowała, to nieśmiało nalegała. Nic dziwnego, że była wyczerpana.

Lily poszła poszukać wody.

Korytarz przed jej pokojem rozdzielał wąski snop światła. Dochodziło z uchylonych drzwi sypialni Grace, ukazując jej wychudłe nogi, zwisające z jednej strony łóżka, częściowo przesłonięte czymś koronkowym. Naprzeciw niej, tyłem do drzwi, widniała prawa połowa gibkiego, muskularnego ciała Johnny'ego Cochrane'a, od stóp do głów w swojej aroganckiej nagości.

– Ale to jest mój dom, Johno – ton Grace był skruszony.

– W tym właśnie problem, rozumiesz. To właśnie usiłuję ci wytłumaczyć...

– I to jest mój brat. Musi zostać tu przez jakiś czas, jeśli chce, tym bardziej że jest tak bardzo chory. Proszę cię, postaraj się zrozumieć...

Lily nie czekała na dalszy ciąg, poszła do salonu, znalazła butelkę wody na konsolce. Drzwi do ogrodu były otwarte. Podeszła i stanęła na stopniach, w podmuchu łagodnego powietrza. Ogród był pozbawiony barw i życia – zręcznie wycięta z kartonu dekoracja, we wszystkich odcieniach szarości, aż po czerń, i na jej tle, co wcale jej nie zaskoczyło, zobaczyła tego właśnie brata, o którym była mowa.

Podeszła i ujrzała, że zastygł w jakiejś zupełnie nowej pozycji. Jego rozrzucone ramiona były uniesione, głowa opuszczona nisko i nieruchoma, tak samo oczy – usta otwarte, zeszywniałe.

– Jak długo tu jesteś? – Jedyłą odpowiedzią był nieartykułowany dźwięk. Objęła go i uzyskała odpowiedź. Przez piżamę poczuła okropny chłód. Sięgnęła w górę do jego rąk, starając się rozruszać każdy palec, wcierając na powrót czucie w jego system nerwowy, powtarzając bez przerwy: – Dalej, ruszaj się, ruszaj...

– Staram się... staram... pomóż... – wykrztusił.

Jego ciało reagowało na jej zabiegi, tracąc powoli swoją sztywność, co oznaczało, że atak musiał trwać już od jakiegoś czasu i powinien niedługo minąć. Zmusiła go, żeby zaczął iść, przez cały czas to rozcierając jego krnąbrną rękę od swojej strony, to przechodząc na drugą stronę, aby zająć się drugą. Wciąż się zatrzymywał, wyciągał ręce w górę.

– Ruszaj się, Oliver, ruszaj się – popychała naprzód jego nogi. – Nie możesz odpoczywać, jeszcze nie teraz. – Więc włókł się naprzód, aż wreszcie zatrzymał się bardziej zdecydowanie. – Dalej... Ruszaj się... – Jej głos był ściszony, zawzięty. Ale on nadal stał w miejscu. Zrozumiała, że w patetycznym wymachiwaniu ramieniem był jakiś cel: usiłował chwycić ją za rękę. Pomogła mu to zrobić, a on szarpnął ją ku sobie z niezamierzoną gwałtownością.

– Zostań... tutaj... też... Lily... – wyjąkał.

– W porządku – powiedziała. – Zostaję. Nie martw się. Chodź, idziemy. Powiedziałam, rusz się. – I posuwali się tak, krok za krokiem, gdy tymczasem miliardy niewidzialnych istot grały na perkusji.

Grace wprowadziła Lily, Olivera i Sebastiana z dziennego blasku w cętkowany półmrok oliwnego zagajnika, którego cień wcale nie był oliwkowy, tylko ciemnozielony. Tu i tam pomiędzy drzewami porozrzucone były wiekowe, kruszejące, kamienne posągi: mężczyźni o kozich nogach, kobiety w tunikach, jednorożec.

– Tędy. Strumień płynie u podnóża tego stoku. Stąd już niedaleko. – Grace trzymała za rękę Sebastiana, który niósł z dumą na ramieniu wędkę, otrzymaną od niej rano w prezencie. – Kupiłam ją, jak tylko się dowiedziałam, że przyjeżdżasz – powiedziała.

Nie padło dotąd ani słowo o tym, że Oliver nie może zostać. Widać, pomyślała Lily, Grace postawiła na swoim, chociaż cena była wysoka. Grace najwyraźniej nie spała tej nocy i atmosfera przy śniadaniu była napięta. Johnny Cochrane traktował ją z góry, a do innych odnosił się z rewerencją i był dla nich wyjątkowo czarujący, niewątpliwie demonstrując rozkosze, których miała być pozbawiona za to, że nie pozwoliła mu przeprowadzić sprawy po swojej myśli.

Usłyszeli szmer strumienia, zanim do niego dotarli. Powietrze wokół niego lśniło od wilgoci. Sebastian mógł teraz ocenić odległość, puścił więc rękę Grace i poszedł naprzeciw tego dźwięku. Kiedy dołączyli do niego zaledwie w kilka chwil później, zdążył już zdjąć swoje bejsbolowe buty i brodził w wodzie z podwiniętymi nogawkami.

– Tam są głębokie dziury, Sebastian, uważaj – ostrzegła Grace, a on udał, że nie słyszy, chociaż poruszał się ze szczególną ostrożnością. Znalazł głaz na środku strumienia i usadowił się na nim, po czym oddał się zarzucaniu wędki, jednocześnie wyłączając uwagę, zatopiony w swoich myślach. Ale czy rzeczywiście były to myśli, zastanawiała się Lily, czy po prostu zupełne wyłączenie się, o jakie prosiła Boga dla siebie w ciągu tych ostatnich miesięcy i jakiego nigdy nie dane jej było doznać, nawet na sekundę, we śnie czy na jawie?

Drugie śniadanie zabrali ze sobą w koszyku, chociaż byli niedaleko od domu, bo Oliver chciał być z Sebastianem z dala od innych. Grace pozostała z nimi przez jakiś czas w tym rozkosznym chłodzie. Leżała na porośniętym mchem brzegu strumienia, mówiąc do Olivera:

– A pamiętasz, jak byliśmy mali, łowiliśmy kijanki i zamykaliśmy je w słoiku? – odwracając nagle wzrok, jak gdyby zaniepokoiło ją jakieś wspomnienie świeższej

daty. Oliver wtórował:

– A nasz domek na drzewie, pamiętasz? – zapytał, odciągając ją z powrotem w czasy bardziej konkretnych, przyziemnych radości.

– Tak, tak. Byliśmy wesołą parą, prawda? Pomimo że byłam o tyle starsza od ciebie... o tyle starsza... – Każda fala wspomnień przynosiła ją wciąż i wciąż z powrotem, wyrzucając na kamienisty brzeg dzisiejszego, wybranego przez nią szczęścia. W końcu powiedziała: – Wrócę teraz do domu, zobaczę, jak tam inni, dopilnuję wszystkiego – spoglądając w tamtym kierunku, jak gdyby w obawie przed tym, co mogło ją tam czekać.

Lily taplała się w wodzie, jej bawełniana, koronkowa spódnica była podwinięta i poutykana, otaczając ją niczym obłoczek, sznurki kamizelki rozwiązane. Stała z głową odrzuconą do tyłu, z zamkniętymi oczami, obejmując rękoma słomkowy kapelusz, jej twarz jaśniała w smudze słonecznego światła, prześwitującego pomiędzy drzewami.

– Lily! – zawołała Grace, zbierając się do odejścia. – Patrzcie no, jaka ślicznotka. Zupełnie jak jakiś impresjonistyczny obraz. Rozumiesz, co mam na myśli, Oliver?

– Seurat – powiedział, przypatrując się Lily.

– Tak... Tak. No właśnie. Dokładnie.

– Grace? – Lily podniosła głos tylko na tyle, żeby można ją było usłyszeć, nie mając odwagi się poruszyć. – Czy ja też mogłabym zostać tu trochę dłużej niż do jutra? Nie za długo.

– Ty pytasz? W ogóle pytasz, mój skarbie? Uważaj, nie wpadnij do wody. Zobaczmy się później.

Przedpołudniowe godziny tego szmaragdowego dnia upłynęły w intymnej atmosferze przeżywanej na nowo Szkocji. Sebastian nie złowił żadnej ryby, ale się tym nie przejmował. Brykał jak jelonek pomiędzy drzewami, zawierając znajomość z otoczeniem. Bawił się w chowanego z Lily i wygrał. Mając pod nogami suche, szeleszczące liście, trudno było zachowywać się dość cicho dla jego uszu.

Uwiązali przy brzegu butelkę wina, która chłodziła się, podskakując na wodzie, przyglądali się mrówkom, niosącym skórki suchego, niesolonego włoskiego chleba, a Sebastian zrobił sobie w tym czasie rękawice z mchu. Żartowali, zadawali zagadki, robili postanowienia, snuli plany. Oliver należał do nich, był razem z nimi duszą i ciałem, dopóki jego duch nie zaczął się stopniowo oddalać, tymczasem ten inny podstępnie zajmował jego miejsce.

Gdy to nastąpi, będą musieli wrócić do willi, ale nie teraz, proszę, jeszcze nie



teraz, dopóki wciąż jeszcze jest spokój i radość, którą można się dzielić. Więc siedzieli tak długo, aż stało się jasne, że muszą wrócić ze względu na niego, aby mógł cierpieć dalej w samotności, wydany na łup swoich coraz bardziej szalonych deformacji.

Sebastian wysforował się przed Lily i Olivera i szedł tyłem, machając ręką:

– Do widzenia, strumieniu, cześć, kamieniu, wrócimy tutaj, obiecujemy. Zatrzymał się, wyczuwając melancholię ich dwojga. – Tato, Lily, nie spuszczaście nosów. Grace i Johnny zaproszą nas latem na wakacje. Wszystko będzie tu na nas czekać. – Ruszył naprzód, biorąc ojca za rękę, prowadząc go po nierównej ścieżce. – Chodź, chodź, teraz tędy, pod górkę.

Oliver odwrócił się i mrugnął do Lily, która szła bosą, rozchełstana i przemoczona, z kapeluszem i koszykiem na drugie śniadanie w ręku.

– Pa, pa, oliwki. Do zobaczenia niedługo – podśpiewywał dalej Sebastian, wolny od obaw, przekonany, że życie potoczy się tak, jak sobie tego życzy.

Jakimś cudem kolacja była tego wieczoru naprawdę udana i wszyscy dobrze się bawili. „Umówmy się” było hasłem dnia. Królowały pozory, które przyjmowali za dobrą monetę ze względu na Grace. Johnny okazywał jej czułość i dobroć w sposób, który najbardziej lubiła. Gdy weszła do pokoju, spowita w błękit, powiedział:

– Gracie. Fann... tascycznie. Czyż nie jest to radość dla zmęczonych oczu, albo, jakby powiedział mój najlepszy przyjaciel – tu przygarnął Sebastiana – bomba, czad i przebój? – Sebastian triumfował.

– Naprawdę, Johnno? Naprawdę? – pytała Grace, całując go z ulgą, że po ochłodzeniu nastąpiła odwilż.

– Gracie mówi, że ty też zostajesz, Lii.

– Nie masz nic przeciwko temu?

– Skądże, moja droga, czuj się jak u siebie.

– Czy moglibyśmy przyjechać tu znowu, Johnny, w czasie letnich wakacji? Nie złowiłem dzisiaj żadnej ryby, a jestem pewien, że bym złapał.

– Przyjeżdżaj, kiedy masz ochotę, synku, z domu do domu, prawda?

– A nie mówiłem wam, tato, Lily?

Po posiłku i trunkach wszyscy stali się bardziej ociężali. Johnny rozparł się w krzesło, nogi wyciągnął niedbale przed siebie, od czasu do czasu podnosił dłoń Grace do ust, przyglądał się z uwagą jej palcom, znów je całował, jak gdyby było to jakieś dziwo, któremu należy oddać hołd. Jakże to wszystko odmieniło Grace: jaśniała, kokietowała, rozmawiała z ożywieniem, promienna, uskrzydłona jego

miłością. A pod powierzchnią każdego gestu, każdego zdania podtrzymującego rozmowę było inne, które mówiło: Widzicie, widzicie? Tak to naprawdę jest. Nie wierzyliście, ale teraz sami widzicie. Tylko popatrzcie.

W końcu zamienili duszny upał wili na nie mniej upalną pustkę nocy, przenosząc się do stołu pod lipami. Wszyscy, oprócz Olivera, który poszedł do swojego pokoju. Nie zapowiedział swojego odejścia i nagle zdali sobie sprawę, że go nie ma. Ale Lily wiedziała – patrzyła, jak odchodzi. Czy teraz zdecyduje się wyjechać? Czy znów poczuje się niepotrzebny? Nadający się tylko do „zakładu?”. Niestety, było za późno, żeby wyczytać coś z jego twarzy czy zachowania.

Grace przyniosła dwie świece osłonięte szklanymi kloszami i ustawiła je na stole. Dzięki nim ciemność stała się jakby mniejsza, jej brzegi się rozmyły, ukazując twarze Lily, Angeli i Dennisa – współników połączonych sekretem. Twarz Melissy była lekko opalona i nadzwyczaj łagodna, odprężona, Sebastian promieniał, podekscytowany, delektując się późną porą i winem.

Grace oparła łokcie na stole i pograżyła się w rozmowie z Angellą, przekonując ją wytrwale, że Larry z pewnością doskonale sobie radzi w Ameryce Południowej, chociaż nie ma od niego żadnych wieści. Johnny wciąż był blisko Grace, wsparty na poręczy krzesła, bawiąc się jej włosami i jednocześnie racząc Sebastiana opowieścią:

– Kiedy byłem perkusistą, wiesz, w tym klubie, zdarzyła się ta wielka bijatyka. I byłem tam... – Sebastian był zarumieniony z podniecenia.

– Chodź, Sebastian, pora do łóżka – powiedziała Melissa.

– Wiedziałem, że tak będzie. Johnny jest właśnie w połowie historii. Mamo, proszę. To nasza ostatnia noc.

– Dobrze, dobrze. Pójdę spakować rzeczy, ale kiedy wrócę po ciebie, nie będzie żadnej dyskusji. Rozumiesz?

– Zrozumiałem. Dalej, Johnny, mów. – Sebastian dotknął jego kolana, aby go zdopingować. Ale, co dziwne, chociaż Johnny dokończył opowiadanie, już się tym tak nie delektował jak przedtem.

Lily gwarzyła z Dennisem i oboje zgodzili się, że są zbyt błogo rozleniwieni, aby się ruszyć, kiedy nagle Grace zapytała:

– Gdzie jest Johnno?

– Poszedł się wysiusiać – odpowiedział Sebastian.

Grace cmoknęła z pełną czułości irytacją.

– Nie zada sobie trudu, żeby pójść do domu, widzicie? Robi to w zagajniku oliwnym. Czy mężczyźni nie są śmieszni z tym swoim upodobaniem do siusiania

na dworze? Zauważyłaś to, Angelo?

– Hm, chyba nie.

Kiedy rozmowa potoczyła się dalej, Sebastian podszedł do Lily i powiedział konspiracyjnym tonem:

– Chodź, zrobimy mu niespodziankę.

– Nie wygłupiaj się, jest ciemno jak w studni. Tobie to nie przeszkadza, ale...

– Och proszę. Miej trochę fantazji.

Już raz ją w ten sposób podszedł. Kiedy? Kiedy to było?

– Dobrze, skoro się upierasz, ale jeśli złamię nogę, to będzie twoja wina, pamiętaj.

– Dokąd idziecie? – zapytała Grace, widząc, że się podnoszą.

– Do zagajnika, zrobić Johnny'emu niespodziankę – powiedział Sebastian.

– Dobrze mu tak – powiedziała ze śmiechem Grace.

Lily, Sebastian, Angela, Dennis – wszyscy się roześmiali.

Światło księżyca padało na cyprysową aleję, wydobywając częściowo z ciemności wilgę, niczym nieśmiałą kobietę o niezdecydowanym uśmiechu. Cienie wokół zagajnika były przez to jeszcze głębsze, niezgłębione.

– W jaki sposób go znajdziesz?

– Bardzo łatwo, Lily. Będzie hałasował, tak jak ty w tej chwili, poza tym jest zapach papierosów, ten dziwny gatunek, który tutaj pali.

– To popularna marka. Każdy maruder może to palić.

– Tak, ale nie musi używać tej tandetnej wody po goleniu.

– To prawda. Chociaż ona też jest całkiem pospolita.

Sebastian odwrócił się, podpierając się pod boki.

– Ty w dalszym ciągu go nie lubisz, prawda?

– Uważam, że jest w porządku – powiedziała niechętnie, by nie psuć nastroju.

Drzewa oliwne wydawały się teraz rosnać gęściej, ich gałęzie łączyły się ze sobą, zalęknione w pozbawionym światła zagajniku, i Lily straciła nadzieję na swobodny oddech w tej nieubłaganej, nieprzepuszczającej powietrza czerni. Ścieżka, niezbyt wygodna w dzień, teraz była bezużyteczna, chociaż Sebastian kroczył dumnie o krok przed nią, pstrykając palcami do taktu.

– Pozer – warknęła Lily.

Posuwała się naprzód najszybciej, jak mogła, klnąc i chwytając się Sebastiana, kiedy się potykała.

Nagle chłopiec odwrócił się i Lily wpadła na niego.

– Słuchaj – powiedział. – Rzeczywiście w nocy jest tutaj inaczej. Czy myślisz,

że to dlatego, że jest mniej dźwięków, a te, które są, są takie ważne? – Przyjął groźną pozę – Związane z polowaniem? – Zacisnął ręce na swojej szyi, wysuwając język. – Zabijaniem? – po czym zmienił ton na refleksyjny: – Czy nie byłoby miło usłyszeć wszystkie ptaszki, posapujące przez sen w swoich gniazdach tak jak ludzie?

– Czy mógłbyś przestać filozofować? Znajdźmy Johnny'ego i chodźmy stąd. Tu jest obrzydliwie.

– Johnny, miej się na baczności, idziemy po ciebie – zanucił tak jak wtedy, gdy bawili się po południu w chowanego. Ale teraz wrażenie było zupełnie inne. Zanim echo przebrzmiało, wszystko znieruchomiało, nawet liście na drzewach. Sebastian sięgnął za siebie, odnalazł rękę Lily, uścisnął ją, dodając jej otuchy i poprowadził za sobą. – Jest tam, w tamtym kierunku – wyszeptał.

Skąd o tym wiedział? Skąd?

– Jesteś pewien?

– Zaufaj mi.

Sebastian zatrzymał się. Ona przeszła chwiejnym krokiem jeszcze kilka metrów, kiedy nagle, bez ostrzeżenia chłopiec zawołał:

– Mam cię! \* Zamurowało ją z wrażenia.

– Nie rób tego! – wrzasnęła, ale zdołała dostrzec, jak Sebastian wskazuje coś z dumą, wyciągając przed siebie rękę.

– Mówiłem ci, że go znajdę... Johnny? Lily, widzisz go? Dokładnie tutaj.

– Nie widzę nic, do cholery. Johnny, gdzie jesteś?

Mogliby utonąć w oceanie ciszy. Nagle Sebastian rzucił się, wykonując blok niczym rugbista, i wpadł na coś z okrzykiem bólu.

– Johnny, ty gnojku. Ruszyłeś się! – zawołał gniewnie.

– Tam nie ma nikogo, Sebastianie – powiedziała Lily, ze szczególnym uczuciem, że ktoś ich podsłuchuje i właśnie przyłapał ją na pomyłce.

– Był tam, mówię ci. Prawie go dopadłem. Dotknąłem jego ramienia, zanim odskoczył. Dalej tam jest. Musisz go widzieć – nalegał, znów wyciągając rękę w stronę niewidzialnego.

Rezygnując ze wzroku, Lily zamknęła oczy, poczekała chwilę i – tak, być może, dał się tam wyczuć niewyraźny puls ciepła i ledwie, ledwie wyczuwalny, gryzący zapach nikotyny. Nic, na co mogłaby przysiąc, a jednak...

– Wychodź, Johnny. Znalazłem cię. – Głos Sebastiana brzmiał teraz inaczej, już nie tak odważnie.

Lily dostrzegła, że wyciąga przed siebie ręce gestem fałszywego niewidomego

lub osoby niedawno ociemniałej. Po raz pierwszy demonstrował swoją słabość, prosząc bez słów, aby została uwzględniona.

– Czy jest bardzo ciemno, Lily? – Słysząc było, że jest przybity. Co on wiedział na temat ciemności? Jakiej miary powinna użyć?

– Tak. Cholernie ciemno. Na Boga, wychodź, Johnny, jeśli tam jesteś. To już nie jest zabawne.

Sebastian cofnął się, znów był przy niej, ale poczuła, że zwraca się teraz w inną stronę, wyciągając szyję w tamtym kierunku. Uwolnił się od jej ręki spoczywającej opiekuńczo na jego ramieniu i ruszył naprzód, rozkładając szeroko ręce w geście powitania. Podniesiony na duchu, znów w dobrym humorze, powiedział:

– Mama, tam jest mama. Są tam oboje. O tam, Lily. Mamo? – Żadnego dźwięku. – Skończmy tę zabawę, mamo, proszę cię.

Och, wzrok ociemniałych.

W chwilę później usłyszeli trzask, podłoże suchych liści skrzypnęło pod ciężarem, ktoś się ostrożnie wycofywał. Ktokolwiek tam był, odszedł. Sebastian i Lily pozostali, niczym niepożądani petenci pod zamkniętymi na głucho drzwiami.

Kiedy wracali z powrotem, Sebastian wyrwał się jej, jak gdyby nie mógł dłużej znieść jej kuśtykania. Usłyszała szloch, który pozostał w tyle, gdy chłopiec puścił się biegiem, i zmuszona była znaleźć drogę powrotną o własnych siłach.

Nazajutrz rano Sebastian nie miał na sobie bejsbolowych butów.

Panowała krępująca cisza, wywołana oświadczeniem Johnny'ego, który powiedział, nie nawiązując do niczego konkretnego:

– A więc skoro Lii i Olly nie korzystają ze swoich miejsc w samolocie, to ja się mogę zabrać. Lecę do Londynu. Gracie zostaje. Tak ustaliliśmy.

Zdumione oczy, szukające wyjaśnienia u Grace, odkryły, że nie była to dla niej nowina. Była wymizerowana, skonsternowana i rozbita po bezsennej nocy. W niczym nie przypominała kwitnącej kobiety z poprzedniego wieczoru.

Znaleźli się między młotem a kowadłem, wobec rzuconego lekkim tonem oświadczenia Cochrane'a i bólu Grace, nie wiedząc, co, na Boga, mieliby powiedzieć, kiedy niebiosa zesłały im kolejną osobliwość. Usłyszeli dochodzące z korytarza postukiwanie i szuranie i do pokoju wszedł Sebastian, w swoich starych, skórzanych, sznurowanych butach, z sińcem i szramą na twarzy.

Oliver i Grace woleli nie pytać, jak się tego nabawił: z pewnością jakaś wywrotka w łazience czy incydent na schodach.

Sebastian musiał się zorientować z przebiegu rozmowy, że plany zostały zmienione, ale nic nie powiedział.

– Sporo mam roboty w Londynie. Mała podróż, żeby uwiecznić moją sztukę, prawda?

Lily popatrzyła na Dennisa, który odwrócił wzrok.

Grace delikatnie dotknęła ręki Melissy.

– A więc naprawdę spróbujesz wprowadzić go do swojego programu? To bardzo miło z twojej strony.

– Miło? Miło? – zakrakał Cochrane.

– Chodzi mi o to, że artysta potrzebuje nagłośnienia. – Prawda? – dodała, szukając wzrokiem poparcia dla słuszności swojego rozumowania.

– Och, z pewnością.

– Bezwzględnie.

– Z tym nie będzie żadnego problemu, Grace, naprawdę – powiedziała Melissa, zasłaniając dłonią uśmiech, który najwyraźniej nie był po jej myśli.

Zgromadzili się przed willą, w krępującej atmosferze odjazdu. Miejsce, które było nowe i nieznanne dwa dni temu, teraz wydawało się znane aż nazbyt dobrze. Byli zadowoleni, że wyjeżdżają. Kiedy jest ten właściwy moment, żeby powiedzieć

„do widzenia”? Pożegnawszy się z jedną osobą i odwracając się w stronę innej, aby po chwili znów znaleźć się naprzeciwko tej pierwszej, odjeżdżający całowali przez pomyłkę tych, którzy również wyjeżdżali. Sytuacja miała wszelkie znamiona nieszczerzego pożegnania: „Do zobaczenia wkrótce”, choć mieli nadzieję, że to nie nastąpi, „Dzięki za wspaniały pobyt”, chociaż wcale nie byli tacy pewni. Ale w końcu usadowili się: Dennis i Angela w pierwszym samochodzie, Melissa, Sebastian i Johnny Cochrane w drugim.

– Do rychłego, staruszk. Zadzwoń dzisiaj wieczorem i będę dzwonił codziennie o tej porze – powiedział Oliver do Sebastiana.

– Świetnie, tato. Super. Miłego wypoczynku.

Lily też odciągnęła go na bok. Nie było to łatwe, bo uszy otaczały ich ze wszystkich stron. – To jak, Sebastian, wszystko w porządku? – Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała do niego od czasu ostatniej nocy, w oczywisty sposób niewystarczające, ale on rozumiał.

– W porządku, Lily, naprawdę. Szczerze. – Dotknięcie, mające dodać jej otuchy, zamieniło się w uścisk.

Wreszcie ruszyli. Kiedy drugi samochód potoczył się, wyrzucając żwir spod kół, Grace zaczęła biec obok niego.

– Johno, Johno! – wołała, gubiąc krok, kiedy zaczęła zostawać z tyłu.

Z samochodu wychyliła się jego wspaniała głowa.

– Tak? Co takiego?

– Zrobię to, Johno. To, co chciałeś. To, o czym rozmawialiśmy. Obiecuję!

– Zuch dziewczyna. To jest moja Gracie. – Uniósł rękę na pożegnanie i cofnął się z powrotem. Wkrótce przesłoniły go tuman kurzu i odległość.

– Muszę pojechać do Florencji. Nie pogniewacie się, kochani? Wrócę późnym popołudniem – powiedziała Grace niemal natychmiast. Poszła do garażu, gdzie zaparkowane obok siebie stały małe BMW i srebrne porsche.

– Elegancki wóz – powiedział Oliver, z rękami w kieszeniach, wskazując stopą zderzak większego samochodu.

– Wiem – odpowiedziała Grace, sadwiąc się w swoim BMW, z uśmiechem matki patrzącej na ulubioną zabawkę swojego dziecka. – To prezent ode mnie dla Johno. Czy możesz mnie naprowadzić przy wyjeździe? Nie chciałabym go zadrapać.

Kiedy Oliver i Lily weszli z powrotem do willi, wydała im się obszerniejsza, jakby bardziej odprężona, niczym gospodarz, gdy mniej ważni goście opuścili jego dom i wreszcie pozostał z tymi, lub z tym jednym, na którym mu naprawdę zależy.

Ślady pobytu innych osób zniknęły. Po śniadaniu było posprzątane, pościel zmieniona. Tylko wędka Sebastiana pozostała w widocznym miejscu w holu na dole, ułożona poziomo na dwóch wieszakach.

Siedzieli we dwoje w długim pokoju, myśląc o tych kilku dniach, które upływały, szukając bezwiednie swoich rąk, kiedy pojawiła się Anna, trzymając w dwóch palcach bejsbolowe buty.

– Sebastiano zostawił w kuble.

– W porządku, Anno. Możesz je wyrzucić. Myślę, że z nich wyrósł.

– No i dobrze – burknął Oliver.

Dzień należał do nich, Grace nie pozostawiła co do tego wątpliwości. Czy zrobiła *to celowo*? Mogli wybrać się na wzgórze pokutne: ruch dobrze by mu zrobił. Powinien się ruszać. Mogli usiąść z książkami w upstrzonym słonecznymi plamami cieniu. „Jest tyle rzeczy, które chciałbym przeczytać, Lily, i nigdy nie miałem na *to* czasu. Teraz mam tylko czas”.

Nie zrobili ani jednego, ani drugiego. Lily pierwsza poszła, nic nie mówiąc, do siebie, nasłuchując stamtąd, jak Oliver wchodzi do swojego pokoju. Otworzyła boczne drzwi i zobaczyła, że stoi i czeka na nią. Kochali się i w ogniu miłosnych zmagani uzupełnili mocno nadwężone zasoby spokoju.

Cudownie było leżeć pomiędzy jego potężnymi nogami. Jego mięśnie były nadwątlone, ale wciąż mocne, skóra nadal brązowa. „Ściemniała – powiedział – przez lata spędzone w Afryce. Nigdy nie będę znowu naprawdę biały”. – I cudownie mieć go między swoimi nogami, być złączoną z tym umierającym mężczyzną, przekazując mu życie w życiodajnym akcie, rzucając wyzwanie klinicznym faktom. Jesteśmy jednym i walczymy. Będziemy żyć. Będziemy żyć, zobaczysz. Wyczerpani, staniemy się znowu dwojgiem, jedność naszych splecionych członków będzie już tylko zewnętrzna i znów poczujemy, jak powraca do nas dotkliwe poczucie odrębności życia. Do ciała, teraz przychodził czas, kiedy zaczynaliśmy mówić o tym, o czym przyrzekaliśmy sobie nie mówić wcale. Tak było zawsze: rozmawialiśmy o śmierci. Podobno ludzie zawsze potem o tym mówią, podobno to naturalna konsekwencja. Ale zmieniało to w absurd nasz hymn do życia, stanowiło „Amen” dla jego przeciwieństwa.

Czy utraciłam przy tym jakąś część siebie? Tak. Takie rzeczy się zdarzają. Coś wyszło ze mnie, weszło w niego, wykonało swoje zadanie i znikło.

Grace nie powiedziała, po co jeździła do Florencji, żałowała tylko, że nie miała czasu na fryzjera.

Pierwszy tydzień upłynął im w ospałym zagubieniu poczucia czasu. Żadne z



nich nie wspominało głośno o sprawach domowych, ale od czasu do czasu Grace mówiła do Lily: „Gorzej się dzisiaj czuje, prawda? Nie przypominajmy mu jeszcze o Londynie”. Z kolei Oliver mówił: „Nie poruszajmy sprawy Cochrane'a czy w ogóle Londynu, bo jeszcze gotowa tam popędzić”.

Stan Olivera rzeczywiście się pogorszył, kiedy inni wyjechali. Lily wiedziała, że obecność Cochrane'a pobudzała jego adrenalinę. Jej poziom podnosił się pod wpływem nienawiści, która teraz ostygła, i Oliver gasł z dnia na dzień: jego oderwanie było coraz głębsze, deformacje bardziej gwałtowne. Mimo to nie chcieli wyjeżdżać.

Ktoregoś dnia Anna przyprowadziła swojego syna, aby przedstawić go Oliverowi. Do obowiązków Carla należały dotąd różne naprawy na terenie willi i otaczających ją, zdezelowanych zabudowań. Widywało się go zawsze z pewnej odległości i Lily obawiała się żującego gumę prostaka, faceta z samograjem, w typie znajomych Cochrane'a, kogoś, kto nie będzie w stanie zrozumieć.

Kiedy zjawił się w ogrodzie, mając u boku Annę, która, dumna i stremowana, stąpała lżejszym krokiem niż zazwyczaj, ręce Olivera zachowywały się jak szalone. Poruszały się w górę i w dół, jak by doił krowę wysokości dwunastu stóp. Szokujący widok dla nieprzygotowanej osoby. Nie licząc ciała, Oliver był absolutnie przytomny, jego głos brzmiał normalnie.

– Signora Grace, to jest Carlo – powiedziała Anna, odsuwając się o krok czy dwa. Wyciągnęła ręce, prezentując człowieka o pospolitym wyglądzie i powściągliwych manierach, dobrze po czterdziestce, którego czarne włosy przyprószone były na skroniach siwizną. Ten nieśmiały, uśmiechnięty, łagodny mężczyzna o żelaznych mięśniach stanowił kwiat i owoc jej życia. Anna i Grace były przekonane, że będzie się umiał opiekować Oliverem, kąpać go, poskramiać, być przy nim, ilekroć zajdzie potrzeba. Lily miała wątpliwości. Wymagało to osoby szczególnego gatunku.

– *Ciao*, Carlo – powitał go Oliver z niezwykłym opanowaniem.

Grace i Lily czekały, jak na to zareaguje. Czy będzie to: „*Ciao*” – palce włożone za pasek, wzrok odwrócony na skutek skrępowania, czy: „*Giorno*” – dłubiąc butem w ziemi, z irytacją, że jego pełna uwielbienia matka się z nim afiszuje? Nie.

– *Buon giorno, dottore Cary*. – Carlo podszedł, chwycił jego prawą rękę w pół drogi i przytrzymał ją zdecydowanie w swojej dłoni.

Niewielu odważyłoby się to zrobić. To ugruntowało wzajemny szacunek pomiędzy nim a Oliverem, który zawsze odtąd był nazywany „dottore”. Okazało

się, że Carlo należy do tego szczególnego gatunku.

Przygotowano dla niego wąski pokój na końcu korytarza, po przeciwnej stronie niż pokój Olivera, i Carlo pozostał tam, doglądając „dottore Cary” z gorliwą sumiennością i oddaniem.

Ustalili się codzienny rytuał telefonowania do Sebastiana o wpół do ósmej wieczorem. Melissa rzadko była o tej porze w domu, i Sebastian zostawał na ogół sam z kobietą, którą zatrudniono jako gosposię i pielęgniarkę dla jego ojca. Bywały dni, kiedy Oliver mówił z wielkim trudem – wówczas Lily i Grace robiły to za niego, przekazując Sebastianowi uwagi i refleksje, które notował, tak jak potrafił, w ciągu dnia.

Kiedy był w stanie się wysławić, lubił rozmawiać ostatni i być tym, który powie „do widzenia”. Odkładając słuchawkę gestem przypominającym zacieranie rąk – bo wszystkie jego ruchy stawały się nieprecyzyjne – mówił: „Wygląda na to, że jest zadowolony. Bardzo się cieszę. Jeszcze parę dni, co, Lily?”.

To zacieranie rąk było jednym z wielu gestów, które próbował wykonywać ze zmiennym szczęściem. Jako zdrowy człowiek nigdy nie miał takiego zwyczaju, ale teraz była w nim potrzeba sprawdzenia się, udowodnienia, że wciąż umie posługiwać się drobnymi elementami języka ciała, a wykonując je, obserwował siebie krytycznie: kciuk w górę, kciuk w dół, pokazać coś palcem, unieść wyjaśniającym gestem otwarte, złączone palcami dłonie. Próbował stosować te i wiele innych gestów jako dodatkowy instrument w rozmowie, i czasem tak go to pochłaniało, że słowa rozchwiewały się, a ich sens pozostawał niejasny.

Po telefonie do Sebastiana siedzieli dalej, starając się zachowywać naturalnie. Telefonu od Johnny'ego Cochrane'a należało się spodziewać o ósmej lub coś koło tego. Zwykle było to „coś koło tego”, czasem nawet o godzinę później, ale Grace nigdy się nie ugięła i nie zadzwoniła sama.

– Jakies problemy z połączeniem, tak sądzę.

– Naturalnie.

– Z pewnością.

W końcu zawsze się dodzwonił i Grace wynurzała się, zarumieniona i filuterna, ze swojej sypialni, gdzie zaszywała się na te pół godziny.

– U niego wszystko w porządku. Tęskni do domu. Przesyła ucałowania. – Spoglądała nieśmiało, z niewyraźną miną kogoś, kto przekazuje oczekiwaną jego zdaniem, ale nieprawdziwą informację.

To regularne pokrzepienie okazało się wystarczające dla Grace. Sprawiała nawet wrażenie, jakby uwolniła się od jakiegoś tajemniczego ciężaru. Jadła trochę

więcej, piła trochę mniej, lepiej spała. Raz przyjrzała się krytycznie swoim zniszczonym paznokciom: „Nie przeszkadza ci to, Oliver, prawda? – upewniła się wiedząc, że i tak nie znosi malowanych paznokci. – Potem wyciągnę się z rozkoszą na swoim leżaku, przyglądając się okolicznym wzgórzom. – Czy tutaj nie jest cudownie? Czy nie jesteśmy szczęściarzami, Johno i ja?”.

Oliver i Lily nie pojmowali jej stanu ducha, ale powstrzymywało ich to od podjęcia rozmowy, od powiedzenia tego, co należało powiedzieć. W końcu oni też byli szczęśliwi.

Około dwunastego dnia nastąpiła zmiana nastroju. Cochrane się nie odezwał. Pod koniec drugiej godziny czekania Grace powiedziała:

– Chyba sama zatelefonuję.

Wróciła niemal natychmiast.

– Zgłasza się automatyczna sekretarka.

Następnego dnia Grace był niespokojna. Kiedy nadeszła pora telefonu, atmosfera zrobiła się ciężka. Czekali półtorej godziny, może trochę dłużej. Wreszcie zadzwonił. Grace pobiegła do sypialni, kłapiąc pantoflami bez pasków. Tym razem nie odebrała telefonu w długim pokoju, jak to było dotychczas, skąd dobiegało ich niespieszne „Hellooooo?”, nim wycofała się do swojej sypialni.

Lily stała nieruchomo przy barku, nasłuchując. Nie potrafiła rozróżnić słów, słyszała tylko głos, nad którym Grace nie bardzo panowała.

Lily podeszła do drzwi, żeby lepiej słyszeć, rzucając spojrzenie w kierunku Olivera. On mrugnął do niej aprobująco, a ona, z miejsca tym oczarowana, pomyślała, gubiąc wątek: „Podoba mi się sposób, w jaki to robisz, zawsze będę to pamiętać”, i nie mogła sobie przypomnieć, po co w ogóle podeszła do drzwi.

Słowa Grace było stamtąd słyhać całkiem wyraźnie. „Ależ rozmawiałam z nimi, kochanie. W dniu waszego wyjazdu pojechałam tam osobiście. Powiedziałam, czego sobie życzę. Zostało to przekazane teleksem. Te sprawy trochę trwają, Johno. Co? Proszę cię, nie bądź niedobry. Wiem, kochanie. Wiem i też cię kocham”.

Następnego wieczoru Oliver zadzwonił do Sebastiana o zwykłej porze i nikt nie odebrał telefonu. Strasznie go to rozstroiło i dzwonił co dziesięć minut, chociaż Grace i Lily starały się go uspokoić. Podczas jednej z tych przerw, gdy Oliver liczył sekundy w obłądnym zapamiętaniu, Sebastian zadzwonił sam.

Powiedział, że wychodził z kolegą, wszystko było w porządku, wszyscy byli poinformowani. Przeprasza, nie chciał go zmartwić. Tak, jest zadowolony, letni semestr jest jak zawsze super, gospodyni sympatyczna, jedzenie ekstra. „Nie martw

się tato, wszystko jest czadowo, naprawdę".

Uzgodnili jednak, że odtąd Sebastian będzie dzwonił sam, na koszt odbiorcy, jeśli zajdzie potrzeba, żeby Oliver się więcej nie denerwował. Od tej pory Sebastian dzwonił codziennie, punktualnie o wpół do ósmej.

Rozmowy telefoniczne Grace były coraz krótsze i coraz bardziej nieregularne. Znowu stała się spięta i niespokojna, ale jakiegokolwiek były argumenty, których używał Cochrane, rezultat był taki, że nie ruszała się z La Pieta.

Siedzieli we trójkę pod ulubionym drzewkiem oliwnym Grace, które stało, przysadziste, niczym siostra przełożona, o kilka jardów od sepleniącego zagajnika. Pili herbatę, podaną z anachroniczną elegancją, którą Grace tak lubiła – adamaszkowy obrus, srebrny dzbanek, porcelanowe filiżanki – kiedy u szczytu schodów pojawiła się Anna, osłaniając czoło dłonią, wymachując w powietrzu swoją żyłastą ręką.

– Signorina Leely. Telefon do pani.

– Idę – odpowiedziała, poruszając się od niechcenia, dopóki Grace i Oliver ją widzieli.

Odebrała telefon w długim pokoju.

– Halo, tu Lily Teape.

– Lily? To ja, Angela.

– Witaj. Jak się masz?

– Pytasz, jak ja się mam? Lily, na litość boską, co tam się dzieje?

– O co ci chodzi?

– Czy powiedzieliście już Grace? Tak dłużej być nie może. Jeżeli pojawi się inspektor, to możemy nawet stracić koncesję.

– Nie rozumiem dlaczego.

– Bo nie można po prostu zabrać nieznanym dzieci z ulicy. Nic nie powstrzyma Carol od zeznania, że je porwaliśmy, jeżeli będzie miała ochotę.

– Ale ona je zostawiła i skoro kręci się w pobliżu, czy nie można po prostu do niej podejść? To nie powinno być takie trudne.

– To było trudne, Lily, była nieuchwytna, a ostatnio w ogóle zniknęła. Nie widzieliśmy jej od wielu dni i coś mi mówi, że już się nie pojawi. Widzisz, Lily, sądziłam, że powiecie Grace, jak tylko zostanieie z nią sami. Co właściwie was powstrzymuje?

– Nie wiem. Myślę, że Grace rzuciła na mnie urok: życie jest tylko tym, co widać na zewnątrz, nie zaglądasz pod podszewkę... Oliver czuje się gorzej – dodała, zanim Angela zdążyła odpowiedzieć, z ukrytą nadzieją, że może to powstrzyma jej

naciski.

– Przykro mi, kochanie. To dla ciebie bardzo trudne, ale widzisz, wszystko w Ogródku wymyka się z rąk. Problem Sebastiana też nie ułatwia sprawy i o tym też chcę porozmawiać, nie mniej niż o innych sprawach.

– Nie rozumiem.

– Zrobił się bardzo agresywny i wojowniczy. Jest tu zaledwie od siedmiu dni, a już zdążył zrazić do siebie innych. Ucieka ze szkoły na wagary...

– Gdzie jest od siedmiu dni? I dlaczego ty mi o tym mówisz?

– Ktoś musi wiedzieć, żeby pomóc.

– Tak, ale dlaczego ty dzwonisz w tej sprawie? Co z tą osobą do prowadzenia domu i z Melissą? Gdzie w ogóle ona jest?

– Wygląda na to, że wszędzie. Jej kampania „Cierpienie dzieci” ruszyła na dobre: plakaty, radio, telewizja. Słyszysz się ją, widzi się ją na każdym kroku, ale nigdy osobiście. „Osoba do prowadzenia domu”, jak ją nazywałeś, odeszła kilka dni po naszym powrocie. Twierdziła, że Sebastian zrobił się nie do wytrzymania. Nic nie było w stanie jej przekonać, żeby została.

– No więc?

– No więc jest tutaj.

– Gdzie, Angelo, na litość boską? – Tylko nie to, niech to nie będzie prawda.

– W Ogródku. Musisz przecież o tym wiedzieć. Melissa musiała uzgodnić to z Grace.

– Ty tego nie zrobiłaś.

– Nie, bo zakładałam, że zrobiła to Melissa.

– Melissa tak powiedziała?

– Trudno... trudno mi powiedzieć, Lily. No, może nie dosłownie, ale dała to w jakiś sposób do zrozumienia. Czy nie dzwonicie do niego codziennie?

– Ostatnio to on dzwoni do nas, mniej więcej od tygodnia – powiedziała Lily automatycznie, nieobecny głosem. Fakty odsłaniały się w miarę rozmowy.

– Cała sprawa narobiła więcej zamieszania, niż się spodziewałam. To jest nadużycie naszej placówki. Nigdy nie była planowana jako tego rodzaju udogodnienie. Kiedy Sebastian rozmawia co wieczór ze swoją matką, jest czarujący, entuzjastyczny. Celowo podsłuchałam rozmowę któregoś dnia – mówił, jak bardzo mu się tutaj podoba. Melissa nie uwierzyłaby, że nie jest mu tu dobrze, ja też bym nie uwierzyła na jej miejscu. Jest niesamowicie przekonujący. Melissa mówiła z początku o jakimś tygodniu, teraz chce zostawić go na dłużej. Nie ma czasu na rozmowy z gosposiami i opiekunkami. Sebastian przedstawia wam

wszystkim fałszywy obraz i nie chce nikomu powiedzieć dlaczego. Biedny, mały chłopiec, jest strasznie rozstrojony. Lily?

– W porządku, Angelo. Przyjadę, jeśli tylko uda mi się dostać miejsce w samolocie, i przywiozę ze sobą Olivera. A może i Grace, kto wie? – I pomyślała: „Nienawidzę cię, Johnny Cochrane. Ty stoisz za tym wszystkim, ty wypaczyłeś nasze życie. Gdybyś nie był zwykłym śmiertelnikiem, a ja niczym lepszym, myślę, że byłabym w stanie cię zabić”. Teraz rozumiała. Było tak, jak powiedział Dennis Little: „Człowiek po prostu czegoś takiego nie robi. Zwyczajnie nie robi”.

Od razu zadzwoniła do biura lotów i z mieszaniną rozczarowania i zaskoczenia stwierdziła, że udało się znaleźć trzy miejsca, mimo tak krótkiego terminu i w czerwcu – już to było sygnałem.

Stała przy oknie, mając przed sobą widok Olivera i Grace, zażywających wypoczynku. To się skończyło, dla każdego z nich. Wyszła na zewnątrz, zeszła po schodach. Gdy się zbliżyła, Grace poklepała wolne krzesło, z wyraźną przyjemnością witając ją znowu w ich towarzystwie.

Lily nie usiadła. Stała przed Grace, pochylona, dłonie zwrócone grzbietami do siebie złożyła między kolanami. Grace, z miejsca zaalarmowana, spojrzała na Lily, podnosząc rękę do podbródka, przygotowana na najgorsze.

– Grace – zaczęła Lily mocnym, wyważonym głosem – musimy porozmawiać. Są sprawy, o których powinnaś wiedzieć. – Jej wzrok ześliznął się na Olivera, który czuł się dobrze o tej porze dnia. Próbowwała dać mu do zrozumienia, że nie musi brać udziału w rozmowie, chociaż czy to nie on postawił ją w tej pamiętnej sytuacji, pierwszego wieczoru po przyjeździe do La Pieta, rzucając ją bez ostrzeżenia w sprawozdanie z wizyty Carol?

Oliver kiwnął głową w znany jej, wypraktykowany sposób, sygnalizując, że rozumie, co znaczy „porozmawiać”. Skoro Lily uznała, że czas nadszedł, to niech tak będzie.

– Tak, Grace – powiedział – ona ma rację. Musimy porozmawiać. Chodźmy do domu. Robi się chłodno.

Ochłodzenie w ciągu paru chwil zamieniło się w deszcz. Grace szła potulnie pomiędzy nimi w stronę willi: koniec spaceru, trzeba wracać do celi rzeczywistości. Wiedziała, że czas nadszedł.

W długim pokoju Oliver usiadł na krześle z wysokim oparciem, Lily na sofie, a Grace pozostała przy oknie, odwrócona tyłem do nich. Jej sylwetka odcinała się na tle aluminiowego nieba, ręce uniesione ociężałym gestem, jakby były w niewidzialny sposób przywiązane do ramy okna, głowa oparta o szybę. Teraz,

kiedy chwila nadeszła, ani Oliver, ani Lily nie wiedzieli, jak zacząć. Siedzieli, patrząc na nią, w nadziei że się odwróci. Nie zrobiła tego, ale powiedziała, jak gdyby nie mogła dłużej znieść oczekiwania na to, co nieuchronne, na pierwszy cios:

– Ja go kocham.

– A więc wiesz, o czym chcemy rozmawiać? – upewnił się Oliver.

– Ja go kocham – powtórzyła Grace.

Lily zdecydowała się nie włączać się do rozmowy, dopóki nie będzie musiała.

– On jest kłamcą, Grace – padł pierwszy cios Olivera.

– Kocham go, kocham go. – Nazwisko, stopień, numer. Nazwisko, stopień, numer.

– Jemu chodzi tylko o to, co może od ciebie wyciągnąć, na przykład pieniądze.

– Może je mieć. Załatwiłam przekazanie mu pewnej sumy. Żeby dać mu większą niezależność. To poniżej godności młodego człowieka wciąż mówić „proszę” do swojej podstarzałej żony.

– To są twoje słowa czy jego?

– Kocham go.

– Czy naprawdę wierzysz, że chociaż odrobinę go obchodzisz?

Usłyszeli słaby dźwięk, który miał oznaczać „tak”.

– To dlaczego jest tam, a ciebie zostawił tutaj?

– W tym tygodniu wystąpi w programie Melissy. Użyła swoich wpływów, żeby załatwić mu wywiady, nagłośnienie. Artysta w dzisiejszych czasach potrzebuje promocji. I powiedział... powiedział, że... że stałabym mu na zawadzie.

– On cię zostawił, Grace. Już nie wróci. Wie, że gra między nim a tobą jest skończona, nawet jeśli ty o tym nie wiesz. Jeżeli wciąż jeszcze dzwoni, to dlatego, że do ostatka ma nadzieję wyciągnąć od ciebie jakieś pieniądze.

– To nieprawda. Wszystko, co mówisz.

Lily odezwała się po raz pierwszy:

– Oszukał Dennisa.

– Johno wyjaśnił nieporozumienie przed wyjazdem. Posłałam Dennisowi czek.

– A więc zostałam tutaj, niczym jakieś godne politowania dziecko, które robi to, co mu każą? – ciągnął dalej Oliver z bezlitosną dociekliwością. Jego chłodny profesjonalizm niepokoił Lily.

– Nie tylko dlatego. Zostałam, żeby być z tobą, Oliver, bo niepokoi mnie coś, co widzę w twoich oczach. A poza tym...

– Co takiego?

– Miło jest po prostu odpocząć, zwyczajnie istnieć. Nie być zmuszonym...

– Czy on jest dla ciebie dobry, Grace?

– Kocham go. – A więc dochodzili do jakiejś prawdy.

– Czy on jest dla ciebie dobry? – powtórzył Oliver.

Podniosła rękę do ust, zagryzając zęby na grzbiecie dłoni.

Potrząsnęła głową.

– Co on takiego robi, Grace? Jakim sposobem doprowadził cię do tego stanu? Wcale nie jesteś szczęśliwa, jesteś nerwowa, roztrzęsiona.

Grace zaczęła płakać i Lily chciała do niej podejść, ale Oliver powstrzymał ją ruchem ręki.

– Mów dalej, Grace.

– On... on śmieje się ze mnie, ze wszystkiego, co staram się robić, żeby wyglądać młodo dla niego, sprowadza tu obcych, którzy też się śmieją.

– A ty mimo wszystko mówisz, że go kochasz.

– Bo to prawda. To prawda. Nie rozumiecie, jak to jest. Pragnę go. Nie wiecie, jak kobieta może się czuć dzięki niemu. Nigdy tego nie zrozumiecie. Powiedział mi, że będziecie mówić różne rzeczy, żeby zwrócić mi przeciwko niemu. „Czy już z tobą rozmawiali?” – pytał przez telefon. – „Powiedzieli swoje kłamstwa? Przekabacili cię?”. „Nie, mój drogi – mówię – i kocham cię bez względu na wszystko”. Powiedzcie, co macie powiedzieć, ja i tak dam mu pieniądze, tak jak obiecałam. Wtedy będzie mi wierzył. Brak mu poczucia bezpieczeństwa, w tym rzecz. To dlatego, że nie ma nikogo na świecie.

Ach tak.

– To nieprawda, Grace – Lily zebrała się w sobie. – Miał rodziców, którzy go kochali. I nie tylko to. – Spojrzała na swoje ręce; czy nie zrobiła tego samego wieki temu, w gorącą, hiszpańską noc, czy nie spuściła wtedy wzroku na swoje ręce? – Pamiętasz, mówiłam ci o dziewczynie, która przyszła do mojego mieszkania, bo kogoś szukała. Tym kimś, kogo szukała, byłeś ty, Grace. Chciała, żebyś jej pomogła.

Grace zaczęła powtarzać szeptem wciąż jedno i to samo słowo, z takim zapamiętaniem, że Oliver i Lily popatrzyli najpierw na siebie, a potem znów na ciemną sylwetkę Grace.

– Co mówisz, Grace? – Głos Olivera złagodniał. Pochylił głowę, żeby lepiej słyszeć.

Szept wzmógł się na tyle, że mogli rozróżnić:

– Chloe... Chloe.. Chloe... – Nagle odwróciła się, jej ręce były kurczowo



splecione, jak gdyby obawiała się dać im wolność.

– Chloe pisane przez umlaut. Cha, cha, cha... – Odrzuciła głowę, aby powstrzymać łzy, na pograniczu kompletnej hysterii. – Od początku wiedziałam, że za tym się kryje coś więcej. Ale nie pytałam. Nie, nie. Pomyślałam sobie, że lepiej nie pytać. A wiecie dlaczego? Bo dzięki temu Johno mnie objął i pocałował moje włosy, tak żeby wszyscy to widzieli. Potem zobaczyłam to imię w liście od Imogeny, rozpoznałam je. Ale znów o nic nie pytałam. Dlaczego tym razem, chcecie wiedzieć? – wyrzuciła z siebie. – Powiem wam. Bo potem zabrał mnie do naszego pokoju i kochaliśmy się jak nigdy dotąd. Ale z nim za każdym razem jest jak nigdy dotąd. Kimkolwiek jest Chloe, pomyślałam, sprawia, że on okazuje mi miłość. To właśnie wtedy błagał mnie, żebym dała mu większą niezależność, żebym mu zaufała. Powiedział, że powinniśmy okazywać sobie nawzajem zaufanie. I ma rację. Wy po prostu nie chcecie się pogodzić z tym, że Johno jest wszystkim, czego szukałam. Zajęło mi to osiemnaście lat, ale go znalazłam i nie zamierzam stracić. On mnie nie porzucił. Możecie mówić, co chcecie, możecie mną gardzić, ale moje serce przyłgnęło do niego: do okrutnika, kłamcy, do uroczego, wrażliwego, drogiego, drogiego Johno. Nie będę go tłumaczyć. Nie potrafię go usprawiedliwić. Ja go kocham.

– Tego małego, pieprzonego kanciarza?

– Tak. Tego małego kanciarza. – Wyprostowała się i stała sztywno, odwracając twarz, jak gdyby przygotowywała się na cios. – No więc? Kim jest Chloe?

Oliver powiedział prosto z mostu:

– Chloe jest jego córką, Damian synem, a nieszczęsna Carol żoną, którą się nigdy nie rozwiódł. Pewnej nocy zostawiła dzieci u Lily i znikła. Tak to wygląda, Grace. Nie jest nawet twoim mężem.

Przez długi czas Grace stała bez ruchu, z głową wciąż odwróconą na bok obronnym ruchem. W końcu powiedziała:

– A wy umieściliście te dzieci w Ogródku.

To nie wymagało odpowiedzi. Niepewnym krokiem, ale z godnością, Grace opuściła pokój.

Oliver i Lily podeszli bliżej do siebie. Koniec, to był koniec, ale nadal chcieli zyskać choć kilka godzin. Wtedy Grace wróciła.

To musiała być sprawa oświetlenia albo kąta, pod jakim ją widziała, bo Lily po raz pierwszy zauważyła białawe odrosty, długie na ćwierć cala, które lśniły niczym aureola pomiędzy głową i włosami Grace.

– Pomyślałam sobie, że powinniście wiedzieć – jej ręce wciąż były splecione –

Kocham go. Nic się nie zmieniło. Małżeństwa, rozwody to tylko papier. Uczucie pozostaje, to jest prawdziwy kontrakt. – Wyszła i tego dnia więcej się nie pojawiła.

Lily powiedziała Oliverowi, że zarezerwowała trzy miejsca na jutrzejszy samolot.

– Aha – to wszystko, co w pierwszej chwili powiedział, po czym dodał, odwracając wzrok: – Czas marzeń się skończył dla nas wszystkich.

– Nie mam wyjścia, Oliver. Jest coś, co muszę załatwić.

– Oczywiście. – Ale nie rozumiał. Był przekonany, że chce się od niego uwolnić, czuła to. Co mogło być takiego w jej życiu, innego niż on, co tak bezwzględnie domagało się jej obecności? Tylko Sebastian, i Lily dziękowała Bogu, że Oliver o tym nie pamiętał.

– Grace też będzie pewnie chciała pojechać, prawda?

– Z pewnością.

Jednak wciąż na nią nie patrzył.

Wyciągnęła rękę w jego stronę.

– To nie jest koniec. To nie musi być koniec.

– To jest koniec. Po prostu jest.

Nie pozostało nic do powiedzenia. I czuła, że mówią o różnych rzeczach.

Johnny Cochrane nie zadzwonił o umówionej porze. Sebastian zadzwonił.

Oliver czekał przy telefonie, resztką sił, jakie mu pozostały, powstrzymując nadchodzący atak. Lily odebrała telefon i podała mu słuchawkę. Nie wspomniała, że jutro wracają. Oliver też nie. Sebastian mówił przez większość czasu i była to szczęśliwa rozmowa, pomimo zniekształconych odpowiedzi Olivera. Kiedy skończyli, Oliver wykonał swoje rutynowe zacieranie rąk. Pograżony teraz głęboko w otchłani niemocy, ledwie będąc w stanie dobyć głosu, wykrztusił, szukając po omacku słów:

– Mówi że... „życie jest superczadowe”. To coś nowego... prawda, Lily? Niezłe.  
– Odszedł do swojego pokoju.

Lily poszła za nim, żeby sprawdzić, czy zażył pigułki. Zażył, ale było to preludium do pierwszego z przeciągających się ataków. O jedenastej w nocy wyczerpana Lily zastukała do drzwi Carla i on zajął jej miejsce obok Olivera, czuwając, żeby nie zrobił sobie krzywdy.

Lily otworzyła drzwi do ciemnego pokoju Grace.

– Grace? – Nie było odpowiedzi, ale odgłos przytomnego poruszenia zachęcał, żeby mówiła dalej. – Wracam jutro do Anglii. Na mnie i na Olivera czas. Ale zarezerwowałam trzy miejsca, tak na wszelki wypadek... to znaczy na wypadek,

gdybyś chciała polecieć z nami, żebyś nie była tu sama. Wyjeżdżamy z samego rana.

Nie uzyskawszy odpowiedzi, ale czując, że została usłyszana, poszła spać i śniła, nie wiedząc czemu, akurat o lipickich koniach, dopóki nie obudził jej krzyk Olivera:

– Lily, chodź tutaj!

Wpadła, zataczając się, przez boczne drzwi, z głową wciąż pełną galopujących koni, i zobaczyła, jak Carlo podtrzymuje dygoczące ciało Olivera.

– Jestem tutaj. Wszystko w porządku. Jestem tutaj – usiłowała chwycić jego miotające się ramię.

– Bez opieki!

– Jestem z tobą! Opiekuję się tobą, kochany.

– Nie to. Bez domu opieki. Pieta do końca.

– Rozumiem – powiedziała. – Nie zabiorą cię, Oliver, nie do zakładu, jeśli tylko zdołam temu przeszkodzić. I wrócę do ciebie, kochany, najszybciej, jak się da.

Jego członki zeszywniały i pogrzyżył się w długą nieobecność. Carlo zostawił ich i Lily leżała w łóżku Olivera, na pół czuwając, na pół śniąc, znów mającąc o stadach koni.

W samolocie było duszno. Plastikowe tace z obiadem zostały rozdane i zebrane z powrotem, głos pilota mamrotał w głośnikach, że przelatują właśnie nad Paryżem. Grace prawie się nie odzywała.

Kilka godzin wcześniej Lily czekała przed willą na taksówkę, w przekonaniu że ostatecznie pojedzie sama, kiedy pojawiła się Grace – wyblakła, z widocznymi zmarszczkami, jak gdyby jej twarz została zanurzona na noc w jakimś żrącym płynie.

– Gdzie jest Oliver?

– Chciał tu zostać, Grace, prosił o to. Boi się pójść do zakładu. Domyślałam się, że tak jest, choć nigdy przedtem o tym nie mówił. Czy dałoby się to zrobić? Chociaż na trochę, zanim pomyślę o jakimś innym rozwiązaniu. Może o innym miejscu?

– Mój biedny, biedny Oliver – mruknęła Grace i poszła do niego. Wróciwszy, powiedziała:

– Chyba można go bezpiecznie zostawić z Carlem i Anną. Jak sądzisz? – Pragnęła potwierdzenia ze strony Lily.

– Na dzień czy coś koło tego, tak.

– Dzień lub coś koło tego – powtórzyła Grace. To były ostatnie słowa, jakie wypowiedziała.

Z głową na oparciu fotela, z zamkniętymi oczyma, Grace podniosła do ust czwarty kieliszek džinu z tonikiem.

– Co zrobisz, kiedy przylecimy do Londynu? – Takie pytanie Lily ostatecznie wybrała spośród innych.

Nie zmieniając pozycji ani wyrazu twarzy, Grace powiedziała:

– Pojadę prosto do Ogródka, chcę zobaczyć te dzieci.

– Jest tam Sebastian.

– Gdzie?

– W Ogródku.

– Co? – Grace uniosła głowę z niedowierzaniem.

– Melissa go tam umieściła. Gosposia odeszła, a ona nie miała czasu, żeby zająć się przyjęciem kogoś innego. Angela myślała, że Melissa to z tobą uzgodniła.

– Czy Melissa oszalała? Postradała zmysły? Wie równie dobrze jak wszyscy, że to nie jest miejsce dla Sebastiana. To go może zupełnie wytrącić z równowagi. Nie

miała prawa.

– Jest zupełnie wytracony z równowagi.

– Czy Oliver wie?

– Celowo mu o tym nie powiedziałam. Boję się, że chyba by oszalał. Odetchnęłam, kiedy powiedział, że chce zostać.

– Tak będzie najlepiej. – Grace sięgnęła po rękę Lily. Był to krok w kierunku pojednania. – Och Lily, życie to jakiś obłąd.

Szarobłękitne niebo Anglii powitało ich chłodem, ale kiedy taksówka zatrzymała się na zielonej ulicy, przy której znajdował się Ogródek, słońce rozkwitło nagle, jakby chciało zademonstrować, co potrafi.

Otworzyła im Mary, opiekunka, pełna, ciepła niewiasta o mysim kolorycie.

– Grace, wspaniale, że jesteś. Angela też jest tutaj. Mówiła, że są szanse na twój przyjazd.

Angela stała przy końcu wąskiego korytarza.

– A więc jesteś, Grace. Zaszło fatalne nieporozumienie.

Grace była rozbita, z trudem trzymała się na nogach, ale okazywała zdecydowany autorytet.

– Z całą pewnością – powiedziała i przeszła do drugiego pokoju. – Czy ona wie? – zapytała szeptem Angela. Lily skinęła głową.

Była to dziecięca bawialnia, pomalowana na jasne kolory, na podłodze kłębiło się mnóstwo zabawek. Grace zajęła miejsce w fotelu.

– Tom odbiera właśnie dzieci ze szkoły – zagaiła Mary. Teraz, kiedy jest Sebastian, zajmuje to więcej czasu.

– A inne dzieci? – zapytała Grace. – Nie mogą być w szkole.

– Chloe i Damian? Nie, oczywiście.

Zmiana tonu była wyraźna. Coś bardziej dyskretnego i kojącego zastąpiło dotychczasowy, rzeczowy sposób mówienia. Nie ulegało wątpliwości, że Mary wie o osobistym aspekcie sprawy.

Lily dała Angeli sygnał, żeby spojrzała w jej stronę. „Czy ona wie wszystko?“, sugerowało pstryknięcie palców. Angela zdecydowanie odęła usta: „Nie“.

– Są tam, w piaskownicy – powiedziała Mary. – Widzisz je?

Grace podeszła do okna. Mała jasna główka, mała ciemna główka, pochylone pracowicie nad jakimś dziecięcym zajęciem.

– Proszę, przyprowadź je do mnie – powiedziała Grace, siadając z powrotem w fotelu.

Angela i Lily, stojąc pod ścianą, odtwarzały sobie, każda na swój użytek, jak do

tego wszystkiego doszło. Czy można było zrobić coś lepiej? Czy wszystko mogło potoczyć się inaczej?

Mary wprowadziła dwójkę dzieci do środka, trzymając je za ręce. Schludne, czyste, zupełnie niepodobne do tych, którym Lily kiedyś na krótko przyszła w sukurs.

– To jest Chloe, a to Damian. Powiecie „dzień dobry”, dzieci? To jest Grace. – Ale oczy Chloe pobiegły w stronę Lily, która odwróciła wzrok.

Grace odchyliła się do tyłu w swoim fotelu, ogarniając wzrokiem ich bierne twarzyczki. Pokręciła głową, uszczypnęła delikatnie policzek Damiana.

– A więc jesteście. Naprawdę jesteście. – Mary popatrzyła pytająco na Angełę, która skwitowała to machnięciem ręki. Grace dotknęła puszystych włosów Chloe. – Patrzcie no – jej głos drżał – jaka ślicznotka. – Podniosła ją i przycisnęła do siebie, ukrywając twarz na jej ramieniu, drugą ręką przyciągając Damiana do swoich kolan.

W holu rozległy się krzyki, łomoty i podskoki.

– Wrócili – powiedziała Mary.

– Najpierw powieście płaszcze, dzieci. Ile razy...? – rozległ się głos jej męża.

Do pokoju weszła blada dziewczynka z ciemnymi warkoczami, przystanąła, po czym rzuciła się w stronę Grace, wołając:

– Hej, patrzcie! Grace tutaj jest, nareszcie.

– Imogeno, kochanie. – Grace objęła ją, nie wypuszczając Chloe. Pięcioro innych dzieci, dwóch chłopców, trzy dziewczynki, w wieku od dziewięciu do dwunastu lat, tłoczyło się w drzwiach, przepychając się ku Grace.

Fetowały jej przyjazd, głaskały ją, zasypywały pytaniami. Uniesiona falą ich radości, Grace sięgnęła po dużą, kolorową reklamówkę, którą przywiozła ze sobą z Włoch.

– To dla ciebie... a to dla ciebie... – mówiła, podając każdemu zapakowane prezenty. – Drobiazgi, które zbierałam dla was, odkąd przyjechałam do Włoch.

Chloe patrzyła, jak przed jej oczyma piękne paczuszki przechodzą z rąk do rąk, zaglądać do torby za każdym razem, kiedy pojawiała się kolejna. Gdy rozdawanie prezentów zostało zakończone, utkwiała spojrzenie w Grace. Grace patrzyła na nią przez chwilę, po czym się roześmiała.

– A to dla was. Po paczce dla Chloe i Damiana.

Lily zamyśliła się. Dzieci wyglądały na szczęśliwe. Scena nie odbiegała tak bardzo od sceny powrotu jakiegokolwiek matki z podróży. Ale ona nie jest ich matką, ich więź jest ograniczona i dzieci o tym wiedzą, nie trzeba im tego mówić.

Tak, ten dom jest bardzo miły – ładniejszy, cieplejszy, czystszy niż niejedno rodzinne domostwo. Ale cokolwiek by zrobili – zabawne firanki, prywatne kąciki, gry, zabawy, dobre jedzenie – nie byli w stanie usunąć zapaszku władzy. Tak, pomyślała Lily, ja też bym tego nienawdziła. Dotknęła ręki Mary.

– Gdzie jest Sebastian?

To wspomnienie oderwało uwagę Mary od rozgrywającej się przed nimi sceny.

– My się naprawdę staraliśmy, Lily, słowo daję – powiedziała, przymykając oczy z rozpaczą.

– To nie jest ten sam chłopiec, który nas tu kiedyś odwiedzał. I nie w tym problem, że nie wiemy, jak z nim postępować. Zanim tu przyszliśmy, Tom i ja mieliśmy do czynienia z niewidomymi i wszelkiego rodzaju upośledzonymi. To po prostu nie zdaje egzaminu.

– Wiem. Nie martw się. Zabieram go do domu.

– Powinien być w swoim pokoju. Schodami na górę i w prawo.

Lily zapukała do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Otworzyła. Sebastian stał na środku pokoju, w obronnej i nieufnej postawie, jego głowa zwrócona była w stronę drzwi.

– Cześć, Sebastian. Przyszłam cię zabrać do domu.

– Nie ma sensu. Tam nikogo nie ma – powiedział, nie okazując zaskoczenia.

– Cóż, mam zamiar to załatwić. Nie ustaliłam jeszcze jak, poza tym tata wciąż jest we Włoszech i będę musiała niedługo do niego wracać, ale tak cię nie zostawię. Przynajmniej, dopóki nie zorganizujemy czegoś lepszego. '

– Chcę zostać tutaj.

– Nieprawda, nie chcesz. Jesteś nieszczęśliwy. Słyszałam, co się tutaj działo, i pamiętam, co mówiłeś mi o tym domu. W zimie, kiedy siedzieliśmy razem na schodach, pamiętasz? Mówiłeś, że to jest miejsce dla dzieci, które nie mają nikogo, że to...

– Nie mów tak.

– Właśnie dlatego wracasz ze mną. Nie jesteś jednym z nich. Masz rodzinę, masz rodziców, którzy cię kochają. Wkładam teraz do twojej torby trochę rzeczy. Resztę zabiorę jutro. Idziemy.

Sebastian zszedł za nią po schodach, ale nie wszedł do bawialni.

– Grace! – zawołała Lily, ponad wianuszkami otaczających ją dzieci. – Zabieram Sebastiana do domu. Do jego domu.

– Dobrze, Lily, ja też pójdę – oznajmiła Grace, wywołując chóralny protest dziecięcych głosów. – Wrócę tu jutro i zostanę aż do wieczora. – Do dorosłych

powiedziała: – Spędzę tutaj cały dzień, żeby poustawić różne sprawy. To chyba odpowiedni moment.

– Odwiozę was – powiedziała Angela.

Lily i Sebastian usiedli z tyłu. Kiedy ruszyli, Sebastian przysunął usta do jej ucha i wyszeptał:

– Czy tam ktoś jest? Tam na drodze?

– Mężczyzna z psem.

– Nikt więcej? Na pewno?

– Na pewno. A bo co?

Sebastian usunął się w kąt.

Podczas jazdy Grace znów zapadła w milczenie – reprimenda miała dzisiaj ominąć Angelę. Zatrzymali się, żeby Lily mogła kupić coś do jedzenia. Uznała za dobry omen, że udało jej się dostać pudełko mrożonych czekoladowych eklerów. Gdy dotarli na miejsce, Angela wzięła Lily na bok, nim odjechała:

– Bez względu na wszystko, Lily, bądź dzisiaj przy Grace.

– Ale przecież trzyma się chyba nieźle, prawda? Sprawia nawet wrażenie silniejszej.

– Nie daj się zwieść. Widywałam to już wcześniej. Nie zostawiaj jej samej dziś w nocy. Jutro ja z nią będę przez cały dzień.

Kiedy jechali windą na górę, Lily szturchnęła Sebastiana, przybierając ton Mae West:

– Do niej czy do nas?

– Wszystko jedno.

W takiej chwili pomocny bywa rzut oka w stronę pełnej zrozumienia osoby trzeciej, ale Grace też była nieobecna, patrząc równie niewidzącym wzrokiem jak Sebastian na przesuwające się za harmonijkowymi drzwiami klatki pięter.

Mając w pamięci słowa Angeli, Lily powiedziała:

– W porządku, zjemy u Grace.

Nikt nie pofatygował się, żeby odpowiedzieć.

Mieszkanie wyglądało dokładnie tak, jak je zostawiła. Dlaczego miałyby być inaczej? Cuchnąca wykładzina stłumiła odgłosy ich wejścia, redukując je do nieśmiałych pisków. Dzikie kreatury Johnny'ego Cochrane'a rzucały wokół swoje cienie. Lily za żadne skarby nie weszłaby do swojego pokoju. Niczego stamtąd nie potrzebowała, a ta postać z pewnością tam na nią czekała. Grace poszła do salonu, gdzie przechowywano dzin. Sebastian pozostał w korytarzu, z opuszczoną głową, z rękami w kieszeniach.



Zostawię go w spokoju, pomyślała Lily, poczekam, aż zje – nic go tak nie podnosi na duchu jak jedzenie. Wtedy porozmawiają. Wtedy znajdzie z nim kontakt.

Grace weszła do kuchni i przewracała z irytacją w szafkach.

– Czego szukasz? – zapytała Lily.

– Toniku. Nie ma toniku.

Nie okazując zainteresowania, Lily podeszła do drzwi, żeby zobaczyć, czy Sebastian nadal jest tam gdzie przedtem. Stał teraz na końcu korytarza, w otwartych drzwiach sypialni Grace, z ręką na klamce, znieruchomiały po zrobieniu kilku kroków.

Lily już miała się wycofać i zawołać go dopiero na kolację, kiedy uderzyło ją, że takie stanie w drzwiach to dziwna rzecz.

Grace, która znalazła swój tonik i miała właśnie wrócić do salonu, również go zobaczyła. Musiała pomyśleć to samo co Lily, bo zawołała miękko:

– Sebastian?

Nie poruszył się.

Kiedy Grace i Lily podeszły bliżej, zachowując jakąś niezrozumiałą ostrożność, do ich uszu dotarł słaby brzęk i podzwanianie.

– Johno zostawił otwarte okno – powiedziała Grace z ulgą, uśmiechając się czule do swoich myśli. To te drobne łańcuszki nad łóżkiem. To im tak się przysłuchuje. Nawet całkiem miły dźwięk. Zawsze tak dzwonią na wietrze. – Grace minęła Lily, mówiąc do Sebastiana: – Nie bój się, kochanie, to tylko wiatr porusza łańcuszkami przy łóżku. Przepuść mnie, to zamknę... – urwała, zatrzymując się tuż za jego plecami.

Lily podeszła bliżej.

– O co chodzi? – zapytała, odsuwając Grace na bok, aby zajrzeć do środka.

Pokój był nagi, duszny i zakurzony. Światło wczesnego wieczoru penetrowało zamknięte okna przez na wpół zaciągnięte firanki. Ubrania Cochrane'a leżały porozrzucane po podłodze, a na łóżku produkował się on sam, stękając z wysiłku, w ciasnym uścisku kobiecych rąk i nóg.

Poderwał głowę i zastygł w bezruchu, patrząc w stronę drzwi. Szczeka mu opadła.

– Do stu diabłów...

– Co się dzieje? – dał się słyszeć kobiecy głos właścicielki rąk i nóg. Ukazała się twarz Melissy. – O Boże... Sebastian...

Sekundy mijały, a oni trwali nieruchomo, jak skamieniali: cztery twarze, z tym

samym wyrazem przerażenia. Sebastian zagryzł wciągnięte wargi, jego rysy układały się w jakąś niepojętą odpowiedź.

– Chodźmy stąd, Sebastian. – Lily pociągnęła go za sobą.

Poczłapał za nią korytarzem, zszedł po schodach. Musiała go prowadzić, żeby nie upadł. Na dole poszedł prosto do swojego pokoju, zamykając drzwi za sobą. Lily poszła za nim. Leżał na wielkim, kraciastym pufie – ręce i nogi rozrzucone niczym u ciśniętej w kąt marionetki. Lily przyklękła obok niego, wzięła go za rękę, zaginając palce do wewnątrz, zamykając jego dłoń w swoich dłoniach. Nie próbowała mówić.

Kiedy w drzwiach pojawiła się Melissa, Lily podniosła się, z uczuciem dziwnego zakłopotania.

– Lily? – powiedziała Melissa.

Lily puściła rękę Sebastiana, wyszła i zamknęła drzwi. Przeszły do salonu o białych ścianach, pełnego zielonych paproci, afrykańskich skarbów i fotografii i nagle, bez ostrzeżenia, ogarnęła ją straszna tęsknota za Oliverem.

– Lily – zaczęła Melissa prosto z mostu – czy on zrozumiał, jak sądzisz?

– On widział.

Melissa spojrzała na nią z rosnącym zniecierpliwieniem.

– Na litość boską, nie baw się słowami w takim momencie. Rozumie czy nie? Czy wie o takich sprawach?

– „Takie sprawy”, to jego własne określenie. On widział, Melisso, powtarzam ci, tak samo jak widział was w zagajniku oliwnym.

– W jakim zagajniku oliwnym? – wybuchnęła Melissa, odwracając się plecami.

„Dobrze, Melisso, jak sobie życzysz”, pomyślała Lily.

– Sebastian nie może zostać w Ogródku, wiesz o tym. To nie jest odpowiednie miejsce dla niego.

– Wiem. Grace dała mi to wystarczająco jasno do zrozumienia. Nie miałam wyboru i Sebastian się zgodził, naprawdę nie miał nic przeciwko temu. Angela mówiła różne rzeczy, ale zdaje się, że próbowała po prostu robić trudności.

– Bynajmniej.

– On wie, że go kocham, ale muszę pracować. Szczególnie odkąd Oliver...

– Rozumiemy to, ale on jest strasznie zagubiony. W tej chwili myśli chyba tylko o tym, że jego ojciec jest bardzo chory, on sam został umieszczony w domu, którego się zawsze obawiał, a teraz ty masz romans z...

Melissa odwróciła się na pięcie, spoglądając Lily w twarz.

– A z kim jego ojciec ma romans, jeśli wolno zapytać? – Lily cofnęła się i

niemal natychmiast Melissa powiedziała trzeźwym tonem: – Przepraszam cię, nie jest łatwo panować nad sobą przez cały czas. Swoją drogą, gdzie jest Oliver? Nie przyjechał z tobą?

– Nie. Chce zostać w La Pieta aż do... nie wiem jak długo.

– Ale my płacimy za jego pokój w klinice. Jest spóźniony już o trzy tygodnie. Nie będą trzymać go dla niego w nieskończoność.

– W tej sytuacji zwolniłabym pokój.

– Rozumiem.

– Czy ty go kochasz?

– Chodzi ci o Johnny'ego?

– Tak.

Melissa wsunęła rękę we włosy, odrzuciła głowę, westchnęła.

– Czy go Kocham? O mój Boże, Lily. Czy Kocham? Nie, nie. Ale czułam się fatalnie, byłam przybita, widziałam, że się nie sprawdzam, gdy idzie o Olivera. To za twoją sprawą tak się czułam. A Johnny pomógł mi się pozbierać, dzięki niemu poczułam się znów kobietą – pełnowartościową, pożądaną. Bardziej niż od wielu lat. O nieba, jeśli nie znasz tego uczucia, to nie potrafię ci wytłumaczyć. Byłam zadurzona, na pewno. Wciąż sobie mówiłam: „Jeszcze ten jeden, ostatni raz. To nikomu nie może zaszkodzić”. Kto mógł przypuścić? Jutro występuje na żywo w moim programie. To tak wiele dla niego znaczy. Chciałam w ten sposób zakończyć całą sprawę.

– A teraz?

Tonem, który sugerował, że Lily postradała rozum, Melissa powiedziała:

– Chyba jasne, że to musi się odbyć. Rozumiesz to, mam nadzieję? To jest praca. Ale muszę wyjaśnić wszystko z Grace, wytłumaczyć jej, że to nie było nic poważnego. Powinna zrozumieć – ona, z jej doświadczeniem. Nie sądzisz? Sebastian to trudniejsza sprawa. Jeszcze nie wiem, jak z nim będę rozmawiać, ale pomyślę o tym. Muszę odzyskać jego szacunek.

– Nie możesz zostawić pracy, nawet na chwilę? – to pytanie właściwie było stwierdzeniem.

– Oczywiście, że nie mogę. Kampania „Cierpienie dzieci” jest w pełnym toku. Właściwie znalazłam opiekunkę, gdyby tylko Sebastian się do niej przekonał. W tym problem: zmusił poprzednią gosposię do odejścia, sterroryzował ją, jak to określiła. – Na tę myśl Melissa parsknęła krótkim śmiechem.

– Myślałam, żeby zostać dzień lub dwa dłużej.

– Nie! – prawie krzyknęła Melissa, opanowując się zaraz. – Masz mojego męża,

nie dostaniesz jeszcze mojego syna.

Sebastian wszedł do pokoju, podszedł prosto do telefonu, pieczołowicie odliczył cyfry i wybrał numer.

– Tato? Cześć. Jak się masz?... Och, to bomba, znakomicie... Ja? Doskonale. Jak wtedy powiedziałem...? Aha: superczadowe. Tak, życie jest superczadowe. Jeden kolega ze szkoły zawsze mówi, że... Tak, przyjechały dziś po południu... Ona bardzo dobrze. Grace też. Jeszcze trzy tygodnie i koniec semestru. Nie mogę się doczekać... Uściskaj Annę ode mnie. Do usłyszenia jutro.

Chciał wyjść z pokoju, ale Melissa go zawołała. Odwrócił się i powiedział:

– Jutro jedziesz do Yorkshire, prawda? Na swój program?

– Tak, kochanie. Posłuchaj, nie musisz wracać do Ogródka. Znam pewną miłą młodą panią, z którą przyjaźnimy się od lat. Zgodziła się prowadzić dom, gotować, podwozić cię, być tutaj, kiedy ja nie będę mogła.

– Aha – rzucił obojętnym tonem.

– Oczywiście pod warunkiem, że ją polubisz, bo jeśli...

– Lily? – przerwał jej Sebastian. – Odbierzesz mnie jutro ze szkoły? W południe, dobrze?

Odwracając twarz, Melissa założyła ręce, spuściła oczy i wykonała sztywny, potakujący gest.

– Dobrze, przyjdę – powiedziała Lily.

– Super. – Chłopiec wyszedł z pokoju.

– Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebyśmy zostali teraz z Sebastianem sami? – zapytała Melissa.

Był to równie uprzejmy sposób odprawienia jej jak każdy inny.

Na schodach słychać było monotonny głos Johnny'ego Cochrane'a, dochodzący spoza drzwi sypialni Grace. Gdy tylko Grace zaczynała nalegać, zagłuszał ją, rezonując dalej po swoim.

Lily mogła zaczekać pod drzwiami, zorientować się, kto jest górą, ale nie chciała słyszeć, jak montuje swoje kłamstwa, ani tego, jak Grace mu ulega. Zapukała jeden raz i otworzyła drzwi.

Cochrane, w dzinsach, z nagim torsem, trzymał Grace mocno za nadgarstki. Nie wiadomo, czy chciał ją odepchnąć, czy przyciągnąć, jedno i drugie było równie prawdopodobne. Czy zawsze nie wyglądało to tak samo?

Cochrane przerwał potok swojej wymowy i zwrócił się ostro w stronę Lily. Grace stała, wpatrzona w niego.

– Grace, czy... mnie potrzebujesz? – Cholernie głupie pytanie. Czy jej

potrzebuje? Jej? Grace nie odpowiedziała, nie poruszyła się. Nie, nie potrzebowała jej. Wszystko, czego potrzebowała, to Johnny Cochrane.

– Wejdz, świętoszko – zaczął Cochrane. – Zawsze można liczyć na drogą Lii, że wsadzi nos, gdzie nie trzeba. Kiedy się w końcu odpieprzysz? Przepadnij raz wreszcie na dobre! – ryknął.

– Grace?

Grace kręciła głową nad Cochrane'em, jak nad czymś cennym, co zostało zniszczone, ale Lily otrzymała swoją odpowiedź.

Mieszkanie szubrawca wyglądało na opuszczone. Zapomniane, pokryte warstwą kurzu, najwyraźniej nie nadążało za czasem. Lily zostawiła je, spodziewając się, że wróci za kilka dni, a nie tygodni, jak się okazało. Manekin ubrany w sutą kreację Anny Marii Garthwaite spoglądał wyniośle, nadąsany żakiet Schiaparelli nie miał ochoty na błazenadę, tylko liberia edwardiańskiego lokaja najwyraźniej nie oczekiwała lepszego losu niż porzucenie i zapomnienie. „Przepraszam was, kochani – mówiła Lily, otrzepując tu rękaw, tam pagon, czy fałdę. – Nie zamierzałam was zostawić”. Spędziła godzinę czy dwie na czyszczeniu, odzyskując zaufanie swojej kolekcji, zawierając z nią pokój, gawędząc przez cały czas. W lodówce przeterminowana żywność zaczęła dla towarzystwa żyć własnym życiem.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła pani Gregor. Jak zawsze poprzedzały ją skrzyżowane na piersi ramiona – bariera wobec nieprzewidzianego.

– Witaj, skarbie. – Znajoma, zachęcająca neutralność jej zużytego głosu.

– Gili, jak miło cię znów zobaczyć.

– Myślałam, że się ulotniłaś. Cztery dni, tak powiedziałaś.

– Przepraszam, że cię nie zawiadomiłam. Wracam tam z powrotem najszybciej, jak się da.

– Rozumiem. – I rzeczywiście rozumiała. – Więc nie będziesz potrzebowała mieszkania?

Lily nie wybiegała tak daleko naprzód.

– Chyba będę. Oczywiście, że tak. Nie mam niczego innego. Po prostu będę spędzać tu mniej czasu, to wszystko. A co? Chciałabyś je odzyskać?

– Cóż, na to wygląda. – Lily zorientowała się, że wizyta ma określony cel. – Jest George.

– Co takiego?

– George. – Pani Gregor zaczęła wyliczać, rozstawiając dziesięć palców. – Było dwóch Micków, Adrian, Chidi, Shamus, Duke, wyobraź sobie, to niestety imię, nie tytuł. Nie wspominając iluś tam pozostałych – tych odfajkowała przy pomocy trzech ostatnich palców. – Teraz jest George.

– A więc zjawił się ten, kto mieszkał tutaj przede mną? Szubrawiec, który znikł i nie zapłacił?

– Dawne sprawy, kochana, dawne sprawy.

– Tak się cieszę. To świetnie. I potrzebujesz mojego mieszkania, tak?

– Jeśli ty go nie potrzebujesz, mogłabym przenieść tutaj starego pana Shade'a i mielibyśmy więcej miejsca na dole.

– Cóż, w tej chwili go potrzebuję, niestety.

– Nieważne. Wyglądasz na zmarnowaną. Wcale nie jak po wakacjach, tyle że się opaliłaś, dobrze ci z tym.

– Jestem zmęczona, to wszystko.

– To dobranoc, kotku. Nie kłopotz się, znajdę jakiś kąt dla starego Shade'a. – I, jak przystało na damę tego pokroju, zachowując swój ostatni cios na moment, gdy znajdowała się już na schodach, wygłosiła tonem publicznego oświadczenia: – Przy okazji, jesteś mi winna za dwa tygodnie.

Lily parsknęła śmiechem. Zimna krew pani Gregor miała w sobie coś naprawdę swojskiego.

– Nie wpadaj w panikę. Zapłacę ci jutro.

– Zdarzało mi się już słyszeć takie rzeczy.

Jedyną przyjemnością tego dnia wciąż jeszcze była przed nią, zostawiona na sam koniec. Wykapana, wyciszona, przygotowana na tę mistyfikację, która wydawała się tak łatwo przychodzić Sebastianowi, Lily zadzwoniła do Włoch. Była to dokładnie ich umówiona pora i telefon nie dzwonił zbyt długo. Usłyszała szcęk podnoszonej słuchawki i wyobraziła sobie Olivera, jak siedzi przy telefonie, tak samo jak co wieczór, gdy czekał na rozmowę z synem. Poczuli się zawiedziona, kiedy odezwała się Anna.

– *Pronto, La Pieta.* – Jej głos był ściszony.

– Anno, to ja, Lily. Jak się macie?

– Bardzo dobrze, signorina – odpowiedziała ochryłym szeptem.

– Czy jest tam Oliver? Mogę z nim porozmawiać? Bardzo proszę...

– Teraz śpi, signorina. Rozmawiali z Sebastiano, potem siedział, patrzył, patrzył daleko, jak to on, nie ruszał się. Nagle wstaje, mówi Carlo, idzie do sofy i śpi. Pięknie, jak bambino. Tak dobrze dla niego.

– I wciąż tam jest na sofie, koło ciebie?

– Tak. I Carlo z nim, tak jak zawsze.

– Powiedz mu, że dzwoniłam, dobrze? I że jutro znowu zadzwonię. Do widzenia.

Lily otuliła się perkalową kołdrą niczym kokonem zapomnienia, mając przed sobą obraz Olivera, śpiącego spokojnym snem po raz pierwszy od wielu tygodni. Uradowana, czując się blisko niego, zamykając go w granicach swojej świadomości, osunęła się w swój własny, kojący sen.

Dzień skończył się tak spokojnie, że trudno pojąć, dlaczego Lily usiadła nagle, całkowicie rozbudzona, jakby przywołało ją do rzeczywistości podświadome pstryknięcie palców. Rozejrzała się wokół siebie. Zegar wskazywał dziesięć po czwartej. Na zewnątrz stara noc i bardzo młody dzień robili coś niemal zbyt intymnego, by na to patrzeć, co zupełnie nie przypominało szumnej defilady świtu, wystrojonego i gotowego ukazać się ludzkim oczom. Lily stała przy oknie, obserwując odbywający się na niebie happening, i czuła, że ten dzień ma w sobie coś nienaturalnego, że coś znikło ze świata, pozostawiając po sobie pustkę. Gdyby usłyszała, że cała ludzkość przeniosła się właśnie gdzie indziej, zapominając o niej, powiedziałyby: „Aha, rozumiem, więc to o to chodzi”. Rozejrzała się po pokoju. Jej dobytek był nietknięty. Otworzyła drzwi, ujrzała smętny, pusty hol i klatkę schodową.

Pustka była w niej samej. Wróciła do okna, żeby się zastanowić. Czy to Oliver? Ten jego sen, czy to koniec? Zadzwoniliby. Czy wiedzieli? Tak, Carlo wiedział, że swoją wrażliwą, wyczuloną spostrzegawczością. Więc co? Słowa Angeli zabrzmiały tak wyraźnie, jak gdyby znajdowała się w tym pokoju: „Bez względu na wszystko, bądź dzisiaj przy Grace. Nie daj się zwieść... Nie zostawiaj jej samej dziś w nocy”.

– Nie była sama – powiedziała Lily głośno. „Panie Boże, czy po tych wszystkich latach popełniłam błąd? Taka byłam ostrożna, taka ostrożna, i co?”. Co zaszło pomiędzy Grace a Cochrane'em? Powinna była posłuchać pod drzwiami, to do niej należało: wiedzieć. To była pozycja, którą sama wybrała, z własnej inicjatywy uczyniła swoim obowiązkiem. I co zrobiła, gdy ta godzina w końcu nadeszła? Odwróciła się i poszła.

Roztrzęsiona, wykręciła numer Grace. Nic, nawet automatycznej sekretarki. Telefon dzwonił, dzwonił, dzwonił. Ubrała się i popędziła do samochodu. Nie chciał zapalić. Pobiegła przed siebie, armia jej odbitych echem kroków rozproszyła się, kiedy dotarła do głównej ulicy. Niewiele samochodów, żadnych taksówek, za

wcześniej na metro. Szła, biegła, znów szła, dzień przeciągał się wokół niej, ukazując w bezlitosnym blasku ów brak. Tak, była pewna, że Grace podsumowała swoje przegrane życie i skończyła ze sobą, jak to przepowiedział Cochrane.

Zwolniła kroku. Nadjechała taksówka i Lily ją zatrzymała.

Rozsądek zaczynał brać górę: dlaczego miało być za późno? Skąd ta pewność? „Prędeż, prędeż, jeżeli się da”. Pochyliła się do przodu, siłą woli starała się uskrzydlić pojazd, zmusić go do szybszej jazdy.

Kiedy znalazła się naprzeciw podwójnych, frontowych drzwi, znów powściągnęła swój pośpiech. Czy naprawdę dlatego tak pędziła? A może był to popis, żeby zrehabilitować się za to, że zawiodła? Wnętrze budynku: winda, ostatnia kondygnacja niskich, marmurowych schodów – nic tutaj nie łagodziło jej przeświadczenia. Było skondensowane w każdej cząsteczce otoczenia.

Mieszkanie, zamknięte w swojej głuchej, gumowej ciszy, wyglądało z grubsza tak, jak je zostawiła. Przez uchylone drzwi kuchni zobaczyła swoje przygotowania do kolacji: rozbite jajka w miseczce, rozcięta paczka bekonu. W salonie panował ład, jeśli nie liczyć szeroko otwartego barku.

Gdy posuwała się korytarzem, świadoma każdego kroku i oddechu, kilkakrotnie nawiedziła ją myśl, że gdy otworzy drzwi sypialni, może znaleźć Grace i Johnny'ego Cochrane'a, śpiących bok przy boku w tym ohydny łóżku. Ona być może z ręką spoczywającą na jego piersi.

Światło dnia wlewało się przez zasłony, zasunięte od poprzedniej nocy. Łóżko było puste, ale Lily musiała wyteżać wzrok, aby powstrzymać napór halucynacji: ciało Grace – obraz za obrazem – ubrane, rozebrane, powieszona, przewrócone, krwawiące, sztywne. Kiedy jej oczy zaakceptowały rzeczywistość, nadal była przekonana, że gdzieś znajdzie martwą Grace, bo coś umarło w tym pokoju. Cóż to mogło być, jeśli nie Grace? Tacy jak Cochrane nie umierają.

Drzwi od szafy huśtały się, otwarte na oścież, przydymione lustro było stłuczone, w środku pozostały wieszaki. Na podłodze piętrzyła się masa ubrań – wszystkie należały do Grace, żadne do Cochrane'a. Każda sztuka była rozdarta, pocięta, wszystko zbryzgane farbą do włosów, upstrzone zawartością wyciśniętych tubek, pokryte masą kremu z niezliczonych słoiczków. Z rozbitych ampułek sączyły się Zandry Rhode i Jean Muiry, wśród nich mała zabawna Ossie Clark. Była tam koronkowa bielizna, pończochy, wszechobecne sandały z pasków, powyginane i połamane, futro rozdarte na pół, strzępy włosów, damska golarka elektryczna, nawilżacz do twarzy. Wszystko zdemolowane. Był tu wszelki oręż, którego Grace używała w swoim pojedynku z czasem, ale nigdzie nie było widać



samej Grace.

Lily podeszła, aby rozsunąć czarne, wełniane zasłony, ocenić sytuację i znaleźć jakąś wskazówkę, co się tu wydarzyło. Pociągnęła za sznur, ale jedna zasłona nie ustąpiła, coś przytrzymało ją z drugiej strony. Lily puściła sznur i znalazła się oko w oko z nieznaną starszą panią o wyglądzie stracha na wróble, ubraną w szary kitel. Jej wyblakłe, siwe włosy były ostrzyżone na ćwierć cała albo krócej, stercząc tu i ówdzie niczym zużyta szczoteczka do zębów. Bose stopy, szpotawe palce, dłonie spoczywające bezwładnie na kolanach. Powoli uniosła swoją zniszczoną twarz. Wyglądała jak ktoś wywłaszczony, jak uciekinier, i tym właśnie była: uciekinierem z własnego życia, z gry pozorów, z gry w „umówmy się”, z bajecznego „długo i szczęśliwie”.

Lily uklękła, kładąc głowę na jej kruchych kolanach, i rozplakała się. Grace się nie poruszyła, nie podniosła ręki, żeby ją pocieszyć. Lily odsunęła się i zobaczyła, że w jej pustych, zaczerwienionych oczach też są łzy.

– Nie powinnam cię zostawiać. Byłam pewna, że nie żyjesz.

Upłynął długi czas, zanim Grace się odezwała, a kiedy to zrobiła, musiała sięgnąć głęboko, aby odnaleźć swój głos:

– To prawda.

– Co się stało? Czy to Johnny zrobił to z twoimi pięknymi rzeczami?

Grace zaprzeczyła ledwie dostrzegalnym ruchem głowy.

– Nie, to ja. Ja to zrobiłam.

Lily wzięła Grace za rękę i nie poznała jej dłoni. Paznokcie były obcięte do skóry, miękkie i rozwarstwione, czerwony lakier rozmazany, szorstka skóra niemal krwawiła.

– Co ty zrobiłaś?

Żadnej odpowiedzi. Na podłodze u stóp Grace leżała niebieska plastikowa butelka, ziemisty dywan był w tym miejscu wyblakły. Obok stała porcelanowa miseczka z bezbarwnym płynem. Lily powąchała go, potem dłoń Grace.

– Wymoczyłaś je w wybielaczu. Och, Grace. – Lily objęła ciotkę. – Kiedy on cię zostawił? Jak długo byłaś sama?

Grace otworzyła usta kilka razy, jak gdyby odpowiedź utkwiała w środku i nie chciała się wydostać.

– To ja kazałam mu odejść. – Zaciśnęła dłonie, aż kostki zaczęły krwawić.

– Nie chciał i ty mu kazałaś? – zapytała Lily z niedowierzaniem. Jeden ciężki, potakujący ruch głowy w odpowiedzi. – Po tym wszystkim, co powiedziałaś we Włoszech? Wiedziałaś o dzieciach i o tym, że nie jest twoim mężem. Czy

przyłapanie go tu z Melissą było gorsze niż to wszystko? Wiedząc to, co wiedziałaś, musiałaś liczyć się i z tym, że nie jest ci wierny.

Grace odwróciła się do okna, spoglądając ze zmarszczonym czołem w niebo.

A więc tak się sprawy mają, pomyślała Lily. Grace była w stanie przyjąć obelgi, kpiny, tony kłamstw, gotowa była nawet zaakceptować jego dzieci i fakt, że nie jest jej mężem. Dopiero zwykła, nudna, powszednia, oklepana zdrada okazała się tym, czego nie mogła znieść. To odkrycie w niewytłumaczalny sposób ją przygnębiło.

– Więc to dlatego, że zobaczyłaś go z Melissą? Czy tak, Grace? Proszę cię, powiedz mi.

Grace, którą poruszenie Lily przywołało do rzeczywistości, odwróciła głowę od okna. Jej szyja była tak wątła, aż dziw, że utrzymywała głowę.

– Nie... nie to... tego mogłam się spodziewać... to było coś, co powiedział.

– Co mógł takiego powiedzieć, czym jeszcze cię zranić, czego nie powiedział już wcześniej? Chcę to zrozumieć.

– To nie było do mnie.

– O tobie do kogoś innego?

– Nie. To było do ciebie. „Przepadnij raz wreszcie na dobre”. Tak powiedział. – Grace wpatrywała się usilnie w Lily. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć jej twarzy krwawiącymi palcami. – Przepadnij? Przepadnij? Tak, ona przepadła. Ja ją znalazłam. Znalazłam małą Lily. A on chciał, żebym ją znowu straciła? Pozbyła się jedyne, co dobre w moim marnym życiu? Jedynej osoby, która nadawała mi jakąś wartość? Wtedy zrozumiałam, że to, co pozwoliłam mu zrobić ze sobą, on zrobi z każdym z nas, jeżeli się na to zgodzę. – Szyja nie była w stanie dłużej utrzymać głowy, która przechyliła się na bok. Grace miała zamknięte oczy, łyzy usiłowały przedostać się przez zaciśnięte powieki. – Mój Johno płakał... mój Johno błagał... mój Johno mówił to, czym ja usiłowałam wcześniej wzbudzić jego litość. Wszystkie czułe słowa... był bardzo, bardzo dobry. Miałam rację, nie zamierzał mnie porzucić.

– Więc jak...?

– Każąc mu patrzeć na to, czego tak się obawiałaś: na to, jak kończę ze sobą. Nie mógł patrzeć na destrukcję Grace Teape, na ruinę jej małego, głupiutkiego życia, całego tego kamuflażu. A wiesz czemu? Nie dlatego, że było to zbyt bolesne, nie dlatego, że mnie kocha, ale dlatego, że pozbywając się krzykliwych ciuchów, kosmetyków, włosów, paznokci, cudownych kremów, wszystkiego, co tak u mnie wyśmiewał, stałam się kobietą, która go już nie potrzebuje. Zrozumiał to. Nigdy nie był głupim chłopcem.

Siedziały w milczeniu, trzymając się za ręce, tak długo, aż zdumiewające zjawisko świtu stało się przeszłością. Z tajemniczych zaślubin nocy i dnia narodziła się najzupełniej prozaiczna, czerwcową środą.

To Grace przerwała pokrzepiającą ciszę.

– Musisz wracać do Olivera.

– A co z tobą?

– Nie będzie więcej żadnego „A co z tobą?”. Wracaj do niego prędko, Lily. Potrzebujecie siebie nawzajem.

– Nie mogę tak zostawić Sebastiana.

– Nie jest już w Ogródku. Melissa wie, że popełniła błąd.

– Nie ulega kwestii, że rozprawi się z nową gosposią tak samo jak z poprzednią.

– Nie, ponieważ ja tu będę. Kiedy Melissa będzie zajęta, zawsze będę ja. Lubimy się nawzajem, ja i Sebastian, zawsze się lubiliśmy. A gdy przyjdą wakacje, to jeśli Melissa mi pozwoli, przywiozę go do ojca. Ruszaj teraz, Lily, załatwiał swoje sprawy, a ja pozabawiam moje.

– Tylko jeśli jesteś zupełnie pewna, że... – Lily zawahała się, ale nie mogła wymyślić nic lepszego – ...u ciebie wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała Grace, i... tak, to był uśmiech. Nie było w nim błagania ani chęci zatuszowania czegokolwiek. Po prostu uśmiech. – Najzupełniej w porządku.

A więc tak to wygląda. Twój świat został zburzony, mozoliłaś się i przegrałaś, ufałaś i zostałaś zdradzona, poznałaś prawdę i zaakceptowałaś ją, a ci, którym na tobie zależy, nie mogą zrobić dla ciebie nic więcej, jak tylko zapytać nieśmiało: „W porządku?”.

Resztę poranka Lily spędziła w swoim mieszkaniu, pakując kolekcję i resztę dobytku.

– Więc dokąd się wybierasz, kotku?

– Z powrotem tam, skąd przyszedłam, a potem do Włoch. Jak chcesz, możesz tu w przyszłym tygodniu umieścić pana Shade'a.

Od szubrawca do cienia (pan Shade), z namiotem (Teape) pomiędzy nimi. Cóż, była w tym wszystkim jakaś poezja.

Porządki nie były jeszcze ukończone, kiedy Lily poszła do szkoły po Sebastiana.

Czekała na stopniach szkoły, w otoczeniu znajomych twarzy, jak tyle razy przedtem. Lada minuta ukaże się Sebastian, wtedy ona podniesie swoją dumną flagę: „Przyszedłam po niego. Dzisiaj jesteśmy razem”.

Sebastian pojawił się – spokojny, ale zamknięty w sobie, jego głowa nie krążyła jak radar, aby ustalić jej położenie, nie leciał na złamanie karku, co zawsze wprawiało w takie zdumienie innych. Kiedy doszedł do chodnika, zawołał, nie podnosząc głowy:

– Tu jesteś Lily.

– Zgadza się.

Doszli razem do końca ulicy.

– Co chcesz dzisiaj robić? – zapytała Lily.

– Wiem dokładnie.

– Co takiego?

– Chcę pójść do pracowni.

Z rękami w kieszeniach, Lily odwróciła się z irytacją na pięcie.

– Po jakie лихо? – zapytała, pochylając się nad nim. – Tam jest teraz całkiem inny fotograf. Nie znają nas, a poza tym naprawdę nie mam ochoty spotkać się z Esther.

– Nie do pracowni taty, tylko do Johnny'ego.

Zapadła cisza. Szli dalej przed siebie.

– Wiesz, że on zostawił Grace, prawda? A raczej to ona powiedziała mu, żeby sobie poszedł.

– Przez niego i mamę, to jasne.

– Bynajmniej. Z miliona innych powodów. To, że jest gnojkiem, tylko zamyka listę.

– Czy ona bardzo to przeżywa?

– Jest załamana.

Sebastian rozważał to przez jakiś czas.

– Wolno mi zobaczyć się z nim, jeśli mam ochotę.

– A więc dalej myślisz, że on jest wspaniały, tak? Sądziłam, że zmieniłeś zdanie.

– Nie twoja sprawa, co myślę.

– Prawdopodobnie nawet go tam nie będzie. Na pewno jest w drodze do Yorkshire na dzisiejszy program.

– Będzie. Mama powiedziała, że zabierze go dzisiaj po południu. Mówiła, że to będzie jej ostatnie spotkanie z nim sam na sam, ale że każdą sprawę powinno się zakończyć jak należy. Nawet jeśli popełniło się straszny błąd i zrobiło z siebie idiotę, człowiek powinien się w jakiś sposób „odmeldować”. Tak trzeba.

– Cóż, ja nie chcę tam iść.

– To nie idź.

– Boże, Sebastian, co się z tobą dzieje? Przyjechałam tu tylko dlatego, że dowiedziałam się, że jesteś w Ogródku. Czy masz do mnie pretensje za to i za wszystko inne też? Już nie jesteśmy przyjaciółmi? Co takiego zrobiłam?

– Nic. Nikt nic nie zrobił.

Nie była w stanie rozmawiać dłużej, nie tracąc panowania nad sobą.

– Dobrze, posłuchaj. Zaprowadzę cię tam, ale dzisiejsze popołudnie spędzasz ze mną, rozumiesz? Zostawię cię tam na godzinę, będziesz mógł z nim porozmawiać, a potem wrócę.

– Chcę więcej czasu.

– No to dwie godziny.

Na tym stanęło. Doszli do odrapanego garażu, który służył Cochrane'owi za pracownię – „A.E. Gange. Naprawy po wypadkach”. Lily widziała, jak Sebastian ostrożnie unosi nogi, przechodząc przez małe drzwi, które prowadziły w kierunku większych.

– Johnny? Cześć, to ja, Sebastian. Mogę ci trochę pomóc?

Ucichł szcęk metalu o metal, przerywany sykiem spawarki, i rozległ się głos Cochrane'a:

– Cześć, łebku. No, czy to nie jest wejście jak z powieści?

Lily minęła kilka ulic i znalazła się w swoim mieszkaniu.

Dwie godziny wystarczą, żeby dokończyć pakowanie, opatulić suknię Anny Marii Garthwaite, żakiet Schiaparelli, liberię lokaja. Kostium Gilberta Adriana odłożyła na bok. Przyda się we Włoszech. Układała swoich starych przyjaciół z należnym ceremoniałem, przekładając płótnem i kulkami na mole.

To, co kosztowało ją tyle czasu przy urządzaniu, nim stało się domem, zajęło go tak mało przy demontażu, że jeszcze zostały jej trzy kwadransy. O wcześniejszym wyjściu nie było mowy, Sebastian musiał mieć swoje dwie godziny. Usiadła w głębokim fotelu, zdecydowana, bez względu na wszystko, odnaleźć, nim dzień się skończy, drogę do prawdziwego Sebastiana. Gburowaty, niewidomy chłopiec, który wyszedł ze szkoły dzisiejszego popołudnia, nie był tym, z którym dzieliła sekrety na schodach, z którym siedzieli razem, łowiąc ryby nad kanałem, który we Włoszech tkwił na wielkim głazie sterczącym pośrodku strumienia, pogrążony w filozoficznym milczeniu, który szukał ukradkiem jej dłoni w chwilach lęku. Odnajdzie go z powrotem, żeby nie wiem co.

Ulica wokół pracowni Cochrane'a była zatłoczona. W pierwszej chwili Lily pomyślała, że wyrosło tam targowisko, ale przeciskając się przez tłum zorientowała

się, że ludzie wspinają się na palce, aby lepiej widzieć, wymieniając okrzyki pełnego ekscytacji przerażenia. Musiał zdarzyć się jakiś wypadek.

– Nie ma przejścia – poinformował ją jakiś nieznajomy, gdy parła do przodu. – Odcięli drogę, obawiają się eksplozji.

Zawyła syrena odjeżdżającej karetki pogotowia. Ponad tłumem widać było dachy wozów straży pożarnej i dwa zbiegające się łuki wody. Im bardziej się zbliżała, tym mniej chętnie ludzie wokół niej usuwali się, by ją przepuścić.

– Co się tu dzieje? – zapytała kogoś, kto właśnie ją zbeształ za to, że się rozpycha.

– To ten garaż, gdzie koczuje ten cały artysta. Poszedł z dymem jak fajerwerk.

Lily przedarła się pod kordon, dała nura i pobiegła w stronę szkieletu szerniałych belek, skwierczących pod strumieniami wody. Budynek był wnętrzem rozpalonego pieca, znajome obiekty pulsowały, na przemian ciemniejąc i jaśniejąc od żaru. Stół, na którym Cochrane miał swój niechlujny skład narzędzi i obskurny narożnik kuchenny, były odsłonięte, a na centralnym miejscu widniała ocynkowana beczka wysokości dwóch dorosłych mężczyzn.

– Wystarczy, panienko, tu się proszę zatrzymać.

– Czy jest na zewnątrz? Czy jest bezpieczny? – wrzasnęła, przekrzykując huk ognia, wody i ludzką wrzawę.

– Właśnie go zabrali. Widziałem gorsze przypadki, wyjdzie z tego, proszę się nie martwić. Cochrane, tak? Rzeźbiarz?

– A chłopiec? Tam był też niewidomy chłopiec.

Frontowe krokwie garażu jęknęły i zapadły się pod uderzeniem wody, pozostawiając po sobie tylko ogień.

Uścisk strażaka na ramieniu Lily zelżał, jego oczy utkwione były w buchających płomieniach, ze zgrozą i obrzydzeniem, których nie umniejszyło częste oglądanie takich widoków.

– Wydostali tylko jednego, panienko. Nie ma tam nikogo żywego.

Z przeraźliwym krzykiem Lily rzuciła się w stronę tego, co pozostało z garażu, nieomal się jej udało, ale została pochwycona przez dwóch strażaków, przewrócona na ziemię i zbryzgana potokiem wody. Walczyła, żeby się podnieść, krzycząc:

– On tam jest, mówię wam. Nie widzi... nie pozwólcie mu się spalić.

– Zabierzcie ją stąd – do akcji wkroczył nagle bezcielesny głos – właśnie odkryli jeszcze pół tuzina butli z gazem. Nie do ustalenia, puste czy nie. Ewakuować ulicę.

Z siłą szaleństwa Lily opierała się strażakom, wyglądającym jak monstra w swojej odzieży ochronnej, którzy wlekli ją w stronę pobocza. Tam, obezwładniona przez policjanta, otworzyła płuca w nieprzerwanym krzyku. Ktoś uderzył ją w twarz i na chwilę pociemniało jej w oczach. Kiedy odzyskała wzrok, wciąż ogłuszona, zobaczyła przed sobą twarz Melissy.

– Mój Boże, Lily, co się stało?

Lily nie mogła mówić. Włączył się strażak:

– Wydostaliśmy stamtąd mężczyznę, sąsiedzi mówią, że nazywa się Cochrane, zabrali go do szpitala. Wyjdzie z tego. Ale ta młoda pani mówi, że jest tam jeszcze chłopiec, niewidomy.

Melissa się zachwiała, podnosząc ręce do czoła.

– To niemożliwe., niemożliwe... Jak długo?

– Jesteśmy tutaj prawie pół godziny. Pożar mógł się zacząć się jakieś pół godziny wcześniej.

Melissa chwyciła bezwładne ręce Lily.

– Lily? Lily? Słyszysz mnie? Rozumiesz, co mówię? Jego tam nie ma!

– Nie wydostaną go. – Oczy Lily powędrowały w stronę jądra pożaru.

– Zostawiłam Sebastiana w domu piętnaście minut temu. Jest bezpieczny. Słyszysz mnie? Bezpieczny.

Policja odstawiła Lily, owiniętą w koc, pod drzwi mieszkania Sebastiana. Otworzyła im młoda kobieta o ciemnych włosach, bynajmniej nie zaniepokojona widokiem dwóch policjantów i umorusanej i potarganej dziewczyny.

– Pani to na pewno Lily. Kuzynka Sebastiana.

Lily nie rozumiała, o czym kobieta mówi. Przez wszystkie te lata, od urodzenia Sebastiana, ani ona, ani on, ani nikt inny nie nadał nazwy ich wzajemnej relacji. Kuzyni. A więc tak to było.

– Znaczy, że trafiliśmy pod właściwy adres? – dopomógł policjant.

– Tak – powiedziała młoda kobieta. – Ja jestem Jane, gosposia. Melissa Cary dzwoniła przed *chwilą* i wyjaśniła, co się stało. Zaszło nieporozumienie.

– Panna Teape sądziła, zdaje się, że na miejscu pożaru był niewidomy chłopiec, Sebastian.

– Nie, nie było go tam – Jane zwróciła się do Lily. – Jest tutaj, i to od dłuższego czasu. Proszę wejść, pomogę się pani osuszyć – powiedziała, otaczając ją ramieniem zapraszającym gestem.

– Wszystko już dobrze, panienko? – zapytał policjant, zanim się oddalił.

„Dobrze? – pomyślała Lily. – Czy wszystko dobrze? Kiedy po raz ostatni

wszystko było u mnie dobrze?".

– Szok – wyjaśnił policjant. – Ciepłe okrycie i gorąca, słodka herbata powinny załatwić sprawę.

Jane podziękowała, zamknęła drzwi i chciała zaprowadzić Lily do salonu.

– Gdzie jest Sebastian? – zapytała Lily.

– W swoim pokoju. Po przyjściu poszedł prosto tam. Ja jestem tutaj nowa. Ale pani wie o wszystkim. Spotkałam się z Sebastianem dziś rano przy śniadaniu, zaprowadziłyśmy go do szkoły razem z Melissą. Powiedziała, że trzeba postępować z nim oględnie, taktownie. Rozumiem, co przeżywa, bo mój ojciec też był przez długi czas bardzo chory. Więc kiedy wpadł do pokoju i zatrzasnął drzwi, pomyślałam, że lepiej zostawić go w spokoju.

Okazywano jej troskę i chciano pocieszyć – tyle tylko Lily z tego rozumiała. Powlokła się w stronę pokoju Sebastiana, weszła i zamknęła drzwi za sobą.

Nie zaskoczyło jej, że Sebastiana tam nie było. Nadal była przekonana, że zginął w pożarze. Koc zsunął się z jej ramion, kiedy pochyliła się machinalnie, aby pozbierać porzucane ubrania, co tyle razy robiła w przeszłości. Koszula, spodnie, ulubiony sweter z grubej wełny. Każdą rzecz przyciskała do twarzy, aż uprzętnęła wszystko i zaniósła do szafy. Otworzyła drzwi i tam, na samym dnie, obok wędki, wrotek, płetw i stosów wyrośniętych mundurków, ujrziała znękaną twarz Sebastiana.

Chłopiec przypadł do jej kolan, szlochając:

– Nic mnie nie obchodzi, czy mnie zabiorą... To nieważne. Ja musiałem, Lily. Ktoś musiał, a nikt nie chciał... Rozumiesz, prawda? – Lily osunęła się niżej, pociągając go za sobą, obejmując go bardzo, bardzo mocno, w milczeniu, pozwalając mu się wypłakać. – Tato by to zrobił, wiem o tym... ale teraz jestem przerażony... pomimo że ktoś musiał to zrobić.

Zmobilizowała resztki sił.

– Co takiego ktoś musiał zrobić?

– Pozbyć się go, usunąć go z naszego życia. On zmienił nas wszystkich, zrobił z nas kłamców... nawet z ciebie, Lily, i z Angeli. Obie kłamałyście ze względu na niego. Wiem o najróżniejszych sprawach. Kiedy pomagałem mu robić łóżko dla Grace, chełpił się swoimi wyczynami. Mówił, że zamierza odzyskać wszystko, co pan Little od niego kupił. Powiedział: „Taka nimfa o delikatnych rączkach jak Dennis nie będzie robić szumu”. Mówił, że się nie ośmieli. Słyszałem takie rzeczy i nadal uważałem, że to jest równy gość, i chciałem, żeby on też tak o mnie myślał. Byłem strasznym naiwniakiem. Mówił: „Nie bądź mięczakiem”, kiedy bałem się



spawać. Chciałem, żeby myślał, że jestem super. Skończony głupek ze mnie. Otumanił nas wszystkich, a potem zaczął na dodatek zawracać głowę mamie. Tylko dlatego, że była taka nieszczęśliwa z powodu taty. Mówił jej w kółko różne rzeczy, kadził, że wstyd powiedzieć. Mnie albo tatę wyśmiałyby, gdybyśmy próbowali wciskać jej taki kit. Ale nie jego. To był jego pomysł, żeby wysłać mnie do Ogródka. Przedstawił to tak rozsądnie, że inaczej wyszedłbym na samoluba. Po prostu chciał, żebym zszedł mu z drogi, aby mógł spokojnie skołować mamę. A ona mu na to pozwoliła – jego ciałem znów wstrząsnął szloch – tylko dlatego, że była nieszczęśliwa i oszukana, ale pozwoliła mu i zostałem wysłany do Ogródka razem z niechcianymi dziećmi Johnny'ego. Może nie? Może nie?! – krzyknął, potrząsając nią. – Ty o tym wiedziałaś i nie powiedziałaś. Nawet mnie. Wiedziałaś. Nienawidziłem cię za to, że ukryłaś jego dzieci i że mu pomagałaś.

– To nie było tak.

– Nie tak? – Oklapnął, wyczerpany. – Teraz chyba to rozumiem. Wszystko wygląda inaczej. W Ogródku nienawidziłem wszystkich... oprócz Carol.

– Jak się spotkaliście?

– Podeszła do mnie, pytając o Chloe i Damiana. Nie miała pojęcia, kim jestem, myślała, że jednym więcej niechcianym dzieckiem, tak jak cała reszta. Naprawdę się zaprzyjaźniliśmy.

Zaprowadziłem ją w nasze miejsce nad kanałem, a ona opowiedziała mi o Johnnym i o tym, jak cię znalazła przez pomyłkę. To wtedy przyłapali mnie na wagarach. Carol myśli, że nigdy nie odzyska swoich dzieci.

– Może je zabrać w każdej chwili.

Sebastian nie słuchał.

– Teraz zapłacił za wszystko, prawda? Za Carol, za Chloe i Damiana, za Grace i mamę, i Dennisa, i za mnie. Tylko że... O Boże, Lily, żałuję, że to zrobiłem. Dałbym wszystko, żeby to cofnąć. I zabiorą mnie, prawda? Zabiorą? – powtarzał, tłukąc głową o jej pierś.

– Nikt cię nie zabierze. Dlaczego mieliby cię zabrać?

– Bo wiedzą, że to ja zrobiłem.

– Co zrobiłeś?

– Pożar. Ja to zrobiłem. Ja go zabiłem. – Lily objęła go ciaśniej, kołysząc go bez słowa, wsłuchana w jego szeptaną litanie: – Musiałem... ktoś musiał... musiałem...

– Jak to się stało?

– On... pracował w głębokiej beczce... – zaczął Sebastian, prawie

niedosłyszalnie. – Potrzebował drabiny, żeby wejść i wyjść stamtąd. Udawałem, że chcę mu pomóc... Kompletny głupek, musiał sobie pomyśleć... Zebrałem wszystkie te tłuste szmaty i ułożyłem je w rzędzie na podłodze zalanej olejem, cały czas gadając jak najęty. Potem podpałem szmaty jego zapalniczką, wyciągnąłem drabinę od zewnątrz i poszedłem. On dalej trąbił coś na swój temat... jakąś historię, zawsze na swój temat... Lily? Co ja teraz zrobię? – Sebastian wpił palce w oczy tak mocno, że Lily oderwała je od jego twarzy. – Lily? – Przesuwał końcami palców po jej twarzy, czole, policzku, ustach. Wreszcie oparł ciężko ręce na jej ramionach, złożył głowę w zgięciu jej szyi i wymamrotał: – Pomóż mi. Tak bardzo chciałem, żeby nie żył. Myślałem, że będę szczęśliwy. Pomóż mi.

– On nie umarł, Sebastianie. Będzie zdrowy.

Chłopiec uniósł twarz, Lily miała teraz przed sobą jego pobrużdżone czoło. Grzbietem dłoni wymierzył sobie dwa mocne razy.

– Naprawdę? Zupełnie zdrowy?

– Tak mówili strażacy. Słyszałam to kilka razy. Naprawdę.

– Mimo wszystko mnie zamkną, prawda? W poprawczaku.

– Nie. Na pewno nie. Ale będą chcieli cię przesłuchać. Bądź na to przygotowany.

– A więc będę musiał im powiedzieć.

– Tak, będziesz musiał im powiedzieć, że poszedłeś się „odmeldować”, tak jak według twojej mamy powinno się zrobić. Nie twoja wina, jeśli coś zaczyna się palić po twoim wyjściu.

– Naprawdę tak uważasz?

Lily ujęła jego twarz w swoje ręce.

– Bardzo dzielny z ciebie chłopak, Sebastianie. Jestem dumna, że jesteś moim przyjacielem. A wiesz co? – dodała innym tonem. – Jesteśmy kuzynami. Przyszło ci to kiedyś do głowy?

– Jasne. To przecież, oczywiste, ptasi mózdzku.

– Dzięki, stara meduzo.

Stare, wypróbowane obelgi nie niosły tym razem zwykłej otuchy.

Rozległo się stukanie do drzwi. Sebastian chwycił się jej kurczowo.

– To oni. Dowiedzą się... i zabiorą mnie...

Drzwi się otworzyły. Kobieta, która wsunęła do środka głowę, oskubaną na kształt szarego czepka, wydawała się na pierwszy rzut oka nieznajoma.

– Można? Nie przeszkadzam? – Głos i sposób bycia były te same co zawsze.

– Wejść, Grace.

Grace miała na sobie buty na płaskim obcasie, podkolanówki, prostą, czarną spódnicę i luźną białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Była w tym wszystkim niezamierzona elegancja.

– Melissa dzwoniła do mnie. Jak się czujesz, Lily?

– Świetnie. To wszystko nieporozumienie. Moja wina.

– Och, to dobrze – powiedziała Grace, kwitując tym bezapelacyjnie sprawę. Obrzuciła wzrokiem tych dwoje, upewniając się, że kryje się za tym wszystkim coś więcej, o czym może nigdy się nie dowie.

– Johnny jest w szpitalu – powiedziała Lily.

– Tak, biedny chłopiec. Czy ktoś chciałby filiżankę herbaty?

W końcu to Lily zrobiła herbatę. Kiedy wróciła do pokoju, z tacą w rękach, otwierając drzwi kolaniem, uderzył ją wygląd dwóch twarzy, które zwróciły się w jej stronę, gdy wchodziła. Znała je, znała je bardzo dobrze, ale jak bardzo się zmieniły.

Twarz Sebastiana nie była już tą samą co pięć miesięcy czy nawet trzy tygodnie wcześniej. Już nie biło z niej niezłomne przekonanie, że życie potoczy się tak, jak sobie tego życzy. Twarz Grace, odsłonięta, bez makijażu, szczerze ujawniała ciężką próbę, którą przechodziła. Ale była to próba innego rodzaju niż dotychczas, próba pogodzenia się z rzeczywistością, i Grace miała się z tym z czasem uporać.

– Czy wiesz, co Sebastian mi powiedział? – zapytała Grace, podnosząc się, aby przejąć od Lily tacę. – Wyobraź sobie, że spotkał Carol. Zaprzyjaźnili się.

– Lily wie. Powiedziałem jej. Ale ona wiedziała przez cały czas, prawda? I nie powiedziała.

Jak długo pozostanie w nim ten żal? Lily była zbyt wyczerpana, żeby się nad tym zastanawiać. Nie odezwała się. Nie było nic więcej do powiedzenia.

– Lily nie chciała mnie zranić – podsunęła Grace. – Chyba to rozumiesz, prawda? Teraz posłuchaj, ty i ja mamy zadanie. Musimy odnaleźć Carol.

– Ona jest tam każdego dnia.

– Nikt oprócz ciebie jej ostatnio nie widział. Czy mógłbyś z nią porozmawiać, przyprowadzić ją do nas, żebyśmy mogli pomóc jej stanąć znowu na nogi? Bo Lily nie będzie mogła tu zostać, żeby nam pomóc. Tata zostaje w La Pieta i Lily wraca do niego.

– Która godzina? Spóźniłem się z telefonem. Szybko! – Sebastian zerwał się szybko. Poszły za nim przez salon, przyglądały się, jak wyszukuje po omacku trzynaście cyfr i czeka, z uniesioną głową, skoncentrowany, przywołując spokój.

– Tato? Cześć, to ja. Co u ciebie?... Dobrze. U mnie super, też, naprawdę

ekstra. Co... Och, nic specjalnego. Lily odebrała mnie ze szkoły w południe. Wiesz, jak zawsze w środę.

## Epilog

Towarzyszu moich myśli, mojego serca, dopóki żyłeś, nie byłam samotna. Teraz cię nie ma.

Od mojego powrotu do La Pieta dane nam było przeżyć wspólnie dziewięć miesięcy i sześć dni. Znalazłam cię w ogrodzie. Siedziałeś pod tą samą oliwką, pod którą w tej chwili siedzi Grace, zwrócony do mnie plecami, w wystrzępionym, słomkowym kapeluszu, który teraz ja noszę. Przypominałeś człowieka-wahadło: twoje ręce odgrywały jakąś własną, błazeńską farsę, podczas gdy reszta twojego ciała pozostawała sztywno wyprostowana. Twój umysł zachowywał godność, i tak było aż do końca. Stałam za tobą i zasłoniłam ci oczy. „Zgadnij, kto?”. „Nie zostawiaj mnie więcej, Lily” – powiedziałaś. Nie zostawiłam cię. Próbowałam dzielić twój ból, twoją przechodzącą ludzką wytrzymałość bezsenność. Ale nie wytrzymałam, prawda? Ty musiałeś – nie miałeś wyboru. Senność obezwładniała mnie. Bez względu na to, jak bardzo kochamy, nasze współuczestnictwo zawsze ma swoje granice, reszta to pierwsza osoba liczby pojedynczej.

Chciałabym, żeby w mojej pamięci pozostały tylko sceny przesycone słońcem i dni, kiedy objawy twojej choroby znikwały tak całkowicie, że dawaliśmy się uwieść szalonej nadziei. Sebastian pojawiał się tu od czasu do czasu, ze swoją medycyną spokoju i poczucia humoru. Był o wiele mniej przerażony ode mnie. Tak samo Grace, nowa Grace, cicha, wzruszająco opanowana.

Urządzaliśmy pikniki przy strumieniu, spacerowaliśmy cyprysową aleją, spędzaliśmy czas w ogrodzie z zakupionym w tym celu teleskopem, kierując go na okoliczne wzgórza – przedsmak nieskończoności.

Nie mogę jednak zapomnieć ciemności, umierania mojej nadziei, gdyż jedyną odpowiedzią na każdą z gorączkowych modlitw był nowy rodzaj męczarni. Pytam cię: jeżeli Bóg jest dobrotliwy, jak może pozwolić, żeby jego własne stworzenie było tak absurdalne w swojej agonii? Niech ześle mu ból, jeśli ma jakiś niepojęty powód, niech odbierze mu sen, pozbawi go zdrowych zmysłów. Ale ta pantomima członków – czy musieliśmy mieć również i to?

Przez cały czas była z nami ta inna rzeczywistość, którą po raz pierwszy spotkałam w pociągu do Szkocji. Zabierała twój umysł w podróż na długo przedtem, zanim zagarnęła twoją cielesną powłokę. Odchodziłeś tak daleko i tak głęboko, że żaden dotyk, żaden głos ani lek nie był cię w stanie przywołać, dopóki

sam nie zdecydowałeś się powrócić. „Gdzie byłeś, Oliver? Co tam widzisz?”. Nie próbowałeś już odpowiadać, ale w twoich oczach było zdumienie. Cokolwiek działo się wtedy z nami, ja także byłam w cieniu tego czegoś, ale pozostawałam na zewnątrz.

Nigdy nie utraciłeś wiary, prawda? Uzbrojony w pytania, krążyłeś, ścigając Boga, aby uzyskać odpowiedź. Im bardziej zapamiętałeś szukałeś, tym, bardziej On był nieobecny. Kosmiczne zero. Robiłeś najazdy na jego kryjówki. Opuszczaliśmy La Pietą tylko po to, żeby odwiedzać Jego domy. Ze wszystkich ołtarzy, przy których wygłaszałeś swoje tyrady, został mi w pamięci ten z Volterry.

Jak zawsze towarzyszył nam Carlo. Dla mnie samej byłeś zbyt silny. Był luty i toskańska ziemia czochrała się o monotonne sklepienie niskich chmur. Przed kościołem nie było nikogo, budynki na uroczym placu miały zatrzaśnięte okiennice – sjęsty przestrzegano w zimie tak samo, jak w lecie. Katedra była przepiękna – tyle energii i wiary w jednym budynku. Czy budowniczych nigdy nie dotknął żaden cios, tak jak mnie? Czy nie było żon, synów, córek, rodziców, czy cierpienie kogoś bliskiego nie popchnęło żadnego z nich do tego, by rzucić narzędzia i powiedzieć: „Do diabła z twoją chwałą”.

Carlo i ja pomogliśmy ci wejść na schody. Mówiłeś przez cały czas. Czy powiedziałam ci kiedykolwiek, jak bardzo kochałam twoje ręce, sposób, w jaki twoje dłonie potrafiły opowiadać? Obwarowaliśmy cię murem naszej siły, ściągając w dół krnąbrne ramiona, twoje nogi unosiły się powoli, stawiając kolejne kroki: raz, raz, raz. Nawet wówczas byłeś dla mnie wszystkim, co męskie. Druga połowa mojego gatunku nie reprezentuje niczego, czego byś mi nie dał: od naszego pierwszego spotkania do ostatniego z naszych gasnących pożegnań.

Wewnątrz światło dnia sączące się przez alabastrowe okna przybrało barwę popiołu, powietrze było ciężkie po wczorajszej mszy. Wybacz mi, kochany. Nigdy nie miałam tego respektu co ty. Ty byłeś w stanie ogarnąć każdą wiarę, widziałeś ją na przestrzał, dostrzegając jej sedno. Twój szacunek dla różnych dróg wiary pozwalał ci iść z miłością poprzez świat. W kościele były tylko dwie czy trzy osoby: same kobiety, stare, ubrane na czarno. Dlaczego nie widzi się młodych ludzi, niosących dumnie swoją żałobę? Muszą przecież gdzieś być. Oni też są pogrążeni w smutku. Cóż, teraz jestem ja.

Gdy tylko znaleźliśmy się w kościele, odepchnąłeś Carla i mnie i ruszyłeś przed siebie pomiędzy masywnymi kolumnami swoim chwiejnym, ciężkim krokiem, wymachując rękami jak skrzydłami wiatraka. Urywki modlitw, unoszące się w powietrzu, ucichły jak nożem uciał, oczy śledziły cię, gdy ciskałeś w stronę ołtarza

swoje błagania. Bez zbędnych ceregieli, nie zatrzymując się, by przykleknąć i przeżegnać się, poszedłeś prosto do ołtarza, wymachując, wciąż wymachując rękami, młóćąc pięściami o brokat w kolorze krwi. „*Dio, Dio, dov'e la tua pieta ora?*”. Tak, mogłeś się rzeczywiście zastanawiać, gdzie Bóg ukrył swoją litość.

Czekałeś, z głową odrzuconą do tyłu, ze wzrokiem utkwionym w górze. Osunąłeś się na kolana. Myślę, że potem chciałeś się po prostu podnieść i wyjść, ale twoje nieobliczalne ręce chwyciły kapeć, ściągając ją na dół razem ze świecznikami. Oburzony, święty kamień budynku zwielokrotnił łoskot i szcęk. Podeszliśmy, żeby cię podnieść, nie wiadomo skąd wybiegł ksiądz wraz z innym ludźmi. „*Vogliate scusarci. E una persona malata*” – przeprosił natychmiast Carlo, a ja miałam nadzieję, że pomogą nam ciebie podnieść.

Ale nie. „*Si, e facile capire che e un uomo malato. Potatelo via, perpiacere*”. Tak, widzimy, że jest chory. Ale w ich słowach był sarkazm. „Proszę go stąd zabrać” – powiedzieli, badając, czy coś nie uległo uszkodzeniu przy upadku. Myśleli, że jesteś pijany, mój kochany.

To był ostatni z domów bożych, który odwiedziłeś. Nie zastałeś nikogo. Myślę, że potem szukałeś Go w swoim wnętrzu. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego mówiłeś po włosku, zwracając się do Boga w tych wszystkich kościołach, jak gdyby miał On swoją narodowość i należało to uszanować.

Potem była ta noc bez końca, kiedy siedzieliśmy z Carlem, słuchając, jak z twoich ust wydobywają się najbardziej osobliwe dźwięki. Carlo myślał, że mówisz językami. Zapytałam cię o to rano, przy kominku, w jednej z tych bezpiecznych chwil, kiedy znów odzyskiwałeś swoje ciało na kilka godzin.

Siedziałam przy tobie, oparta o twoje kolana. Pamiętasz? Ja pamiętam. Dotyk twojej ręki, gładzącej moje włosy. Poranki były zawsze najlepsze. „To nie języki, Lily – powiedziałaś. – Próbowałem przypomnieć sobie fulfulde. W Afryce najbliżsi ze wszystkich byli mi ludzie z plemienia Bororo. Wspaniali ludzie. Fulfulde to ich język. Oni nie szli do miast, kiedy deszcz nie pojawiał się rok po roku, byli na to zbyt dumni. Ich cierpienie było potworne. Nigdy nie czułem się bliżej Boga niż pośród nich. Wydaje mi się, że próbuję odnaleźć drogę powrotną”.

„Wyjechałem do Afryki” – słowa, których nigdy nie zobaczyłam. A jednak zrobiłeś to. To, czego zawsze tak się obawiałam, prawda?

Kiedy mój brzuch zaczął być widoczny dla wszystkich, Grace objęła mnie i powiedziała tylko: „Czy życie nie jest przedziwne, hojne i dobre? Jestem szczęśliwsza, niż sobie wyobrażasz”.

Nie miałam pojęcia, jak powiedzieć o tym Sebastianowi. Byłam pewna, że

jeszcze bardziej skomplikuje to jego świat, nadwątlili i tak już kruche nitki jego zaufania. Kiedy znajdowałam się blisko niego, zaczęłam ustawiać się inaczej, żeby nie wyczuł moich zmieniających się kształtów. Były to ryzykowne manewry, gdyż fizyczna bliskość stanowiła zawsze część naszej wzajemnej relacji, nie mniejszą jak słowa, a może i większą. Akceptował to przez kilka dni, gdy zmieniałam położenie jego rąk, kierując je w stronę mniej charakterystycznych rejonów ciała, ilekroć oglądaliśmy razem telewizję lub słuchaliśmy zabawnego radyjka Sony, na którym Sebastian potrafił złapać każdą, nawet zagraniczną stację. Ta sytuacja mi ciążyła, jemu najwyraźniej również, bo kiedy stałam u szczytu kamiennych schodów, podkraść się do mnie z tyłu i otoczył mnie rękami w pasie, badając kształt mojego brzucha. To był dopiero szósty miesiąc, ale kształt pod sukienką był zupełnie wyraźny. Stałam nieruchomo.

– Lily? – zaczął powoli, oskarżycielskim tonem.

– Co?

– Twój brzuch jest bardzo duży.

– Wiem o tym.

– To jest dziecko, prawda?

– Tak? Masz coś przeciwko temu?

– Czy to będzie mój brat?

– Albo siostra, tak.

Zszedł po schodach na dół, piastując przez chwilę tę nowinę, po czym trzasnął pięścią w otwartą dłoń, mówiąc do siebie. – Szel... ma. Brat. Ale czadowo.

– Sebastian! – zawołałam w dół schodów, w stronę jego pleców.

– Mów, śmierdzioszku.

– To może być siostra.

Odwrócił się.

– Chyba można nauczyć dziewczynę łowić ryby, co?

Anna, z właściwą jej kurtuazją, po prostu awansowała mnie z signoriny na signorę.

Często zastanawiam się, które z naszych uniesień, które miłosne zbliżenie dało początek temu dziecku. Grace i Anna mówią, że przyniesie mi ono radość, i wierzę, że tak będzie, ale w tej chwili mój smutek wyklucza taką możliwość. Kiedy wykonuje jeden z tych dalekich, głębinyowych rzutów w moim wnętrzu, chociaż jest tuż i ledwie centymetry oddzielają je od zewnętrznego świata, wciąż wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że moje dziecko istnieje gdzieś na dalekich rubieżach wszechświata. Ale ono jest tutaj, Oliver, nasze dziecko. Na przekór śmierci,



prawda?

Nigdy o nim nie wspominałeś, pewnie dlatego, że znajdowało się na zbyt odległym szlaku – w drodze na świat, gdy ty byłeś w drodze ze świata. Nie miałeś czasu związać się z nowym życiem. Ale kochałam te chwile, gdy kładłeś ręce, gdy przytulałeś głowę tam, gdzie ono kołysało się w moim wnętrzu.

Na dzień przed śmiercią myśleliśmy, że straciłeś wzrok. Sebastian był w Londynie, Grace także, ferie wielkanocne jeszcze się nie rozpoczęły. Było popołudnie. Zostawiliśmy cię, śpiącego spokojnie jednym z twoich rzadkich snów. Jaka wdzięczna byłam za te chwile, jak dziękowałam Bogu. I ja śmiem twierdzić, że nie wierzę? Po dwóch godzinach usłyszeliśmy krzyki dochodzące z twojego pokoju. Kiedy weszliśmy tam, trzymałeś nad głową krzesło, potrząsając nim i mówiąc: „Czym jesteś? Nie poznaję”, „Cisnąłeś je, aż roztrzaskało się o podłogę. Spojrzałeś mi w twarz i nie poznałeś mnie. To była samotność. Wtedy zrozumiałam, jaki będzie koniec. Wcisnąłeś palce w oczy, krzycząc: „Nic nie widzę, chcę znowu widzieć!”. Oderwałam te ręce, poszukałam wzrokiem twoich oczu. Widziałeś, ale nie rozumiałeś. Żaden obiekt nie był znany ani swojski. Byłeś zagubiony na ziemi. „Chcę światła. Dobry Boże, daj mi światło. *Ho bisogno di luce!*” – ryknąłeś z przerażającą siłą.

Przynieśliśmy z Carlem lampy stołowe, lampy stojące, latarki, ale ty wciąż błagałeś: „*Piii luce, piii luce*”. Nic nie widzę, Lily.

Anna chwyciła mnie za ramię. – *Ginestra, ginestra.*

– Co? O czym ty mówisz?

– Idziemy. Carlo zostanie z dottore.

Zaprowadziła mnie na wzgórze, zabierając ze sobą płócienne prześcieradła i nożyce. Nie miałam pojęcia, dlaczego odciąga mnie tak daleko od ciebie, ale ona wciąż powtarzała „Tak, światło. Damy mu piękne światło”.

Wysoko na wzgórzu pokutnym rozłożyła swoje prześcieradła i schyliła się, puszczając w ruch nożyce. Nareszcie zrozumiałam.

Zgromadziłyśmy góry ginestry, dzikiego janowca. Rzucaliśmy na stos i wiązały w prześcieradła gałęzie obsypane świetlistym kwieciami, w którego żółtej barwie skąpane były wzgórza.

Zataszczyłyśmy nasze naręcza do La Pieta. Elektryczne światła zostały zgaszone, wypełniliśmy twój pokój ginestra, żółtą ginestra: jasną, ciemną, złotą, aż powietrze rozjarzyło się jej blaskiem. „Tak – wyszeptaleś – tak jest lepiej. Widzę, rozumiem”. Położyłeś się i znów zapadłeś w łagodny sen, otoczony samoistną poświatą.

Jak dobrze się czułeś po przebudzeniu i później, w ciągu dnia. Poszliśmy nawet na spacer, szliśmy wolniutko cyprysową aleją, potem odpoczywaliśmy w kamiennej altance. Pamiętasz?

Cudowne popołudnie, łagodne, delikatne, i ty, spokojny, przy kominku. „Jedna minutka – powiedziałam. – Małe pielenie i zaraz potem wypijemy herbatę”. Uśmiechnąłeś się. Zastanawiam się, co się wydarzyło, kiedy wyszłam. Czy wyruszyłeś w jedną ze swoich podróży, jedną z tych długich nieobecności, do których tak przywykliśmy? I w pół drogi usłyszałeś wezwanie lub z własnej inicjatywy wróciłeś do swojego pokonanego ciała i zgasiłś wartowniczą latarnię?

Wiem, że ty też cierpisz z powodu naszego rozstania. To niemożliwe, żeby tylko ci, którzy pozostają, odczuwali ból rozłąki. Ale podejrzewam, że tym, co cię boli najbardziej, co opóźnia twoje odejście, trzyma cię blisko mnie – a wiem, że tu jesteś – jest mój smutek. On ściąga cię tu z powrotem, nie pozwala ci się uwolnić. Prawie jakbyś mówił: „Nie mogę cię tak zostawić”. Ale gdybym choć przez sekundę mogła usłyszeć coś tak cielesnego jak twój głos, wyłupiłabym sobie oczy, żeby móc słyszeć go znowu i znowu. Oto jak samolubna jest moja miłość do ciebie. Wybacz mi. Wiem, że musisz odejść, że tego chcesz.

Będę się starać najlepiej, jak potrafię. Będę żyć dalej, troszczyć się o naszych bliskich: o Sebastiana, Melisę, Grace i o naszego przybysza. Będę przy nich, kiedy będą mnie potrzebować. Policja tylko raz przesłuchiwała Sebastiana w sprawie pożaru. Garaż nie był ubezpieczony, żadne pieniądze nie były tam zaangażowane, nie istniał więc żaden widoczny powód do podpalenia. Kiedy zapytali go, czy budynek zaczął się palić, zanim wyszedł, odpowiedział: „Nie widziałem”. I tak odebrał swoją pierwszą gorzką lekcję kłamstwa przyprawionego prawdą. Zabolalo go to, ale jest silny i odważny, więc sobie z tym poradzi. Melisę chroni jej praca. Nie mam pewności co do Grace. Czasem zastanawiam się, czy ta inna kobieta, którą widzimy, nie jest tą samą, którą znamy od dawna, grającą teraz swoją największą rolę – rolę realistki. Zdarza mi się zobaczyć ją, jak siedzi, a jej oczy utkwione są gdzieś poza światłami rampy tego świata, wypatrując – jak sobie wyobrażam – czyjeś twarzy, w nadziei że znajomy głos zawoła ją, że ktoś zerwie jej maskę realizmu i sprawi, że to co jest, stanie się takie, o jakim marzyła.

– Signora, proszę. On czeka. Dalej czeka.

– Przepraszam cię, Anno. Byłam o mile stąd. Kto? Kto czeka?

– Ten Cochrane. – Kolejny tytuł, nadany przez Annę. Od czasu jego wyjazdu poprzedniego lata wyrażała się o nim z ukrytym lekceważeniem wyłącznie jako o „tym Cochrane”.

U góry schodów coś się poruszyło. Lily odwróciła się, ale nie dostrzegła nikogo, tylko zamykające się oszklone drzwi. Poszła przez ogród w stronę willi, przystając, aby się upewnić, że Grace nadal siedzi pod tą samą oliwką. Unosiła właśnie ręce, trzymając je daleko od siebie – gestem, jakim dalekowidze nawlekają igłę.

Jak zawsze, kiedy wchodziła w półmrok długiego pokoju, przez chwilę nic nie widziała. Zaledwie kilka tygodni wcześniej ruszyłaby przed siebie na oślep, nie czekając, aż oczy się przyzwyczają, podeszłaby do kanapy, na której leżał, mówiąc: „Sadzonki herbaty trochę podeschły, dzikie różyczki trzymają się nieźle, a piżmaczki wybujały i pachną cudownie. Proszę, ten jest dla ciebie”.

Tym razem poczekała, aż oślepienie minie, ale mimo to nigdzie nie mogła dostrzec Johnny'ego Cochrane'a.

– Cześć, dziewczyno. – Jego głos doszedł ją z drugiego końca pokoju. Stał przy oknie, padające z tyłu, ostrzejsze, północne światło zacierało szczegóły. Był tylko bryłą cienia.

– Czego chcesz?

– Mojej Gracie.

– Ona ciebie nie chce.

– Czyżby? Tak powiedziała?

Nie, Grace nigdy tego nie powiedziała.

– Ona już nie jest „twoją Gracie”. Jest inna. Zmieniła się.

– Ty też się zmieniłaś. „Na ostatnich nogach”, prawda? Tak, tak, świętoszko. Ty i drogi Olly, tak? Domyśliłem się tego. Zawsze można liczyć na Angielkę, że pokocha kalekę.

– Wynoś się. Szkoda było drogi.

– Obserwowałem was obie. Ty kopałaś, ona szyla. Nigdy przedtem nie szyla, moja maleńka dama.

– Jest tak, jak powiedziałam: zmieniła się.

– Kiedy z nią porozmawiam, rzuci te robótki. Kiedy powiem jej to wszystko, czego lubi słuchać, kiedy oprę jej głowę na swoim ramieniu, dotknę jej włosów, tak jak tylko ja potrafię. Nie masz pojęcia, Lily, nie wiesz połowy z tego, co dzieje się pomiędzy mężem i żoną.

Była to prawda. Lily wiedziała, że małżonków spowija jakaś niezniszczalna tajemnica. Niezależnie od tego, co dociera do uszu postronnych, od wszelkich ukrytych czy ujawnionych grzechów, oni zawsze należą do siebie w jakimś nadrzędnym sam na sam. A Grace była żoną Johnny'ego pod każdym względem, z

wyjątkiem prawa.

– To już rok, Johnny. Zapomniała o tobie.

– O nie, nie zapomniała, i dlatego nie chcesz, żebym się z nią zobaczył. – Cochrane wciąż był czarnym konturem na tle okna, nie próbował podejść bliżej. – Wszystko, co muszę zrobić, to wyjść z tego pokoju, zejść na dół. Nie spojrzała w moją stronę, kiedy przechodziłem. Myślała, że to ty albo ta Anna. I oto nagle zjawiam się przy niej i moje ramiona ją otaczają.

Podszedł bliżej, żeby mogła zobaczyć. Wzdłuż szyi i całej prawej strony jego twarzy ciągnęło się pasmo nienaturalnie gładkiej, pozbawionej porów skóry, tu i ówdzie naznaczonej martwym fioletem. Po prawej stronie każdy rys, paskudnie zniekształcony, był karykaturą przystojnej, lewej strony twarzy, która pozostała niezmienną.

– Jak sądzisz, Lii, czy mnie przyjmie? Czy zdołam ją nakręcić tak jak kiedyś?

Lily oparła się o sofę. Cochrane podszedł, chcąc usiąść na drugiej, na której wciąż leżał szkocki pled, teraz złożony, bezużyteczny.

– Nie siadaj tam! – krzyknęła mimowolnie. – Nie tam – dodała łagodniej. – To jest wygodniejsze – wskazała na fotel z twardym oparciem. Johnny stał nadal. – Nie sądziłam, że jest aż tak... źle. Melissa nic mi nie mówiła.

– Melissa. Melissa. Nie wyjeżdżaj mi tu z Melissą. W ogóle nie pojawiła się w szpitalu. Poszedłem do niej, kiedy mi zdjęli bandaż, ale nawet na mnie nie spojrzała. Życzyła mi szczęścia, ale nie spojrzała na mnie.

– Po co przyszedłeś?

– Powiedziałem ci już. Gracie mnie kochała i nadal kocha, idę o zakład. Potrafię znów ją zrobić, wiem o tym.

Lily nie wiedziała, co powiedzieć, bo czy poprzez wszystkie łzy i żalobę, poprzez cały zamęt ich życia, nie czuła zawsze w głębi ducha, że tak właśnie jest: że Grace kochała Johnny'ego i prawdopodobnie wciąż kocha?

– Witaj, Johnno.

Grace weszła tak cicho, że żadne z nich jej nie zauważyło. Lily ukryła twarz w dłoniach i kiedy je opuściła, zobaczyła, że Cochrane wycofuje się z powrotem tam, gdzie światło pomogłoby mu ukryć jego wygląd.

– Nie musisz chować twojej biednej twarzy, Johnno. Zdążyłam ją zobaczyć.

Wzruszył ramionami.

– Witaj, kochanie. Minęło trochę czasu.

Grace położyła kapelusz na stole, podeszła nieco bliżej i zatrzymała się. Nikła, siwa, z twarzą, którą ożywiały tylko błękit oczu, wyglądała na więcej lat, niż miała, i

wiedziała o tym. Stała tak, pozwalając mu patrzeć na siebie, dopóki nie odwrócił wzroku. Co było dla niego bardziej przykre: jej widok czy to, że ona widzi jego?

– A więc przyszedłeś, żeby znów mnie „urobić”, tak?

– To nie jest tak, Gracie. Chciałem cię znów zobaczyć. Tyle między nami było, między tobą i mną.

– Naprawdę? – zapytała bez cynizmu, niemal prosząc o przypomnienie.

– Ależ tak. Wiesz o tym. Nie istnieje dla mnie nikt oprócz ciebie.

– Mój biedny Johno.

– Jestem samotny, Gracie, a nie jestem w tym dobry. Nikt już nie kupuje moich rzeczy, a nie mam serca robić nowych. Trzymałem się z daleka tak długo, jak się dało, żeby biedna gęba się wygoiła. Ale tęsknię za tobą, dziewczyno. – Wyciągnął do niej rękę. Nie poruszyła się. – Przyjmij mnie z powrotem, kochanie. Pamiętasz, jak było? Wszystkie dobre chwile? Były takie, laleczko. Pomyśl o tym. – Dotknął jej policzka. Stała sztywna, nieruchoma. – To nie jesteś ty – powiedział, wskazując ruchem brody jej włosy. – Potrafię odnaleźć Gracie, którą znam. – Druga ręka znalazła się na jej szyi. – Ona jest tam i czeka na mnie, tak jak zawsze. – Kąciki jej ust drżały.

Z ogrodu dobiegło pogwizdywanie, które zmieniło się w piosenkę.

– *My bonny lies over the ocean, my bonny lies over the sea...* – rozległo się na schodach. – *My bonny lies over...* – zabrzmiało pod drzwiami, które zaraz się otworzyły. – Patrzcie ludzie, dwa pstrągi. Super, co? – Sebastian podniósł ryby wysoko, po czym upuścił je na stół, nieświadomy, że wpadły do kapelusza Grace. – Kto tu jest, Lily?

– Grace i...

– Witaj, synku.

– Johnny – wyszeptał Sebastian.

– We własnej osobie. Co tu robisz? Znów letnie wakacje? O rety, jak ten czas leci.

– Prze... przerwa semestralna. A ty?

Ręka Cochrane'a, teraz pewna siebie, obejmowała ramię Grace. Palce gładziły jej szyję. Grace oddychała z trudem, jej oczy były zamknięte.

– Wróciłem, synku. Powrót tułacza i tak dalej.

– Czy to prawda, Grace? – Sebastian zrobił krok w kierunku ciotki.

Grace patrzyła teraz na Cochrane'a, jej ręka zbliżała się do jego zniekształconej twarzy, jak gdyby zmuszając się, żeby jej dotknąć. Nie odpowiedziała.

– Lily? – zawołał Sebastian z obawą w głosie. – Więc to prawda? On wrócił?

– Nie wiem – powiedziała Lily.

– Skoro już tu jesteś, Sebastian, chciałbym zadać ci jedno pytanie – zaczął Cochrane. – Sebastian przysunął się bliżej do Lily. – Tego dnia, kiedy przyszedłeś mnie odwiedzić...

– Co takiego? – Sebastian chował się za kanapą, jego ręka szukała ręki Lily.

– Widzisz, nie mogę sobie jakoś przypomnieć, żebyś powiedział „do widzenia”. Mam wrażenie, że sobie po prostu poszedłeś. Czy możesz mi wyjaśnić dlaczego?

– Pewnie mnie nie słyszałeś w tej beczce.

– Widzisz, synku, kiedy patrzę w lustro i widzę, jak ten Johnny numer dwa patrzy na mnie, jakiś głos mówi mi: „To drogi mały Sebastian tak cię urządził”.

– Jak?

– A, prawda. Słusznie. Ty mnie przecież nie widzisz, co? Szczęściarz z ciebie.

Sebastian pociągnął Lily za rękę.

– Czy on jest inny? Czy coś mu się stało? Mówiłaś mi, że wyzdrowieje. W jaki sposób się zmienił? Niech ktoś mi powie, proszę! Grace? Grace? – Jego głowa była opuszczona, ręce chwytaly powietrze.

Odpychając rękę Cochrane'a, Grace podeszła szybko do Sebastiana, przykucnęła, wzięła go za rękę uspokajającym gestem.

– Nie, kochanie, nie jest inny. Nie ma w nim nic, czego nie było przedtem. Po prostu teraz możemy to wszyscy zobaczyć. – Podniosła się. – Pora iść, Johno.

– Nie mówisz poważnie, Gracie. Jesteśmy tylko my dwoje, ty i ja, tak jak zawsze, od tamtej, pierwszej nocy. Ja się tylko przekomarzałem się z Sebastianem. Prawda, synku? Zawsze byliśmy dobrymi kumplami, nie? Pamiętasz bejsbolowe buty? Co się z nimi stało? To o to chodzi, prawda? – powiedział, wskazując na groteskową bliznę. – Już ci się twój Johno nie podoba.

– Och Johno, gdyby tylko o to chodziło.

– Myślałem, że mnie kochałaś.

– Kochałam.

– Byłem ciebie pewny, dziewczyno. Czekałem tylko, bo chciałem wyglądać lepiej dla mojej małej damy. Chryste, Gracie, nie mam nic, nie mam dokąd pójść, nie mam nikogo, kto...

– Tak mi przykro, Johno. – Nie chłodno, ale zdecydowanie.

– Cóż, w takim razie...

– W takim razie co?

– Kiedyś obiecałaś mi pieniądze.

Lily aż się zachłysnęła z obrzydzenia. Grace była ubawiona.

– Masz rację, obiecałam. I słowo się rzekło.

– Grace, nie możesz! – wybuchnęła Lily.

– Ale widzisz, już to właściwie zrobiłam. Kupiłam twojej żonie małe mieszkanie. Pomyślałam, że tak będzie najlepiej. Jakies zabezpieczenie dla twoich dzieci. Gdybyś jej szukał, to Carol pracuje teraz w Ogródku.

– Chcę tylko ciebie. Kocham cię, dziewczyno, zawsze cię kochałem. I tak, jak powiedziałaś, ty też mnie kochałaś. Chodź, Gracie.

– Ta pani już nie istnieje, ale wiesz co? Możesz zabrać swój samochód. Chcesz? Stoi w garażu.

Wieczorem zasiedli przy świecach w chłodzie loggii: Sebastian u szczytu stołu, Lily i Grace obok siebie po jednej stronie. Stół był już uprzątnięty po kolacji. Przed nimi stało teraz wymyślne radio Sebastiana, prezent od Olivera. Wybierając odpowiednie przyciski, Sebastian wyczarowywał i słuchał z natężoną uwagą najróżniejszych zagranicznych stacji: „Mówi Polskie Radio Warszawa”, „Tu głos Demokratycznej Republiki Somalii”, „Słuchają państwo wiadomości zagranicznych Radia Malediwy nadawanych z Małe”.

Jednak tego wieczoru wybrali wiadomości ze świata BBC. Sebastian nastawił stację, dostroił, wyłączył radio i czekał, co chwila sprawdzając palcami czas na swoim zegarku.

Lily siedziała, z ręką przerzuconą przez oparcie krzesła, wpatrując się w oleiste niebo. Gdzieś w dali zaszczekał pies, inny, bliżej, mu zawtórował, kobiecy głos zatrajkotał po włosku niczym karabin maszynowy, męski mu odpowiedział, trzasnęły drzwi, u stóp wzgórza zawarczał motocykl, wszystkie te dźwięki, zmieszane, stłumione, były zamknięte w gorącym pudełku nocy.

– Kiedy dorosnę... – Sebastian z zadartą głową kontemlował jakąś wizję – chcę być dziennikarzem, jak mama. I będę jeździł po całym świecie, tak jak kiedyś tata. Zamiast fotografować jak on, będę opisywał wszystko, co zobaczę, wszystko to, czego inni ludzie nie widzą... – Zanim Lily i Grace zdążyły cokolwiek powiedzieć, Sebastian zawołał z pośpiechem: – Hej, pora zaczynać. – Rozległ się trzask wyładowania. Wszyscy troje usadowili się wygodniej, opierając się na łokciach, skupieni wokół radia, z pochylonymi głowami.

Męski głos rozpoczął:

– W pierwszym odcinku z serii „Kobiety naszych czasów”...

– To ta – powiedział Sebastian głośnym szeptem. – Mamy dobrą stację.

– Óóóó.

– ...jest dzisiaj z nami Melissa Cary. Z pewnością nie ma w Wielkiej Brytanii

ani jednego domu, gdzie nie znano by tego nazwiska, które stało się synonimem współczucia dla chorych, upośledzonych i dotkniętych ubóstwem dzieci.

W ciągu zaledwie jednego roku Melissa Cary zgromadziła sumę siedemnastu milionów funtów dla organizacji charytatywnej „Cierpienie dzieci”, którą sama założyła. Imponujące osiągnięcie.

„Pani Cary, może byśmy zaczęli od końca? Ma pani za sobą rok niezwykle wyťažonej pracy, w czasie którego zademonstrowała pani to, co większość z nas uważa za nadludzką energię, biorąc pod uwagę setki wystąpień, konferencji i wywiadów. Co dalej?”.

„Dalej? Nic. Biorę trochę wolnego, żeby pobyć z moim synem...”.

– To o mnie. Mówi o mnie.

„...jedziemy na ryby...”.

– To prawda. Jedziemy do Norwegii. Na łososie. Bomba, co?

„Spotkała się pani z ostrą krytyką, gdyż pieniądze, które pani zgromadziła, przeznaczone są wyłącznie dla dzieci z Wielkiej Brytanii. Skąd taka decyzja?”.

„Nie sztuka sięgnąć do portfela, żeby wesprzeć tych, którzy cierpią gdzieś daleko, zrobić swoje, zapłacić i zapomnieć. Zbyt łatwo jest zamknąć oczy na to, co dzieje się tuż pod naszym nosem. Myślę, że ten rok otworzył nam wszystkim oczy na cierpienie i nędzę, które są tutaj, wokół nas. Jeśli ktoś nie może ofiarować pieniędzy, zawsze pozostaje najcenniejszy dar: własny czas. Ja ofiarowałam swój i nadal będę to robić”.

Sunąc dłońmi po stole, Sebastian odnalazł po omacku najpierw dłoń Grace, potem Lily i uścisnął je mocno.

– Ona jest naprawdę fantastyczna, prawda?

Pochylając się w stronę Sebastiana, Grace podniosła wzrok na Lily.

– Tak, kochanie, z całą pewnością.